

Piękna i zła

Cowie Vera



calibre 0.9.43

VERA COWIE

Piękna i Zła

Przełożył Jan Piekarczyk

Tytuł oryginału THEBAD AND THE BAUTIFUL

Rozdział pierwszy.

Zbliżał się kulminacyjny moment przyjęcia. Było coraz tłoczniej. Pijackie śmiechy, bezładne rozmowy i jazgot wskazywały na znaczne spożycie alkoholu. Gospodyni, niepewna swojej pozycji towarzyskiej, puszyła się, że sto osób przyjęło jej zaproszenie na parapetówkę, ale zarazem trzęsła się ze strachu o nowe wnętrza obrzydliwie drogiego mieszkania z tarasem przy Eaton Square. Wpadała w rozpacz na myśl, że wcześniej czy później jeden z gości potraci któreś z tak starannie dobranych dzieł sztuki, inny strzepnie niedbale popiół z papierosa na miękkiej, barwionej na zamówienie dywan albo też zaleje winem jedwabne obicia mebli. Hałas przyprawiał ją o ból głowy, nie mówiąc już o nerwach z powodu pieniędzy, które na to wszystko wydała.

- Julio! - Przytrzymała się ramienia wysokiej rudowłosej kobiety, która właśnie przechodziła obok. - Jak myślisz? Wszystko w porządku? - Jej niepokój był tak widoczny, jak cegła w łuszczącej się sztukaterii.

- Najzupełniej - zapewniła uprzejmie Julia.

- Słyszałam wiele komplementów pod twoim adresem.

- Tak długo, jak jesteś szczęśliwa - dyplomatycznie szepnęła Julia - byłaś i jesteś moją klientką.

- Która jednak rachunkami musi obciążać własnego męża. Na tę zgryźliwą uwagę Julia uśmiechnęła się. Dobrze wiedziała, że Leila Bainbridge wyszła za nowobogackiego faceta, którego nie obchodziło, jak jego żona wydaje pieniądze, dopóki nie wtrącała się w jego romanse.

- Poleciałam twoje nazwisko wielu osobom - z powagą powiedziała Leila. - Mam nadzieję, że wynikną z tego następne zamówienia.

- Jak mówią, ja tu tylko pracuję - odrzekła smutno Julia. - Ale cieszę się, że jesteś zadowolona.

- Zadowolona? Moja droga, absolutnie wstrząśnięta! Ty, taka utalentowana...

- Jesteś bardzo uprzejma. A ja wychodzę stąd szczęśliwa.

- Nie idź jeszcze. Chcę cię przedstawić tym, którzy się liczą...

Julia zmusiła się do uśmiechu. Praca to praca.

- Zostań. Za chwilę wrócę, pożegnaj tylko tych, co już się zbierają.

Brad Bradford zastanawiał się, czy też to zrobić. Przyszedł późno. Przyprowadziła go jego obecna kochanka - nieważny, chwilowy wyskok. Nudziła go, a jednak tkwił w rozdrażniającym, pełnym napięcia potrzasku dobrze mu znanego, duszącego znużenia. I jeżeli nic się wkrótce nie stanie, to oszaleje. Rzuci się w wir nie kończących się ekscesów, które nie tylko nie poprawiały mu samopoczucia, ale wręcz je pogarszały. Z Angellą koniec. Wystarczyło mu na nią spojrzeć. Powinien z nią zerwać jeszcze przed powrotem do Bostonu. Potrzebował nowego, odświeżającego wyzwania. Przeszkody, którą by musiał pokonać.

I wtedy zobaczył ją. Jej wejście podziałało na niego jak zastrzyk adrenaliny. Skąd się tu wzięła? Jest nadzwyczajna, myślał. Co za twarz! Westchnął głęboko. Bóg go wysłuchał. Nie widział jej

wcześniej. Musiała być w którymś z wielu innych pokoi. Była dokładnie tym, czego akurat potrzebował. Wyrazista twarz, o naturalnej, nieco poważnej ekspresji. Aura nieprzeniknionego dystansu, wyniosłość. Pociągało go to wyzwanie. A przy tym żar w jej uśmiechu obiecywał tak wiele... Uwielbiał zniewalać kobiety dokładnie tego typu. Miała wszelkie warunki...

Niezależnie od zachwycającej twarzy, była elegancka w stylu kobiet, które dokładnie wiedzą, kim są. Prosto i niezależnie od modnych nowinek. Luźna suknia z kremowego jedwabiu, dotykająca jedynie biustu i pośladków, sugerowała ciało tak hojnie obdarowane przez naturę, że aż bezcenne; no i te nogi do samej szyi.

Z miejsca, w którym stał, nie mógł określić koloru jej oczu, wiedział tylko, że były duże, zamglone i głębokie. Włosy przypominały mu las Concord, nie opodal Bostonu, jesienią. Z uniesioną głową, wspaniale wyprostowana, poruszała się z tak naturalną dystynkcją, że żadna ręka nie odważyłaby się na poufałość. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat, pomyślał. Stąd jej chłód. Bardzo pewna siebie. Czuje się panią swego losu i nie zamierza się tym z nikim dzielić. No tak, myślał, smakując rozkoszny dreszcz, w porządku, absolutny chłód. Coś w rodzaju lodowej czapy na ognistym wulkanie.

Od tej chwili nie spuszczał z niej oka. Gdziekolwiek się ruszyła, jego oczy wędrowały za nią. Nie spojrzała na niego ani razu, ale wiedział, obserwując ruch jej pleców, że zdawała sobie sprawę z jego obecności i z tego, że na nią patrzy. Nie podchodził do niej. Czekał na odpowiedni moment. Z taką kobietą należy postępować ostrożnie.

W końcu jego szansa nadeszła. Opuściła grupę ludzi, z którymi rozmawiała, i skierowała się ku francuskim oknom otwartym na taras. Zatrzymał ją jakiś mężczyzna, powiedział coś, ale stanowczo potrząsnęła głową i z przegrzanego, zatłoczonego pokoju, pełnego dymu i zgiełku, wyszła na świeże powietrze. Brad wziął od kelnera dwie szklanki i ruszył za nią. Stała przy murku patrząc w dal. Oddychała głęboko, z przyjemnością. Ożywczy, wiosenny wieczór początku kwietnia. Gdy wciągała czyste powietrze, jej jędrne, delikatne piersi unosiły się i opadały pod cienkim materiałem sukni.

Brad był wstrząśnięty. O tak, to było wcielenie kobiecości. Doskonale. Podszedł do niej drżąc na myśl o czekających go emocjach.

- Czy ma pani ochotę na drinka? - zaproponował podając jej szklankę.

Zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem, narzucającym dystans.

- To do niczego nie zobowiązuje. - Uśmiechnął się szerzej. Przyjęła mocno oziębioną szklankę.

- Dziękuję. - Dżin z tonikiem. To było to, co lubiła. - Jest pan uważnym obserwatorem.

- Przyglądałem się pani cały wieczór.

- Wiem - odrzekła beznamiętnie.

- Będziemy konwersować, czy porozmawiamy naprawdę? - Nie dał się zbić z tropu.

Nie rozmowa ci w głowie, pomyślała Julia. Wszystko wokół tego mężczyzny promieniowało seksem. Było to widać jak na dłoni. Za przystojny, zbyt pewny siebie, za bardzo... Jeden z tych, którzy działali na nią odstręczająco. Myślą, że cały świat do nich należy, a zwłaszcza kobiety, do których mają „prawo pierwszej nocy”. Czują na sobie jego spojrzenie, wręcz dotykał ją wzrokiem. Co za dziwaczny kolor oczu, myślała. Ani zielone, ani niebieskie. Jak morze, po którym prześlizguje się słońce. Co chwila inne. Jest w nich iskierka dowcipu, bezczelności... Podobnie w ustach, ale twarz przesadnie piękna, jak spod dłuta rzeźbiarza. Przystojniaczek. Nadaje się do reklamowania aperitifów.

- Pani pozwoli, że się przedstawię?

Drgnęła, uświadomiwszy sobie, że kiedy go słuchała, przysunął się bliżej. Nie był w pełni Amerykaninem, ale też nie Anglikiem. Wymawiał miękko „r”. Możliwe, że kształcił się w Anglii, pomyślała. Stał już tak blisko, że czuła bijący od niego żar.

- Nazywam się Bradford, dla przyjaciół - Brad. Wiem, kim pani jest. Pytałem.

Wyciągnął do niej rękę, ale jego oczy i tak już całkowicie ją pochłonęły. Rozszerzyły się tak, jakby ją przez nie w siebie wsysał. Kiedy niechętnie podała mu dłoń i poczuła jego dotyk, całe jej ciało ożywił płomień. Wyswobodziła się natychmiast, z trudem łapiąc oddech. Na Boga! Co się ze mną dzieje? Owionął ją swoją zmysłowością. Dojmująco odczuwała jego wzrost, wspaniały tors, wpatrzone w nią oczy i ciepły uśmiech. Emanowała z niego potężna siła, którą wyraźnie wyczuwała, i wydawało się jej, że rozbija ona jej system obronny na tysiące małych kawałeczków.

To absurd, myślała, wstrząśnięta tym, jak szybko bije jej serce.

- W końcu możesz zastosować do mnie zasadę domniemania - niewinności. - Uśmiechnął się promiennie.

Nie mam złudzeń, pomyślała Julia.

- Wolałabym, żebyś potraktował moje „nie” poważniej - odparła.

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy na tysiąc „nie” znaczy „tak”.

- Tym razem jest ten jeden raz na tysiąc.

- To tylko chwilowa niedyspozycja.

On jest... jest chyba na to jakieś słowo... niepokromiony. Coś w tym rodzaju. Swoją zuchwałą pewnością siebie mógł nawet fascynować, ale jego kogucia zadziorność była irytująca.

- Nic mi nie jest - ucięła krótko. Znowu śmiech.

- Nie próbujesz mnie ściąć?

Przesuwał po niej wzrokiem tak, że czuła mrowienie.

- Naprawdę nic? A pięć stóp i osiem cali wzrostu, sto trzydzieści funtów wagi, to jest nic?

Julia zaszokowana przyznała w myśli, że trafił idealnie. Praktyka czyni mistrza.

- Pochlebileś mi o pięć cali.

- Przysięgłbym, że to lubisz.

Śmiał się uradowany. Była dokładnie takim wyzwaniem, jakiego pragnął. Cięty język, błyskotliwy umysł. Nigdy nie pozostaje dłużna.

- Tracimy czas - powiedział bezczelnie.

- Nie, to ty tracisz czas.

Wspaniale! Zręczne riposty kobiety sprawiają, że wstępna gra daje więcej przyjemności.

- Nigdy niczego nie tracę - zapewnił z powagą. - W mojej książce tracenie jest ósmym śmiertelnym grzechem.

- O, już to napisałeś!

Jeszcze nie spotkała mężczyzny, który by budził w niej aż taki niepokój. Wyczuwała go każdym nerwem. W całym swoim życiu nie była tak głęboko świadoma istnienia innego człowieka, jak w tej chwili. Jakby zerwał z niej jakąś skorupę i położył dłonie na gołej skórze.

- Piękne! Prawie tak jak ty. Lubisz komplementy? - spytał.

Żadnej reakcji, tylko lekkie przechylenie głowy.

- Przepraszam. Widzę, że znasz ten film. Nie chcę znowu popełnić błędu. Nie chciałbym, żebyś myślała o mnie jako o jeszcze jednym nudnym facecie.

- W ogóle o tobie nie myślę - zapewniła go. - A teraz, czy pozwolisz mi odejść?

- I zostawisz mnie bez odpowiedzi? To ciężka sprawa.

- Możesz na mnie patrzeć.

- Patrzyłem cały wieczór. I miałem nadzieję, że moglibyśmy się przenieść gdzieś indziej.

- Nie mam zamiaru nigdzie z tobą iść - odparła. Zza pleców Brada odezwał się jakiś głos:

- Brad, idziemy do Anabeli. Wychodzisz z nami?

- Po pracy wolę się odprężyć - odparł.

- Przed pracą pewnie też - wtrąciła Julia. - Czy teraz możesz mnie przepuścić?

- Tylko wtedy, jeśli pozwolisz się gdzieś zaprosić. Julia postawiła szklankę na niskim ceglany murku.

- Nie radzę nigdzie mnie zabierać - syknęła.

Zanim zdążył ją powstrzymać, przecisnęła się obok, zostawiając mu po sobie zapach oszałamiających perfum - Chanel No. 19. Po chwili znikła w tłumie.

Myśląc tylko o tym, żeby jak najprędzej uciec, skierowała się do sypialni, gdzie złożone były okrycia gości. Szukała swojego płaszcza, kiedy weszła tam młoda brunetka. Julia prawie jej nie знаła.

- Widziałam, że rozmawiałaś z Bradem Bradfordem.

- Czyżby?

Brunetka zaśmiała się niewesoło.

- Nachalny facet, prawda? Jak zawsze. Ale wspaniały, nie sądzisz? Masz zamiar go przelecieć?

- Nigdy tego nie robię, kiedy widzę, że komuś tylko to w głowie.

- Angela zsinieje z zazdrości. Ona myśli, że go sobie owinęła wokół palca.

- Ten się akurat nie owija - stwierdziła Julia z ponurą miną.

- Nie rozumiem. - Brunetka była zbita z tropu.

- On też nie - powiedziała Julia.

Kiedy wyszła z sypialni, Brad czekał oparty o ścianę. Wyglądał tak komicznie, że Julia uśmiechnęła się.

- Ładny masz uśmiech - zauważył. - Podobnie jak głos. Przypominał mu czekoladki, które podkrażał matce: gorzkosłodkie pod kruchą polewą. Chciało się je jeść jedna za drugą.

Julia poczuła się nieomal przyparta do muru. Jego natarczywość bardzo ją niepokoiła.

Ktoś przechodzący obok nich zawołał:

- Do zobaczenia w Bostonie, Brad. Odwrócił głowę, błysnął zębami w uśmiechu.

- Tak... jasne...

- Stamtąd pochodzisz? - mimo woli spytała Julia. Była zaintrygowana. - Z ojczyzny fasoli i twardogłowych głupców?

Znowu śmiech.

- To prawda. Ale nie jestem natchnionym purytaninem, co wiecznie rozmawia z Bogiem. Zostawiam to mojej matce.

- Mam tu własny samochód. - Julia raz jeszcze próbowała uwolnić się od natręta.

- Zostaw go. Odstawią ci go pod dom.

Dostrzegła w jego oczach błysk i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Cham, pomyślała. Jego pewność siebie raniła jej poczucie własnej wartości, co nie było przyjemne. Ten facet potrafi nad sobą panować. I czeka...

- Moje auto jest na dole. - Wziął ją pod rękę. W chwili gdy jej dotknął, Julia poczuła, że jest

zgubiona. Przed domem stał srebrnoszary Bentley Continental z rozsuwanym dachem.

- Pasuje do twoich oczu - powiedział. Potrząsnęła głową śmiejąc się.

- Jesteś niepoprawny.

Kiedy znalazła się w wozie, uznała, że wypięła zdecydowanie za dużo. Szumiało jej w głowie. Nie była pewna czy od alkoholu, czy z podekscytowania. Wiedziała tylko, że nie chciała tego i zła była, że pozwoliła sobie na coś nie w swoim stylu. Na ogół oblewała nadgorliwych kubłem zimnej wody. Ten nie dał się zrazić. Czowała się zakłopotana. Dawno temu postanowiła nie ulegać, a on podał to w wątpliwość w chwili, gdy poczuła na sobie jego spojrzenie.

Rozczarowało ją krótkie, nieszczęśliwe małżeństwo. Wyszła za męża, gdy miała lat dziewiętnaście, a rozwiodła się mając dwadzieścia jeden. Mąż porzucił ją wówczas dla innej kobiety. Za cztery miesiące Julia skończy dwadzieścia siedem lat. Przed laty otoczyła się wspomnieniem nieudanego małżeństwa jak skorupą, do której chowała się przy pierwszym przejawie zainteresowania ze strony każdego mężczyzny. Wygląda na to, myślała zbity z tropu, że ten tę skorupę rozbije. I co tu mówić o szacunku do samej siebie! Po prostu typ ukształtowany przez stuprocentowe powodzenie u kobiet. Nie miała wątpliwości, że była numerem trzycyfrowym.

Odmiany z pewnością ubarwiają mu życie. Rwie baby jak kwiaty, a kiedy zwiędną, pozbywa się ich.

Echo słów, które powiedział jej mąż na odchodnym, wróciło razem z dawnym bólem: „Ty mnie, Julio, nie potrzebujesz. Nie potrzebujesz nikogo. Masz siebie. Kłopot w tym, że jesteś zamknięta na cztery spusty, jakbyś bała się włamywaczy”. No i dobrze, pomyślała z rezygnacją, nie zmienię się tylko po to, żeby poderwał mnie jakiś Amerykanin z Bostonu.

- Przyjemne myśli? - zapytał.

- Nie.

- No wiesz! Nie mów tak od razu na początku zabawy - rzucił z błyskiem w oku.

- Nie jestem amatorką tego typu żartów. Możesz mnie zawieźć do domu?

- A gdzie jest twój dom?

- Kensington-Hornton.

- W porządku, wiem, gdzie to jest.

Mieszkanie Julii znajdowało się na ostatnim piętrze. Po drugiej stronie ulicy miała stację metra. Pracowała kilka przystanków dalej, przy Salone Street. Kiedy samochód podjeżdżał pod dom, trzymała rękę na klamce.

- Przy tej latarni. - Auto stanęło. - Dziękuję za podwiezienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A co po twojej? Mógłbym wypić filiżankę kawy?

Jest jak chwast, pomyślała Julia z irytacją. Nie zdołała się go pozbyć, dopóki nie znajdzie sobie innego ogródka. Poza tym nie miała zamiaru dać mu szansy na zapuszczenie korzeni w jej łóżku.

- Filiżankę możesz wypić - powiedziała bez entuzjazmu. Szedł za nią po schodach pokrytych czerwoną wykładziną.

Otworzyła drzwi. Przeszli przez hall i następne drzwi do dużego pokoju stołowego z półkolistymi oknami wychodzącymi na ulicę. Julia zapaliła górne światła i rozsunęła zasłony. Ciężkie, z bawełnianej satyny, ze szkarłatno-czarnym maczkiem na białym tle, pasowały do obić kanapy i wygodnych foteli, do drewnianej podłogi pociągniętej werniksem o hebanowej czerni. Tu i ówdzie rozrzucone były chińskie kilimy w tych samych kolorach. W polakierowanych na ciemno misach tkwiły kompozycje z białych i czerwonych goździków. Gdy znikła w pomieszczeniu, które wziął za

kuchnię, Brad zrzucił płaszcz i opadł na jeden z foteli.

- Czarna, bez cukru - rzucił za nią.

Odchyliwszy głowę oglądał tytuły na grzbietach książek zgromadzonych na półkach. Dużo na temat sztuki i projektowania, a także powieści, biografie, pozycje historyczne i America, Alistaira Cooke'a. Proszę, proszę, pomyślał. Nic dziwnego, że wie, co znaczy „fasola” i „twardogłowy głupiec”. Książki o Stanach Zjednoczonych zapępniały całą półkę. To staje się bardzo interesujące.

- Błyskawica! - wykrzyknął, gdy Julia wróciła z tacą, na której stał ceramiczny dzbanek do kawy, filiżanki, spodki, śmietanka. Nie było cukiernicy.

- Nastawiam kawę przed wyjściem i kiedy wracam, jest gotowa. Przed snem lubię wypić filiżankę.

- Ja też!

Wyjął papierosy, zapalniczkę i położył na stoliku. Wziął filiżankę, którą mu podała. Porcelana ze Staffordu, zdobiona w wierzby, ulubiony motyw jego matki. Julia wzięła swoją filiżankę i usiadła w fotelu. Założyła nogę jedną na drugą i zaczęła mu się przyglądać. Spokojnie, bezwzględnie, jakby chciała powiedzieć: Możesz stanąć na głowie, a ja i tak cię nie chcę.

Ogarniała go na przemian to ekscytacja, to pewien bezwład. Uwielbiał wyzwania, ale czuł też, że może powrócić jego znużenie. Ta kobieta jednak powinna sprostać wymogom mistrzowskiej partii. Lubił pokonywać trudności, a tym razem nie mógł się mylić - czuł, że za swoje pieniądze dobrze z nią sobie użyje. Uśmiechnął się.

- Lubię, jak milczysz - skomentował pokazując, że w żadnym razie nie jest zmieszany. - I twoja kawa też jest dobra.

Z przyjemnością rozglądał się po wygodnie urządzonego pokoju. Kolory, choć przyciągały wzrok, nie drażniły. Zadowolony był też z tego, że Julia nie szczebiotała piskliwie i nerwowo, co by zdradzało brak doświadczenia. Doszedł zatem do wniosku, że z jej wyglądem musiała mieć do czynienia z mężczyznami od chwili, gdy dostała pierwszą parę pończoch.

Miał wrażenie, że dużo przeszła, a to, co on robił dotychczas, było ledwie wstępem. Czas pójść na całość. Zgasił papierosa i odstawił filiżankę. Podniósł się i usiadł na fotelu obok niej. Wziął z jej rąk filiżankę, postawił obok swojej. Ujął Julię za ramiona i odwrócił do siebie. Nie protestowała. Przyglądała mu się tylko zamglonymi, zdumiewającymi oczami. Małe czarne cętki na szarych źrenicach. Z bliska jej skóra była gładka jak u dziecka. Pachniała przyjemnie. Światło białych, jedwabnych abażurów lśniło podniecająco na jej ustach. Pochylił głowę. Dotknął jej warg swoimi. Lekko, ale zdecydowanie. Nie protestowała.

- Czekałem na to cały wieczór.

Jej oczy nic nie wyrażały, ale usta były miękkie i soczyste.

- Nic nie mówisz, a to znaczy, że mogę to zrobić jeszcze raz...

Tym razem pocałował inaczej, mocniej, i objął ją całą, czując na sobie nacisk jej piersi i długich ud.

Uwertura skończona. Zaczął się akt pierwszy. Jeżeli tego nie chcę, myślała bezradnie, to najwyższy czas mu to powiedzieć. Ale jej nastrój się zmienił. Nie czuła apatii, lecz fatalizm. Jakikolwiek opór wydawał się stratą czasu.

Poza tym tak musiało się stać. Nawet jeśli nie była przygotowana na to, żeby go wpuścić do mieszkania. I trudno jej było o tym myśleć, ponieważ całował ją jak nikt dotąd. Nie jak Derek, który traktował to jak wstęp, po czym przechodził do rzeczy. Teraz to był przedsmak nadchodzącej

rozkoszy, co narkotyzowało jej zmysły i budziło paradoksalne uczucie żalu, że nie wiedziała o tym, jak długo trwała w stanie hibernacji. Uprzytomniła sobie, że język i usta Brada wywołują w niej cudowne doznania. Jakby wargi stawały się anteną o najwyższej czułości, zdolną odbierać i przekazywać najbardziej subtelne wrażenia. Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne i niepowstrzymane. Julia czuła się pożerana, wydobywana spod zaciśniętych palców, które miękły pod nieustępliwym, choć czułym atakiem.

Zadzwoił telefon. Brad uniósł usta tylko trochę, jakby zastanawiając się, czy koniecznie trzeba się odezwać, ale Julia wykorzystała okazję i uwolniła się.

Dzwoniła Chris, jej najbliższa przyjaciółka.

- Jak było na przyjęciu?

- Normalnie.

- Nie było nikogo wartego grzechu? - Chris zawsze wykorzystywała takie okazje do upolowania faceta.

- Za wcześnie o tym mówić.

Chris jak zwykle domyśliła się wszystkiego.

- Ktoś jest u ciebie!

- No...

- Mój Boże, Julio! Nie mów, że coś przerwałam?

- Niezupełnie.

- Nic nie mów. Jutro wieczorem?

- Tak.

- Wpadnę około dziewiątej, dobrze?

- Świetnie.

- Nie mogę się doczekać!

Po rozmowie Julia nie wróciła do Brada, tylko usiadła w fotelu i naląła sobie kawy. Szlag by trafił przeklęty telefon, pomyślał. Było jasne, że z jej strony to koniec. A już się tak miło zapowiadało. Miło! Jezu, pomyślał. Nie rozumiem własnego życia. Od dawna nie miał kobiety tak ciepłej. Nie mylił się.

- Zjemy kolację jutro wieczorem? - spytał.

- Nie. Zaskoczyła go.

- Więc w sobotę? Możemy spędzić razem cały dzień...

- Weekend mam zajęty.

- W porządku, a więc kolacja w sobotę wieczorem.

Brad zawziął się. Jego uśmiech zastygł. Ukłucia tego typu wyzwania odczuwał bardzo mocno, a dawno nie zaznał równie ostrego pożądania. Dziękował Bogu, że zdecydował się pójść na to przyjęcie.

Julia obserwowała go. Jest zepsuty, myślała, nic niewart. Nie przyzwyczajony do odmowy. Dzięki Bogu, że Chris zadzwoniła. Uratował ją ten telefon. Czuła wyraźnie, że przed chwilą uległa. Czego od niego chcesz? - pytała siebie chłodno. Kobieciarz, któremu zależy wyłącznie na przyjemnościach, i to twoim kosztem. Jednak jej drugie ja nie dawało za wygraną. Od jak dawna chcesz zastąpić kimś Dereka? Ciesz się, że temu facetowi zależy tylko na przyjemności i zabawie.

Podniosła się raptownie.

- Jest późno, a ja jutro idę do pracy. Wstał także.

- Nie usłyszałem odpowiedzi - nalegał. - Sobota? Zgodziła się tylko dlatego, żeby się go pozbyć.
 - Zadzwoń do ciebie o w pół do ósmej.
- Cholera! Miała zamiar umówić się gdzieś poza domem i nie pójść.
- Jakoś się spotkamy - powiedziała.
 - Właśnie o tym marzę - zapewnił znacząco, jakby dobrze wiedział, do czego zmierzała.
- Wtedy właśnie się poddała.
- Na odchodnym nie pocałował jej i poczuła się zawiedziona.
- No to do soboty - powiedział. Zamknęła za nim drzwi.

Rozdział drugi.

- I jak? - Chris wpadła jak bomba. - Kto to jest, co to jest, a najważniejsze, jaki on jest? Nie mam dużo czasu - mówiła jednym tchem. - Tony będzie o dziesiątej. Tony był jej aktualnym kochankiem.
- Amerykanin, pod każdym względem. - W głosie Julii wciąż brzmiało zdumienie. - Nazywa się Bradford. Brad Bradford.

- Jak gwiazdor filmowy.

- I tak wygląda.

- Jak który?

Julia zastanowiła się.

- Robert Redford, ale o sześć cali wyższy.

- O rety! - Chris westchnęła. - Opowiadaj!

- Nie ma o czym mówić. - Julia poszła nalać sherry.

- Nie wygłupiaj się! Opowiadaj! Jeżeli ktoś ci się podoba, to musi to być ktoś.

- I jest. To jest ktoś.

- Brzmi, jakbyś już miała go w garści. - Oczka Chris aż się zaiskrzyły.

- W obu.

- A ty co? Jak zwykle nic?

Julia unikała wzroku swojej aż nazbyt doświadczonej przyjaciółki.

- Wielki nieba! - Chris zdumiała się. - To nie ta Julia, którą wszyscy kochamy i której się boimy.

- Potrzebny mi czas do namysłu. Tak nie można.

- Na miłość boską, nigdy nie dasz swojej głowie odpocząć?

- Wiesz, co myślę o tych głupich, niepotrzebnych gierkach, w które bawią się mężczyźni i kobiety.

- Tylko dlatego, że twój pierwszy ostro ci dał w kość.

- Niezapomniana lekcja.

- Jakbyśmy o tym nie wiedzieli! - Chris spoglądała na Julię w zamyśleniu. - Nigdy nie widziałam, byś posunęła się dalej niż na pół kroku.

Julia zaczerwieniła się.

- O, ten chyba zaszedł dalej? - zapytała.

- Pocałował mnie, to wszystko.

- Wszystko! Czy ty wiesz, że ja w ciągu trzydziestu sekund wiem, czy chcę się z facetem przespać czy nie?

- Ty jesteś inna.

- Nie! To ty jesteś inna. - Chris przyglądała się rumieńcom na twarzy przyjaciółki. - Jak było?

Julia próbowała wzruszyć ramionami.

- W tym problem, że... niewiarygodnie...

- Aha. - Chris ostrożnie skubała brwi, prawie całkowicie zasłonięte jasną grzywką. - Jeden z

tych.

- Jeden z których?

- Wielki Mistrz. Zwykle trzeba nad nimi trochę popracować, ale z tobą to będzie jak nauka: jak powstrzymać przepełnienie się czary. - Zastanowiła się przez chwilę. - On mi wygląda na profesjonalistę. Nie chodzi mi o to, że on z tego żyje. On tym żyje! To piekielna różnica. Myślisz, że właśnie spotkałaś jednego z nich?

Na twarzy Julii odmalowało się przerażenie.

- Dzięki Bogu, nie.

- Nie, ty oczywiście nie mogłabyś. Oni nie wstępują do klasztorów, a ty żyjesz jak zakonnica...

- Żyję tak, jak chcę żyć.

- Nie żyjesz, tylko trwasz, co zmienia postać rzeczy! Julia opanowała się, ale Chris bezlitośnie ciągnęła dalej.

- Po Dereku zrezygnowałaś z życia. Nie mam racji?

- Jeśli masz na myśli takie życie, jakie prowadzisz ty, to prawda. Zrezygnowałam.

Chris nie dała się sprowokować.

- Znam moją reputację. Łapię wszystko, co nosi spodnie. Ale rozmawiamy o tobie. O Julii Carrey, prześladowanej przez mężczyznę przez dwa duże „D”: Doskonałego i Doświadczonego. Zachowujesz się tak, jakby ubliżało ci, że to widzisz.

- Bo to byłoby głupie. To playboy w każdym calu. Nie tego mi trzeba.

- A co to ma do rzeczy? Nigdy niczego nie robisz po prostu dla przyjemności?

- Nigdy - powiedziała Julia. - To nie leży w mojej naturze.

- Raczej nie chcesz, by tak było.

- Czy kiedykolwiek interesował mnie sam seks?

- Nie. Jak cię znam, seks w ogóle ci nie leży. A wszystko przez jednego faceta, który cię wyłączył, bo sam nie był dobry. Julio, zabaw się choć raz. Bierz, co daje ci Brad, tak jak ci daje. Tylko, na miłość boską, nie upijaj się tym. Te sprawy mają swoją moc.

Julia wyglądała jak abstynentka, która nie wie, o czym mowa.

- Kto nauczy cię lepiej niż facet, który wie wszystko? - zapytała z zazdrością Chris i westchnęła.

- Żaden mężczyzna widząc twoją buzię i ciało, nie pomyśli, że nie jesteś uwielbiana. Nie skoczysz do wody po raz drugi tylko dlatego, że przestraszyła cię pierwsza taplanina?

- To nie dla mnie. Nie mam takiej potrzeby.

- Co to ma do rzeczy?

- Instynkt mi mówi, że będę żałować.

- O, mamy zły nastrój! Nie bądź tchórzem. Przecież źle ci nie życzę, choć nie mam zamiaru ci kadzić. Tak bardzo się boisz, żeby nikt cię nie skrzywdził. Przez te pięć lat po Dereku zdążyłaś stwardnieć. Ale to nie ty, tylko twoje serce jest nadal dziewicze. Dlaczego tak się boisz?

Julia milczała. Po chwili odpowiedziała przygnębiona:

- Dlatego, że emocjonalnie nie jestem dość elastyczna. Taka po prostu jestem.

- A może wolisz być taka?

Chris ma przykrą zdolność pokazywania, że prawda jest tam, gdzie się jej nie chce, myślała udęczona Julia.

- Ja cię znam, Julio. Po tylu latach muszę cię znać. Mężczyzn znam także. Miałam ich więcej niż włosów na głowie. Kocham seks. Jest jedną z największych przyjemności, ale ty patrzysz na to jak na

zbochenie! Radzę ci, zrób coś. Skurwij się po same pachy. Włóż wyzywające ciuchy. Zagraj w jego grę. Ekwipunek masz ekstra!

Chris zamyśliła się. Zaprzyjaźniła się z Julią jeszcze w szkole, ale gdy ona lubiła towarzystwo, Julia była wyniosłym odludkiem. Chris widziała, jak podskórnie zamarza. Derek Allan był w ogóle jedynym mężczyzną, z jakim łączyły Julię stosunki nie tylko platoniczne.

Dorastali razem. Znali się i pobrali. Julia upierała się, że będzie pracować. Po skończeniu wyższej szkoły artystycznej załatwiła sobie dobrą pracę w firmie projektowej w Leeds, Derek zaś kontynuował studia doktoranckie. Muszę pracować, powiadała Julia z właściwym sobie praktycznym nastawieniem do życia. Lecz kiedy praca stała się dla niej ważniejsza od męża, związek zaczął się rozkładać. Julia harowała całe boże dni, więc Derek wracał do pustego mieszkania, gdzie nie czekała na niego żona z obiadem. Wywoływał awantury, a gdy się kłócili, spali osobno. Coraz częściej. Ostatecznie skończyło się to tym, że znalazł sobie inną i odszedł.

- Wyszłaś za pracę, nie za mnie - powiedział z goryczą. - I widzę, że potrzebny ci bardzo chłodny kochanek.

- Nigdy nie byłeś gorący - odcięła się Julia. - Dziwi cię, że po tym, co mi dajesz, wolę spędzać czas na bardziej atrakcyjnych zajęciach?

Wtedy ją uderzył. I przed odejściem zranił po raz ostatni.

- Nie jesteś kobietą, Julio. Ty tylko tak wyglądasz.

Chris dopóty dziwiła się, że dla Julii była to rana nieomal śmiertelna, dopóki nie zdała sobie sprawy, że to nie Derek ani rozpad małżeństwa był przyczyną jej zdziczenia, lecz błąd, który popełniła. Julia była ucieleśnieniem praktyczności. Żyła pracą. Systematyczna, wszechstronnie uzdolniona, zorganizowana, urodzony menedżer. Skarżyła się Chris, że Derek jej nie docenia.

- Pracowałam, skąpiłam, oszczędzałam, a on miał czelność narzekać! Dla kogo to robiłam, jeśli nie dla niego?

- Naprawdę? - powątpiewała Chris. - Jesteś pewna, że właśnie to wyprowadza cię z równowagi?

Jednakże dla Julii jej błąd był okrutnym ostrzeżeniem. Nie chciała popełnić go po raz wtóry. Wyjechała z Yorkshire do Londynu. Przyjęła pracę projektantki i z powrotem zaczęła wspinać się po drabinie sukcesu. Miała talent i umiała go wykorzystać. Została starszym projektantem. Wybrane zlecenia zatrzymywała dla siebie. Zarabiała masę pieniędzy i co robiła? - myślała zdeglustowana Chris. Zanosila do banku. Utrzymywała się z połowy dochodów, nawet mniej! Dlaczego była tak próżna? Nie kiwnęła palcem, żeby nie dopuścić do rozwodu. Chris doznała olśnienia: duma. Nieokiełznana duma. Jeżeli nie nauczę jej żyć, zginie, chwytając się dumy jak tonący brzytwy. Rzeczywiście, myślała zrozpaczona Chris, ma twarz aniołka, a duszę księgowej!

- Potrzebujesz pomocy albo rady? - spytała. - Wiesz, że zrobię to z radością. Przeszłam już przez te rzeczy. Dalej brnę.

- Tony?

- Któż by inny.

Julia uważała Tony'ego za kłamliwego, egoistycznego skurwysyna, lecz Chris wpadła po uszy. Jak i inni jej faceci, był żonaty i jak tamci już prawie rozstawał się z żoną, ale Jeszcze nie teraz". Zauważyła ostatnio, że zaczyna zrzedzić.

- Musi wybrać - zdecydowała Chris. - Od narzucania mu się jestem chora i zmęczona.

Spostrzegła, że Julia unika jej wzroku.

- Wiem, myślisz, że jestem idiotką, ale ja go chcę. Potrzebuję go i jeśli mogę go zdobyć tylko popędzaniem i gderaniem, to będę mu dokuczać. Ty byś tak nie robiła...

- Prędeż bym zdechła.

- I tu się różnimy. Ja wolę nie mieć racji i mieć faceta, a ty wolisz mieć rację i być sama. - Znowu napełniła kieliszki. - No to jaki on jest?

- Myślę, że jest zepsuty. Jestem pewna, że jest lekkomyślny. Goni za przyjemnością bez odpowiedzialności. On ma grać, a ja mam tańczyć. I ponosić konsekwencje. Potem, zanim zajmie się inną, rzuci mi miedziaka. Dla niego wszystko jest jakąś grą. Seksualna olimpiada, gdzie nic nie przeszkodzi mu w zdobyciu tytułu Mistrza Świata w Erekcji.

- Więc zagraj z nim w to, co lubi.

- Z moją amatorszczyzną? To by była pełna defensywa.

- I tak grają kobiety! Mężczyźni myślą, że powinni polować, a kochać w ostateczności. Pozwól im trwać w ich złudzeniach, jeśli ma im to sprawić przyjemność. Pamiętaj tylko, że nie musisz robić tego, czego nie chcesz. Nie zapędzaj się w sytuacje bez wyjścia.

- Przypuszczasz, że potrafię je rozpoznać?

- Jesteś przecież kobietą.

Czy jestem? Wspominając komentarz Dereka Julia pytała samą siebie, co to znaczy być kobietą.

- Zagraj z nim w jego grę. Według podręcznika, albo pytaj mnie. Wywinęłam się z tak wielu opresji, że najlepiej się czuję przyciśnięta do muru.

Przyniósł ze sobą świeże powietrze i sobotnie podniecenie. Padało i jego gęste jasno blond włosy lśniły diamentowymi kropelkami. Oczy mieniły się niby morze i uśmiechał się tak, że Julia uprzytomniła sobie, że nigdy dotąd żaden mężczyzna nie działał na nią jak Brad. Czuła go każdym nerwem. On naprawdę jest niepokojąco sexy, przyznawała w myśli. Pochlebiało jej jego spojrzenie.

- Wyglądasz jak milion dolarów.

- To dobrze, jeśli tylko cię na mnie stać - odparła z desperacką nadzieją, że nie myśli jej zrujnować.

Brad dotknął kołnierza jej sukni z czarnego szyfonu.

- Lubię cię w czerni, bo twoje włosy bardziej wtedy płoną. Ale... nie jesteś chyba w żałobie?

Spojrzała nań z niepokojem.

- Mnie oplakiwać nie będziesz musiała. Mam nadzieję, pomyślała i zapytała:

- A co z zasadą domniemania niewinności?

- Nic. - Jego usta wykrzywiły się nieprzyjemnie.

- Nie lubisz oskarżeń?

- Nie ze strony moich kobiet.

Pomyślała, że tą wypowiedzią ulokował ją dokładnie tam, gdzie w jego mniemaniu było jej miejsce. Rzecz w tym, że nie zamierzała tam przebywać.

- Nie odpowiedziałas na pytanie - nalegał. Nie spodobał mu się wyraz jej oczu. Od chwili gdy ją spotkał, żył w silnym napięciu. Angela - zatkaj dziura tylko je wzmacniała. Widok zaś Julii w tej prześwitującej sukni, w pończochach, podniecił go tak widocznie, że bał się, czy jej nie spłoszy.

- To ostrzeżenie? - spytała w końcu bardzo chłodno.

- Nie. To tylko wskazówka... jaki jestem. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Miałam nadzieję, że pozwolisz, bym odkryła to sama. Dobry humor powrócił.

- Dokładnie to mam na myśli - odrzekł. Podał jej płaszcz, nalegając, by już wyszli.

- Ładny - stwierdził. Czarny welwet, kołnierz i mankiety z nerek podkreślały barwę włosów.

Zabrał ją do miejsca, które z początku wydało jej się zamkniętym, prywatnym klubem. Pełna przepychu jadalnia stylizowana na karczmę. Na obitych jedwabiem ścianach wisiały obrazy. Dookoła kwiaty, a w marmurowym palenisku płonął ogień. Stoły poustawiane były w odległości co najmniej dwóch metrów jeden od drugiego. Kelnerów więcej niż talerzy. Panującą ciszę przenikała zapierająca dech trwoga w obliczu niewyobrażalnych pieniędzy.

Jeden z kelnerów zwrócił się do Brada po imieniu. Drugi przyniósł srebrne wiaderko z butelką szampana w lodzie. Trzeci srebrną misę, także oblodzoną, wypełnioną błyskającymi srebrzystymi perłami. Julia domyśliła się, że to kawior z białugi. Nigdy tego nie jadła. Czwarty kelner z gestem toreadora potrząsnął ciężką, różową serwetą, po czym z pełnym szacunku ukłonem rozłożył ją na kolanach Julii.

- Nabierz - zarządził Brad. Nałożył sobie na grzankę dużą porcję kawioru. Julia położyła na swoją warstwę tak cienką, że można by przez nią czytać gazetę. Kelner nalał szampana do wysokich kieliszków. Brad wzniósł toast.

- Za nas i nasz początek.

Julia stuknęła się z nim i spytała:

- Lubisz początki?

- Są lepsze niż zakończenia.

- Dużo ich było?

- To moja sprawa. A ty?

O jedno za dużo, pomyślała Julia, odpowiadając lekceważącym i, jak sądziła, świadczącym o doświadczeniu wzruszeniem ramion. Maskowała się. Chciała być ostrożna. Problem polegał na tym, że Brad penetrował jej starannie chronioną świadomość, co wytrącało ją z równowagi i stawiało w stan pogotowia.

- Dajmy spokój zakończeniom. - Mówiąc to ściągnął brwi, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego. - Dzisiaj jest nasz początek.

Początek czego? - zastanawiała się Julia. Zanim poczuła w żyłach krążenie bąbelków, lodowaty szampan zmroził jej podniebienie.

- Dobry? - spytał.

- Mmmm... wspaniały.

- Szampan i piękne kobiety to piękna koniunkcja.

- A ja myślałam, że koniunkcja dotyczy planet.

- Właśnie. Czyż nie jesteśmy sobie przeznaczeni? Niewiele brakowało, a nie poszedłbym na tamto przyjęcie.

Nie spytała dlaczego. Ten jej brak ciekawości także go intrygował.

- Ale cieszę się, że poszedłem.

Nie odpowiedziała: „ja także”, jak oczekiwał.

- A ty? - nalegał.

- Mam nadzieję. - Ukryła swoje tajemnicze oczy pod powiekami.

Już lepiej, ale broni się dobrze, pomyślał. Menu było zadziwiająco skromne.

- Tu nie ma zwykłego jedzenia, lecz same wyjątkowe przysmaki. Mogę zamówić mózdzek.

Nie próbowała ich nigdy, ale tego wieczora była gotowa na wszystko. Kelner napełnił kieliszki.

- Wypij - rozkazał Brad.

- Po winie robię się senna - wzbraniała się.

- Wkrótce cię rozbudzę.

Ich oczy spotkały się i Julia miała wrażenie, że mężczyzna wślizguje się w nią głęboko, aż do środka. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Prawdę mówiąc, była zdania, że ów efekt jest mocno przerysowanym romantyzmem. Gdyby miłość nie istniała, należało by ją wymyślić. Trzymaj się, Julio. Ta gra nie nazywa się miłość. Jemu od początku chodzi o seks. Cała jego postawa wyrażała jedno: „Jestem grą, a co z tobą?” Powróćmy do gry, pomyślała.

Opuściła powieki i zamarła z posągową twarzą. - Jak dotąd Brad wiedział tyle, że pod maską kryje się nieustannie aktywny umysł, a jej prawdziwe ja jest ukryte bardzo głęboko. Powinien się tam zanurzyć, lecz przeczuwał, że gdyby chciał wrócić, to zmiana ciśnienia mogłaby go przyprawić o skurcze.

Przyglądał się jej w milczeniu. Miała klasę, co dawało mu wiele przyjemności. Znakomicie się kontroluje. Ruchy lekkie, bez wysiłku. Tak brała do ręki kieliszek, tak posługiwała się widelcem. Do wszystkiego podchodziła gładko i bez wahania, w szczególności do niego samego. Skoro tak, pomyślał, to z taką urodą musiała mieć do czynienia z mężczyznami przez co najmniej połowę swojego życia. I to mu się podobało. Dojrzewanie i naiwność miał już za sobą. Tak, ta jedna uosabiała wszystkie kobiety. Tajemnicza, kusicielska, niedostępna i sexy. Podniecenie targnęło nim jak głodny płomień. Jak zwykle, zamiar łowów czynił go bardziej błyskotliwym i napiętym. Uwielbiał cyzelowanie, badanie sytuacji, grę i poszczególne posunięcia. Problem w tym, że najczęściej bawiło go to bardziej niż rozstrzygnięcie. Tutaj jednak nie mógł się mylić. Wszystko powinno dać mu niewiarygodną satysfakcję.

Postawiono przed nimi gorące talerze z mózdzkiem. Julia spróbowała kawałek.

- Smakuje? - Brad obserwował ją.

- Znakomite! - Wyglądała na zaskoczoną. Rozejrzała się dookoła. - Co to za miejsce?

- Nigdy tu nie byłaś?

- Nie, tutaj akurat nie - odpowiedziała wymijająco.

- To jest prywatny klub.

- Dobrze znasz to miejsce...

- Znam wiele miejsc - powiedział. - Ale o tobie wiem niewiele. Opowiedz mi o sobie. Na przykład skąd pochodzisz.

- Urodziłam się w Yorkshire. Moi rodzice zmarli, kiedy byłam mała. Wychowała mnie ciotka. Byłam mężatką, ale krótko.

- Dlaczego?

- Nie sprawdziło się.

- Długo jesteś po rozwodzie?

- Prawie sześć lat.

- A ile masz?

- Dwadzieścia siedem, za cztery miesiące.

- Ja trzydzieści jeden.

Nie zadała żadnego pytania. Zupełnie jakby tym lepiej się bawiła im mniej wie, pomyślał niespokojnie.

- Od rozwodu jesteś sama? Wiedziała, do czego zmierza.

- Tak.

Zgodnie z radą Chris nie miała zamiaru opowiadać mu o swoim klasztorze. Prawdopodobnie by jej nie uwierzył, jak to mężczyzna. To przez tę moją fatalną piękność, zreflektowała się nie bez ironii. Nie mogą uwierzyć, że kobieta nie musi korzystać z urody. Instykt podpowiadał jej, żeby tego akurat mężczyznę lekko wodzić za nos ostrym dowcipem, wykorzystując swą spostrzegawczość. Grymasy zostawi na później, w zależności od tego, jak daleko sprawy zajdą, jak się rozwiną i jak długo będzie to trwało. Kiedy więc, jak przewidywała, spytał: „Dlaczego?”, odparła obojętnie:

- Dlaczego nie?
- Ponieważ to nienaturalne dla kobiety tak ponętnej i pięknej.
- Co masz na myśli mówiąc „naturalne”?
- To, co dobre. A nie jest dobrze, jeśli nie chciałaś mieć w swoim życiu mężczyzny czy mężczyzn.
- Sądzisz, że źle sobie bez nich radzę?
- Cholera, jestem pewien, że nieźle, ale nie to miałem na myśli i ty o tym wiesz.

Julia spojrzała na niego rozbawiona.

- Ale tak właśnie jest mi dobrze.
- Chcesz powiedzieć, że żaden mężczyzna ci nie leżał? Nie uwierzył. Uśmiechał się z aprobatą. Chris miała całkowitą rację! Rozmawiać o facetach i ich złudzeniach...

- Masz absolutne prawo do najlepszych - zapewnił ją poważnie. - Tak piękna kobieta może sobie na to pozwolić.

Uśmiechał się teraz jak ktoś, co właśnie został wybrany. Pod wpływem nagłej pewności siebie Julia błyskawicznie opróżniła kieliszek.

- Proszę mi nalać - zażądała.
- I wypijmy, żeby można było znowu nalać.

Założę się, że nie wiesz, ile razy tak właśnie robiłeś, dumiała Julia przyglądając się bąbelkom, które wędrowały w górę wzdłuż wąskich ścianek, na powierzchnię, gdzie pękały.

Brad mógłby się już odprężyć, ale napięcie pozostało. Przecież to dopiero pierwsze spotkanie.

- Brandy i kawa? - spytał.
- Dlaczego nie?

Jeden armaniak, potem następny. Zasiadzieli się, rozmawiając, ale nie okazywał pośpiechu. Wszystko, co robił, robił dla niej, całkowicie nią pochłonięty. Wietrzyła w tym podstęp, ale i tak jej to pochlebiało. Nie zwracał uwagi na natrętne spojrzenia innych kobiet. Zauważał tylko ją. Miała uczucie, że jest jedyna na świecie. Była obiektem adoracji, a jego skupienie nad jej osobą budowało w niej świadomość i siebie, i jego.

Od pierwszego spotkania odczuwała jego fizyczność, ale teraz łapała się na tym, że przyglądając mu się wyobrażała sobie, jaki jest pod ubraniem. Tak samo ładny? Widziała jego długie nogi i pierwszy raz w życiu ciekawiło ją, co tam między nimi nosił. Próbowwała się od tego uwolnić, ale nie mogła. Samcza zmysłowość, kpiący uśmiech, leniwa, drapieżna pewność siebie odbierała jej oddech.

Rachunek przyniesiono o wiele za wcześnie. Brad podpisał go, a kelner przyniósł Julii płaszcz. Inny zaś z wyszukany gestem wręczył jej różę otwarcie požądając jej oczami. Julia wypłynęła na ulicę, gdzie Brad wziął ją za rękę, schował jej dłoń w swojej i uśmiechnął się patrząc jej w oczy.

Przechadzali się wolno ulicami Mayfair. Przeglądali się w jasno oświetlonych oknach sklepów. Gdy zaszli w ciemniejszy zaułek, Julia zastanawiała się, czy ją pocałuje, ale nie zrobił tego, co tylko podsyciło jej pożądanie. Skrupuły odrzuciła wraz ze swoją skorupą. Uśmiechała się do mijanych par.

Jakże często, wracając szybkim krokiem po długiej pracy ulicą Salone, mijając zakochanych, co zatrzymywali się, jak teraz ona z Bradem przed oknami sklepów, a dziewczyna przytulała się do mężczyzny. Czuli się tak, jakby znowu miała dziewiętnaście lat... i nadzieję.

Zatoczyli koło i wrócili do auta. Brad włożył ją do środka, jak bezcenną porcelanową lalkę. Ruszył. W kilka minut znaleźli się pod wysokim, wąskim budynkiem ogrodzonym kratą z czarno oksydowanej stali. Wprowadził ją po nieskazitelnych marmurowych stopniach i otworzył drzwi. Marmurowy hall, winda z podobną kratą, lecz tym razem czarno-złotą, zawiozła ich na trzecie piętro. W drzwiach do mieszkania Brad przepuścił ją przodem. Julia śmiało przekroczyła próg, ale wewnątrz cała się skurczyła. Teraz!

Wprowadził ją do długiego, luksusowo umeblowanego pokoju. W neoklasycystycznym kominku palił się jasny płomień, rzucając ciepły różowy blask na jabłkową zieleń jedwabiu wspaniałej francuskiej kanapy. Brad zapalił lampy i pokój nabrał uwodzającego blasku.

Ruchem ramion zrzucił z siebie płaszcz, po czym odebrał od niej okrycie.

- Chcesz się odświeżyć? - Pokazał jej mały korytarz, skąd ukryte w chińskiej tapecie drzwi prowadziły do łazienki, gdzie kurki nad umywalką miały kształt złotych delfinów. Grube ręczniki w migdałowym kolorze. Nie rozpakowane mydło Fleur-des-Alpes. Stopy Julii zanurzyły się w puszystym dywaniku.

Umyła ręce i zaczęła się przyglądać swojemu odbiciu w lustrzanej ścianie. Pozornie się nie zmieniła. Wiatr trochę potargał włosy, a błyszczące oczy zwięziły się lekko. Doprowadziła włosy do porządku, domalowała usta i spryskała się świeżym Arpege. Gdy wróciła do Brada, odkorkowywał następnego szampana. Zapadła w jeden z narożników kanapy. Wzięła do ręki kieliszek i rozkoszowała się powolnym sączeniem trunku. Tego wieczora wypła więcej niż kiedykolwiek. Pierwszy raz w życiu jadła mózdzek i wkrótce będzie miała pierwszego kochanka. Ale czy powinna?

Znowu odezwało się czekające w ukryciu drżenie. Wypiła za dużo? Jeśli nie chciała niczego zaczynać, powinna powiedzieć mu to teraz. Wysoka fala emocji blokowała ją, ale zmusiła się do obiektywnego pomyślenia o tym, co zaszło. I o nim. Najpierw zalety: ekscytująca zmysłowość, zmuszająca do uległości fizyczna atrakcyjność, błyskotliwa osobowość i jego pewność, od pierwszego wejrzenia, że coś się między nimi wydarzy. Każące, ale pochlebne dążenie do wzięcia jej, i podkreślanie, że to jest ważne. Następnie wady: przypadkowość tego wszystkiego, jego wyjątkowe nastawienie na seks, dręczącą niepewność, że gra i jej powikłania wciągną ją w obcy świat, nawet jeśli jego intencje takie nie są. Odczuła pożądanie jak wstrętne ostrzeżenie, że staje się kimś innym, jeszcze jedną zabawką dla zepsutego przez kobiety i pieniądze playboya, napawającego się jej przestraczem, nawet jeśli wspomnienie Chris i jej „przepelniania się czary” dodawało jej odwagi. Żałowała, że nie potrafi być taka jak przyjaciółka, która skakała najpierw, a pytała potem. Nawet jeśli jednocześnie widziała, jak się pogrąża, w głębi ducha pamiętała druzgocące słowa Dereka, że nie jest kobietą...

Co ja tutaj robię, zastanawiała się zaczarowana i zbita z tropu. Dlaczego nie umiem pozbyć się smutnej pewności, że będę tego żałować? Zrażało ją, że nie może dysponować swoją wolą, lecz taka była cena zrzucenia skorupy. I kac po tym, że już raz przegrała.

Łykała szampana, jakby miała nadzieję, że zardzewieje od niego nieustannie bębniąca maszyna jej mózgu. Chris zwracała jej uwagę, że za dużo myśli. Analizuje aż do obsesji. Była jednak przekonana, że to, co ma się wydarzyć, może stać się fundamentem całego jej życia, raz na zawsze. Seks. Jeśli była szczerą, to było właśnie to. Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Między nimi jest ostre,

całkowicie zwierzęce pożądanie. Inne uczucia pozostawiła za drzwiami.

No właśnie, rozmawiała sama ze sobą, był ze mną szczerzy, prawda? A to jest rzadkość. „D” jak Doskonały i Doświadczony. Nie powinnam myśleć dwa razy! W ogóle nie powinnam myśleć!

Co się stanie, jeśli będzie tak jak z Derekiem? A jeśli to ona zawiedzie? Chris z miejsca pozbawiła ją lęków: „Nie ma czegoś takiego jak oziębła kobieta, są tylko niedorzeczni faceci”. Seks z Derekiem pozostawił w niej przerażającą pustkę i pytanie, czy tak to ma wyglądać. Musiała zgodzić się z doktor Johnson: pozycje śmieszne, przyjemność ulotna, a cena okrutna. Przyplącała to małżeństwem.

Chris obsesyjnie i bez litości porównywała swoich kochanków, co dało Julii do myślenia, że może to nie ona była winna, ale Derek. Może wyszła za faceta, który okazał się martwym kochankiem? Była o tym prawie przekonana.

- Mam nadzieję, że myślisz o mnie - usłyszała głos Brada, który napelniał jej pusty kieliszek.

Julia wzięła się w garść.

- Oczywiście! Na przykład, czym się zajmujesz.

- Wszystkim, czego chce moja matka.

- Założę się, że nie.

- Przegrałabyś.

- Nie wyglądasz na maminsynka. Jego twarz zmieniła się.

- I nie jestem - zaprzeczył szorstko. - A teraz wypij.

- Chcesz mnie spać?

- Ależ skąd!

Jego oczy przesunęły się z jej twarzy na prześwitujące przez czarny szyfon piersi.

- Chcę, żebyśmy oboje wiedzieli dokładnie, co robimy. Opróżniła kieliszek. Wyjął go z jej dłoni i postawił obok swojego. Jego oczy lśniły pod przymrużonymi powiekami. Objął ją. Nie była na to przygotowana. Derek nigdy tak nie postępował. Poczowała się, jakby wspinała się po szczeblach cudownej drabiny, osiągając przy tym najwyższą fizyczną intensywność. On zaś zdawał się oczyszczać jej zmieszany umysł przed napelnieniem go swoją istotą. Krew krążyła jej w żyłach, szumiała w głowie, odbierała jej panowanie nad sobą. Poczowała delikatny przedsmak wzniosłości i gorąco zapagnęła doświadczyć jej w całej pełni.

Jego zmienne jak morze oczy płonęły, kapały ją w ogniu swej siły. Nie opierała się, gdy podniósł ją z kanapy i zaprowadził do sypialni.

Niesamowite łóżko czekało zasłane miękką draperią i stosem poduszek. Zapewne zmieniał kobiety jak prześcieradła, pomyślała, ale tym razem uśmiechnęła się. Nie obchodziło jej, ile kobiet tu było. Dopóki ona była jedną z nich.

Dostrzegł ów uśmiech i zbliżył się.

- Taki uśmiech musi być użyty ostrożnie - powiedział, znowu pozerając jej usta. Obejmował ją całkiem bezbronną. Zrzucił szal, porozpinał małe guziczki, na koniec ściągnął jej suknię. Zobaczyła, że jego oczy płoną i usłyszała, że ostro wciągnął powietrze. Stała przed nim w czarnej krepdeszynowej kombinacji i w pończochach. Tym razem jej uśmiech był inny. Uniosła ramiona, objęła go za szyję i przywarła do niego jak gorący, roztopiony wosk. W instynktownym tańcu spajała się z nim i umykała mu. Sposób, w jaki ją całował, z pasją i namiętnie, mówił jej, że postępowała odpowiednio. Z nową, dominującą pewnością odpowiedziała jego ustom, dłoniom, by w końcu odsłonić się pod nim na dużym, szerokim łóżu.

Rozdział trzeci.

Obudziły ją klaksony samochodów. Przyćmiony, obcy pokój, i jeszcze bardziej obce ciało leżące obok. Czowała na sobie ciężar męskiej nogi i męskiego ramienia na piersiach. Uniosła się ostrożnie. Na poduszce leżała głowa o blond włosach. Wspomnienie zafalowało w niej tak, że przeciągnęła się z zadowoleniem, czując, że ciało ma dziwnie giętkie i cudownie użyteczne. W rzeźbionym lustrze nad sobą ujrzała odbicie łóża, śpiącego mężczyzny i rozbudzonej kobiety. I to jak! Triumfowała.

Na wspomnienie nocy przebiegły ją ciarki. Pierwszej nocy spełnionego, prawdziwego seksu. Nic z tego, czego doświadczyła z Derekiem, nie nastawiło ją na mężczyznę takiego jak Brad Bradford, na to, co raz po raz jej dawał. No tak, Derek, istotnie, był marnym kochankiem. Nie miał o tym zielonego pojęcia. Niewłaściwy facet wyciszył ją. Ale teraz właściwy rozpałił ją i to do czegoś, o czym nie wiedziała, że jest możliwe. Zawsze byłam bystrą uczennicą, pomyślała.

Tej nocy w ciągu kilku godzin - straciła rachubę czasu - nauczyła się o sobie więcej niż w ciągu dwudziestu sześciu lat. Gdyby ktoś dawniej zapytał ją o to, czy zna siebie, odpowiedziałaby: tak, zna, zawsze siebie znała. Byłam tępą, myślała teraz. I krucha... Tej nocy dotarło do niej, że Julia Carrey, która to uczyniła, nie jest żadną z Julii, które dotychczas znała. Zauważyła, że ciało Brada zmieniło się. Nie był już senny i wiotki. Naciskał na nią gorący, twardy i spragniony.

Dzień dobry - zamruczał pieszcząc jej dłonie. - Jak się czujesz?

Sam powinieneś wiedzieć.

Tak jak ja? - Zachichotał. Obrócił jej twarz do siebie; twardy członek pulsował przy jej brzuchu.

Jesteś nienasycony - mruzczała uszczęśliwiona.

- Normalna reakcja budzących się mężczyzn, zwłaszcza jeśli mają w łóżku piękną kobietę.

- Jeżeli powiedziałaś, że naturalne jest dobre, to dobre musi być naturalne.

- My jesteśmy dobrzy - zaaprobował z uśmiechem. - Jesteś absolutnie niewiarygodna. Czuję się jak tygrys. Straciłem rachubę, ile razy doszłaś.

- A ja straciłam rachubę, orientację, poczucie czasu i wszystko...

Pogłaskał ją palcem po ustach.

- Przeszłaś moje oczekiwania.

A ja mam nadzieję, że myliłam się co do ciebie, pomyślała Julia.

- Ugotowałaś mnie od pierwszego spojrzenia. Kotku, czy ty sama wytwarzasz to gorąco? - Odgarnął jej włosy do tyłu. Ujął w dłonie jej twarz. - Wiedziałem, że stanęłaś nad przepaścią - mówił - ale po tym, jak na to patrzyłaś i co z tym zrobiłaś, domyślam się, że nie było to takie straszne, jak się wydawało.

- Ja tobie też muszę podziękować za pokazanie mi kilku rzeczy.

Zaśmiał się; wyglądał na zadowolonego.

- Chcesz powiedzieć, że nie spotkałaś się z nimi wcześniej?

- Nie przed tobą.

Przesunął ręką po jej sennie ciepłym ciele.

- Jesteś jak jedwab. I na zewnątrz, i w środku. Julia przeciągnęła się i znowu wtuliła się w niego.

- Tak właśnie się czuję, dopiero teraz.

Nie kłamała. Nigdy wcześniej nie była adorowana i wielbiona, a teraz całe jej ciało śpiewało.

Żałowała, że tak wiele straciła. Chris miała rację. Co za strata, myślała teraz.

Palce Brada poruszały się po niej, badały ją, próbowały.

- I ty mówisz, że to ja jestem nienasycony? - zażartował z niej wesoło. Oczywiście miał gorące, napierał buchającą erekcją.

- Naturalna reakcja kobiety, którą penetruje silny mężczyzna.

- Więc na co czekamy?

Był pełen inwencji i nie męczył się. Derek znał tylko jeden sposób. Brad wszystkie. Derek miękł po jednym orgazmie. Brad czekał na nią, aż dochodziła, rozdygotana, raz po raz. Tak przenikliwie zharmonizował się z reakcjami jej ciała, że wiedział, kiedy zaczyna szczytować. A kiedy jej skurcze chwyciły go i przejmowały dreszczem, wypełniał ją, gorąco i obficie, dopóki nie poczuła, jak wraz z ostatnią kroplą uchodzi z niego powietrze. Drżał leżąc na niej. Oddech chrząkał mu w gardle.

- Spójrz - mrucał z wargami przytkniętymi do jej gardła. - Mówiłem ci.

Julia znowu obudziła się pierwsza. Brad przekręcił się we śnie i leżał teraz obok niej na plecach. Jedno ramię odrzucił na bok, a drugim ją przytrzymał. Prześcieradła były odrzucone i jej chciwe oczy pochłaniały jego obnażone ciało, tak piękne jak jego twarz. Gładkie, zwarte i sprężyste, w doskonałej kondycji, ani grama zbędnego tłuszczu. Pierś niemal bez włosów, płaski brzuch. Kępa między jego nogami wyglądała jak skręcone złote runo. Julia miękko wsunęła tam palce. Jego penis był teraz mniejszy, zwinięty niczym gruby, tłusty robak; jego wielkość podczas erekcji budziła w niej nabożną cześć. Wypełniał ją nim tak, jak Derek nigdy nie był w stanie. W dodatku Derek nie lubił, żeby na niego patrzyła. Nalegał, żeby kochali się w ciemnościach. Tymczasem Brad leżał przed nią w całej swej męskiej okazałości. Badała go tak, jak on ją, w pełnym świetle, rękami, ustami, językiem, zachwycając się każdym calem.

Brad był świetnie zbudowanym zmysłowcem. Derek był pruderyjny. Seks z nim był ukradkowy i pośpieszny. Powierzchowne pieszczoty, kilka konwulsyjnych ruchów i dochodził, zostawiając ją na początku drogi. Brad prowadził ją powoli, majaczącą, do zawrotnego szczytu, a potem rzucał w otwartą przestrzeń. Wprowadzał ją w rozkosze ciała albo raczej spryskiwał nimi jak prysznicem. Tak hojnego mężczyzny jeszcze nie spotkała.

Był głęboko uspiiony, kiedy w odruchu wdzięczności Julia pocałowała tę część jego ciała, która sprawiła jej tak dużo niewyobrażalnych przyjemności. Zanurzyła twarz w złotym runie. Brad wymamrotał coś niezrozumiale i odwrócił się gwałtownie na brzuch. Zdziwiła się. Niespodziewanie nie pozwolił jej na to, co sam z nią wyprawiał. W porządku, pomyślała, jest ze mnie bardziej niż zadowolony.

Poszła do łazienki, dalej w lustrach. Naga przyjrzała się nieznannej jeszcze osobie. Stała dwie minuty ciężko dysząc pod zimnym tuszem, potem namydliła się miękką pianą. Wytarła się w jeden z ogromnych jak prześcieradła ręczników. Wyczyściła zęby nową szczoteczką. Rozczesała włosy i związała je na czubku głowy. Po namaszczeniu całego ciała garściami kremu pachnącego jak Dioessence, wybrała żółte kimono, wiszące za drzwiami. Męskie, więc przewiązała się ciasno. Brad nadal spał. Zużył mnóstwo energii.

Tęskniła za kawą. Zegar wskazywał południe. Salon był czysty, ani śladu sukienki. Za to wyraźny aromat kawy. Kierując się węchem trafiła do kuchni, gdzie odkryła zastawioną tacę. Na talerzykach z porcelany Wedgwooda oksfordzka marmolada, plastry miodu, masło, cukier i świeża śmietanka. Na kuchence kawa. Otworzyła ciepły piec i znalazła w nim sześć pulchnych rogalików. W lodówce wielkiej niczym bankowy sejf czekał dzbanek pomarańczowego soku.

Ostrożnie przetaszczyła ciężką tacę do sypialni. Postawiła ją na stole przy oknie i uchyliła zasłony. Grosvenor Street. Niedziela. Ludzie wyprowadzają psy. Samochody. Sok był świetnie schłodzony. Nalała sobie filiżankę parującej kawy. Odświeżona sokiem spróbowała pierwszy łyk. Znakomita.

Tego ranka jej przewrażliwione zmysły wszystko wyolbrzymiały. Jestem szczęśliwa, myślała ogłuszona, zdziwiona i ożywiona. Jestem ekstatycznie szczęśliwa! Pochłonęła dwa rogaliki, grube od masła i kawałków marmolady. Smakowicie oblizywała palce, gdy Brad się poruszył.

- Czarna, bez cukru - zachęciła Julia. Sok już nalała.

- Za minutę wracam. - Zwlókł się do łazienki. Kiedy wrócił orzeźwiony wodą, wgramolił się z powrotem do łóżka. Poprawił poduszki, wypił łąpczywie sok i wziął kawę.

- Jesteś aniołem! Tak właśnie lubię być budzony. - Spoglądał na nią znad filiżanki. - A ty jesteś już wykąpana i rześka.

Kolory kimona i włosów wspaniale ze sobą harmonizowały.

- Pożyczyłam twój szlafrok.

- Czuj się swobodnie. Lepiej wygląda na tobie niż na mnie.

- Bo, widzisz, znikła moja sukienka.

- George wziął ją do wyprasowania.

- George, ach tak. Krasnoludek.

- Zawołać go?

- Niewidzialny dostawca szampana, zaścielonych łóżek, zaparzonej świetnej kawy...

- Taki jest George. Odnajduje mnie wszędzie. Mieszka piętro wyżej. - Przerwał. - Po co ci sukienka? Masz zamiar wyjść?

Jej uśmiech rozjaśnił się.

- Niczego nie planuję.

- W porządku. Ponieważ ja... - Podał jej swoją filiżankę. - Należysz mi jeszcze? A może papierosa?

Podawała jedno i drugie. Poklepał łóżko.

- Chodź, usiądź tutaj. Musimy porozmawiać.

- To zmienia postać rzeczy - zauważyła Julia.

- Arogancka dziwka. - Uśmiechnął się. - Ale cię lubię.

- Tak mi się zdawało - odrzekła skromnie. - O czym chcesz mówić?

- O nas, o nocy, o dzisiaj. O jutrze.

- Dobrze.

- Ty jesteś dobra.

- Nigdy nie byłam lepsza. - Uśmiechnęła się bezwstydnie.

- Byłaś cudowna.

- Nie, to ty byłeś cudowny.

Na twarzy Brada pojawił się próżny uśmiech. Tak, myślała Julia. Potrzebuje pochwał. Ale czy

sobie na nie nie zasłużył?

- Nie mówiłem, że nie myliłem się co do ciebie?

- Skąd mogłeś wiedzieć?

- Twoje usta. - Przesuwał po nich palcami. - Cholernie zdradliwe, nie tak jak ty...

Szare oczy Julii były czyste jak woda.

- Myślałam, że masz mnie całą. Patrzył na nią z uwielbieniem.

Jesteś warta grzechu... No to... zgrzesz ze mną! A mówiłaś, że to ja jestem nienasycony. Odstawił filiżankę i przytulił ją do siebie.

- Mamy czas. Jak jestem z kobietą, lubię spędzać cały dzień w łóżku.

Robiłeś to wcześniej - odrzekła bez cienia zazdrości.

- Wiele razy. A ty nie?

- Nie z kobietą! Spojrzał uważnie.

- A z mężczyzną?

- Nie.

Właściwa odpowiedź. Był zadowolony.

- Świetnie. Jeszcze raz pierwszy raz.

Z tobą wszystko jest początkiem, myślała Julia. Boże, spraw, aby nie końcem.

- Ładnie pachniesz - mówił wciągając powietrze.

- Pachnę twoją łazienką. Masz tam wszystko.

- Nie całkiem. Ciebie mam tutaj.

- Od czasu do czasu...

Ich oczy spotkały się i wybuchnęli śmiechem.

- Czytasz w moich myślach! - Był zadowolony, ale zachmurzył się nieznacznie i dodał: - Ale ja nie czytam w twoich. Są za głęboko.

- No tak, jeszcze mnie nie poznałeś?

- Tylko w sensie biblijnym. - Zastanowił się. - Ale jak wiem, poznając kogoś w ten sposób, można nie poznać inaczej...

Znowu zamilkł. - Ty mnie poznałaś. Czasem mam wrażenie, że jesteś daleko przede mną. - Ton głosu świadczył, że nie przywykł do takiej sytuacji.

- Tylko dlatego, że tak wyraźnie wskazywałaś mi drogę.

- To prawda!

Udawał zaskoczonego, ale Julia widziała, że jest mu miło. Zobaczyła też, że zaspokojona kobieta nie da się zwieść męskiej grze.

- Napijmy się jeszcze kawy. - Kiedy odwracała się po filiżanki, schwycił pasek i pociągnął. Kimono rozchyliło się i zsunęło jej z ramion.

- Rozsuń zasłony - polecił. - Tak jest lepiej. Chcę patrzeć na ciebie.

Gdy wracała z kawą do łóżka, słońce oświetlało ją od tyłu migotliwymi promieniami.

- Masz wspaniałe ciało. Renoir by cię adorował.

- Wolę jego niż Modiglianiego - pokpiwała, lecz pełne podziwu męskie spojrzenie schlebiało jej.

- Kiedy w tamten czwartkowy wieczór weszłaś do pokoju, nie wierzyłem własnym oczom.

Dobrze wiesz, jak się pokazać.

- Ty też. Objął ją.

- Chodź. Nie mogę się tobą nasycić.

Resztę dnia spędzili w łóżku; rozmawiali, kochali się nie kończąc się, zmysłową miłością. Pili wino. Spali i budzili się, żeby znowu się kochać. Był to najintensywniej przeżyty dzień w życiu Julii. Seks łączył ich ze sobą coraz mocniej. W końcu znaleźli się razem pod prysznicem, gdzie odbyła się najbardziej erotyczna potyczka, a woda unosiła ich w nowe paroksyzmy zmysłów. Aż osiągnęli stan wyczerpania. Ubrali się. Suknia Julii wróciła jak spod igły. Wyszli na kolację. Tym razem do restauracji w podziemiach budynku. Stoliki przykryte obrusami w czerwono-białą kratę, ze świeczkami w butelkach po winie. Głodni jak wilki, pochłonęli talerze parującego ryżu z sałatką i wypili kilka butelek wina. Później Brad odwiózł ją do domu przy Kensington i został na noc.

Gdy się obudził, Julii już nie było, a na stoliku leżał klucz yale. Przeciągnął się, całkowicie seksualnie zaspokojony. Nie mylił się. Pod chłodną sofistyką krył się wir namiętności i ciało lubieżne tak, jak sobie wyobrażał. Doprawdy, myślał zadowolony, dojrzałość ponad wszystko. Miał przed sobą cały dzień.

Zostawiła dla niego kawę i kiedy się kąpał, woda się zagotowała. Zaopatrzyła go także w nożyk do golenia i krem. Nie było śladów obecności mężczyzny. Wychodząc z łazienki, pogwizdywał.

Po południu zadzwonił do niej do pracy, żeby powiedzieć, że spotkanie służbowe przeciąga się, ale około ósmej powinien już być wolny. Przyszedł przed dziewiątą. Stół był już zastawiony.

Pachniało cieleciną w sosie z marynowanych kaparów na białym winie.

Potrafisz gotować! - wykrzyknął kosztując potrawę. Jednak nie miał apetytu.

Potrafię wiele rzeczy.

Tak, myślę, że tak. - Zadumał się.

Tej nocy zauważyła w nim subtelną zmianę. Nadal był sprawny, namiętny, całkowicie skoncentrowany na jej przyjemności.

Stał się tkliwy. Nie mówił jej jak poprzednio, co i dlaczego będzie robić. Milczał, odurzony, dążąc do osiągnięcia wspólnego kresu. Potem kołysał nią tak, że czuła się pielęgnowana i ważna.

Wtorek miał zajęty. Dotarł do niej około północy, spięty i przemęczony. O nic nie pytała. Zaprowadziła go do łóżka. Kiedy zasypiali, wyszeptał:

- Jesteś wspaniała, Julio. Tak się cieszę, że cię spotkałem. Przyszedł w środę wieczorem i wręczył jej małą paczuszkę.

- Nie otwieraj tego przed Bożym Narodzeniem.

To była ich ostatnia noc. Poszli do klubu, miejsca początku i końca. Julia zdawała sobie sprawę z panującego między nimi napięcia. Często milczeli. Nie byli ani zakłopotani, ani zażenowani; po prostu milczeli. Widziała, że coś go nurtuje, choć nadal był na niej skupiony tak jak dotychczas. Uznała, że właśnie dlatego był taki cudowny. Nie potępiała go za niewierność. Gdy był z kobietą, stawał się jej sługą, a czas z nią spędzony był świętem na jej cześć. Potem się to kończyło i nastawało nowe święto. Uprawiał kult kobiety, z którą był, a nie kobiety jako takiej.

Tej nocy, po powolnym, hipnotyzującym kochaniu, leżeli w ciszy, gdy Brad nagle zapalił lampę, którą niedawno zgasił. Oparł się na łokciu. Uważnie przesuwiał po niej oczami. Znała już to badawcze spojrzenie. Widząc jej pytający wzrok, powiedział:

- Chcę tylko patrzeć na ciebie... utrwalić obraz. Odrzucił koc i przesuwiał wzrok po całej długości jej ciała.

Zaczął od ognistych włosów, minął różowe sutki, talię, biodra i zatrzymał się na miękkim trójkącie runa między udami.

Julia leżała w ciszy. W pewnej chwili nie mogła już tego znieść. Z trudem powstrzymywała się

przed zwinieniem się w kłębek. Nie powinien tak na nią patrzeć. Improwizował, oddalił się od scenariusza. Kurtyna powinna opaść wraz z ostatnim dowcipem, a nie przy wtórze łez. Ich gwiazdzista przygoda była wymyślonym momentem życia, a nie nabrzmiałym znaczeniami dramatem. Gdy jego oczy powróciły do jej twarzy, zmusiła się, żeby na niego spojrzeć, dać mu ciepło i uśmiech zadowolenia. Wprawiona przez wieloletnią praktykę w zatajanie uczuć, zdołała powstrzymać łzy. Brad z bezgłośnym szeptem położył głowę między jej piersi. Głaskała gęste, jasne włosy, próbując przekazać kochankowi ciepło, było to jednak bardziej przypadkowym odruchem niż wyrazem gwałtownej potrzeby czułości. Po chwili sięgnęła do kontaktu i zgasiła światło.

Świtało, gdy jeszcze raz zbliżył się do niej. Drzemała niespokojnie. Wiedziała, że on nie śpi także, ale nie dała mu żadnego znaku.

- Ostatni raz - poprosił głosem osobliwie przejmującym. - Moja cudowna, piękna Julio...

Osiągnęła intensywność tak niezwykłą, że czuła koniuszki nerwów. Potem leżeli w ciszy, trzymając się mocno jedno drugiego, drżąc, z ukrytymi twarzami, jakby bali się pokazać, co czują.

To nie był tylko seks, myślała nieśmiało. To była miłość lub jakieś zbliżone uczucie.

Podwiózł ją do biura, jednak nie pod samo wejście. Była spokojna. Trzymała się w garści, starając się nie paść mu w ramiona z błaganiem, żeby nie odchodził. Zmusiła się do uśmiechu i złośliwej uwagi:

- Jestem zadowolona, że zdecydowałeś się przyjść na tamtą prywatkę.

Oczy miał teraz ciemniejsze, jak przed nadejściem sztormu.

- Tak jak ja jestem rad z tego, że przystałaś na domniemanie niewinności. - Ujął ją za rękę i pocałował. - Zrobiliśmy sobie bal, prawda?

- Było tego trochę. - Jej śmiech tuszował załamanie głosu. W jego spojrzeniu dostrzegła ulgę i przeszyło ją to niczym ostrze noża.

Jesteś wspaniałą kobietą, Julio.

A ty supermanem.

Dałaś mi dużo radości. Mam nadzieję, że ja tobie też.

Bardzo dużo - zmusiła się do odpowiedzi, czując jednocześnie, że zaraz się rozpłacze.

Ucałował ją w obie dłonie, głaskał i tulił jej palce.

Spokojnego lotu - powiedziała prędko i wysiadła z auta. Ostrożnie zamknęła drzwi i odeszła. Nie biegnij, nakazywała sobie, nie oglądaj się.

Wieczorem przed drzwiami swojego mieszkania znalazła kosz róż na długich łądygach. Żadnej kartki, ale wiedziała, kto je przysłał. Postawiła je w holu, gdzie było chłodniej. W pierwszej chwili włożyła prezent do szuflady, do Bożego Narodzenia jednak było więcej niż dziewięć miesięcy. Nie mogła czekać. Zerwała zabawny papier opakowania. Pudełko Aspreya. Podniosła wieczko i znalazła miniaturkę czarnego kota, wykonaną misternie z czarnych pereł: miał szmaragdy w oczach i wstążeczkę wokół szyi, przypominającą aksamitkę przy karczku jej czarnej sukni. „Kotek” - zdrobienie, jakim się do niej zwracał. Długo stała patrząc, po czym zamknęła pudełeczko i włożyła je z powrotem do szuflady.

Nigdy dotąd nie była opłacana. Czuła się dziwnie i niepewnie, jakby spustoszona jakąś stratą. Jak jej serce. Lecz nie tak, jakby coś oddała, tylko tak, jakby on coś zabrał. Numer tysiąc, pomyślała w odrętwieniu. Okrągła liczba i dużo zer. Bierz to tak, jak radziła Chris, powtarzała sobie zdesperowana, jak przygodę, i bądź za nią wdzięczna. Brad dużo cię nauczył... Ale w jaki sposób, myślała z bólem. Co za piekło.

Siedziała w ciszy, wsłuchując się we własną pustkę, kiedy zadzwieczał telefon. Podskoczyła z wrażenia.

- Potrzebujesz towarzystwa? - spytała Chris.

- Skąd wiesz?

- Znam cię, słodziutka. Zaraz będę.

Spojrzała na Julię i stwierdziła:

- Jesteś zgubiona!

- Całkowicie rozbita.

- Trafił cię?

- Dokładnie tam, gdzie mnie boli. Chris, jak boli!

- Ostrzegałam, ale ty przeciągnęłaś strunę. A wtedy boli najbardziej. - Przyglądając się zeszywniałej, cierpiącej twarzy przyjaciółki, dodała: - Domyślam się, że już nie wróci.

- Nigdy nie było o tym mowy.

- Więc nie wróci. Chris sięgnęła po alkohol.

- Skoro mamy stypę, to trzeba się napić. Już lepiej nie mieć nóg! Skręciłam sobie kostki na wybojach z Tonym. Ale precz smutki. Co my tu mamy?

Julia spojrzała na butelkę.

- No tak, Jack Daniels, burbon. Brad to pił. Chris zerknęła na etykietkę.

- Święty Boże, ależ mocne!... To nas dobije. - Nalała dwie setki. - Za zimnych skurwysynów! -

Wzniosła toast i przełknęła. Zakasłała, zaplula się i dopiero odzyskała oddech. - Dynamit! i co? Poszło?

Julia skinęła głową. Chris usiadła.

- No i dobrze. Od razu trafiłaś w sedno, a ja musiałam na to solidnie popracować. Rzadko która kobieta już za pierwszym razem trafia na chłopca albo, lepiej powiedzieć, ogiera.

- Tym więcej jest do stracenia.

- Tak dużo z siebie dałaś? - Mrugnęła porozumiewawczo. - Widzę, że cała jesteś jego.

- Boże, chciałabym, żeby tak było. - Julia pociągnęła ze swojego kieliszka potężny łyk.

- O, to jest sposób! - Chris dodawała jej odwagi. - Dostyc udawania. Opowiedz mi wszystko.

- Jeszcze zanim się zaczęło, mówiłam, że mnie to zniszczy. Ale w jednym miałaś rację. To przez Dereka trzymałam się z dala od facetów. Tak mnie zniechęcił.

- A Brad cię zachęcił? I w porządku, kochanie, matka natura nie znosi próżni. Zatyka ją, gdzie tylko może, i nawet nie pyta, czy sobie tego życzysz.

- Myślę, że podświadomie czułam, że jestem bardzo podatna na ciosy. Za mocno i za szybko się rozbijam.

- Brak doświadczenia.

Wstała; przechadzała się niespokojnie. Bo to wszystko jest... głupie. Chris! Ja go nie znam! No, Boże pod pewnym względem...

Seksualnym? Czy to on wtajemniczył cię we wszystko? Ja o tym wszystkim nie miałam pojęcia. - Julia zamyśliła się. Z Dereka nie było pożytku. Nic nie rozumiał. Brad wiedział wszystko i nauczył mnie tego. Boże, nareszcie wiem, o co chodzi. Chris, ale czy ja muszę za to płacić?!

Wszyscy płacimy, wcześniej czy później. Zdajesz sobie sprawę, co dostałaś w zamian? Dałabym za to własne zęby. Ale ja się spalam!

Też coś. Tak chciałabym mieć kiedyś Brada. - Chris podniosła się, żeby nalać jeszcze burbona. -

Cierpisz, bo się za późno obudziłaś. Za długo to trwało. Dojrzałaś do zerwania.

Do zerwania? On mnie wyrwał z korzeniami! Mówiłam, żebyś korzystała ze swoich świetnych okazji, ale ty jesteś uparta. Emocjonalnie byłaś dziewiczym niemowlęciem. Łatwiej stracić cnotę niż dziewictwo. Teraz już wiesz.

Czy wiem? - Julia była rozgoryczona. Otworzyła szufladę. On mi zapłacił...

Cholera! - Chris zatkaną. - Na dodatek Asprey.

- ...za świadczone usługi.

- Nie. - Chris zaprzeczyła stanowczo. - Za usługi dostaje się czek. Tu natomiast mamy i dobry smak, i namysł, i niemało uznania. - Chris nie kryła zazdrości. - Faktycznie dosiadłaś ogiera. W pierwszej gonitwie.

- Ale wygrać z takim można tylko raz.

- To poszukaj innego. Nie wracaj i nie rozpaczaj niczym kwoka. - Chris pociągnęła Julię na kanapę. - Każda historia, która ma początek, ma także koniec. Przeczytaj instrukcję i spal ją: „Nic dwa razy się nie zdarza... żyje się tylko raz”. Dotyczy to i ciebie, i jego. Weź teraz swoje doświadczenie w obie ręce i poszukaj kogoś, na kim możesz je wypróbować.

- Ty jesteś elastyczna.

- Nie, odbijałam się w życiu od tyłu ścian, że całkiem mi odbija i już się odbić nie mogę. - Po chwili dokończyła zupełnie serio. - Posłuchaj mojej rady. Zдай się na następną okazję i zobacz, co ci przyniesie. Obejrzyj podniebienie, sprawdź gatunek kudłów pieska i unikaj kundli. Pamiętaj.

Julia roześmiała się. Chris umiała poprawić jej nastrój.

- I tak jest lepiej. Jeszcze jednego na drogę, bo ja mam zawsze pod górę.

Julia położyła się. Męczył ją natłok myśli. Alkohol szumiał jej w głowie. Chris wie, co mówi. Tyle razy przeszła piekło, że należy jej się operacja plastyczna. Julia nie była tak silna. Nigdy taka nie byłam, myślała rozgoryczona. Powinam była przejść przez to dziesięć lat temu. Ale poradzę sobie. Wkrótce będę jak nowo narodzona.

Opuścił Londyn z nieprzyjemnym uczuciem żalu, choć pozornie zdawał się być zadowolony. Julia Carrey działała na niego uspokajająco. Okazała się kobietą najmniej wymagającą, ale za to najbardziej wyzywającą. Wiele już lat nie przeżył takiej gry jak z nią, ale także odpoczął, co było mu bardzo potrzebne. Sprawiała, że poczuł się na siłach sprostania temu, co go jeszcze czekało.

Jednak nie spodziewał się, że przez następne tygodnie będzie pamiętał o niej i będzie pragnął przeżyć te chwile raz jeszcze. Ponieważ zwykle wystarczało mu raz, a dobrze. Zbyt wiele innych kobiet czekało na swoją kolej. Dlaczego więc Julia Carrey nawiedzała jego myśli i snuła się w nich pozostawiając po sobie sugestywny zapach perfum? Kiedy był w łóżku z inną, w środku innej kobiety, nieoczekiwanie pojawiała się Julia, pełna kobiecego ciepła. Wszystko to niemal go wykańczało. Przez kontrast. Poza tym wszystkie te pazury i zęby innych, ich rozgorączkowanie przypominało mu, że Julia nigdy nie zmieniła się w dzikuskę. Wiedział, że nawet w chwilach największej ekstazy, choć pozwalała mu na wszystko, ukrywała coś, czego nie potrafił otworzyć. Może dlatego nie umiał zaszufaladkować jej przeszłości. Ważna jednak była terażniejszość, a może nawet przyszłość. Przechowywał w pamięci obraz ostatniego poranka: odeszła i nie spojrzała za siebie. Miał nieprzyjemne wrażenie, że po raz pierwszy przegrał. Jednak Julia była tak wściekle dobra, że nie tylko seks z nią dawał mu satysfakcję, ale i przebywanie obok niej, ich rozmowy, ich milczenie. Dręczył go fakt, że w przeciwieństwie do innych kobiet nie zapytała, czy będzie mogła jeszcze go zobaczyć.

Od początku zdawał sobie sprawę z okrutnej samodyscypliny, której nie zdołał w niej przełamać. Nawet podczas największych uniesień jej umysł pozostawał chłodny. Tymczasem choć niby lubił u kobiet niezależność, jednakże nie znosił, gdy okazywało się, że on mógłby nie być im potrzebny. Z przykrym zdziwieniem stwierdził, że chce to jabłko ugryźć jeszcze raz. Nie miał takiego zwyczaju. Wystarczyło mu kęs. Dotychczas kobiety przychodziły i odchodziły, ale żadna nie zwyciężyła. Aż się palił do jeszcze jednej szansy przełamania tej nieskazitelnej samokontroli Julii, by ujrzeć, co jej leży na sercu.

Zdecydował, że musi wrócić i zakończyć sprawę jak należy, bo będzie się czuł coraz gorzej. Poza tym są inne, które czekają... W prowadzonych w Londynie negocjacjach pozostawił drobne luki, więc matka zirytowała się i kazała mu natychmiast tam wracać. Zapewnił ją, że tym razem wszystko zrobi jak należy.

Rozdział czwarty.

Pięć tygodni później wrócił na Grosvenor Street. Do lunchu o pierwszej poprawił pozostawione uprzednio niedokładności i był wolny. Ogolił się, przebrał, wypił kawę, załatwił telefony, a potem stał i bębnił palcami w słuchawkę. Gdyby do niej zadzwonił, po południu mogłaby przyjść do niego. Jednak nie chciał tego. Wybrał wariant z niespodzianką. Dobrze pamiętał owo „Nie dzwoń do mnie, ja do ciebie zadzwonię”. Chciał zobaczyć wyraz zdumienia na jej twarzy, kiedy otworzy drzwi.

Nie było jej w domu. Wściekł się. Jego kobiety zawsze czekały. Penelopy. Nie miał innych planów. Zamierzał spędzić z Julią trzy dni. Cholera. Możliwe, że została w pracy. Spojrzał na zegarek. Da jej półtorej godziny, do dwudziestej pierwszej trzydzieści. Jeśli nie wróci, do diabła z nią.

O dwudziestej pierwszej był znowu na Hornton Street. Nadal ciemno. Trudno, odwiedzi Angelę. Gotowa, czekająca, ucieszyła się na jego widok i po chwili jak zwykle plotkowała. Nie słuchał jej. Na miłość boską, czy ona się wreszcie zamknie i pozwoli mi myśleć? Gdzie jest Julia? Z kim jest? Pół godziny przed północą nie wytrzymał.

Tym razem w oknach paliło się światło, ale pod domem stał obcy samochód. Gdy przejeżdżał drugą stroną ulicy, drzwi frontowe otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna. Skierował się do auta. W świetle latarni Brad zobaczył, że jest w jego wieku - włosy ciemne, krok dziarski. Możliwe, że odwiedzał kogoś piętro niżej, ale fala zazdrości zamglila mu oczy. Z furją, jakby miał nóż w ręku, nacisnął dzwonek. Usłyszał sygnał domofonu i po chwili jej głos. Żywy, z pewnym rozbawieniem i zrezygnowaniem:

Znowu o czymś zapomniałeś?

O niczym, a ty?

Cisza. Zdziwiła się, pomyślał z radością. Szczęknął zamek. Brad pchnął drzwi. Biegł po dwa schody naraz. Drzwi były otwarte, pchnął je szeroko i wkroczył do środka. Obok stojącej przy kominku Julii siedziała w fotelu pulchna blond laleczka. Holera!

- Dobry wieczór - powiedział swobodnie. Blondynka patrzyła to na Julię, to na niego.

- Jeśli chodzi o mnie, to do widzenia - powiedziała wstając.

- Proszę nie wychodzić z mojego powodu - mówił szybko Brad wpatrując się w Julię.

- Nie o to chodzi - zaprzeczyła blondynka gardłowym głosem. - Wychodzę ze względu na Julię.

Julia przedstawiła ich sobie.

- Christine Barnes, Brad Bradford.

Postąpił naprzód, wyciągnął rękę, a blondynka, podając mu swoją, lustrowała go od dołu do góry z wyraźnym rosnącym uznaniem.

- Zepsuty bostończyk - mruknęła bezwstydnie i jej fiołkowe oczka roziskrzyły się.

Niezły kawałek kobitki, ocenił Brad dziwiąc się zarazem, że go zna.

Czytając w jego myślach, Chris powiedziała:

- Julia i ja wspominałyśmy sobie.

- Znam to uczucie. - Spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się. Nie miała więcej niż pięć stóp wzrostu. Dreptała i falowała biustem jak gołąb garłacz.

- Mieszkam o parę kroków - kontynuowała, a jej oczy dodały: zadzwoń, jeśli chcesz...

Zabawna, płytka, pomyślał Brad. Na mieliźnie też można nieźle pobrykać.

- Sprowadzę cię na dół - ponagliła Julia. Przy drzwiach Chris przystanęła zamyślona.

- Wiem, skąd biorą się twoje wątpliwości. Zduś je. Przy tym facecie musisz mieć pod ręką poduszkę. - Jej spojrzenie wyrażało szczerą zawiść. - Jest ekstra. Gdybym mogła zatopić w nim zęby... ale sądząc po tym, jak na ciebie patrzy, nawet by tego nie zauważył.

Julia zatrzęsało.

- Ależ uspokój się. Myślałam, że był to dla ciebie kolosalny zawód.

- To mnie rani. - Julia wyglądała na skrepowaną. - Na chwilę straciłam kontrolę.

- To twój problem - ostrzegła Chris. - Zawsze musisz nad wszystkim panować. Zapamiętaj, że gra tak czy inaczej toczy się dalej.

- Raz już przegrałam.

- Nie musisz mu tego mówić! Jak myślisz, dlaczego wrócił? Lubi grę i chce ją powtórzyć.

- Chciałabym być tego pewna. - Julia uśmiechnęła się ponuro.

Jednakże jej oczy w lustrze w holu wyglądały tak, jakby opity się atropiny. Nogi uginały się pod nią.

Gdy wróciła na górę, Brad rozłożył ramiona. Jego oczy zwęziły się tak, jak je pamiętała.

- Kotku, koteczku, gdzie byłaś? - beształ ją.

- Cóż, Królowa przebywała w Windsorze... Zaśmiał się i wziął ją w ramiona.

- Tak bardzo tęskniłem! Mam nadzieję, że ty też.

- Nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę. - Miała kwaśną minę. - Dlaczego wróciłeś do Londynu?

- Nie dokończone interesy.

Coś w jego głosie sprawiło, że przyjrzała mu się uważniej. Opuścił ręce i odsunął się.

- Nie przeszkadzam? Wyglądała na zdziwioną.

- Przed chwilą wyszedł stąd mężczyzna...

Jest zazdrosny! Oszłomiło ją to tak, aż serce zerwało się z uwięzi i wzbiło w górę.

- Mam innych przyjaciół.

- Ale, czy to był twój chłopak?

A ile ty masz dziewczyn? - Wytrzymała jego zagniewany wzrok.

W porządku, jesteście kwita - powiedział szorstko. Była cholernie trudna do przejrzenia, ale pożałował ją. W spodniach i swetrze prezentowała się doskonale.

Nie wydaje się, żeby cieszył cię mój widok.

Oczywiście, że się cieszę.

Bądź zimna, narzucała sobie. Niech nadskakuje, niech ma nadzieję.

Posłała mu chłodne beznamiętne spojrzenie. Już same te oczy mogą ugotować. Przypuszczał, że nimi właśnie złapała go na haczyk. Patrząc na doskonałą magnolię, nikt by nie pomyślał, że może się ona otworzyć i ukazać słodkie serce.

Naprawdę się cieszysz? - Oczywiście, że tak!

Złagodniała, wspięła się na palce, żeby musnąć jego usta, ale schwycił ją i gorąco przycisnął. Czy to właśnie mnie zniewala, dziwiła się Julia, czując go aż do bólu. Czy to jest łańcuch namiętności, który trzyma mnie na uwięzi? W takim razie muszę go rozluźnić...

- Tak, cieszysz się - dodał już pogodniej, zadowolony z jej odpowiedzi. Spojrzał na zegarek. - Jeszcze wcześniej. Pójdźmy gdzieś, żeby to uczcić.

Wziął ją do kasyna. Czegoś takiego nigdy nie robiła i nawet teraz też nie chciała. Z twarzą wykrzywioną bólem przyglądała się, jak stawiał żetony warte ćwierć rocznej pensji na przypadkowe numery i jak bez żadnego niepokoju patrzył, gdy przepadały. Kiedy nalegał, aby i ona zagrała, protestowała.

- Nie mogę! Nie mam twojego nonszalanckiego stosunku do pieniędzy.

- Przecież to moje pieniądze.

- Tym bardziej.

Uparł się, wydał dolną wargę, ale nie ustępowała. Zmienił taktykę - dąsy zastąpiły pochlebstwa.

- Spróbuj, pozwól sobie raz w życiu. Kiedy masz urodziny?

- Siódmego sierpnia.

Postawił plik żetonów na siódmkę. Wygrała. Zebrał stertę, którą do niego przysunięto, i rzucił ją Julii do rąk nie zważając na jej protesty.

- Są twoje. I o to chodzi.

Było tego tyle, że kilka żetonów spadło na podłogę. Podnosząc je Brad wyprostował się i potracił kobietę, która pochylała się stawiając zakład.

- Coś podobnego! - Zabrzmiało to tak jakby ktoś roztrzaskał skorupę orzecha, ale zaraz głos stał się słodki niczym tureckie rachatlukum: - Brad! Mój Boże, co za nie spodzianka! Jak się masz? - Kobieta uścisnęła go z entuzjazmem.

- Sally!

Wysoka trzydziestka, ostra jak żyłeta, elegancka czarno-złota, oszałamiająca, kanciasta.

- Całe lata. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - Błyskała oczami to na Brada, to na Julię. - Rozumiem. Jak zwykle zajęty.

Subtelnie zignorował aluzję i dokonał prezentacji.

- Julia Carrey, Sally Armbruster. Uśmiechnęły się do siebie bez sympatii.

- W domu wszyscy zdrowi? - pytała słodko Sally. - Co u mamy? - I jeszcze słodziej: - A Karolinka?

- Dziękuję, dobrze.

Szorstkość mieszała się u niego z serdecznością.

- Pozdrów je ode mnie, gdy wrócisz.

- Z pewnością... - I zwrócił się do Julii. - Gotowa? Spieniężymy żetony.

- Musicie już iść? Myślałam, że napijemy się po drinku...

- Już byliśmy w barze, dzięki. Miło było znowu cię zobaczyć, Sally.

Stanowczo wziął Julię pod rękę i wyszli.

Spojrzenie, jakim uraczyła Julię Sally Armbruster, mogło zabić. Nie wiem, myślała Julia, jaki numer ma ona, ale z pewnością ona zna mój, a jej „do widzenia, powodzenia” było obrzydliwe.

Brad zarządził spacer.

- A samochód?

- Wiedzą, gdzie mieszkam.

Nie miał nastroju. Wiedziała, że Brad czuje się tak, jakby ktoś nasypał mu do skrzyni biegów piasku, a on wściekał się, że musi czekać na zmianę oleju. Trzymał ją za rękę jak zwykle, ale szli szybko i bez słów.

Sally Armbruster była zatem przyjaciółką rodziny. Znała matkę. I Karolinę. Kim była? Żoną? Nazwisko brzmi arystokratycznie, pachnie koźmi, psami, prenumeratą „Miasta i Wsi”, rokowymi koncertami i herbatką u Ritza. Wszystko to uderzyło Julię z siłą tępego ciosu. Jak mało o nim wie. Jak mały jest świat ich dwojga, jak wiele innych kobiet zna Brada. Jest tylko jedną z nich. Powinna odejść bez skrępowań, lecz one istniały, wsparte w dodatku pewnikiem, że jeśli nie ona, to będzie inna. Jednak tej nocy kochał ją tak, jakby w jego życiu nie było wcześniej żadnych kobiet.

W sobotę spali długo. Skoro tylko Brad otworzył oczy, wiedziała, że zły nastrój go nie opuścił. W sposób nie znoszący sprzeciwu zaproponował, że pojedą na przejażdżkę. Nie oponowała. Zobaczyła samochód i pojęła jego intencje. Nisko zawieszony Maserati, wyglądający na wóz tak szybki, że mógłby przegonić samego diabła.

W takim tempie dotarli do A23. Julia nienawidziła szybkości i bała się łamania przepisów. W napięciu oczekiwała policyjnych kogutów i syren. Jednak Brad kochał pęd. To było jasne. Znała tę rozplómiętą, triumfalną egzaltację: tak wyglądał wstrząsany spazmami orgazmu.

Zaczynała rozumieć, że seks jest dla niego ucieczką od czegoś albo od kogoś, a ryzyko sprawiało mu ulgę. Julia z zakłopotaniem przyznała, że jest ciekawszy niż przeciętny, nieskomplikowany, piękny, bogaty playboy. Grał, w porządku, ale nie rozumiała, dlaczego gra jest dla niego sprawą życia i śmierci. Coś go wciągało.

Zatrzymali się przy skałach nad morzem, szaroczarnym i ponurym. Julia patrzyła na nie oddychając głęboko i z przyjemnością. Urodziła się nad morzem. Gdy je opuściła, zrozumiała, jak bardzo je kocha, i tęskniła do niego.

Wiatr targał jej włosy wolne od spinek. Schowała twarz w sobolowym kołnierzu zamskiej kurtki, znajdującej się w samochodzie Brada. Narzucił ją na nią ze słowami „Będzie na ciebie pasować”. Oczywiście, damska.

- Ostrożnie! - Odciągnął ją od stromej skarpy. - Tu jest wysoki brzeg. - Nerwowo spojrzął w dół. - Nie masz lęku wysokości?

- A ty masz? - Julii zdawało się, że Brad lekceważy wszelkie niebezpieczeństwa.

Znaleźli się w małej herbaciarni w Hove. Maślane bułeczki i tosty. Herbata koloru dobrze zapastowanej skóry. Wokół starsze panie w ukwieconych kapeluszach, panowie w monoklach i z kwiatkami w butonierkach.

- Jak na Florydzie - skomentował cicho, rozglądając się.

- Tak. Hove jest miejscowością emerytów - potwierdziła Julia.

- Boże, wybacz! - Na jego twarzy odmalował się wstręt.

- Każdego to kiedyś czeka.

- Mnie nie. Ja nie chcę! - Zazgrzytał zębami.

Oto dlaczego on stale jest w ruchu. Żyje mocno i szybko. Zmienia kobiety jak rękawiczki. Na miejsce tej, która mu się znudziła, bierze następną, a kiedy i ta mu się sprzykrzy, sięga po kolejną. Nagle zrozumiała, dlaczego wrócił. Jego nie dokończonym interesem była po prostu ona.

Tej nocy dostała swój taniec. Jak zawsze robił to doskonale, lecz był niezwykle roztargniony i zamyślony. Zadziwił ją. Był inny niż dawniej. Cały dzień wyczuwała jego zdenerwowanie. Nastrój zmieniał mu się wraz ze światłami drogowymi. Podnosił się i opadał w kilka sekund.

W domu przez jakiś czas zajęta była rozmową telefoniczną, a kiedy do niego wróciła, wyglądała jak chmura gradowa. Nie lubił, gdy była zajęta czymś innym niż on.

W nocy był bardziej gwałtowny niż namiętny, jakby chciał ją ukarać, zmusić, żeby krzyknęła „Dość!” Ale się nie doczekał. Od początku było jasne, że łączy ich tylko pociąg fizyczny. Zaspokajanie potrzeb ciała, w porządku?

W niedzielę obudził ich telefon. Brad podniósł słuchawkę.

- Sally? - zdziwił się. Przesunął oczami po Julii, i powiedział: - Zaczekaj, zapytam. - Przykrył mikrofon dłonią. - Sally Armbruster zaprasza nas na drinka. Chcesz pójść?

Julia zdążyła poznać go na tyle, by wiedzieć, że nie pytałby jej, gdyby sam nie miał ochoty.

- Dlaczego nie?

Sally mieszkała przy placu na King's Road. W długim salonie bawiło się kilkanaście osób. Brad znał wszystkich, a szczególnie kobiety, które mniej lub bardziej zagarniały go dla siebie. Julii podano drinka i oczekiwano, że zacznie krążyć i gawędzić. Wiedziała, że jest pod lupą. Czula się obca, opuszczona i jakby odłączona od prądu.

Stała przy drugim oknie i spoglądała bezmyślnie na plac. Sally Armbruster spostrzegła to, podeszła do niej i zaproponowała nowego drinka. Ubrana przebojowo: góra z jedwabiu koloru miodu, spodnium, ciemna grzywa zaczesana do tyłu włosów.

- Długo znasz Brada?

- Prawie w ogóle go nie znam.

- Ciągle to pierwsze stadium. - Sally obnażyła w uśmiechu ostre zęby. - Pamiętam je. Prawdziwy wirtuoz, prawda? Istny gwóźdź. Mógłby zarobić na nim fortunę.

Julia przypomniawszy sobie prezent.

- Wszystkie byłyśmy obsługiwane od czasu do czasu... - Sally wskazała kobiety otaczające Brada, lecz gdy spojrzała na niego, Julia widziała, że zagryza wargi. - Pod chłopięcym wyglądem kryje jeszcze bardziej chłopięce wnętrze. Nadal się tylko bawi. - Znowu wskazała znajdujące się w salonie kobiety i zaśmiała się niepewnie. - Wszystkie nas rzuca.

Przyglądała się Julii z otwartą, szczerą zazdrością.

- Zaciekawiasz mnie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- A powinnam?

- Wierz mi, mam swoje powody. Przyjdzie czas i na ciebie. Brad jest przygodą, która traci znaczenie. Ma najlepsze z podejść. Tak, tak, najlepsze.

Zatrzymała na nim drugie spojrzenie wyrażające mieszaninę daremnej tęsknoty i jawnej nienawiści.

- Pewnego dnia któraś go napiętnuje. Sama myśl, że krwawi upokorzony... - Wciągnęła chrapliwie powietrze i odwróciła się do Julii. - Mało mówisz, ale załóż się, że wiesz, czego chcesz. - Pociągnęła łyk.

- Powiedz mi, czy twoje włosy mają naturalny kolor? Jeśli nie, to kto je zrobił?

- Mam je po matce - odpowiedziała Julia.

- Ach, matki... - Sally spojrzała na Brada. - Matka Brada jest jedną z tych... Lady Macbeth. Lady Hester Bradford nie przepuści nawet Gorgonie.

- Lady Hester?

- Nie znasz jej? Jego matka jest arystokratką przez duże A. Córką markiza, co najmniej. Z domu Conyngam. Bardzo dostojna. Jej mąż pochodzi z amerykańskiej gałęzi rodu, która również tonie w

forsie. Mogłaby ci poderznąć gardło na samą wzmiankę o tym, że interesuje cię coś więcej niż jego członek, a potem powiesiłaby cię i sączyła krew aż do ostatniej kropli. Partnerkę dla niego już wybrała. Niech Bóg ma ją w swojej opiece...

Przyglądała się Julii z ubliżającym współczuciem.

- Po co ja ci to wszystko mówię? Nie jestem zręczną eksperymentatorką. - Brązowe oczy zabłysły. Dla twojego dobra albo raczej zła. Zobaczysz, co miałam na myśli. Nie czuj do mnie nienawiści, jeśli potrafisz.

- Łatwo się nie zrażam.

- Reszty nauczysz się sama. On cię nauczy. Szyderczy śmiech wykrzywił jej usta. - Możesz być jego ostatnim wybuchem - powiedziała i dodała z teatralnym westchnieniem: - On jest taki kochany... - Skinęła na czarnego kota Julii. - Ja dostałam lwa - rzuciła i odeszła z gracją w głąb pokoju.

Julia powróciła do okna. Nie czuła nic poza smutkiem.

- O czym tak długo rozmawiałaś z Sally? spytał, gdy usiedli przy swoim stoliku w Le Gavroche.

- O tobie.

- Romans z nią to dawne czasy. - I dawno zapomniane, mówił jego głos.

- Nie musisz mi nic wyjaśniać.

- Wcale nie miałem zamiaru. Chciałem tylko, żebyś wiedziała...

- Dlaczego?

- Ponieważ znam Sally.

Tak jak ona zna ciebie, pomyślała Julia.

- To stuprocentowa kurwa - kontynuował. I piekielnie zazdrosna. Nie to co ty.

Nie skomentowała.

- Jesteś czy nie? Pytam o zazdrość.

- Nigdy nie byłam - odpowiedziała zgodnie z prawdą, nie dodając jednak, że nie miała powodu.

- Nawet o męża też nie?

- Nie.

- Więc o co poszło?

- Nie pasowaliśmy do siebie.

- To dlaczego za niego wyszłaś?

- Nie wiedziałam, co robię.

- Ale kochałaś go?

- Tak mi się zdawało.

Brad poruszył się niespokojnie, jakby odpowiedź nie była dosyć jasna.

- Według ciebie istnieje różnica między kochać kogoś a kochać się z kimś?

- Tak - odpowiedziała Julia. - Jedno to romantyzm, a drugie - samo życie.

Pojawiły się pierwsze małe złośliwości.

- Jak na kogoś, kto tak dobrze panuje nad swoimi emocjami, dajesz z siebie dużo ciepła - stwierdził kłótliwym tonem.

- Może dlatego, że nie nadużywam uczuć.

- Chcesz powiedzieć, że ja tak?

- Nie. Myślę, że u ciebie emocje w ogóle nie wchodzi w grę.

- Widzę, że Sally zrobiła swoje.

- Sally nie ma z tym nic wspólnego.

- Więc dlaczego jesteś taka nieprzyjemna?

- Jestem z tobą szczerą, a to jest komplement.

- To tylko uprzejmość, ponieważ nigdy nie mówisz wszystkiego. Czego ty ode mnie chcesz? - zapytał ostro.

- Tego, co mi proponujesz.

Drgnęły mu usta. Zmysłowe, namiętne, prowokujące.

- Wierzę, że spełniam twoje oczekiwania.

- Nie narzekam.

- W porządku - powiedział niezbyt pewnie. - Prosiłem o prawo do domniemania niewinności - rzucił z furią i podał jej menu. - Wybierz sobie coś - rozkazał. - Jedzmy.

Gdy Julia spojrzała na mały, kwarcowy zegarek, była czwarta rano. Ciemna noc duszy. Leżała i rozmawiała ze sobą.

Pracowicie przeglądała mapy swojego umysłu, tego drobiazgowego magazynu wspomnień. Nawet w najbardziej ekstatycznych chwilach cielesnego delirium szkicowała rozwój sytuacji. Od pierwszych symptomów wyjątkowego pociągu fizycznego, przez gorączkową odpowiedź, do szczytów wdzięczności. Sprawdziała oczywistość przyjemności, przenikała głębie swojego zaangażowania i doszła do jedynej możliwej diagnozy: zaślepienie.

Jednak nawet jeśli umysł przedstawiał jej swoje wnioski, to wypierał się wszelkiej odpowiedzialności. Przecież gdyby słuchała go, zamiast ulegać pragnieniom ciała, nic by się nie wydarzyło.

Skoro jednak zło już się stało, umysł ostrzegał ją, że znalazła się w sytuacji, której przyjdzie jej żałować. Nadszedł czas, żeby pozbyć się źródła infekcji. W przeciwnym razie będzie jeszcze gorzej i ogarnie ją wściekła epidemia najniebezpieczniejszej ze wszystkich śmiertelnych chorób: miłości. A wtedy rozpęta się wokół niej piekło. Dla niego? Dla samolubnego, nieczulego, lekkomyślnego, niedojrzałego playboya ze skłonnościami do ucieczki? To nie z nią! Czyżby? Ledwie cię dotknął, a już topniałaś. Umierałaś z głodu, a on znalazł się pod ręką. Nie tak rozumiała miłość. Zdefiniować miłość? Zaśmiała się zjadliwie, sama z siebie.

Zanim zdążyła pomyśleć, zadzwonił telefon. Brad poruszył się, ale spał dalej. Kto to może być, o tej porze? Jego matka, odgadła.

Potwierdził to głos, władczy, rozkazujący.

- Brad, kochanie... czy to ty? Julia szturchnęła go pod żebro.

- Do ciebie. Wziął słuchawkę.

- Brad Bradford... Mama! - Wyprostował się gwałtownie. Jego zdziwienie nie było spontaniczne.

- Świetnie. Wszystko już uporządkowałem. Co? Teraz? Dzisiaj? - Konsternacja także nie wypadła naturalnie. - Dobrze, jeśli muszę, to oczywiście. Zawsze o siódmej trzydzieści jeden.

Dzwonią, pomyślała Julia, żeby go ocalić. Wyciągnąć go z niewygodnej sytuacji. Zdawało się jej, że oddała się od niego z prędkością ponaddźwiękową.

Odłożył słuchawkę, przeczesał ręką włosy i westchnął.

- Wzywają mnie do domu, coś się stało.

Wiem, pomyślała Julia. Przekroczyłeś próg swojej nudy.

- Jaka szkoda - powiedziała.

- Muszę być na Heathrow o w pół do siódmej... - Spojrzał szybko na zegarek. - Samolot jest o siódmej trzydzieści.

- Myj się, a ja wszystko załatwię. - Usłyszała swój głos.

- Jesteś urocza! - Wyskoczył z łóżka odprężony i pogodny. Nie było „ostatniego razu”.

Gdy się golił, zamówiła dla niego bilet pierwszej klasy. Słyszała poprzez plusk wody, jak pogwizduje sobie radośnie. Gdy skończył, czekała już ubrana.

- Szybkość jest wspaniała - powiedział ożywiony. Jego pocałunek był bardziej grzecznościowy niż namiętny. Pragnął odejść.

I odszedł.

Rozdział piąty.

Pomimo że w jadalni wszystkie okna były uchylone, na bostońskie lato nie było siły. Za stołem siedziało trzech mężczyzn i cztery kobiety; jedna z nich, czterdziestotrzyletnia niezwykle szykowna dama, która traciła czas i pieniądze na to, by wyglądać o dziesięć lat młodziej, umierała z upału. Jej skóra połyskiwała paciorkami potu, a z jej włosów, zaczesanych dla ochłody do góry, wilgoć ściekała na czoło i kark.

- Mamo, powinnaś po prostu zainstalować klimatyzację - skarżyła się. - Nie wytrzymuję tej łaźni tureckiej, w jaką zamienia się dom każdego lata.

- Mieszkam w tym kraju czterdzieści pięć lat. Hester Bradford była niewzruszona. - Nigdy nie pozwoliłam sobie na to, by pogoda miała na mnie jakikolwiek wpływ. Być może, moja droga Binka, gdyby twój umysł zaprzętały sprawy wyższe niż te, które cię złością, miałabyś z tego większą korzyść.

- Przyzwyczaiałam się do klimatyzacji - odparowała Binka.

- Nie cierpię tego. Jest przyczyną niezliczonych przeziębień. Nawet gdybym nie musiała zważać na moją astmę, nadal nie chciałabym mieć tego w domu. Powinnaś była mieszkać w Arun pięćdziesiąt lat temu. Wtedy miałabyś na co narzekać. - Wąskie wargi lady Hester uśmiechnęły się do wspomnień, a Brad, siedzący na drugim końcu stołu, wznosił oczy do nieba. Spozstrzegła to jego narzeczona, Karolina Norton i kopnęła go w kostkę.

- Arun zdążyło się już zmienić - zauważyła druga, starsza siostra Brada. - W lato, dzięki grubym murom, może tam być chłodno, ale zimą!, zanim założono centralne ogrzewanie, musiało być okropnie.

- Sentymentalny nonsens. - Lady Hester machnęła ręką. - Myślałam, Abigail, że jesteś silniejsza.

- Z pewnością bardziej niż na to wygląda. - Brad uśmiechnął się serdecznie do siostry, którą lubił o wiele bardziej niż Binkę. Powiadał, że Abby przypomina Gibraltarczyk.

- Skoro nie męczysz cię moja paplanina, powiem ci, że miałam jedenaście funtów nadwagi. Czy to nie dziwne? - spytała spokojnie Abby.

Obie siostry Brada miały krogulcze nosy i mocne szczęki, ale tu się podobieństwo kończyło. Czterdziestoczteroletnia Abigail Amory, duchowo nieobecna, nie dbała o swój wygląd. Druga siostra natomiast była obsesyjną modnisią. Obie miały włosy Bradfordów, złote i ciężkie, lecz włosy Binki codziennie pielęgnował fryzjer, Abby zaś niedbale spinała swoje na szczycie dużej głowy. Binka miała na sobie róż parmeński Norella, z perłami, a Abby piętnastoletni welwet koloru porto z obdartym na dobre sześć cali obrębieniem, pod pachą zaś dziurę. Jednakże rubiny w jej uszach i na szyi warte były królewskiego okupu, a jej takt był nawet cenniejszy, myślał Brad, słysząc, jak zmienia temat.

- No i jak twoja podróż?

- Męcząca.

- Chcesz powiedzieć, że harowałeś dniami i nocami? - dopytywała się Binka ze złośliwą niewinnością. - Uważaj, Karolino - pokpiwała z narzeczonej brata. - We wszystkich sprawach Brada chodzi o kobietę.

- Przecież wiem, że stoją w kolejce. - Karolina uśmiechnęła się swobodnie.

- Nie stoją, tylko leżą - warknęła Binka i spuściła kapiące tuszem rzęsy.

- Nie winie ich - odrzekła Karolina z prostotą. - Sama czekam na niego w tej pozycji.

I to, pomyślała Binka, jest nieporozumieniem.

- Karolina poznała się na tym, co dobre. - Westchnęła czule lady Hester. - Tak jak Brad, oczywiście. - I dodała łaskawie: - Skoro zaś ślub ma się odbyć za trzy miesiące, musimy dziś wieczorem zakończyć przygotowania. Czy rozmawiałaś ze swoją matką, Karolino?

- Tak, proszę pani... Kazała mi przekazać, że zastosuje się dokładnie do pani sugestii.

- Raczej do rozkazów - szepnęła Binka. Siedzący obok niej mąż wycedził przez zęby:

- Na miłość boską, Binko, dzisiaj nie rozrabiaj. Twój brat jest w domu, matka jest szczęśliwa, więc proszę cię, daj jej spokój. A jeszcze lepiej, mnie także.

Obok niego pojawił się szef służby z winem.

- Parkes, proszę nie nalewać pani Adams.

Binka obrzuciła go wściekłym wzrokiem, ale popatrzył na nią tak, że się uspokoiła. Gdy Drexel Adams jest zły, lepiej schodzić mu z drogi. Nadąsała się.

- Miałaś okazję spotkać w Londynie Johna Holtage? - spytał Seth Amory. - Wysłałem mu wiadomość, że będziesz w mieście, i żeby do ciebie zadzwonił.

- Obawiam się, że nie miałem czasu na spotkanie z profesorem Holtage - przyznał Brad. - Byłem codziennie zajęty niejednokrotnie od śniadania do późnej nocy.

Binka parsknęła śmiechem.

- To dlatego szukali cię aż tutaj?

Lady Hester odwróciła głowę w stronę młodszej córki. Jej oczy, zmieniomorskie, jak u syna, bywały tak zimne jak północny Atlantyk. I teraz były właśnie takie.

- To jest obiad na powitanie mojego syna i twojego brata, który wrócił z długiej i męczącej podróży zagranicznej mówiła tonem sędziego. - Jeśli nie życzysz sobie brać udziału w powitaniu, pozwalam ci odejść.

Binka usiłowała wytrzymać wzrok matki, ale jak zwykle przegrała. Krew napłynęła jej do twarzy; spojrzała wprost w oczy brata i zamilkła, lecz nie uległa.

- A teraz, Seth... - Lady Hester zwróciła się do ulubionego zięcia. - Czy ów profesor Holtage nie jest spokrewniony z rodem Holtage z Winchesteru? Mój ojciec był przyjacielem starego Generała Holtage...

- Co jest z Binką? - Korzystając z donośnego głosu matki, Brad zwrócił się do Abby.

- To, co zwykle - cicho odpowiedziała Abby. - Silna dawka zazdrości.

- Słodki dom... Nic się nie zmieniło. - Brad prychnął nieprzyjemnie.

- Jeśli matka się nie zmieni, to nic się nie zmieni.

- Kto by śmiał sprzeciwić się jej na tym świecie? Abby pokiwała głową.

- Tylko ty masz na nią wpływ.

- To zupełnie inna sprawa. Uczono mnie od dziecka, żeby się jej nie sprzeciwiać. - Podniósł kieliszek, wypił i przywołał wzrokiem służącego, by dolał mu wina. - Być może to jej kłopot -

powiedział smutno. - Wszyscy je mają.

- Jeśli nie wiedzą, co im służy - zgodziła się Abby.

- A co jest dobre dla matki?

Abby odsunęła się od niego majestatycznie, żeby przyjrzeć mu się z pewnym zdziwieniem.

- Cóż to, oddajesz się wyszukany refleksjom? Brad pokazał zęby w uśmiechu.

- Kpij sobie, jeśli chcesz. Umiem myśleć i ty o tym wiesz.

- Mam nadzieję. Nie byłbyś jej emisariuszem, gdyby tak nie było.

Brad pociągnął łyk wina.

- Masz na myśli drwała i wióry... Abby westchnęła łagodnie.

- Rozumiem. Dużo egzekucji tym razem.

- Jestem zmęczony zaczynaniem „od pieca!”

- Matka ma sześćdziesiąt sześć lat - uspokajała go Abby.

- Artretyzm przysparza jej mnóstwo cierpienia, ale się nie skarży. Znasz ją. Jeśli jest w stanie coś zrobić, robi to. Jeśli ona nie może, musisz to zrobić ty. Poza tym wiesz, że dziedziczysz tron.

Brad długo patrzył siostrze w oczy.

- Co zrobić, żeby abdykować? - spytał takim tonem, że przyjrzała mu się uważniej.

- Aż tak źle ci poszło? - spytała porozumiewawczo. Wyglądał, jakby dręczyły go zmy. Zdawał się wpatrzony w przeszłość, w coś nie do zapomnienia. Prawdopodobnie kobieta, myślała zaniepokojona Abby. Zostały mu już tylko trzy miesiące kawalerskiego stanu. Z pewnością intensywnie z nich korzysta.

- Nie najlepiej.

- Mój biedny, kochany - zamruczała Karolina. Zignorował ją.

- A u was wszystko w porządku? - spytała Abby półgłosem.

- Gdyby nie było, wołałbym nie wiedzieć ironizował Brad. - Nie przed ślubem...

- Posłuchaj, jeśli tego nie chcesz...

- To matka chce. Możesz jej powiedzieć?

- Nie słuchałaby mnie. - Abby nie miała wątpliwości. - Jesteś jedyną osobą, którą w ogóle zauważa. Ja bym usłyszała, że marnuję czas na bzdury albo że robię z siebie idiotkę. Lecz gdybyś powiedział jej sam...

- Sama mówisz, że jestem spadkobiercą. Mam więc zobowiązania.

- Poświęcasz się?

Przez ładną twarz przebiegł cień tak nieznaczny, że Abby nie miała pewności, czy się nie pomyliła.

- Ja się nie skarzę - odpowiedział.

Nie, myślała Abby, i to jest dziwne. Całe życie go rozpieszczano. Mógł się żalić i nikt go nie karcił. Dlaczego więc miała wrażenie, że cierpi? Z powodu, o którym nie może mówić. Abby, o trzynaście lat starsza od brata, była buforem między zaborczą matką a złośliwą drugą siostrą. Zawsze byli ze sobą blisko. Tylko jej powierzał swoje tajemnice, mówił o kłopotach i prosił o radę. Teraz, jej instynkt (pomimo stu dziewięćdziesięciu funtów masy ciała była kobietą wrażliwą i rozumiejącą) mówił jej, że problem jest poważny. Myśli Breda zajmowało coś, co nie miało związku z matką, narzeczoną i zbliżającą się utratą wolności. Kiedy sądził, że nikt go nie obserwuje, miał zabawny, prawie przestraszony wyraz twarzy. Zauważyła to, gdy wszedł wieczorem do domu.

Spojrzała na matkę, która nadal rozmawiała z Sethem. Gdyby coś wiedziała, nie dałaby Bradowi

spokoju, dopóki nie wyjaśniłaby co, gdzie i dlaczego. Ale Brad miał się na baczności. Abby zrozumiała nagle, że to nie przelewki.

Nagle przestraszyła się, że nie wytrzyma jeszcze jednego ataku choroby. Bezwiednie wzdrygnęła się na wspomnienia matki duszącej się w napadzie astmy. Szaleńcze rżenia wydobywające się z wycieńczonych płuc, wybałuszone oczy, ręce bijące na oślep niczym cepy. Przerazało ją to i tak samo jak Binka czyniła niezwykle wysiłki, żeby temu zapobiec. Już dawno obie z siostrą zrozumiały, że ataki spowodowane były zawsze przez niepokój, innymi słowy, przez samą lady Hester, jeśli coś się jej nie podobało.

Cała trójka przeraczkowała dzieciństwo w nieustannym strachu, by nie rozzłościć matki. Brad zaś był wyróżnionym obiektem jej szantaży. Abby zdenerwowała się, gdy sobie uświadomiła, że jeśli Brad nie idzie po pomoc do matki, to znaczy, że ukrywa coś, co by się jej nie spodobało. I jeśli w końcu matka się dowie, to może się to skończyć atakiem śmiertelnym... rozmyślała Abby ze ściśniętym sercem.

Rozdział szósty.

- Na astmę zapadła we wczesnym dzieciństwie. Pierwsze ataki zagrażały jej życiu, więc lekarze nalegali, by rodzina przeniosła się do czystego, kontynentalnego klimatu. Dzieciństwo i wczesną młodość spędziła w siedzibie muidzów z Arun, w posiadłości Vanbrugh w Arun, Sussex. Ojciec był szóstym z tej linii, a ona była jego jedynym dzieckiem. Jej matka zmarła podczas następnego porodu wraz z noworodkiem. Ojciec, dzięki zabiegom córki, nigdy już się nie ożenił. Uwielbiała go ślepo, ogłupiająco, z nieludzką zaborczością; chciała go mieć tylko dla siebie. Jak wszyscy Conyngham-Bradfordowie, był on wielkim blondynem o morskich oczach. Takie same odziedziczyła córka, a wzrost i temperament przekazała własnym dzieciom. Charakter zaś miała przerażający - żelazną wolę i nie cierpiącą sprzeciwu postawę imperatora. Kobieta, która próbowała wyjść za jej ojca, prędko przekonała się, jak niebezpieczną osobą była lady Hester Mary Clarisa Conyngham-Bradford. Jednakże, jeśli chciała, potrafiła z niezwykłym wdziękiem rzucać innych na kolana. Tylko swoim ojcem nie umiała manipulować, co powiększało jej miłość do niego. Drżała przed nim, uwielbiała go za siłę większą niż jej własna. Najpierw liczył się on, a zaraz ponim Arun.

Hester chlubiła się zarówno rodem, jak i stojącym na wzgórzu marmurowym pałacem, dominującym nad Sussex. Potężna zewnątrz, wewnątrz ciężka od złocień budowla z ogromnymi freskami na ścianach i marmurowymi, niosącymi echo posadzkami. Wzdłuż wysokich korytarzy stały marmurowe rzeźby i gargantuiczne meble, pokryte karmazynowym aksamitem. Na ścianach akty Rubensa, płótna Tycjana, Veronese i Caravaggia.

Każdego przedpołudnia Hester robiła obchód, w którym towarzyszyli jej zarządca i dozorca. Zaczynała od szpaleru służby w wielkim hallu. Biada za plamkę na fartuchu, przekrzywioną czapkę czy brudne ręce. Gdy przechodziła przez pokoje, mogła założyć białą rękawiczkę i przesuwać nią po blatach, parapetach i poręczach. Następnie naradzała się z ochmistrem, a probowałaienne menu, przyjmowała podstolego i kamerdynera.

Gdy okazało się, że jej talent organizacyjny graniczy z geniuszem, ojciec zostawił jej zarządzanie całością. Mógłby przybyć z Londynu w piątek rano i powiedzieć na przykład, że zaprosił na weekend kilkanaście osób. Zanim zjawiliby się na herbatę, służba byłaby przygotowana na zaspokojenie każdego kaprysu. Wszędzie stałyby świeże kwiaty. Nowiutkie mydła leżały w umywalkach i łazienkach. Do stołu nie podawano by dwa razy tego samego. Indywidualne upodobania gości, takie jak gatunek porannej herbaty lub kawy, byłyby skrupulatnie notowane. Korty tenisowe byłyby wyrównane, trawniki do krykieta skoszone, basen kąpielowy oczyszczony, a konie oporządzone. Hester królowałaby potem za stumetrowym stołem jadalnym, nosząc legendarne perły Conyngham-Bradford, rosyjskie szmaragdy albo indyjskie rubiny.

Byli niewyobrażalnie bogaci. Pod koniec siedemnastego wieku pierwszy z markizów, zdesperowany kłopotami, ożenił się z jedyną córką indyjskiego nababa, Clarysą Conyngham. W

zamian za jej fortunę zgodził się dać jej nazwisko.

Dwudziestojednoletnia Hester Bradford miała pewność siebie kobiety trzydziestopięcioletniej. Pod piękną maską ukrywała mózg zbója. Jej ulubioną lekturą było „Financial Times”. W interesach ojciec polegał na jej zdaniu.

Gdy miała osiemnaście lat, przedstawiono ją na dworze. Mogła mieć każdego z młodych mężczyzn uwiedzionych jej chłodną urodą i legendarnym majątkiem. Odrzuciła ich z pogardą, jako idiotów. Pragnęła wyłącznie swojego ojca.

Wystarczyło, by dostojna pani Helenę Fortesque, czterdziestoletnia wdowa o zmysłowej urodzie, stała nieruchomo i oddychała, a mężczyźni zbiegali się ze wszystkich stron. Markiz nie był wyjątkiem. Zaprosił ją do siebie, żeby spędzała z nim wszystkie weekendy. Nie słuchał i nie widział, jak córka w wyrafinowany sposób poniża wybrankę, nie dostrzegał jej przebiegłych insynuacji. Hester rozumiała, że nadszedł czas działania. Markiz był kiepskim jeźdźcem, natomiast Helena dosiadała konia znakomicie, czym zdobyła sobie jego serce. Entuzjastycznie tłumaczył córce, że to nic nie znacząca zabawa, ale ona dobrze widziała grę pani Fortesque.

Pewnego wieczora, gdy ojciec zawiadomił ją, że rankiem udadzą się z panią Fortesque na przejażdżkę, Hester odgadła, że ojciec zamierza poprosić tę szukającą skarbu dziwkę o rękę. Po moim trupie, zdecydowała.

Robiąc poranny obchód sprawdziła, czy z koniem, na którym powinna pojechać lady, wszystko jest jak należy.

- To wstrętne, złośliwe, bydlę - uprzedziła panią Fortesque, czym tylko ją ubawiła.

- Moja droga, jeszcze nie słyszałam o koniu, który mógłby wysadzić mnie z siodła.

Zobaczymy, pomyślała Hester, trzymając konia w ten sposób, że wywracał oczami i strzygł uszami. Potem, gdy stajenny przygotowywał wielkiego siwka, Baltazara, Hester umieściła pod siodłem żrebaka starannie wycięty kolec róży. Kiedy wbije się w delikatny grzbiet zwierzęcia... Miała nadzieję, że ruda dziwka złamie kark. Jednak zrzucony został markiz. W czasie przejażdżki Helena zaproponowała, by zamienili się końmi. Chciała spróbować, jak sobie poradzi z wierzgającym siwkami, którego nawet Hester nie wolno było dosiadać. Kiedy masywne ciało ojca znalazło się w siodle, a kolec wbił się w koński grzbiet, rumak oszalał i wyskoczył czterema kopytami w górę tak gwałtownie, że markiz, bardziej samochwała niż jeździec, poszybował w stronę pnia wielkiego, starego dębu i złamał kręgosłup.

Pierwszą myślą Hester było usunąć kolec i zastrzelić zwierzę, ale wyładowała się na nieszczęsnej pani Fortesque. Ledwie powstrzymano ją przed bezpośrednim, fizycznym atakiem.

- To twoja wina! - wrzeszczała na oszalałą ze strachu kobietę. - Upierałaś się, żeby dosiąść Baltazara. Jesteś za to odpowiedzialna! Nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę! Wynoś się z tego domu, przybłędo. Ani mój ojciec, ani ja nie chcemy cię więcej widzieć! Jazda, precz! Precz mi stąd!

Ukryta w hallu służba przyglądała się, jak pani Fortesque z płaczem rzuciła się w dół po schodach.

Hester racjonalizowała wszystko. Uznała, że gdyby pani Fortesque nie wpila swoich pazurów w Tatę, gdyby nie namówiła go na zmianę koni, to ona złamałaby kark, a nie Tata. Dlatego jest winna.

Lord Arun został sparaliżowany od bioder w dół. Odtąd poruszał się w wózku inwalidzkim. Hester opiekowała się nim osobiście, bez słowa skargi. Prawdę mówiąc, cieszyła się. Już żadna kobieta nie zechce jej ojca. Ma go całego dla siebie, a on już nigdy jej nie zostawi. Opiekowała się nim, spełniając jego potrzeby z takim poświęceniem, że ludzie potrzęsali głowami. Pani Hester

Conyngham-Bradford nie była nazbyt lubiana, ale trzeba uznać, na Boga, że to jest nadzwyczajne.

Ojciec próbował się opierać.

- Kochanie, nie powinnaś się dla mnie poświęcać. Jesteś taka młoda, żywotna. Pomyśl o mężu, dzieciach...

- Dzieci! Nie chcę żadnych bachorów. Tatusiu najdroższy, chcę tylko ciebie.

- To nie jest normalne!

- Normalne? - zakpiła. - Jesteśmy Conyngham-Bradford. Nikt nam nie będzie mówić, co jest normalne.

- Ależ ja jestem kaleką!

Zakryła mu usta dłonią i spojrzała nań czule.

- Nie mów tak! Jesteś niepełnosprawny, to wszystko, a dla mnie jesteś ważniejszy niż jakikolwiek inny mężczyzna. Tak, najdroższy, najukochańszy Tato. Jesteś najwspanialszy.

Stłumił jęk dotykając ustami białej, gładkiej szyi. Wchłaniał jej zapach. Zawsze ten sam. Pączek Róży.

- Nie powinniśmy, najmilsza, nie możemy.

- Możemy, Tatusiu kochany, możemy. Potrzebujesz mnie, Tato. Kto kochał ciebie bardziej niż ja?

Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Całą moją miłość.

Wzięła jego dłoń i położyła na sobie. Jęknął, bardziej z namiętności niż z rozpaczy, ponieważ był mężczyzną o silnym temperamencie, a córka dała mu najbardziej satysfakcjonujący, erotyczny dreszcz. Jej delikatne, ale mocne dłonie umiały wzbudzić w nim uczucia i wrażenia, o których myślał, że odeszły na zawsze. Pomimo paraliżu, potrafił jej odpowiedzieć, córka zaś wiedziała, jak go pobudzić. Od chwili gdy go po raz pierwszy kąpała i zrobiła pewien wymowny gest, był zgubiony. Wiedziała o tym.

- Służę ci lepiej niż leki przepisane przez lekarzy. Jesteś mężczyzną o wielkim apetycie, Tatusiu, a ja z przyjemnością go zaspokoję. Wiem, co jest dla ciebie dobre, i będziesz to miał, Tato. Tylko my dwoje. Na zawsze. Ty i ja, aż do końca...

Później zaczął cierpieć. Odezwały się wyrzuty sumienia. Z bólem uprzytomnił sobie, że uległ pokusie i popełnił najbardziej zakazany grzech. To było szaleństwo. Lecz córka torturowała ojca tak, że nie zdawał sobie sprawy z niczego poza pożądaniem. Przeraził się. Miał uczucie, że jest konsumowany. Za każdym razem bał się, że przyjdzie do niego, choć jednocześnie tego pragnął. A kiedy przychodziła, zapominał o skrupułach i poddawał się jej, ciężko dysząc i dygocząc pod jej chciwymi ustami, błagając o więcej. Aż zrozumiał, że największe znaczenie ma dla niej fakt posiadania go. Był całkowicie pod jej kontrolą. Jego ciało i dusza. Zdesperowany, zaprosił na weekend młodych mężczyzn. Przybyli ochoczo, skuszeni jej zmysłowością, liliowo smukłym ciałem w jedwabnej koszuli i obcisłych bryczesach. Krótko strzyżone włosy były jasne niczym dojrzałe zboże ponad arystokratyczną, okrutną twarzą, z niezwykle, morskimi oczami. Ona jednak nie zauważała nikogo.

Kamerdyner Avery powtarzał Forbesowi, stewardowi, co słyszał podczas obiadu. Jak zjadliwie wyszydzała zalotników, jak rozszarpywała ich na strzępy okrutnymi kpinami. Jednego zdzieliła przez twarz szpicrutą, ponieważ jej dotknął.

- Nikt nie będzie mnie dotykał! - Plunęła mu w twarz. - Nikt!

- W ten sposób nigdy nie zdobędzie męża. - Avery kiwał głową. - Jej język jest za ostry, a pogarda zbyt widoczna.

Hester nie chciała męża. Chciała ojca. Była tak szczęśliwa, jak nigdy przed wypadkiem.

Forbes uważał, że jego pan długo nie pociągnie. Wyglądał na człowieka, który się dusi, na wyssanego do cna. Tak mocno córka trzymała go w swoich szponach.

Pewnego poranka lord Arun obudził się przepełniony wstrętem do samego siebie. Z pomocą morfiny, którą gromadził w tajemnicy, wybrał jedyne wyjście.

Córki nie było w domu. Galopowała po drogach ich rozległej posiadłości. Rozbrzmiewało w niej uczucie niepokonanej siły. Wszystko układało się zgodnie z planami. Była wniebowzięta, delirycznie szczęśliwa.

Zanim wróciła, doktor Hargreaves, stary przyjaciel rodziny, po tajnej naradzie z Forbesem i Averym, o której nigdy nie wspominało, podpisał akt zgonu, a jako przyczynę podał zawał serca.

Hester załamała się. Gdy powiedzieli jej, co się stało, z jej ust wydobyło się rżenie, które przeszło w dziki, przenikliwy pisk niosący się przez pokoje z wielokrotnym echem, jak huk dzwonów pustki, nieszczęścia i złości. Miotła się po pokoju ojca w paroksyzmie furii, kopiąc, tupiąc, rzucając przedmiotami, drąc na sobie ubranie, drapiąc ciało, wyjąc bez końca.

- Tato! Tato! Wróć do mnie, Tato! Nie pozwoliłam ci umrzeć! Jak mogłeś? Kocham cię, Tato! Tato!

Trzeba było dwóch mocnych lokajów, żeby ją ujarzmić, podczas gdy lekarz przygotowywał silny środek uspokajający. Wybałuszyła oczy, dusiła się.

Wyszła z tego spokojna i lodowata. Uparła się czuwać przy zmarłym. Gdy nadszedł właściciel zakładu pogrzebowego, by się zająć ciałem, odmówiła odejścia. Odprowadziła trumnę do rodzinnej kaplicy i została tam dwa dni, aż do pogrzebu. Kiedy czytano ostatnią wolę zmarłego, siedziała w ciszy. Tytuł i przypisana do niego posiadłość przeszły na syna jego młodszego, zmarłego brata. Resztę pozostawił córce, czyniąc ją osobą legendarnie bogatą. Straciła jednak Arun.

Podszedł do niej nowy markiz, niezwykle zdenerwowany.

- Mogłabyś zamieszkać w Domu Dower - zaoferował drżącym głosem.

- Dom Dower! - Podniosła na niego nieszczęśliwe oczy. Powinien raczej powiedzieć „stodoła”.

- Dorothy... - Dorothy była jego żoną. Hester uważała ją za parweniuszkę. - Mamy dzieci, jak wiesz, i ona zamyśla pewne zmiany...

Jego głos zamarł pod jej spojrzeniem. Żona nie myliła się, pomyślał. Kuzynka Hester ze zmartwienia zwariowała.

- Zmiany? To znaczy jakie? Ścierpła mu skóra.

- Trudno powiedzieć. Dorothy chce wszystko zmodernizować...

- Zmodernizować! Cofnął się.

- Dlaczego nie? - spytał, starając się, by jego głos brzmiał zdecydowanie.

- Ty głupcze, to jest Arun! Od pokoleń nie było tu żadnych zmian.

- Tutaj, powiadam wyraźnie, jest teraz mój dom. Dobrze wiesz. Mogę w nim robić, co mi się spodoba!

Jego żona wstała, starając się dodać mu odwagi.

- Nie pozwól się terroryzować, James. Dobrze wiesz, co to za ziółko. Jeśli ma swoje plany, my dokończymy Dom Dower. Ty teraz jesteś markizem.

Gdyby tylko mogła, Hester posłałaby go do diabła. Przez chwilę myślała o zlikwidowaniu go, ale miał dwóch synów. Nie mogła znieść myśli, że ten zdymisjonowany zarozumialec i jego żona, córka kupiecka, będą żyć i panować w Arun, a ona jest bezradna. Dziedzictwo musi być ustanowione. Tato!

Tato! Zdusiła krzyk. Nienawiść wypełniła ją goryczą, Tylko dlatego, że nie była mężczyzną. Była tak samo dobra, ba, nawet lepsza od każdego z nich! Tylko dlatego, że są nosicielami nasienia, że mają między nogami tę rzecz. Zdławiła jęk. Nie może o tym myśleć. Ale to nie jest w porządku. Arun było jej. Jeszcze im pokaże! Zemści się za swoją krzywdę. Pokaże mężczyznom, co potrafi kobieta.

Ze wstrętem przyglądała się papkowatej twarzy kuzyna. Odwróciła się i odeszła dumnie, rozwścieczona. Poszła na wydmy. Nie zauważyła, że jeden z żałobników, wysoki, trupio blady, o poważnej twarzy, odłączył się od reszty rodziny i podążył za nią. Trzymał się w pewnej odległości, bo choć była piękna i pociągająca, jej charakter odbierał mu odwagę. Piękna i dumna, myślał z uwielbieniem. Przyglądał się jej, jak idzie z głową uniesioną wysoko, prosto przed siebie, w stronę jeziora, gdzie pływały białe łabędzie. Przypominała mu te ptaki, co wydawało mu się romantyczne, jako że sam był prozaiczny.

Gdy rozmawiała z ptakami, słyszał jej mocny, władczy głos, nigdy nie cichnący dla nikogo.

- Was także straciłam, moje kochane. Odebrali mi wszystko... wszystko...

Jakże musi być jej smutno, pomyślał. I jak musi być wściekła! Drżał zachwycony. Widział ją, gdy rozmawiała ze swoim kuzynem. Wspaniała, gdy się złości. Zauważyła go. Jej nienaganne maniery doskonale maskowały jej udrękę. Wziął jej uśmiech za dobrą monetę.

- Chciałbym się tylko pożegnać - zaczął niepewnie. - Mój statek wypływa wieczorem z Southampton.

- Oczywiście. Należysz do amerykańskiej gałęzi rodziny, tak?

- Tak. Winthrop Bradford. Mamy wspólnych przodków, ale ty wywodzisz się od sir Henry'ego, który pierwszy uzyskał tytuł, podczas gdy moje korzenie to William, jego młodszy brat.

Hester analizowała jego kościstą, długonosą twarz. Rzucającymi się w oczy cechami Bradfordów był wysoki wzrost i blond włosy.

Nudził ją, ale odrzekła uprzejmie:

- Dużo was tam jest?

Zaśmiał się zdziwiony i cokolwiek zasmucony.

- Tak. Stanowimy ważny klan. Jedną z najstarszych rodzin Bostonu. Mieszkamy tam już blisko trzysta lat.

Jego duma rozśmieszyła ją. Jej własna rodzina żyła na tej ziemi lat niemal tysiątf.

- Nigdy bym nie pomyślała, że Amerykanie mają przodków. Jego blada twarz nabiegła krwią.

- W Bostonie nie ma nam równych.

- Rzeczywiście! A ludzie wierzą, że Amerykę zamieszkują Indianie i gangsterzy.

- Z pewnością nigdy tam nie byłaś.

Nie, i nie mam zamiaru, pomyślała Hester.

- Zapewniam cię, że by ci się spodobało - powiedział Winthrop zachęcająco. - Boston jest najbardziej cywilizowanym miastem, kwintesencją angielskości i kolebką naszej niezależności.

- Zatem to bardzo miło z twojej strony, że odbyłeś tak długą podróż, by uczestniczyć w pogrzebie mojego ojca.

- Jesteśmy bardzo dumni z naszych angielskich korzeni!

- Jednak nie uznajecie arystokracji.

- Nie w Bostonie! Daleko ważniejsze jest tam to, kim się jest, skąd się pochodzi.

- Mój ojciec był zdania, że uprawiacie kazirodztwo. Jego twarz ponownie spurpurowiała.

- To prawda, że żenimy się w obrębie rodu - zgodził się sztywno. - Mój ród obejmuje ród

Adamsa, Cabota i Lowella. Matka pochodziła z Adamsów.

Hester miała ochotę zaśmiać mu się w twarz. Kim, na Boga, są Adamsowie? Przedstawiał ich, jakby byli Bóg wie kim.

- Jesteśmy dumni z naszych przodków - kontynuował. - To prawda, że naśladujemy Anglików we wszystkim poza waszymi prawami do dziedziczenia. Oczywiście.

Hester zainteresowała się.

- Nie macie takiego prawa?

- Odkąd Tomasz Jefferson je zniósł - mówił dalej, już bardziej pewny siebie. - Oczywiście, my to pomijamy. W Bostonie uznajemy bezpośrednie dziedziczenie. Istnieją sposoby na zabezpieczenie go przed degradacją. Na przykład to, co się stało z Vanderbiltemi.

Dla Hester były to rzeczy nowe. Powiedziała powoli:

- Zatem gdybym należała do gałęzi amerykańskiej, dziedziczyłabym po moim ojcu?

- Oczywiście! Jako jego jedyne dziecko.

Uśmiechnęła się czarująco, podeszła do niego i wsunęła rękę pod jego ramię.

- To fascynujące. Powiedz mi o tym więcej.

Sześć tygodni później lady Hester Conyningham-Bradford znalazła się na liście pasażerów „SS Mauretania” do Nowego Jorku. Sześć miesięcy później ogłoszono w „Timesie”, że pani Winthrop Bradford z Mount Vernon Street w Bostonie ma przyjemność ogłosić zaręczyny swojego najstarszego syna, Winthropa Bradforda IV, z lady Hester Mary Clarisą Conyningham-Bradford, jedyną córką szóstego markiza Arun.

Winthrop Bradford ożenił się z miłości. Hester zaś wyszła za firmę Bradford i Synowie. Amerykańskie odgałęzienie rodziny przedstawiało klan multimilionerów żyjących niczym biedota. Zajmowali całe Wzgórze Beacon. Podstawą fortuny były tekstylia, statki, bankowość i handel. Interesy prowadzili najstarsi mężczyźni członkowie rodziny, w najbardziej konserwatywny sposób. Dopóki Winthrop nie ukończy czterdziestu pięciu lat, nie może zasiąść w zarządzie, choć jest najstarszym synem najstarszego syna. Bradfordowie musieli długo terminować i udowadniać swoją wartość, a także umiejętność wykorzystywania pięciu centów tak, jakby to było pięćdziesiąt. Dopiero potem oddawano im bardziej odpowiedzialne stanowiska.

Hester była śmiertelnie obrażona. Co kupa trzęsących się starców, z których żaden nie miał poniżej sześćdziesiątki, może wiedzieć o nowoczesnych sposobach pracy? Był rok 1930, na miłość boską, i chociaż panował poważny krach, nawet ten nie mógł trwać wiecznie. Nie zorientowali się, że jest pora inwestycji, a nie redukcji? Na gwizdek można było mieć całe kompanie! Gdy powiedziała o tym mężowi, zląkł się i oglądając za siebie błagał ją, żeby nigdy nie poruszała tych tematów w obecności wujków lub cioć. Nie musi zaprzętać swojej ślicznej główki tymi sprawami. Nie miał pojęcia, że główka mogłaby sprzedać i jego, i jego wujków, gdyby jej się to opłacało. Hester złościła się i planowała. Całe te pieniądze nic nie robią. Leżą w bankach i pracują na Wielkiego Boga Biznesu - Kapitał, czczony niczym świętość. Bradfordowie wydawali pieniądze tak, jakby były krwawicą ich życia.

Pierwszy rodzinny obiad wprowadził ją w osłupienie. Ciotki pokazały się w sukniach, które musiały być robione jeszcze na ich ślubne wyprawy, lecz obwieszane perłami, szmaragdami i rubinami, przemyślnie ułożonymi we wzory inicjałów. Hester mogłaby spokojnie włożyć własne klejnoty, ale zbyt dobrze wiedziała, jak jest bogata. Intercyzą zajęła się sama, poinstruowała swoich prawników co do tego, ile majątku można ujawnić, oczywiście jak najmniej. Utrzymała pod całkowitą kontrolą

dziwięćdziesiąt pięć procent. Użyła go do wykupienia pewnej liczby zbankrutowanych kompanii. Jedna produkowała uzbrojenie, druga jedwabne pończochy, trzecia miała przędzalnię bawełny, a czwarta wyroby z aluminium. Po krachu wszystkie mogły produkować więcej. Póki istniały ograniczenia, wszystko czekało w pogotowiu. Z Bradfordami był zaś kłopot tego typu, że gloryfikowali przeszłość nie ufając przyszłości. Hester żyła tylko przyszłością.

Tymczasem uczyła się, na ile jej pozwolono, zasad funkcjonowania Bradford i Synowie. Chciałaby pozostawać po obiedzie z mężczyznami przy stole i brać udział w dyskusjach. Zamiast tego przechodziła z innymi kobietami do salonu lub „gawędzalni”, jak nazywano to w Bostonie. Gadaniny o garach, ciężach, małżeństwach i śmierci zanudzały ją do łez. Hester wiedziała, że oczekują od niej syna i dziedzica, raczej wcześniej niż później, ale nie miała zamiaru ulegać tej presji. Ojciec powtarzał jej zawsze: „Najpierw sama zejźdź na łąd i zobacz, czym dysponujesz, żeby przetrwać, dopiero potem sprowadzaj swojego konia”.

Trzy miesiące po przyzwoleniu mężowi na odebranie jej dziewictwa (nic poza tym - seks z Winthropem ją nużył) nie pozostało jej nic innego, jak odkryć, że jest w ciąży, by potem jeszcze mniej cieszyć się z tego, że urodziła dziewczynkę. Oczekiwano więc, że znowu przejdzie przez to przekleństwo.

Zgodnie z tradycją Bradfordów córka dostała imię prababki, Abigail. Po roku Hester ponownie zaszła w ciążę. Pod swoją solidną, bostońską fasadą Winthrop ukrywał silny pociąg seksualny, a Hester odkryła, że po stosunku jest on znacznie bardziej skłonny odpowiadać na pytania na temat firmy. On ze swej strony zadowolony był, że przekonał żonę do seksu. O tym, że nie angażowała się ani fizycznie, ani uczuciowo, nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że każdej nocy była chętna i oczekująca. Dla niej zaś istotne było to, co później z niego wyciągała.

Znowu urodziła córkę. Dostała imię po matce i wspólnej dla obu gałęzi prababce, lecz skazano ją po wsze czasy na imię Binka, a to dzięki wujowi Brewsterowi, który spojrzął na nią i zawołał:

- Cóż, w porównaniu z Abby to drobinka... Binka.

Teraz Hester wiedziała już o rodzinnej firmie wszystko, co było jej potrzebne. Interesował ją zwłaszcza rozkład udziałów, który polegał na tym, że nikt nie mógł posiadać przeważającej większości... Ta zaś stała się celem Hester.

Mała Binka omal jej nie zabiła. Po porodzie Hester długo dochodziła do siebie. Lekarze ostrzegli ją przed następną ciążą, nim miną dwa lata, więc wściekła się na męża. Wszyscy wiedzieli, że płeć dziecka zależy od mężczyzny.

W rodzinie Bradfordów płeć była sprawą najważniejszą. Mężczyźni prowadzili wszystko. Hester wiedziała, że jeśli może mieć jakąś władzę, to tylko w ten sposób, że wszystko ma być podporządkowane, przynajmniej pozornie, dobru jej syna. Zignorowała więc zalecenia lekarzy. Dała się zapłodnić Winthropowi i po dziewięciu tygodniach poroniła. W tym czasie Pearl Harbor wciągnął Amerykę do wojny, a ona poroniła jeszcze trzy razy, w tym dwóch chłopców. Była zrozpaczona, że koniec wojny blisko, bo liczyła na to, że najmłodszy mężczyźni Bradfordów poginą, a to byłoby coś. Jej własny syn nie powinien mieć konkurentów. Musiała go urodzić. Miała prawdopodobnie ostatnią szansę. Gdy więc Winthrop, rezerwista marynarki, został powołany do armii, zanim wyjechał do Norfolk w Wirginii, wykorzystała fakt, że pożądał jej bez granic, i w samą porę począł dziecko.

Tym razem powinna być ostrożna. Rzeczywiście, ale gdy wuj Brewster dowiedział się, że jego jedyny syn zginął na Guadalcanal, dostał ataku serca i w ciągu dwudziestu czterech godzin zmarł.

Zaraz po tej śmierci, także na Pacyfiku, zestrzelono samolot Lowella, najstarszego syna wuja Timothy'ego, a Eliot, pierworodny wuja Willy'ego, zaginął nad Guam. Te wiadomości powaliły starców i znaleźli się pod opieką lekarzy. Hester zrozumiała, że nadszedł jej czas. Zanim starzy byli w stanie znowu kierować rodem, zainstalowała się w biurze Winthropa przy Commonwealth Street. Wydawała rozporządzenia i zarządzenia.

Otworzyła swoje cztery fabryki. Były przygotowane do pracy na pełnych obrotach. Fabryki włókiennicze produkowały mundury dla armii, warsztaty tkackie spadochrony, zakłady metalowe - części do samolotów, fabryka broni puła pociskami. Wszystkie opierały się na ścisłych kontraktach i przynosiły ogromne zyski. Bez wysiłku poradziła sobie z protestami siedemdziesięciosiedmioletniego i głuchego jak pień wuja Timothy'ego i wuja Willy'ego, pokręconego artretyzmem. Młody Willy nie sprzeciwiał się jej. Miał płaskostopie i astygmatyzm. Hester znalazła się w swoim żywiole, jak za czasów Arun. Kopiając i gryząc przeciągnęła rodzinną firmę w wiek dwudziesty. Gdy Winthrop przyjechał do domu na urlop, było już po wszystkim.

- Chodź do mnie, kochanie - powiedziała ożywiona, gdy okazał niezadowolenie. - Nie myślisz, że przez te lata siedzenia i słuchania niczego się nie nauczyłam?

Fakt, że nie tyle się nauczyła, co prześcignęła jego samego, uderzyło miłość własną jej męża obuchem, co młody Will tłumaczył po swojemu, mówiąc: „Ona jest jak dynamit, wuju Win. Jakież z niej organizator! Nic nie umknie jej uwagi!”

W ciąży czy nie, Hester postanowiła jeździć do wszystkich tych rejonów walk, gdzie armia wykorzystywała produkty Bradfordów. Mieszkała i jadła z mężczyznami. Wygłaszała tyrady do generałów i admirałów. Dzięki ogłupionemu fotografowi z magazynu „Life” dotarła pod strzechy. Jej wygląd, sylwetka, beznamietna odwaga stały się źródłem nie kończących się artykułów. (Jak młody Timothy zauważył w liście do swojej żony: „Gdyby Japończyk do niej mierzył, wystarczyłoby, żeby spojrzała na niego i zapytała: Czy nie widzisz kim jestem?...”) Tym lepiej dla biznesu.

Jeżeli ktokolwiek, komu z butów wystawała słoma, wskazał na nią, że nie tylko pochodzenie, ale i ciąża uniemożliwiają jej ryzykowne wyprawy w głąb dżungli albo przelot nie ogrzewaną Dakotą, albo obijanie się w ciasnocie kabiny na pokładzie niszczyciela, ignorowała go. To była okazja zesłana przez niebiosy, lecz anatema dla rodziny. W popłochu otwierali poranną prasę truchlejąc, czy przypadkiem nie ma jej w nagłówkach. Kiedy ponownie poroniła, wszyscy syczeli przez zaciśnięte zęby „A nie mówiłem?” Jednak robili to za jej plecami. Hester ulżyło. Poroniła dziewczynkę. Oszczędziła sobie następnych czterech ponurych miesięcy czekania na to, czego by nie chciała.

Powróciła do swojego żywiołu. Organizowała wszystko i wszystkich, którzy stanęli jej na drodze. Prawdziwą sławę zdobyła wówczas, gdy prezydent Roosevelt zaprosił ją do Białego Domu na obiad, co odnotowały pierwsze strony gazet. W dodatku prezydent oświadczył, że jest ona najznakomitszą z kobiet. Można tylko życzyć sobie, byśmy mieli więcej takich pań jak ona. Niechętni mu Bradfordowie szeptali między sobą, że tego już za wiele.

Kiedy wiosną 1944 roku Winthrop powiedział, że wysyłają go do Europy, bez wątpienia po to, żeby wziąć udział w zbliżającej się inwazji, zawsze praktyczna Hester pojęła, że może już nie wrócić. Najważniejsze było, by spłodził syna. Wykąpała się i wyperfumowała. Zabroniła, by ktokolwiek jej przeszkadzał, nawet gdyby telefonowano z Białego Domu. I przygotowywała się do poczęcia.

Winthrop nigdy czegoś takiego nie przeżył. Olśniony i ogłupiały jak po alkoholu, czuł się tak, jakby żona wypruwała z niego wszystkie flaki. Dochodził tak często i tak wyczerpująco, że zdawało

mu się, iż rozniesie go w pył. Tryskał z takim hukiem, że był pewien, że słyszą go aż na Brooklynie, a echa jego jęków i krzyków niosły się jeszcze dalej. Aż doszedł tak głęboko, że Hester miała pewność, iż ziarno zostało posiane. Czas był odpowiedni. Strzał w środek okresu. Albo będzie to syn, albo skona z wysiłku.

Jej mąż wyczołgał się rankiem z domu, żeby zdążyć na samolot. Zdruzgotany i zmordowany, z obolałymi jajami, oszołomiony, nie wiedział, że syn, którego nigdy nie ujrzy, chwytą się właśnie macicy jego żony. Zginął dziesięć tygodni po wylądowaniu w Anglii. W klubie, gdzie wraz z kolegami delektował się spokojnym drinkiem, V2 rozerwał go na strzępy nie do zidentyfikowania. To, co myślano, że jest nim, przesłano statkiem do Bostonu. Pochowano go z honorami pośród jego przodków. Hester, która wstała z łóżka na pogrzeb, zauważyła praktycznie, że zostawiając jej syna, spełnił swój prawdziwy obowiązek. Bo musiał to być syn. Myśl o córce nawet nie powstała jej w głowie. Tym razem troszczyła się o siebie. Wróciła do łóżka z baterią telefonów, od których nikt nie był bezpieczny. To była jej ostatnia szansa. Tym razem powinna urodzić syna. I urodziła. W dzień urodzin swojego ojca.

Kiedy go zobaczyła, natychmiast zapalała do niego głęboką miłością. Po raz drugi w życiu. To był Conyngham-Bradford. Miał twarz jej ojca. Także oczy i włosy. Dała mu więc jego imię.

Jonathan Winthrop V, dla rodziny Brad. Święcie wierzyła, że był reinkarnacją jej ojca. Myślała, że stał się cud. Karmiła go sama. Żadnych butelek, które były dobre dla córek. Chciała czuć, jak jej syn ssie żarłocznie, jak zaciska na jej piersiach piastki. W ten sposób raz jeszcze, fizycznie i uczuciowo, łączyła się z ojcem. Pierwszy orgazm od czasu jego śmierci miała w trakcie karmienia. Cudowny, eksplodujący orgazm, po którym oddała synkowi boską cześć. Spędzała całe godziny nad jego nagim ciałkiem, pieszcząc ustami każdy cal, a zwłaszcza mały penis. Córek nie znosiła dłużej niż przez kilka chwil, z rozmysłem oddawała je piastunce. Z synem nie umiała się rozstać. Gdy powróciła do pracy, brała go ze sobą i stawiała jego koszyczek przy swoim biurku. Na czas karmienia zamykała drzwi na klucz.

Winthrop cały majątek pozostawił żonie, która długo i ciężko pracowała nad nim tak, że nie miała żadnych zobowiązań. Odziedziczyła jego bezpośrednio dwadzieścia pięć procent udziałów, a także te, które otrzymał od wujów, gdy potracili dziedziców. Zanim ostatni z Bradfordów na dobre powrócił z wojny, zgromadziła pięćdziesiąt pięć procent udziałów. Chciała zgromadzić sześćdziesiąt pięć procent.

Skupiła się na kuzynce Amandzie, wdowie po Bradfordzie, do której należało dziesięć procent. (Jej matka była emancypantką z Bostonu). Była postacią o ekstrawaganckich potrzebach seksualnych. Większą część czasu spędzała w łóżku z mężczyznami. Jej mąż jeszcze nie zdążył wyjechać do swojego pododdziału, a ją już walił komandor porucznik, którego okręt cumował w dokach remontowych. Nie miała pojęcia, z kim zaszła w ciążę, ale wiedziała, że musi ją usunąć. Aborcję sfuszowano i w końcu błagała swą kuzynkę, Hester, o pomoc.

W czasie współpracy z grupą wysokich oficerów w zamian za kilka tłustych kontraktów Hester urządziła prywatną klinikę, w której zdrapywano z najlepszych macic Bostonu wszelkie niepotrzebne depozyty. Wiele bostońskich debutantek bez mrugnięcia przechodziło nawą kościoła Świętej Trójcy w stronę ławki Bradfordów, gdzie siedziała Hester, która organizowała dla nich wstęp do kliniki i zabiegi. Nie zawiodła też kuzynki Amandy, która powiedziała jej z wdzięcznością:

- Uratowałeś mój tyłek.
- A ja myślałam, że chodziło o reputację.

- Tak czy owak, jestem naprawdę wdzięczna. Jeżeli mogłabym coś dla ciebie zrobić...

- Mogłabyś. Sprzedaj mi swoje udziały. Amanda wyglądała na zaszokowaną.

- Nie mogę tego zrobić! Bradfordowie nigdy nie pozbywają się swoich udziałów.

- Na rzecz obcych.

- Tak, ale rodzinie by to się nie spodobało. - Amanda protestowała niczym dziewczyna, zastanawiając, się na jakie kupczenie może sobie pozwolić.

- A czy spodobałoby ci się, gdyby wyszło na jaw, że przy Brattle Street w Cambridge urządziłaś sobie dom, gdzie spotykasz się niejednokrotnie z kilkoma mężczyznami naraz?

Amanda pobladła. Kurwa, pomyślała jadowicie. Jak, u diabła, dowiedziała się o tym?

- Dlatego potrzebuję twoich pięciu procent i tych pięciu procent, które dostałaś po Brooksie.

Amanda zastanawiała się.

- Ile? - spytała wreszcie.

- Cena rynkowa.

- Ale dla ciebie, Hester, są one warte z pewnością znacznie więcej.

- W tej chwili interesuje nas ich wartość dla ciebie. Amanda płonęła daremnym gniewem.

- Nigdy nie miałam cię za świętszą od papieża. - Zaśmiała się szyderczo. - Mogłaś ogłupić starych ramoli rodziny, ale ja od początku poznałam, jaki z ciebie numer.

Hester uśmiechnęła się z politowaniem.

- Moja Amando, powiedz mi, który facet cię nie miał?

Amanda zacisnęła zęby. Czysta, potrójnie destylowana kurwa, pomyślała z wściekłością. Z zegarkiem zamiast serca.

- Każdy transfer udziałów musi być zaaprobowany przez Radę.

- Ja jestem Radą. - Znowu z politowaniem uśmiechnęła się Hester.

- I to jest to, czego zawsze chciałaś, tak? Władza jest dla ciebie tym, czym dla mnie jest seks. Nie możesz bez niej żyć.

- Mam plany - odrzekła Hester i dodała z zimnym okrucieństwem. - Wojna jest zbawieniem dla nas obu. Dla ciebie, w twoim małym kącie, albo raczej łóżku, a dla mnie w moim. Zmierzam do kontynuowania dobrych czasów i muszę mieć wolną rękę. W ten czy w inny sposób. I tak będzie.

- Co dostanę za moje dziesięć procent?

- Gotówkę lub udziały.

- Tego nie można zrobić jawnie! - Amandę zatkało.

- Nie bądź głupia. Nie mam zamiaru obciążać się udziałowcami. Zaproponuję nową emisję, która zostanie w rękach rodziny. Nie spowoduje protestów, a jedynie dywidendy. Większe, niż kiedykolwiek miałaś.

Amanda w to nie wątpiła. Już poznała swoją kuzynkę. Kombinacja Hitlera, Stalina i królowej Wiktorii.

- W porządku, są twoje. Chcę jednak, żeby prawnik przejrzał niektóre dokumenty. - Jeden z jej kochanków był adwokatem.

- Wedle życzenia.

Odbyło się to tak, że gdy wspomnianych czworo ocalałych z wojny członków Rady zasiadło w pokoju wraz z trzema stojącymi z tyłu, Hester posiadała sześćdziesiąt pięć procent pakietu kontrolnego. Gdy zebranie się skończyło, miała już siedemdziesiąt pięć procent. Młody Cabot Winthrop, będąc na wojnie, zasmakował w innym życiu i nie miał zamiaru powracać do dawnego.

Wolał sprzedać swoje udziały ciotce Hester, wybudować jacht, który sam zaprojektował, i opłynąć nim świat dookoła.

- Wygląda na to, ciociu Hester... - zauważył z przekąsem później trzydziestodwuletni Timothy - że Bradford i Synowie także ponoszą konsekwencje dawnych konfliktów.

- Jakie konsekwencje? - replikowała żywo. - Pomysły, które ci przedstawiam, zaprzeczają temu. Nasze zapasy nigdy nie były tak obfite, a nasze księgi tak pełne kontraktów.

- Efekt kumulacyjny ostatnich czterech lat potrzebuje nieco czasu, żeby zacząć działać.

- Wojna stała się przyczyną eksplozji technologicznej, zapamiętaj moje słowa. Firma Bradford i Synowie musi wyłożyć gotówkę. Zostaw to mnie, Timothy, a będziemy prowadzić paradę zwycięzców.

- I tam cię widzę.

Lecz, jak wszyscy inni, nie miał wyboru. Mógł tylko uczepić się własnego kapelusza i żeglować z wiatrem. Hester za plecami; wyczuwała zmiany niczym pies gończy. Przyglądał się w zgorzknieniu jej gotowości do reakcji na boom telewizyjny, który ogarnął cały kraj, a jedno z jej nowych przedsięwzięstw wypluwało odbiorniki tysiącami. Przewidziała popyt na tanie budownictwo i weszła w prefabrykaty. Dostrzegła nadchodzącą dominację plastiku i zbudowała dla tej branży rozległy kompleks. Planowała ryzykowne inwestycje w elektronikę i zyski przekroczyły teoretyczne wykresy. Na placach, które nabyła z rozmysłem wiele lat wcześniej, zbudowała nowe, prestiżowe centra. Stare biura przy Commonwealth Street utrzymywano jako ślady świetnej przeszłości. Wywiozła wszystkie stare victoriana i edwardiana, które zaśmiewały dom przy Mount Vernon Street, i zastąpiła wspaniałym starym umeblowaniem przeznaczonym uprzednio na strych. Nikt się nie zdziwił, gdy opisano to w Przewodniku Bostońskim. Hester podniecały zwycięstwa. Wszystko szło jak z płatka. I miała syna.

Córki wkrótce przekonały się, że podczas gdy one mogły liczyć na matczyne rozsądek i bezstronność, całą miłość otrzymał ich brat. Dzieci Hester wychowane były na modłę angielską. W wieku przedszkolnym zajmowały się nimi angielska piastunka i także guwernantka. Następnie Hester odesłała córki do szkół z żądaniem dobrego sprawowania się i celujących ocen. Z synem nie potrafiła się rozstać. Podobał jej się pomysł wysłania go do Eton, chociaż wiedziała, że nie zniesie, by był tak daleko. A zatem, niestety, szkoła amerykańska. Po starannych rozpytywaniach wybrała Akademię Filipa w Andover, najwcześniej zarejestrowaną uczelnię amerykańską, założoną w 1778 roku. Trochę gorszą od Eton, ale bliższą.

Nigdy nie przestała wpajać dzieciom, jak ważne jest ich angielskie dziedzictwo. Każdego lata brała je do Arun, co cała trójka uwielbiała. Abby z powodu koni, Binka za majestatyczność, a Brad dlatego, że w Arun stracił cnotę z jedną ze służących. Dał tym swojej matce okazję do przypieczętowania jej dominacji. Dziewczyna zaszła w ciążę, Hester zaś odkryła, że jej mężem był jeden z robotników na którejś z wielu farm posiadłości. Ojcostwo należało się więc jemu. Zostało to zorganizowane błyskawicznie, bezwzględnie i bez plotek.

Hester pojęła, że jej syn doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co i dlaczego zrobiła. To był pierwszy z niezliczonych razy, gdy wyciągała go z opresji, w które się pakował, i z których później nie umiał wybrnąć. Zasiało to w nim, zgodnie z jej wolą, przekonanie, że ma w swojej matce protestancki ekwiwalent Świętej Dziewicy. W jego oczach matka była doskonała. Wierzył w nią ślepo, wielbiąc bezgranicznie. Nie mogła się mylić. Była samą Prawdą. Wcieleniem Matki Bożej. Przerażała go, łudziła, niszczyła.

Dojrzał jako mężczyzna nieodparcie atrakcyjny dla kobiet. Oślepiająco piękny, chłopięcy, nieczuły, egoistyczny konsument seksu, zawsze biorący, nigdy nie ofiarowujący niczego poza swoim zdumiewającym erotycznym talentem.

W tych rzadkich okazjach, gdy jakaś kobieta poruszała w nim nie tylko lędźwia, matka dławiała uczucie w zarodku.

Gdy ukończył Harvard, wzięła go pod kuratelę. Podróżował razem z nią, z początku jako obserwator, a gdy się podszkolił, pozwalała mu po trochu brać udział w swoich różnorodnych interesach i grach władzy. Wdrażała go w zawilości uzyskiwania przewagi. Gdzie i jak precyzyjnie wywierać nacisk. Rodzaj i różnorodność koniecznych manipulacji i blefów. Uczyła go chytrej i diabła zręcznej gry, w którą grała i niezmiennie wygrywała. Jego przekonanie o wszechmocnej i miłosiernej matce umacniało go we wszystkim, co widział i czego się uczył, co z kolei służyło do potęgowania jej dominacji.

Wkrótce odbywał większość podróży. Matka stała za plecami, w centrum pajęczyny, zawsze przygotowana, gotowa zareagować na najmniejszą wibrację nitek.

Gdy starsze córki przyszły do niej i powiedziały z powagą, że Brad ma wstrętą reputację, zaśmiała się rozbawiona, dobrze znając temperament syna. Stwierdziła z głosem ociekającym pogardą:

- Zazdrosne języki. Znam mojego syna i skoro ja się nie martwię, to nie widzę powodu, dla którego wy lub ktokolwiek inny miałby to robić. Jeżeli kobiety są tak żarłoczne i głupie, że chcą więcej, niż on zechce im dać, jest to ich sprawa. Ja wiem, że Brad jest dla nich jak dzban miodu. I w tym także przypomina mojego ojca.

Jej uśmiech zmienił się nieco.

- On także był mężczyzną rozbijającym atrakcyjnym. O tak, mężczyzną wybranym spośród innych...

Abby rozpoznała w oczach matki błysk, który pojawiał się tylko wtedy, gdy mówiła o swoim ojcu. Wiedziała, że traci czas.

I powtarzały się dawne historie: brudne rozwody, bijatyki, a nawet samobójstwa. Kiedy nie było innego wyjścia, Brad chował się pod sukienką matki, a ona prała jego brudy.

Lady Hester całkowicie akceptowała seksualne praktyki syna. Traktował kobiety tak, jak ona traktowała mężczyzn. Poza tym dawał jej poczucie zemsty na Helenie Fortesque i wszystkich tych innych paniach, które chciały usidlić jej ojca. Brad mógł mieć wszystkie, jakie chciał. Rzucał je i skazywał na śmierć.

Na szczęście jego emocje zostały zablokowane i sam nigdy aż tak się nie pogrążał. Jeśli czasami, co nie było częste, zastanawiał się, dlaczego nie umiał ułożyć stałego związku, jego matka zaraz rozwiewała wszelkie wątpliwości.

- Przypuszczam, mój drogi, że pewnego dnia będziesz musiał się ożenić - powiadała z żalem. - Lecz znalezienie odpowiedniej, ba, doskonałej kobiety, jest zadaniem dla Herkulesa.

- Nie potrzebuję żony. Mam ciebie - odpowiadał, a ona głaskała go po policzku i uśmiechała się drżąca, zadowolona i głęboko usatysfakcjonowana.

- Pochlebca...

Lecz gdy dojrzywał, zaczynała rozważać zagadnienie odpowiedniej żony. Powinna być uległa. Musi chcieć zadowalać nie tylko Brada, ale także ją. Miał trzydzieści lat. Pozwoliła mu na egoizm i rozpustę. Ale co dalej? Hester uważała, że tak krótkie życie było bardzo kiepskim planem

Wszechmocnego.

W trakcie szczegółowych poszukiwań coraz częściej rozmyślała o Karolinie Norton, siostrze przyjaciela Brada, Bradleya Nortona. Jej ojciec, Eldridge Norton (oryginalnie Elmo Notoriani), zaczynał na pchlim targu w Chicago, by zostać największym na Wschodnim Wybrzeżu dostawcą złomu i milionerem. Jego żona, Elaine (Esther Schnautzer) swoją pozycję osiągnęła także dzięki wieloletnim staraniom; Hester stwierdziła, że jest przerażająca. Lecz Nortonowie byli bardzo bogaci, dzięki czemu Karolina otrzymała wszechstronne wykształcenie w najlepszych szkołach. Ukończyła je jako piękna laleczka Barbie. Pruderyjna, egoistyczna, bezwzględnie egzekwująca zaspokajanie wszelkich swoich zachcianek, zapragnęła zostać panią J. Winthrop Bradford V. Jej matka podzielała tę ambicję.

Ponieważ za Karoliną stała i firma Norton Inc's Dun i Bradstreet, i bieżące aktywa kompanii, Hester uznała, że Karolina warta jest głębszego namysłu. Matka powinna oczywiście pozostać tam, gdzie było jej miejsce. Ojciec, nie oszlifowany diament, nadal wart był bardzo wiele. W związku z tym zaprosiła Karolinę na weekend do jednej z farm.

Dobrze wiedząc, że została wybrana, Karolina nie szczędziła sił, by wywrzeć wrażenie. Toteż odpicowała się na słodką dziewicę. Kochała Brada beznadziejnie, zrobiłaby wszystko, aby go zdobyć. Gdy wróciła do Filadelfii, Hester wezwała syna.

- Piękna dziewczyna - powiedziała. - Słodka, aż zęby bolą, ale absolutnie wpatrzona w ciebie, mój drogi.

- Jest w porządku - przyznał Brad obojętnie. - Ale mdła. Raczej lemoniada niż szampan.

- Który najlepiej gasi pragnienie - wpadła w słowo matka. - Z układem, który proponuje jej ojciec, będziesz mógł pić szampana dzień w dzień przez resztę swojego życia!

Bradowi nie było do śmiechu.

- Kochanie, kiedyś będziesz musiał się ożenić. Karolina jest śliczna. Wprawdzie niezbyt błyskotliwa, ale jak wykorzenie z niej wszelkie ślady jej odrażającej matki, nie sprawi ci żadnych kłopotów. Wystarczy, że dasz jej nazwisko i dzieci. Ona zajmie się nimi, a ty będziesz prowadził takie życie, jakie będzie ci się podobało. Byle dyskretnie. Nortonowie to tchórzliwi nuworysze. Rozchmurz się. Jesteś moim jedynym synem, najdroższy.

Chciałbyś mieć pedantkę, jaką ma Timothy, czy piekielnicę, jak Eliot?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Wszystko, co robię, robię dla ciebie, mój drogi. I dla twoich dzieci. Jeśli ja musiałam pokonać śmierć, żeby mieć ciebie, to ty mógłbyś przynajmniej chcieć podzielić się ze mną życiem.

Jak zwykle, posłużyła się jego poczuciem winy.

- Czy chodzi o to, że nie jest dla ciebie wystarczająco atrakcyjna? Wiem, że masz duże wymagania.

- Ona jest w porządku, ale mnie nie ekscytuje i nie pociąga. Nie kocham jej.

- Ależ kochanie, to bardzo dobrze! Ludzie o twojej pozycji nie mogą pozwolić sobie na małżeństwo z miłości. Daleko ważniejszy jest sam akt ślubu.

Brad dał się przekonać, że Karolina Norton się sprawdzi. On da nazwisko i spłodzi dzieci. O tym, by miał dać siebie, nie było mowy.

Wykonał zatem swój obowiązek. Formalne zaloty zakończyły się oświadczeniami, a wielki bostoński ślub miał zwieńczyć dzieło. Organizację całości Hester mocno trzymała w swoich rękach.

- Boże, co za snobistyczna, wścibska, wiedźma! - wybuchła Elaine, gdy wróciła do domu po

ciężko przewalczonej sesji. - Chryste, cóż to za arogancka kurwa!

- Chcesz, żebym wyszła za jej syna, matko. - Karolina przypomniła jej z płaczem. - Twoje wnuki będą wielkimi wnukami markiza. Czy nie o to zawsze ci chodziło?

- Ale nie o to, żeby brnąć w tym celu przez gówno. Karolina skrzywiła się.

- Nie bądź wulgarna.

- Z tym, co to kosztuje twojego ojca, będę taka, jak mi się, kurwa, podoba! Wypruwamy z siebie żyły, żebyś mogła się nazywać panią J. Winthrop Bradford. To ma być układ małżeński? Raczej szantaż!

- Chcę Brada i będę go miała - Karolina ostrzegła matkę straszonym głosem. - Nie roztkliwiał się nad moją cipą!

- Za bardzo szalejesz za tym buchajem. Po ślubie masz trzymać nogi razem.

- Nie martw się. Jak będę miała na palcu obrączkę, z wieloma sprawami dam sobie radę.

- Tylko jeśli przewleciesz mu ją przez nos.

Wtedy będę mogła dokonać tego z dala od jego matki, myślała Karolina, przyglądając się narzeczonemu, który od powrotu z Europy wyglądał na zakochanego. Bez wątpienia został naznaczony przez jakąś kobietę, coś nim tak wzburzyło, że odcisnęło ślady na jego twarzy, Karolina nie miała złudzeń, że Brad żeni się z nią wyłącznie ze względu na matkę, a obrączkę ślubną dołączy do konfetti. Uśmiechała się sama do siebie. To, co mogłoby mu się spodobać, i to, co mogłoby wywołać w nim poczucie nudy, nie miało żadnego punktu wspólnego. A w środku? Tym środkiem, jak zawsze zresztą, zainteresowana była Karolina Norton. To było to, czego chciała dokonać.

Rozdział siódmy.

Julia nie od razu zorientowała się, że jest w ciąży. Po tym, jak Brad brutalnie się jej pozbył, zamknęła się w sobie i funkcjonowała jak automat. Nic nie czuła, niczego nie dostrzegała, a zwłaszcza braku dwóch okresów. A kiedy dotarło to do niej, nie doznała szoku. Wpadła w oszołomienie i apatię. Mimo wszystko wzięła kalendarzyk i zaczęła liczyć. Ostatnim razem, gdy przyjechał Brad, była akurat w środku cyklu. Sprawdziła, że nie brała pigułek. Jak wszystko inne, pomyślała. To efekt tego, co ze mną zrobił.

Chris zauważyła jej bladość, wychudzenie, większą niż zwykle skłonność do zadumy i spytała, co się dzieje. Julia powiedziała jej prawdę. Chris załamała ręce z przestachu.

- Co takiego? W dzisiejszych czasach? O czym, na miłość boską, myślałaś?

- Wiesz, że w ogóle nie myślałam. Chris potrząsała głową.

- Ech, Julio, Julio, a ja miałam ciebie za najbardziej inteligentną z kobiet. Nastolatka byłaby lepiej uświadomiona. - Westchnęła zirytowana. - No tak, brak doświadczenia, w twoim wypadku niewinność, zawsze tak się kończy. Co się stało, to się nie odstanie. - Zamilkła. - Musimy się tego pozbyć.

Głos miała współczujący, a słowa bezlitośnie praktyczne.

- Wiem - powiedziała Julia bez przekonania.

- Czy aby na pewno?

Julia skinęła głową.

- Tak. Już o tym myślałam. Nie mogę mieć tego dziecka. Nie jestem na nie przygotowana ani emocjonalnie, ani w żaden inny sposób. - Jej głos stwardniał. - To był błąd.

- Zdj się na mnie. Dokładnie wiem, jak się to załatwia.

- Zrobię, co tylko powiesz.

Poddała się posłusznie, bez zaangażowania oddając swoje ciało do zabiegu w prywatnej klinice, gdzie znalazła się w piątek po południu. Jej macica została wyczyszczona. Ocknęła się o dziesiątej, czując tępe świdrowanie w dole brzucha i pusty ból w sercu. To się przytrafiło nie jej! Nie wybitnie praktycznej, ostrożnej Julii Carrey. Powinna obudzić się w ciągu minuty, zobaczyć, że jest deszczowe poniedziałkowe przedpołudnie i że zasnęła.

Lecz to nie był sen, a mały pokój szpitalny, ze szpitalnymi zapachami i hałasami, był konkretny jak ból i krwawienie. Wiedziała, że powinna czuć ulgę. Była wdzięczna Chris za jej troskę i późniejszą krzątanie, ale czuła tylko zimno i odrętwienie. Rachunek, który otrzymała, opiewał na sumę równą wygranej w kasynie, kiedy Brad postawił za nią zakład. Zatem, liczyła beznamietnie, nie wydała ani grosza. Oczywiście, jeśli chodzi o pieniądze.

Wzięła w pracy tydzień wolnego i skryła się jak ranne zwierzę, śpiąc przez większość czasu dzięki tabletkom, które dał jej lekarz. W ten sposób nie musiała myśleć. Kiedy nie spała, snuła się po

mieszkańcu niczym tygrys w klatce. Została ukarana, tłumaczyła sobie. Ponieważ zbłądziła, ponieważ nie zachowywała się tak, jak powinna. Czy nie ostrzegała samej siebie, że będzie żałować? Powinna była pozostać sobą. Bezpiecznie martwa. Bez pragnień, bez potrzeb. Nie tak jak teraz, kiedy chce i potrzebuje Brada. Nawet teraz, wbrew wszystkiemu. Gdyby otworzył drzwi, rzuciłaby mu się w ramiona.

Po tygodniu jeszcze nie była w stanie zabrać się do pracy. Wzięła więc następny tydzień, co usprawiedliwiła zaleceniem lekarza, i pojechała do Yorkshire. Do swoich korzeni. Tam, gdzie nie nie przypominało jej Brada, który odszedł wraz z nasieniem rozlanym tak obficie i beztrudnie. To doświadczenie powinno wzmocnić jej siłę, żeby już nigdy nie popełniła podobnego błędu. Powinna rozpocząć nową, czystą kartę, a tę spalić, tak jak poprzednią.

Pogoda była wspaniała. Gorąca i tak słoneczna, że chałupka wyglądała szaro w jasnym, słonecznym blasku. Pojechała do Whithy, kupiła najbielszą białą farbę i spędziła dwa dni na odnawianiu kuchni, która w końcu zaczęła wyglądać jak salonik. Pozdejmowała stare zasłony i pokrycia, zakupiła mnóstwo metrów miękkiej bawełnianej satyny w migdałowo-zielone nasturcje i zasiadła do maszyny do szycia, żeby zrobić nowe. Czowała przymus pracy, pracy i pracy... Zajęła się ogrodem, spędzała godziny z motyką. Plewiła. Była wyczerpana tak bardzo, że kładła się do łóżka już o ósmej. Tabletki dawały jej dziesięć, czasami dwanaście godzin zapomnienia. Poza tym spacerowała daleko i samotnie, wzdłuż skał i plaży. Pewnego popołudnia zachmurzyło się nagle. Lunęło i nim wróciła na ścieżkę, była cała mokra. Ponieważ pochyliła głowę, żeby ochronić twarz przed smugami deszczu, nie zauważyła samochodu parkującego przed furtką jej ogrodu, zanim nie stanęła obok niego. Szary Bentley Continental. Zamarła i bezmyślnie gapiała się na auto, gdy usłyszała:

- Dzień dobry, Julio.

Za furtką stał Brad. Przeniosła na niego wzrok.

- Przemokłaś - powiedział szybko. - Lepiej wejdź do środka i wysusz się.

Przeszła obok niego bez słowa i weszła do domu. Poszła prosto na górę do łazienki. Zrzuciła przemoczone ubranie, wytarła się do sucha, otuliła w płaszcz kąpielowy, owinęła ręcznikiem głowę. Naraz zrobiło jej się słabo. Rozdygotana padła na łóżko. Walilo jej serce, czuła mdłości. Nie gram już żadnej gry, myślała spanikowana. Nie mogę. Nie mam więcej siły. Ogarnęła ją wściekłość, jak wrząca lawa. Co on sobie, do diabła, wyobraża, że kim jest? Podrywa i rzuca. Nie pozwolę! Nie będę miała odwagi, myślała zrozpaczona. O Boże, dlaczego musiał wrócić...

Gdy poczuła się lepiej, zeszła na dół, trzymając się poręczy. Wyglądał przez okno, opierając czoło o stare belki. Słyszając ją, odwrócił się. Gdy ich oczy spotkały się, zanim ona wbiła swoje w podłogę, dawne zdradzieckie migotanie przemknęło żyłami, przemieniając jej krew w coś ciężkiego, gorącego i roztopionego. Bez słowa wymknęła się do kuchni. Trzęsącymi się rękami napełniła czajnik. Filiżanka herbaty, pomyślała.

Nie poszedł za nią. Zerknęła przez drzwi. Siedział na kanapie.

Ten numer tym razem nie przejdzie! Julię ogarnęła ślepa wściekłość. Jak on śmie brać mnie na litość! Jak śmie? Chciała miotać się po pokoju i wrzeszczeć. Zapytać, co on sobie myśli, w co gra i czym ona dla niego jest - piłką do odbijania od ściany? Jest chora, zmęczona i nim, i jego wyniszczającymi zagrywkami. Zamiast tego wróciła do zlewu i spryskała zdrętwiałą twarz zimną wodą. Nogi miała jakby związane, a w brzuchu się jej gotowało.

Gdy wróciła do pokoju, Brad wstał i wziął od niej tacę, uważając, by jej nie dotknąć. Patrzył

ukradkiem, bardzo zmartwiony. Julia opadła na fotel.

- Czego chcesz tym razem? - spytała szorstko.

- Zobaczyć ciebie, porozmawiać z tobą.

- O czym? Co mieliśmy sobie do powiedzenia, już powiedzieliśmy. Jak się dowiedziałaś, gdzie jestem?

- Od Chris.

- Nie miałaś prawa pytać i ona nie miała prawa mówić! Wyglądał na spłoszonego.

- Zmusiłem ją - powiedział z uporem i dodał zmieszany:

- Wyglądasz strasznie. Chorowałaś?

- Nie twój interes. O czym chcesz ze mną rozmawiać? Próbowала podnieść dzbanek z herbatą, ale nie dała rady.

Brad nalał dwie filiżanki i jedną postawił przed nią.

- O nas.

- O nas? Odkąd to ja i ty to my? Zawsze myślałeś tylko o sobie.

Zaczerwienił się.

- Tym razem nie sprawiłem ci przyjemnej niespodzianki, tak?

- Trzeci raz nie masz szczęścia - warknęła. Zbladł.

- Nie mówisz poważnie.

- Daj mi spokój!

- Julio, żeby cię zobaczyć, przeleciałem trzy tysiące mil. Nie mam zamiaru znowu tego zdmuchnąć.

- Wszystko, w co dmuchasz, to twoja własna trąbka! Znowu się spłoszył, ale nie chciał się wycofać.

- Nigdy nie przestałem o tobie myśleć, odkąd odszedłem, ani na chwilę.

- Nigdy nie miałam ciebie za myśliciela. Ani przez chwilę.

- Nie miałaś mnie za wiele rzeczy. Wiem o tym. Ale to, za co mnie miałaś, nie było słuszne.

Oceniłaś mnie po moim wyglądzie, który jest bez wartości.

Wpatrywał się w stary kilim Tabriza, który kupiła na aukcji.

- W sprawach materialnych potrafię ustawić kilka konfiguracji jednocześnie. W sprawach duchowych można chyba powiedzieć, że jestem bankrutem. - Podniósł na nią oczy. - Dałaś mi odwagę do spłacenia swoich długów.

Julia przyglądała mu się bez wyrazu. O czym on mówi? Nie miało to dla niej sensu, zważywszy, że próbowała się jakoś trzymać. W uszach jej szumiało. To przybliżał się do niej, to oddalał. Widziała, że jego usta się poruszały, ale nic nie słyszała. Zamknęła oczy, wzięła głęboki, uspokajający oddech i przełknęła kulę rosnącą jej w gardle.

Wygląda strasznie, myślał zszokowany Brad. Wychudzona i zniszczona. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy, spojrzenie pełne nienawiści. Boże, co ja jej zrobiłem? Ale musiałem, bo nic nie rozumiała. Musiałem! Widząc ją w takim stanie, chorą i cierpiącą, nienawykłą do ciosów, chciał wyciągnąć do niej rękę, dotknąć jej i przytulić ją. Nie miał odwagi. Fascynujące zdziwienie, że tamta Julia Carrey, którą kiedyś poznał, nie była tą wykończoną, miotaną bólem kobietą o rozpalonych oczach. Czuł, że ją kocha, bardziej niż kiedykolwiek. Dotąd nawet nie wiedział, co to znaczy kochać. Nie tak jak teraz. Boże, myślał udręczony. Co ja zrobiłem?

Tracąc nadzieję, powiedział:

- Wiem, że od początku nie miałaś do mnie zaufania. Brałaś, co proponowałem, i grałaś w moją grę. Ty myślisz, że jestem powierzchowny, prawda? Niezdolny do poważniejszych uczuć.

- Myślę, że jesteś zepsuty - odpowiedziała twardo. - Mały chłopczyk dąsający się, kiedy nie może mieć tego, co chce, a kiedy dostaje i już więcej tego nie chce, biegnie do mamy i prosi ją, by mu pomogła się tego pozbyć.

- Dlaczego więc mi to dałaś?

- Bo tak mi się podobało.

- Jezu, ależ ty jesteś okrutna.

- Taka jestem!

Jego blada twarz poczerwieniała.

- W porządku, powiedzmy sobie prawdę.

- Prawdę! Czyją prawdę? Oczywiście twoją. A to jest, jeśli pozwolisz, prawda, która nie wypowiada uczuć. Bez emocjonalnego, jak mówisz, duchowego, zaangażowania. Ot, nieczuły, bezmyślny seks. Bierzesz, rzucasz i znowu bierzesz. W twojej grze kobiety są pionkami, może nie? Ale ja nie grywam w karty! Jestem z krwi i kości, z bólu i cierpienia. Będę przeklęta, jeżeli kiedykolwiek jeszcze z tobą zagram! - Podniosła głos. - Myślałam, że mogę grać w twoją grę - w siebie! Zapomniałam, że jeśli ktokolwiek wejdzie do twojego piekła z hazardu, musi zostawić duszę za drzwiami. Jaka byłam głupia, że swoją wzięłam ze sobą. I zgubiłam ją! Ale za to winie samą siebie. Powinnam była zwracać uwagę na moje własne ostrzeżenia, a tymczasem co zrobiłam? Trwałam dalej w błędzie pozwalając ci myśleć, że znam reguły. Ich konsekwencje odbiły się na mnie. Myślę, że twoja prawda mi nie służy. Wielkie dzięki!

Jego twarz była blada i niewyraźna. Oczy miał zmęczone. Otwierał usta, a kiedy wyciągnął rękę i powiedział drżącym głosem: „Julio, na miłość boską...”, odepchnęła ją gwałtownie.

- Nigdy więcej! Nigdy więcej, mówię ci! Nie zniosę tego. Idź sobie i zostaw mnie samą!

Zakryła dłońmi usta, wypełnione żółcią torsji. Wstała i zataczając się wybiegła z pokoju. Słyszał potknięcia na schodach, a potem odgłosy bolesnych, żalonych wymiotów. Zerwał się i pobiegł na górę. Skuliła się nad umywalką, dygocąc i ciężko dysząc. Dotknął jej czoła, było zimne i wilgotne. Strząsnęła jego rękę.

- Odejdź. - Stęknęła, torturowana suchymi skurczami. - Idź stąd i zostaw mnie samą. Nigdy więcej. Już tego nie zniosę...

- Chryste, Julio!

Zsunęła się na posadzkę; oczy uciekły jej w głąb czaszki, głowa uderzyła o podłogę z głośnym stuknięciem. Opadł na kolana i zagarnął ją w ramiona. Gdy podniósł ją ostrożnie, głowa leciała jej w tył. Była lekka jak piórko. Co jej się stało? Była inną kobietą.

Znalazł drzwi do sypialni i otworzył je kopnięciem. Pochylony dach, a w nim okno. Ciężkie, toczone z brązu łóżko. Położył ją na nim i przykrył pledem. Nadal nie odzyskiwała przytomności. Podniósł jej nadgarstek - puls był słaby, trzepocący jak ptasie skrzydełka.

Przez chwilę nie wiedział, co robić. Potem pomyślał o telefonie. W świecie, do którego należał, w razie choroby dzwoni się po lekarza. Zszedł na dół. Na liście przyszpilonej z tyłu drzwi kuchennych, obok dentysty, montera i elektryka widniał numer lekarki.

Była nią kobieta, która przypominała mu matkę tak bardzo, że poczuł ulgę i spokój. Spędziła na górze długie chwile, podczas których on chodził tam i z powrotem paląc jednego papierosa za drugim. W końcu zeszła na dół, postawiła na stole swoją torbę, spojrzała na niego w zadumie i

powiedziała:

- To, co jej dolega, nie jest natury czysto somatycznej, choć wyraźnie i drastycznie straciła ostatnio na wadze. Potrzebuje dokarmiania. Jakkolwiek... - Jej oczy, tak jak oczy jego matki, wpatrywały się w niego, nie pozwalając uciec. - Cierpi na skutek ostrego szoku emocjonalnego. Co może mi pan o tym powiedzieć?

- Tylko tyle, że to ja go spowodowałem - przyznał Brad z poczuciem winy.

- Jest pan jej mężem?

- Nie.

- Więc jak to możliwe?

- Przybyłem niespodziewanie.

- Ach - powiedziała lekarka. - Myślę, że lepiej będzie, gdy powie mi pan dokładnie, co zaszło.

Kiedy to zrobił, skinęła głową.

- Wiem teraz, że żyła nerwami i dumą z takim skutkiem, że niewiele brakowało, a straciłaby i jedno, i drugie. Zalecam odpoczynek i dobre odżywianie. Rosoły, jajka ze śmietaną, tosty z masłem. Dostała środek uspokajający, więc będzie spać przez przynajmniej dwanaście godzin. Kiedy się obudzi, chciałabym, żeby jadła. Pan tutaj zostaje?

- Jestem tutaj.

- Dobrze. - Wyjęła receptularz z torby. - Proszę pójść z tym do apteki w miasteczku. Jedna tabletką co cztery godziny.

Proszę nie pozwalać jej wstawać. Będzie próbowała, ma silną wolę. Ona tym żyje. Proszę jej przeszkodzić. Proszę to sobie wbić do głowy.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Nie w jej obecnym stanie. Jest fizycznie i emocjonalnie wyczerpana. To kłopot z idealistami, nie ma na nich rady.

- Jest pani zupełnie pewna, że fizycznie nic jej nie dolega?

- Poza niedożywieniem, nic. Ma zszarpane nerwy. Cierpi z powodu ostrego emocjonalnego maltretowania, a to daleko gorzej niż dolegliwość fizyczna, pan wie. Siniaki leczy się łatwiej niż udręczoną duszę.

Odprowadził ją do samochodu. Sfatygowany Rover. Gdy wyjeżdżała, spojrzała na Bentleya i na Brada.

- Proszę brać ją także na lekkie przejażdżki - poradziła. Kiedy wrócił na górę, Julia pogrążona była w głębokim śnie.

Jej włosy na tle bieli poduszki wyglądały rozpaczliwie. Rzęsy drapały policzki tak zapadnięte, że można by nalać w nie wodę. Patrzył na nią długo, potem westchnął, wycofał się i zszedł na dół. Założył kurtkę i opuścił domek.

Julia spała cztery dni. Budziła się tylko na jedzenie. Z oporem przyjmowała tłuste rosoły, świeże wiejskie jajka, śmietaną i masło. Piła kogel-mogel rozarty z brandy. Doktor Mead odwiedzała ją codziennie. Julia wracała do zdrowia. Lekarka znalazła miejscową kobietę do gotowania i sprzątania. Pani Collier gotowała jak marzenie. Z małomównością właściwą dla Yorkshire, widziała i słyszała wszystko, ale usta trzymała zamknięte.

Piątego dnia rano doktor zeszła na dół i powiedziała:

- Zdrowieje, ale trzeba trzymać ją w łóżku przez następne kilka dni. Nie może się wysilać. Nadal jest bardzo słaba, lecz może oglądać telewizję. Musi dużo jeść. Ma bardzo dużą niedowagę.

Brad trzymał się z dala od Julii. Pani Collier nosiła tace w górę i w dół. Brad robił zakupy, wracał z najbliższego supermarketu z torbami żywności i drogimi przysmakami mającymi pobudzić apetyt.

Julia wstała pierwszy raz w niedzielę. Doktor Mead pomogła jej utrzymać się na słabych nogach.

- Jestem jak z waty.

- Byłaś chora.

- Nigdy nie jestem chora!

- Właśnie dlatego.

Julia zerknęła na lekarzkę i gdy usłyszała, że będą musiały porozmawiać, niczego nie umiała z jej twarzy wyczytać. Lekarka mówiła dalej:

- Jesteś fizycznie osłabiona, ale bogata dieta wystarczy. Opieki i uwagi wymaga twój stan emocjonalny.

Miękko pchnęła Julię na fotel, a sama usiadła na łóżku.

- Lekarz ma te same kompetencje co duchowny. Niejednokrotnie słuchamy o ludzkich troskach. Najczęściej to one są przyczyną choroby ciała.

Julia nie odpowiadała.

- Potraktuj naszą rozmowę jak spowiedź - łagodnie kontynuowała lekarka. - Moja diagnoza jest następująca: chciałaś ukarać samą siebie za grzechy znane wyłącznie tobie. Tylko poprzez wyznanie tych grzechów uzyskasz rozgrzeszenie.

Julia przyglądała się swoim dłoniom. Dopiero gdy lekarka wepchnęła w nie chusteczkę, dotarło do niej, że łka.

- Tak lepiej. - Lekarka dodawała jej odwagi. - Łzy obmywają nie tylko oczy, ale i duszę, a ja mam wrażenie, że ty uważasz swoją za beznadziejnie mroczną.

Julia rozszlochała się na dobre.

- Czy to wszystko ma związek z tym adonidem na dole? - domyślała się lekarka. - Jest bezbłędnie piękny, ale bardziej w wyglądzie niż postępkach?

Julia mogła tylko skinąć głową.

- Opowiedz mi o tym.

Bezładnie, między szlochaniem i łkaniem, nie po kolei, Julia wylewała, co ciążyło jej na duszy.

- Byłam tak zaszokowana i zła widząc go znowu. Nie oczekiwałam go w ogóle i nawet już nie chciałam. Ja go atakowałam. Zasłużył sobie na to. Byłam zdecydowana, że nie ujdzie mu to płazem. - Wytarła oczy. - Za to, co mi zrobił, powinnam go nienawidzić, ale mimo wszystko nie potrafię.

- Dlaczego powinnam go nienawidzić? Kierowałaś się własną wolną wolą. Podejrzewam, że nienawidzisz raczej siebie za to, że nie jesteś już... amatorką? Że pozwoliłaś sobie na powtórne zaangażowanie, gdy po nieszczęśliwym małżeństwie wystrzegając się mężczyzn. Dla twojej samooceny był to śmiertelny cios, prawda?

Julia przytaknęła.

- Niepowodzenia boją, a twoje cię wyniszczyły. Czy to takie ważne: być doskonałą?

- Nikt nie lubi niepowodzeń.

- Ach... - Głos lekarki był łagodny. - Nauczono cię w to wierzyć? W ideał niemożliwy do spełnienia przez żadnego człowieka. Jednak ty wymagasz od siebie więcej niż od innych, prawda?

Lekarka pogрузzyła się w myślach, po czym kontynuowała:

- Rozumiem, że gdy ty odnosiłaś błyskotliwe sukcesy, twój mąż borykał się ze studiami. Fakt, że

zarabiałaś na chleb, ranił jego dumę. Gniewał się, gdy znalazł się daleko na liście twoich zainteresowań. Na dole listy. W twoich oczach był od ciebie gorszy, a ponadto oszukał cię, znajdując sobie inną kobietę, taką na dodatek, której do szczęścia wystarczy mężczyzna i nic więcej. Jedną z tych, którymi pogardzasz?

- Powiedział, że nie jestem kobietą. - Julia załkała. - Typowy, egoistyczny samiec. Nie jestem taką, jakiej potrzebuje mężczyzna: uległa, podatna, pragnąca zadowalać. Już wiem, że nie jestem i nigdy nie będę. Próbowałam i niech pani spojrzy, gdzie mnie to zaprowadziło.

- Czy dlatego przyjęłaś propozycję adonisa? Dlatego, że czułaś, że nie jesteś kobietą, jakiej pragnie mężczyzna? A może dostrzegłaś w tym szansę wykazania sobie, że twój mąż był zły.

- Okazje miałam też wcześniej - zaprzeczyła Julia. - Ale nie skorzystałam z żadnej.

- Ponieważ cię nie pociągały, oto dlaczego. A on tak. Tak silnie, że nie byłaś zdolna się oprzeć. Jeżeli naprawdę nic od niego nie chciałaś, to powinnaś była dać mu kosza, tak jak pozostałym.

Pani doktor wzięła od niej przemoczoną chusteczkę i podała nową.

- Jaźń, która odpowiadała mu z taką namiętnością, była tym, co dawno zamknęłaś na klucz. On zaś ją uwolnił. A kiedy ujrzałaś, że kobieta, którą byłaś, nadal nie potrafi powstrzymać go przed odejściem od ciebie do innej, wymierzyłaś sobie karę.

Sponad chusteczki Julia patrzyła nieruchomo szeroko rozwartymi oczami.

- W mojej pracy często spotykam się z kobietami, które „zapominają” wziąć pigułkę. Kobieta nie zapomina, Julio. Jeśli naprawdę nie chce zajść w ciążę. Myślę, że szukałaś kary od chwili, gdy opuścił cię pierwszy raz. Do tego stopnia, że na innego mężczyznę nawet byś nie spojrzała.

Twarz Julii przypominała Studium w bieli.

- Są to sprawy skomplikowane, ja wiem. Takie zwykle jest ludzkie zachowanie. Nasze motywy nie zawsze są tymi, które uznajemy za prawdziwe. - Lekarka spoglądała na Julię wyczekująco. - On oczywiście zakładał, że jesteś przed ciążą zabezpieczona?

Julia skinęła głową.

- Opowiedz mi o waszym związku.

- Nie ma co mówić. To był seks. Koniec historii.

- Ty jednakże w sposób nieunikniony zaangażowałaś się także uczuciowo.

Milczenie Julii było potwierdzeniem.

- Czy ty go kochasz?

- W tym problem - powiedziała Julia rozpaczliwie. - Wiem, że nie powinnam! Nie takiego jak on zepsutego drania!

- Którego nie potrafisz wybić sobie z głowy.

- Nie mogę na to liczyć. Nic z tego! W ogóle nie jestem sobą. Dlaczego muszę być tak ogłupiona przez kogoś, kim gardzę? To pożądanie, nic więcej, pociąg seksualny. Próbkę, które mi ten domokrążca daje do skosztowania, smakują mi, więc o co chodzi?

- Tak myślisz? - Lekarka oczywiście nie zgadzała się z diagnozą Julii. - A może tak sama sobie wmawiasz? Myślę, że bardzo go kochasz. Inaczej nie byłabyś w takim stanie. Powiadasz, że aborcja sprawiła ci ból. Działałaś jednak zgodnie z własnym charakterem, który jest praktycznie zrealizowany. Nie powinnaś być tak bardzo zawiedziona. A jednak, uczucia sprawiają ci kłopot. Są samowolne, nie słuchają nakazów. Jeżeli nic do tego mężczyzny nie czujesz, nie powinnaś czuć się aż tak winna z powodu utraty jego dziecka. Zgodnie z moim doświadczeniem żadna kobieta nie zamartwia się utratą dziecka mężczyzny, którego nienawidzi. Czyż nie osłaniasz go, nic mu nie

mówiąc? Czyż to nie jest miłość? Mogę ci jeszcze powiedzieć, że ten tydzień pozwolił mu wiele pokonać. Bez względu na to, co do ciebie czuje, nie jest to przypadkowe. On także zaangażował się w związek, którego nie potrafi odrzucić. Powracał do ciebie dwukrotnie, niezgodnie z rolą, jaką mu wyznaczyłaś. Nie zastanawiasz się dlaczego?

- Chce jeszcze trochę poćwiczyć.

- Nie. Gdyby nadal był tego typu mężczyzną, powinien odejść, skoro ujrzał ciebie niedysponowaną. Znalazłby sobie inną. Zamiast tego został z tobą, martwi się o ciebie, niepokoi się, obgryza nerwowo paznokcie i pali jak komin.

Usta Julii otwarły się w zdumieniu.

- Wyjdź mu naprzeciw, jeśli nadal chcesz z nim być.

- W tym problem. Nie wiem, czy będę mogła. Mam takie mieszane uczucia.

- Więc mu to powiedz. Wrócił, żeby coś ci wyjaśnić. Pozwól mu. A potem zdecyduj, co zrobić.

Lekarka wstała.

- Musisz podjąć decyzję. Moja rada jest taka: ulżyj i jemu w jego nieszczęściu.

- Boję się.

- On także. Dlatego to jest takie poważne. Jesteś silną osobą, wiesz o tym. Nie zakładaj, że jeśli on do tej pory nie okazywał swojej siły, to nie ma jej wcale.

Pani doktor położyła dłoń na plecach Julii.

- Bądź dla niego miła - radziła. - On zrozumiał, że ciebie kocha i bardzo cię potrzebuje.

Dużo czasu pochłonęła Julii kąpiel i ubranie się, tak bardzo była wyczerpana. W łazience znalazła ogromną butelkę płynu kąpielowego Diora. Na pewno kupił ją Brad. Wlała go sporo do wanny i długo moczyła się w wonnych bąbelkach. Brad czekał na nią na dole.

Włożyła spodnie koloru szaławii, dobrała do nich sweter, unikając swojego odbicia w lustrze. Brad mówił, że wygląda jak z obrazu Renoira, teraz raczej Modiglianiego. Spodnie, za luźne w talii, opadały jej na biodra. Zadowolona była jedynie, że golf swetra zasłaniał wystające obojczyki i wychudzoną szyję. Także jej twarz była całkowicie blada i napięta. Ożywiła ją pudrem i jasną szminką. Wyglądała jak trup, więc starła wszystko i położyła na policzki delikatny róż. Tak było lepiej.

Brad przykucnął i wkładał do buchającego ognia świeże polana. Słyszając, że zeszła na dół, podniósł się i odwrócił do niej, ale Julia pozostawała w pełnym zdumienia bezruchu. Brad zgromadził w pokoju wszelkie możliwe miski i miseczki, do których powkładał róże, bzy, frezje i tulipany tak, że pokój przypominał rozsadaną przez kwiaty altanę. Na stoliku do kawy leżał stos ostatnich magazynów, a obok duże pudło firmy Charbonnel i Walker. W kącie jarzył się nowy kolorowy telewizor, na miejscu starego, przenośnego czarno-białego.

W końcu spojrzała na Brada. Jego twarz była bezbronna jak nigdy. Nie było tam dawnej pewności siebie. Wypisany miał na niej lęk i niepewność, lecz uśmiechał się promiennie niby światłem gwiazdy tuż przed rozbłyskiem w supernową.

- Może drinka? - spytał szybko. - Pani doktor powiedziała, że już możesz.

- Chętnie - zgodziła się Julia odwracając oczy.

- Chodź i usiądź przy ogniu.

Ułożył poduszki za jej plecami ostrożnie, żeby jej nie dotknąć, a potem poszedł do kuchni. Julia niepewnie wciągnęła oddech. Każde spojrzenie na niego nadal mogło ją wstrząsnąć, ale pozbyła się skumulowanej goryczy. Była świadoma otchłani rozległej niczym po trzęsieniu ziemi. To, co stanie

się teraz, będzie albo ratunkiem, albo klęską.

Powrócił z butelką szampana w jednej ręce i dwoma kieliszkami w drugiej. Serce Julii osłabło. Drżała jej ręka, gdy brała od niego kieliszek.

- Za co tym razem?

- Za początek?

- Jeszcze jeden?

- Powiedziałem: Początek. Poprzednio były falstarty. - Z uporem podtrzymał swoją propozycję.

Gdy ich oczy spotkały się ponownie, jej serce próbowało wyskoczyć spomiędzy żeber i paść ogłuszone.

- Tak było?

- A nie tak było?

- Cóż, pamiętam, że nie lubisz zakończeń.

- Nienawidzę ich! Myślałem, że to jedno będzie moim końcem! Naprawdę, Julio. Dlatego wróciłem, musiałem wrócić. - Wziął głęboki oddech. - Nigdy więcej gier, teraz ani potem. Bądźmy szczerzy. Przedtem nie byliśmy. Prawda? Aż do twojego poniedziałku.

Julia otworzyła usta, ale nie dał jej mówić.

- Miałaś całkowitą rację. Ja naprawdę zrozumiałem, że to, co do mnie mówiłaś, było prawdą. - Przerwał, żeby łyknąć szampana. - Jak się czujesz? - dokończył.

- O wiele lepiej, dzięki twojej trosce i opiece.

- To mnie była ona potrzebna. Gdybym nie miał ciebie, nie miałbym niczego.

Tym razem serce podeszło Julii aż pod gardło.

- Wróciłem, żeby ci to powiedzieć - kontynuował gwałtownie. - Ze mną nie będzie już żadnej gry.

Julia nie mogła oderwać od niego oczu.

- Kiedy przestałaś grać?

- Kiedy pierwszy raz odszedłeś.

- Ja także, ale nie umiałem, nie chciałem uświadomić sobie tego. Dlatego wróciłem. To, w co graliśmy, było grą prawdy lub konsekwencji. Mój powrót do ciebie jest konsekwencją. To, co powiedziałaś mi w poniedziałek, było prawdą. - Wypił więcej szampana i nalał sobie znowu. - Byłaś tak chora, ponieważ trafiłem cię, tak? W ten sposób, w jaki ty trafiłaś mnie?

Julia skinęła niemo. Mogła jedynie podążyć tam, gdzie ją prowadził.

- Nawet jeśli tak, miałaś mnie naprawdę. Nigdy nie byłem myślicielem. Działalem, ale odkąd cię poznałem, zmieniłem się. Tak jakby obok mnie był ktoś jeszcze. Nawet o tym śniłem. Julio, to ty. Ty nawiedzałaś mnie przez całą drogę przez Atlantyki i nigdy mnie nie opuściłaś. Śniłem o tym, by być z tobą tak jak za pierwszym razem. Nie za drugim. Zrobiłem to, czyż nie? Ale rzeczywiście zniszczyłem to, gdy zacząłem się o to starać. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się poza swoim żywiołem. - Przerwał spoglądając w swój kieliszek. - Tak jak powiedziałem, zawsze grzęzłem w płytkim dnie.

Mówiąc wychylił się do przodu. Zatracony w intensywności swoich uczuć, dotknął kolanami jej kolan, a jego słowa wybuchały, jakby chciał je z siebie wyrzucić, dopóki miał odwagę.

- Wróciłem, żeby zapytać, czy mogłabyś wyjść za mnie. Potrzebuję cię, Julio, bardziej niż myślisz. Nie winie cię, jeśli mi nie ufasz, ale ja tobie ufam. Całym swoim życiem. Użyłem ciebie, brałem cię jak darowiznę. Spodziewałem się, że będziesz czekać i chcieć za każdym razem. Jest mi z tego powodu szczerze przykro. Powiedziałaś mi komplement, że byłem od początku uczciwy. Teraz moja kolej. Kiedy mówię, że potrzebuję cię bardziej, niż potrzebowałem kogokolwiek czy

czegokolwiek, mówię prawdę. Myśleć o życiu bez ciebie to dla mnie tyle, co myśleć o śmierci.

- Ty myślisz, że jak ja się czuję?

- Ty? Masz tak splątane uczucia... Aż do poniedziałku myślałem, że tak jest... ale ty wtedy nie byłaś sobą.

- Nie - odpowiedziała Julia czystym głosem. - To było dlatego, że byłam sobą. Sobą, a nie wymyślonym kawałkiem maszynerii, za jaką mnie uważałeś. Nie jestem doświadczona, nie jestem wymowna, nie... - Głos jej się załamał.

- Więc to wszystko... - Poglądził jej bladą, wychudzoną twarz. - Przeze mnie?

- Tak.

- Dzięki Bogu! Nie, nie mam na myśli, że cieszę się, że chorowałaś, ale że byłem przyczyną, bo to znaczy, że nie byłem ci obojętny.

- Nawet się o to nie starałeś. Lody zostały przełamane.

- O Boże, Julio! Całe noce leżałem na tej krzywej starej kanapie i o niczym innym nie myślałem, tylko o tobie. Tak się bałem, kiedy napadłaś na mnie. Myślałem, że wszystko, co robiłem, robiłem dla nas dwojga, dopóki nie zobaczyłem, jak bardzo jesteś chora.

Trzymał ją tak, jakby się bał, że może się złamać.

- Jesteś drobna i krucha. - Gryzło go to. - Jeden mocniejszy uścisk i się rozpadniesz.

- Nie, nie chcę. Już nigdy więcej. Jesteś lekiem na całe zło...

- Ty nadzieją na przyszły los...

Julia także czuła się tak, jakby szybowała w powietrzu, coraz wyżej i wyżej, bezpieczna w jego ramionach. Wszystko stało się tak nagle, ale raz w życiu nie potępiła siebie. Jedyne, co miało znaczenie, to to, że Brad potrzebował jej i chciał z nią być. Czuła jego serce pod swoim policzkiem dudniące niczym kafar. Brad drżał tak samo jak ona.

- Jestem pijany - powiedział śmiejąc się słabo. - I nie przez dwa kieliszki szampana.

- A ja mam lekką głowę.

- Cała jesteś lekka. Nie lubię cię takiej przezroczystej. To ci szkodzi. Muszę cię utuczyć.

- Po co? Na rzeź? - Drażniła się po to tylko, żeby zobaczyć jak jego twarz gaśnie niczym ogień. -

Tylko żartowałam - bąknęła zmieszana.

- Ja nie - powiedział. - Chcę, byś była tą Julią, którą pierwszy raz zabrałem do siebie.

Trzymał ją jeszcze mocniej, tak jakby próbował się w nią wtopić.

- Chcę, żeby od teraz wszystko się zmieniło. Jestem zmęczony swoim życiem. - Pochylił się całując ją znowu. - Będzie inaczej. Zobaczysz - przysięgał z przekonaniem.

Całował ją z namiętnością, w której wyczuwała desperację.

- Tęskniłem za tobą bardzo. Z tobą było jak z żadną inną. Pohamowywał się niechętnie, ale nie pozwoliła mu na to.

- Kochanie, nie jestem z porcelany. Nie stłukę się. Jestem wciąż tą samą kobietą, ale troszeczkę mniejszą. Ja też marzyłam, żeby być z tobą.

- Jesteś teraz tak delikatna. To byłoby jak przemoc wobec dziecka...

- Nie jestem dzieckiem. - Na dowód pocałowała go.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. I chcę się kochać. Potrzebuję tego, Brad. Proszę cię, kochaj mnie, kochaj tak jak tylko ty potrafisz.

Postawił ją na podłodze, po czym porwał w ramiona i ruszył z ochotą w stronę schodów. Ciągle

jednak martwiła go jej kruchość. Z satynowo pulchnego ciała, jakie pamiętał, wystawały teraz wszystkie kości. Zrzucił z siebie ubranie, beładnie rozwlekając je dookoła, wślizgnął się pod kołdrę i przygarnął ją do siebie.

- To jest naprawdę nasz początek. - Mówił podniecając ją ustami i dłońmi, wywołując dreszcz, próbując zmusić ją do odpowiedzi.

Wiele samotnych nocy przeleżała wspominając minione chwile. Jego dotyk, jego usta, dłonie. A teraz jej palce przypominały sobie prężne, mocne nogi, szerokie plecy, podniecające krzywizny pośladków i w końcu, gdy wszedł w nią, przypomniła sobie jedwabistą, pulsującą siłę jego penisa, głęboko w środku; ciało w ciele. Zamknęła nogi wokół niego tak, że wydał z siebie drżący, krótki śmiech i krzyk:

- Julio! Julio! - I poszedł dziko, niezdolny oprzeć się ciepłu, które pieściło go skurczami tak, że wbijał się w nie coraz bardziej oszalały, jakby chciał się tam zagubić. Widziała, że po raz pierwszy, będąc z nią, nie może opanować wytrysku. Ścisnęła go na znak, że nie musi się wstrzymywać, ale Brad napiął mięśnie i dzielnie walczył dalej, aż poczuła, że nie zdierży już ani chwili. Mała kępka włosów między pośladkami zjeżyła się i trysnął w nią całym sobą, gorąco i obficie. Był to orgazm dziki, długi i ekstatyczny. Jak jego krzyki. W końcu opadł na nią, całkowicie pusty. Julia głaskała jego gorącą i gładką skórę.

- Mój Boże... - Łapał oddech. - Moje kochanie, to mówi o nas wszystko, o tobie i o mnie, ale tym razem więcej o mnie niż o tobie. Daj mi chwilę, a dam ci to, obiecuję.

- Nie trzeba - powiedziała z wdzięcznością. Tym razem miała go naprawdę, chociaż sama, co ją dziwiło, nie doszła. Jemu zaś pierwszy raz nie udało się doprowadzić jej do orgazmu, ale to nie miało znaczenia. Ważne było, jak doszedł on, bardziej wyczerpująco niż kiedykolwiek, co zaspokajało ją w sposób całkowicie różny od jej zwykłych fizycznych satysfakcji. Spełniła się przy nim niewytłumaczalnie i może nawet bardziej wspaniale.

- Cały czas świata jest teraz nasz - powiedziała radośnie. Jego oddech uspokoił się, ale jego głos był zmacony emocją, gdy powiedział:

- Tak długo, jak możemy spędzić go razem.

Ułożył podbródek w zagłębieniu jej pleców, jak to zwykle czynił, ciepły, ale już nie nagłący, nadal przesyłający ogrom miłości.

- Teraz mogę zasnąć - westchnął. I usnął.

Rozdział ósmy.

Wzieli cichy ślub o dziesiątej rano w Ambasadzie Amerykańskiej przy Grosvenor Square. Świadkami byli Chris i pracownik ambasady, kolega Brada z college'u. Potem cała czwórka pojechała do Connaught na weselne śniadanie, ponieważ Julia nie była przedtem w stanie niczego przełknąć. Stamtąd udali się prosto na Heathrow, żeby zdążyć na samolot do Bostonu. Gdy zapowiadano ich lot, Chris mocno przytuliła Julię.

- Do zobaczenia, pani Bradford. Dużo szczęścia, szczególnie jeśli chodzi o teściową. Nawiasem mówiąc, co on ci powiedział?

- Niewiele, ale każde słówko wyszywał złotymi nićmi. Musi być kimś bardzo szczególnym. Liczy się dla niej tylko syn.

- Pewnie dlatego nie planował morderstwa. - Chris nie była zachwycona.

- Dla niego jest uosobieniem cnót macierzyństwa - powiedziała szybko Julia.

- Zawsze mówiłam, że Maria Dziewica to ideał niemożliwy do wypełnienia. - I dodała bez osłonek: - Gdzieś tu puszcza śruba, Julio. Dokręć ją, to moja rada. - Chwilę milczała. - On nadal nie wie o aborcji?

- Nie.

- Dlaczego?

- To przeszłość. Liczy się tylko przyszłość. Spaliłam tę stronę.

- I mosty też?

- Robię to, co chcę robić - odrzekła Julia wymijająco. - Wszystko sprowadza się do prostego wyboru: Brad albo nie Brad.

- Zmieniłaś się - zdumiewała się Chris. - Po tych przejściach poznaję w tobie tylko twoją twarz.

Zwróciła się do Brada, który uściskał ją i ucałował.

- Opiekuj się nią - ostrzegła żartobliwie. - Bo będziesz biegał po Bostonie i krzycał: „Brytyjczycy nadchodzą”.

Brad zaśmiał się.

- Tak jakbym ośmielił się robić cokolwiek innego.

Spojrzał niecierpliwie na zegarek. W tym momencie odciągnął go na bok pracownik lotniska. Chris miała okazję wyszeptać do Julii:

- Złapałaś za ogon tygrysa, kochanie. Idź za nim i z nim. A co do reszty, cóż, pamiętasz, jak radziłam ci złapać następną zdobycz? Reszta jest w rękach Boga, słodziutka. - Zamrugnęła rzęsami do krążącego w pobliżu świadka ślubu. - Teraz jednak interesują mnie zupełnie inne ręce.

Julia zaniósła się swobodnym śmiechem.

Mieli do swojej dyspozycji całą kabinę pierwszej klasy. Julia podejrzewała, że Brad wykupił wszystkie miejsca. Sposób, w jaki stewardesa przyniosła szampana, potwierdził jej przypuszczenia.

Przed wejściem dziewczyna wyszeptła: „Gratulacje”.

Julia oglądała swoje nowe pierścionki. Ślubną obrączkę z wielokaratowego złota i zaręczynową niespodziankę - wielki topaz otoczony diamentami. Mignęło jej wspomnienie pierwszego ślubu, który miał pełną oprawę. Z welonem, rodziną i miodowym miesiącem. Uśmiechając się do swoich myśli spojrzła na Brada i zobaczyła, że przygląda się jej.

- O co chodzi? - spytał.

- Och, chwilowy przebłysk niewiary.

- W co?

- Że to wszystko wydarzyło się naprawdę, że jestem panią J. Winthrop Bradford, w drodze do Bostonu. Wszystko działa się tak szybko.

- I tak jest najlepiej - odrzekł zwięźle. - Rzeczy się psują, gdy leżą za długo.

- W ogóle nie dziwi cię, że to wszystko się stało?

- Nie, to musiało się stać.

- Ale ty jesteś do tego wszystkiego przyzwyczajony. - Wskazała na pustą kabinę, szampana, torby podręczne, łącznie z jej nową torebką z krokodyla, która była jednym ze ślubnych prezentów. - To jest dla mnie dojmująco nowe, niszczące nerwy i ekscytujące.

- Nerwy! Ty!

Julia miała ochotę powiedzieć, że nie jest sobą, ale pomyślała, że powinna mu to raczej okazać.

- Powiedziałaś to, co myślisz? - zapytał, a jego wargi zacisnęły się wymownie. Nie był zachwycony.

- Nie bądź głupi. Z pierwszym ślubem cały czas się zmagalam. Jestem nową panną młodą, mój drogi, cierp wraz ze mną.

- Przechodziłaś już przez to. Odsunęła się od niego.

- To nie to samo.

Brad uśmiechnął się z ulgą.

- To dobrze. Chciałbym, żeby wszystko działa się dla ciebie pierwszy raz.

- Jaki jest Boston? - zapytała po chwili.

- Inny. Zobaczysz.

Lecz kiedy dotarli na Beacon Street, Julia pomyślała, że przypomina jej Londyn, tylko dawny. Lotnisko, droga z Logan... Julia nie czuła, że jest w obcym kraju. Oczywiście to dzięki językowi, mówiła sobie. Poza tym widziała ulice podobne do tych, które wiele razy oglądała w telewizji. Te same wielkie amerykańskie samochody, apteki, zajazdy i wózki z hotdogami. Beacon Hill było inne. Stare, ciche. Przypominało z jakiegoś powodu Kensington, a gdy skręcili w Mount Vernon Street i zobaczyła bruki, latarnie gazowe, żelazne wycieraczki do butów, poczuła się jak w Londynie.

Dom Bradforda był wielki, z podwójnym wejściem. Drzwi frontowe i żaluzje pomalowane były lśniącą butelkową zielenią. Nazwisko Bradford było wyryte kursywą na mosiężnej tablicy, a kołatka miała kształt lwiej głowy. Julia uniosła ją, gdy Brad wynosił torby. Odźwierny otworzył drzwi. Jego beznamietna twarz złamała się w uśmiechu, kiedy ujrzał Brada idącego stopień za Julią.

- Pan Brad! Nie oczekiwaliśmy pana, ale to przyjemna niespodzianka. Miło widzieć pana znowu w domu, sir.

- Jak się masz, Thomas?

- Bardzo dobrze, sir. Ufam, że miał pan dobrą podróż.

- Nie narzekam.

Odzwierny cofnął się, pozwalając Julii wejść do szerokiego, wysokiego i pięknego hallu o podłodze w szachownicę, ze starymi schodami pnącymi się po jednej ze ścian. Pachniało politurą i mnóstwem białych kwiatów stojących w mosiężnych wazach. Nigdzie nie było plamki kurzu, wszystko jarzyło się, pachniało tradycją, starością i stabilizacją. Dom prowadzony był perfekcyjnie. Tutaj z pewnością nikt nie podnosił głosu.

- Jest ktoś w domu? - spytał Brad.

- Pani Amory i pani Adams są w tylnym saloniku. Czekają na przybycie matki. Jej samolot spóźnia się. Powinna wrócić około szóstej.

- W takim razie, ty dowiesz się pierwszy - odrzekł Brad. Odwrócił się do Julii i powiedział:

- To jest Thomas, który był z nami całe moje życie. To jest pani Bradford. Dzisiaj rano pobraliśmy się w Londynie.

Beznamiętna twarz Thomasa nie zdradzała żadnych uczuć.

Nagle drzwi z tyłu holu otwały się i pokazała się w nich drobnokoścista kobieta; przez chwilę jakby unosiła się w powietrzu, po czym krzyknęła:

- Brad! Właśnie rozmawialiśmy o tobie, zastanawiając się, gdzie jesteś i czym, albo raczej kim się zajmujesz. - Prześlizgnęła się po podłodze rozkładając ramiona w przesadnie powitalnym geście.

- Binka! - wykrzyknął Brad.

To jego młodsza z sióstr, odgadła Julia. Obserwowała uścisk brata i siostry i wyłapała spoza pleców Brada zdziwione spojrzenie oczu Binki. Uśmiechnęła się do nich, ale nie było tam w odpowiedzi uśmiechu, tylko szybki domysł, który zmienił się w oszołomienie i szok, gdy Brad je sobie przedstawił.

- Żonaty! - Echo rykoszetem odbiło się od ścian.

- Dzisiaj rano w Londynie.

- Nie wierzę! Jesteś zaręczony z Karoliną Norton! Drukarz przysłał wczoraj zaproszenia!

- Nie szkodzi. Jestem żonaty, Binko. Julia jest moją żoną. W głosie Brada zadźwięczała stal i oczy Binki zwęziły się, po czym rozbłyły złą radością, gdy zapytała:

- A matka? Kto jej o tym powie?

Julia spojrzała na męża. Szczęki miał zaciśnięte; jego twarz przybrała dziwny wyraz.

- Myślałeś o tym, co się stanie? - pytała Binka z uciechą. - Zdajesz sobie sprawę z tego, jaka będzie jej reakcja? - Rozkoszowała się efektem swoich słów. - Będzie miała atak!

- Moja droga siostrze, nie doceniasz jej - zadudnił jakiś głos. Julia obróciła się za Bradem w stronę wielkiej kobiety żeglującej przez hall niczym walczący z wiatrem galeon.

- Abby! - Tym razem zadowolenie w głosie Brada było autentyczne.

- W porządku, Brad, pojechałeś i zrobiłeś to - powiedziała i obdarzyła Julię niezwykle ciepłym uśmiechem. - Witaj w Bostonie, Julio. Jestem starszą z sióstr Brada. Ta z otwartymi ustami to Binka. Witaj jeszcze raz.

- Dziękuję. - Julia poczuła się lepiej. Nic dziwnego, że to Abby była ulubienicą Brada. Binka z pewnością była suką. Brad wspominał oględnie, że to zazdrośnica. Nie docenił jej, pomyślała Julia. Binka nienawidziła śmiałości swojego brata. Julia spojrzała na męża rozmawiającego teraz z Abby, która słuchała i trzepotała rękami. Bez wątpienia liczył na jej pomoc. Natomiast Binka wyglądała tak, jakby już zdecydowała opowiedzieć się po innej stronie.

Nagle Binka powiedziała z ogromnym zdziwieniem:

- Jesteś kimś, kogo się zupełnie nie spodziewaliśmy. Wyjeżdżając do Europy Brad był zaręczony

z kimś innym.

- Wiem - odparła chłodno Julia.

- I nic cię to nie obchodzi? - Teraz w głosie Binki brzmiała pogarda i złość. Wyraźnie nie znosiła takich niespodzianek. Nie zdążyła się przygotować do boju.

Julia wyciągnęła własną broń.

- Brad powiedział mi, że zaręczyny były zaaranżowane przez jego matkę.

Binka zaśmiała się złośliwie.

- Więc powiedz jej to - namawiała. - Bardzo się ucieszysz.

Julia zrozumiała, że zrobiła sobie wroga. Wielkiego, pomyślała, i to po pięciu minutach pobytu w tym domu. Odeszła od Binki w stronę Brada i Abby, którzy nadal cicho rozmawiali.

- ...zrobię, co będę mogła, ale nie gwarantuję rezultatu - mówiła Abby. - Tym razem zrobiłeś już wszystko... - Odwróciła się i powiedziała z przesadną serdecznością, która zwykle oznacza przerwanie niebezpiecznego tematu: - Założę się, Julio, że nie odmówisz filiżanki herbaty. - Położyła jej dłoń na ramieniu. - Na razie jesteśmy tu tylko ja i Binka. Matka jest ciągle nad Atlantykiem i nie wylądjuje aż do szóstej, co daje nam czas na poznanie się.

Brad uśmiechnął się do żony, ale Julia widziała, że myślami był gdzie indziej. Między jasnymi brwiami pojawiła się znana jej zmarszczka niezadowolenia. Uśmiechał się mechanicznie. Widział ją, ale jej obraz nie był na tyle wyraźny, by oderwać go od nurtujących myśli.

Abby zaprowadziła Julię do saloniku, który rozpałił jej oczy. Na ścianach z terakoty wisiały portrety dawno zmarłych Bradfordów pędzla Copleya i Gilberta Stuarta. Dywan w czekoladowo brązowe medaliony na tle ostrzejszej cytrynowej żółci, wzmacniał barwy całości. Na czterech wysokich oknach wzdłuż jednej ze ścian udrapowana była bawełniana satyna, także brązowa, zlewająca się z terakotą. Marmurowy kominek zdobiły białe kwiatki, takie same jakie widziała w hallu. W grawerowanych świecznikach tkwiły świece. Nad masywnym, rzeźbionym stołem wisiało wysokie, pozłacane lustro. Na stole, pod szklaną kopułą, stał przepiękny pozłacany zegar. Naprzeciw owalnej witryny zamykała kolekcję wspaniałej angielskiej porcelany. Cały pokój rozbłyskał w lipcowym słońcu. Podeszły do kanapy obitej materia w złote goździki. Julia poczuła, że spotkała pokrewną duszę. Była zdumiona uderzającym podobieństwem rodzeństwa.

- No! - ponagliła Binka. - Opowiadaj.

- Nie ma nic do opowiadania. - Brad wzruszył ramionami, ale usiadł obok żony i wziął ją za rękę. Robi to ze względu na siebie, czy na mnie? - zastanawiała się Julia.

- Spotkaliśmy się, pokochaliśmy i zrozumieliśmy, że nie możemy bez siebie być. Więc się pobraliśmy i mamy nadzieję żyć długo i szczęśliwie...

- A co będzie z Karoliną? - spytała Binka.

- Moja sprawa - uciał Brad. Binka zapiszczała z uciechy.

- No i mamy trójkąt...

Abby osadziła ją ostrym spojrzeniem. Nadszedł lokaj.

- Podaj herbatę, Thomas - powiedziała.

Przyniósł ją na ciężkiej tacy. Paul Revere, jak odpowiedziała Abby na pytanie Julii, chociaż srebrny spirytusowy czajniczek, spodek, dzbanek na mleko i cukiernica pochodziły z Anglii. Julia przyglądała się przez chwilę: Abby w prawdziwie angielski sposób ogrzała naczynie, po czym nasypała w nie herbaty ze srebrnej puszki, pachnącej Earl Greyem.

- Śmiało - chichotała Abby. - Spodziewałaś się herbaty w torebkach i ciastek, tak?

Julia zarumieniła się z wdziękiem.

- Brad mówił mi, że jego matka jest Angielką.

- Czterdzieści pięć lat w Stanach Zjednoczonych nawet jej nie zadrasnęło. - Abby zachichotała. -

Matka jest i zawsze będzie stamtąd.

Wypiła dwie filiżanki herbaty, odpowiadając na uprzejme pytania Abby i ignorując nieustanne przytyki Binki. W końcu, wyczuwając, że Brad gwałtownie traci opanowanie, odstawiła filiżankę i powiedziała:

- To był wspaniały wstęp do Bostonu. Dziękuję, ale teraz bardzo bym chciała pójść na górę, rozpakować się, wziąć zimny prysznic i przebrać się.

- Świetnie! - ucieszył się Brad, chyba trochę za bardzo. - Pójdź na górę i rozgość się. Ja i Abby pojedziemy przywitać matkę.

Julia spojrzała na niego ostro. Unikając jej oczu objął ją i wyprowadził z pokoju.

- Na razie ulokujemy się w moim pokoju. Nic nie jest przygotowane. Nie przeszkadza ci to?

To znaczy, że matka jeszcze nic nie wie, a Abby ma być jego ochroną... Serce Julii zadrżało.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziała, głośno przełykając ślinę.

Poszedł z nią na górę po pięknych starych schodach, a potem korytarzem do drzwi, które otworzyły się na duży przedpokój, za którym była równie wielka sypialnia i otwarta łazienka. Meble amerykańskie i wygodne, wspaniałe stare łóżce z kolumnami. Kołdra była istnym dziełem sztuki.

- Wykonała ją żona Bradforda, Bóg wie, ile generacji temu - powiedział Brad niedbale. Wskazał garderobę z półkami i szafami z drewna sandałowego. - Jest tu bardzo dużo miejsca - zauważył rozsuwając drzwi i grzechocząc wieszakami. - Tu są torby, ale przyślę kogoś na górę, żeby pomógł ci je rozpakować.

- Długo cię nie będzie? - spytała, dając tym do zrozumienia, że coś ją gnębi.

Brad, odwrócony do niej tyłem, z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. O tej porze jest duży ruch na drodze prowadzącej na lotnisko i z powrotem. Wrócę tak prędko, jak tylko będę mógł. Matka lubi być witana, zwyczaj rodzinny i te rzeczy.

Popatrzył na Julię. Poznała go już na tyle, by się domyślić, że gotował się na Armageddon. Serce podeszło jej do gardła. Boże drogi, myślała. Co on ma za matkę? Wszyscy się jej boją... Ruszyła niepewnie do ustawionych na koziołkach walizek. Nagle ktoś zapukał.

- Wejdz, Rózo. - W głosie Brada usłyszała ulgę. - Przyszłaś pomóc?

- Panienka Abby pomyślała, że pani Bradford może mnie potrzebować.

- Róża opiekuje się matką - wyjaśnił Brad, gdy Julia spoglądała na starszą kobietę o drobnej twarzy, schludną jak spod igły, w sukni klerykalno szarej, w czysto białym fartuszk i czepku. - Ile to już lat, Rózo?

- Trzydzieści dwa tego lata, panie Brad.

Jej uśmiech nastawił Julię ciepło, podobnie jak londyński akcent.

- Rózo, wszystko będzie w porządku... - powiedział zaferowany. - Tak jak zawsze postępowałaś ze mną, co?

- Pani Hester lubi, by wszystko szło gładko - odpowiedziała Róża grzecznie, ale z błyskiem w wyblakłych oczach.

- Musisz dać mojej żonie kilka wskazówek. - Brad uśmiechnął się. - Ten dom żyje według harmonogramu - tłumaczył Julii. - Matka jest jak nakręcona.

- Lubię się uczyć. - Julia uśmiechnęła się do Róży, niespokojna, czy podoła. Bo czy okoliczności

związane z jej ślubem były na tyle zwyczajne, aby mogła być całkowicie wolna od podejrzeń? Przecież Brad zwodził swoją narzeczoną i dlatego Julia już na samym początku pragnęła uniknąć oskarżenia o to, że poleciała na jego majątek. Róża, myślała Julia, jest odpowiednią osobą na rozpoczęcie działań. Prowadziła wprost do jego matki.

- Przyjdę tu później - rzekł Brad, myślami będąc gdzieś indziej. W porządku, niech robi, jak chce. Złość niszczy.

- Jest okropnie gorąco, prawda? - powiedziała czując, że pot spływa kroplami z jej czoła.

- Włączę klimatyzację. Pan Brad nie obywa się bez niej latem, ale obawiam się, że główne pokoje nie są klimatyzowane z powodu astmy pani Hester. To szkodzi jej oddychaniu.

Astma! Brad o tym nie wspominał.

- Przyzwyczai się pani do upału - zapewniła uprzejmie Róża. - I do zim także. W Ameryce nawet pogoda bywa ekstremalna.

- Często jeździsz do Anglii? - spytała Julia.

- Każdego roku, proszę pani. Pani Hester każdego lata spędza tam miesiąc.

- Pochodzisz z Londynu, prawda?

- Urodziłam się w Clapham, ale podczas wojny ewakuowano mnie do Arun, do jednej z farm posiadłości. Gdy miałam czternaście lat, zaczęłam pracować jako pokojówka, pomocnica panny Jelks. Gdy ona odeszła na emeryturę, zajęłam jej miejsce.

Róża rozpakowywała torby Julii z nadzwyczajną biegłością, wieszając nowe suknie z etykietkami, które mogłyby zdaniem Julii, iść na paradę: Rive Gauche, Elle, Gina Fratini, Bellville-Sasoon.

- Chciałaby pani, żebym przygotowała chłodną kąpiel, madame? Pani Hester uważa to za niezastąpione.

- To byłoby cudownie.

Gdy się rozebrała, zapytała od niechcienia:

- Pani Hester nie jest inwalidką, prawda?

- Uchowaj Boże! - Róża wyglądała na zdumioną. - W zeszłym roku złamała biodro spadając z konia, ale nie pozwoliłaby, żeby coś takiego ją unieruchomiło. Ani nic innego. - Róża sprawdziła wodę dłonią. - Proszę, powinna być dobra.

Była doskonała. Chłodna tak jak lubiła, pachnąca cudowną zielenią i rozkosznie miękka. Julia oblała się jedwabistą wodą i nawet jeśli jej dusza nie mogła opuścić swojego dudniącego młyna, jej ciało odpoczywało... Rozmyślała.

A więc może wywołać atak. Binka, a po swojemu Abby i Brad dawali do zrozumienia, że lady Hester nie może być niepokojona nawet przez swojego drogocennego syna, a więc także przez synową... W porządku, Brad powiedział jej wystarczająco dużo, by było jasne, że od niej samej zależy, jak wypadnie. Każdy błąd będzie musiała naprawiać sama. Tylko ona jest w stanie dowieść, że trzeba ją raczej powitać niż wyrzucić. Zdążyła się już nauczyć, że w tej szczególnej rodzinie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, czyli do lady Hester Bradford. I jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, wyrusz w swoją pielgrzymkę. Leżała długo i rozmyślała, aż zorientowała się, że zegar umieszczony w ścianie wybił szóstą. Wskoczyła z wanny. Samolot lady Hester powinien właśnie lądować.

Abby nie zgadzała się z pomysłem, żeby przywitać matkę w hallu dla VIP-ów.

- Musisz pozbawić ją broni. Przecież znasz ją. Niezależnie od tego, jakie sceny wyprawia

prywatnie, publicznie nie schodzi poniżej ideału matki. Zyskaj przewagę. Powiedz jej, co zrobiłeś, w obecności kilku setek innych ludzi. Będzie jak sztylet, ale nie wbije go w ciebie. - Potrząsnęła głową widząc jego pełną napięcia twarz. - O czym myślisz?

- O wolności - odpowiedział z oczyma zwróconymi w głąb siebie. - Dobrze wiesz, że Karolina to jej pomysł, a nie mój. Ja nie dałbym za nią złamanego grosza. Nie wierzę, by zależało jej na mnie bardziej niż na moim nazwisku. Julia odwrotnie, nic nie wie o Bradfordach. Zna tylko mnie i właśnie mnie kocha. Wiesz Abby, ona nie jest taka jak inne. Odkąd jestem z nią, zmieniłem się. Poza tym pokochałem ją. I to jest najważniejsze.

Abby zobaczyła, że jego twarz przybrała ów bezkompromisowy wyraz, taki jak wówczas, gdy nie zgadzał się z matką i szykował do obrony. Tymczasem, myślała Abby, nigdy jeszcze nie przeciwstawiał się jej w sprawach innych kobiet. To pierwszy raz i miała nadzieję, że ostatni. Ale skoro jej wcześniejsze reakcje na jego bunt były nie do zniesienia, to kto wie...

Kiedy wylądował samolot lady Hester, stali przed tłumem innych oczekujących rodzin i przyjaciół. Jak zwykle towarzyszył im uniżony pracownik linii lotniczych. Lady Hester wierzyła w linie publiczne, rzecz jasna w pierwszą klasę. Było to korzystne dla jej wizerunku. Arystokracja nie ma nic przeciwko mieszanemu się z plebem. Teraz, skoro ujrzała, że nie tylko jej syn, ale także starsza córka czekają na nią, powitała ich ciepło, dając Abby do ucałowania policzek, Brada zaś całując w usta, jakby był jej kochankiem.

- Mój drogi chłopiec! O, Abby! Czemu zawdzięczam tak wyjątkowy honor? A ty, mój synu, nie wróciłeś za wcześniej?

- Miałem ważny powód, żeby to zrobić.

Szła obok niego, ramię w ramię, wysoka jak i on, ale nieskończenie bardziej władcza. Tłum ustępował jej z drogi.

- Myślę, że nie ma żadnych problemów? - Lady Hester poczuła się zaalarmowana tonem głosu Brada.

- Nie sędzę, żebyś miała tak myśleć.

Przyjrzała mu się z oznakami niesmaku, ale uśmiechnęła się i poklepała go po policzku.

- Czy mój jedyny syn dał mi kiedykolwiek powód do niepokoju?

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - mruknęła Abby.

- Abigail, nie mów tak, jakbyś chciała, by cię nie słyszano - poleciała matka, po czym zwróciła się do syna:

- Powiedz mi teraz, co cię tak ponagliło? Brad wziął głęboki oddech i wypalił:

- Ożeniłem się.

Lady Hester stanęła jak wryta, zanim powoli zwróciła oczy na syna.

- Ożeniłem się - powtórzył Brad, tym razem już nie tak stanowczo.

Lady Hester zbladła, a po kilku uderzeniach serca zrobiła się biała jak papier.

- Ożeniłeś się?

- W Londynie.

- W Londynie!

- Dzisiaj.

- Dzisiaj.

Powtarzała po nim każde słowo tonem rozmyślnie pozbawionym emocji. Naraz wybuchnęła pobłażliwym śmiechem.

- Ty mnie, jak to mówią w tym kraju, nabierasz.

- Nie, nie nabieram. Ożeniłem się, mamę. Przed południem, legalnie, z obrączkami.

- Nie wierzę, że Karolina namówiła cię, byś ją tak wykradł. Zaproszenia są w tym tygodniu gotowe do wysłania, a ja poświęciłam mnóstwo czasu na przygotowania...

- Nie ożeniłem się z Karoliną.

Twarz lady Hester przybrała taki wyraz, że Abby cofnęła się o krok. Brad nie mógł, ponieważ trzymał matkę pod rękę.

- Nie ożeniłeś się z Karoliną? - powoli powtórzyła lady Hester.

- Nie. Ożeniłem się z Angielką. Nazywa się Julia Carrey. - I dodał, póki jeszcze głos go nie zawodził. - Czeka na ciebie przy Mount Vernon Street.

Sekundy mijały. Na policzkach lady Hester pojawiły się dwa bliźniacze rumieńce, jej starannie umalowane wargi zacisnęły się, a dłoń zgniatała mu ramię. Przez chwilę stała sztywna od doznanego szoku, a jej żelazna wola usiłowała przemóc instynktowną reakcję odrzucenia głowy do tyłu i wycia. W końcu nienaturalnie cicho powiedziała:

- Drogi chłopcze, wybrałeś dziwne miejsce na to, by zakomunikować mi najważniejszą z wiadomości, jaką kiedykolwiek w życiu dla mnie miałeś.

Jej twarz obracała się sztywno, jakby na zardzewiałej szyi, to w stronę Brada, to Abby, ponieważ domyśliła się, że to ona podpowiedziała mu wybór tego miejsca. Abby z trudem wytrzymywała jej złowróżbne spojrzenie i kiedy matka powiedziała po prostu: „Pójdziemy do samochodu” - posłusznie trzymała się z tyłu.

Nie załadowano jeszcze bagaży. Ames siedział na swoim miejscu kierowcy. Ledwo Abby usiadła na rozkładanym siedzeniu naprzeciw matki i brata, a już lady Hester wróciła do tematu.

- Teraz powiesz mi wszystko.

Gdy mówił, z wysiłkiem powstrzymywała się przed krzykiem i waleniem go w głowę swoją wielką torbą z aligatora. Chciała wygłaszać tyrady, wściekać się, wrzeszczeć i płakać w udręczeniu. Chciała tupać i w głos wyrzucić furię. „Głupiec” - syczała cicho do syna. Durny, bezmyślny, seksualny idiota! Lecz druga strona jej umysłu słuchała chłodno tego, co miał jej do powiedzenia, niecierpliwie, dumnie i buńczucznie, na temat pewnej kobiety, która zgodnie z jego słowami stanowiła kombinację Heleny Trojańskiej, Eleonory Roosevelt i madame de Pompadour, a to było już dzwoniącym alarmowym.

Gdy skończył mówić i siedział patrząc na matkę z charakterystycznie nachylnym podbródkiem, tak że wiadomo było, iż myślami jest daleko, lady Hester wybrała prawidłowy uśmiech rozbawienia zmieszanego z ogłupiałą rezygnacją, i westchnęła.

- Widzę, że zależy ci na niej, kochanie, ale czy nie myślisz, że jesteś trochę beztroski? Nie troszczysz się o mnie, wiesz o tym. Muszę przyznać, że skrzywdziłeś mnie brakiem zaufania do matki. Ale czy choć przez chwilę myślałeś o tym, jak czuje się Karolina? To wszystko wygląda nierzadnie, najdroższy. Rzucić kobietę jest postępkem w najgorszym guście, a to nie przystoi dżentelmenowi. Nie spodziewałam się tego po tobie. Nie mogę uwierzyć, że możesz być aż takim egoistą.

Abby, siedząc cicho na swoim miejscu, zerknęła na spiętą, bladą i zagubioną twarz brata. Jego matka natomiast pewnie i w sposób przemyślany nadużywała jego zaufania. Hester Bradford jak zwykle pomniejszała jego dumę i szczęście, sprowadzając wszystko do czegoś taniego, bez gustu i godnego zlekceważenia. Boże, ależ ona jest silna, myślała Abby. Pomimo wiotkości i niedowagi, od szczupłej figury matki emanowała moc. Nieraz całowała go ze słowami: „Jeśli to jest to, czego ty

chcesz, to jestem szczęśliwa”.

Ty suko, myślała Abby, czując, jak z brata uszło powietrze i cała pewność siebie. Na miłość boską, Brad, ona nie jest świętym obrazkiem! Każ jej iść do diabła. Wybór żony należy do ciebie, twoje życie należy do ciebie. Masz trzydzieści lat i nie masz zamiaru żenić się z matką!

Była to myśl instynktowna, ale szokująca, i Abby poruszyła się. Matka spojrzała na córkę. Dwie kobiety mierzyły się wzrokiem. Hester Bradford była tak spostrzegawcza, że zdawała się czytać w myślach Abby. Jej oczy rzucały ostrzegawcze błyski. Milcz, mówiły jej. Za ciebie wezmę się potem.

- To wszystko było tak pochopte - mówiła matka do Brada ze smutną rezygnacją. Wzdrygnęła się z niesmakiem. - Tak skryte, jakbyś się czegoś wstydził...

Jeszcze nie, ale będzie, zanim z nim skończysz, myślała Abby.

- Ufam, że nie istnieje żaden szczególny powód tego niezwykłego pośpiechu?

- Nie istnieje.

Lady Hester natychmiast zmieniła taktykę, ostrzeżona nutą w głosie syna.

- Wybacz mi, najdroższy, ale czy ty nie widzisz, jak to wszystko wygląda? Co sobie ludzie pomyślą?

- Gównu mnie obchodzi, co sobie pomyślą! - powiedział Brad nieswoim głosem, a przekleństwo ujawniało, jak ciężko jest mu stawić czoło przeciwnikowi, który programował każde jego poruszenie.

Coraz gorzej, myślała lady Hester, gdy spostrzegła, że chcąc nie chcąc została wplątana w ten ohydny mezalians. Nie powinno tak być. Jak on śmiał? Jak śmiał? Ona mi za to zapłaci. Zniszczę ją bez względu na to, kim jest. Na razie niech jej się zdaje, że wszystko jest w porządku. Kiedy jednak znajdę okazję...

Znowu westchnęła, widząc zachmurzone oczy syna.

- Cóż, mój drogi chłopcze, jeśli tego chcesz.

- Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Abby przymknęła oczy, słysząc w jego głosie błaganie. Nie, Brad, zaklinała. Pozwalasz jej wszystko zepsuć. Pozwalasz jej wygrać, jak zawsze.

Lady Hester ujęła syna za podbródek, przechyliła się do niego i pocałowała go w usta.

- Widzę, że się nie kajasz. A skoro ona jest twoim wyborem, z pewnością ja także ją pokocham. Zanim jednak ją zobaczę, muszę dowiedzieć się o niej trochę więcej. Chcę, żebyś powiedział mi wszystko. Zaczynaj od samego początku. Od chwili, w której ujrzałeś ją po raz pierwszy.

Rozdział dziewiąty.

Julia stała przed szafą, w której Róża umieściła jej garderobę. Była bliska załamania.

- Potrzebuję twojej pomocy i twojego doświadczenia - powiedziała szczerze. - To jest dla mnie bardzo ważny wieczór. Którą suknię powinnam założyć? Muszę wyglądać dokładnie tak, jak trzeba, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Róża bez wahania wyjęła właściwą sukienkę.

- Żółty jedwab, madame.

Była to suknia z rodzaju tych, jakie nosi się we własnym domu. Skrojona prosto i elegancko, z kapturowym kołnierzem i długimi, obcisłymi rękawami z guziczkami na przedramionach, na plecach opadająca luźno niczym skrzydła nietoperza. W talii wąski jedwabny pasek.

- Na kolację rodzinną, proszę pani, założyłabym właśnie tę. Jej ciepły uśmiech dodał Julii odwagi.

- Jest to przecież pani kolor, podkreślający pani rude włosy.

- Słusznie - z wdzięcznością zgodziła się Julia. - Żółty jedwab jest moim kolorem. - I dodała mimochodem: - Czy Lady Hester interesuje się strojami?

- Jest perfekcjonistką w strojach, jak i we wszystkim. Julia poczuła się, jakby góra, na jaką ma się wspiąć, urosła o dalsze tysiąc metrów.

- Bądź sobą, madame - poradziła Róża martwym głosem doskonałej służącej. - Lady Hester bardzo szybko potrafi rozpoznać najlżejszą oznakę sztuczności. - Przerwała. - Jest dla swojego syna bardzo opiekuńcza.

Obserwując odbitą w lustrze minę Julii, dodała flegmatycznie:

- Jestem pewna, że będzie pani wyglądać świetnie, madame. Żółty jedwab jest odpowiedni i wytrzyma paradę bez trudności. - I dodała nieśmiało: - Jeśli pani sobie życzy, mogłabym upiąć także włosy.

W normalnych warunkach Julia w ciągu kilku minut układała sobie klasyczny francuski lok, ale teraz zgodziła się natychmiast. Róża niedwuznacznie dała jej do zrozumienia, że jest po jej stronie i pragnie jej sukcesu.

Miała utalentowane dłonie. Szybko zrobiła jej stylową fryzurę. Ciężką masę włosów bezpiecznie spięła grubymi szpilami, co dawało wrażenie elegancji w dawnym stylu - podkreślało szlachetność i prostotę.

- Dziękuję ci, Rózo. - Julia była wdzięczna. Zadzwoił telefon. Róża podniosła słuchawkę.

- Już schodzę - powiedziała z uśmiechem. Po czym zwróciła się do Julii:

- Przyjechała lady Hester, madame. Muszę pójść do niej. Jeżeli będę miała wolną chwilkę, to wrócę do pani i pomogę pani się ubrać.

Julia wpatrywała się w swoje odbicie. Teraz, pomyślała, i pewną ręką zaczęła robić makijaż.

Nie za mocny. Cała sztuka polega na tym, żeby był niewidoczny. Użyła podkładu i błyszczka do rozjaśnienia wystających kości policzkowych. Oczy podcieniowała kolorem trochę tylko głębszym niż źrenice. Nie pudrowała policzków, dzięki czemu jej twarz nabrała młodzieńczego blasku. Różowo beżowa szminka znakomicie pasowała do żółtego jedwabiu. W porządku, pomyślała, przyglądając się sobie w taflি lustra. To powinno zdać egzamin.

Brad przyszedł w chwili, gdy perfumowała się L'Air du Temps. Jeden rzut oka wystarczył, by serce w niej zamarło. Stał blady, z zaciśniętymi ustami, z podejrzenie błyszczącymi oczami. Boże, pomyślała. Co ona mu powiedziała? Kiedy ich oczy spotkały się, zrozumiała i natychmiast podeszła bliżej.

- Najdroższy, konasz ze zmęczenia. Miałeś złą drogę?

- Koszmarną. - Głos miał schrypnięty. - Wszystko to jest makabryczne. - Odepchnął ją rozłoszczony i drapieżnie ją pocałował.

- Wiem, czego chcesz. - Wyślizgnęła się z jego ramion, zamknęła drzwi i poszła wprost do łóżka. Zrzuciła kołdrę.

- Czytasz w moich myślach - powiedział zachłannie.

W twojej twarzy, pomyślała Julia. Potwierdzało to jej teorię, że Brad przezwycięża stesy za pomocą seksu. Zwłaszcza te wywoływane przez matkę. W porządku, pomyślała rzeczowo, zrzucając jedwabną suknię i całą resztę. Nie ma sprawy. Jedni faceci piją, inni biją swoje żony. Sposób Brada jest z pewnością najlepszy. W głębi duszy jednak było jej przykro, że mąż traktuje ją jak deskę do prasowania. Jesteś mężatką, Julio, karciała siebie. Tak, tak, szeptał w środku cichy, szelmowski głosik: czyż ciotka nie powtarzała stale, że małżeństwo jest zalegalizowanym seksem?

Leżeli w ciszy. Napięcie Brada znikło. Ktoś zapukał do drzwi.

- To pewnie Róża. - Julia westchnęła.

Brad uniósł głowę i spojrzał na zegarek przy łóżku.

- Dzwonią z piekła! Już dawno po wpół do siódmej! - Wyskoczył z łóżka i pognął do łazienki.

Róża nie skomentowała wymiętoszonej pościeli i zmierzwionego uczesania. Zaczekała, aż Julia usiądzie przy toalecie i zaczęła wszystko od nowa. Potem przykryła głowę Julii szyfonową chustą, aby nałożyć jej suknię. Julia zajęła się poprawianiem makijażu.

Kiedy Brad wyszedł ze swojej garderoby w koszuli i spodniach, jego oczy płonęły.

- Wyglądasz precudownie! - powiedział z wyraźną satysfakcją.

- To w większości dzieło Róży. Uśmiechnął się do pokojówki.

- Dzięki, Rózo.

- Jeżeli nie mam nic więcej do zrobienia, pójdę do lady Hester.

- Zapnij mi je. - Brad wyciągnął w stronę Julii nie dopięte mankiety.

Pomagając mu, uśmiechała się.

- Jak w małżeństwie!

- Jesteśmy małżeństwem! - Okrutny skurcz twarzy Brada był najwyraźniej skutkiem przypomnienia sobie rozmowy sprzed pół godziny.

To znaczy, pomyślała Julia, że matka nie zaaprobowała związku.

Potwierdził jej domysły.

- To bardzo ważne, Julio - mówił z naciskiem, gdy przygotowywali się do zejścia na dół. - Za względu na mnie, zrób to dobrze.

Ze względu na ciebie? A co ze mną, myślała, gdy przepuszczał ją przodem.

Prowadził ją nie do saloniku, ale do innego ślicznego pokoju, tonącego w miękkich różach i bieli, gdzie zebrała się cała rodzina. Zaszokowana Julia nie dostrzegła nikogo, kto mógłby być jej teściową.

W ich stronę żeglowała Abby majestatyczna w swym źle uprasowanym, butelkowitzielonym welwecie. Miała olbrzymie szmaragdy w uszach i naszyjnik wążący z pewnością kilka funtów. Julia nie założyła żadnych kamieni, ponieważ miała tylko czarnego kota i sznur pereł będący jeszcze jednym ślubnym prezentem od Brada.

Abby przedstawiała ją tym członkom rodziny, których wcześniej nie spotkała. Brad rozglądał się za tacą z alkoholami.

Abby poprowadziła Julię najpierw tam, gdzie stała Binka w eleganckiej jasnobłękitnej krepie, obok wysokiego, ciemnego mężczyzny z twarzą znudzonego satyra.

- Julio, to jest Drexel Adams, mąż Binki. Drex twoja nowa szwagierka.

- Jest śliczna. - Drexel skłonił się nad jej dłonią.

- Panie Adams... - Julia uśmiechnęła się patrząc prosto w zuchwale podziwiające ją oczy.

- Dla przyjaciół i rodziny - Drex. Bardzo proszę. Abby odciągnęła ją.

- A oto moja lepsza połowa. Seth, przywitaj się z żoną Brada.

Julia uniosła głowę. Musiał mieć sześć i pół stopy wzrostu, a przy tym był szczupły. Zatrzymał się także, bez wątpienia, by uniknąć nadproża. Pochylił głowę o grubych, angielskich, owczo-psich włosach. Oczy miał łagodne, ale uśmiech zmieniał je w coś diabełkowatego. Zwrócił się do Julii głosem nieoczekiwanie pięknym, tak ciemnym jak oczy, i zacytował:

- Kiedy moja Julia w jedwabiach nadchodzi... - I gdy jego duża dłoń ścisnęła jej rękę, schylił się, żeby ją ucałować.

- Seth ma cytat na każdą okazję - tłumaczyła Abby z przejęciem.

- Paul Revere już nas nie ostrzeże - powiedział Seth zerkając na Julię ze swych wysokości. - A należało nas uprzedzić, byśmy się mogli przygotować na powitanie tak pięknej osoby, moja droga. - Wzniósł swój kieliszek z szampanem. - Piję za twoje zdrowie. Zdrowia, bogactwa i tak dużo szczęścia, jak to tylko możliwe.

- Dziękuję. - Julia rozkwitała w ciepłe pierwsze szczodrego powitania.

- Nie, to ty jesteś tą, co sprawiła nam przyjemność goszczenia tak cudownej osoby.

- Mówiłam ci, Brad zawsze miał szczęście. - Abby promieniała.

Drexel Adams podszedł do nich z kieliszkiem szampana. Bez żenady rozbierał Julię oczami.

- Jak to jest być Apollem Belwederskim w spódnicy? - zapytał. Pod pozorami uprzejmości czuło się szorstkość.

- Skąd mogę to wiedzieć? - odparowała Julia. - Pytasz niewłaściwą osobę.

Widziała jego oczy, ciemne jak marynarskie uniformy, z nagłą rozszerzone, a także jego pełen uznania uśmiech. Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, jego żona znalazła się obok wsuwając mu rękę pod ramię gestem mówiącym „spokojnie, chłopcze”. Zmierzyła Julię twardym, niechętnym spojrzeniem.

- Zastanawialiśmy się, gdzie postanowiliście spędzić miesiąc miodowy - wycodziła.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy - kłamała Julia.

Binka spuściła oczka. Julia już wiedziała, że żądło zostało wysunięte.

- Myślę, że zawsze możesz wykorzystać przygotowania poczynione dla kogoś innego.

Abby, która słyszała rozmowę, wtrąciła kategorycznie:

- Droga siostrzyczko, ugryź się w język. - Pociągnęła Julię za sobą.

- Wielki umysł zna siłę uprzejmości. - Seth nie mówił tego do nikogo w szczególności.

Odwracając głowę, Julia z satysfakcją ujrzała na twarzy Binki rumieniec.

- Na pewno doszłaś do wniosku, że mój mąż uczy literatury angielskiej - powiedziała Abby. - Nawiasem mówiąc, to był Browning. Też znam ich wszystkich. Co do Binki, nie warto zaprzętać sobie nią głowy - powiedziała stanowczo. - Ma dobre nazwisko i wszystkiego po trochu, łącznie z zazdrością.

Sympatyczna kobieta, pomyślała Julia. Nic dziwnego, że Brad ją faworyzuje. „Gibraltar”, powiada o niej. Binka wyglądała, jakby broniła każdego centymetra kwadratowego swojego terytorium. Abby przeciwnie, niebiańsko pogodna, jakby jej miejsce było nieosiągalne. Podobnie obaj mężowie. Drexel Adams to dość ostry, nazbyt gładki intrygant. Natomiast Seth wyglądał tak, jak zdaniem Julii powinien wyglądać prawdziwy bostończyk.

Pewnie się zastanawiają, myślała, kim jestem i dlaczego Brad rzucił narzeczoną tak gwałtownie i dla takiej kobiety.

Rozglądając się za mężem, zobaczyła, że stoi zwrócony plecami do kominka i obserwuje ją. Uśmiechnął się na moment, skinął na Thomasa o więcej szampana i spojrzał na zegarek. Była za pięć minut ósma. Róża mówiła Julii, że kolacja zaczyna się punkt ósma. Z pewnością teściowa tu nie wejdzie, tylko zgarnie jakimś słówkiem wszystkich do jadalni. Brad jednak postawił sprawy jasno: Julia musi wygrać, nawet jeśli wrzucił ją na pole minowe. Jego nieustanne sprawdzanie czasu wprawiało ją w zakłopotanie. Utwierdzało ją w przekonaniu, że mąż boi się własnej matki.

I oto w chwili, gdy stary zegar wahadłowy wybił godzinę, podwójne drzwi otworzyły się, a twarze obecnych skierowały się w ich stronę. Julia zastanawiała się w panice, czy obecne tu panie powinny dygnać, skoro wszystkie zachowywały się majestatycznie. Natychmiast zorientowała się, po kim Brad odziedziczył swoją smukłą, elegancką sylwetkę. Matka miała ponad sześć stóp wzrostu. Onieśmielająco wielka, o uderzającej prezencji i władczym wyglądem. Co wszakże nie stłumiło teatralnego szeptu Drexela Adamsa: „Mój Boże, ona jest w żałobie!” Czerń lady Hester była oszałamiająco elegancka. Śliski, cienki jedwab pod przejrzystym szyfonem, gufrowane kryzy wokół szyi i nadgarstków. Pięciokrotny sznur pereł z kolosalnym szafirem oprawionym w diamenty otaczał niezbyt jędrną szyję. Łzy kolczyków opadały spod białych jak len włosów, przyciętych krótko i kręconych, opadających na czoło i kark. Twarz miała władcą, orlą, o spojrzeniu ostrym i palące. Wąskie wargi, umalowane tak po mistrzowsku, że sprawiały wrażenie większych. Skóra dziwnie bez zmarszczek, z delikatnym makijażem. Kształt czaszki zdradzał, że musiała być niegdyś zapierającą dech piękną. Całość wyrażała nie znoszącą sprzeciwu arogancję, a obrazu dopełniał jej głos, gdy stuknęła zakończoną srebrną gałką laską, na której się opierała i gdy zażądała:

- Mój synu, czekam, byś przedstawił mi swoją żonę. Brad znalazł się u jej boku z szybkością, która dałaby mu złoto na każdej olimpiadzie. Matka wyciągnęła rękę. Ucałował ją, po czym przylgnął do jej ust, matka zaś ujęła w dłonie jego twarz i trzymała podczas pocałunku tak długo, aż policzki Julii zaczęły płonąć. Wtedy puściła go, a on podał jej ramię, na którym wsparła się idąc przez salę. Wszyscy z szacunkiem milczeli. Przyprowadził ją do dużego starego fotela z czasów Jerzego V, gdzie nikt wcześniej nie siedział, i podstawił jej pod stopy podnóżek. Podała mu swoją laskę, którą oparł o fotel, i uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że Julia zacisnęła szczęki. Potem lekko skinęła głową i powiedziała:

- Teraz możesz zacząć.

To nie może być prawdą, pomyślała Julia. Mam paść na kolana, czy jak? Wyraz twarzy męża, gdy podchodził do niej, dawał jej jasno do zrozumienia, że powinna paść nawet na twarz. Schwycił ją za łokieć tak nalegająco, że obcasy zaplątały jej się w sukni. Zachwiała się. Usłyszała stłumiony śmiech Binki; miała ochotę zabić ich oboje.

- To jest Julia, matko - powiedział Brad pokornie.

Julia wpatrzyła się w oczy takie jak u Brada, ale daleko bardziej przenikliwe, tnące ją na części. Zmusiła się do patrzenia w nie z podniesioną głową. Nigdy przed nikim się nie płaszczyła i, na Boga, nigdy nie będzie! Wytrzymała spojrzenie bez zmruczenia.

Lady Hester uśmiechnęła się, co targnęło Julią tak, że straciła opanowanie.

- Podejdz i pocałuj mnie, dziecko - powiedziała podsuwając policzek. Julia rozpoznała perfumy, gdy dotknęła wargami papierowej skóry. Floris, Red Rosę. Chciała się wyprostować, lecz długie, silne palce schwyciły jej podbródek i trzymały mocno, podczas gdy oczy świdrowały ją z taką siłą, że była bezradna. Teraz wiesz, kim jestem, mówiły te oczy. Niech zobaczą, kim jesteś ty.

- Tak, bez wątpienia jesteś pięknoscią - rzekła lady Hester zdając się być usatysfakcjonowana. - Mój syn nie przesadzał. Witaj w Bostonie, Julio. Mam nadzieję, że będziesz z nami bardzo szczęśliwa.

Z nami?... - Julia zdziwiła się.

Uśmiech, jakim obdarzyła ją lady Hester, był przemożnie miłosierny.

- Brad, drogi chłopcze, krzesło, tu, przy mnie - rozkazała nie patrząc na syna.

- Dziękuję, kochanie - Julia odrzekła czystym głosem, ustanawiając swoje własne królestwo.

Lady Hester wyciągnęła teraz rękę, zupełnie jak chirurg, który domaga się podania odpowiedniego narzędzia.

Binka zajęła miejsce za fotelem matki; stała w wyczekującej pozycji, gotowa spełnić każde życzenie starszej damy. Taka więc była jej funkcja w tym domostwie, pomyślała Julia.

Nagle lady Hester powiedziała:

- Widziałam tylko raz ten szczególny kolor włosów. Nieprzyjemną szorstkość tego komentarza Julia przypisywała arystokratycznemu pochodzeniu gospodyni. Taki to był głos: wysoki, sygnalizujący jakieś znaczenia, z rodzaju tych, co nigdy się nie zniżają, ponieważ poddani inaczej nie byliby w stanie pojąć, co do nich mówi.

- Ona także jest godna uwagi.

W Julii zawrzało. Czemu nie szturchnąć mnie dla prymitywnego zadowolenia i nie cieszyć się tym? Za to, że Brad pozwolił na to, powinna go zabić!

Tymczasem lady Hester przybrała ton całkowicie nie odpowiadający jej wściekłości.

- Moja droga - powiedziała ciepło. - Jakże szczęśliwa jestem, że mój syn wybrał na pannę młodą Angielkę. Mój własny, ukochany kraj znaczy dla mnie tak wiele.

Naraz jej oczy rozblęły niby cała Droga Mleczna.

- Już nie chcę tylko statystować.

Julia zamrugwała, skąpiana w ciepłe nienormalnego uroku skupionego dokładnie tam, gdzie bolało ją najbardziej.

- Pamiętam, jak to było, gdy zjawiłam się w Ameryce - przypominała lady Hester. - Mogę zrozumieć, dlaczego mój syn wybrał ciebie.

- To bardzo uprzejme - mruknęła Julia.

- Rzadko jestem uprzejma, moja droga, ale zawsze jestem szczerą.

Odchyliła się, gdy Thomas skłonił się przed nią, podając szklanę z napojem wyglądającym na tonik.

- Z pewnością nie to. - Lady Hester odsunęła szklanę. - Dzisiaj wypiję szampana, jak wszyscy.

- Ależ mam, doktor Venner powiedziała... - zaczęła Binka.

- Bardzo dobrze wiem, co mówi doktor Venner, tak samo jak wiem, co mam zamiar zrobić.

Szampana, jeśli łaska, Thomas.

Zwróciła się teraz do Julii.

- Mój nieszczęsny artretyzm - powiedziała wydymając wargi.

- Nie wolno mi pić alkoholu. Ale nie dzisiejszego wieczora. Nie mogę spełnić toastu z moim synem i jego nową panną młodą wodą Vichy, prawda?

Podszedł Thomas z szampanem.

- Już lepiej. Czy to Taittinger?

- Istotnie, proszę pani.

Lady Hester sięgnęła po laskę i stuknęła nią o podnózek. Podniosła kieliszek. Wszyscy poszli za jej przykładem.

- Za mojego syna i jego żonę - powiedziała. Zabrzmiało to tak, jakby ogłoszono amnestię powszechną.

Obecni rozluźnili się. Julia była zupełnie rozkojarzona. Lady Dragon przemieniła się w Czarodziejską Różdżkę Słodocy.

Pod urokiem jej wdzięku Julia otworzyła się, chcąc odrzucić piłeczkę konwersacji pod nogi teściowej. Skapać się w ciepłe hojne, przychylnej aprobaty.

- Brad zawsze wiele zdobywał dzięki dobremu wyglądowi. W tym kierunku jest szczególnie uzdolniony - zauważyła z satysfakcją lady Hester. Julia domyśliła się, że ona także wiele zawdzięcza prezencji. Komuś kto tak wygląda, wybacza się bardzo wiele.

- Ja jestem na niego podatna - odpowiedziała szczerze i została nagrodzona uśmiechem aprobaty.

- Nie spotkałam jeszcze kobiety, która by nie była. Pod tym względem przypomina mojego ojca. To on, nad tym gzymsem.

Julia odwróciła się posłusznie, by spojrzeć na portret, który zauważyła już wcześniej. To był Brad, tylko piętnaście lat starszy, otoczony aurą władzy i dojrzałości, której jak dotąd mu brakowało. Tylko uśmiech i zabójczy dla kobiet urok były te same.

- Uwielbiałam mojego ojca - wyznała lady Hester poufale.

- Brad zadziwiająco go przypomina - odrzekła Julia.

- Właśnie dlatego jego uwielbiam także.

Kolacja była tak wyśmienita jak szampan, choć Julia nie wiedziała, co dokładnie je. Tyle tylko, że dania były perfekcyjnie przyrządzone i pięknie podane. Konwersacja była równie wymyślna. Brad co chwila rzucał jej poprzez stół jeden ze swych ciepłych uśmiechów. Jego spojrzenie nakazywało, by się trzymała. Z jednej strony przynosiło jej to niejaką ulgę, z drugiej - konsternację, że było to dla niego takie ważne. Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby sprawy przybrały inny obrót.

Obserwowała jego i matkę. Widziała, jak ta dotykała go nieustannie, władczo i dumnie. Gdy oczy kobiet spotykały się, zdawało się, że pyta Julię: „Czy nie jest piękny, mój uwielbiany syn? Czyż nie powinniśmy czcić go obie?” Nic dziwnego, że był rozpieszczony aż do zepsucia, pomyślała Julia. Po chwili przemknęło jej przez myśl, że wśród zatrzęsienia portretów rodzinnych nie widziała w galerii niczego, co przypominałoby wizerunek męża lady Hester. Dzieworódtwo?... zastanawiała się

cierpko. Ponieważ rodzina Bradfordów stanowiła matriarchat, naturalnym było, że lady Hester wypytywała ją uprzejmie acz nieustępliwie o jej pochodzenie, rodzinę, wychowanie, edukację i pracę. Żaden detal nie był zbyt błahy. Julia miała wrażenie, że jest analizowana do głębi.

To naturalne, uspokajała samą siebie. Gdyby mój syn przedstawił mi jako swoją żonę całkowicie obcą kobietę i wprowadził ją do domu, i to w sytuacji, gdy ty myślałaś, że jest szczęśliwie zaręczony z inną, to też bym była podejrzliwa. Inna sprawa, że poza kąśliwymi aluzjami Binki nazwisko Karoliny Norton nie zostało ani razu wspomniane. Zupełnie jakby lady Hester kazała zamienić je na imię Julii. No właśnie, pomyślała Julia. Nikt tu niczego nie uczyni, jeśli ona nie nakaże.

Studiując teściową, Julia zrozumiała, dlaczego Sally uważała matkę Brada za morderczynię. Czyż nie zabiła jej nadziei? Pod niewymuszonym wdziękiem krył się żelazny charakter. Julia ani przez chwilę nie wątpiła, że teściowa, jeśli zechce, potrafi być absolutnie bezlitosna. Była więc wdzięczna, że spotkała ją aprobata. Mimo wszystko.

Rozglądając się po pomieszczeniu, Julia postanowiła odłożyć mikroskop. Wszyscy byli zaczerwienieni, nie tyle z powodu wina, ile ulgi. Co znowu prowadziło do pytania o to, czego właściwie się spodziewali. Złapała się na tym, że ogląda swoje żółte satynowe pantofelki i sprawdza, czy nie ma na nich krwi. A gdy spojrzała w górę, uchwyciła sardoniczny wzrok Drexela Adamsa. Odwróciła się. On zrobił to wcześniej.

Nie myśl o opinii innych, powiedziała sobie. Liczy się tylko lady Hester. Jeśli Brad chce, żebyś stanęła obok nich, to padnij na kolana jak oni.

Jak o wszystkim innym, lady Hester zdecydowała, kiedy nadszedł czas na zakończenie przyjęcia.

- Już dawno minęła pora, kiedy należy pójść spać - ogłosiła. Po czym zezwoliła. - Lecz ze względu na tak wyjątkową okazję...

Było wpół do dwunastej. I taka była siła jej polecenia, że wszyscy pozostali na miejscach. Julia została ucałowana przez obie żony i mężów, ale tylko Abby ją pochwaliła.

- Byłaś dobra - szepnęła jej na ucho, co sprawiło Julii największą przyjemność, dopóki Brad nie obrzucił jej uśmiechem obiecującym jego własną, specjalną nagrodę.

Wówczas lady Hester zakończyła wesoło:

- Muszę zabrać ci na chwilę mojego syna. Interesy, rozumiesz. - W jej głosie zabrzmiało suche rozdrażnienie. - Muszę wiedzieć, czy będąc w Anglii zakończył wszelkie prace.

Brad odprowadził Julię do podnóża schodów.

- To nie potrwa długo - zapewnił. - Zaczekaj na mnie, aż wrócę i cię położę.

Julia popłynęła na górę. Róża czekała na nią i Julii zdawało się, że odczytuje z jej twarzy aprobatę. Dobrze, myślała, gdy pokojówka ściągała jej przez głowę żółty jedwab. Czy nie mówi się, że służący wszystko wiedzą?

Dopiero teraz, po pokonaniu pierwszej przeszkody, wiedząc, że nadal siedzi w siodle, zdała sobie sprawę, jak bardzo zdecydowana była ją przeskoczyć. Poczowała się wyczerpana. Napięcie minęło i teraz zwiotczała. Lecz jej pierwszy sen, choć głęboki, był niespokojny. Wypełniały go echa głosów.

- Ona jest prawdziwą Damą Smokiem... poderżnie ci gardło, powiesi i wydusi ostatnią kroplę krwi... Co ty wyprawiasz? Co mówiła mi matka... Mój Boże! Matka będzie miała atak! Jak to jest być Apollem Belwederskim w spódnicy?...

Przerwał to Brad wślizgując się do łóżka i pytając:

- Hej! Co to za przewracanie się i kręcenie? Nie masz chyba nocnych majaków!

Przyciągnął ją do siebie, gorący, gotowy i pełen pożądania.

- Jestem sucha - skłamała odwracając się do niego plecami.

- Biedny kotek. Zaraz będziesz mi mrużyć.

Ostatnią myślą Julii, zanim cała kontrola umknęła, było, że być może Brad musi meldować się matce częściej. Następnego ranka pocałował ją przebudzony.

- Wstań, słoneczko i świeć. Musimy coś zrobić, gdzieś pojechać...

- Gdzie?

- Nie powiem, aż będziemy na miejscu. Julia usiadła wyprostowana.

- A miodowy miesiąc?

- Cóż, będzie krótki, ale zrobię wszystko, żeby był słodki.

- Jak krótki?

- Tylko do poniedziałku wieczorem.

Poczucie doznanego zawodu puściło pierwsze kielki.

- Cztery dni!

- Matka planowała pewne rzeczy nie wiedząc o nas. Rozumiesz. Mam ustalone zajęcia i poumawiane spotkania. Małżeństwo jest bardzo ważne, lecz akurat ktoś nieoczekiwanie dał się firmie we znaki. Ty nie masz się czym martwić, ja jednak będę musiał opuścić ciebie na chwilę.

- Już teraz?

- Nie będziesz sama - dodał Brad szybko. - Matka wszystko wzięła pod uwagę. Te cztery dni są dla nas.

Czuj się szczęśliwa, nakazywał ton jego głosu. Wskoczył z łóżka dając jej radosnego klapsa w pośladek.

- Wstawaj, dziewczeczko. W tym domu śniadania jada się o dziewiątej, a matka ma fioła na temat punktualności.

Lady Hester była już na dole, przy stole śniadaniowym. Przez duże przyciemnione szkła czytała stos poczty. Uniosła twarz i zdjęła okulary, żeby pocałować syna. Jak zwykle w usta. Julii nadstawiła policzek. Tego ranka pachniała nowością. Czarno-biała podomka Chanel. We włosach wstążka. Do podomki przypięte było coś, co Julia odczytała jako znak handlowy: samotna, świeża, czerwona róża.

Brad podszedł do baterii srebrnych naczyń; wziął sobie jajka, cienkie kielbaski, plastry bekonu, grzybki i pieczone ziemniaki. Julia zabrała się za jajko na miękko.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na diecie? - spytała lady Hester z dezaprobatą.

- Nie, ale nie jestem głodna.

- Dobrze śniadanie to dobry początek dnia - poinstruowała lady Hester i nalala kawy ze srebrnego dzbanka w stylu Jerzego V.

- Wszystko przygotowane - powiedziała do Brada podając mu filiżankę Spode'a, z motywem wierzby, taką samą jak jej własne.

- A co do wtorku...

Julia smarowała masłem tost, bawiła się jajkiem, nie mając ochoty na nic. Słuchała, jak matka i syn rozprawiają o sprawach, o których nie miała zielonego pojęcia. Czowała się zbyt cenna.

- Jeśli będzie trzeba, pojedziesz za nim - usłyszała. - Jeśli McCauley nam podpadnie, chłopcy Dunhama dopadną go i będzie spokój. Chcę schizmy. W ten sposób dzielimy i rządzymy.

- O.K. - odpowiedział Brad z całkowitą pewnością siebie. - Tak zrobię.

Julia sączyła kawę. Przypomniła jej się sen. Omen?

- Hej! - Brad trącił ją w kostkę.
- Przepraszam, zamyśliłam się.
- Zjadłaś dosyć? Jeszcze kawy? Jeśli nie, to ruszamy.
- Ruszamy? Jeszcze się nie spakowałam i w ogóle...
- Pozwoliłam sobie zlecić Róży, żeby zrobiła to dla ciebie.
- Ale...

- Róża wie dokładnie, co będzie ci potrzebne. Kiedy wrócisz, dostaniesz własną pokojówkę. Pozostaje ci tylko dobrze się bawić.

Brad odsunął jej krzesło. Wstała niepewnie, z uczuciem, że traktuje się ją jak pocztową przesyłkę. Do pokoju wszedł Thomas.

- Samochód czeka, sir.
- Świetnie. Bagaze załadowane?
- Tak, sir.

Brad zwrócił się do matki:

- Więc zobaczymy się w poniedziałek wieczorem. Jej uścisk był ponury.
- Wracajcie szybko... - powiedziała nadstawiając Julii policzek. Słowa „Bawcie się dobrze” zabrzmiały tak, jakby były rozkazem.

Julia widziała, że niczego od niej nie oczekiwano. Traktowano ją jak tłumok i nie mówiono nawet słowa na temat jego przeznaczenia. Inaczej wyobrażała sobie swój miesiąc miodowy. Nikt nie pytał jej o zdanie.

Siedziała smutna i pokrzywdzona. Brad prowadził samochód poprzez bzycający jak wściekłe osy ruch uliczny. Minęli rzekę.

- To jest Charles - powiedział. A po pewnym czasie:
- A to jest Cambridge. Tu mieszka Abby. Jechali dalej.
- Harvard. - Wskazał głową.

Wkrótce pozostawili za sobą gaje akademii i znaleźli się na wsi. Julia zobaczyła znak CONCORD 17 km. Jej poczucie krzywdy jeszcze się wzmogło. Jadą na farmę... Piękny miodowy miesiąc. Krowy, pola i stara obora. Była tak obrażona, że zaniemówiła. Więc taki miała pomysł jego matka.

Brad uśmiechał się. Nie miał pojęcia albo było mu obojętne, co nurtuje jego żonę. Dzień był cudowny. Opuścił szyby, oparł łokieć o drzwi, ręce swobodnie trzymał na kierownicy. Na dodatek ubrał się odpowiednio, jak na wieś, ciskała się Julia. Lekka koszula i dżinsy, podczas gdy ona miała na sobie elegancką suknię i szpilki. Znakomity początek!

Po pewnym czasie zaczęła zauważać piękno mijanych okolic. Zieleń traw, białe ogrodzenia, bydło, konie, zapach siana.

- Już niedaleko. - Brad zanucił. Spojrzał na nią.
- Słońce świeci, a ty nie?
- Gdyby mnie oświecono, gdzie, do czego jadę, to może bym i świeciła!
- Poczekaj, aż zobaczysz. Spodoba ci się!

To ty tak myślisz, zawzięta się. Oczekiwała, że pojedą w jakieś miejsce specjalne, pełne czaru. Chciała jechać latającym dywanem.

- Matka była pewna, że tam będzie najlepiej - kontynuował beztróska Brad.

Najlepiej co?... myślała ponuro. Najlepiej odzyskam głowę? Wspinali się na wzgórze, a kiedy

osiągnęli wierzchołek, Julii zaparło dech.

Spojrzenie Brada rozjaśniło rozbawienie.

- Nie mówiłem? Myślałaś, że wiozę cię do obskurnej chaty i grzebiących kurczaków?

W niewielkiej dolinie rozpościerała się przed nimi cudowna scena. Rozłożysty, na biało malowany dom, sędziwe drzewa, smuga wody, która musiała być jeziorem lub co najmniej stawem. Pływające kaczki, pasące się konie, zapach drzew owocowych i świeżo skoszonej trawy.

- Ależ to jest piękne!

- Śmiało. Rzeczywiście spodziewałaś się czegoś najgorszego?

Zaśmiała się wdzięcznie, trochę zawstydzona.

- Chyba... nie wiedziałam, czego mam się spodziewać.

- To jest Farma. My, Bradfordowie, pochodzimy stąd. To dla nas miejsce specjalne. Tutaj puściliśmy korzenie w amerykańską ziemię, by potem przyczynić się do powstania Stanów Zjednoczonych. John Adams jest moim odległym przodkiem. Jesteśmy dumni z tego, że pochodzimy od Signera. Gdzie indziej mógłbym cię wziąć na miesiąc poślubny?

Julia zarzuciła mu ramiona na szyję w chwili, gdy skręcał na szeroki podjazd wysypany żwirem. Prawie natychmiast otwarły się boczne drzwi budynku i na szczycie schodów stanęła kobieta. Julia ze zdziwienia wtuliła się w fotel. Kobieta jak z okładki Normana Rockwella. Tęga, siwa, o zaróżowionych policzkach, nosiła szarą, drukowaną suknię i grubego, białego fartuch. Uśmiechała się szeroko, promiennie.

- Już jesteśmy, Aneczko! - Brad wydał entuzjastyczny okrzyk. Wskoczył z samochodu na schody, by ją uściskać.

- Aneczka była z nami od zawsze - powiedział zwracając się do nadchodzącej Julii.

- Więc to jest pani Bradford, moiściewy, aleście piękne. Mogłam się domyślać.

- Gdzie jest Jonasz?

- Tutaj. - On także był wprost z Rockwella. Ogrodniczki z klapą na szelkach, szara koszula robocza, koścista twarz z Nowej Anglii i lakoniczny głos. On i Brad uścisnęli sobie dłonie.

- Jonasz jest mężem Aneczki. Prowadzi farmę, dba o budynek.

Julia podała mu rękę.

- Wchodzi już - popędzała Aneczka. - Upiekłam ciasto orzechowe.

Niesamowite, westchnęła w duchu Julia. Wszystko takie amerykańskie...

Przekroczyła próg i szła śladem gospodyni. Słońce wlewało się do środka przez duże okno nad schodami i padało na piękną, starą, mocno politurowaną podłogę z desek. Nasycalo ją i rozpraszało się na ręcznie robionych i zacnych przez swą antyczość dywanikach. Tykał zegar dziadka i, jak na Mount Vernon Street, wszędzie było mnóstwo kwiatów.

- Jestem zupełnie nieodpowiednio ubrana! - Julia przyglądała się swojej lnianej sukience i wysokim obcasom. - Pozwól mi się przebrać i wtedy mi wszystko pokażesz.

Ich pokój był przeuroczy. Wysoki, obszerny i wypełniony słońcem. Z łóżem kolumnowym, które pomieściłoby i cztery osoby, na które trzeba było wspinać się po kilku stopniach przykrytych tureckim dywanikiem. Meble stare i piękne, wczesno amerykańskie. Kołdra, która okrywała łóżę, stanowiła znakomity przykład zdolności kobiet dawnej Nowej Anglii, podobnie jak poduszki w starym, pozapadłym fotelu. Inicjały na ścianach wykonane zostały przez dzieci Bradforda o imionach: Abigail, Sara, Priscilla i Prudence.

- Cudowne! - westchnęła Julia. Czysty „Saturday Evening Post”...

- Przecież obiecałem ci miłą niespodziankę...

Nadszedł Jonasz z torbami. Jak mogła się domyślać, były w nich jej spodnie, koszule i buty na płaskim obcasie. Szybko przebrała się w dżinsy i koszulę taką jak Brad.

- Teraz możesz pokazać mi resztę tego magicznego miejsca. Zakochała się w Farmie. Była całkowicie amerykańska, bez angielskich stylizacji, jak Moun Vernon Street. Rozrastała się niby leciwa piękność, która zrzuciła gorset. Oryginalny siedemnastowieczny budynek pozostał sercem i niesamowitym salonem rozrastającego się wiekami domostwa. Skrzydła i aneksy dobudowywano tu i tam. Ciągi schodów wędrowały po nim w najdziwniejszych kierunkach. Niektóre kończyły się w pomieszczeniach o stromym suficie i oknach w dawnym dachu. Wszystkie meble były z epoki, świetnie utrzymane. Pachniało politurą, kwiatami i latem. Julia studiowała portrety malowane przez wędrownych malarzy. Nie było tu tych Copleyów ani Stuartów, co w Bostonie, ani też sreber czcigodnego Paula Revere'a lub szkła Sandwicha.

- Wszystko to jest absolutnie wspaniałe! - entuzjazmowała się. Brad obserwował ją z pobłażliwym uśmiechem.

- Jak się domyśliłeś?

- Znam cię, a poza tym matka powiedziała, że to miejsce jest idealne - stwierdził.

Radość Julii nieco osłabła.

- Matka zna się na ludziach i rozumie ich - ciągnął Brad. -

Każde słowo, które powiedziałaś wczoraj wieczorem, zostało zanotowane i wzięte pod uwagę. I miała rację, prawda? Ty czujesz przeszłość, a Farma jest naszą przeszłością. Tu Bradfordowie celebryją Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i inne ważne okazje. Zatem, czy jest gdzieś lepsze miejsce na spędzenie miodowego miesiąca?

Julia zawstydzila się swoich podejrzeń.

- Jesteś aniołem! - wykrzyknęła i objęła go. - Jest idealnie.

- Chodźmy obejrzyć resztę.

Marzenie. Białe płoty, zielone trawy, drzewa, konie, bydło. Trochę owiec, a nawet para kózek. W lekkim wietrzyku szumiało zboże. Mężczyzna na minitraktorze kosił trawę, inny zaś podlewał krzewy żurawin.

- To jest farma produkcyjna - wyjaśniał Brad. - Mamy duże zbiory żurawin.

- Jest tu gdzieś wioska?

- Jasne. Bradford, dwie mile stąd. Pójdziemy tam. Spodoba ci się kościół. Gontowa kopia kościoła Wren w mieście.

Spacerowali objęci. Brad pokazywał jej drzewa, na które wspinał się będąc chłopcem, sekretne kryjówki przed siostrami, basen, gdzie kąpali się latem, i wzgórza, z których zimą zjeżdżali na sankach.

Miał w kieszeni kawałki cukru dla koni, które kłusowały wokół i rżały na nich. Normalnie Julia bała się koni - ich szczyrzenia zębów, przewracania oczu i gorących oddechów. Mimo to podawała im cukier na płaskiej dłoni i drżała zachwycona, gdy miękkie chrapy delikatnie skubały go, pozostawiając na skórze wilgoć pysków.

- Och, mogłabym tu zostać na zawsze! - stwierdziła osłabła z rozkoszy.

Kiedy wrócili do domu, lunch już czekał i Julia pierwszy raz w życiu jadła tak przyrządzonego dorsza i przekładaniec z brązowego cukru, mąki i melasy, pokryty chrupiącą skorupką. Zjadła z taką gorliwością, że Brad radośnie protestował:

- Powinnaś przybrać na wadze, ale bez przesady. Nie zniosę tłustych pudów na grubej kobiecie.

Po jedzeniu udali się do wielkiego łoża na drzemkę. Przebudzili się i kochali powoli, z radośnie absorbującą, cudowną miłością. Przed kolacją znowu poszli na przechadzkę. Wrócili i huścili się na ganku w bujanych fotelach, w słodko pachnącym wieczorze. Popijali jabłkówkę zrobioną przez Jonasza, wciągając smakowite zapachy nadciągające z kuchni z tyłu domu.

Po kolacji słuchali w salonie muzyki. Julia leżała na kolanach Brada. Wyjął jej z włosów szpilki i pozwolił im rozsypać się po plecach. W końcu pociągnął ją za rękę w górę i zaprowadził do świeżo pościelonego łoża, pachnącego lawendą i słodkimi ziołami, gdzie jeszcze raz kochali się rozkosznie, zanim zapadli w sen, jak w studnię.

Julia nigdy nie czuła się tak spokojnie i bezpiecznie. Ku własnemu zdumieniu była nawet w stanie zaakceptować z sennym samozadowoleniem, że Brad pożądał jej tak zaborczo. Normalnie nie wytrzymałaby przymusu, lecz jego nastrój był tak pogodny, jakby rzeczywiście swoje inspiracje czerpał z pogody. Zdziwił ją swoim upodobaniem do bezczynności; obserwował z pobłażliwym zdziwieniem, jak robiła wianki ze stokrotek, zrywała polne kwiaty, poznawała konie. Ale na żadnego nie wsiadała.

- Kiedyś będziesz musiała. Wszyscy Bradfordowie jeżdżą i matka będzie tego po tobie oczekiwać. Abby jest centaurem.

Lecz Julię zajmowały jej własne oczekiwania, choć po czterech dniach pogodnej szczęśliwości czuła się już lepiej. Nikt nie dzwonił, nikt nie przyjeżdżał. Mieli siebie tylko dla siebie. Był to najpiękniejszy, choć może najkrótszy miodowy miesiąc.

W poniedziałek rano spytała:

- Kochanie, tak bardzo cieszyłam się każdą minutą w tym zaczarowanym miejscu. Często możemy tu wracać?

- Jasne.

- Tu jest tak spokojnie.

- Jesteś pewna, że ci się nie znudzi? - Jego głos i spojrzenie mówiły, że jemu zapewne tak.

- Nigdy! - zaprzeczyła. - Nikt nie mógłby się nudzić w tym magicznym miejscu.

- W porządku, możemy przyjeżdżać tu na weekendy. Poza tym, jak powiedziałem, Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie są tu obowiązkowe. Wtedy dom pęka w szwach.

- Tak, kochanie, dziękuję.

Pocałowała go chcąc okazać mu wdzięczność, ale on natychmiast zmienił charakter tego pocałunku. Po chwili wskoczył pod prysznic gwiżdżąc głośno.

Jestem żoną, myślała radośnie, obejmując kolana. Czuła, że należy do niego i jest z nim, czego przy Dereku nigdy nie doznawała. Zdała sobie sprawę z tego, że do tej pory nie mogła pozbyć się dręczących ją wątpliwości. W istocie dotąd nie była spokojna. To te jej niecodzienne, dzikie emocje. Teraz wątpliwości przysły. Brad przetransportował ją nie tylko trzy tysiące mil przez ocean, ale przeprowadził też do nowego życia. Musi być dobrą żoną. Nie może popełnić tych błędów, do jakich dopuściła z Derekiem. Powinna brać męża takim, jakim jest, a zmienia się na tysiące i jeden sposobów. Jego matkę także. Powinna postępować ostrożnie, zwłaszcza że on tak tego chce. Powinna poprawić złe wrażenie, które pozostało po jej wejściu do rodziny Bradfordów, i pokazać im, a szczególnie matce, że Brad dobrze zrobił żeniąc się z nią.

Nadchodził następny cudowny dzień. Ostatnia kąpiel w stawie, ostatni spacer, ostatni lunch, sješta i wszystko, co za tym szło. Była wdzięczna za owe cztery dni, bo dały jej wytchnienie, którego

potrzebowała. Cokolwiek ma się zdarzyć, czuła się na siłach temu sprostać. Odrzuciła przykrycie i poszła do łazienki przyłączyć się do męża.

Wyjechali o piątej po południu po pożegnaniu wszystkiego wokół. Aneczka i Jonasz prosili, żeby wkrótce znów przyjechali.

Julia odwróciła się obrzucając wszystko pożegnalnym spojrzeniem. Potem samochód wspiął się na wzniesienie, zjechał po drugiej stronie wzgórza i Farma pozostała za nimi.

Rozdział dziesiąty.

Jak ja wyglądam, dobrze? - spytała Julia niespokojnie. Abby, która weszła na górę, by dać jej moralne i fizyczne wsparcie, jeśli by było potrzebne, przyjrzała się i powiedziała żarliwie:

- Julio, wyglądasz wspaniale. Czarny jest twoim kolorem. Bardzo dobrze. Masz odpowiednią karnację.

- Brad lubi mnie w czerni.

- I bez niej także, jeśli sposób, w jaki patrzy na ciebie, może o czymś świadczyć.

Julia zaczerwieniła się.

- Miło ze strony Binki, że poradziła mi ją założyć - powiedziała Julia pośpiesznie.

- Mamy bardzo ważne przyjęcie. Zaproszenia matki nie można ignorować. Rodzina, przez co rozumiem wszystkich włącznie z dalszymi kuzynami, spotyka się wyłącznie wtedy, gdy są urodziny, ślub lub pogrzeb. Nie mieliśmy czterdziestu osób przy stole, odkąd Binka wydała się za męża. A ty jesteś teraz żoną Brada. - Abby skrzywiła się. - Jednak powinnaś mieć jeszcze jakieś klejnoty. Dekolt tej sukni wymaga dużego naszyjnika. Myślałam, że matka mogłaby dać ci diamenty Bradfordów, ale przypuszczam, że tydzień znajomości to może być za mało. Masz coś własnego?

- Tylko perły, które Brad kupił mi w prezencie ślubnym.

- Pokaż mi je. - Pokręciła głową. - Nie. Nie wyglądają odpowiednio. - Sięgnęła do swojej szyi.

- Nie, Abby, nie mogłabym.

Abby nosiła szmaragdy, dobrane do jej złoto blond włosów i oczu zmiennych jak morze. Julię przeraziła myśl, że miałyby na szyi fortunę.

- Mogę pożyczyć coś od matki.

- Co pożyczyć od matki...?

Obie odwróciły się. W otwartych drzwiach stała lady Hester.

- Pożyczam Julii moje szmaragdy, więc miałam nadzieję, że sama pożyczę coś od ciebie.

- Julia nie musi pożyczać klejnotów - zbyła córkę lady Hester. - Przyniosłam tu jej własne.

Abby mrugnęła do Julii.

- Ależ to diamenty Bradfordów! - krzyknęła.

- I co z tego? - spytała lady Hester z arogancką dumą. - Tradycyjnie daje sieje młodej żonie najstarszego syna - rzekła do Julii. - Tak jak dano je mnie, teraz daję je tobie.

Otworzywszy duże, wyściełane pudło, podała je Julii gestem, od którego można było oślepnąć. Julii zaparło dech w piersiach.

- Ale one są drogie...

- Szlifowano je we Francji w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku dla Abigail Bradford - tłumaczyła lady Hester. - Są też bardzo piękne. Nie można ich porównywać z diamentami Conyngham-Bradfordów, ale to kamienie pierwszej klasy. Urocza kolekcja en tremblant.

Naszynnik był girlandą diamentowych kwiatów, z małymi kropelkami rosy na płatkach, które mieniły się wraz z poruszeniem właścicielki. Do kolekcji należały kolczyki i bransoletka z pąkami kwiatów.

Julia stała nieruchomo, aż lady Hester zapięła je na niej i odstała do tyłu, aby ocenić efekt.

- Tak - powiedziała ostatecznie z nutką satysfakcji. - Bardzo okazale, Julio. Rzeczywiście, bardzo okazale. Czerń jest bez wątpienia twoim kolorem.

Sama była w bladym błękitcie. Na szyi miała ogromne szafiry, w uszach po jednym w kształcie gruszki i odpowiedni cabochon na lewym ręku. Tak duży, że Julia dziwiła się, jak można go podnieść.

- Chciałabym teraz, Julio, żebyś trzymała się mnie. W ten sposób będę mogła przedstawić cię wszystkim. Abigail, ty jak zwykle będziesz współdziałać z Binką i doglądać wszystkiego. Seth i Drexel będą towarzyszyć samotnym damom. Dzięki Bogu, jest ich coraz mniej. Mamy na kolacji tylko czterdziestkę, a więc nie jest najgorzej. W Arun zwykle bywało sto osób. - Westchnęła za dawnymi złotymi czasami i dodała: - Abigail, zejdź na dół. My z Julią będziemy za chwilę.

Abigail, za sprawą jakiegoś cudu nie poplamiona i nie postrzępiona, odpłynęła w lśniących brązach jedwabiu pozostawiając Julię samą z teściową.

- A zatem, Julio... - Lady Hester usiadła na szezłagu i spoglądała na synową niczym nauczycielka na uczennicę. - Nie ma powodu do zdenerwowania. To tylko rodzina. Sama przeszłam przez różne formalne inspekcje, gdy zjawiłam się w tym domu jako panna młoda. Amerykańska gałąź mojej rodziny jest młodszym odgałęzieniem przykładającym przesadną wagę do przodków. Coś w rodzaju japońskiego szintoizmu. - Uśmiechnęła się na znak, że jest to oczywiście niedorzeczność, ale w tak młodym kraju pobłażliwość jest potrzebna. - A teraz, co do dzisiejszych wydarzeń. Kolacja jest wyłącznie rodzinna, dla seniorów. Później wydam serię małych potańcówek dla ciebie i Brada, gdzie zaproszeni zostaną młodsi wraz z przyjaciółmi. Dzisiaj muszę cię prosić, byś zносиła to wraz ze mną i zabawiała starych nudziarzy, którzy jednak należą do rodziny. Większość z nich cierpi na to czy tamto. Wielu jest głuchych, w szczególności trzy Wielkie Ciotki, siostry ojca mojego męża. Przychodząc tutaj czynią ci wielki honor. Wszystkie są po pięćdziesiątce i rzadko opuszczają Louisburg Square. Kuzyn Timothy jest męskim seniorem rodziny - to syn brata mojego teścia. Choć już dawno skończył sześćdziesiątkę, nazywa się go „młodym” Timothyem.

Lekko i kategorycznie lady Hester naszkicowała Julii postacie, które miała wkrótce spotkać. Ludzie ci wywodzili się z Hill, z Brooklinu, z Cambridge i Chestnut Hill. Wryła je w pamięć Julii za pomocą obrazków i Julia mogła przypisać imię do zajęczych zębów, do trąbki wspomagającej słuch. Umiała rozróżnić Wielkie Siostry dzięki kolorom ich sukien (zawsze nosiły stałe kolory ze względu na swoją matkę, która inaczej ich nie rozróżniała). Rozpoznać żonę Santonstalla między żonami Adamsa i Cabota.

- Będzie ci łatwiej niż mnie. W roku trzydziestym, gdy tu przybyłam, Boston był inny niż dzisiaj, w siedemdziesiątym piątym. Wówczas ludzie byli bardzo podejrzliwi wobec każdego, kto nie był bostonczykiem. Ksenofobia. Brak zaufania, rzecz jasna. Lecz cóż, z zaledwie trzechsetletnią historią...

Uśmiech lady Hester wyrażał: czego innego można spodziewać się po parweniuszach? Julia, która dotąd z desperacją żonglowała imionami i twarzami, uśmiechała się z obowiązku, teraz pragnęła zapytać: Czy nie tym właśnie ja jestem? Nie mam absolutnie żadnej historii. Zastanawiało ją, czy teściowa nie bawi się trochę jej kosztem. Zaraz jednak upominała siebie, że jest przeczulona.

Matka jest raczej pomocna niż krzywdząca. Powinna być wdzięczna!

Lady Hester spojrzała na zegarek.

- Teraz musimy zejść na dół. Powiedziałam siódma trzydzieści, a jest siódma dwadzieścia dziewięć. Rodzina wie, że punktualność jest moim fetyszem. Nigdy nie każę ludziom czekać na siebie i od nich oczekuję tego samego.

Gdy schodziły po schodach, Julia ujrzała, że dom przygotowano do przyjęcia. Aż płonął od świeżych kwiatów w srebrnych wazonach, od ogromnych pater i kryształowych waz. Kandelabr jarzył się. Wszystko wokół migotało. Brad konferował w hallu z Thornasem, któremu mieli pomagać Roach, lokaj Binki, dwaj towarzyszący służący i trzy pokojówki. Gdy matka i żona schodziły ze schodów, Brad wyszedł im na spotkanie.

- Muszę powiedzieć, że obie wyglądacie olśniewająco. - Uśmiechnął się.

Pocałował Julię w usta, a matkę w policzek.

- Ty też nie wyglądasz najgorzej - odpowiedziała Julia. Popatrzyła na niego z dumą.

Uśmiechnął się do niej, ale zwrócił do matki:

- Wszystko w idealnym porządku, właśnie sprawdziłem. Lady Hester skinęła głową.

- Tego oczekiwałam.

Brad tymczasem wpatrywał się w brylanty błyszczące na białej szyi Julii. Ujrzała w jego oczach coś w rodzaju ulgi.

- Ładne - powiedział potakując. - Teraz już jesteś prawdziwą panią Bradford.

Obserwując go tego wieczora, Julia zaczęła pojmować, co to znaczy. Stojąc między żoną a matką, dziękował Rodzinie. Mężczyznom ścisnął dłonie, całował kobiety, rzucał lekkie, ironiczne uwagi. Przyjmował gratulacje swobodnie, przedstawiał Julię z wyważoną dumą, szacunkiem lub triumfem. Emanował swobodną pewnością siebie człowieka obytego. Tymczasem Julia męczyła się panowaniem nad własną twarzą zgodnie ze wskazówkami lady Hester. Starła się opanowywać zdumienie, rozbawienie lub szok na widok niektórych członków Rodziny. Trzy Wielkie Ciotki: Henrietta, znana jako Hetty, Sophronia, znana jako Sophie, i Louisa, znana jako Louie, zrobiły na niej wrażenie. Drobnutkie, ale zadziwiająco dziarskie, poubierane w stylu przełomu wieków w suknie niemal równie leciwe jak one, tak delikatne, że materiał, pewien rodzaj tafty, rozłaził się na znoszonych szwach. Nosiły przeważnie koronki, żółte niczym stare gazety, ale obwieszane były staromodnymi klejnotami o imponującej wartości. Chichotały, gdy Brad je całował, po królewsku, najpierw w dłonie, a potem w policzki. Flirtowały z nim w podnieceniu, zanim odeszły trzęsąc się do „drogiej Abigail” czy „młodej Hester”.

Młody Timothy był tęgi, łysy i pompatyczny. Tkwiąc obok niego za stołem Julia próbowała wyglądać na zainteresowaną jego wynurzeniami na temat angielskiego rządu, ale nudził ją do łez. W dodatku Brad siedział obok niebezpiecznie wyglądającej blondynki, której suknia rozpierana przez znakomity i opalony biust, trzymała się na ciele jedynie siłą woli. Wydawało się, że Brad za bardzo ją adorował. Torturując swój mózg Julia przypominała sobie, że blondynka była żoną jakiegoś kuzyna Brada. Nie wiedziała którego. Było ich tak wielu. Irytowało ją to. W końcu zupełnie się pogubiła. Jedną lub dwie z najbardziej wymownych twarzy, królicze zęby i trąbkę, niezapomniane Ciotki, zapamiętała bez trudu. Reszta zlała się w masę twarzy. Kolacji, prostej ze względu na podeszły wiek wielu gości, którzy z trudem radzili sobie ze skomplikowanymi daniami, nawet nie spróbowała. Za to winem, wspaniałym Montrachet, raczyła się swobodnie. Wstawano od stołu. Ciągle przybywali goście. Julia poczuła szum w głowie.

Kawa była ciężką próbą. Każdy z mężczyzn starał się z nią „pogawędzić”. Radziła sobie z tym, prowadząc delikatnie, ale mimo wszystko na trzecim biegu. W desperacji popijała czarną kawę, parzoną po angielsku, a więc znacznie mocniejszą od amerykańskiej, odpowiadając w kółko na ciągle te same pytania. Na twarzy miała stale ten sam uśmiech. I miły głos.

Była bliska płaczu, gdy podszedł do niej Brad.

- Wybacz, kuzynie Dodo, ale zabieram ci Julię. Musimy zabawić innych gości.

- Często będziemy myśleli to robić? - spytała z rozpaczą.

- Nie, dzięki Bogu. Lecz tym razem jest to konieczne. To Rodzinny Obrządek. Głowa do góry, najdroższa. Trzymasz się dzielnie i z wdziękiem. Wszyscy mówią o tobie. Kobiety cię uznały, a mężczyźni mi zazdroszczą. Co ważniejsze, matka jest szczęśliwa. Tak trzymaj. - Skinął na diamenty. - Fakt, że je otrzymałaś, jest wystarczającym dowodem na to, że okres próby już minął, co też zostało z pewnością zauważone. Matka jest głową tego szczególnego klanu, a inni podążają za nią. Jesteś więźniem Rodziny, a tym samym Bostonu. Jesteśmy więc w domu.

Reszta wieczoru była jedną wielką plamą nowych twarzy. Jeszcze raz Julia znalazła się pod lupą pewnej bardzo imponującej wdowy; młodsze kobiety skupiły się wokół Brada. Szampan płynął, a Julia korzystała z niego beztrąsko, szczególnie, że był to Dom Perignon rocznik 1947. Orkiestra zaczęła grać. Było bardzo gorąco, choć wielkie okna były otwarte w noc. Julia poczuła się rozpalona. Wymknęła się do łazienki, żeby przypudrować nos. Wówczas usłyszała głosy dwu rozmawiających o niej kobiet.

- ...dobrze wygląda - mówił jeden z nich zabawnie akcentując.

- Brad zawsze kierował się wyglądem - replikował drugi.

- Chociaż... chyba nikt jej nie zna. Lady Hester nie powiedziała ani słowa, co znaczy, że nie ma o czym mówić. -

W głosie zabrzmiało szyderstwo. - Znaczy to także, że nie ona ją wybrała. Co się stało z Karoliną Norton?

- Słyszałam ostatnio, że siedzi w domu, w Filadelfii, z rozdartym sercem.

- A co byś robiła, gdyby facet zastąpił cię inną tuż przed metą?

- Z pewnością, w końcu to szok. Hester Bradford co prawda nie pękła, ale założę się, że zrobiła mu piekło!

- Jednak wygląda na to, że synową przyjęła, skoro wydała przyjęcie. Gdyby tak nie było, to panienska siedziałaby teraz w samolocie w drodze do domu.

- Może, ale zastanawiam się, dlaczego się z nią ożenił?

- W ciąży nie jest, to pewne. Nie dzisiaj i nie w tym wieku.

- Nie? A co było z Charlottą Ford? Tego się nie wie, moja droga, dopóki się nie zobaczy rachunku.

Znowu zły chichot.

- Sama by za to płaciła. Widziałaś, żeby on kiedyś płacił? Wyszły śmiejąc się.

Julia odczekała chwilę i wyszła z łazienki. Na szczęście nikt nie widział jej ucieczki. Przeszła pasażem do własnej łazienki, gdzie przyjrzała się swojej płonącej twarzy.

Trzymaj się, mówiła do siebie. To naturalne. Brad uciekł od narzeczonej do ciebie, czyli do nikogo, jak gadały te harpie. Nie rozpadaj się z tego powodu. Jest dobrze. Tak powiedział Brad. Nosisz naszyjnik Bradfordów. Noś go z uśmiechem. Poprawiła makijaż. Spryskała się perfumami i prostując plecy zeszła na dół.

- Tu jesteś! - Abby dopadła ją. - Już myślałam, że zrejterowałaś z placu boju.

- Prawdę mówiąc to świetna myśl - odrzekła Julia pogodnie. Abby parsknęła śmiechem.

- I to by był błąd. Bo dałaś popis. Kobiety podziwiają twoją skromność i szczerłość, a mężczyznom sprawia przyjemność twój widok.

- Wszystkim się podobam? Abby zmrużyła oczy.

- Nikt nigdy nie wygrywa w stu procentach. Ale powiedziałabym, że zyskałaś dobre dziewięćdziesiąt procent, a to nie jest źle. - Wzięła Julię za rękę. - Chodź teraz i pożegnaj się ze starymi ciotkami. Już dziesiąta, co dla nich jest godziną policyjną. Stary Doremus trzyma na zewnątrz konie. Zrędzi, kiedy stoją za długo.

- Konie...

- Ciotki nie uznają silników spalinowych. Używają swoich powozów, a konie, tak stare jak ciotki, ledwie sobie radzą z przebyciem wzgórza. Tak jest latem. Zimą my je odwiedzimy.

Zaniepokojony Brad okrywał ciotki starymi pelerynkami z łasiczek, a Julia zgodnie z jego cichą instrukcją razem z nim odprowadziła je do powozu. Pomagał im więc równie jak one leciwy woźnica, który beształ je z rodzinną poufałością wieloletniego sługi za przetrzymywanie jego bezcennych koników.

Drzwiczki zostały zamknięte, kopyta zastukały o bruk i powóz ruszył powoli w kierunku wzgórza. Brad pozwolił sobie westchnąć.

- Przysięgam, że wyglądają dokładnie tak samo jak wtedy, gdy miałem pięć lat. Gdy matka brała mnie na wizytę do nich, w tajemnicy dawały mi czekoladki na przeczyszczenie.

- Nigdy nie wyszły za mąż?

- Nie. Wujek Eliot był przekonany, że nikt nie jest wystarczająco dobry dla jego córek. Myślę, że zawsze marzył o tym, by zostać księciem Walii, ale został odsunięty na rzecz innego Amerykanina. Był zatwardziałym starym snobem. Adorował matkę po prostu dlatego, że ma oryginalną błękitną krew. Mówiła mi, że wyłaził ze skóry, by wydać córkę za pewnego biednego księcia czy kogoś w tym rodzaju, ale nie wyszło. Niegdyś był bogaty, ale był głupcem i roztrwonił swoje miliony i córki zostały w domu. I tak się zestarzały.

Objął Julię.

- Ciesz się, że mieszkasz w Bostonie dzisiejszym, a nie siedemdziesiąt lat temu.

- Z tobą mogę mieszkać wszędzie.

- Moja kochana. - Pochylił głowę, żeby ją pocałować. Chciała się przytulić, ale odsunął ją i powiedział:

- Dobrze, wracajmy na przyjęcie. Najstarsi wkrótce wyjadą i będziemy mogli odpocząć. Boston jest ostatnim miejscem na ziemi, gdzie tak mocno czci się osoby wiekowe.

Julia wiedziała, że Brad uwielbiał przyjęcia, że był duszą towarzystwa z policzkami zaczerwienionymi od szampana i jaśniejącymi, morskimi oczami. Widziała, że był w swoim żywiole.

- Jest piękny, prawda? - spytała ją przyjaźnie teściowa. - Widzę, Julio, jak na niego patrzysz.

Ośmielona szampanem, odpowiedziała:

- I kot może wyglądać jak król. Lady Hester zaśmiała się.

- To właśnie w tobie lubię. Twoja śmiałość przypomina mi moją - ciągnęła dalej. - Jesteśmy też najlepiej ubrane z obecnych tu kobiet.

Wskazała głową reprezentacyjną grupę przedstawicieli „Starej Gwardii”. Kobiety w nieokreślonym wieku nosiły suknie, które z pewnością pochodziły z tanich sklepów, ale były

obwieszane brylantami jak choinki.

- W Bostonie to komplement - mówiła lady Hester - jeśli powie się o kimś, że ciągle ma swojego pierwszego zarobionego dolara. - Skinęła im i wstała. - Teraz muszę wracać do pracy - stwierdziła i podeszła do nich.

Jak powiedziała Sally Armbruster, lady Hester była dziełem sztuki. Julia, jeśli nie spoglądała na męża, to obserwowała teściową i uczyła się. Nie była bojaźliwa, ale pełna rezerwy i poehopne wnioski nie leżały w jej charakterze. Rzucalo się w oczy, że dla Brada one obie były tchnieniem życia, co znaczy, że nie powinny robić uników. Zmusiła się więc, by pójść do ludzi i z własnej woli poddać się ich ciekawości. A zabawianie gości robiło się coraz bardziej męczące. Julia stłumiła instynktowną chęć pomniejszenia się i zniknięcia. Nie lubiła być obiektem zainteresowania ani domysłów, miała jednak duże wycucie obowiązku i tak została wychowana, by dawać z siebie znacznie więcej niż słowa. Krążyła więc, gawędziła, śmiała się i żartowała. Dobry dowcip nagradzała uśmiechem i sama też żartowała. Od czasu do czasu chwytała spojrzenia teściowej i lekkie, apróbujące skinienia. Dawka dopingu. Wszystkim podobała się jej suknia. Czarny jedwab ciasno dopasowany do ciała, z szarfą na biodrach i krótkim rybim ogonem z tyłu. Głęboki prostokątny dekolt pozwalał wspaniale wyeksponować

Diamenty Bradfordów i coś jeszcze, co było intensywnie komentowane. Zupełnie jakby teściowa przyznała jej medal. Wkrótce goście zaczęli zbierać się do odejścia. Julia ścisłała ręce i uśmiechała się aż do bólu szczęk. W końcu Thomas zamknął za ostatnim z gości drzwi na klucz. Julia ziewnęła i zamknęła oczy.

- Chodź ze mną, Julio. Wiem, co robić - rozkazała lady Hester zagarniając ją ze sobą, gdy zmierzała do różowego saloniku. Zdjęła buty i położyła się na dywanie z Aubusson. Przywarła plecami do podłogi. - Kładź się - poleciała. - To jedyne lekarstwo, gdy się jest na nogach przez cały wieczór.

Julia parsknęła śmiechem. Co u diabła, pomyślała. Wszystko jest fragmentem zwariowanego snu, w jaki przemieniło się nagle jej życie. Zrzuciła satynowe pantofle i rozciągnęła się obok teściowej. Po chwili, zdziwiona, przyznała jej rację.

Nadszedł Brad i stał patrząc na nie. Jego twarz w tej pozycji nadal wydawała się Julii piękna.

- To był dobry pomysł, żeby zaprosić dziś Muffy - rzekł do matki. - Wiem, że jej nie lubisz, ale do jutra dzisiejsza noc będzie jak odbita na powielaczu, co każdy kłamca odpowiednio zrozumie.

Wtedy właśnie Julia powiązała imię z twarzą. Ta blondynka to Muffy. Tu więc tkwił powód jego atencji! Ale co ma się rozejść?

Olśniło ją: pewna historia powiązana z powodem porzucenia Karoliny Norton, a owa Muffy, ewidentnie rodzinna plotkara, rozniesie to po mieście.

- Nie znoszę tej kobiety - powiedziała lady Hester, nadal z zamkniętymi oczami. - Lecz ma swoje zalety.

Julia też to zarejestrowała.

Nadeszły Binka i Abby, a za nimi nadciągali ich mężowie. Zostawali na noc. Abby zaśmiała się.

- Mój Boże, mam, jak ty to robisz? Gdybym ja się położyła, już bym nie wstała!

- Ja mogę - powiedziała Binka i również to zrobiła. Wieczór się zakończył i nie musiała dbać o swoją różową taftę Norella i pięć sznurów idealnie dobranych pereł.

- Ja mam swoje własne lekarstwo - mówiła Abby. - Filizanka herbaty.

Julia otworzyła oczy.

- Abby, ja też chcę...

- Więc chodź. Jeśli się chce, żeby była dobra, trzeba ją pić w kuchni.

W kuchni jeszcze nie była. Rozglądała się po białych ścianach, czerwonym linoleum, wielkim, marmurowym, ocynkowanym z wierzchu stole pośrodku, wiszących rzędach starych, miedzianych, lecz dobrze utrzymanych dzbanków. Staromodna, typu hotelowego płyta gazowa z całą serią palników do wypiekania, smażenia, duszenia. Lodówka wielkości angielskiej garderoby. Czajnik, w którym Abby nastawiła wodę, był także staromodny, miedziany.

- Jesteś głodna? - spytała Abby.

- Tak.

- Co na to powiesz? - Abby wyjęła z lodówki zimną pieczeń wołową, na wpół skrojoną, o jasnoczerwonym mięsie, pięknie żyłkowaną tłuszczem.

- Samą?

- Chleb jest pod tamtą porcelanową pokrywą.

Abby postawiła na stole masło, sól i angielską musztardę. Gdy Julia kroić chleb, ona dzieliła pieczeń robiąc amerykańskie sandwicze: cienkie plasterki chleba i grube wołowiny. Herbata, którą zaparzyła, była gorąca i mocna.

- Irlandzka - powiedziała podając Julii filiżankę. - Kiedy byłam dzieckiem, mieliśmy kucharkę Delię i ona nauczyła mnie parzyć herbatę.

- A kto nauczył cię robić takie kanapki? - spytała Julia.

- Ja!

To był Brad. Wziął kanapkę, usadowił się za stołem i pożerał łapczywie. Nagle Julię owładnęło poczucie szczęścia.

- To jest najlepsza część wieczoru! - wykrzyknęła.

- Prawda? Nigdy nie lubiłam jeść, kiedy musiałam myśleć nad tym, co mam powiedzieć - zgodziła się Abby.

- To łatwe - stwierdził Brad robiąc następnego sandwicza. - Sprawiasz, by twój partner mówił, a wtedy możesz jeść i słuchać.

Nadeszła Binka.

- Na Boga, Abby! Jak możesz jeść, jeśli tyle ważysz?

- Przestań ją zadręczać - odrzekł Brad szorstko. - Jeżeli chcesz filiżankę herbaty, to sobie naley. Jeżeli nie chcesz, to dobranoc.

- Przyszłam po szklankę mleka. - Binka pohamowała się.

- Więc sobie naley. Zapadła chłodna cisza.

- Matka jest już na górze? - sprawdzała Abby.

- Nie, rozmawia z Sethem i Drexem - Binka zwróciła się do brata. - Potrzebuje ciebie. - I dodała znacząco: - Zaraz.

Brad natychmiast ześlizgnął się ze stołka, podszedł do zlewu, gdzie opłukał dłonie i wytarł usta.

- Nie czekaj na mnie - poleciał Julii. - Wieczory takie jak ten zawsze matkę podkręcają. Może rozmawiać godzinami. Na szczęście jutro jest sobota i będziemy mogli się wyspać. - Pochylił się, by ją pocałować. - Byłaś wielka. Daję ci dziesięć dolarów podwyżki, pani Bradford.

Wyszedł, a za nim Binka. Julia dołała sobie herbaty.

- Właściwie czym się Brad zajmuje? Mam na myśli pracę - spytała w końcu Julia.

- Brudną robotą. Nie chodzi o łapówki czy coś nieuczciwego, ale to sprawy nieprzyjemne. Matka załatwiałaby je osobiście, lecz już nie może podróżować. Brad wizytuje firmę Bradford i Synowie. Gdzie tylko trzeba. Zapobiega kryzysom, prowadzi dyskusje, przyjmuje i zwalnia ludzi, wyrokuje, ustala ceny. Jest w tym dobry, piekielnie dobry. Umie trzymać krótko ludzi. Poza wdziękiem i aparycją, dysponuje bystrym umysłem. Możesz wierzyć lub nie, ale za czasów studenckich miał same celujące.

- Wierzę ci - powiedziała Julia. Abby pochwaliła ją uśmiechem.

- Powinnaś. Jednak wiele osób w to wątpi. Zdziwiłabyś się, jak dużo.

- Wiem, że jest mądry. I ukrywanie tego trochę go boli - spokojnie odpowiedziała Julia.

Abby uniosła brwi.

- Nie jesteś głupia, skoro się do tego dogrzebałaś.

- Wiem, że jest bardziej skomplikowany niż beztroski chłopczyk, za jakiego uchodzi - z namysłem mówiła Julia.

Abby milczała. Po pewnym czasie zaczęła:

- Posłuchaj, Julio...

Nie zdążyła. Jej mąż wsadził głowę w drzwi.

- O, tak myślałem.

- Chcesz herbatę?

- Dziękuję. Popijam herbatę z Drexem. Chcę się już położyć. Mógłbym cię prosić o to samo?

- Nigdy nie musisz mnie prosić - odpowiedziała Abby gotowa pójść za mężem. Wstała.

Popatrzyła na Julię, jakby chciała powiedzieć, że dokończą rozmowę później. Julia uśmiechnęła się skrywając rozczarowanie. Nikt poza starszą siostrą Brada nie zamierzał rozświetlić jej mrocznych pytań.

- Byłaś dzisiaj wspaniała, Julio - powiedział ciepło Seth. - Cały Boston będzie jutro rozprawiał o eleganckiej i pięknej pani J. Winthrop Bradford V. Zapełni to wszystkie kolumny towarzyskie.

- Nie mów mi, że je czytasz! - zażartowała Julia.

- Tak, to mój relaks.

- Kłamca - wtrąciła się Abby. - Dobranoc, Julio. Mój mąż ma rację. Byłaś rzeczywiście wspaniała. Wyśpij się. Zasłużyłaś na to.

Julia wstała, żeby umyć filiżanki. Abby wstawiła mięso i masło do lodówki. Julia schowała chleb i jak zwykle starannie splukała białe kuchenne kubki, spodki, talerze i proste kuchenne sztuce. Zgasła światło i znalazła się w hallu. Większość lamp była wygaszona. W oddali różowego saloniku zobaczyła służbę sprzątającą po przyjęciu. Nigdzie nie było śladu Brada lub jego matki, ani Binki i jej męża. Poszła powoli na górę. W sypialni czekała na nią Róża.

- Gratuluję pani, madame. Słyszę, że odniosła pani wielki sukces.

Słowa Róży, bardziej niż wszystko inne, pieczętowały zwycięstwo Julii. Dzięki Bogu, pomodliła się w duchu.

Róża pomogła jej się rozebrać. Wyszczotkowała jej włosy, a Julia mruczała jak kot.

- Nie jesteś zmęczona, Różo? - spytała sennie.

- Nie, madame. Pracując dla lady Hester nauczyłam się nie bywać zmęczoną. Ona się jeszcze nie kładzie.

- Przecież już północ.

- Cóż z tego? Wydaje się, że przyjęcia jej nie męczą. Zwykle potem jeszcze przez jakiś czas

pracuje. Ja odpoczęłam wcześniej, gdy pani była na dole.

- To znaczy, że mojego męża też przez jakiś czas nie będzie. - Julia westchnęła.

- Po pewnym czasie przyzwyczai się pani do tego. My już przywykliśmy.

Potrwa to tyle, ile oni będą się przyzwyczajać do mnie, pomyślała Julia leżąc w łóżku, zmęczona, ale szczęśliwa, że wbrew początkowej niechęci do całej tej sprawy, poradziła sobie tak dobrze. Spełniłam swój obowiązek, myślała zasypiając. Ona nie może powiedzieć, że nie próbowałam. Ani Brad. Powiedział, że wszystko zależy ode mnie. Jeszcze mi nie wytłumaczył, dlaczego?

Rozdział jedenasty.

Z pewnością zrozumiesz - mówiła lady Hester ze stanowczością kogoś, kto nie dopuszcza innej możliwości - że nie mając zielonego pojęcia o waszym małżeństwie, zaplanowałam tę podróż mojego syna, że ma ona wielkie znaczenie i została pomyślana zgodnie z moim rozumieniem jego finansowych zobowiązań. Już nie można jej odwołać nie robiąc hałasu, jak to się tutaj mówi. Jestem jednak zupełnie pewna, że nie należysz do kobiet, które skarżą się, gdy mąż poświęca sporo czasu na pracę.

- Od samego początku wiedziałam, że Brad dużo podróżuje - odrzekła Julia ucziwie, świadoma, że teściowa bacznie sprawdza jej reakcję.

- Wiedziałam, że jesteś rozsądna - teściowa zaaprobowała odpowiedź. - Przrzekam, że nie będziesz samotna i zaniepokojona.

Faktycznie, Julia czuła, że jest celem obróbki. Zmuszono ją do pozostania w domu i zlekceważono tylko dlatego, żeby przegrała. Lady Hester urodziła się z buławą marszałka w plecaku i jak wszyscy dobrzy generałowie, była wybitnie inteligentna. Julia nie miała wątpliwości, że lady Hester studiowała jej osobowość starannie i z zacięciem, ponieważ wzięła na siebie obowiązek ukształtowania jej jako żony Brada. Dzieło zostało rozpoczęte.

Binka, rzecz jasna według instrukcji matki, wzięła Julię pod swoje skrzydełka, gdy chodziło o sklepy, „dobre” sklepy, gdzie idzie się osobiście, płaci czekiem, gdzie wybiera się wyselekcjonowane towary, by je przesłano do domu. Julia odkryła, że w Bostonie nazwisko Bradford wywołuje tę samą reakcję co H.M. The Quin w Londynie. Patronat lady Hester był równy królewskiemu pełnomocnictwom.

Abby organizowała rozrywki kulturalne. Piątkowe koncerty, wystawy, a także zajęcia intelektualne. Te ostatnie Julia lubiła najbardziej. Starła się spędzać z Binką jak najmniej czasu w jej eleganckim, ale nieprzytulnym salonie przy placu Luisburga, gdzie roznoszono nijakie koktaile, ale za to niezwykle ekscytujące plotki. Woląta wielki, zabałaganiony dom Abby w Cambridge, gdzie jej dzieci, dwaj chłopcy studiujący w Harvardzie i dziewczynka właśnie rozpoczynająca naukę w Radcliffe, przywitały nową ciocię szczególnie serdecznie.

Było tam co niemiara śmiechu. Panowała atmosfera ciepła i szczęścia. Dzieci nie miały kłopotów z wzajemnym okazywaniem uczuć. Psy i koty poruszały się w całym zamieszaniu własnymi ścieżkami z naturalną dla nich obojętnością. Julia uwielbiała spędzać czas w ich przeogromnej kuchni, gdzie każdy jadł, ile wlezie, przy rozległym stole. I tak samo rozmawiał. Uwielbiała długie dyskusje na temat sztuki, muzyki i polityki. Winthrop, pierworodny Abby, miał ambicje polityczne; Seth junior był początkującym pisarzem, a Charley grała tak dobrze na fortepianie, że mogła myśleć o karierze muzycznej. To był szczęśliwy dom.

U Binki inaczej. Była nieodrodną córką swojej matki i rywalizowała z nią w każdej sprawie.

Było jasne, że pragnie zostać grandę damę. Jej dom był prowadzony tak samo bez skazy jak Mount Vernon Street, ale jej synowie, obaj bez zarzutu, przypominali Julii manekiny ze sklepowej wystawy. Nigdy nie schodzili na dół jednocześnie, nigdy nie gwizdali ani nie śpiewali, nigdy nie zostawiali niczego bezładnie, nigdy nie dokuczali starym służącym. Synowie Binki, Bradford i Dex (skrót od Drexel), byli przystojnymi chłopcami. Po ojcu odziedziczyli cały jego entuzjazm, a po matce elegancję. Ale nie mieli wdzięku. Z drugiej strony dwa kolosy Abby łączyły zawsze w dzinsach i kurtkach. Charley za żadne skarby nie włożyłaby ubrania, jakie nosiły bliźniaki Adamsa, ale była czarująca. Abby i Brad mieli urok Bradfordów, czego brakowało Bince i jej synom.

Po paru tygodniach Julia poznała Seta na tyle dobrze, że pewnego popołudnia mogła porozmawiać z nim o tych różnicach. Seth był jej przewodnikiem po Bostonie. Spacerowali po cmentarzu Old Granary, gdzie z zainteresowaniem oglądała groby Paula Revere'a, Johna Hancocka i Samuela Adamsa, ostatniego wspólnego przodka Seta i Bradfordów.

- Tak, to dokładna granica - zgodził się Seth. - Abby i jej brat są tym, co nazywamy Bradfordami angielskimi. Brad jest bardzo podobny do obecnego markiza. Binka należy do Bradfordów amerykańskich. - Z cynicznym rozbawieniem kontynuował: - My, Amerykanie, nie słyniemy z radości i wesołej zabawy, jak wiesz. To purytański kraj.

Julia uśmiechnęła się automatycznie, zamyślona nad tym, co usłyszała.

- Jednak lady Hester nie zamerykanizowała się po tak długim pobycie w tym kraju.

- Rzeczywiście! To ona nas zanglicyzowała. - Seth ukląkł i przeżegnał się przy zaniedbanym grobowcu. - Najbardziej ważna i groźna ze znanych mi kobiet. Niezmiernie silna. Takim kobietom my, mężczyźni, dajemy etykietkę „męski umysł”.

Julia uśmiechnęła się lekko i wróciła do sedna.

- Jednak nie wydaje się, by Brad, chociaż jest bardzo do niej podobny, odziedziczył jej siłę, a jedynie jej urok.

Seth zacisnął wargi i potrząsnął głową.

- Nie zapędzałbym się aż tak daleko - zaprzeczył dwornie. - Gdy chodzi o matkę, Brad jest bardzo ostrożny. Jak wiesz, są ze sobą bardzo związani.

- Wiem.

- On jest najcenniejszym skarbem w jej życiu. I jest tego świadom. - Spojrzał z namysłem na groby i dodał: - Jestem pewien, że mówiła ci, z jakim ryzykiem wiązało się jego przyjście na świat.

- Tak.

- I że jest reinkarnacją jej ojca.

- O, tak. - Julia wzięła głęboki oddech i brnęła dalej. -

Jednak ani słowem nie wspomniała o ojcu Brada. Dom wypełniony jest fotografiami markiza, ale nie widziałam ani jednego zdjęcia ojca Brada. Jakby nigdy nie istniał. Jedynie Abby stale o nim mówi.

- Abby była z nim najbliżej i jako najstarsza pamięta go najlepiej. Binka zawsze była bliżej matki, z którą rywalizuje, zapewne zauważyłaś. Co do Brada... - Seth zrobił pauzę, po czym kontynuował: - Matka jest największym zagrożeniem jego życia. On wie, jak bardzo jest dla niej ważny, i jego uzależnienie od niej bierze się z tej świadomości. Wykazał wielką odwagę żeniąc się bez zgody matki. Ja zaś uważam, że w ten sposób udowodnił, jak bardzo cię kocha. - Przerwał. - I potrzebuje cię.

Spojrzał na nią serdecznie. Przez chwilę szli w milczeniu. Potem Seth powiedział:

- Polubiłem cię, Julio, bardzo, gdy zobaczyłem, jak prędko przechodzisz do porządku dziennego nad sprawami, które by słabszą kobietę załamały. Jesteś taktowna, dyskretna i bardzo cierpliwa.

- Niezupełnie - przyznała rozszalona Julia. - Czasami moja powściągliwość mnie niepokoi.

- Jak na swój wiek jesteś bardzo dojrzała. Opierasz się presji i to z dobrym skutkiem.

- Chcę robić to dobrze - odrzekła ostrożnie. - Jest to ważne dla Brada.

- Oczywiście - z prostotą potwierdził Seth. - Jesteś kobietą, której Brad potrzebował.

- Bardziej niż Karoliny Norton? - nareszcie to powiedziała.

- Brad nigdy jej nie kochał. Wykonywał swój obowiązek, nic więcej. Nie winie go za to, że nie potrafił sobie z tym poradzić.

- Dlaczego więc mam wrażenie, że wszyscy winią mnie? - spytała Julia.

Wyglądał na zdziwionego.

- Naprawdę? Zapewniam, że Abby i ja...

- ...nie ty i Abby, ale... Binka i...

- Binka jest zazdrosna o brata - powiedział Seth otwarcie. - Zawsze była, zawsze będzie. Od wczesnego dzieciństwa musiała walczyć z nim o miłość matki, podczas gdy on nigdy nie musiał o nic zabiegać.

- Mogę w to uwierzyć - powiedziała Julia. Spojrzał na nią przenikliwie.

- Myślisz może, że lady Hester, wbrew temu, co ukazuje na zewnątrz, nikogo nie lubi i nie próbuje?

- W stosunku do mnie zawsze była wspaniałomyślna - mówiła Julia bardzo powoli.

- To dlatego, że jesteś poddawana próbie - wyjaśniał Seth uprzejmie. - Wyszłaś za jej ukochanego syna. Musisz być najlepsza. Ona zaś będzie wspaniałomyślna dopóty, dopóki nie postanowi, co ma z tobą zrobić. Dowiesz się, kiedy to się stanie.

- Jak?

- To będzie oczywiste - mówił z sarkazmem Seth. - Ale nie powinnaś się martwić. Binka niezmiennie przekazuje Abby słowa matki, a Abby nie opowiadała mi niczego groźnego. Nie skarżą się na ciebie, Julio. Z drugiej strony, nie dzwonią też na twój pogrzeb. Jesteś po prostu zaakceptowana, co wedle mojej opinii warte jest znacznie więcej. - Seth przerwał. - W przeciwnym razie już byś odczuła jej niezadowolenie. Jestem pewien, że nie muszę rozwodzić się nad jej... siłą. Lady Hester wpatrzona jest w syna. Jeśli on jest szczęśliwy, to i ona także. A Brad, jeśli wolno mi powiedzieć, nigdy nie wyglądał na bardziej szczęśliwego.

- Tak myślisz? - Julia poczuła ogromną ulgę. Ufna pewność miodowego miesiąca wyparowała w gorącu nieznośnej nieobecności Brada i zostawiła osad wątpliwości.

- Nie myślisz chyba, że wyjechał stąd z przyjemnością? - Seth patrzył na nią i śmiał się. - Sam mi mówił, co czuje!

Julia zaczerwieniła się patrząc w roześmiane oczy Seta.

Brad dzwonił do niej w nocy, żeby opisać ze szczegółami, jak bardzo za nią tęskni.

- Kochanie, ktoś nas może słyszeć - protestowała zmieszana Julia. Nie nawykła do takiej szczerości ani w łóżku, ani poza nim.

- Nic mnie to nie obchodzi! Już mi uszami tryska i gdybym nie zadzwonił do ciebie, nie mógłbym zasnąć. Stoi mi i kiedy to robię, marzę tylko o tobie.

- Ty to robisz, kochanie? - Poczuli się dotknięta.

- Wiesz, że nie nawykłem do celibatu. Przecież ja cierpię, nawet gdy systematycznie wywalam

energię przez... niego, po prawie trzech tygodniach abstynencji.

Julia poszła spać z echem „trzech tygodni abstynencji” dudniącym w uszach. U mężczyzny z takim apetytem na seks, jaki ma Brad, taka ofiara musi mieć wpływ na pewne ogłupienie umysłu. Ciągłe do niego tęskniła, bardziej niż do kogokolwiek kiedykolwiek. Zdziwiła ją, jak bardzo się do niego przywiązała. Brakowało jej jego obecności, ciepła, wesołości, a nawet bałaganiarstwa. Brakowało jej go w łóżku, ale nie tylko dla seksu; przede wszystkim potrzebowała ciepła. Brad był lepszy niż termofor czy elektryczna poduszka. On emanował ciepłem. Sypiał owinięty wokół niej i sunął za nią po wielkim łóżu, gdy zmieniała pozycję. Kiedy się budzili, ich ciała zawsze były splątane, a jego erekcja przyjemnie pulsująca.

Mimo że czuła się bardzo osamotniona, starała się mieć twarz radosną i uśmiechniętą. Trzymała język za zębami. Już popełniła ten błąd z Derekiem. Wiedziała, że matka śledzi każdy jej ruch, każde spojrzenie, toteż pilnowała każdego swojego kroku. Brad oczekiwał po niej, że będzie stąpać dookoła matki jak po skorupkach jajek i nie uszkodzi ani jednej. Jej nieoczekiwane wtargnięcie w enklawę Bradfordów poczyniło spore spustoszenia. Dopóki nie będą dyskretnie usunięte, powinna zachować godność. Na razie była na próbie. Nie miała złudzeń, że zaakceptowano ją bez przyjemności i bez szczególnego zainteresowania. Także nie tak, jak opisał to Seth. Wiedziała, że Binka miała na nią oko i tylko czekała na to, żeby pobiec do mamusi, gdyby znalazła w niej jakąś wadę. Wtedy Julia natychmiast zostałaby odrzucona jako niezadowolająca.

Na razie jednak ją nagradzano.

- Myślę, że jesteś z żelaza - mówiła jej lady Hester. - Po trzech tygodniach ani słowa skargi. Zatem jesteś całkowicie samodzielną młodą kobietą, prawda? Tak jak ja. Odnajduję w tobie, Julio, wiele moich własnych cech. - Została też poddana jeszcze jednej wycenie. - Zastanawiam się, czy nie dlatego mój syn ożenił się z tobą?

Julia osłupiała. Pełna samouwielbienia arogancja była doprowadzona aż do śmieszności. Ale nie była śmieszna. Matka zasiała jeszcze jedno ziarno wątpliwości. Dlaczego się z nią ożenił? Czemu wybrał ją, Julię Carrey, spośród wszystkich kobiet? Ponieważ przypominała mu matkę? I oczekiwano po niej, że będzie go tak samo traktować. Usuwać z jego drogi wszelkie kłody, chwalić go, kiedy trzeba, czule odpowiadać na skargi, a przede wszystkim, kochać go. Bez pytań, bez wątpliwości, bez końca. Na zawsze.

Nie podobało jej się to. Nic jej się nie podobało. Chciała, by kochał ją dla niej samej, a nie dlatego, że przypomina mu matkę. Nadal studiowała teściową, jakby szukając w niej wskazówek, jak żyć.

W tym lady Hester była bez wątpienia mistrzem. Nic, ale to nic nie uchodziło jej uwagi. Biada, gdyby natrafiła na przykład na brudną filiżankę, opadły kwiat, najlżejszy ślad kurzu czy nieprawidłowo przyrządzoną potrawę. Nic nie umknie przed nadal pięknymi, znakomicie podmalowanymi oczami.

Lady Hester uważała śniadanie w łóżku za niechlujstwo. Każdego ranka zatem Julia musiała schodzić na dół. Przy stole lady Hester błyskawicznie przeglądała pliki poczty rozdzielając je na stosy z nagłówkami do dalszej obróbki przez sekretarkę. Później wychodziła na cały dzień do biura. Po listach zajmowała się dziennym menu, skreślając lub aprobując pozycje. Znajdowała też czas na to, by wypytać Julię o jej program dnia. Wyrażała zadowolenie lub zdziwienie, kiedy Julia mówiła jej, że zamierza wziąć auto i udać się za miasto.

Uczyła się prowadzić wielkie amerykańskie samochody z Winthropem albo Sethem juniorem u

boku, dopóki nie poczuła się na tyle pewnie, by radzić sobie w Bostonie bez pomocy. Mówiono jej, że bostończycy nie uznają żadnych przepisów drogowych poza własnymi. Ślęczała nad dużym atlasem drogowym, a odkrywszy, że auta amerykańskie właściwie jeżdżą same, rozluźniła się, skoncentrowała uwagę na oszalałymi obcych znakach drogowych i jeździła coraz dalej. W końcu, pewnego słonecznego przedpołudnia, pod koniec trzeciego tygodnia nieobecności Brada, wybrała się do lasu Concord i Farmy.

Aneczka była zachwycona jej widokiem. Przywitała ją serdecznie.

- Dobrze wiedziałam, że to miejsce cię ujęło - powiedziała i dodała współczująco, z wycuciem:

- Moja siostra wyszła za podróżującego mężczyznę. Nigdy nie widziała go częściej niż raz w miesiącu w ciągu całego swojego życia. - Zachichotała. - No więc, pan. Brad nie jest z tych, co długo usiedzą w jednym miejscu.

- Jaki on był, kiedy był chłopcem? Znasz go od dziecka. Opowiedz mi o nim.

Wiedziała, że Aneczka bez skrupowania opowie jej to, o co wzdragała się pytać teściową. Raczej prawdę niż rzewne bajeczki. Aneczka kochała Brada, to było widać. W przeciwieństwie jednak do jego matki, nie była ślepa na jego wady. Dla Aneczki Brad był istotą ludzką, a nie boską.

- Prawdziwy szkodnik. - Aneczka chichotała wałkując ciasto. - Zawsze gotów napsocić. Spadał z drzew, okien, a nawet koni. Miał więcej połamanych kości niż jest w sklepie u rzeźnika! Im większe niebezpieczeństwo, tym bardziej się w nie pchał. Zwłaszcza gdy zabraniała mu matka. Wystarczyło jej „nie!”, by on to zrobił. - Westchnęła. - Był stale obok niej. Nadal jest, jeśli o to idzie. Tylko przy niej. Jest prawdziwym czarodziejem. I ma dobre serce. Nie obchodzi mnie, co o nim i jego matce mówią ludzie... - Przerwała. Wyglądała na wzburzoną, jakby jej język skołowaciał.

- Wiem, że są bardzo blisko - powiedziała Julia.

- Och, lady Hester według pana Brada nakręca zegarek. - Aneczka uspokoiła się, jakby Julia wyzwoliła ją z trudnego tematu.

- No tak, bez ojca... - Julia delikatnie naprowadzała Aneczkę.

- Prawdziwy wstyd. Taki miły człowiek. Pan Winthrop. Gołębie serce, jak jego syn, chociaż strasznie dbał o pieniądze. Nie jak pan Brad. Oddałby ci ostatniego centa. Niedobrze, jak chłopiec nie ma ojca. Są rzeczy, które chłopcu może dać tylko mężczyzna. Matka nie. Rzeczy chłopcu potrzebne... - Znowu przerwała i pracowicie kroić okrągłe, grube krawki ciasta. Zaciekawiona Julia zachowywała milczenie, aż Aneczka podjęła opowieść. - Ale człowiek nie może Winić lady Hester za pilnowanie swojego chłopca. Niektórzy mówią, że pilnuje za bardzo. Przecież chłopak urodził się ledwie miesiąc po śmierci ojca, i wzięła go do siebie do łóżka, żeby go mieć blisko. Dla kobiety jak ona to jest największe poświęcenie, jakie może być. Ja myślę, być może ona widziała w nim kogoś zamiast męża.

- Mogła wyjść za mąż po raz drugi.

- Och, miała mnóstwo ofert, ale nie chciała nikogo. Całą swoją miłość oddała chłopcu. Od chwili urodzenia tylko to, co najlepsze, było dla niego odpowiednie. Na zawsze jest sercem w jej ciele.

Później, włócząc się po końskich padokach, Julia zastanawiała się nad słowami Aneczki. Wszystko, co powiedziała, potwierdzało jej własny sąd. Między lady Hester i jej synem była więź tak ścisła, tak mocna, że im bardziej Julia naciskała, tym bardziej była odpychana. Poza tym nie miała właściwie powodu skarżyć się na teściową. Traktowała Julię tak, jak traktowała własne córki. Trochę szorstko, oczekując posłuszeństwa, ale uprzejmie. Miłość okazywała tylko swojemu synowi i to o wiele za bardzo, zdaniem Julii. Jak dotąd była mocno przekonana, że Brad boi się swojej matki.

Dlaczego? Nigdy nie słyszała sprzeczki. Nigdy lady Hester nie podniosła głosu na swojego syna. Nigdy nie kierowała się niczym innym, jak tylko miłością, robiąc wszystko dla jego szczęścia i powodzenia. Jednakowoż Julia była przekonana, że matka go przytłaczała. Była przyczyną jego zagubienia i zagonienia. Natomiast w chwilach, gdy smycz była poluzowana, Brad nacierał na Julię z ogromem swoich potrzeb. Nie tłumaczył jej tego słowami. A Julia nie miała do niego wystarczającego zaufania ani wystarczającej pewności siebie, by go spytać.

Wobec tej zagadki i braku pewnych instrukcji, mogła tylko słuchać tego, co Brad jej mówił: to zrób dobrze, tamto zrób jeszcze lepiej. Innymi słowy, rób tak, jak mówią. Wolałaby karcianą wróżbę. Lady Hester należała do kobiet zdecydowanych i porównując charakter Julii ze swoim własnym musiała przyznać, że Julia była równie zdecydowana. Wszelako nieraz powiedziała: „Cóż, Julio, nie jesteś tym, co chciałam dla Brada, i z pewnością nie tym, czego oczekiwałam, ale jeśli jesteś tym, czego on chce, to od ciebie zależy pokazanie mi, że jesteś dla niego odpowiednia, ponieważ jest jedynym szczęściem, na którym mi zależy”. Nigdy nie wezwała Julii na prywatną rozmowę. Nigdy nie instruowała jej, jak dobra matka, czego się od niej żąda. Po prostu zostawiła Julię samą sobie. Czy czeka, aż popełnię błąd?... - zastanawiała się Julia. Gdy narobię ich dosyć, będę przeklęta w jej oczach. Czy wówczas wkroczy i usunie mnie? Co ważniejsze, czy Brad robi, jak ona mu każe? Dotarła do stawu i usiadła nad brzegiem, rzucając kaczkom chleb, który dla nich przyniosła.

Dlaczego jestem taka podejrzliwa? Czy chodzi o to, co powiedziała mi Sally Armbruster? Czy o to, co Drexel Adams powiedział o jej żalobnym stroju? Przecież jesteś mężatką dopiero cztery krótkie tygodnie, mówiła sobie. Julio, na miłość boską, zaczekaj trochę. Zawsze jesteś za bardzo niecierpliwa. Przez minione trzy tygodnie nie byłam, odpowiadała sobie wymijająco. Ile panien młodych pozwoliłoby swoim nowym mężom zniknąć Bóg wie gdzie na trzy tygodnie raptem w tydzień po ślubie? Setki tysięcy podczas wojny. Ale Brad nie służy w wojsku i nie ma wojny. Czyżby? - pytało fałszywie jej drugie ja. Oto co myślisz.

Drgnęła, gdy spokojny głos zadeklamował:

- Cóż to, Julio? „Samotna i słaba się włóczę?” Jednak ja wiem, co cię gnębi.

Rozglądając się dookoła zobaczyła Drexela Adamsa, ubranego w jasnoszare spodnie, błękitną marynarską koszulę i takiż blezer, przerzucony przez ramię. Nagle zrozumiała, kogo on jej przypominał od pierwszego spotkania. Młodego Cary Granta. To samo ciemne dobre spojrzenie, taki sam podbródek z dołeczkiem i beztronski wdzięk. Zawsze należała do wielbicielek Cary Granta.

- Myślałam, że to Seth jest literatem w tej rodzinie - dokuczała mu z uśmiechem, zadowolona z towarzystwa.

- Znają mnie z tego, że w życiu przeczytałem jedną albo dwie książki.

Usiadł obok niej na trawie, najpierw podciągając swoje nieskazitelne spodnie.

- Byłem w sąsiedztwie, więc pomyślałem, że wpadnę. Zawsze to robię, gdy jestem niedaleko. Piękny zakątek, prawda? Jeden z tych, które uśmierzają najdziksze emocje ukryte w piersi. Przez chwilę przyglądał się jej piersiom tak, że ją zmroziło.

- Wygląda na to, że Brada nie będzie dłużej, niż się spodziewaliśmy - powiedział pełen współczucia.

- Dla mnie za długo - odparła Julia.

- Oczywiście, młoda mężatka... I tak dalej. Lecz załatwia bardzo poważny interes. Wart miliony. Jeżeli go pchnie, będzie nosił przy czapce mnóstwo nowych piórek. Prezent od matki, rzecz jasna.

Ciemne oczy patrzyły kpiąco, nawet gdy Drexel się uśmiechał.

- Interesy są piekłem żon.
- Oczywiście, mówisz na podstawie życiowego doświadczenia.
- Zawsze mówię na tej podstawie. A propos, jakie są twoje wrażenia? Mam na myśli Boston i Bradfordów.

- Wszyscy są bardzo uprzejmi.
- Nic trudnego z kimś takim jak ty.
- A co u Binki? - spytała Julia.
- Dzisiaj jej kolej na działalność charytatywną. Ja mam wolne. Od czasu do czasu. Słuchaj, może moglibyśmy pojechać gdzieś na lunch? Znam przyjemny stary zajazd dziesięć mil stąd.

- Aneczka przygotowuje lunch. Dziękuję.

- Więc mógłbym się przyłączyć?

- Jestem pewna, że nie zabraknie - odrzekła niechętnie. Już nie czuła się swobodnie w jego towarzystwie. Przypomniała sobie, co Charley, rodzinna plotkara, powiedziała o Drexelu Adamsie: że jest podrywaczem i że Binka stara się nie wchodzić mu w drogę. Ona jest niewiarygodnie zazdrosna. Biedna ciocia Binka. Kocha go, niestety, ożenił się z nią tylko dlatego, że chciała tego babcia Amorych. Kosztował ją mnóstwo pieniędzy. Jego gałąź Adamsów jest biedna jak mysz kościelna.

Drexel uśmiechnął się do Julii i powiedział:

- Aneczka nie jest jedyna.

Czas z tym skończyć, pomyślała Julia i powiedziała bez ogródek:

- Niech ci apetyt nie rośnie.

- Nie tylko apetyt rośnie.

Zerwała się na równe nogi. Szwagier nie szwagier, ale tego już za wiele! Jednak zdążył schwycić ją za rękę i trzymał mocno.

- Nie uciekaj, proszę. Tak miło być razem.

- Tylko z moim mężem.

- Nie mógłbym ci go zastąpić?

Jego chamstwo nieomal pozbawiło ją słów.

- Nikt nie zastąpi Brada.

- Szczęśliwy człowiek, ale szczęście to rzecz ulotna. Oczywiście lubisz naszą okrutną teściową? -

Uśmiechnął się ze skruchą. - Zostaniesz, jeśli obiecuję, że nie będę się tak zachowywał? Brad nie jest jedynym mężczyzną oczarowanym tobą. Masz tak wiele uroczych cech.

- I wszystkie są mi potrzebne, dziękuję.

- Niestety, wiem o tym. Zachowaj mnie w swoich łaskach, Julio.

- Więc ciesz się, że ich użyżam. Drexel zaśmiał się z uznaniem.

- Nic dziwnego, że Brad jest taki zamroczony. Wcześniej niczego mu nie zazdrościłem, ale ty naprawdę jesteś czymś wyjątkowym. Przyjemnie patrzeć, przyjemnie słuchać, i cała ta chłodna dostojność...

Julia zdecydowanie uwolniła rękę.

- Najlepiej będzie dla ciebie, jeśli zapomnę o tej rozmowie.

- Gdybym był tobą, nie robiłbym tego. Potrzebujesz przyjaciół.

- Tym właśnie próbujesz zostać?

- Jeśli pozwolisz. Jestem lepszym przyjacielem niż wrogiem, a ty już masz o jednego za dużo.

Położył się na trawie, oparł na łokciu i przyglądał się jej niebieskimi oczami.

- Nie wierz ręce wyciągniętej z cukrem, nie bądź głupia. Na dnie kubka jest trucizna. Nie jesteś tym, czego ona chce dla Brada. A jeszcze mniej jesteś tym, na co mu może pozwolić.

Jego litościwy uśmiech przyprawił ją o mdłości.

- Nie wyobrażasz sobie przecież, że wysłała go tak daleko na tak długo jedynie dla interesów. Specjalnie to zaaranżowała. Biznes to wykręt. Ona ciebie sprawdza. A kiedy Brad wróci, będzie cię sprawdzać znowu i znowu, aż znajdzie sposób, żeby cię złamać...

Ścisnęło ją w dołku.

- Nie wierzę ci - skłamała.

- Ja nie kłamię.

- Jeśli Brad wyjedzie znowu, pojedę razem z nim.

- Spróbuj!

- Jestem jego żoną.

- Oczywiście, że jesteś. I w tym cały problem! Gdy tylko zdołała zapanować nad głosem, spytała:

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Bo jesteś zbyt piękna, by być zniszczona tak młodo. I zbyt odważna. Ale bezbronna i bez szans przy niej. Ona nigdy nie przegrywa. Jest tak przebiegła, że mogłaby użądlić cię w plecy patrząc ci w oczy. Jesteś tak niewinna i honorowa. Ty grasz fair. - Potrząsnął swoją łysą głową. - Ona nie. Gra tak, żeby wygrać. Ty także jesteś silna i mądra, dlatego Brad się z tobą ożenił. Ale ona go beznadziejnie usidliła srebrną pępownią i on nigdy nie będzie wolny. Ja ją znam, Julio. Mam za sobą dwudziestopięcioletnią praktykę w tej rodzinie i wiem, co sprawia, że Hester Bradford, elektroniczny geniusz, działa jak algorytm. Mogłbym ci opowiedzieć takie rzeczy...

- ...za odpowiednią cenę, oczywiście.

- Nie ma nic za darmo.

- Nawet w prezencie bym cię nie chciała! Nie potrzebuję ani ciebie, ani twojej fałszywej troski, panie Adams. Potrafię poradzić sobie sama.

- Ile ja już tego słyszałem!

Julia odwróciła się sztywno i odeszła rozwścieczona.

- Nie mów, że cię nie ostrzegałem - wołał za nią z nienawiścią. To już drugie ostrzeżenie, myślała Julia odbiegając od stawu.

Sally Armbruster i mój własny szwagier. On oczywiście kopie swoją grządkę, ale co zrobiła mu lady Hester? Kiedy wymawiał jej imię, z głosu kapłała trucizna.

Długie nogi Julii zwiększyły krok, jakby strach, który zasiał Drexel, ukształtował się i zmaterializował nad jej głową. Adams wlaźł z kopytami na jej tak starannie wymalowany obrazek życia z matką w tle. Powróciły, aby ją znów straszyć, słowa Chris: „Musisz przykręcić śrubę”.

A czy w kubku jest trucizna? Jeśli tak, jeszcze jej nie kosztowała. Lady Hester chce się jej pozbyć? Jeśli tak, nie okazała tego w najmniejszym stopniu. To prawda, że oczekiwała od Julii, by ta jej dorównała, ale nie pokazała jak. A czy Brad nie mówił: - „Jesteś mi potrzebna, Julio. Nawet nie wiesz jak bardzo”...

Ale nie powiedział dlaczego. Że bał się matki, o tym wiedziała, ale doszła też do wniosku, że Brad bał się, że zostanie zagłaskany na śmierć. Lady Hester adorowała syna. Codziennie. Była też zaborcza, ale czy nie aranżowała małżeństwa z Karoliną Norton, jak mówił Seth? Jeśli chciała go dla siebie, to po co w ogóle miał się żenić? Nie, gdyby lady Hester chciała się jej pozbyć, to dlatego, że

Brad miał czelność odtrącić z pogardą wybór matki i zdobyć się na własny. Jak dotąd Julia nauczyła się o relacjach swojego męża z matką wystarczająco dużo, by wiedzieć, że jest coś, czego nikt nigdy nie robi, jeśli wie, co jest dla niego dobre. Poza tym Drexel Adams grzebał we własnych grządkach. Jego cyniczne założenie, że mężatki, nieważne jak świeże, mogłyby i chciałyby szukać zadowolenia poza małżeństwem, przeraziło ją. Nic dziwnego, że Binka sprawia wrażenie, jakby mówiła: - „Niech mnie szlag trafi, jeśli jestem jedyną, która cierpi”.

Nie. Było oczywiste, że lady Hester wystawia ją na próbę. Chce mieć pewność, że jestem wystarczająco dobra dla jej syna. I powinnam się starać wytrzymać wszystko, czym we mnie rzuca. Niech się przekona, że jestem nie tylko dostatecznie dobra, ale najlepsza, jaką w ogóle może mieć! Czy nie tego potrzebuje Brad? Żeby udowodniła, że jego wybór jest właściwy, że nie jestem cyniczną dziwką ani łowczynią majątku, ale zwykłą kobietą, która go kocha?

Ale dlaczego Brad mi nic nie wytłumaczył? Dlaczego nie powiedział: „Julio, jeśli chodzi o moją matkę...” Prawdę mówiąc, nie miała całkowitej pewności, że jest najlepsza, albo wiedziała, że to, co robi, robi najlepiej.

Zapytam go, myślała już spokojniej. Jak tylko wróci. Muszę. Zapytam go wprost. O co? Co jest między tobą a twoją matką? Jesteś u niej w niewoli? Czym naprawdę tak cię spętała? Serce jej słabło od tych strasznych myśli. Brad mógłby roznieść dom!

Kiedy weszła do domu, Aneczka zapytała, po co przyjechał Drexel.

- Powiedziała mi, że pani jest przy stawie.

- Tak, przyszedł, żeby mi powiedzieć, że muszę wracać do Bostonu - improwizowała Julia.

Twarz gospoisi pojaśniała.

- Pan Brad wrócił?

- Mam nadzieję - powiedziała Julia gorąco. - Och, Aneczko, mam nadzieję.

Gdy znalazła się z powrotem na Mount Vernon Street, nie zauważyła walizek stojących w hallu, ale Brad musiał na nią wyglądać, bo drzwi bawialni otworzyły się i już był, z otwartymi ramionami.

- Brad! Kochany...

Rzuciła mu się w ramiona, przytuliła twarz do jego piersi i nie spostrzegła zdziwionego, ale pełnego ulgi spojrzenia, gdy spytał:

- A więc tęskniłaś do mnie?

- Czy tęskniłam? Umierałam bez ciebie!

- Już chciałem wysłać za tobą psy. Gdzie byłaś? - Nie powiesz mi, że masz już kochankę?

- Byłam na Farmie.

- A... - Westchnął z ulgą. - Farma.

- Teraz potrafię tam dojechać i uwielbiam tam jeździć, bo Farma przypomina mi ciebie.

Musiałam coś robić, żeby nie myśleć...

- Nie powiem ci, co ja musiałem robić!

- Nie chcę być więcej opuszczona! - powiedziała z determinacją Julia. - Nic nie powiem, jeśli będę musiała spać w walizce, ale w przyszłości jadę z tobą. Więcej żadnej separacji, czy słyszysz? Absolutnie odmawiam!

- Nie mam zamiaru się spierać o to - odpowiedział uszczęśliwiony Brad.

- Wiem, że w żółtym mi do twarzy, ale nie chcę być słomianą wdową.

Śmiał się triumfalnie, gdy podniósł ją w górę i okręcił dookoła.

Lady Hester była w bawialni. Oczywiście, ponieważ Brad wrócił do domu, więc ona także. I

mam nadzieję, że słyszała każde moje słowo, myślała Julia. Mimo wszystko mocno zadrżała.

- Zimno ci? - spytał troskliwie Brad.

- Nie, to dreszcz radości - skłamała bez trudu. Jej oczy ślizgały się po nim zaborczo. - Widzę, że słońeczko cię trochę skąpało.

- Skąpały mnie łzy.

Lady Hester śmiała się dźwięcznie.

- Jesteście piękną parą papużek nierozłączek.

- Jak było w Kalifornii? - spytała Julia. Ostatni raz telefonował z Los Angeles.

- Trzy tysiące mil od ciebie.

Lady Hester spoglądała na nich. Westchnęła.

- Widzę, że mój syn nie ma zamiaru zabrać się do pracy. W takim razie nie będę go o to prosić.

Macie wolne do poniedziałku. - Jej uśmiech był czystym pobłażaniem.

Spójrz, mówiła sobie Julia. To była uraza, prosta i czysta. Nie ma się o co martwić.

- Wracajmy na Farmę - powiedziała. Egzorcyzmy czekały. Oczy Brada płonęły.

- Jeszcze jeden wianuszek.

- Dam ci wszystkie - zapewniła go Julia.

Prowadził z jedną ręką na kierownicy, a drugą ją obejmował, sypiąc pocałunki na jej spragnione usta za każdym razem, gdy stawali na światłach.

A więc pan Brad wrócił! - wykrzyknęła radośnie Aneczka.

- Wiedziałaś, że przyjeżdżam? - spytał ze zdziwieniem.

- Miałam taką nadzieję.

- A ja byłem przy nadziei całe trzy tygodnie. Podniósł żonę do góry.

- Odzyskałaś swoją wagę!

- Każdy stracony funt.

- Muszę to zobaczyć.

Prowadziło to wprost do pieścizot i zakończyło się delirycznym atakiem kochania. Leżeli potem zeszywniali z wyczerpania.

- Boże, Julio, piekielnie do ciebie tęskniłem. Nie przypuszczałem, że można za kimś tak tęsknić.

Czułem się jak wydrażony. Powiedz, czy też za mną tęskniłaś? Muszę wiedzieć, czy tęskniłaś.

- Bez ciebie byłam pustynią. Wyjałowioną pustynią.

- To wariactwo, ale to prawda. Mam bzika na twoim punkcie. Myślałem tak wcześniej, ale dopiero teraz wiem o tym na pewno.

Jego niezwykła adoracja działała na jej nadwątloną pewność siebie jak zdjęcie plastra. Cokolwiek było pomiędzy Bradem i jego matką, teraz nie czas w to wchodzić. Nie miała wątpliwości, że była ważna jako jego żona. Pokazał, jak bardzo jej pragnie. I tylko to się liczyło. Wiedziała, że jest kochana. A wiedząc, że jest kochana, mogła zмагаć się z matką.

Następnego ranka spali długo, odsypiając nie przespaną noc.

Po raz pierwszy Brad budząc się nie miał erekcji.

- Boże, Julio... - zajęczał do poduszki. - Co ty mi zrobiłaś? Nie mogę się ruszyć. - Z trudem uniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. - A ty jak się czujesz?

- Jak słodka rana. - Szczerość seksualna przyszła jej teraz łatwo.

- Jestem całkiem wykończony i taka jest prawda.

- Już rozumiem, co znaczy dla ciebie trzy tygodnie abstynencji!

- Wiesz, jeszcze nigdy w życiu tak długo się nie kochałem.
- Ale, czy to nie cudowne, dojść do kresu sił? Przyciągnął ją do siebie.
- Ty jesteś cudowna.
- Ty też.

Julia podniosła rękę, żeby poklepać jego po raz pierwszy zwiotczalego penisa...

- Uważaj, bo mi odpadnie! - krzyknął cienko. Wyskoczył z łóżka w stronę łazienki. Zawsze to samo. Lubił, jak pieściła resztę jego ciała dłońmi i ustami, ale nigdy nie pozwolił na całkowite zawładnięcie swoim ciałem. W porządku, myślała Julia, jeżeli jego matka kontroluje całą resztę, to przypuszczam, że chce zachować pod swoją kontrolą cokolwiek. Na przykład to...

Julia była całkowicie pewna, że lady Hester słyszała, iż nie chce być więcej zostawiana, ponieważ Brad został w domu na dłuższy czas. Mogli zacząć budować wspólne życie. Julia była w siódmym niebie. Nie pracował i spędzał z nią wszystkie chwile. Lady Hester wydawała oficjalne obiady, by zaprezentować ich jako parę bostonskiej społeczności, a oni obowiązkowo brali w nich udział. Woleli jednak siebie.

Julia starannie unikała pozostania z Drexelem Adamsem sam na sam. Do tego stopnia, że spostrzegła, iż Binka przygląda jej się przez zmrużone oczy, podczas gdy sardoniczny uśmiech Drexela mówił wprost: „Nie mów, że cię nie ostrzegałem. Przynajmniej za to daj mi plus”.

Na początku lipca lady Hester wyjechała na swój coroczny miesiąc w Arun i nie sprzeciwiała się, gdy Brad zdecydował, że pojedą z Julią do Martha's Vineyard. Binka wzięła swojego męża i synów na wycieczkę po Karaibach. Rodzina Amorych jak zwykle udała się do Cohasset, gdzie wakacje spędzały generacje Bradfordów.

Martha's Vineyard stała się dla Julii uosobieniem raj. Od chwili gdy łódź opuściła Woods Hole, Julia wiedziała, że wakacje będą idealne. Była zdziwiona wielkością wyspy, a jeszcze bardziej zdziwiona, gdy Brad, zamiast do auta, poprowadził ją do rowerów.

- Tutejszy teren znakomicie nadaje się do tego szczególnego środka transportu - powiedział szczerząc zęby. - Nie martw się o bagaże. Będą na nas czekać w domku.

Julia odkryła, że większość dróg posiada ścieżki rowerowe, równe i łatwe. Wspaniale było pedałowac wzdłuż brzegu od Oak Bluffs z ciepłą bryzą wiejącą w twarz. Morze połyskiwało w słońcu, piasek zapraszał, a Brad obok niej pogwizdywał radośnie.

„Chatka” była istną wiktoriańską chatką z piernika, zbudowaną na mocnej platformie, z werandą, z masą kwiatów w doniczkach, stojących lub zwisających z dachu wyłożonego nadmorskimi kamykami. Sypialnia wychodziła na mały balkon, a ogródek od frontu zdobiły wzory z białych kamieni i wesołych kwiatów. Na werandzie stały obite wzorzystym kretonem leżaki. Aby dostać się na plażę, wystarczyło zejść frontowymi schodkami, przejść przez ogródek, minąć drogę i już.

Domek wypełniały trzcinowe meble, cudownie wygodne mosiężne łoże wiktoriańskie i mnóstwo wiktoriańskich obrazów. Kuchnia była mała, ale dobrze wyposażona. Przyszła dziewczyna ze wsi, by ją wysprzątać.

Brad pokazał jej, jak przyrządzać małże w wodorostach. Spokojne noce wypełniał zapach ognisk, drewna, wodorostów i słonego powietrza.

Pływali. Julia rzadko wychodziła z bikini, opalali się, uprawiali surfing. Brad był w tym znakomity, a Julia uczyła się szybko, chociaż nigdy mu nie dorównała. Woląca łódź „Hester”, na której opływali wyspę. Grali w tenisa na kortach należących do jednego z przyjaciół, gdzie Brad nieustannie ją beształ, a ona jego.

Żadne nie potrafiło zostawić drugiego samotnie. Boston i lady Hester było poza zasięgiem wzroku i myśli. Kochali się zawsze i wszędzie. Na łodzi, w morzu, na zasłoniętej werandzie, w hamaku. Raz tylko, w drugim tygodniu, przydarzyło się, że zapragnęli towarzystwa innych osób. Brad zaczął przyjmować wystosowane do nich zaproszenia. Chadzali na przyjęcia, na małże, na rozpustne przejażdżki samochodzikami po wydmach. Skóra Julii zaczęła przypominać dojrzałą morelę. Brad opalił się jak karaibski pirat. Przy jego ciemnej karnacji zbielewały od słońca włosy fosforyzowały.

Pewnego wieczora popłynęli przez cieśninę do Nantucket na przyjęcie nad morze, do nie dokończonego domu na palach. Skończyło się to ich pierwszą kłótnią.

- Nie musisz tak często tańczyć z Chuckiem Cabotem - narzekał nieuprzejmie, gdy przywiązał łódź.

- Z innymi tańczyłam tak samo.

- Nie tak samo. Stamtąd, gdzie stałem, wyglądało to tak, jakby chciał w ciebie wejść.

- Kochanie, wiesz, że jesteś jedynym mężczyzną, który się tak zachowuje?

- Ja jestem?

Jego posępna mina powiedziała Julii wszystko: opadła go chandra. Kiedy go to nachodziło, nie nadawał się do rozmowy. Chandry zaśmiecały jego bezpośrednie sąsiedztwo niby skorupki i przeważnie musiała go stamtąd wyprowadzać. Tym razem było jasne, że wpadł w jedną z głębszych. Jedną z tych, z których nie potrafił wydobyć się bez jej pomocy. Drogi mój, myślała. To było takie przyjemne przyjęcie. Cały wieczór nie schodziła z parkietu. Ani przez chwilę nie pomyślała, że Brad będzie miał jej to za złe. Teraz patrzyła na oznaki jego złego humoru.

Mętnemu wyrazowi jego oczu towarzyszył dziwny ton głosu. Julia zdusiła śmiech. Zazdrość! Z pewnością nie mógł być tak zazdrosny, żeby podejrzewać ją o niewierność. Po zaprawie, jaką dawał jej raz, dwa, a niekiedy trzy razy dziennie!

- Skąd bym miała energię albo czas?

- No tak... - przyznał niechętnie.

- Był dla mnie tylko miły.

- Nigdy nie jest miły dla nikogo, chyba że czegoś chce!

- Ale ja go nie chcę, jeśli o to ci chodzi.

- Udowodnij! Udowodniła. Potem przeproszał ją.

- Przykro mi. To dlatego, że tak dużo dla mnie znaczysz, nie mogę znieść myśli o tym, że mogłabyś być z innym mężczyzną.

- Nie ma innych mężczyzn. Ani teraz, ani nigdy.

- Wybaczysz mi moją zazdrość?

- Oczywiście że ci wybaczę. - Przerwała na długą chwilę. - Ale dlaczego, kochanie? Absolutnie nie masz powodów.

- Nic nie poradzę. Tak właśnie odbieram to, czym dla mnie jesteś.

- Przecież wiesz na pewno, że jesteś dla mnie wszystkim.

- Tak?

- Oczywiście że tak.

- To dlaczego mi tego nie mówisz?

- Przecież mówię!

- Tylko gdy ja mówię to pierwszy!

Julia osłupiała. Nie była tego świadoma. Miał rację.

Często podchodził do niej, obejmował ją i mówił. „Wiesz co...?” A ona pytała: - „Co?” - „Kocham cię”. Albo nagle krzyczał: - „Nigdy w to nie uwierzysz!” - „W co takiego?” Uśmiechał się wówczas szeroko i mówił: - „Jak bardzo cię kocham”.

Nie potrafiła okazywać uczuć. Był to wpływ jej ciotki, która czuła wstręt do szczerych emocji. To w złym guście, brzmiał jej dezaprobujący werdykt. Lecz Brad, przypomniawszy sobie, wychowywał się w atmosferze szczerzej i nieustannie wyrażanej miłości. Tego też oczekiwał.

Przytuliła się do niego mocniej.

- Obiecuję ci, że się poprawię. Chodzi o to... że brak mi twojej spontaniczności. Być może twoja stępi się przy mnie.

- To niemożliwe, zobacz! - I natarł na nią ostro.

- Znowu? - spytała Julia.

- Nieustannie!

Miała kłopoty ze zrozumieniem jego niepewności, częstej potrzeby bycia podziwianym. Była przekonana, że to wpływ jego matki.

- Sądzę, że jesteśmy zupełnie różni - powiedział Brad później, pokazując, że temat go obchodzi. - Ty jesteś zimna, sprawna, stonowana, cały czas opanowana.

- Nie zawsze!

Przyglądał jej się z namysłem.

- Rzeczywiście, czasem mnie zadziwiasz...

- Wiem, że nie jestem tak impulsywna jak ty. Myślę, że to mnie u ciebie pociąga. Stanowimy dzięki kombinację przeciwieństw.

Brad odpowiedział zmienionym głosem:

- Wydaje mi się, że zawsze ujeżdżałem smoka.

- Co to znaczy? Wstał.

- Nic! Chodź, odwiozę cię do domu!

Był jak żywe srebro. Czasami nie potrafił usiedzieć na miejscu. Był wybuchowy i często działał bez namysłu. Zawsze pewien, że matka go ochroni. Tego samego spodziewa się po mnie? Starając się zwalczyć swoje skłonności do poprzedzania wszystkiego namysłem, szła za nim, czasem zamykała oczy. Poznała go na tyle, by wiedzieć, kiedy ostrożnie mu się opierać, a kiedy ustąpić. Pamiętając o długim uchu Drexela Adamsa, starała się nie dawać mu powodów do narzekań. Wiedziała, że żyją pod wielkim kloszem. Nawet tutaj, z dala od wszystkich, chodziła na paluszkach. Nie może rozbić tej łodzi. Nieważne, jak wielka jest fala. Musi się ugiąć, by udowodnić sobie, że jest dobrym marynarzem.

Być może dlatego, przyznała niechętnie, jeszcze otwarcie nie poruszyła tematu wpływu jego matki. Tutaj, z dala od tego wszystkiego, całkowicie zanurzeni w sobie nawzajem, czuła, że posiada go tak, jak nigdy w Bostonie. Tutaj dawał jej wszystko, czego mogłaby chcieć w miłości. Pasję, czułość, troskliwość męża, niepokój o jej szczęście. Pragnął dawać i być uszczęśliwiany. Tutaj czuła, że gdyby próbowała zgłębić głębię swojej miłości do niego, jej lina mogłaby nie być wystarczająco długa. Tutaj, będąc z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, nigdy nie była zmęczona, zniecierpliwiona, ponieważ tutaj Brad był innym człowiekiem. Wydawało się, że skomplikowaną stronę swojej natury pozostawił w Bostonie, wraz z innym Bradem Bradfordem, który chodził ostrożnie wokół swojej matki. Tutaj też Julia straciła swoje własne skrępowanie, znowu stała się

Julia, którą spotkał w Londynie, i którą tak głęboko się przejął. Po raz pierwszy poczuła, że ma do czynienia z prawdziwym Bradem, wydobytym spod wielu poziomów samozabezpieczeń, które utrzymywał latami. Tutaj był z nią zupełnie otwarty, mówił do niej w sposób, w jaki nigdy z nią w Bostonie nie rozmawiał. Rozmawiał o ich nieprawdopodobnym związku.

- Ty jesteś duchowa, a ja fizyczny - powiedział pewnej nocy, po napadzie najbardziej wstrząsającej zmysłowości, który pozostawił Julię z wrażeniem, że ofiarował jej muśnięcie raju.

- Leczysz mnie. Z tobą psychiczna wymiana taka jak ta, którą daliśmy sobie kilka minut temu, jest wyrazem walki. We mnie i ze mną. Lubię to. Potrzebuję tego.

- Z tobą to jest kulminacja miłości. Milczał, po czym powiedział łagodnie:

- Tak. Miłości. - Spojrzał jej w oczy. - Nigdy przed tobą nie kochałem, Julio. Nie wiedziałem, co to znaczy. Chociaż było wszystko, co wiąże się z seksem.

Julia uśmiechnęła się.

- Dobrze, więc odnaleźliśmy się wzajemnie w seksie, lecz jesteś czymś więcej niż kobietą wartą grzechu. Zmieniłaś mnie, nie zaprzeczaj, na Boga. W ciągu kilku minionych tygodni dotarło do mnie, że lubię z tobą przebywać, że twoja obecność mnie uspokaja, łagodzi, zadowala mnie, jeśli wolisz. Jesteś wyjątkowo niebanalna, wiedziałem to od początku. Nawet teraz nie wiem, na czym to polega, lecz to czyni cię inną niż reszta i jest tym, co chcę wydobyć.

Jego głos, jego wynurzenia, były spokojne i poważne. Nigdy nie otwierał się przed nią tak swobodnie. Julia poczuła, że ścisnęło jej się gardło.

- Potrzebuję cię. Myślę, że to właśnie próbuję ci powiedzieć.

- Ja ciebie też.

- Naprawdę?

Nawet teraz w jego głosie nie było pewności.

- Tak. Nigdy nie myślałam, że mi się to przytrafi, ale... im więcej mam, tym więcej chcę. Kimkolwiek jesteś... i ja także muszę się wiele nauczyć, i to jest to, czego także chcę i potrzebuję. Przypuszczam, że po Dereku nigdy nikomu nie pozwoliłam, ani kobiecie, ani mężczyźnie, podejść zbyt blisko. To ciebie nie powstrzymało. Zawładnąłeś mną już pierwszej nocy. To mnie przeraziło.

Brad westchnął z ulgą.

- Tak, to może przerazić.

- Przenieść siebie samą, całkowicie, do innej istoty ludzkiej, to znaleźć szansę - powiedziała Julia szczerze. - I nie żałuję.

- Jesteś pewna? - W jego głosie nadal brzmiała wątpliwość.

- Jestem. Tamten okres, gdy byliśmy osobno, był nam potrzebny, żeby się znowu wzajemnie odnaleźć.

- Ty też tak to czułaś? - Tym razem w jego głosie pojawiło się naleganie.

- Tak.

Drzwi do szczerości zostały otwarte.

- W Bostonie byłeś innym Bradem, kimś, kogo nie byłam pewna. Miałaś obok inne życie, o którym nic nie wiedziałam, i czułam się z niego wyłączona...

Chrząknął i przycisnął ją mocniej.

- Ale tutaj, gdy jesteśmy tylko we dwoje, jesteś Bradem, którego pokochałam i zawsze będę kochać. - I dokończyła śmiejąc się: - Bez względu na to, ilu innych Bradów w tobie siedzi.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy złożeni z różnych osób, zależnie od tego, z kim jesteśmy.

To było jego pierwsze przyznanie się, nieważne że nie wprost, że w pobliżu matki nie był tym Bradem, którego oczekiwała ona.

- Przecież możemy powiedzieć sobie wszystko - nalegała, chcąc, by powiedział, dlaczego tak jest. - Możemy?

Wahał się o sekundę za długo.

- Zawsze będziemy mówić sobie wszystko - obiecał. Lecz o matce nadal nic nie mówił.

Rozdział dwunasty.

Wrócili do Bostonu po Święcie Pracy. Mocno opaleni, zadowoleni i ufni, że usunęli dawne przeszkody dotyczące wzajemnych uczuć. Nigdy nie była tak pewna siebie i swojego małżeństwa, a Brad nigdy nie był tak przekonany, że zrobił to, co trzeba.

Jednak już pierwszej nocy wybuchła między nimi kłótnia, która pozostawiła w nich chłód goryczy.

Podczas kolacji rodzinnej dla uczczenia powrotu wszystkich z wakacji większość rozmawiała o tym, gdzie byli, co robili, kogo widzieli. Nawet pazurki Binki były schowane. Żegnała się z Julią całkiem uprzejmie.

Obserwując Abby, Seta i dzieci odjeżdżających z powrotem do Cambridge, Julia pomyślała, że chciałyby, żeby i ona z Bradem także odjechali do własnego domu.

Szczotkowała włosy, a Brad mył w łazience zęby, gdy zapytała z nieprzemysłaną beztróską:

- Kiedy będziemy mieli nasz własny dom, Brad?
- A temu czego brakuje? Bóg świadkiem, że jest wystarczająco przestronny.
- Ale nie jest nasz. To jest dom twojej matki. Twoje siostry mają swoje własne domy. Kiedy my będziemy mieli?
- One mają rodziny.
- Pewnego dnia my też będziemy mieć dzieci.
- Myślałem, że się porozumieliśmy, że najpierw jest czas na zabawę.
- Wiem, ale...

Brad stanął w drzwiach i patrzył na nią spode łba.

- Nie lubisz tu mieszkać?
- Nie powiedziałam tego. Powiedziałam, że wolałabym zamieszkać pewnego dnia we własnym domu.
- Ostrzeżona przez jego ton, ostrożnie kontynuowała: - Wiesz przecież, co oni mówią o mieszkaniu z matką.
- Nie, nie wiem. A co mówią?
- Że to nigdy nie wychodzi.
- Więc ty myślisz, że to nie wychodzi?
- Tego nie powiedziałam.
- Więc co ty mówisz?
- Że chciałabym pewnego dnia mieć własny dom. Czy to takie dziwne?
- To już jest nasz dom, w każdym razie mój.
- Twój?
- Gdy się ożeniłem, matka przepisała go na mnie.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś.

- Nigdy nie pytałaś. Julia rozzłościła się.

- A ty mnie pytałeś? Rzuciła szczotką o podłogę.

- Kiedy mówiłam: nasz własny dom, dokładnie to miałam na myśli. To jest dom twojej matki, niezależnie od tego, kto wymieniony jest w dokumentach. - I dodała ze smutkiem: - Myślałam o czymś mniejszym, czymś dla nas dwojga.

- Lubię tu mieszkać. Tutaj się urodziłem i pewnie tu umrę. Bradfordowie, a w każdym razie najstarsi synowie, zawsze tu umierali. Poza tym mogę mieć oko na matkę. Ona nie będzie stawać się młodsza i zawsze istnieje zagrożenie ze strony jej astmy. - Przerwał. - Nigdy nie widziałaś matki podczas ataku astmy. To przerażające. Gdy się zaczyna, zawsze chce mnie mieć przy sobie. Co by się stało, gdybyśmy wyprowadzili się do Brooklinu lub gdzieś indziej? Jak, do diabła, mógłbym być przy niej tak prędko, jak tutaj? - Spojrzał na nią jeszcze groźniej. - Proponowała przeprowadzkę, istotnie, ale nie chciałem o tym słyszeć. Dobija do siedemdziesiątki i wbrew pozorom nie jest niezniszczalna. Jest wątpa bardziej niż na to wygląda. Z pewnością nie poskapisz jej kilku lat z tego mnóstwa, jakie mamy przed sobą. Matka nigdy nie żałowała swojego czasu ani dla mnie, ani dla ciebie. Uświadom to sobie.

Jego głos stał się ciężki niczym chmura gradowa. Julia niechętny ubliżyła jego matce.

- I nie mów mi, że cały czas cię kontroluje albo że się wtrąca - kontynuował rozzłoszczony. - Do tego ona jest ostatnia na świecie. Nigdy się nie wtrąca.

Nie musi, pomyślała Julia. I tak robisz to, co ona chce.

- Nie odpowiadasz - grzmiał. Julia wycofała się.

- Zapomnijmy o tym - powiedziała pojednawczo.

- Ty zaczęłaś!

- Więc skończmy!

Wrócił do łazienki trzasnąwszy drzwiami.

Julia przyglądała się swojej napiętej twarzy w lustrze toaletki. Wątpa? Hester Bradford jest prawie tak wątpa jak czołg Shermana. A następny kamyczek do ogródka to jej astma. Przerażająca czy nie, była pierwszym orężem do kontrolowania syna. Brad oczywiście wierzył, że matka przybiera dzielną minę jedynie z jego powodu. Dla Julii było oczywiste, że zaproponowała przeprowadzkę całkowicie pewna, że Brad nawet nie pozwoli jej o tym myśleć. I cóż za mistrzowskie pociągnięcie. Przepisać na niego dom teraz. Powierzyć mu wszystko, a specjalnie samą siebie. Wiążąc go coraz bardziej nierozzerwalną srebrną pępowiną. Pozornie dając mu wolność, w rzeczywistości przyzwalała na nie więcej niż kilka stopni swobody.

Brad, myślała Julia drżąc, jakby była wypchnięta na mróz. Brad, Brad. Dlaczego nie jesteś ze mną szczery? Dlaczego nie powiesz mi, co dzieje się między tobą a twoją matką? Ponieważ coś się dzieje. Wiem tylko, że ma to związek z twoim lękiem przed nią, ponieważ się boisz tak bardzo, że cię to przeraża. Jej śmierć? Czy tym cię straszy? Że zostawi cię i będziesz musiał radzić sobie sam? Czy dlatego nie chcesz odejść z tego domu i od niej? Z goryczą pojęła, jak dobrze rozumie jego lęk. Ponieważ sama zaczęła się bać. Kilka słów rozpętało burzę. Jeszcze chwila, a zaczęłaby się apokalipsa. Gdy chodziło o matkę, Brad rysował niewidoczną linię tabu, której nawet jego własna żona nie miała prawa przekroczyć.

Była więc zdecydowanie zaskoczona, gdy kilka dni później lady Hester powiedziała ni stąd, ni zowąd:

- Pomyślałam, Julio, że już czas, byście przestali z Bradem gościć w jego pokojach, w tym domu jest wiele wolnych pomieszczeń. Dlaczego się nie rozejrzysz? Wybierz odpowiednie pokoje i urządź je na nowo. Przecież to twój zawód. Weź to w swoje ręce. Możemy się dogadać?

Julia wytrzeszczyła oczy i zaniemówiła. Jak ona to robi? Skąd o tym wie?

- Brad musi wyjechać w następną podróż mniej więcej za tydzień, ale obawiam się, że sam. - Morskie oczy patrzyły w sposób, który mówił, że ona wie, co powiedziała Julia na temat separacji, ale nie ma to najmniejszego znaczenia.

- Nie jest to przyjemna podróż, uwierz mi. Kraje arabskie nigdy nie są przyjemne. Musiałabyś siedzieć zamknięta w pokoju hotelowym. Więcej sensu ma znalezienie sobie zajęcia tutaj.

- Bardzo bym chciała, byśmy mieli własne miejsce - odpowiedziała Julia szczerze, a umysł jej pracował z furją.

- A więc przygotuj je. Ja wiem, jak lubisz być zajęta.

- Tęsknię za Bradem - odrzekła Julia. Mówiła szczerze, ale jednocześnie myślała: a więc słyszała. W porządku, w nowym miejscu nie da jej szansy na założenie podsłuchu. - Bardzo chciałabym zrobić to, co sugerujesz - powiedziała.

- Będzie to naszym małym sekretem, co? Miła niespodzianka dla Brada, kiedy wróci?

- Jak długo go nie będzie?

- Około miesiąca.

Gdy Julia otwarcie wyraziła wątpliwość, lady Hester zaśmiała się pobłaźliwie.

- Moja droga Julio, to są Stany Zjednoczone. Każdy musi dokonać wyboru. Robotnicy w tym kraju pracują naprawdę. Miesiąc aż nadto wystarczy na wszystko, co masz do zrobienia, uwierz mi. I dam ci carte blanche na zrobienie domu w domu. Brad po prostu nie chce słyszeć o jakiegokolwiek wyprawdzie. Upiera się, że jestem w takim wieku, iż jego obecność przy mnie jest obowiązkowa. - Uśmiech stał się nawet bardziej pobłaźliwy. - Ale matka musi zaakceptować odejście - kontynuowała pogodnie. - Robię więc to, co mogę.

178

Lepiej podziękuj Bogu, że nie wszystko powiedziałaś, pomyślała Julia. Cóż, skoro tak, postara się zrobić wszystko perfekcyjnie.

Obejrzała dom od góry do dołu i na trzecim piętrze wybrała szereg przyległych pokoi, pełnych światła, z cudownym widokiem na Common. Kiedy lady Hester dzielnie, choć nie bez bólu, weszła na górę, stanowczo odmówiła zgody na zainstalowanie windy. Powiedziała:

- Pamiętam te pokoje. Były używane przez młodych kawalerów, kiedy przyjechałam tutaj jako panna młoda. Za tamtych dni było ich mnóstwo. - Spojrzała z ukosa. - Będzie tutaj bardzo spokojnie i może to jest to, czego potrzebujesz. Miłe gniazdko.

- Po prostu nasze miejsce.

Julia wkrótce pograżyła się uszczęśliwiona w kolorowych projektach i rysunkach. Lady Hester pozwoliła jej wybrać meble z innych pokoi. Zdziwiona uniosła brwi oceniając ostateczny wybór Julii.

- Widzę, że masz oko - powiedziała, ale w taki sposób, że Julia zaczęła się zastanawiać, o co jej chodzi. Żłudne stare rzeczy! Najwidoczniej odnosiło się to do Brada. Co do tego miała rację.

Lady Hester skierowała ją do różnych sklepów specjalistycznych i zasugerowała pewnych ludzi, którzy zapewniali szybkie dostawy. Poleciała też dekoratora.

Gdy tylko Julia wróciła do pracy, zrozumiała, jak bardzo jej tego brakowało, i kiedy Brad

powiedział jej zrezygnowany, że musi wyjechać w dalszą podróż, była w stanie powiedzieć przekonywająco:

- Kochanie, czy naprawdę musisz?

- Przykro mi, ale muszę. Nie mogę wziąć ciebie ze sobą. Tam, gdzie jadę, nie będzie nic tylko pokoje hotelowe w kilkunastu różnych państwach.

W jego oczach, w głosie było coś, czego Julia, mając głowę zajętą planami urzędzenia domu, nie spostrzegła. Zacisnął usta, spuścił wzrok, ale ona tego nie widziała. Zaprzątnięta niespodzianką, którą szykowała, przepuściła ostrzeżenie o sztormie. Pocałowała go na drogę i zostawiła skamieniałego, pogrążonego w smutku.

- Będę dzwonił każdej nocy - powiedział.

- Hmm, co? Ach tak, kochanie, bardzo proszę.

W chwili, gdy zamykały się za nim drzwi, była już przy desce kreślarskiej.

Jej dni były cudownie wypełnione, a każda minuta aktywna. Binka dała jej nazwisko genialnego człowieka z Washington Street, który miał najwięcej drogich bibelotów, a Abby poleciła kobietę, która wykonywała ręcznie poduszki z wybranego materiału. Znała też Włoszkę na bostońskim North Endzie, która szyła zasłony, jakim nie dorównywało nic ze specjalistycznych sklepów, dla których zresztą pracowała, lecz kupując bezpośrednio u niej płaciło się dwukrotnie mniej. Bostończycy byli oszczędni, jak zauważyła Julia, niezależnie od zamożności.

Robotnicy przystąpili do pracy. Łazienka została wykończona w kilka dni - wyposażono ją w ogromną wannę, którą Julia kupiła od handlarza sprzętami porozbiórkowymi odzyskanymi z opuszczonych rezydencji nad Back Bay. To miała być niespodzianka dla Brada, który zawsze skarżył się, że wanny są za małe. Umywalka była podobna. Oba sprzęty ozdobione wzorami wiosennych kwiatów, były w doskonałym stanie. Julia uzupełniła je doniczkami, w których posadziła rzadkie rośliny ze sklepu rekomendowanego przez Binkę. Firanki w oknach miały ten sam wzór. Ściany i podłogę pokryto korkiem, a sitko prysznic mogło być ustawiane pod różnym kątem. Była to altana zieleni i luster, miejsce, w którym można było przebywać godzinami.

Gdy Brad wrócił do domu, nieoczekiwanie wcześniej, niż zapowiedział, Julia zajęta była zawieszaniem w salonie woalu, pod lnianymi zasłonami koloru skórki kreta. Miały kremowe paski i gdy świeciło słońce, rozpraszały światło do blasku przyjemnego dla oczu.

- Może znalazłabyś chwilę, żeby zauważyć, że mąż jest w domu - powiedział żartobliwie, ale nie wydawał się rozbawiony.

- Brad! Kochany... Och, miałeś nie oglądać tego wszystkiego, dopóki nie będzie skończone.

- Za późno.

Wyglądało jednak na to, że jest pod wrażeniem. Rozglądał się dookoła ich ślicznego salonu, całego w krecich kolorach i bieli ze śladami cytrynowej żółci, podziwiał subtelną grę między połyskliwą bawełną obić a lnem zasłon, jedwabiem poduszek i brokatem dużego fotela, wykonanego specjalnie dla niego.

Zajrzał do łazienki i aż podskoczył.

- Ach! Gdzie dostałaś tę wannę? Mogę się w niej zupełnie wyprostować! Jesteś aniołem! - entuzjasmował się.

- Podoba ci się?

- Bardzo! - I dodał z westchnieniem: - Ale widzę, że tym razem za mną nie tęskniłaś.

- Chcesz się założyć?

Ale miał rację, zreflektowała się i poczuła winna. Była za bardzo zajęta.

Urodziny lady Hester przypadały na koniec października, w Halloween, i były celebrowane obiadem rodzinnym.

- Gdy byliśmy dziećmi, zbiegały się z „oszukańcem” - powiedział Brad i musiał Julii wytłumaczyć, co to znaczy.

Julia czuła się już znacznie pewniej niż na początku, ale musiała wybrać prezent urodzinowy dla teściowej z największą starannością. Znalazła go przypadkowo w sklepie ze starymi przedmiotami na Washington Street. Był to wiktoriański zegarek kieszonkowy. Teściowa nigdy nie nosiła zegarka na rękę. Wszystkie jej suknie miały rękawy kończące się nad nadgarstkiem. Zegarek oprawiony był w diamenty. Zapinka miała kształt litery H.

Kiedy lady Hester otworzyła pudełko, krzyknęła z zachwytu.

- Moja droga, jaki wspaniały! Wiktoriański!

Badała go z figlarnym spojrzeniem i nikłym uśmiechem.

- Dałam go do naprawy i chodzi bardzo dokładnie - zapewniła Julia.

- Jestem pewna, że tak. Znam twoją skrupulatność, Julio. Oddana pracy - powiedziała po cichu do syna. - Harowała cały czas, gdy cię nie było. Widzieliśmy ją tylko w jadalni. Jest zupełnie samodzielna. Przypnij mi go, kochanie - poprosiła syna, który ostrożnie przyczepił zegarek do jej sukni obiadowej.

- Bardzo mi pasuje - oświadczyła i podziękowała, zanim zajęła się resztą prezentów. Brad ofiarował jej sporą torbę od Aspreya, ze skóry krokodyla. Ujęła go pod brodę i pocałowała przeciągle w usta.

- Najdroższy chłopiec...

W niedzielę rano wyszli na długi spacer. Liście wędły i spadały.

- Upadek, jak trafnie nazywacie tę porę - powiedziała Julia. Trzymała go pod ramię. Ich palce splotły się.

- Nie, to jest słowo angielskie od dawna nie używane, to wszystko. Przeczytaj Szekspira, jeśli mi nie wierzysz!

Julia ze zdziwienia przystanąła.

- Czasami czytam, jak wiesz - powiedział Brad. Jego uśmiech niezupełnie maskował zmieszanie.

- Nie można dostać się do Harvardu tylko dzięki pieniądзом.

- Kochanie, nie miałam zamiaru...

- Wiem o tym, ale ja mam zamiar udowodnić ci teraz raz jeszcze, że nie jesteś jedynym mózgiem w tym małżeństwie.

- Kto mówi, że jestem? - znowu zdziwiła się Julia.

- Byłabyś zdziwiona... - Nic więcej nie mógł powiedzieć. Dodał tylko: - Tak jak ja się zdumiałem, kiedy zobaczyłem, co zrobiłaś w domu.

- Cieszę się, że wspomniałaś matce, co powiedziałam na temat domu - stwierdziła. Jeszcze miała nadzieję.

- Nic nie mówiłem.

- Nie mówiłeś? Jak więc...

- Matka wie wszystko. - Wzruszył ramionami. - Nie pytaj mnie jak, ale wie. - Przez chwilę milczał. - I chyba się zgodzisz, że dobrze się stało. Ty rzeczywiście lubisz to robić.

- Kocham to - entuzjasmowała się. Urządzenie własnego domu zamiast cudzego było wielką przyjemnością.

- Matka powiedziała, że byłaś całkowicie pochłonięta pracą.

- Zawsze to lubiłam, wiesz o tym. Jestem z tych, co muszą mieć zajęcie, żeby się dobrze czuć.

- Więc brakuje ci tego?

Za późno spostrzegła swój błąd.

- Nie wtedy, kiedy jesteś w domu - odpowiedziała szybko.

- Wtedy się nie nudzisz?

- Z tobą nie.

- Ale kiedy nie jesteś ze mną?

- Cóż... - starała się mówić oględnie. - Przypuszczam, że czerpię z pracy coś dla mnie bardzo ważnego. Lubię być pożyteczna.

- To są słowa twojej ciotki - powiedział Brad kłótliwie.

- Zawsze mówiła, że ciężka praca jest nagrodą samą w sobie - zgodziła się.

- A więc, kiedy będę daleko, ty będziesz szukać sobie zajęcia?

- Więc... Binka powiedziała... żeby jej poradzić, rozumiesz. A Abby mówi, że od lat myśli, żeby zrobić coś ze swoim domem...

- Na przykład spalić go i postawić nowy - powiedział Brad sardonicznie.

- Nie sądzę, żeby zamierzała posunąć się tak daleko. - Julia roześmiała się.

- Interesuje mnie, jak daleko ty zamierzasz się posunąć. Odpowiedziała instynktownie:

- Z tobą, jeśli masz zamiar znowu wyjechać. Zobaczyła, że się uspokoił, i zrozumiała, że oczekiwał takiej odpowiedzi.

- Nie tak prędko - przyznał. - Ale przed końcem roku będę musiał spędzić w Europie co najmniej sześć tygodni.

- Więc i ja pojedę. Nie dam się zostawić już nigdy, słyszysz? Sposób w jaki przyciągnął ją do siebie i pocałował, przekonał ją, że wypowiedziała właściwe słowa. Była zadowolona, że nie wspomniała, jak bardzo się nudziła, gdy pierwszy raz została sama. Mogła tylko marnować czas. To nie miało sensu. Lubiła pracować. Nie znajdowała przyjemności w składaniu nudnych wizyt, braniu udziału w tych samych wieczornych przyjęciach, spotykaniu tych samych ludzi, słuchaniu plotek. Oddanie się pracy, w jakiś dziwny sposób na nowo dawało jej poczucie wartości. Nie była po prostu panią J. Winthrop Bradford, jak myśleli o niej rdzenni bostończycy, ale Julią Carrey, projektantką wnętrz. I mimo że Brad wrócił, nie miała zamiaru zmarnować okazji udowodnienia Bince swojej wartości. Przed Abby nie musiała tego robić, ponieważ miała wrażenie, że ona to już wie.

Tydzień później, kiedy ślęczała nad szkicami wzorów sugerowanych przez Binke, odwiedziła ją teściowa.

- Julio, potrzebuję twojej profesjonalnej opinii.

- Oczywiście, w jakiej sprawie?

- Zobacz.

Pokazała jej fotografie hotelu, którego dobre czasy już minęły.

- Musiał być wspaniały - oceniła Julia. - Ale dawno temu.

- Rzeczywiście tak było. Przed pierwszą wojną światową był bardzo elegancki. Trwają rozmowy na temat rozebrania go, ale bardziej podoba mi się idea posiadania hotelu. Mogłabym go nazwać Arun.

- Odrestaurowanie go będzie mnóstwo kosztować.

- To nie jest problem. Interesuje mnie, czy myślisz, że można to zrobić. Zastanów się, czy jest wart uratowania.

Julia studiowała fotografie bardziej szczegółowo. Cudowne stiukowe sufity, obszerne pomieszczenia, eleganckie schody.

- Ile ma pokoi? - spytała.

- Pięćdziesiąt. I kilkanaście apartamentów. Mały, ale wyszukany.

Był całkowicie opuszczony i chylił się do upadku. Pozdierana farba, złuszczone złocenia, zniszczone tynki. Kolory dawno wyblakłe.

- Będziesz miała straszne mnóstwo rupieci - ostrzegła Julia. - Z drugiej strony, wiele z tych rzeczy nie ma ceny. Spójrz na te łazienki. Podobne wanny i umywalnie warte są dziś fortunę.

- Przypominają mi te, które były niegdyś w Arun - wspomniała lady Hester. - Żona mojego kuzyna zwariowała na punkcie modernizacji. Ja nie chcę takiego beztroskiego zniszczenia w moim hotelu. Musi być zrobiony troskliwie i z miłością. Potrzebuję kogoś, kto może odmłodzić go tak, żeby nie wyglądał na swoje lata, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dyskretne, niezauważalne face liftingi. - Spojrzała na fotografie. - Potrzebuję czegoś specjalnego - zdecydowała. - Czegoś wyjątkowego. W stylu Connaught. Nie tyle hotel, co angielski, wiejski dom.

- To będzie kosztowało.

- Jestem gotowa płacić za to, czego chcę, ale musi być dobre, a to znaczy - idealne.

Nadeszła pora obiadu i musiały odłożyć rozmowę na później.

W czasie nadchodzących dni lady Hester często powracała do tematu swojego hotelu. Z liczb, o których zawzięcie dyskutowano, wynikało, że zamierza wydać dużo pieniędzy. Gdy Julia usłyszała brane pod uwagę nazwiska projektantów poczuła pierwsze przelotne ukłucie zazdrości: „Szkoda, że to nie mogę być ja”. Przyciągnęło ją to do deski kreślarskiej. Zrobiła serię szkiców swojego widzenia odrodzonego hotelu. Były dobre, czuła to. Ale nie miała nazwiska. Nieznani projektanci nie dostają takich zleceń na półmisku.

Dlatego nie pokazała teściowej tych szkiców, tylko ze stoickim spokojem odrzuciła je na bok.

Następnego dnia teściowa powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Julio, ale twoja pokojówka przyniosła mi to, myśląc, że jest bardzo ważne. Widzę, że rysunki dotyczą mojego hotelu.

Przyłapaną na gorącym uczynku Julia mogła tylko blefować.

- To tylko zabawa. Twoje słowa wywołały jakieś pomysły.

- Ewidentnie pożyteczne. Rysunki oddają dokładnie to, co miałam na myśli. Dlaczego nie powiedziałaś wprost, że chciałabyś projektować mój hotel?

Wiedząc, że Brad uważnie przysłuchuje się rozmowie, Julia zwijała się ze wstydu, pamiętając ich niedawną rozmowę.

- Gdybym wiedziała, że chcesz być poważnie brana pod uwagę, oczywiście poprosiłabym cię o przygotowanie szkiców. Miałam jednak wrażenie, że małżeństwo wyparło chęć robienia kariery.

- Bo tak jest! - Julia zajęła pozycję obronną.

- Nie wydaje mi się. Skąd by się wzięły te szkice?

- Prosiłaś mnie o radę.

- I otrzymałam ją. To natomiast jest czymś więcej.

Lady Hester była jak najbardziej życzliwa, ale Julia jej nie ufała.

- Nie jest to zwykła bazgranina, ale dobrze przemyślana i wykonana praca. Przy tym najlepsza z ofert, jakie widziałam. Spełnia wszelkie warunki.

Julia osłupiała.

- Jesteś niezwykle utalentowana, Julio. Pomyśl tylko, wszystko zostanie w rodzinie.

Julia nie śmiała spojrzeć na Brada.

- Ale... - zaczęła słabo.

- Jak myślisz, ile by to zajęło czasu?

Julia zbierała rozproszone myśli. Powiedziała pewnie, co przyszło jej do głowy:

- Co najmniej sześć miesięcy, może dłużej. Z pewnością nie krócej.

- Jest początek listopada. Czy mogłoby to być skończone na wiosnę, jak myślisz? To by mi się podobało. Maj. Paryż wiosną... w hotelu Arun.

- Paryż! - Serce Julii podskoczyło.

- Nie mówiłam ci, że to jest w Paryżu? Nie. Przypuszczałam, że tutaj, w Ameryce.

- Skądże, finde-siecle tego rodzaju jest całkowicie europejski. Hotel jest w Paryżu, tuż przy Bois de Boulogne. - Lady Hester jeszcze raz zapatrzyła się na rysunki. - To niesamowite - zachwycała się.

- Jak zdołałaś poznać moje najskrytsze myśli? Ktoś mógłby powiedzieć, że podsłuchiwałaś pod drzwiami. - Przerwała, śmiejąc się po swojemu, niezwykle dźwięcznie. - Musiałaś poświęcić mojemu oczku w głowie sporo czasu i przemyśleń, co mi pochlebia. Ten hotel jest dla mnie niezmiernie ważny. Poza tym będzie się nazywał Arun. Mam jednak kilka wątpliwości. Masz oczywiście rację dodając mniejsze, osobne pokoje, ale...

Julia wstała, usiadła obok lady Hester na sofie i obie pochylili się nad rysunkami, pozostawiając Brada samego. Miał kamienny wyraz twarzy. Dopiero gdy Julia spojrzała na niego, dostrzegła, że wcale nie jest zadowolony. Zapomniała, że czuł się fatalnie, jeśli nie był w centrum uwagi. Wówczas lady Hester także zwróciła się do syna.

- Jaka ty masz mądrą żonę. Inteligentną i piękną. Kombinacja nie do pobicia. I jest pierwsza klasa w swojej pracy. A przy tym potrafi z niej nawet zrezygnować dla mojego syna!

- I to bez żalu - skłamała Julia przez zaciśnięte zęby. - Lecz jeśli hotel jest w Paryżu, to nie mogę opuścić Brada. Jest wystarczająco źle, kiedy on mnie zostawia. Sześć miesięcy osobno to nie do pomyślenia i nie do zniesienia. Ale jeśli rzeczywiście uważasz, że moje rysunki są tym, czego potrzebujesz, to spokojnie możesz ich użyć jako podstawy dla projektanta, którego ewentualnie wybierzesz. Możesz mu nawet powiedzieć, że te idee są twojego autorstwa... Lady Hester poklepała Julię po dłoni.

- Takie samopoświęcenie. Bardzo miło. Jeżeli naprawdę tego chcesz...

Gdy wrócili do swoich pokoi, Brad nie wytrzymał.

- Boże, cała ta cierpiętniczość, bycie świętszą od papieża, rzygać mi się chce. Dlaczego nie przyznałaś się wprost, że chcesz to robić? Przecież aż przebierałaś nogami. Oczy ci się paliły, żeby robić ten hotel.

- Żeby być oddzieloną od ciebie przez sześć miesięcy? Tego byś chciał?

- To, czego ja bym chciał, nie ma tu nic do rzeczy, o czym cholernie dobrze wiesz.

- Na miłość boską, dorośnij wreszcie! - wyrzuciła z siebie Julia. Upokarzało ją to nienaturalne dla niej poświęcanie się. Wściekła też była na niego za to, że pośrednio się do tego przyczynił. - Nigdy nie myślisz o nikim tylko o sobie?

- A ty? Czy z innego powodu spędziłaś tyle czasu nad tymi „szkicami”?

- Twoja matka pochlebiła mi. Wiesz, że byłam całe lata projektantką.
- No i oddałaś swoje cenne projekty matce i pozwoliłaś jej przypisać je sobie? Nie rób tego!
- Mam zejść na dół i powiedzieć jej, że zmieniłam zdanie, że zrobię ten hotel i nie będę cię widzieć przez sześć miesięcy? Czy tego chcesz?

Kłótnia wisiała w powietrzu. Cofnęli się i przyglądali się sobie.

- Zawsze myślisz o tym, czego ja chcę? - spytał dziwnie podniecony.
- Na miłość boską, czy nie udowodniłam tego przed chwilą?
- Czyżby? - Nadal miał dziwny głos. - To mnie zastanawia.
- No więc zastanów się nad tym, jak ja się teraz czuję!
- Powiedz, czego ty naprawdę chcesz? Uczciwie.

Coś w jego głosie wyrwało z niej prawdę jak korek z butelki.

- Chciałabym i hotel, i ciebie razem ze mną w Paryżu.
- A gdyby to było możliwe? Spojrzała przenikliwie.
- Jak to, możliwe?
- Po prostu możliwe. Chcesz robić hotel?
- Czy chcę?!

- Powiedziałaś, że nie chcesz więcej żadnych separacji?
- Właśnie dlatego zrezygnowałam z hotelu.

Coś w jej głosie i postawie zastanowiło go; objął ją, spojrzał głęboko w oczy i zapytał:

- Jesteś szczerą?
- Jestem szczerą - potwierdziła Julia, bezlitośnie tłamsząc w sobie zdumiewająco ostry, przelotny ból.

- To byłaby życiowa szansa.
- Wiem o tym - odpowiedziała ze stoickim spokojem.
- I rzeczywiście zrezygnowałabyś z niej dla mnie?
- Jestem twoją żoną.
- Jesteś aniołem! - Porwał ją w objęcia.

Gdy w końcu uwolniła się z uścisku, łapiąc oddech powiedziała:

- Po co to wszystko?
- Żebyś była dobrą dziewczynką. Pojedziemy do Paryża razem.

Wytrzeszczyła oczy.

- Co zrobimy?
- Matka podchwyciła pomysł. Twoje szkice naprawdę ją urzekły. Gdy pierwszy raz mówiła ci o hotelu, pomyślała, że być może poprosisz o szansę. Skoro tego nie zrobiłaś, zrozumiała, że naprawdę nie chcesz być izolowana ode mnie. Wysłała mnie więc na sześć miesięcy do Paryża.

Julia z trudem złapała oddech, po czym zarzuciła mu ręce na szyję:

- Najdroższy, to fantastyczne! Dlaczego nic nie mówiłeś?
- Chciałem, żebyś powiedziała pierwsza. Julię zmroziło.
- Chciałeś, żebym udowodniła swoją miłość?

Nie dał się zbić z tropu.

- Znasz mnie, moje potrzeby... te rzeczy są dla mnie najważniejsze.

Julia opanowała się.

- A więc sprawdzałeś mnie?

- Jestem zazdrosny o wszystko, co mi ciebie odbiera, niezależnie od tego, co to jest. Chciałem się tylko upewnić, że gdybyś musiała wybierać: hotel albo ja, nadal miałbym pierwsze miejsce.

Julia nie była w stanie go pojąć.

- Dlaczego jesteś taki niepewny? Jesteś jedynym człowiekiem, którego kocham i okazuję ci to. Twoja matka...

- Nie rozmawiamy o mojej matce, ale o tobie, mojej żonie. O nas, o naszym związku.

Był oschły, twardy i nieprzyjemny. Jego postawa, gotowość do ciosu, ostrzegła ją, że chodzi o coś ważnego. Nadal nie rozumiała, o co. Jednak wyszła mu na przeciw.

- Zawsze będziesz dla mnie pierwszy. Pierwszy, ostatni i na zawsze. Czy to chciałeś wiedzieć?

Przytuliła się do niego.

- Cały czas. Tak bardzo cię kocham, Julio, i pragnę tak bardzo. Nigdy wcześniej nie pragnąłem żadnej kobiety. To dla mnie nowe, obce i czasami nie mogę tego znieść. Wcześniej nie widziałem w tym nic poza pociąganiem fizycznym. To mogłem zrozumieć. Myślałem, że nie mam takich pragnień. Aż zjawiał się ty.

- Mój kochany... - Julia odgarnęła z pięknej, chłopięcej twarzy jasne włosy.

- Więc kochasz mnie?

- Jak nigdy nikogo innego.

- I gdyby kiedykolwiek doszło do wyboru...

Przez ułamek sekundy nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Zaraz jednak ominęła bolesne pytania i odrzekła:

- To będziesz ty, mój najdroższy. Zawsze to będziesz ty. Wkrótce potem, z Bradem mocno śpiącym w jej ramionach, przerażona wpatrywała się w coś, czego nigdy nie spodziewała się odkryć, i zastanawiała się, co u diabła ma z tym począć.

Rozdział trzynasty.

Hotel oglądali razem. Był już pusty. Najbrzydsze fragmenty dawnych dekoracji usunięto i ukazały się piękne proporcje stropów, eleganckich marmurowych kominków, świetnie zaprojektowanych okien. Wszystko to Julia uwzględniła w swoich rysunkach, nad którymi lady Hester ślęczała z mikroskopem i kalkulatorem. Liczyła koszty z dokładnością do kilku miejsc po przecinku, po pięć razy.

Gdy dostali się na ostatnią kondygnację, gdzie robotnicy nadal zajmowali się pewnym apartamentem, Brad wypatrzył wielkie łożo belle epoque, w którym wiele kurtyzan zabawiało swoich kochanków, i wyszeptał:

- Moglibyśmy się tu trochę zabawić. - Oczy mu się zaśmiały. - Dlaczego nie? Zatrzymaj się tutaj, w tym hotelu. Będiesz na szczycie swojej pracy, a i biuro nie jest daleko. To byłoby bardzo zabawne!

Julia była spięta. Zabawa! Tylko to ci w głowie, pomyślała i otwarcie go potępiła. Przyjechała tutaj do pracy. Już widziała, oceniając stan hotelu, że niepotrzebnie zgodziła się na sześć miesięcy. Dziewięć, a może i rok byłby tu potrzebny. O czym myślałam? Napastowana nieustannie przez lady Hester nie miała jasności myśli. To powinno się zmienić już na samym początku.

- Julio, daj spokój! - niecierpliwił się Brad. Bywała tak deprymująco praktyczna i zawsze nie w porę. To jest Paryż! Są zaledwie parę miesięcy po ślubie. Teraz jest czas na zabawę!

Powaga przyjdzie później, znacznie później. Myślał, że złamał w jej mentalności ową przesadną solidność, a tymczasem podwinęła rękawy, pilnuje roboty i z przerażeniem wpatruje się w termin. - Będiesz miała wszystko na oku - dodał niezdarnie. Rzeczywiście będę, myślała Julia, albo raczej kalkulowała. Nie tylko musi osiągnąć standard wymagany przez teściową. Sama była pod własną kontrolą. Nie było marginesu na popełnienie błędu.

- W porządku - zdecydowała błyskawicznie. - Tak zrobmy. Ich dni miały stały porządek, co Julia tak kochała. Jedli razem śniadanie, po czym Julia udawała się na parter, gdzie w rogu urządziła sobie biuro, w którym już pracował desygnowany menedżer.

Był to Szwajcar, czterdziestopięcioletni czarodziej Paul Chambrun, od dwudziestu pięciu lat w branży hotelarskiej. Lady Hester wykupiła go z Georges V. Dla Julii był prawdziwym skarbem. Spokojny, o dużym autorytecie, szybko myślący, nieskory do podniecania się byle czym. Od początku się zgrali. Ponieważ znał Paryż jak tubylec, był nieoceniony, gdy potrzebna była jakaś informacja, od najlepszych sklepów z materiałami do tego, gdzie można było dostać najoryginalniejsze antyczne drobiazgi do układania w ornamenty.

- Spadł wprost z nieba! - wykrzykiwała do Brada uszczęśliwiona. - Bóg wiedział, że muszę z nim pracować.

Rzuciła się w wir pracy, niezwykle ożywiona.

Lady Hester dzwoniła regularnie, a Julia co tydzień pisała raporty. Informowała teściową o każdym aspekcie postępów pracy. Śledziła budżet i grafik, sokolim okiem pilnowała robotników, ściagała dostawców i odwiedzała sklepy w poszukiwaniu odpowiednich lamp, luster i porcelany.

Zaprojektowała jadalnię w najprzyjemniejszym dla oka odcieniu różu, wyciszonym delikatnymi srebrnymi akcentami. Lustra lekko przyćmione, aby wszystkie kobiety wyglądały w nich najkorzystniej. Wyszukała drobne bibeloty dla nadania pokojom osobistego klimatu. Ekskluzywne pudełka z kości słoniowej na papierosy, przepiękne ramy ze srebra albo emalii mieniącej się zielenią i błękitem niczym pawie pióra, rzeźbionych koralu lub opalizującej macicy perłowej. Goście mogli wkładać w nie swoje cenne fotografie. Dokładała starań, by uniknąć anonimowości, by wykreować otoczenie wymagane przez lady Hester. Prywatność i intymność. Nie hotel, raczej dom.

Czas mijał, a Brad był coraz bardziej niezadowolony.

- Ale ja miałem ochotę spędzić dzień w Neuilly - skarżył się. Albo mówił: - Wiesz przecież, że zarezerwowałem stolik u Maxima!

Julia zebrała o łaskę, by nie iść z nim wtedy, gdy miała jedyną okazję kupić jakiś szczególny przedmiot.

- Kochanie, jeśli nie pójdę dzisiaj, to mogę stracić krzesła (albo szezłąg, albo portret czy lustro).

Dąsał się, patrzył gniewnie i skarżył się, że nie po to przyjechał do Paryża. Nie po to, by czuć się lekceważonym.

- A ja nie przyjechałam tu dla zabawy. - Julia mówiła cierpliwie. - Jestem uzależniona od ścisłego terminu. Twoja matka uparła się na otwarcie w maju, chociaż mówiłam jej, że tego nie da się zrobić. Idź sam, mój drogi. Nie ma potrzeby, żebyś pozbawiał się przyjemności.

- Nie myśl, że nie pójdę! - Bywało, że odwarkiwał ordynarnie.

Coraz częściej i częściej wychodził sam, wracał coraz to później, gdy leżała wyczerpana, pogrążona w głębokim śnie i skłonna do protestów.

- Nie teraz, kochanie, jestem zmęczona. Pracowałam czternaście godzin i muszę wstać o siódmej rano...

Aż pewnego wieczora wyskoczył z łóżka jak oparzony.

- Być może powinienem załatwić sobie randkę - warknął. Julia znalazła go na szezłagu w gabinecie, owiniętego w kołdrę i sztywnego od bolesnej zniewagi.

- Kochanie, przykro mi. Spróbuj mnie zrozumieć. Miałam okropny dzień. Nieszczęśni cieśle podnieśli panele w złym pokoju i trzeba było robić to jeszcze raz. Nie chciałam cię zranić, ale gdy mam zmartwienia, nie mam ochoty.

- A czym ty się tak martwisz?

- Bardzo dobrze wiesz! Mamy opóźnienie. Nie jesteśmy w stanie zrobić otwarcia w maju, a twojej matce tak na tym zależy. Ciągłe dzwoni i przypomina mi o tym.

- Więc powiedz jej, że nie zdążysz! Jesteś mądrą kobietą, ale nawet ty nie dokonasz cudu!

- Próbowałam, ale ona tylko się śmieje i mówi: „Daj spokój, Julio, jeśli inni to potrafią, to ty też. Paryż wiosną, pamiętasz? Zgodziłaś się na to”.

- A czy się nie zgodziłaś?

- Wtedy myślałam, że da się to zrobić. Myliłam się. To niemożliwe.

- Więc powiedz jej to!

- Sprzeciwić się twojej matce? Nigdy nie widziałam, żebyś to zrobił!

- Więc pracuj cholerne dwadzieścia cztery godziny na dobę! Nic mnie to nie obchodzi!

Owinał się kołdrą i odwrócił.

Julia wpadła wzburzona do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Zdziecinniali, samolubni mężczyźni! Czy on nigdy nie myśli o nikim poza sobą? Niech się dąsa, jeśli chce. Ona musi spać.

Następnego ranka nic nie mówił. Julia wpatrywała się w list od producentów specjalnej srebrzystoróżowej farby; wsad zepsuł się podczas mieszania i trzeba go robić jeszcze raz. O Boże, mówiła do siebie sięgając po telefon. Gdy odkładała słuchawkę, Brad już nie było.

Do fabryki farb poszła z Paulem po południu, a wracając odwiedziła galerię, o której wiedziała, że specjalizuje się w porcelanie. Porcelana była jej konikiem i spędziła tam kilka spokojnych godzin. Gdy wróciła, Brad był w parszywym nastroju.

- Gdzie do diabła byłaś?

- Przecież mówiłam ci o zepsuciu farby?

- Nie powiedziałaś mi nic konkretnego! Jediną osobą, z którą nieustannie rozmawiasz, jest ten lizusowaty szwajcarski bękart!

- Nie bądź śmieszny.

- To ty ośmieszasz się z tym małym kutasem! Spostrzegła, że był ubrany do kolacji, z czarną muszką.

- Wychodzisz?

- Wychodzę! Ty też jesteś zaproszona, ale teraz już nie zdążysz się przygotować. Jak zwykle przeproszę za ciebie! - dodał i trzasnął drzwiami.

O Boże, obiad u Flambarda, przypomniawszy sobie Julia. Brad będzie rozmawiał cały wieczór o interesach, podczas gdy ona miała siedzieć i przysłuchiwać się babom rozprawiającym o modzie, skandalach i innych banialukach. Nie, dziękuję, pomyślała. Wymoczyć się w gorącej wodzie i do łóżka.

Moczyła się błogo, gdy zadzwonił telefon. Teściowa. Sprawiała wrażenie niezwykle czymś ucieszonej. Słyszała, oznajmiła, że markiza de Montreuil chce się pozbyć swych dwunastu foteli w stylu Ludwika XVI. Chce zatem, by Julia zawarła tę transakcję.

- Są doskonałe do lobby. - Lady Hester terkotała uszczęśliwiona. - Dokładnie takie, jakich poszukujesz. Ten kolor, okres, wszystko się zgadza. Nie zawieź mnie teraz, Julio. Ona zgodziła się zobaczyć się z tobą jutro wieczorem, by przypieczętować transakcję, wie, że przyjdiesz. Niestety jest umówiona na obiad i nie może przyjąć cię przed jedenastą wieczorem.

- Tak późno! - wykrzyknęła Julia.

- Nic na to nie można poradzić. Chcę tych foteli, rozumiesz mnie?

- Tak.

- Weź ze sobą Paula Chambrona. Zna się świetnie na meblach. Chcę być pewna, że markiza nie sprzedaje czegoś, co nie jest w doskonałym stanie. Weź go, żeby je dokładnie sprawdził.

- W porządku - posłusznie zgodziła się Julia. Dla świętego spokoju.

- No, a teraz powiedz mi, jak idzie cała reszta?

Po dwudziestu minutach szczegółowych krzyżowych pytań lady Hester była w końcu usatysfakcjonowana i zakończyła rozmowę jeszcze jednym upomnieniem na temat foteli:

- To wyrachowana stara wiedźma, ale one warte są każdego pensa, jeśli są perfekt, tak jak powinny być, a przy tym należały kiedyś do Marii Antoniny!

Kiedy Brad wrócił, Julia spała. Następnego dnia rano zasnęła i kiedy się obudziła, jego już nie

było. Do diabła, pomyślała. A już zamierzała polać wzburzoną wodę oliwą.

Powiedziała Paulowi o wyprawie do Wersalu, a on okazał zdziwienie.

- Te fotele!

- Znasz je?

- Któż ich nie zna? Zdaje się, że Paul Getty chciał je kiedyś kupić, ale nawet wszystkie jego miliony nie starczyły na cenę markizy. Są, rzecz jasna, bezcenne.

- Cóż, nie wiem, na jaką cenę zgodziła się moja teściowa, ale ona jest twardym kupcem i jestem szalenie ciekawa tych foteli.

Tego wieczora Brad wrócił wcześniej i znalazł Julię zajętą poważną dyskusją z majstrem tynkarzy, który targował się o płacę za nadgodziny.

- Jeszcze nie skończyłaś? - Spojrzał ponuro. - Pośpiesz się, wiesz, że dzisiaj jest przyjęcie w ambasadzie.

- O, nie! - Julia zatkała usta dłonią.

- Co znowu?

Opowiedziała mu o telefonie, fotelach i późnym spotkaniu w Wersalu.

- To nieprawda - odparł stanowczo. - Matka nigdy by nie zapomniała o ważnym przyjęciu. Musiałaś źle ją zrozumieć.

- Nie! Dokładnie pamiętam.

- To nie może być.

- Dlaczego to ja miałabym zawsze coś źle zrozumieć? Twoja matka musiała zapomnieć o przyjęciu, ponieważ bardzo cieszyła się z foteli.

- Matka nie zapomina niczego, co się tyczy interesów.

- Jednak tak się stało. Mówiłam ci, jak bardzo nalegała.

- To ty tak mówisz!

- Uważasz, że kłamię?

Robotnicy gapili się na nich. Paul Chambrun odsunął się na dyskretną odległość. Brad wciągnął ją do ciągle nie dokończonego lobby.

- Mówię, że coś jest wymysłem czyjejś imaginacji.

- Co znaczy: nazywasz mnie kłamczuchą. Mnie, ale nigdy twojej wspaniałej matki! - Jej tłumione, wrzące emocje nagle wybuchły. - Dlaczego miałabym zmyślać historyjki?

- Ty mi to powiedz!

Julia podeszła do najbliższego telefonu, schwyciła słuchawkę i cisnęła mu ją.

- Zadzwon do niej, jazda, dzwoni do niej! Poproś ją, żeby powtórzyła ci to, co powiedziała mnie!

- Nie myśl, że tego nie zrobię!

Lecz lady Hester nie było ani w biurze, ani na Mount Vernon Street, ani na Farmie. I nikt nie wiedział, gdzie jest.

- Bardzo wygodne! - Brad trzasnął słuchawką o widelki. - Nie ma jak sprawdzić. Wiedziałaś o tym. Daje ci to wolną rękę!

Oczy Julii rozblęły. Tego już było za wiele.

- Brad, nie mam zamiaru awanturować się z tobą. Mam za sobą długi, ciężki dzień, który się jeszcze nie skończył. Jestem zbyt zmęczona na spory.

- Czy ostatnio w ogóle bywasz inna?

- Twojej uwagi oczywiście umknął fakt, że bardzo ciężko pracuję, a więc nic nie nurtuje twojego

sumienia? Prawda?

Twarz Brada przybrała dziwny wyraz.

- To zabawne słowo. Bez wątpienia freudowska pomyłka. To ciebie coś nurtuje.

Julia zbladła, lecz zaraz krew napłynęła jej do twarzy.

- Czyżbyś miała poczucie winy? - W jego pytaniu zabrzmiała, groźba.

- Nie jestem niczemu winna!

- Nie udawaj przede mną niewiniątka! Ja wiem, że coś cię łączy z tym lizusowatym szwajcarskim bękartem. To trwa od początku waszego pobytu tutaj.

- Kto teraz zmyśla bajeczki? Paul Chambrun jest tylko niezwykle uprzejmy i bardzo pomocny! I nic więcej. Oprzytomnij! Pomyśl chociaż raz! Powiem ci jeszcze, że po prostu nie podobamy się sobie! Postępujesz jak głupiec.

- Dobrze znam twoje zdanie na temat mojego procesu myślenia - syknął Brad. - Lecz czasem i ja używam swojego umysłu. Gdyby tak nie było, nie umiałbym zajmować się tym, co robię w Paryżu. Jak wiesz, nie jesteś jedyną uzdolnioną osobą.

- Nie wiem, czy w ogóle mówiłam, że jestem.

- Może nie mówiłaś, ale, na Boga, zawsze dawałaś to do zrozumienia.

- Niczego takiego nie robiłam!

Jakaś oszołomiona, oddzielona częśćka Julii nie mogła uwie-rzyć w to, co się działo. Kłócili się coraz bardziej już wcześniej, ale nie tak jak teraz. To była otwarta wojna.

- Dajesz się ponieść wyobraźni - stwierdziła spokojnie.

- Wyobraźni! Tutaj tylko ty zmyślasz opowiadki.

- Niby dlaczego miałabym zmyślić wyjazd do Wersalu o dziesiątej w nocy?

- Żeby móc spędzić czas ze swoim kochankiem. Nie ma innego wytłumaczenia.

Julia trzasnęła Brada w czerwony ze złości policzek.

- Postradałeś zmysły? Nigdy nie miałam żadnych kochanków!

- A ja to co?

- Ja ciebie kocham!

- Od pierwszego wejrzenia, ma się rozumieć!

- Nie, od pierwszej nocy! - Julia wzięła głęboki, uspokajający oddech. - Pomyśl chwilę, proszę cię. Spędzam tak dużo czasu z Paulem, ponieważ razem pracujemy. Pracujemy, słyszysz? Pomaga mi w tym, w czym ty nie możesz.

- Masz na myśli, że pomaga sobie! Oddychała ciężko.

- Nie mówię ci, jak prowadzić paryskie biuro!

- Jeszcze nie zaczęłaś.

Julia zamarła wstrząśnięta tym szczególnym pociskiem. Kiedy już mogła, spytała całkowicie odmienionym głosem:

- Brad, o czym my rozmawiamy? Nie chodzi o te dwanaście foteli, prawda?

- Oczywiście że nie. To nadchodziło tygodniami, odkąd rozwiodłaś się ze mną i poślubiłaś swoją pracę.

Julia osłupiała.

- Co zabrało ci czas, który powinnaś poświęcić dla mnie.

- Poświęcić?! - Podniosła głos. - Poświęcić! A odkąd to jesteś moją religią?! Jestem twoją żoną, zapamiętaj to sobie, a nie twoją matką! I nie dostaniesz ode mnie bezkrytycznej, nie zadającej pytań

czci, jaką oddaje ci ona!

- Jakżebyś mógł, skoro oddajesz to wszystko temu szwajcarskiemu palantowi!

- Mówię po raz ostatni: Paul Chambrun nie jest i nigdy nie był moim kochankiem!

- Kłamiesz!

- A co do poświęcania mojego czasu pracy... - ciągnęła Julia - to jest coś, czego nigdy nie będziesz w stanie ani zrozumieć, ani zaakceptować. I jest to też coś, co twoja matka sponiewierała zamieniając w jakieś dyletanckie zadanko!

- Więc dlaczego manipulowałaś nią, by ci je dała? Julia zachłysnęła się powietrzem.

- Co zrobiłam?

- Spadaj! Dostałaś tę pracę prześlizgując się pod drzwiami i dobrze o tym wiesz! Wiem, że drażyłaś uparcie, narzekając, że ani ja, ani nasze małżeństwo ci nie wystarczają. Jesteś, Julio, zachłanna. Chcesz mieć wszystko. Dlatego knułaś, intrygowałaś i manipulowałaś. Ogłupiłaś mnie, na Boga, na wiele sposobów. Nie jesteś taka, jak myślałam.

- Nie jestem! Przypuszczam, że okłamywałaś mnie od początku. Nigdy nie powiedziałeś mi, dlaczego twoja matka trzyma cię w czymś w rodzaju emocjonalnego więzienia, zamkniętego i zabarykadowanego! Od dnia, w którym postawiłam stopę w Bostonie, chodziłam wokół niej na paluszkach, a wszystko dla twojej przyjemności! Od samego początku ciągle próbowałam cię zadowalać. I masz odwagę robić ze mnie za to łajdaczkę?

- A ty masz odwagę oskarżać moją matkę!

Jego głos, jego twarz, były tak straszne, że cofnęła się o krok.

- Nie pozwolę się obwiniać! - cisnęła mu w twarz. Brad obrzucił ją spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Idziesz ze mną na przyjęcie do ambasady czy nie?

- Jesteś głuchy? - Julia wrzała ze złości: - Twoja matka chce tych foteli. Kazała mi po nie pojechać. Czy wreszcie rozumiesz?

- Aż za dobrze!

Odwrócił się na pięcie i oddalił w stronę wind.

Julia zachwiała się nad najbliższą stertą dywanów i padła. Trzęsły się jej ręce, drżały nogi, żołądek podchodził do gardła. Nienawidziła awantur, a ta wybuchła tak niespodziewanie, i była druzgocąca. Co mu się, na Boga, stało? Paul Chambrun? To by było zbyt łatwe. Gdyby pomyślał choć przez trzydzieści sekund zrozumiałby, że projektowanie wnętrza nie jest czymś, na co wystarczy kilka tygodni w wolne popołudnia. Nie miał pojęcia ani o fugowaniu na jaskółcze ogony, ani o innych niezbędnych w tej pracy czynnościach. Ani o skali. O niczym.

Znowu wróciła fala złości. Postawiła ją na nogi i zaniósła do windy. Powinna mu to wyjaśnić i raz na zawsze z tym skończyć.

Ubranie, które z siebie zrzucił, znaczyło szlak w poprzek sypialni aż do łazienki. Słyszała wodę. Lecz drzwi były zamknięte. Zaczęła w nie walić.

- Brad! Otwórz te drzwi! Czy mnie słyszysz? Otwórz te drzwi natychmiast! Przestań zachowywać się jak zepsuty bachor. Wszystko to jest głupie, bez sensu. Pozwól mi wejść, to wyjaśnimy sobie wszystko spokojnie. Musimy to tak czy inaczej ustalić!

Cisza.

- Brad!

Uderzała w drzwi bezsilnymi pięściami.

- Proszę, źle to wszystko odebrałaś. Przysięgam, że między mną a Paulem Chambrunem nie ma nic. I muszę pojechać po te fotele do Wersalu.

Jeszcze większa cisza.

- Och, do diabła z tym!

Złość, strach i głębokie poczucie krzywdy rozpały się w ostatniej eksplozji wściekłości.

- Kaprysisz jak rozpieszczony bachor! Pędź kwilić do swojej matki! Jestem chora i zmęczona wami obojgiem!

Opuściła pokój trzaskając drzwiami, przeszła przez korytarz i sztywna z wściekłości wyszła na balkon wychodzący na rue de Bois. Oparła ręce o balustradę i zaczęła się trząść. W końcu zdołała oprzeć się o ścianę i zamknęła oczy. Coś było nie tak. Coś się nie zgadzało. Jakże lady Hester mogła zapomnieć o czymś tak ważnym jak przyjęcie w ambasadzie, gdzie zbiera się śmietanka francuskiego przemysłu? Czyżby chęć zdobycia foteli przesłoniła wszystko inne? To nie było podobne do lady Hester. Potrafiła myśleć o wielu sprawach naraz. No i gdzie znikła? Gdyby była na miejscu, mogłaby powiadomić Brada o swoich priorytetach. Praca była dla niej na pierwszym miejscu, podobnie jak dla Julii. Nigdy nie spieraj się z szefem. Ponieważ lady Hester była i jej teściową, i szefem, Julia musiała zacisnąć zęby i wyteńczyć wszystkie siły, pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, aby wykończyć hotel na czas. Przecież sama przeliczyła się z czasem, a nigdy nie przyzna się do porażki. Widziała, jak teściowa reaguje na przegranych ludzi. To nie projekt hotelu był stawką w tej grze, lecz całe jej małżeństwo. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo zależało jej na serdecznej aprobacie lady Hester, której jednak nie miała. Świadoma była raczej pewnej rezerwy, skrywanych wątpliwości, całej serii ograniczeń. Co więcej, wyczuwała, że Brad jeszcze bardziej się tym przejmował. Jego obsesyjne pragnienie, by się jej powiodło, wyłaziło z niego wszelkimi porami. Dlatego pracowała tak ciężko, nie zważając na nic innego. Dla lady Hester, żeby miała swój hotel otwarty w maju. Muszę mu to wytłumaczyć, postanowiła.

To postanowienie przywiodło ją z powrotem do sypialni. Drzwi do łazienki stały otworem, a wewnątrz panował bałagan, pozostawiony dla niej do uprzątnięcia. Jak zwykle. Gotując się ze złości i złych wspomnień, zbierała ubrania, wpychała do koszyka mokre ręczniki, zamykała szuflady i butelki. Męczyło ją to zbieranie po nim, nieustanne zadowalanie męża.

Pełna złych myśli wychodząc trzasnęła drzwiami, lecz gdzieś w głębi duszy zadźwięczał malutki alarmowy dzwoneczek. Przecież to prawda, że go odsunęła i spędza więcej czasu z Paulem Chambrunem niż z nim, własnym mężem. I cóż z tego, że wyłącznie z powodu pracy. Jej zniecierpliwienie, lekceważenie go pogłębiało jego niepewność. Złapała się za głowę. Poczula, że jest rozrywana w różne strony. Brad i jego potrzeby ciągną w jednym kierunku. Matka i jej nalegania w przeciwnym. Ta sprzeczność trwa za długo. Gotowała się na małym ogniu całymi dniami, aż dziś wieczorem wybuchła. Zrozumiawszy to, wypowiedziała na głos do swojego odbicia w lustrze łazienki:

- Ratunek jest potrzebny.

Szybko ściągnęła z siebie ubranie i weszła pod prysznic. Włożyła swoją najnowszą suknię. Klasyczną Madame Gres, z ciężkiej białej krepy. Kiedy będzie miała fotele, dołączy do Brada na pozostałe godziny przyjęcia. Pokaże mu, że stara się poprawić, że chce, by między nimi zaczęło dziać się dobrze. W poczuciu winy przypominała sobie noc, kiedy go nie przyjmowała, autentycznie zbyt zmęczona po dwunastogodzinnym dniu pracy, co on odbierał jako odtrącenie.

Jakaś ty głupia, wyrzucała sama sobie. W ten sposób nie dasz szczęścia swojemu mężowi. Dla

ciebie seks może być przyjemnością, lecz dla Brada to konieczność. Nadszedł czas na błyskawiczną reakcję, moja mała, zanim zostaniesz wykreślona z chóru i zanim Brad ulży sobie gdzieś indziej. Dobrze wiesz, że tak zrobi, jeśli przeciągniesz strunę.

Pełen kurtuazji i uprzejmy jak zawsze Paul ani słowem nie wspomniał o kłótni. Prowadził tak szybko, jak to było możliwe, do pięknego starego domu, gdzie mieszkała markiza, niedaleko parku. Musiała mieć co najmniej osiemdziesiątkę, ale była wymalowana i uczesana jak czterdziestolatka. Miała ochotę porozmawiać. Oni badali fotele, a ona przeprowadzała iście nieskończony dowód ich pochodzenia.

Julia starała się nie wiercić, nie spoglądać na mały zegarek, ozdobiony kupidynami, stojący na rzeźbionym, marmurowym gzymsie kominka. Było grubo po północy, gdy udało im się w końcu wyplatać. Brad z pewnością już się jej nie spodziewał.

- Możesz pojechać do ambasady tak prędko, jak tylko potrafisz?

- Bien sur, madame.

Ale nie był wystarczająco prędko. W chwili, gdy skręcali w bramę ambasady, wyjeżdżało z niej inne auto. Za kierownicą siedział Brad; tuliła się do niego wystrzałowa brunetka. Jego uwaga skupiona była na niej. Samochód minął ich. Julia skamieniała.

Paul, który widział to także, zawrócił i podjechał pod hotel. Kiedy wysiadła, głucha, ślepa i niema, uściśnął jej rękę. Odprowadził ją do windy, poczekał, aż drzwi się za nią zamkną. Natychmiast przywarła do ściany dygocąc.

Gdy zadzwonił telefon, podniosła twarz znad przemoczonej poduszki i skwapliwie sięgnęła po słuchawkę.

- Julia?

Usiadła; rozmazała dłonią łzy.

- Co masz mi do powiedzenia? - Lady Hester wesoło domagała się relacji.

- Fotele zostaną dostarczone do hotelu jutro - odpowiedziała bezbarwnie Julia.

Po krótkim milczeniu lady Hester spytała podejrzliwie:

- Dobrze się czujesz? Masz dziwny głos. Julia przykryła mikrofon i odchrząknęła.

- Przepraszam, mam chrypę.

Tym razem po chwili ciszy lady Hester powiedziała bardzo łagodnie:

- Mam nadzieję, że nic ci nie jest, moja droga.

Było to tak nietypowe, że Julia, mimo swojego nieszczęścia, uśmiechnęła się.

- ...wydajesz się roztargniona - kontynuowała teściowa nieprzychylnie.

- Czuję się całkiem dobrze - kłamała Julia. - Jestem po prostu zmęczona. - Spojrzała na zegarek.

Prawie trzecia w nocy, a więc w Bostonie dziewiąta wieczorem. Brad jeszcze nie wrócił. Jeżeli w ogóle ma zamiar wrócić. - Miałam ciężki dzień.

- Brnęła ledwie powstrzymując chęć odplacenia pięknym za nadobne. - Tak wiele jest do roboty, a tak mało czasu, żeby się w nim zmieścić.

- Cóż to, Julio? Mam nadzieję, że nie zamierzasz znowu atakować mnie tym majowym terminem!

- Oczywiście że nie! Chcę tylko, żebyś wiedziała, że pracuję najlepiej, jak potrafię.

- Niczego innego nie oczekiwałam.

- Otworzymy w terminie - lekkomyślnie zapewniała Julia.

- Nawet gdybyśmy mieli pracować na okrągło.

- Chyba nie winisz mnie za to. Mam nadzieję.

- Oczywiście że nie. Ja...

- Z mojej strony nie było instrukcji, żebyś zaharowała się na śmierć.

- Jeżeli życzysz sobie dotrzymania majowego terminu otwarcia, nie ma innego wyjścia!

Tym razem cisza trwała tak długo, że Julia wstrzymała oddech.

- Nie rozumiesz mnie, Julio. Maj był tylko sugestią i niczym więcej.

- Dla mnie brzmiało to nie jak sugestia, lecz więcej niż rozkaz.

- A więc mnie nie rozumiałaś.

- Jestem pewna, że rozumiałam.

- A ja jestem pewna, że nie. Nie wszczynaj burdy, Julio. Jestem zawsze bardzo precyzyjna, gdy idzie o daty. Nie obwiniaj mnie, jeśli masz jakieś trudności.

- Nie wspominałam o żadnych trudnościach!

- Bądź uprzejma nie podnosić głosu - padł lodowaty rozkaz. - Słyszę cię zupełnie dobrze i nie ma potrzeby krzyczeć.

- Ja nie krzyczę.

- Chcesz powiedzieć, że ja kłamię?

- Nigdy nie użyłam tego słowa! - Co, u diabła, czy ona dobrze słyszy? Czasami linie przez Atlantyk brzmią, jakby rozmowa toczyła się pod wodą. - Dobrze mnie słyszysz? Czy linia jest czysta?

- Kiedy tak wrzeszczysz te swoje tyrady, każdy może cię słyszeć.

- Ja nie wrzeszczę - wyniszczyła Julia wyraźnie.

- Teraz już jesteś śmieszna. Ja nie jestem prostytutką! Wystarczy mówić czysto i w sposób opanowany. Nie ma potrzeby tak się przeciążać.

- Nie jestem przeciążona!

Ona nie słyszy tego, co mówię, pomyślała Julia.

- Wydaje się, że się wzajemnie nie rozumiemy - powiedziała wyraźnie.

- Ja z pewnością rozumiem. To ty jesteś zdenerwowana!

- Nie jestem zdenerwowana! - Lecz była coraz bardziej wzburzona. Czowała się źle z powodu niedawnych wydarzeń.

- Znowu krzyczysz! - ostrzegła lady Hester.

- Zapamiętaj raz i na zawsze, że ani nie krzyczę, ani nie jestem zdenerwowana! - wycodziła Julia przez zęby. - To ty tak utrzymujesz, ale się mylisz.

- Chcesz mi zarzucić, że jestem głupia albo głucha?

- Nie zarzucam ci niczego! - Ale zastanawiała się, czy teściowa przypadkiem nie ogłuchła. I tak, jeśli ktokolwiek zwróciłby uwagę na jej okulary, to biada mu.

- Chcę rozmawiać z moim synem - padło następne polecenie.

- Nie ma go tutaj.

- Nie ma go? Więc gdzie jest?

- Na przyjęciu w ambasadzie. Na tym samym, o którym zdaje się zapomniałaś, gdy kazałaś mi jechać po fotele.

- Nie zapomniałam! Teraz wkładasz w moje usta słowa, których nie wypowiadałam. Co się dzisiaj z tobą dzieje, Julio? Mam wrażenie, że coś wytrąciło cię z równowagi.

- Byłam przekonana, że chodziło ci wyłącznie o fotele!

- Twierdzisz, że ja kłamię? - Krzywda wyraźnie brzmiąca w głosie teściowej była wręcz szokująca. - Och, Julio, Julio, co ja takiego zrobiłam, że musisz mówić mi takie rzeczy?

- Jakie rzeczy? O co ci chodzi?

- Okrutna, okrutna...

Julia usłyszała jęk przechodzący w ciężki oddech. - Myślę, że źle mnie słyszysz. Mogę odłożyć słuchawkę i oddzwonić?

- Myślę, że już dosyć. Głęboko mnie uraziłaś, Julio. I to właśnie ty... - Mówiła, ze świstem wciągając powietrze. - Że też muszę cierpieć to od ciebie. Nie spodziewałam się tego po tobie, Julio.

- Na miłość boską! - Julia nie wytrzymała, puściły jej nerwy.

- Nie bluźnij! - Głos lady Hester łamał się.

- Nie widzę sensu kontynuowania tej rozmowy - powiedziała Julia, ponownie starannie wymawiając słowa. - To tylko wytrąca cię z równowagi, czego bym nie chciała...

- Ty byś nie chciała!

To śmieszne, pomyślała Julia, zaalarmowana udręczonymi dźwiękami dobiegającymi z drugiego końca linii. Była ostrzeżona, przez wszystkich bez wyjątku, że astmy lady Hester należy unikać za wszelką cenę. Zdawała sobie sprawę z tego, że był to moralny szantaż, ale świszczący oddech, napięty głos, wypracowane westchnienia przerażały ją. Jakby za mało miała tego, z czym musiała walczyć...

- Zadzwoń do ciebie jutro - powiedziała, nadal powoli i wyraźnie. - Połączenie będzie lepsze i będziemy mogły porozmawiać sensownie.

- Ja mówię sensownie! Śmiesz oskarżać mnie o niepoczytalność?

O mój Boże, pomyślała Julia, czując, że zaraz zwariuje. Przestrach zmusił ją do szybkich słów.

- Chcę odłożyć słuchawkę. Zadzwoń jutro rano, według waszego czasu.

Przerwała rozmowę, zanim mogłaby zmienić zdanie, i siedziała wpatrzona z przerażeniem w telefon. O czym według tamtej była ta rozmowa? Z pewnością nie o fotelach. Nie mogę się teraz tym zająć. Brada nie ma i tylko o tym potrafię teraz myśleć.

Światło dnia prześwitywało przez okna, a ona nadal leżała bez snu, gdy drzwi do sypialni otworzyły się z hukiem. Usiadła sztywno wyprostowana. Jej usta otworzyły się do krzyku, gdy zobaczyła, że to Brad. Taki, jakiego nie znała. Szkarłatny z wściekłości, szedł w jej stronę z zaciśniętymi pięściami.

- Ty suko! - Rzucił się na nią. - Ty kłamliwa, fałszywa, intrygantka suko!

Julia wytrzeszczała na niego oczy, nie mogąc wydusić słowa.

- O mało co nie zabiłaś mojej matki, ty suko! Jest w szpitalu z ostrym atakiem serca, spowodowanym przez ciebie i twój brudny jęzor!

Jego piękna twarz zbrzydła z wściekłości, a morskie oczy pały taką odrazą, że Julia skurczyła się u wezłowania łóżka.

- Co takiego w ogóle uczyniła ci moja matka, że wylałaś na nią taki stek pomyj? Powitała cię, przyjęła pod swój dach. Nie była dla ciebie dobra?

Jego głos aż trząsnął się z oburzenia, a może ze strachu? Julia nigdy nie widziała go w takim stanie. Nie poznawała go.

- Mógłbym cię zabić, ty wstrętne suko! Przez Chrystusa, zabiję cię...

- Nie wiem, o czym mówisz - strzeliła Julia jak pociskiem.

- Zaprzeczysz, że rozmawiałaś z matką przez telefon?

- Nie, oczywiście że nie zaprzeczę. Ale połączenie było niedobre. Ona źle mnie słyszała...

- Słyszała ciebie bardzo dobrze! Każde wszawę, świńskie słowo. O co ci poszło? Przerwała twoją miłosną idyllę, którą ci robił twój ulubiony szwajcarski kochanek?

- Byłam w łóżku sama!

- Do diabła z tobą!

- Byłam sama, a ona źle mnie słyszała! Nic, co do siebie mówili nie miało sensu. To musiało być złe połączenie

- Jezu Chryste, co usprawiedliwia te brednie?

- Mówię ci prawdę!

- Kłamiesz jak najgorsza ździra!

- Zawsze mówiłam ci prawdę!

- Kłamiesz! Wszystko, co kiedykolwiek od ciebie słyszałem, było kłamstwem. Ty sama jesteś jednym wielkim kłamstwem! Wszystko wokół ciebie jest oszukańcze. Sama w łóżku! Byłaś ze swoim kochankiem i jak wiem, od dawna do tego zmierzałaś.

- Pojechałam do Wersalu po fotele. Jeśli chcesz, zapytaj markizy. Ona ci powie.

- Jak? Jej tam nie ma. Jest w Monte Carlo. Julia wybałuszyła oczy.

- Ale... ja ją widziałam, rozmawiałam z nią...

- Kłamiesz! Jej dom jest zimną zamknięty! Nie ma tam żadnych foteli. Wymyśliłaś je sobie.

- Jednak twoja matka zadzwoniła do mnie z dokładnymi instrukcjami o tym, kiedy i gdzie mam pojechać, żeby je obejrzeć...

- Zadzwoniła do ciebie, żeby zapytać, jak się udało przyjęcie. Zaprzeczanie zda się na nic. Są świadkowie...

- Nie teraz, tylko kiedy dzwoniła wcześniej...

- Matka dzwoniła do ciebie raz i tylko raz. Powiedziała mi to Binka. Ona tam była. Podczas całej rozmowy. Słyszała każde słowo matki i słowo „fotele” nie padło ani razu!

Julia wpatrywała się w niego i przez chwilę słyszała tylko dzwonienie w uszach. Widziała jego poruszające się usta. Jego piękną postać zniekształconą przez wściekłość. Widziała także, że na twarzy wypisane miał przerażenie. Wtem, z niemal słyszalnym kliknięciem, wszystko zaskoczyło na swoje miejsce i pojęła, że została wyprowadzona w pole. Nieskładna rozmowa nie była skutkiem złego połączenia. Była odegrana dla świadków lady Hester. Każde jej słowo zostało odwrócone, wyjęte z kontekstu i użyte do samowywołania napadu astmy. To jest uczuciowy spust, prawda? Zapadka. Julia zeszywniała na widok obrazu, który pojawił się przed jej oczami. Czyżby mogła posunąć się tak daleko? Sama wywołać atak? Poczula dreszcz zgrozy. Wskazywało to na przerażającą, okrutną nienawiść.

- O co chodzi? Dlaczego tak wyglądasz? - Głos Brada przebił jej milczenie.

- Wyprowadziła mnie w pole - wyszeptala Julia. - Musiała pracować nad tym całymi miesiącami. Hotel, termin, Paul Chambron, wszystko. - Była wstrząśnięta, jakby oglądała horror. - Jak dobrze mnie poznała. Musiała studiować mnie jak podręcznik przez cały czas i wiedziała, że przy tej pracy dam z siebie wszystko. Czy to nie ona wbiła ci do głowy Paula?

- To tylko zbyt gorliwi ludzie chcieli, żeby wiedziała, co się tutaj dzieje!

- Ludzie? - Julia potrząsnęła głową. - Ty idioto - powiedziała rozpaczliwie. - Ty ślepy, otumaniony głupcze...

Jego otwarta ręka napotkała jej policzek, odrzucając jej głowę do tyłu.

- Tak, gdy chodzi o ciebie, jestem głupcem! Okłamywałaś mnie, oszukiwałaś, ale już nigdy więcej! Moja matka ostrzegła mnie przed tobą. Powiedziała, że nie jesteś taka, na jaką wyglądasz. I miała całkowitą rację! A skoro czujesz się wyprowadzona w pole, to jest to jeszcze jeden dowód twojej chorej, pokrętej duszy i twojej nienawiści do niej!

- Mojej nienawiści do niej! - Julia odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać. Sprowokowała go tym i znowu ją uderzył. Poczula ból, ząb przeciął jej wargę. Leżąc na plecach patrzyła mu wyzywająco w oczy. - Raczej jej nienawiści do mnie! Sally Armbruster ostrzegła mnie, że ona nie ścierpi żadnej rywalki. A nawet twój szwagier, Drexel Adams, też ostrzegał, że ona chce mnie załatwić.

- Kłamiesz! Zgniłe, intryganckie, oszukańcze kłamstwo!

I znowu ją uderzył. Zobaczyła gwiazdy i usłyszała, jak dzwoni jej w uszach. Na jedwabne prześcieradło kapłała krew.

- Matka od początku miała na ciebie oko. Mówiła, że jesteś fałszywym obrazem, że jesteś zbyt ambitna, żeby być dobrą żoną. Chciałaś pieniędzy Bradfordów, może nie? Chciałaś wejść do świata, który gwarantuje zamówienia. Błyskawicznie wbiłaś zęby w hotel. Matka mówiła, że o to właśnie ci chodziło. Nie wierzyłem jej, a jednak miała rację, jak zwykle. Jeśli o tobie mowa, rację miała od początku. A co do Drexela Adamsa, Binka powiedziała mi, że próbowałaś z nim...

Julia podniosła się. Oszołomiona od bólu głowy, zębów, z rozpalonymi policzkami, powiedziała głosem dzwięcznym i donośnym jak dzwon:

- A co, do cholery, robiłeś w nocy z tą brunetką? Widziałam, jak wyjeżdżaliście z ambasady. Pojechałam tam z myślą, żeby być z tobą, ale tobie w głowie było tylko to, żeby zrobić to z nią! Nie oskarżaj mnie o oszustwo, ty niewierny bękarcie! Pojechałam do Wersalu i gnałam z powrotem, żeby poukładać sprawy między nami, a kiedy zobaczyłam, gdzie ty zamierzasz się ulokować, wróciłam do hotelu i położyłam się do łóżka. Sama. Sama, czy ty słyszysz? To ja byłam ogłupiana. Teraz i wcześniej, od dnia, w którym spotkałam tę straszną kurwę, twoją matkę. Tak było! To mnie ogłupiano, prowadzono jak jagnię na rzeź! Musi zrywać sobie boki ze śmiechu z mojej głupoty. I z twojej także. Uprzytomnij to sobie!

- Kłamiesz! - Jeszcze raz jego otwarta dłoń zatrzymała się z trzaskiem na jej twarzy, przewracając ją na wezglowie łóżka. - Kurwa! - Następne uderzenie. - Oszustka! - Jeszcze jedno. - Jak śmiesz wyrażać się w ten sposób o mojej matce?! Nie chcę cię więcej widzieć! Skończyliśmy ze sobą. Wynoś się z mojego życia! Ale ostrzegam cię, jeżeli moja matka umrze, odnajdę cię i zabiję. Słyszysz mnie? Zabiję cię!

Ale Julia nic już nie słyszała i nic nie czuła. Była nieprzytomna.

Rozdział czternasty.

Gdy rano Julia nie pokazała się w pracy, Paul Chambrun poszedł na górę. Spojrzał na jej zakrwawioną, opuchniętą twarz, zamknięte oczy, na poplamioną pościel i sięgnął po telefon. Znał lekarza, który zarabiał fortunę zajmując się przypadkami, w których dyskrecja miała wartość złota. Tak też mu czasem płacono. Po latach pracy w branży hotelarskiej Paul wiedział, że jeśli miało się dość pieniędzy na kupienie milczenia, nic nie wychodziło na jaw.

Lekarz zajął się ranami i siniakami, zbolałymi od środka i od zewnątrz ustami, dał jej środki uśmierzające i powiedział, że zadzwoni wieczorem. Po Bradzie nie zostało ani śladu: ani ubrań, ani walizek. Tylko puste wieszaki i butelka po płynie po goleniu. Paul odczytał te znaki właściwie. Zanim Julia zapadła w narkotyczny sen, wziął od niej numer telefonu do Chris. Poinformował majstra, że pani Bradford jest zainfekowana grypą i nie będzie zdolna do pracy przez co najmniej trzy dni. Na ten czas on sam przejmie jej obowiązki. Zamknął się na klucz i zadzwonił do Londynu.

Chris przyleciała wieczorem. Paul wyszedł po nią na lotnisko i zwięźle opisał sytuację.

- Na szczęście robotnicy dostali dzień wolny, więc nie będą cię widzieć. Nic nie powinno przedostać się na zewnątrz, rozumiesz? Jeśli pani Bradford stanie się obiektem plotek, to ja zostanę bezrobotny.

- Znam ten scenariusz - powiedziała Chris ponuro, lecz kiedy ujrzała potłuczoną twarz przyjaciółki, przeraziła się. Nic nie mówiąc usunęła wszystkie lustra i z pomocą Paula zajęła się doprowadzaniem jej wyglądu do stanu umożliwiającego powrót do domu.

Po trzech dniach twarz Julii nadal była wielokolorowa, choć obrzęk się zmniejszył, więc lekarz obandażował ją.

- Powiem, że jest to wirus, który wywołuje krosty, coś w rodzaju ospy - powiedział sucho do Paula. - Kiedy będzie przewożona do ambulansu, w pobliżu nie będzie nikogo.

Tak też wszystko zostało zrobione. Julię wzięto z hotelu owiniętą niczym mumię. Rozwinięto ją dopiero w karetce i włożono jej na oczy parę wielkich okularów przeciwsłonecznych. Nosiła także kapelusz z rondem zasłaniającym twarz. Paul skontaktował się dyskretnie z Air France i pozwolono Julii wejść na pokład samolotu przed innymi pasażerami. Gdyby nie rany Julii i jej otępiała dusza, Chris wszystko bardzo by się podobało. Zupełnie jak film.

Pojechały do Chris. Julia leżała w łóżku, zamknięta w sobie i cierpiąca od upokorzenia. Nie potrafiła powstrzymać się przed dokładnym analizowaniem minionych pięciu miesięcy, oddzielaniem błędów, przeoczeń, własnej naiwności i nadmiernego zaufania pomimo wątpliwości. Brad ją zaczarował. Seksualny narkotyk! Nie mogłaś się nim fizycznie nasycić, nawet mając tak uporczywe co do niego wątpliwości, mówiła sobie zjadliwie. Ostrzegano cię, ale niczego nie dostrzegałaś! Cholernie dobrze ci służył!

Godzinami opłakiwała koniec swojego małżeństwa, chyba że leżała tępo wpatrzona przed siebie.

Lady Hester badała ją, oczywiście, i to profesjonalnie. Wszystkie te niedbałe pytania, wszystkie ślady, które pozostawiała, po których Julia, zawsze pamiętając o wymaganiach Brada, cały czas szła posłusznie, chcąc się dostosować, gdy tymczasem była sterowana. Hotel był pretekstem. Praca Brada w biurze paryskim, wszystko było częścią wielkiego planu lady Hester.

Brad. W swych refleksjach widziała go teraz wyraźnie. Sally Armbruster miała rację. On ją napiętnował. Gdy jej fizyczne dolegliwości zostały zaleczone, nadal była wewnątrznie poraniona, a to nigdy nie blednie, czasem nigdy nie ulega wyleczeniu. Zostawił ją z rozpaczliwą nienawiścią. Nic dziwnego, że uciekł. Wiedział, jakie to głębokie, wiedział, co robiła mu matka, lecz nie umiał albo nie chciał się uwolnić. Należał do siebie tylko w sprawach seksualnych. Dlatego był tak zniewieściał. Stąd pośpieszny, sekretny ślub. Ale dlaczego ja? Julia zamarła. Miała być ratunkiem, jak powiedział Drexel Adams? Czy Brad dojrzał w niej kobietę wystarczająco silną na to, by walczyć za niego z jego matką? Więc dlaczego tak powiedział? Udręczona Julia wciąż pytała o to siebie samą.

Myślałam, że chciał, żebym znalazła do niej drogę, zgodziła się wpasować w jej schemat. Dlaczego nie powiedział, że chce, żebym przeciwstawiła się jej, wzięła ją na siebie, jeśli tego właśnie chciał? Gdyby tak nie było, to nie byłby tak spięty, kiedy chciałam mieć własny dom. Boże, nie rozumiem tego, myślała tracąc nadzieję, siebie, jego i wszystko inne. Między nami miała panować prawda. Tak powiedział. Znał tylko utkaną z kłamstw prawdę matki. Każde jej słowo, nieważne jak pokręcone, jest dla niego Ewangelią. Nie wierzył mi ani przez sekundę. Nigdy, od samego początku. Więc dlaczego, Boże drogi, dlaczego się ze mną ożenił? Czego ode mnie chciał? I dlaczego nie był w stanie mi tego powiedzieć? Czym ona go trzymała? Bo coś było na pewno. Wiem to. Czuję to. Coś tak strasznego, że nie mógł nawet pomyśleć, że mi to powie. Swojej żonie. Nawet na wyspie, gdzie byliśmy tak blisko, bliżej niż byliśmy kiedykolwiek, wcześniej czy później. Wtedy powinien był mi powiedzieć, wtedy miałam nadzieję, że powie. Wtedy powinnam się dowiedzieć.

Nieustannie śledziła każdą chwilę ostatnich pięciu miesięcy, szukając tropu, nie znajdując niczego, co by ukazało jej prawdziwy obraz, nieważne jak straszny, obraz mężczyzny zdominowanego przez matkę do tego stopnia, że ich związek był symbiozą. Julia miała pewien wgląd w jego duszę. Od innych ludzi dowiedziała się, że Brad był w swojej pracy mistrzem, że mógłby być bardzo twardym jegomościem, że prowadził interesy bezbłędnie, że w pewnych kręgach cieszył się respektem. Lecz był mężczyzną, który w rękach matki miękł jak kit. Julię zdumiało, jak podczas jednego z bostońskich obiadów mężczyzna, obok którego siedziała, opowiadał o Bradzie z lękiem i zarazem z uwielbieniem.

- Brad nie jest głupi - mówił ów człowiek. - I kiedy przychodzi do zwinięcia interesu, zawsze ma wysoką kartę. Jego matka posiada pewną budzącą lęk reputację, ale syn ją dogonił i wydaje się, że jest na dobrej drodze do pokonania jej.

Zaszokowana Julia wpatrywała się w męża poprzez stół. Brad? Bezlitosny? Twardogłowy? Mocny? Ten sam złoty chłopiec, który był ogierem w łóżku, drażliwy, arogancki uczeń ze skłonnością do nie kończących się dąsów, który czmychał pod spódnicę matki jak piesek pokojowy? Wiedziała, że był zawikłany, ale teraz czuła się jak Tezeusz w poszukiwaniu Minotaura. W dodatku nie miała żadnej nici.

- Mówiłam ci, że coś mi w tym śmierdzi - powiedziała Chris ze smutkiem kilka dni później.

- Tak, pamiętam. Kurczę się ze strachu na myśl, jaka byłam głupia. Jak ona musi się ze mnie śmiać! Obserwując mnie beztrąsko, szykowała moje zniszczenie.

- Mogłabym powiedzieć, że wykonał tu dobrą robotę. - powiedziała Chris gorzko, przyglądając się nadal zrujnowanej twarzy, siniakom, spuchniętym wargom, podbitym oczom.

- Był do tego zaprogramowany. Był tak przerażony, że nie wiedział, co robi. Jak mógł poprawnie myśleć po tym, co poprzekreślała jego matka?

- Poprzekreślała? Ona to uplotła! - Chris westchnęła gniewnie. - Teraz już wiemy.

- Co wiemy? Wiemy tyle, że ona go kontrolowała na wszelkie sposoby, ale dlaczego, Chris?

- Oczywiście dlatego, że jest zazdrosna.

- Jestem pewna, że w tym jest coś więcej... Coś mrocznego. Cokolwiek by to było, jest w tym coś wstrętnego. - I dodała z przekąsem: - I to moja wina, że nie nalegałam, by Brad odkrył mi swoje wnętrze.

- Nie możesz wziąć całej winy na siebie - zaprotestowała Chris. - Zostawił cię w ciemnościach, prawda? Nic dziwnego, że się potknęłaś.

- Ja też miałam końskie okulary. Łudziłam się, że poradzę sobie z tym wszystkim za pomocą mojej jasnej, chłodnej racjonalności. Ja, doskonała Julia Carrey, rozsądna, uzdolniona i logicznie myśląca. Zapomniałam, że kiedy emocje wchodzą przez drzwi, to pękają szyby! - Julia pograżyła się w myślach.

- No tak, zapłaciłam za tę naukę. - Wstała z trudem i podeszła do okna. - Nie daję sobie rady, Chris. Uczucia mnie boją. Rzuciłam je i pogrzebałam. Powinna zwrócić baczniejszą uwagę na wątpliwości. Wszystko, co nas kiedykolwiek łączyło, to seks. I już samo to powinno być wystarczającym ostrzeżeniem!

- Ja też nie jestem bez winy - powiedziała szlachetnie Chris.

- Mówiłam ci, żebyś kierowała się uczuciem..

- To nie była miłość - podjęła Julia. - To była fizyczna niewola. - I dodała dziko. - I dobrze, teraz jestem już wolna i nigdy, nigdy, czy mnie słyszysz, żaden mężczyzna już mnie na powrót nie weźmie!

Dlaczego tak narozrabiałam? - zastanawiała się. Dlatego, że nie byłam zdolna do myślenia, gdy on był w pobliżu. Kiedy chodziło o niego, stawałam się kimś, kogo ani nie znałam, ani nie rozumiałam. Robiłam rzeczy, których normalnie bym nie zrobiła.

- A w ogóle, to co się stało z hotelem? - zapytała z ciekawością Chris.

- No cóż, Paul mniej lub bardziej zatrzaskał drzwi.

- Wiem o tym. Poza tym to on zadzwonił po mnie. Nie, mam na myśli zlecenie.

- Jej francuski prawnik poinstruował mnie, żebym bezzwłocznie się wycofała, i że wyznaczono innego projektanta. Tak czy owak nie mam kontraktu ani niczego nie podpisywałam. To była sprawa rodzinna. Wszystko jest częścią jej intrygi. Jak i biedny Paul. Jego użyła także. Wszystko jest wodą na jej młyn.

- On też został zwolniony? Za co?

- Za nieetyczne zaangażowanie w związek ze mną.

- Kiedy? Gdzie jest dowód?

- Okazało się, że obserwował nas prywatny detektyw. Według niego wtedy, kiedy chodziliśmy do różnych dostawców albo specjalistycznych sklepów, w rzeczywistości odwiedzaliśmy mały hotel na Left Bank.

- Co takiego? - zapiszczała Chris.

- Tak. Hotelarz złożył zaprzysiężone oświadczenie.

- Zastanawiam się, za jaką łapówkę.

- Jak kiedyś mi powiedziała, pieniądze to ostatnie z jej zmartwień.

- Na Boga! - Chris wstrzymała oddech. - Pomyślała o najdrobniejszych szczegółach.

- Uważaj, musiała się z Paulem rozliczyć. Miał kontrakt i zagroził pozwem sądowym. To by oznaczało niepożądane kłopoty. Łatwiej było go spłacić.

- Wyglądał na miłego człowieka.

- I był. Bardzo go to wszystko zdenerwowało. Jedno, co dobre, to to, że wydusił z niej tyle, ile mógł, a więc nie mam go na sumieniu. Pojechał do domu w Szwajcarii. Jego rodzina prowadzi w Lozannie hotel.

- A ty? Co masz zamiar robić?

- Kiedy będę się mogła pokazać ludziom, zacznę szukać innej pracy.

Zanim jednak mogła się tym zająć, kompania przewozowa dostarczyła wielką skrzynię. Było w niej wszystko, co zostawiła w Ameryce.

- Spójrz - powiedziała do Chris z kwaśnym uśmiechem. - Zostałam wyrzucona.

Kiedy zaczęła szukać pracy, zorientowała się, że jej nazwisko znajduje się na czarnej liście. Odrzucano każdą jej propozycję, bez względu na to, gdzie się zwróciła; nie chcieli jej nawet w najmniejszych firmach. Przez „przyjaciół”, którzy zawsze widzieli w niej rywala, dowiedziała się, że lady Hester kazała rozgłosić, że Julia fatalnie zaważyła swoje pierwsze „samodzielne” zlecenie. Naraziła inwestora na niespodziewane koszty, przekraczała terminy, no i miała romans z menedżerem hotelu.

- Boże Wszechmogący, co za suka! - wybuchnęła Chris. - Złamała ci karierę, Julio! Jak ty będziesz żyć?

- Wolałaby, żebym umarła.

- Ale z czego będziesz się utrzymywać?

- Przewornie wzięłam ze sobą moją biżuterię. Perły, czarnego kota i mój zaręczynowy pierścionek. Powinno mieć sporą wartość. Sprzedam to.

- Pozwól, że porozmawiam najpierw z Tonym. Pracował w oddziale Hatton Garden. Będzie mógł pomóc.

Dzięki niemu Julia otrzymała otwarty czek, wystarczający na spokojne życie przez jakiś czas, w każdym razie, jeśli będzie uważać. Jeśli nadal nie dostanie pracy projektanta.

Wracała do domu po jeszcze jednej nieudanej rozmowie w sprawie pracy, gdy nagle zatłoczony wagon metra rozmazał się jej przed oczami, zadzwoniło jej w uszach i ugięły się pod nią nogi. Ocknęła się z głową na kolanach i zatroskanym mężczyzną klęczącym obok niej.

- Pani zgasła jak światło - powiedział. - Proszę trzymać głowę nisko. Tak jest dobrze.

- To te zatłoczone wagony - sarknęła kobieta obok. - Nawet sardynek nie pakuje się tak ciasno!

- Proszę odpocząć. Wsiadam na następnym przystanku. - Powiedział uprzejmie mężczyzna.

Gdy Julia wysiadła przy South Kensington, jej nogi nadal były jak z waty, więc postanowiła wrócić do Chris. Nie chciało jej się jeść, tylko spać. Ale to samo zdarzyło się dwa dni później, tym razem w domu.

- Tobie potrzebny jest lekarz - zdecydowała Chris. - Pamiętasz, co było kiedyś?

- To tylko reakcja. Przypuszczam, że za mało jadłam. Nigdy nie jem, kiedy mam zmartwienia.

- Dobrze, niech powie to lekarz.

Lekarz potwierdził, że to prawdopodobnie nerwy. Przepisał pigułki na sen. Kiedy go wypuszczała, na wycieraczkę leżał list. Nadszedł od prawników lady Hester. Był to wyrok

rozwodowy na podstawie cudzołóstwa z niejakim Paulem Etienne'em Chambrunem.

Zaniosła papiery do swojego własnego adwokata, który powiedział jej, że rozwód jest zgodny z prawem amerykańskim, jako że formalnie wyszła za mąż na gruncie amerykańskim, to znaczy w ambasadzie.

- Czy chce pani skarżyć wyrok?

- Nie. Chcę być wolna. Proszę robić to, czego chcą. Podpiszę to, co powinnam podpisać. Po prostu proszę to zrobić tak szybko i bezboleśnie, jak to jest możliwe.

Zajął to sześć krótkich tygodni, w trakcie których odkryła, że jest w ciąży. Gdy Chris spostrzegła, że Julia wymiotuje przez cztery poranki z rzędu, powiedziała:

- Powinnam była od razu się połapać. Nie zauważyłaś, kiedy straciłaś okres?

- Miałam inne sprawy na głowie. Poza tym, brałam pigułki. Nie, jestem pewna, że nie zapomniałam.

- Musiałaś. Wiele się działo, kochanie.

- Brałam je każdego wieczoru przed pójściem do łóżka. To było przyzwyczajenie.

- Ale nie żyłaś regularnie. Wiem, że zdarzają się przypadkowe wpadki, ale założę się, że raz zdarzyło ci się zapomnieć. Zawsze tak jest, sama wiesz.

- Raz czy dwa. Teraz to już bez różnicy.

- A bo co?

- Będę miała to dziecko. Będzie jedyne, jakie w ogóle będę miała.

- Julio, teraz...

- Raz to przypadek, a drugi raz to zbieg okoliczności. Trzy razy to zdecydowane nie. Nigdy więcej, Chris. Tak ma być. Nigdy więcej.

- Musisz mu powiedzieć.

- Dlaczego? Jestem rozwiedziona. Dopóki nie miałam tego dziecka, chciałam być znowu sama. On wyrzucił mnie i moje dziecko. To dziecko będzie moje i tylko moje.

Tej nocy, w łóżku, snuła plany na przyszłość. Powinna przenieść się do Yorkshire. Nadal miała domek. Zwykle wynajmowała go letnikom, teraz zatrzyma dla siebie. Z tym, co dostała za biżuterię... sięgnęła po notes i ołówek. Tak, z pieniędzmi było dobrze. Do urodzenia się dziecka mogłaby sobie z łatwością poradzić, a nawet jakiś czas potem. Mogłaby to zrobić i jeszcze trochę zaoszczędzić, biorąc na rachunek wszystko, czego będzie potrzebować dla dziecka. Kiedy będzie miało pięć miesięcy, pomyśli o pracy. Nie musi to być projektowanie wnętrz. Bardzo dobrze szła na maszynie, zawsze mogła się urządzać jako krawcowa.

Poczuła dreszcz emocji, pragnienie wcielenia planów w życie. Przestała się błąkać w otchłani. Zawsze lepiej sobie radziła, kiedy miała przed sobą cel.

W tydzień później wyjechała z Londynu i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było zwrócenie się do doktor Mead, by opiekowała się nią w czasie ciąży. Lekarka zbadała Julię po swojemu, spokojnie i metodycznie. Oświadczyła, że wygląda dobrze, może ma lekką niedowagę...

- Ale to nie potrwa długo i ja nie lubię, gdy moje matki stają się niezgrabne. To będzie dziecko majowe, tak przewiduję. - Uśmiechnęła się do Julii. - Jak się czujesz jako przyszła matka?

- Ekscytująco. I cieszę się. Zawsze chciałam mieć dzieci, ale... cóż, po tej drugiej katastrofie nie spodziewałam się już żadnego.

- Nigdy nie można przewidzieć, jak się życie potoczy - powiedziała spokojnie lekarka. - Co nie chroni nas przed próbą, oczywiście.

- To będzie moje jedyne dziecko - powiedziała Julia.

- Nie trzeba pozwalać, by niepowodzenia zagroziły nam całą drogę.

- Wzięłam już dwa zakręty. - Julia zaczęła się ubierać. - Sprawy uczuciowe są dla mnie trudne.

Lepsza jestem w materii, w faktach. W przyszłości się zmienię. - Przerwała. - Będę je miała, prawda? Mam na myśli tamtą aborcję...

- Została zrobiona po mistrzowsku. Nie powinnaś mieć kłopotów. Myślę jednak, że musisz znaleźć czas na odpoczynek. Czas na przygotowanie się do swojego dziecka. Dasz sobie radę finansowo?

- Tak, jestem ostrożna.

- Z pewnością będziesz.

Zapisała ją do małego szpitala i do opieki w klinice dla kobiet w ciąży. Poleciała także lekcje relaksowania.

- Poród to sprawa naturalna i wierzę w pomoc matki natury, bez rozkazywania jej. Dobrze, że nie palisz. Możesz umiarkowanie pić i wykonywać nieforsowne ćwiczenia. Lubisz spacerować, więc rób to, ale się nie przemęczaj. Nie jedź za dwoje, a w maju zobaczymy szczęśliwą i zdrową matkę i dziecko.

- Jej mądre oczy spoczęły na Julii w zamyśleniu. - A co z ojcem dziecka?

- Nie wie i nie będzie wiedział. To dziecko należy do mnie i tylko do mnie. Ponieważ odkryłam, że jestem w ciąży już po tym, jak mnie rozwiedziono, jest to dla mnie czymś w rodzaju znaku. Nie chcę niczego od męża ani od jego matki, a zwłaszcza od niej. Mogłaby mi odebrać dziecko.

- Z pewnością nie!

- Gdyby chciała, toby mogła. Ale mi to nie odpowiada. Dziecko jest moje. Tylko moje!

Chris przyjechała na weekend i zachwycała się.

- Kwitniesz jak twoje rośliny!

- Czuję to. Mówią, że ciąża daje ociążałość, a ja czuję się zadowolona. Chodź i zobacz, co robiłam.

Pod pozorem podziwiania pajęczego szala i pięknie uszytej wyprawki Chris zerkała na Julię. Wyglądała jak w pełni rozkwitu. Przybrała na wadze, jej skóra kwitła, oczy były czyste i spokojne.

- Wygląda na to, że sobie radzisz - powiedziała Chris uspokojona.

- Znakomicie. Mam budżet i trzymam się go.

- Chciałabym, żebyś mnie tego nauczyła, ja nie potrafię. - I dodała wypychając policzek językiem: - Ale nauczę cię, jak trzymać mężczyzn!

- Dzięki ci, ale nie chcę. Jest lepiej, jak jestem sama.

- Ale nie chcesz być samotna?

- Oczywiście, że nie! Mam swoje dziecko.

Na początku lutego otrzymała ostatecznie papiery rozwodowe. Nie była już panią J. Winthrop Bradford. Gdy włożyła je do stalowego pudełka, w którym przechowywała swoje osobiste dokumenty, czuła tylko radosną, czystą ulgę. Ostatnie nitki zostały zerwane. W końcu naprawdę stała się wolna.

Czas płynął, a wraz z nim rozwijała się jej ciąża; spokojnie i bez kłopotów. Każdego popołudnia odpoczywała, brała książkę lub czasopismo i niezmiennie usypiała. Spała sporo. Pewnego popołudnia, pod koniec marca, obudziło ją głośne pukanie do drzwi frontowych. Kto to? - zdziwiła się. Nie spodziewała się odwiedzin. Chris miało nie być przez najbliższych kilka tygodni, a doktor Mead wizytowała ją w piątki. Podeszła do okna i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Przy bramie stało

wielkie amerykańskie auto. Odskokzyła tak szybko, że uderzyła się biodrem o deskę do prasowania. Strach napiął jej wszystkie mięśnie. Nie mogła widzieć osoby, ponieważ zasłaniał ją ganek. Musiała zejść na dół.

Był bardzo wysoki, owinięty zamszowym płaszczem chroniącym przed ostrym wiatrem. Jego ciemna twarz południowca skrzywiła się w uśmiechu, gdy zapytał:

- Julia Carrey?

Nie miał amerykańskiego akcentu.

- Tak.

- Dzięki Bogu!

- Odwiedziłem każdy różowy domek w każdej miejscowości w okolicy...

- Czego pan ode mnie chce?

- Jeżeli zaprosi mnie pani do środka i poczęstuje filiżanką kawy, zważywszy na to, że wasze przydrożne kawiarnie serwują olej z misek olejowych, z przyjemnością wyjaśnię.

Julia nie poruszyła się.

- Kim pan jest?

Podał jej wizytówkę. Marcus Levin, Levin Enterprises, z adresem przy Wardour Street.

- Mam dla pani propozycję - ciągnął dalej beztrósco. - Po prostu biznes. - I dodał szczerząc zęby:

- W pani stanie nic innego nie wchodzi w grę.

- Co za interes?

- Projektowanie wnętrz - powiedział zachęcająco.

- Teraz akurat nie pracuję.

- Nie interesuje mnie akurat teraz.

Był beztróski, bezczelnie pewny siebie, ale Julia wszystko, co wiązało się z drugą stroną Atlantyku, traktowała z głęboką podejrzliwością. Uśmiechając się do jej zimnej, zamkniętej twarzy, powiedział:

- Ja wiem, że pani mnie nie zna, ale jeśli mnie pani wpuści do środka, zrobię wszystko, by temu zaradzić.

- Kto pana tu przysłał?

- Nikt. Ale można powiedzieć, że przywiodła mnie tu pani praca.

- Co to była za praca?

- Och, zrobiła pani kilkanaście godnych uwagi wnętrz. Chcę, żeby pracowała pani dla mnie, albo lepiej, ze mną.

- Szuka pan wnętrzarzy?

- Skąd. Szukam pani. Widziałem i rozpytywałem, a potem zacząłem szukać. Trudno panią odnaleźć, ale ja łatwo się nie poddaję.

- Świat jest pełen wielkich nazwisk, a ja nigdy nie byłam niczym więcej niż drobną płótką. Co takiego pana skłoniło?

- Mam motto. Nic, tylko to, co najlepsze. Julia nadal przyglądała mu się bez uśmiechu.

- Proszę spojrzeć, proszę pani. Wiem, że pani mnie nie zna, ale jeśli potrzebuje pani referencji, mogę dostarczyć ich od metra. Sprawdzi pani wszystko, co pani zechce. Wytrzymam każde badanie.

- Nie omieszka - obiecała Julia.

- Więc mogę wejść do środka?

Julia niechętnie cofnęła się i wpuściła go. Wchodząc musiał się pochylić.

- Ależ to musi być stare.

- Siedemnasty wiek.

- W to wierzę. Wtedy ludzie byli znacznie niżsi. Może lepiej usiądę. Mógłbym zdjąć płaszcz?

Miał pod nim koszulkę i džinsy. Koszulka dumnie prezentowała napis: „Nie pieprz i nie daj się wypieprzyć”. Julia przygryzła wargi.

- Jezu, ale tu ślicznie.

Z uznaniem oglądał niski, belkowany sufit, białe ściany, ceglany kominek, okna na prowadnicach zasłonięte bawełnianą satyną.

Jego spojrzenie wróciło do Julii i znowu się szeroko uśmiechnął.

- Czarna i dwie kostki cukru - podpowiedział.

W kuchni, gdzie panowało przyjemne ciepło, Julia przygotowywała to, o co poprosił. Jeśli to jest prawdziwa robota, bądź ostrożna, radziła sama sobie. Nic nie mów, wykryj wszystko. Ale ta fryzura afro, ta koszulka. W żaden sposób nie należał do jej typu klientów. Ostatnio coraz bardziej niesamowici ludzie mają pieniądze. O jakie projekty może mu chodzić? Dyskoteki? Sieć sexshopów? Cokolwiek, pomyślała, wsypując kawę do filtra. Zlecenie oznacza pieniądze i jeśli to prawda, to nie można tego odrzucić. Potrzebujesz każdego centa, sam Bóg to wie. Ale nie rób nic i nic mu nie opowiadaj, dopóki nie będziesz pewna, że jest uczciwy. I sprawdź każdy centymetr tych metrów referencji. Masz mnóstwo czasu na to, żeby sprawdzić go aż do nazwiska jego fryzjera. I dla swojego własnego bezpieczeństwa, i dla dziecka. Musisz. Nie daj się znowu wykiwać przez palanta. Ta kobieta jest zdolna do wszystkiego, o czym bardzo dobrze wiesz, ale jeśli on okaże się czysty, to wtedy jest to zupełnie inna sprawa.

Gdy wróciła do saloniku, przybysz siedział w wielkim fotelu. Długie nogi wyciągnął przed siebie i skrzyżował.

- Będzie przeszkadzać, jeśli zapalę? - spytał.

- Nie, ale ja nie palę, dziękuję.

- Rozważna kobieta. W pani stanie i w ogóle.

- Podobno widział pan moje prace - zachęciła gościa.

- Tak, i chcę na nich zrobić interes. Widziałem hotel Arun. Julia bardzo ostrożnie spytała:

- Co takiego?

- Hotel, który zrobiła pani w Paryżu. Na mieście jest o nim głośno. Zbliża się wielkie otwarcie, w „House Beautiful” lub podobnym czasopiśmie jest na ten temat rozkładówka.

- I mówi się tam, że to jest mój projekt?

- Nie. Napisali, że zrobiła to lady Hester Bradford. Ku swojemu zdziwieniu Julia wybuchnęła śmiechem.

- Ale bezczelność!

- Tak to zrozumiałem po tym, jak zacząłem się rozpytywać. Mam na myśli, że wiem, iż ta kobieta jest zdolna do wszystkiego, doprawdy do wszystkiego, ale mogłem stwierdzić, że widać tam było rękę profesjonalisty.

- Pan ją zna? - spytała Julia sztywniejac.

- Któż o niej nie słyszał? W każdym razie, postanowiłem się rozpytać. - I powiedział bez osłonek.

- Wiem wszystko o pani kłopotach. Było tam mnóstwo ludzi do mówienia mi wszystkiego, ale ja się nie interesuję przeszłością. Chodzi mi o pani talent w przyszłości.

- Spokojnie - powiedziała powoli Julia. - Chce pan powiedzieć, że hotel Arun urządzony został

zgodnie z moimi rysunkami?

- Co do joty.

Na widok jej zaczerwienienia ze złości zapytał delikatnie:

- Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

- Zostałam z tej pracy zwolniona. Wie pan o moich kłopotach. Słyszałam później, że zatrudniono innego projektanta.

- Wielu wzywano, ale nikt nie został wybrany. To jadalnia kazała mi się zatrzymać i przyjrzeć uważniej. Mówią, że trzeba będzie poprawić kuchnię, żeby jej dorównywała. Niech pani posłucha. Nie obchodzi mnie, dlaczego panią wyrzucono. Chodzi mi o pani talent. Chcę, żeby pani projektowała dla mnie.

- Co?

- Cokolwiek przyniosę. Wyglądała na zaciekawioną.

- Chciałbym, żeby przyłączyła się pani do mojej stajni. - Zaśmiał się na widok wyrazu jej twarzy.

- Proszę się nie obawiać, nie prowadzę dziewczynek. Koszulka jest żartem. - Julia poczuła, że się czerwieni pod spojrzeniem mądrych, czarnych oczu.

- Prowadzę talenty. Mam gwiazdy popu, kierowcę wyścigowego, tancerkę, kilku aktorów, a nawet tenisistę. Wspieram ich, inwestuję, pozwalam wystartować, a potem, kiedy nadchodzi ich wielka chwila, biorę dwadzieścia procent ze wszystkiego, co zarabiają. - Westchnął. - Proszę sobie wyobrazić, że nie wiedziałem, że pani jest w ciąży. Ale to trwa tylko dziewięć miesięcy. - Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. - Nie powiedziałem nic więcej niż to, że nie jest pani sama. Będę miał czas na przygotowania.

- Strasznie dużo sobie pan zakłada. Odpowiedział skromnie:

- Jeszcze nie wytłumaczyłem wszystkiego.

- Więc proszę to zrobić.

Julia słuchała krytycznie. Wszystko brzmiało za dobrze, by było prawdziwe. Tak powiedziała.

- Nie oszukuję - odpowiedział z tym samym, beztróskim zadufaniem. - Lubię pieniądze i chciałbym zarobić ich bardzo dużo. Pani także.

- Ale mnie wyrzucono, jak pan powiedział, z mojego ostatniego zlecenia.

- To już ucichło. Interesuje mnie to, co mogę z koryta wydestakować dla siebie.

Julia myślała.

- A więc zabezpiecza pan kontakty, znajduje dla mnie odpowiednie zlecenia, podstawy dla mnie do pracy, a potem, kiedy biorę się do roboty, bierze dwadzieścia procent.

- Tak.

- Jaki rodzaj zleceń?

- Najlepsze. Żadne groszowe, płatne później prace. Myślę o innych hotelach, prestiżowych biurach, restauracjach, tego typu.

Julia znowu myślała.

- Będę potrzebować porządnych, legalnie spisanych kontraktów. Paryż robiłam na uścisk dłoni i tak na tym wyszłam.

Wyglądał na wstrząśniętego.

- Chce pani powiedzieć, że nie dostała pani pieniędzy?

- To była, zacytuję, „sprawa rodzinna”.

Z otwartością, której się po nim spodziewała, powiedział:

- Wiem, że była pani żoną Bradforda.

- Jest pan pewien, że pan ich nie zna? - spytała Julia podejrzliwie.

- Słyszałem o nich, zwłaszcza o starszej damie. Czy to jej ręka panią wstrząsnęła?

Julia skinęła, a Levin westchnął:

- To kreatura. Znana jest jako żarłoczna barrakuda. Nareszcie, pomyślała Julia. Właściwe określenie.

- Czyli wykorzystuje pani rysunki za darmo! - Marcus Levin zagwizdał. - By następnie zwolnić bez rekompensaty. Pani ma podstawy do procesu.

- Zaraz by mi je wyrwała.

- Nie, gdyby pani miała dobrego prawnika.

- Nie stać mnie na to.

Marcus odchylił się do tyłu i przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Coś pani powiem. To mały dowód mojego zaufania. Tak się składa, że mam przyjaciela, który jest wysoko cenionym adwokatem. Gdybym go skłonił do tego, żeby wyjaśnił pani położenie rozważając możliwość procesu, to czy byłaby pani bardziej skłonna do współpracy?

Julia podniosła się.

- Słyszę, że woda już się gotuje - powiedziała, żeby nie odpowiadać wprost. Musiała pomyśleć. Wygrana sprawa mogłaby oznaczać więcej pieniędzy, ale czy może ufać temu starzejącemu się hipisowi? Jednakże perspektywa była kusząca. Pokonanie lady Hester Bradford, która wykorzystwała nie należące do niej projekty czysto „familijnie”. Nie istniał nawet świstek, który by przypominał kontrakt. Oczywiście, dobrze pomyślane, rozważała Julia. Ostatnią rzeczą, jakiej mogłaby się lady Hester spodziewać, to być sądzoną. Ani przez moment nie pomyślała, że mogłabym ośmielić się zadrzeć z wielką, słynną Hester Bradford. To przeważało i Julia zdecydowała się. Stawką były pieniądze. Kiedy ten Levin będzie robił dla niej, co może, ona powinna poprzez Chris wziąć Tony'ego, żeby go sprawdził. Jeśli niczego nie wywęszy, to znaczy, że jest czysty. Wróciła do pokoju.

- Coś panu powiem. Proszę dać sprawę swojemu przyjacielowi i zobaczymy, co poradzi. Jeśli faktycznie zna swój fach...

- ...czy zna!

- To by mi odpowiadało. Korzystam ze wszystkiego, co mogę dostać.

- W porządku, proszę mi podać fakty. Zrobiła to bez wymieniania nazwisk.

- Hmm - zmarszczył brwi. - Wydaje mi się, że wypadła pani za burtę z zupełnie innych powodów.

Nie było mowy o tym, że pani źle pracowała.

- Pokażę panu list - zaproponowała. Przeczytał go i zapytał:

- Mogę pokazać go adwokatowi?

- Oczywiście, jeśli dostanę go z powrotem.

- To jasne. - Włożył go do kieszeni w koszulce i wziął swój kubek. - Bomba! To jest kawa - pochwalił.

- Proszę powiedzieć coś więcej o pana planach - zachęciła Julia.

- Widzę to tak... - zaczął tłumaczyć szczegóły.

Julia ożywiła się, ale „to wygląda nieźle”, było wszystkim, co w swojej rozwadze mogła teraz powiedzieć.

- Niech się pani zastanowi do czasu, aż wrócę z relacją od prawnika, dobrze?

- Dobrze. Zastanowię się. Kiedy pan przyjedzie?

- Dwa, może trzy dni?

- Świetnie.

- Proszę dać mi swój numer telefonu - poprosił wyciągając paczkę papierosów i pióro. Gdy napisał numer, Julia powiedziała:

- Może powinnam mieć i pana. I jakieś nazwisko, żebyśmy mogła się skontaktować, na przykład w sprawie tych metrów referencji...

- Nie mam telefonu - odrzekł z ujmującą prostotą. - Stale jestem w ruchu, ale proszę się nie martwić. Usłyszysz mnie pani.

- Wyszczерzył w uśmiechu zęby. - I o mnie też. Pełny zakres.

- Schował paczkę, odchylił się do tyłu i zapytał bez skrępowania: - Kiedy spodziewa się pani rozwiązania?

- W połowie maja.

- Więc powiedzmy... sześć, może osiem tygodni później jedzie pani gotowa do pracy?

- Jeśli będę miała odpowiednie miejsce.

- Jakaś wybrana lokalizacja?

- „Dobry” adres jest bardzo ważny.

- Na przykład?

- W1, SW1, SW3, SW7 - te dzielnice.

- W porządku. Zobaczą, co jest osiągalne.

Był bardzo przyjacielski, zgodny tak, że Julia wiedziała, iż byłby w stanie zdobyć to, co zechce. Postać z Hollywood.

Pił drugą kawę, gdy dyskutowali o wszystkich za i przeciw. Poczł też zapewne u niej pewną odwilż w nastawieniu do niego, skoro wstając powiedział:

- A więc zdecydowała pani, że można mi zaufać?

- Poczekam na to, czego dokona pana przyjaciel prawnik, a wtedy zobaczymy.

- Dokona. Jeżeli cokolwiek da się zrobić, to zrobi to.

- Zobaczymy - skontrolowała Julia, a gość, wyciągając na pożegnanie rękę, powiedział:

- Było mi bardzo przyjemnie. Będę w kontakcie.

Julia patrzyła za nim, jak powoli kroczył ścieżką do swojego błyszczącego auta. Pewne było jedno. Różnił się od Brada tak jak Boston od Las Vegas, dzięki Bogu.

Zgłosił się cztery dni później. Prawnik był zdania, że ma bardzo dobrą sytuację. Cokolwiek było przyczyną zwolnienia, nie były to jej rysunki, co potwierdzał fakt, iż nadal z nich korzystano.

- Czy chciałaby pani, żebyśmy polecili mu wyciągnąć od staruchy pani honorarium i co się da?

- Tylko jeśli obędzie się to przy minimum, powtarzam: mi-ni-mum kłopotów.

- Mój prawnik ma wysokie dochody nie bez kozery. Jeśli pani go wynajęła, to właśnie po to, żeby nie mieć kłopotów.

Po dwutygodniowej ciszy, ku jej zdziwieniu pojawił się pewnego popołudnia powiewając czekiem. Julia czytała zera i opadła na fotel.

- Panie Levin! Jak...

- Na imię mi Marcus. Starucha wściekła się jak sam diabeł, ale zapłaciła.

- Ale jak?

- List. Mój przyjaciel ostatnie słowo pisze zwykle w liście. Najbardziej niewinną sugestią potrafi sformułować tak, by brzmiała jak ohydna groźba.

- On ją przestraszył! - Serce Julii zabiło mocniej.

- Proszę się uspokoić. Przecież to my więcej wiemy. On straszy, tylko żeby straszyć. I taką ma reputację... - Uśmiechnął się znacząco. - Co przypomniało mi o mnie. Jak wypadłem w sprawozdaniu?

- Wszystko, co powiedziałeś, okazało się prawdą - odrzekła chłodno Julia.

- I tak miało być. Ja i mój prawnik stracilibyśmy twarz, gdyby coś było nie tak. A z tą starszą panią nie warto zadzierać, jeśli się nie jest pewnym wszystkich faktów. Uwierz mi, że mogłby przekonać sędziów do uniewinnienia Judasza.

Julia wpatrywała się w czek.

- W tym mieści się jego honorarium?

- Nie, to była przysługa, którą był mi winien. Julia powoli odetchnęła. Stała się bogata!

- Mam dla ciebie coś jeszcze. Rzuć okiem i powiedz mi, co o tym myślisz.

Wręczył jej plik z wyszczególnieniem pośredników nieruchomości.

Gdy na następny weekend przyjechała Chris, była aż chora z ciekawości.

- Kto to jest, co to jest i jaki jest ten Marcus Levin? - koniecznie chciała wiedzieć.

- Wygląda jak meksykański bandyta, mówi jak hipis. Widziałaś sprawozdanie Tony'ego. Jest uczciwy. - Julia pokiwała głową. - I chyba skuteczny.

- To w łóżku jest gorszy? Julia parsknęła śmiechem.

- Chris, jesteś niepoprawna.

- Nie, tylko jeśli chodzi o Tony'ego, muszę sobie radzić sama. No więc, czy ten Levin ma swój ciężar?

- Z pewnością nie brakuje mu koniecznego wyposażenia.

- Dobrze, kiedy mogę go spotkać?

Tych dwoje przypadło do siebie od razu tak bardzo, iż Julia była przekonana, że gdyby udostępniła im podwójne łóżko, daliby w nie nura z pełną gotowością. Chris zaradziła temu, gdy wrócili do Londynu.

- Moja droga - wymruczała w słuchawkę. - Nie mogę ci teraz powiedzieć...

- Więc nie mów.

Kiedy już mogła, spełniła obietnicę i zrelacjonowała Julii z ochotą różne szczegóły, jak powiadała „mając oko na sposobność”.

W połowie kwietnia znaleźli odpowiednie miejsce.

- Brook Street przy końcu Bond Street. Wymaga remontu, ale nadaje się dla twoich celów.

Markus zawiózł tam Julię, by ostatecznie ją przekonać. Sklep nie był duży, ale była nad nim pracownia, a nad nią niewielkie mieszkanie.

- Nie kończące się możliwości - zgodziła się Julia. Umowa najmu została podpisana. Wróciwszy do domu Julia zrobiła plany przebudowy, które dała Markusowi, kiedy znowu przyjechał, oczywiście razem z Chris.

- Polegam na was obojgu, że będziecie mieli oko na sprawy, jeśli na chwilę oderwiecie wzrok od siebie - drażniła się z nimi.

Kiedy nadszedł maj, miała ogromny brzuch.

- Jesteś pewna, że nie będzie bliźniaków? - dopytywał się Markus.

- Czuję tam całą maszerującą i kopiącą armię.

- Nie wydajesz się ranna. Właściwie wyglądasz bardzo apetycznie.

Nie zaczynaj, pomyślała Julia. Zmykaj do Chris. Bardziej do ciebie pasuje i lubi to.

Markus był flirciarzem. I zgodnie z tym, co mówiła Chris, samolotem.

- Żadnych lotnisk na stałe - wzdychała Julii przez telefon.

- No to baw się, dopóki możesz - radziła Julia wesoło, dziwiąc się, że Chris potrafi to robić.

Nigdy nie miała trudności z pozostawianiem uczuć przed drzwiami sypialni.

- Bawię się! - potwierdziła Chris. - Od wieków nie miałam takiej zabawy.

Zabawy? - pomyślała Julia i wzdrygnęła się.

- On jest tygrysem - mruzczała Chris do siebie. - Kiedyś pokażę ci ślady pazurów.

- A jak idzie ze sklepem? - przerwała Julia.

- Zgodnie z rozkładem. Nic nie wymyka się z rąk i pod koniec przyszłego tygodnia powinien być gotowy. Wtedy można zacząć wewnątrz.

Markus to potwierdził.

- Wszystko idzie szybko - powiedział zadowolony. - A jak z tobą?

Nie widziała go od dwóch tygodni, ponieważ nie było go w kraju.

- Ktoś z mojej stajni miał kłopoty z zębami - wyjaśnił wzruszając ramionami. - Wiesz, Julio - dodał. - Lubię cię.

Wiedziała o tym. Zastanawiała się, czy to nie jej stan chroni ją przed jego względami. Czowała się jak garkotłuk. Nigdy nie podpisywała się pod zwodniczym przekonaniem, że kobiety są najpiękniejsze w czasie ciąży. Uważała to za jeszcze jeden minus po stronie mężczyzn, zdając sobie sprawę, w jak zasadniczy sposób byli odpowiedzialni za ten stan. Mimo to wiedziała, że kolosalnie spuchnięta, z brzuchem czy bez, była dla Markusa atrakcyjna. Flirtował nieustannie, ale wspomagał ją moralnie, fizycznie i emocjonalnie. Jego ręka zawsze była blisko, gdy trzeba było pomóc jej wstać z fotela. Nie pozwalał robić jej tego, co mógł zrobić za nią. Znosił jej irytacje, choć im bliższe było rozwiązanie, tym bardziej zmienne nastroje. I zawsze informował ją na bieżąco o sprawach w Londynie, tak że czuła się ich częścią, chociaż była daleko. Cieszyła się widząc go i było jej przykro, gdy wyjeżdżał.

Przyjechał na tydzień przed spodziewanym pójściem do szpitala, przywożąc pełen zestaw kolorowych fotografii stanu rzeczy w sklepie, a także wielkie pudło tureckich smakołyków, na które Julia miała wielki apetyt. I dobre wieści, że jest już na tropie, choć na razie całkiem słabiutkim, jej pierwszego zlecenia. I to było wszystko, co mógł powiedzieć, nim pomógł jej wejść po schodach na jej popołudniowy odpoczynek, po czym wrócił na dół i oglądał w telewizji wyścigi konne.

Jak zwykle Julia usnęła głęboko. Obudził ją ból. Ktoś przymocował do jej brzucha imadło i ścisnął. Zobaczyła, że jest cała mokra. Podniosła się ciężko, sięgnęła po laskę przy łóżku i z łoskotem padła na podłogę. Markus wbiegł na górę.

- Lepiej będzie, jak zadzwonisz do szpitala - sapała, wyginając się.

Wezwał także jej lekarzkę. Zjawiła się wcześniej niż karetka, którą zresztą odesłała z powrotem.

- To dziecko ma zamiar urodzić się w domu.

Poród zaczął się zadziwiająco szybko. Markus trzymał ręce Julii, nie skarżąc się, gdy wpijała weń paznokcie. Przecierał pot z jej twarzy chustką zwilżoną w wodzie kolońskiej, trzymał basen, gdy wymiotowała, obejmował ją, gdy lekarka kazała jej przeć.

- Dobrze! Mocniej, tak mocno, jak potrafisz! Przyj! przyjm! Julia naprężała się i kwiczała, i jej ciało wypchnęło na świat dziecko pośród niegodnego wrzasku.

Cudownie wyzwolona z bólu, Julia uniosła się na łokciu.

- Co to jest? - spytała spragniona.

- Masz dziewczynkę, rudą - powiedziała lekarka, pokazując Julii wrzeszczące niemowlę. Szybko i sprawnie odcięła i przewiązała pępowinę. Podała dziecko Julii. Było śliskie, więc wysuszyła je, przeciw czemu protestowało gwałtownie, dopóki Julia nie zaczęła kołysać je w ramionach. Wówczas spojrzęło na nią niepewnie oczami Brada.

- O! - Julia wstrzymała oddech. - Ona jest śliczna - powiedziała niezdecydowanym głosem.

- Włosy ma nie całkiem twoje. Bardziej złotoczerwone niż rude. Ale jest piękna, tak jak ty - zauważył Markus.

- Przydałaby się filiżanka herbaty - powiedziała szybko lekarka.

- Zaraz wrócę.

Wstał z łóżka i pochylił się nad Julią całując jej zdziwione usta w ten sposób, że patrzyła mu w oczy odczytując w nich, że teraz wszystko się zmieniło, ponieważ ona się zmieniła, a on się dostosuje.

Jennifer, raz na zawsze ochrzczona przez Markusa jako Jenny-Strzyżyk, zważona na wadze kuchennej miała dokładnie siedem i pół funta. Gdy przyniósł ją z powrotem na górę do Julii, powiedziała rozbawiona:

- Niesiesz ją, jakbyś znał się na rzeczy.

- Powinnaś wiedzieć, że w życiu już byłem ojcem chrzestnym i przypuszczam, że znowu będę. Pomyśl o tym.

Christ została chrzestną matką, wraz z doktor Mead. Jenny wszystko przespała, senna nawet pod kroplami wody.

- Czy z nią wszystko w porządku? - pytała zaniepokojona Julia. - Cały czas śpi. Jeszcze nie słyszałam jej płaczu, tylko wtedy, gdy się rodziła.

- Masz pogodne dziecko - odpowiedziała z uśmiechem doktor Mead. - Bądź za to wdzięczna.

- Wdzięczna? To błogosławieństwo!

Pewnego razu, po karmieniu, a karmiła piersią nie tylko dlatego, że nastawała na to doktor Mead, ale ponieważ sama chciała, Julia pochyliła się nad łóżeczkiem, niedowierzająca i zamroczone bijącą od niej miłością, spontaniczną jak wiosna tryskająca spomiędzy urwistych skał. Nic nie przypominało tu czułości dla Dereka ani dzikich, impulsywnych reakcji na Brada. To było inną, absolutnie niezłomną częścią jej najgłębszej jaźni, tak głęboką, że aż bezdenną, i tak rozległą, że obejmującą wszelkie obszary jej życia.

- Myślę, że jesteś zakochana - powiedział Markus, gdy przyszedł na górę zobaczyć, dlaczego nie schodzi.

- Nie zakochana, ale po prostu kocham. - Julia poprawiła kocyk. - To zabawne, lecz po raz pierwszy zaczęłam rozumieć, co czuje do Brada jego matka. Nie wiedziałam, bo i skąd mogłam wiedzieć? Nigdy nie miałam matki, nigdy przed nim nie byłam tak blisko innego człowieka, ale Jenny otworzyła mnie na tak wiele nowych myśli i uczuć. Jest tak cudowna. I tak ze mną związana. Teraz wiem, jak łatwo stać się okrutną posiadaczką tej więzi. I zrobić wszystko, żeby się nie zerwała. Pamiętam, jak Abby pewnego razu opowiadała mi, że najtrudniej jest wiedzieć, jak pozwolić dzieciom odejść - westchnęła. - Tę matką Brada nigdy nie była w stanie zrobić. Dotąd nie

rozumiałam, jak bardzo to jest prawdziwe.

Spojrzała ponuro na swoją córkę.

- Boże, nie pozwól, bym kiedykolwiek zrobiła Jenny to, co uczyniono Bradowi.

- Powiesz mu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie mam takiej potrzeby. W jakiś dziwny sposób Jenny uwolniła mnie od niego. Myślałam, że będę mogła go już tylko nienawidzić, a teraz bardzo mi go żal. Biedny Brad. Nie ma nikogo i niczego. Jest przywiązany do swojej matki, ale nienawidzi tego. Nie znosi być jej cieniem, ale nie ma siły zostać sam. Ja jestem szczęśliwa. Wyszedłam z tego dzięki Jenny. Otwieram nową, czystą kartę.

- Takie sobie życie wybierasz? Czyste, ale puste? Julia zwróciła ku niemu twarz.

- Markus...

- Nie zaprzeczaj, Julio. W tej chwili jesteś owładnięta uczuciem, cała skupiona na Jenny, ale wiesz, gdzie to może zaprowadzić, jeśli zablokujesz w sobie całą resztę. Teraz możesz być matką, ale nadal jesteś kobietą, z kobiecymi potrzebami.

- To tylko potrzeby - powiedziała Julia. - Poprzednio źle na nie reagowałam. To, co powiedział mi mój pierwszy mąż, było dla mnie bezwzględna prawda, podczas gdy to było tylko jego zdanie. Próbowałam być jak inni ludzie i pragnąć tego, czego pragnęli i oni, gdy prawda jest taka, że wcale tego nie potrzebuję. Moim pragnieniem jest nie mieć pragnień. Czy ty mnie rozumiesz? Lepiej radzę sobie sama, Markus. Lepiej funkcjonuję, lepiej odczuwam, jestem bardziej sobą, bardziej całością niż z kimkolwiek innym. Po prostu nie lubię się angażować. Nie lubię czuć się splątana, złapana w pułapkę cudzego życia i odpowiadać za nie. Wierzę, że tak jest dlatego, że akceptuję, i to z radością, stuprocentową odpowiedzialność za siebie i za Jenny, ale nie za kogoś innego. Nie należę do kobiet, które oddzielają postępowanie od uczuć. Wszystko albo nic. I dlatego, rozważając wszystko uczciwie, widzę, że wolę nic. To oczyszcza moje życie, o którym wspomniałeś. Przyglądała mu się szczerze i otwarcie.

- Będę twoją partnerką w interesach, Markus. Będę dla ciebie pracować i to dobrze. Będę twoim przyjacielem i pozwolę ci wejść w moje życie jako przyjacielowi, ale na tym koniec. Jeśli tobie to nie wystarczy, w porządku. Respektuję twoją decyzję.

Jednakże Markus nie dał się tak łatwo pokonać.

- Na to ci nie pozwolę. Tak jak powiedziałem, teraz owładnęła tobą Jenny, niczego poza nią nie dostrzegasz i nie oczekujesz niczego innego. Ale to się zmieni, a kiedy tak się stanie, chcę być tutaj. Pragnę ciebie od chwili, gdy cię ujrzałem, ciężarną czy nie. Im lepiej cię poznawałem, tym bardziej cię chciałem. I myślę, że odpowiadasz „nie” tylko dlatego, że nie chcesz pozwolić sobie na to, żeby mnie chcieć. Twój śliczny eks wycisnął na tobie emocjonalne piętno i trzeba czasu, żeby zbladło. W porządku, jestem cierpliwym człowiekiem. Nauczyłem się czekać.

Uniósł jej podbródek dużym palcem.

- Z drugiej strony, ty nadal nic nie wiesz o miłości. Chcę stać się mężczyzną, który cię tego nauczy. - Uśmiechnął się patrząc jej w oczy. - Chodźmy teraz na dół. Mam ci coś do powiedzenia na temat twojego pierwszego zlecenia.

Rozdział piętnasty.

Przecież byłeś w domu tylko przez miesiąc! - jęczała Karolina Bradford, rozzłoszczona i urażona. - Prawie cię nie widuję. Przyjeżdżasz do domu i zaraz z powrotem wyjeżdżasz. Jestem zmęczona i chora z samotności.

- To tylko trzy dni, na litość boską! - powiedział zniecierpliwiony Brad.

- Nie zniosę nawet dwudziestu czterech godzin. Wydaje mi się czasami, że robisz tak rozmyślnie, żeby uciec ode mnie!

- Dziwisz się? Gderasz i jęczysz, kiedy jestem. Karolina przygryzła wargi. Znała ten ton. Oznaczał, że kończy się cierpliwość Brada. Była okropnie urażona. Nie umiała znieść tego, że nie poświęcał jej czasu i uwagi. Był jej obsesją od chwili, gdy jej brat Bradley przyprowadził go do domu na weekend. Nastoletnia Karolina oszalała z miłości, gdy go tylko zobaczyła.

Mając dwadzieścia lat Brad Bradford przypominał swą wspaniałością Apolla z brązu. Zapragnęła go drapieżnie i natychmiast. Jej serce waliło głucho, jej brzuch aż się gotował, a miejsce między nogami paliło. Nigdy w życiu nie widziała tak pięknego mężczyzny i nikogo tak nie pożądała.

Lecz dla niego była tylko młodszą siostrą Bradleya Nortona. Zawsze był względem niej grzeczny, przyjacielski, ale nie zwracał na nią uwagi. Doprowadzał ją do szaleństwa.

Odtąd, ilekroć przyjechał do posiadłości jej ojca, zawsze go szpiegowwała. Podglądała, gdy wraz z jej bratem zapraszali na tenisa dziewczęta. Z poświęceniem skradała się za nimi do najbardziej odosobnionych zakątków, by ukryć się w zaroślach i obserwować. Z wyschniętymi ustami dygotała od nienaturalnego podniecenia, które wzniewało w jej lędźwiach ogień. A Brad z talentem pieprzył dziewczyny. Karolina musiała zatykać sobie usta ręką, żeby stłumić jęki na widok pięknego, męskiego ciała, zwartych, mocnych pośladków i wyrastającego z kępy włosów między nogami grubego, sztywnego członka. Gwałtownymi pchnięciami wsuwał go w jakąś dziewczynę, która jęczała, dyszała i tarzała się pod nim, oplatając go nogami i napierając z furią biodrami.

Marzyła, by być taką dziewczyną, fantazjowała nieustannie o tym, że jest z nim, pisywała do niego długie namiętne listy, które następnie paliła.

Miała jego fotografię, którą zawsze przy sobie nosiła - stał na brzegu ich basenu z rękami wspartymi na biodrach. Półuśmiech na jego ustach mówił, że on dobrze zdaje sobie sprawę, jak wydęte są jego cienkie jedwabne kąpielówki.

Gdy poszła do szkoły, zaczęła intrygować i planować, jak go zdobyć, a kiedy jej ciało zaczęło pięknie się rozwijać, a twarz nabrała cukierkowej urody, robiła wszystko, by upodobnić się do dziewcząt, które z nim widywała. Drobne, modne, nieskazitelnie wyniosłe i wyrachowane seksualnie. Obsesyjnie głodowała, całe godziny spędzała nad swoją twarzą, włosami i paznokciami, a gdy w końcu wyszła na zewnątrz, upozowana i śliczna, była gotowa do rozpoczęcia kampanii w celu zostania panią J. Winthrop Bradford V.

Studiowała go całymi latami. Poznała jego zwyczaje, gust, poglądy. Rozmyślnie zadzierzgała przelotne przyjaźnie z dziewczętami, z którymi sypiał, przechodziła przez jego życie niczym gość hotelowy, po to, by uzyskać jak najwięcej informacji.

Wiedziała, że lubił kobiety trudne do zdobycia, więc taką z początku grała. Lecz bez skutku. Zafiksował ją sobie jako siostrę najlepszego przyjaciela i skrupulatnie utrzymywał dystans, który spychał ją do roli agresora. Nadal bez efektu. Rugała się beznadziejnie za to, że dominował nad każdą jej myślą.

Próbowała prowokować jego zazdrość umawiając się z mężczyznami, którzy jej chcieli, ale i to nie pomagało.

Krzyczała na siebie za to, że nie może w nocy spać, cierpiąc katusze nie zaspokojonych pragnień. Stale się masturbowała, przez co popadała w coraz większą frustrację i podniecenie. W fantazji robił jej to, co innym dziewczętom. Było jej coraz trudniej powstrzymać się przed błaganiem go, żebraniem, by wybawił ją z nieszczęścia. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić, jeśli chce go mieć na zawsze.

Gdy pogrążona w całej tej udreńce usłyszała, że jego matka zaprosiła ją na Farmę na weekend, natychmiast pojęła, że biorą ją pod uwagę. Z miejsca zrozumiała, że jeśli ma dostać Brada Bradforda, to będzie to możliwe jedynie poprzez jego matkę.

Posiadała wrodzony spryt, którego zresztą nikt u niej nie podejrzewał, jako że generalnie uznawano ją za niezbyt błyskotliwą. Tenże instynkt powiadał jej, że lady Hester jest tą osobą, którą należy przekonać, że nadaje się do rodziny Bradfordów. Kiedy zaś dzięki ostrożnemu podsłuchiowaniu odkryła, że to fortuna jej ojca jest podstawą, na której powinny oprzeć się wszelkie negocjacje, zaczęła nad nim pracować. Jeśli jedyną drogą do zdobycia Brada było kupienie go, to jej ojciec dzięki Bogu, był milionerem.

Brad ostatecznie zaprosił ją i zrozumiała, że została wybrana. Wiedziała też, że nadal jest jedną z wielu kobiet. Dobrze, niech tak będzie, myślała. Na razie, ale kiedy zostaną małżeństwem, wykorzysta w praktyce to wszystko, czego się nauczyła. Pochłaniała wszelkie podręczniki seksualne i stała się ekspertem w teorii, choć nie w praktyce, ponieważ dziewictwo było dla wybranki Bradforda obowiązkowe. Dobra splamione były odsyłane z powrotem. Karolina cieszyła się, że świadomie zachowała cnotę, by Brad był pierwszy. Po sześciu miesiącach przyzwoitych i dostojnych zalotów poprosił ją o rękę. Karolina wiedziała, że wykonywał jedynie swój obowiązek, ale ignorowała to. Wzdychając i drżąc, trzepocąc sztucznymi rękami, powiedziała z uczuciem:

- Ach, tak, Brad, tak, tak...

Jesteś tego pewna? Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to będzie małżeństwo? Nie chcę, byś miała jakiegokolwiek iluzje, Karo. W naszym świecie ludzie nie pobierają się z miłości. Nasze małżeństwo wiąże się z materialnymi korzyściami i wymogami dynastii. Nie zamierzam cię okłamywać i mówić ci, że jesteś miłością mojego życia, ponieważ nie jesteś. Nigdy nie byłem zakochany i pewnie nigdy nie będę. W tym związku miłość nie istnieje.

Uśmiech na twarzy Karoliny ani drgnął, choć w środku czuła się podle.

- Wiem, czego się po nas oczekuje - odrzekła z przesadną skromnością.

- Chciałbym tylko, żebyśmy się wzajemnie nie szarpali. Jestem absolutnie szczerzy mówiąc, że wolałbym się nie żenić, ale ciąży na mnie ten obowiązek. Jestem spadkobiercą Bradfordów i powinienem dać następcę. Przykro mi, że jestem tak bezwzględny, jednak chcę, żebyś od początku wiedziała, jakie będzie nasze małżeństwo. Nie uważam ciebie za moją własność i mam nadzieję, że

ty nie uważasz mnie za swoją. Chcę przez to powiedzieć, że zrobimy to, czego się po nas oczekuje, ale poza tym będziemy żyć każde własnym życiem.

Chciałbyś prowadzić takie życie jak do tej pory, myślała Karolina. Nie ma mowy! Nie dam ci zezwolenia na polowania ani w sezonie, ani poza nim. Lecz uśmiechnęła się otwarcie i powiedziała z uwielbieniem w głosie:

- Ja to naprawdę rozumiem, Brad, mówię uczciwie. Wiem, czego się po nas spodziewają, i jestem pewna, że możemy to spełnić... i być szczęśliwi razem.

Brad westchnął pokonany.

- W porządku, dajmy temu spokój. No cóż, wprawdzie jesteście zaręczeni, ale skoro czujesz, że to jeszcze za wcześnie... więc dobrze, rozumiem w zupełności. Jesteś strasznie młoda...

- Mam dwadzieścia dwa lata. To wystarczający wiek.

I czekam na ciebie już dziesięć lat. Obserwowałam, czekałam i uczyłam się. Zanim ze mną zerwiesz, nie spojrzysz na inną kobietę.

Odbyły się formalne oświadczenia, po czym wydano dwa przyjęcia zaręczynowe. Jedno w Bostonie, a drugie w Filadelfii.

Ślub został ustalony na sześć miesięcy później, w grudniu. W tym czasie Brad przeważnie podróżował. Karolina odprowadziła go na samolot do Europy bardzo zadowolona. Ostatni lot, myślała, choć on tego jeszcze nie wie.

Gdy wrócił, uśmiechał się pogodnie i deklarował, że tęsknił za nią. Wydawał się zadowolony ze spędzania z nią czasu, słuchania jej paplaniny o przygotowaniach weselnych, o wyborze zaproszeń, kościelnych dekoracji, druhen i odźwiernych. Aż nagle zmieniał mu się nastrój. Wtedy milkł, wycofywał się, irytował i zrzędził z byle powodu. Potem znowu humor mu się poprawiał. Karolina, która dobrze go знаła, wiedziała, że kryje się za tym kobieta. Dobrze, niech ma, myślała. Mam na palcu jego pierścionek i już zamówiony jest kościół. Kiedy będzie po ceremonii, złapię go tym pierścionkiem za nos, jak byka. Niestety, wkrótce znowu wyjechał i wrócił w czarnym humorze. Był tak zgryźliwy, że uciekła do matki ze łzami w oczach. Jego własna matka także musiała coś mu powiedzieć, ponieważ przyjechał do niej zaraz, przeprosił, a potem przez kilka tygodni był taki, jak tylko mogła sobie wymarzyć, dopóki nie popadł w następną depresję. Ucichł, zamknął się w sobie, wpatrywał w przestrzeń. Wymykał się sam, bez kobiet.

- Musisz zrozumieć, Karolino - mówiła łagodnie lady Hester. - Mężczyzna na krótko przed małżeństwem jest kimś, kto straci swoją wolność, a dla Brada wolność jest czymś najcenniejszym. Pogódź się z tym i spróbuj go zrozumieć.

- Jej matka zaś mówiła kategorycznie:

- Jesteś jego narzeczoną, Karolino. Nie może odejść za daleko. Pamiętaj o tym.

Tak więc gdy pewnego popołudnia jej matka wróciła do domu blada i roztrzęsiona, po nagłym wezwaniu do Bostonu, z początku nie rozumiała, co do niej mówi.

- Ożenił się? Brad się ożenił! Mamo, co ty pleciesz? On jest zaręczony ze mną.

- Ty idiotko, on cię zwiódł! - krzyczała matka. - Nie rozumiesz? Pojechał i skrycie ożenił się z inną, nie mówiąc nikomu ani słowa. Wrócił z nią do Bostonu wczoraj i wziął ją na Farmę na miesiąc miodowy! Rzucił cię ten bękart! Wszystko zrujnowane... zrujnowane! Co za wstyd! Teraz te beczelne kwoki z Rittenhouse Square będą się śmiać pod swoimi długimi nosami.

Pani Norton wpadła w histerię, położyła się do łóżka jęcząc i zawodząc, że wstyd pozostanie jej na zawsze. Karolina, po pierwszym wstrząsie, poszła na górę, żeby zatelefonować do lady Hester.

- Tak, to prawda - usłyszała. - Karolino, musimy porozmawiać. Czy możesz przyjechać jutro do Bostonu, po południu? Do mojego biura w budynku Bradfordów. Nikomu nic nie mów. Nikomu, rozumiesz?

- Będę tam - powiedziała Karolina.

Lady Hester siedziała za swoim dużym biurkiem; nie traciła czasu.

- Co się stało, to się nie odstanie. Ale musi zostać zniszczone.

- Jak? - spytała Karolina.

- Zostaw to mnie.

Lady Hester długo się jej przyglądała.

- Widzę, że nie pytasz dlaczego? - Uśmiechnęła się. - I nie powinnaś. Nadal chcesz zostać żoną mojego syna?

Napotkawszy wszyszkowiedzące spojrzenie, Karolina powiedziała:

- Tak.

- Dobrze. Tak się stanie. - Po czym lady Hester dodała z ożywieniem: - I powtarzam: zostaw to wszystko mnie. Nic nie rób. Wróć do Filadelfii i trwaj w dumnym milczeniu. I utrzymuj swoją matkę w nieświadomości. Zwróć Bradowi pierścionek, ale bez listu. W ten sposób poczuje się jeszcze gorzej. Z resztą ja sobie poradzę.

- Ile to potrwa? - spytała Karolina. Nie starała się walczyć o drobiazgi. Nie z lady Hester, która wpatrywała się w nią i kartkowała jakieś dokumenty.

- Sześć miesięcy. Dłużej byłoby niebezpiecznie. Wymieniły długie spojrzenie.

- Dlaczego? - spytała tępo Karolina.

- Ta kobieta jest niewygodna. Nie chcę jej jako żony mojego syna. Ty jesteś tą, którą mu przeznaczyłam. W swoim czasie, Karolino, zastąpisz owo... wynaturzenie.

Karolina nie wątpiła w to ani przez chwilę. Zawsze wiedziała, że została wybrana z zimną krwią, lecz skoro tak się stało, powody nie były istotne.

Powróciła do Filadelfii i w obliczu plotek, skandalu, podszeptów, które prywatnie upokarzały, a publicznie skazywały jej matkę na odsunięcie od życia, zachowywała pełne godności milczenie.

Śledziła jednak poczynania Brada. Dzięki podstępnej złośliwości Binki i jej zamięłowaniu do plotek wiedziała, gdzie Brad chadzał i jak jego żona spędza czas. Znała stan jego małżeństwa. Czekwała na właściwy moment w pełnej gotowości, zaznaczając dni w kalendarzu, czekając na wiadomość, o której wiedziała, że w końcu nadejdzie. Lady Hester zadzwoniła prawie sześć miesięcy później.

- Zrobione - powiedziała. - Ja swoje zrobiłam, Karolino. Jesteś gotowa przystąpić do akcji?

- Czekam.

- To dobrze. Skontaktuję się z tobą.

Osobą, która powiedziała Karolinie, jak to się stało, była Elaine Norton. Mówiła chciwie, z poczuciem zachłannego zachwyty i zaspokojonej urazy.

- Nie uwierzysz! - bełkotała do córki. - Brad Bradford opuścił swoją żonę! To prawda. Nie znam wszystkich szczegółów, ale ma to zdaje się związek z atakiem serca tej starej kwoki! W każdym razie Brad dał tamtej kopniaka. Co uszczęśliwia mnie podwójnie. Raz, że ktoś dał lanie tej snobistycznej suce, a dwa, że jej dwulicowy synalek poniósł zasłużoną karę.

Karolina nic nie odpowiedziała. Czekiwała. Była pewna, że lady Hester się odezwie.

- Myślę, że już czas, byś przyjechała i zobaczyła, jak się czuję - powiedziała bez wstępów. -

Jutro o czwartej i nie spóźniaj się. Postaraj się wyglądać jak najlepiej.

Karolina miała zrobioną fryzurę, masaż twarzy i manicure. Nosiła jeden z kostiumów przeznaczonych na jej ślubną wyprawę - wrzosowy tweed Pauliny Trigere, który znakomicie podkreślał kolor jej włosów i oczu. Dokładnie o czwartej, gdy weszła do budynku przy Mount Vernon Street, Brad schodził schodami na dół, podążając do wyjścia.

Kiedy ją zobaczył, zaczerwienił się.

- Brad, och, Brad, tak mi przykro... - Karolina podeszła blisko do niego, uniosła się na palcach, by musnąć wargami jego policzek, atakując jego powonienie perfumami Miss Dior, które tak lubił i kojarzył z nią. - Gdybym mogła cokolwiek zrobić... - zapewniła go przejęta. Jej oczy zwilgotniały od czulej miłości.

Lady Hester siedziała w swoim czterokolumnowym łóżku, w pokoju zalanym kwiatami i listami z życzeniami powrotu do zdrowia. Bez makijażu wyglądała blado, lecz jej głos był żywy i rozkazujący jak dawniej, gdy spytała:

- Widziałas go?

- Tak.

- Dobrze. Teraz wszystko zależy od ciebie. On jest bardzo podatny. Dojrzał do szukania u kogoś pocieszenia. Jest zagubiony i lituje się nad sobą. Ma uczucie, że został oszukany. Jeżeli dobrze rozegrasz swoje karty, wkrótce będzie twój.

- Jak tego dokonałaś? - spytała zafascynowana Karolina.

- Z troską, rozwagą i wielką dozą cierpliwości.

- A co stało się z nią?

- O to niech cię głowa nie boli. Pozbyłam się jej i niech ci to wystarczy. Teraz muszę rozwiązać małżeństwo. Bądź w pogotowiu. On do ciebie zadzwoni. Może nie za chwilę, jest teraz bardzo przybity, ale zadzwoni. Znam mojego syna. W końcu wypłynie na powierzchnię. Kiedy tak się stanie, bądź blisko.

Lady Hester świdrowała Karolinę przenikliwym wzrokiem.

- Będiesz mogła to zrobić?

Karolina uśmiechnęła się. Lady Hester również się roześmiała.

- No tak. Rozumiemy się nawzajem, prawda? - Ukontentowana wciągnęła powietrze. - I tak powinno pozostać. Wzajemne zrozumienie.

Ależ tak, pomyślała Karolina. Rozumiem aż za dobrze. Jestem tą, którą wybrałaś dla Brada, niczym więcej. I mogę go mieć tylko trzymając usta zamknięte. Mam nosić kaganiec albo dostanę od pani kulkę.

Pięć miesięcy później w Bostonie Karolina Norton stała się panią J. Winthrop Bradford V. Pani Norton została przez lady Hester całkowicie wyłączona z przygotowań. Dano jej do zrozumienia, że Karolina Norton, tak jak Grace Kelly z Filadelphii, wyszła za mąż ponad swój stan i nawet nie może równać swojej znikomości z książęcym rodem Bradfordów.

Znowu więc Pfiladelfia grała drugie skrzypce. Pewnego jasnego kwietniowego przedpołudnia do kościoła Trójcy Świętej przybyło trzystu gości. Oczekiwali na pannę młodą. Dwie minuty przed nią wkroczyła Hester Bradford, oszalamiająco elegancka, w lejącym się jedwabiu koloru morza i w kapeluszu, który wywołał jęk zawiści każdej obecnej kobiety z wyjątkiem Elaine Norton, czuła bowiem, że jej żółty kapelusik jest przez to podkreślony. W sumie była to żmudna walka, myślała

Elaine, i to coraz trudniejsza, gdyż trzeba było asystować Hester Bradford idąc krok za nią. Ale końcowy rezultat z pewnością był tego wart.

Kościół był rozświetlony mnóstwem świec i wspaniale ukwiecony. Na ten widok Elaine wryła się piętami w ziemię; nie obchodziły jej ani angielskie, ani bostońskie zwyczaje. To miał być ślub amerykański. To, że Hester Bradford bezlitośnie odrzuciła mnóstwo zaplanowanych przez Elaine ekstrawagancji, na chwilę ją zraziło, ale przestała krzywo patrzeć, kiedy żona bostońskiego dygnitarza pochwaliła ją za wygląd kościoła. Poczekaj, aż zobaczysz moją córkę, pomyślała triumfalnie i w tym momencie pojawiła się Karolina. Kroczyła powoli nawą przy ramieniu ojca, który z przykrością uświadamiał sobie, że jego poranny, szary garnitur byłby stosowniejszy dla stroju służby i drużbów. Pierś Elaine pęczniała z dumy. Nadal myślała, że druhny powinny być raczej w pastelowych szyfonach niż w staromodnym białym jedwabiu, który wybrała Hester Bradford, ale musiała przyznać, że wyglądały czarująco, bardzo dobrze dobrane do czterech drużbów, jednakowo wysokich i podobnych do siebie. Wszystko na biało. Anglosaska, protestancka perfekcja. A co się stało z dziewczyną od kwiatów i nosicielem pierścienia? Jak powiedziała Hester Bradford, znacząco rozdymając nozdrza, byli z pewnością nie na miejscu. Dziewczynę przebrano za małą ciuciubabkę, a chłopca za małego bąbelka, jak chciała Elaine, ale nie tak, jak to sobie wyobrażała. Nie zdołała także postawić na swoim co do kwiatów. Instrukcje lady Hester dla Winstona były dokładne: białe pączki róż, dziewiczej czystości, jednak w odcieniu różowego dziewiczego rumieńca. Żadnych, powtarzam, żadnych kolców. Każdy cierni ma być usunięty, a listki błyszczące.

Lecz gdy jej córka szła nawą, Elaine nadęła się niczym indor i zarumieniła z przyjemności. Przegrała długą i ciężką bitwę o suknię ślubną, ale musiała przyznać, aczkolwiek z niechęcią, że stara suka miała rację. W blasku mnóstwa świec jej czysta biel, jej czysty, zwykły jedwab rozbłyskiwał urokiem niewinności. Powłóczysta suknia szeleściła po czerwonym dywanie, na położenie którego nalegała lady Hester. Ciasno zasnurowany stanik uwypuklał jędrne, młode piersi Karoliny. Rękawy, także sznurowane, obciskały nadgarstki. Welon, prosty i zamglony, przechodził w niezwykle długi tren. Twarz Karoliny dzięki pracy ekspertów Elizabeth Arden była promienna i nieskazitelnie piękna. Karolina miała poczucie zwycięstwa. Fakt, że nosiła tiarę Bradfordów, pełne blasku dziedzictwo pierwszej wody diamentów, perły, które lady Hester własnoręcznie włożyła jej na głowę, był miarą zaufania, jakim ją obdarzono. Kiedy więc Brad złowił jej spojrzenie, uśmiechnęła się do niego pogodnie i spuściła poważnie oczy. Gdy stanęli przed biskupem, poczuła na swojej dłoni jego władczy uścisk. Teraz! Teraz jest mój, pomyślała.

Następnie, ponieważ na Mount Vernon Street byłby za duży tłok, zważywszy na liczbę gości - trzysta osób - przyjęcie odbyło się w Ritz Carlton. Podano jaja przepiórcze, gotowanego na parze łososia z posiadłości Arun w Szkocji, homary, kury genueńskie w auszpiku, szkocką polędwicę wołową, brzoskwinie po prowansalsku i talerze tych rozkosznych ptifurek z Fortnums; wszystko zakrapiane nieprawdopodobną ilością Dom Perignon rocznik 47.

Gdy Karolina poszła się przebrać, Elaine wydała z siebie okrzyk radości:

- Nareszcie!

Karolina spojrzała na matkę z niechęcią.

- Uspokój się - powiedziała chłodno. - Pamiętaj, kim jesteś i gdzie się znajdujesz.

Była już panią J. Withrop Bradford V i tej nocy, w ich ślubnym apartamencie w Stanford Court (gdzie zatrzymali się przed wyruszeniem na statku „Queen Elisabeth II” w sześciotygodniowy rejs), Karolina wprowadziła w życie wszystko, czego się tak wytrwale uczyła.

- O Boże, Karo - powiedział Brad, gdy dała mu dojść do głosu; wciąż ciężko oddychał. - Nigdy o tym nie marzyłem...

- Trzymałam to wszystko dla ciebie, skarbie. Tylko dla ciebie. Wiedziałam, że pewnego dnia będziemy razem, nawet kiedy ty byłeś...

- To był błąd. - Brad zlekceważył ją szorstko. - Najgorszy, jaki w ogóle popełniłem. Matka, jak zwykle, miała rację. To było pochopne i chore. Myślałem kutasem, a to jest zawsze fatalne.

- Słyszałam, że jest bardzo piękna - powiedziała Karolina niewinnie.

- Zewnętrznie! Ale pod skórą miała czystą węglową stal. Jezu, nigdy się co do niej nie myliłem! Ambitna, zimmokrwista suka, twardo grająca, żeby dostać, co chce, a kiedy już dostała, skupiła uwagę na tym, co ją naprawdę interesowało, na karierze. Matka pokazała mi, jak wymanipulowała to całe paryskie projektowanie! A potem odwróciła kota ogonem i mówiła, że to matka nią manipulowała! Boże, ale ona jest mądra. Nawet kiedy mówiła matce, że nie chce za swoją pracę honorarium. Że wykona ją w dowód wierności. Wierności! Chryste, jedyne, w co wierzy, to ona sama. Żeby potem zagrozić sądem! Poszedłby na to, ale matka nie chce mieć złej prasy. I Bóg jeden wie, że ta suka prawie ją wykończyła.

Karolina ukryła twarz na piersi męża.

- Hej... - Brad bardzo się wzruszył. - Nie ma potrzeby płakać.

Biedne dziecko, myślał rozczulając się, ona naprawdę mnie kocha.

Nie widział jej twarzy, chociaż czuł jej drżące ciało. Nie wiedział, że to śmiech.

Wrócili do Bostonu cudownie jedno drugim zaspokojone. Brad doszedł do siebie, a Karolina dbała, by był w doskonałej kondycji. Gdy zamieszkali w Mount Vermont, po Julii nie pozostało ani śladu. Wszystko, co zrobiła, zostało zniszczone i zmienione.

Karolina i Brad zajęli apartament pana domu, gdyż lady Hester uparła się, że tak ma być.

- To jest dom Brada, on jest jego głową, a więc ma do tego prawo. Dla mnie nada się ten na drugim końcu korytarza. Czuję, że po tym ataku serca muszę mieć kogoś w pobliżu.

Bardzo mądrze, myślała Karolina. Przez pozorne nadanie synowi statusu głowy rodziny potwierdza tylko swój własny. Karolina zachowała spokój. Nie miała zamiaru mieszkać z teściową do końca życia, mimo ostatniego mądrego manewru. Lecz teraz miała mnóstwo czasu.

Jednak wszystko zaczęło się zmieniać. Powróciło dawne zagonienie Brada. Karolina wściekała się, widząc, że cała jej seksualna biegłość nie wystarcza na to, by go krótko trzymać. Dobijało ją, że mąż ma inne kobiety, ale na zewnątrz nie dawała tego po sobie poznać. Dbała o swój wygląd. Kierowana radami teściowej, stała się wystarczająco elegancka, by ogłoszono ją pierwszą damą wyszukanej elegancji pośród młodych bostońskich mężatek.

W desperacji zwróciła się do teściowej, która uniosła brwi i odrzekła zniecierpliwiona:

- Moja droga Karolino, chciałaś wyjść za mojego syna na dobre i złe. Doprowadziłam do tego, że jesteś jego żoną. Lecz małżeństwo, jak to się mówi, jest partnerstwem, a nie niewolą. Nie bądź głupia. Te kobiety nic dla niego nie znaczą, a ty jesteś jego żoną. A to przecież wszystko, czego w ogóle pragnęłaś.

Napotkawszy przerażająco błyszczące oczy lady Hester, Karolina zrozumiała, że teściowa od tamtego pierwszego weekendu wiedziała, na czym Karolinie zależy. I pojęła, że była dla niej wyłącznie kimś, kto odpowiadał jej planom, gdy zabrała się do rozbijania pierwszego małżeństwa syna. Zainstalowała ją jako drugą żonę, ponieważ Brad jej nie kochał. I o to jej chodziło. Ponieważ Julię Carrey kochał, więc Julia musiała odejść.

To, że żadna inna kobieta nie mogła go zatrzymać, że Brad zawsze wracał do Karoliny, przez co przywiązywał ją do siebie jeszcze bardziej, tylko wzmagalo jej cierpienia. Był czuły, troskliwy, namiętny, jakby pewne wewnętrzne niepokoje zostały chwilowo ukojone. Kochał się z nią każdej nocy tak, że doznawała ekstatycznej satysfakcji. Komplementował jej suknie, jej włosy, kupował niespodziewane podarki, brał ją na żaglówkę albo na narty. Chodzili na przyjęcia i do teatru. Do czasu...

Teraz przyglądała się mu, gdy szczotkował włosy, narzucał marynarkę, sprawdzał nerwowo portfel, klucze, karty kredytowe i wiedziała, że znowu ogarnęło go szaleństwo.

Ostatniej nocy kochał ją po to tylko, by móc nad nią panować. Pragnęła umieć mu odmówić, powiedzieć mu, żeby poszedł sobie do diabła, ale wystarczyło, że jej dotknął, i była zgubiona. Przywierała do niego namiętnie, okrywała jego twarz dzikimi pocałunkami, wykrzykiwała podczas szczytowania jego imię, mówiła mu, że uwielbia go i czci.

- Dlaczego jesteś dla mnie tak okrutny? - szlochała.

Po raz pierwszy próbował powiedzieć jej, jak to z nim jest.

- Wiem, że czasem jestem niezdolny, ale pamiętasz, że cię ostrzegałem. Na początku. Mówiłem ci, że nie jest łatwo ze mną żyć. Jest we mnie jakieś nienasycenie, którego nie potrafię opanować.

- Słyszałam, że z nią nigdy taki nie byłeś.

Poczuła napięcie jego ciała. W tych dniach nigdy o niej nie wspominał.

- Nie będziemy o tym mówić - odrzekł oschle. - Z tym już skończone, koniec.

- Ja nigdy nawet nie spojrzę na innego mężczyznę. Dlaczego musisz mieć inne kobiety?

Zdjął rękę z jej ramienia, wstał z łóżka i położył się na swoim.

- Nigdy mnie nie kochałeś, nigdy! - Karolina płakała.

- Kochać! - Jego głos był nieprzyjemny. - Jezu Chryste! Mam już dosyć tego tak zwanego kochania, dziękuję. To nedorzecznosc, przeklęta sprawa. Wolę seks, jest, do diabła, bardziej uczciwy.

- Czy nie dałam ci takiego seksu, jakiego potrzebowałeś, i to z miłością? Czy kiedykolwiek ci odmówiłam?

- Chryste! - wybuchnął. - Czy pomyślałaś kiedykolwiek, że się nudzę?

Karolina krzyknęła jak ranione zwierzę.

- Poznałem cię, Karolino, z każdej możliwej strony. Po pierwsze, minęła fascynacja. Nie ma już wyzwania, nie ma tajemnicy. Nie to co z... - urwał.

Karolina wyprostowała się, z jej oczu kapały łzy.

- Nie jak z nią, chciałeś powiedzieć!

- Dobrze, jeśli chcesz prawdy! Nie, nie jesteś taka jak ona, i żadna inna kobieta nie była ani nie będzie. Ona jest tak głęboka, jak ty jesteś płytka, czy to chciałaś wiedzieć? Miała głębię, jakiej nigdy nie zgłębiłem, nigdy jej nie poznałem do końca, nie wiedziałem, jaka naprawdę była. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, myślę, że jest tajemnicą nawet sama dla siebie. Czy teraz jesteś zadowolona? I mężczyzna, który spotka się z tego rodzaju zagadką, chciałby wiedzieć, że tylko on potrafi ją rozwiązać! Fakt, że nigdy mi się to z nią nie udało, że była wyzwaniem, które nigdy nie milkło i bolało, nie zmienia tego, że była zimnokrwistą, fałszywą suką, którą mimo to nadal mam za najbardziej namiętnie oddającą się kobietę, jaką kiedykolwiek znałem. Czy to odpowiada na twoje pytanie?

Nie czekając na odpowiedź wyskoczył z łóżka, wpadł do swojej garderoby i zatrzasnął za sobą

drzwi. Karolina zapiszczała:

- Gnojek!

Rzuciła za nim poduszką i zalała się łzami. Była w stanie szoku. Coś w niej pękło. Coś zamordowało w niej uczucie do niego, gdy opowiadał o swojej pierwszej żonie z taką goryczą, a nawet udręką. Nadal o niej myślał, nadal jej pragnął. Powiedziała sobie: „Nienawidzę go!” I było to zamierzone. Jej uczucia ziębły i umierały. Wbrew wszystkiemu, nie była zdolna wyzwolić w nim miłości. Nie udało jej się wziąć go pod klucz. Nie. Wciąż ta kurwa go miała! Porównując doskonałość pierwszej żony z jej własnymi wadami, Brad niewybaczalnie ją poniżył. Pokazał, że po prawie dwuletnim małżeństwie nadal, w głębi duszy, Julia Carrey miała na niego wpływ, choć próbował się tego pozbyć. Fakt, że ostatnio nie wspominał jej imienia, nawet gdy głośno ją oskarżał, tylko potwierdzał podejrzenia Karoliny. Ile razy kochał mnie wyobrażając sobie, że robi to z nią? Ile razy wymawiał moje imię na głos, a w duchu jej? Skurwysyn - wściekała się. Niewierny, kłamliwy skurwysyn! Odpłacę mu za to, doczeka się tego. I ta wredna suka, jego matka. Użyli mnie dla swoich celów, wydymali i odrzucili.

Zapomniała już, co zrobiono, by mogła zdobyć Brada. Wiedziała tylko, że na koniec nie udało jej się nad nim zapanować. Nic dziwnego, że jego matka pochwała jego niewierność. Właśnie to jej odpowiada. Nie obchodzi jej, ile kobiet on pieprzy, tak długo, jak długo żadnej z nich nie kocha. I dlatego pozbyła się Julii Carrey.

A więc wiedziała, że mnie nie kocha i nigdy nie pokocha. Wszyscy byli jej marionetkami, jeżeli dawało jej to władzę nad synem. W porządku, myślała Karolina, nadszedł czas, by podłożyć minę. Przystanę brać pigułki. Nie powiem mu o tym. Będę miała dziecko. Przywiążę go do siebie. Nie znajdzie sposobu, żeby się uwolnić od małżeństwa, ponieważ zablokuję wszystkie wyjścia.

Wstała, przeszła obok niego w milczeniu do swojej łazienki. Powoli, ostrożnie wyjmowała każdą pigułkę z jej plastikowego kokonika i wrzucała do ustępu. Potem wsunęła puste kartoniki na ich miejsca i schowała z powrotem. Czas nadszedł. Dwa lata to wystarczająco dużo. Jego matka czyniła ostatnio niedwuznaczne aluzje do odpowiedzialności. Dam im odpowiedzialność, myślała Karolina, wpatrując się w swoją białą, zaciętą twarz odbijającą się w ściennym lustrze. Skręcę mu nią kark.

Rozdział szesnasty.

Gotowa? - spytał Markus zaglądając przez drzwi, a kiedy zobaczył, jak Julia wygląda, wszedł do pokoju.

- Ho, ho, czy spodziewamy się po tym wieczorze czegoś więcej?
- Podoba ci się? - Julia ubrała się w kostium z szarego welwetu, z obcisłą marynarką i małym kapelusikiem. Jej oczy błyszczały jak brylanty.

- Bardzo.
- Mam tam stanąć przed zgrają twardych dziennikarzy, takich, co to wszystko w życiu widzieli.
- Świetnie, kochanie. Od szmat do szat w ciągu pięciu krótkich lat. Od Julii Carrey do firmy „Julia Carrey - urządzenie wnętrza” z dużym kontem w banku i zapelnioną książką zleceń.

- Dzięki twoim wysiłkom na moją korzyść. - Julia wspięła się na palce i musnęła go w policzek.
- Nigdy nie tracę z oczu moich dwudziestu procent. Otoczył ją ramieniem. - Jesteś dobra, mała. Naprawdę dobra.

- Wyglądasz na zdziwionego.
- Zadziwiasz mnie dzień w dzień. Ten hotel zmusił dziennikarzy do pośpiesznej i bezładnej bazgraniny. Wszystkie czołowe miesięczniki wysłały fotografów, więc przyozdobisz ich stronice, a kto wie, może i okładki. Uciałem sobie też małą rozmowę przez Atlantyk i dostałem paru europejskich korespondentów pism amerykańskich. O twoich projektach się mówi. Teraz pójdziesz i zrobisz to sama. Dostyc chowania się po kątach. Swoje terminowanie już zakończyłaś. Przystajesz pracować za psi grosz. Ten hotel jest pierwszą z naprawdę wielkich prac, z jakimi przyjdzie ci się zmierzyć. Dla firmy „Julia Carrey - urządzenie wnętrza” nadchodzi wielki czas, ale o tym potem. Na razie masz swoją pierwszą konferencję prasową i, skarbie, daj im popalić.

Następnego ranka, była to sobota, Julia siedziała w łóżku obłożona papierami. Był w nich zgodny chór pochwał za hotel, nowy znak firmowy zbudowany w Kingsbridge dla zamożnych Arabów i projektowany z myślą o nich, a także niemało ciepłych słów o Julii. Komentowano jej karierę i współpracę z Markusem Levine'em. Jedynie popularne, żadne sensacji dzienniki wspominały o jej krótkim małżeństwie z szacownym bostończykiem, a jedno z nich publikowało nawet wczesną fotografię Brada i wspomniało o obecnym małżeństwie z Karoliną Norton z Filadelfii.

Wiele miejsca poświęcono urodzie i elegancji Julii, a także temu, iż stała się kobietą sukcesu, co dawało jej wyśmienite perspektywy na przyszłość. Markus otrzymał swoją porcję zainteresowania mediów, jednakże lwia część przypadła Julii. Zanim zdążyła wszystko przeczytać, rozzwoniły się telefony.

Tego wieczora poszła z Markusem na uroczystą kolację. Była dumna, że rozpoznano ją, gdy wkroczyła do restauracji Connaught. Znalazła się tu po raz pierwszy od dnia ślubu z Bradem, ale szef sali powitał ją wymieniając jej nazwisko, które ludzie powtarzali z uśmiechem przy stolikach, gdy je

mijała. Popularność jest cudowna, myślała, świadoma swojego wyglądu w sukni koloru głębokiej, morskiej zieleni. Jej rude włosy płonęły. Przez pięć lat projektowała wnętrza porządnych, stopniowo coraz bardziej luksusowych restauracji, salonów fryzjerskich i kilkunastu specjalnych hotelowych apartamentów. Sławę przyniósł jej ogromny, luksusowy West End Hotel. Telefony dzień w dzień przynosiły coraz to nowe, lukratywne zlecenia, tak że miała pracy na dwa lata, i to dla sławnych osób. Między innymi międzynarodowa gwiazda, symbol seksu, poprosiła, by Julia urządziła jej dom w Boltons.

Dotarła do stolika Markusa. Nawet w czarnej muszce wyglądał jak hipis. Teraz bardzo pragnął o czymś ją poinformować.

- Skarbie, mam dla ciebie wiadomość!

- Ja też.

- Nie tak dobrą jak moja. Robota. Ukoronowanie twojej sławy.

- Gdzie? Co? Kto?

- Następny hotel, prawdziwy gigant. Dla konsorcjum arabskiego. Mają taki szmal, że mogliby kupić i sprzedać ten, który właśnie skończyłaś. Marzy im się bizantyjski przepych i wybrali ciebie.

Julia bardzo się tym zainteresowała.

- Cmokali nad Sirocco, ale chcieliby czegoś jeszcze bardziej...

- Arabskich nocy?

- Właśnie.

- Gdzie?

- W Los Angeles. Julia zbladła.

- O co chodzi? - Markus spojrział na nią spode łba.

- Powiedziałam ci na samym początku, żadnych prac w Stanach. Są dla mnie pechowe.

- To było kiedyś! Teraz masz mocną pozycję, jesteś sławna, odniosłaś sukces. Pora rozwinąć skrzydła. Poza tym, tu chodzi o majątek. Odrzucać dwa miliony dolarów tylko dlatego, że trzeba po nie sięgnąć? O co chodzi?

- Hester Bradford - odparła.

- Daj spokój. To było pięć lat temu.

- Dla niej i pięćdziesiąt nie stanowi przeszkody, jeśli coś postanowi.

- A co do licha może ci ona teraz zrobić?

- Jenny.

Markus wybałuszył oczy.

- Jenny? Julio, na miłość boską! Dziecko Lindbergha porwano prawie pięćdziesiąt lat temu i kidnaping jest przestępstwem federalnym. Nawet ona by się zawahała.

- Żeby mnie zniszczyć, nie zawaha się przed niczym - stwierdziła Julia. - Ale nie to mam na myśli. Zrobi wszystko, żeby udowodnić, że jestem złą matką. - Chwilę milczała. - Wiesz, że małżeństwo Brada jest bezdzietne.

Markus ryknął pogardliwym śmiechem, aż się ludzie zaczęli oglądać.

- Jezu, chyba sława uderzyła ci do głowy.

- Myślę o tym, co jej uderza do głowy.

- Ona nienawidzi twoich flaków, więc dlaczego miałyby zabrać twoje dziecko?

- To także dziecko Brada.

- Aha. Tu jest pies pogrzebany. O niego chodzi, a nie o nią.

- Nie bądź śmieszny.

- Kochanie, daj spokój. Jestem Markus. Znam cię. Przez swojego eks-męża trzymałaś mnie na dystans przez pięć lat.

- Powiedziałaś ci na samym początku: żadnego osobistego zaangażowania.

- Ani ze mną, ani z nikim innym! Święta Julia, to jest twój problem. Demonstrujesz bez końca, a ja mam potwierdzić, że dajesz sobie radę bez mężczyzny. Nadal jednak nie wiem czy to sadyzm, czy masochizm. Wiem tylko, że ma to związek z twoją dumą i z tym, że jesteś uczuciowym tchórzem, i wszystko przez tego skurwysyna bez charakteru!

- Nie chcę słuchać listy moich wad.

- Możliwe, ale jesteś mi winna wyjaśnienie, dlaczego nigdy nie próbowałaś z nimi walczyć.

- Dostałam krótką, ostrą lekcję, a nigdy trzy razy nie popełniam tego samego błędu - odpowiedziała chłodno. - Byłam z tobą szczerą. Tylko praca, i przy tobie robiłam to dobrze.

- Za niezłe pieniądze. Dla mnie zawsze i wszędzie.

- Nie zauważyłam, żeby ci na czymś zbywało - odrzekła nieprzyjemnym tonem.

- Nie umiem tak jak ty obywać się samym smakiem, a poza tym nie rozumiem, dlaczego masz taka być. Ale nie wierzyłem w to ani wcześniej, ani nie wierzę teraz. Szlag mnie trafi, jeśli odpuścisz dwa miliony dolarów tylko dlatego, że chcesz pokazać, jak bardzo jesteś samowystarczalna. Kiedy mówiłaś mi o czystej kartce, zapomniałaś dodać, że jest zapisana sympatycznym atramentem!

Julia zaczerwieniła się. Markus nigdy nie dobierał słów.

Mówił to, co mu przyszło do głowy, nawet jeśli sprawiał tym przykrość.

- To nie tylko twoja sprawa, skarbie. Także moja i moich dwudziestu procent. Szlag mnie trafi, jeśli pozwolę ci zbyć mnie tylko dlatego, że robisz w majtki ze strachu przed jakąś starą kretynką, co najpewniej dawno już o tobie zapomniała, albo eks-mężem, o którym ty zapomnieć nie potrafisz.

Jego głos ranił ją do żywego.

- Ta twoja nowa kartka jest tak samo czysta, jak ty jesteś teraz spokojna i blada.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. - Julia odpowiadała cicho, ale z wściekłością. I tak ludzie im się przyglądali.

- Moim zdaniem nie robisz tego nawet sama przed sobą. Pięć lat temu dałaś dupy i pozwoliłaś zniszczyć swoje życie nie protestując ani słowem, po czym schowałaś się pod woalkę. Wstań z kolan, Julio, zanim będzie za późno.

- Zaczynasz być agresywny.

- Nie, jestem realistą, a ty jesteś tą damą, która dobrze na tym wychodzi. To gówno, ta Hester Bradford, nic ci nie robi. Jesteś przykładną matką. W twoim życiu nie było nawet powiewu skandalu. Mieszkasz sama i śpisz sama. Czy nie dlatego tak przezornie nie pozwalasz mi nigdy zostać na noc w twoim mieszkaniu? Na temat Hester Bradford masz paranoję, ale naprawdę nie jej się boisz, tylko jej cennego synka.

Gwałtowny oddech i wyraz oczu Julii były jedynymi oznakami jej wzburzenia.

- Kalifornia jest jakieś trzy tysiące mil od Bostonu i Massachusetts się tam nie powtórzy. Wbrew opinii, że jest to królestwo błazeńskich ekscentryków. Kalifornia ma więcej silnych i bogatych ludzi niż Boston i wszystko, co może zebrać cały stan Massachusetts. Ty zaś nie jesteś już kimś bezimiennym, kogo wziął do domu swej matki. Masz nazwisko, reputację, własne układy. Musiałaby dwa razy pomyśleć, zanim by znowu miała się za ciebie zabrać.

- Chodzi mi tylko o to, żeby nie dawać jej okazji.

- Kłamiesz! - powiedział to tak brutalnie, jakby uderzył ją w twarz. - To nadal ten twój eks-gnojek. Tkwił między tobą a mną od początku i trzyma łapę na twoich emocjach.

- Nie wrócę do Stanów i koniec - odparła coraz bardziej zdenerwowana Julia.

- Diabła tam! Nie zamierzam zdać się na twoje widzimisię. Za długo i za ciężko pracowałem nad zdobyciem tego zlecenia, żebyś miała mnie teraz wykołegować, bo jesteś zielona. - I dodał równie twardo jak ona: - Masz tydzień na przemyślenie tego od początku do końca. Za tydzień oczekuję uczciwej, powtarzam, uczciwej odpowiedzi.

Julia o niczym innym nie myślała, za każdym razem jednak, gdy sięgała myślą do zamkniętego i zabarykadowanego okresu swojego życia, odwracała oczy. Tkwiło tam za dużo bólu i cierpienia.

- Nie umiem sobie tego wytłumaczyć - mówiła do Chris. - Chociaż próbuję. Wzdragam się na każdą myśl o postawieniu stopy w Ameryce.

- Dlatego, że on tam mieszka?

- Jak to możliwe? Po tym, co zrobił i kim jest.

- To nieważne. Nadal ma siłę, by cię rozbić, sama wiesz, jak mocno. Tego właśnie się boisz, że mógłby to powtórzyć. Twoją piętą Achilleśa jest to, co masz między nogami. Był jedynym mężczyzną, któremu udało się nad tobą zapanować. - Chris potrząsnęła głową. - On ciebie zmienił, Julio. Zrobił z ciebie kobietę pod każdym względem, ale nie taką, jaką chciałaś być. Wbrew temu, co wykrzykują wszystkie te onanistki o samospelnianiu się i rozwijaniu świadomości, kobieta, żeby być naprawdę spełniona, potrzebuje mężczyzny. Pieją hymny na temat masturbacji jako klucza do wyzwolenia... Ale do mojego zamka nigdy on nie pasował. - Spojrzała na nią ostro. - Ani do twojego.

Julia słuchała oszołomiona.

- Myślę, że boisz się tej Julii, w jaką cię przeobraził. Kobiety, jakiej nigdy nie znałaś i nie rozumiałaś. Gorzej: jakiej nie potrafisz opanować. Pozornie radzisz sobie dobrze, bez problemów, szczególnie uczuciowych, których, jak sobie wmawiasz, nie potrafisz wytrzymać. Brad Bradford jest jedyną osobą na świecie, która umie wyrzucić cię z tych szyn. I w rzeczywistości boisz się tego, że gdybyś go znowu zobaczyła, nie umiałabyś powstrzymać go przed zrobieniem tego jeszcze raz.

Wytrzymała rozgorączkowane spojrzenie Julii.

- To przez niego trzymasz Markusa na dystans. Żadnemu innemu mężczyźnie też nie pozwoliłaś się do siebie zbliżyć. On cię rozbił od środka. Pragniesz, ale boisz się brać. Kochasz i nienawidzisz jednocześnie, jak ten biedny bękart Catullus. Pamiętasz książkę, którą mi przyniosłaś, ten przekład amerykański? Zahaczył się o tę kurwę, Lesbię, i zarazem jej nienawidził. Odio et amo, prawidłowe określenie miłości. - Pokiwała ze smutkiem głową. - Dziecinko, jestem doświadczona i wiem, co mówię. Napracowałam się z setką mężczyzn albo i więcej, zanim znalazłam swojego Billa, a ty masz to wszystko w jednym. Modliłabym się do Boga, żeby kiedykolwiek mieć Brada Bradforda. - I dodała bezbarwnie: - Zniszczyłaś to, Julio. Zawsze chciałaś od niego więcej, niż mógł ci dać. To ta twoja perfekcja. Tylko jakaś nadludzka bestia byłaby wystarczająco dobra dla Julii Carrey. Nigdy nie pomyślałaś, że perfekcja jest perfekcyjnie nudna? Twój problem polega na tym, że przeszkadza ci nawet najmniejszy pryszczyk. Jeśli teraz, po pięciu latach, tak się czujesz, to dlaczego nie oparłaś mu się we właściwym momencie? Zawlokłabym go za kark do matki, żeby powiedziec im kilka rzeczy. Ale nie ty. O nie. Woliałaś zachować swoją godność. Pobrudzić sobie łapki albo poniżyć się do ludzkich odruchów to nie dla ciebie. Wolisz widok ze swojego piedestału! I wcale nie dlatego, że nie potrafisz walczyć, kiedy musisz. Widziałam ciebie w akcji, ale tylko gdy chodzi o pracę. Przed

wszystkim innym uciekasz jak diabeł przed wodą święconą.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - powiedziała Julia zdławionym głosem. - Chociaż bardzo bym chciała.

- Kilku spraw nie umiałaś wyjaśnić nigdy. Każdy jest mieszaniną dobra i zła, gorąca i zimna, strachu i odwagi. Moja teoria jest taka, że wychowałam się poza normalnymi prawami. Matka, ojciec, dzieci. Straciłam rodziców, gdy byłam zbyt młoda, by wiedzieć, co oni znaczą, i ukształtowała cię stara, despotyczna kobieta, równie arogancka jak twoja eks-teściowa. To ona wbiła ci do głowy, że miłość jest słabością charakteru, że trzeba jej unikać niczym ostatecznej głupoty. Nic dziwnego, że gdy było ci z tym źle, wmawiałaś sobie, że to dlatego, że nie podążasz drogą tej właśnie prawdy. Poza tym zapomniałaś o tym, że nigdy nie miała na nią monopolu. Pojawia się pod różnymi postaciami. Markus ma rację: na złość ciotce odmrażasz sobie uszy. Podejdz do lustra i zobacz, jak wyglądasz!

Julia nigdy nie widziała Chris tak rozzłoszczonej. Zaalarmowało ją to. Piedestał? Czy taka jestem? Wstała i podeszła do lustra, żeby przyjrzeć się swojej twarzy. Bez nosa, pomyślała, wyglądałabym osobiwie.

Gdy powiedziała Markusowi, że akceptuje kalifornijską ofertę, stwierdził:

- Wiedziałem, że dojrzysz w tym sens.

Nie przemogła się i nie powiedziała mu, że tego jednego właśnie nie dostrzega.

Hester Bradford wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- Hester Bradford... Czekałam na wiadomość od ciebie. Odchyliła się z grymasem w fotelu. Przez te lata stan jej artretycznego biodra znacznie się pogorszył. Nie mogła już poruszać się bez pomocy czyjegoś ramienia albo laski. Gdy słuchała swojego rozmówcy, gryzmoliła po bloku listowym i tak już pokrytym figurami. Tym razem rysowała literę „J”, poskręcana i wrytą głęboko w papier.

- Jesteś całkiem pewien, że nie rozmyśli się w ostatniej chwili? Dobrze, dobrze. Nie muszę ci przypominać, że twój dobrobyt, a nawet bezpieczeństwo, zależy od mojej pewności wszystkiego w każdej chwili. Żadnych przypuszczeń, jeśli łaska! Fakty, dokładne, i to fakty nie do zbiccia. Wiesz, że niczego nie pozostawiam na łut szczęścia. Bardzo dobrze. I tym razem żądam dowodu absolutnego i niezaprzeczalnego. Za długo już w tym siedzisz. Nadszedł czas na konkrety.

Znowu słuchała drugiej strony, a jej ołówek okrążył „J” drutem kolczastym.

- No więc zmień taktykę. Dałam ci bardzo dużo swobody, a teraz masz idealną okazję. Wykorzystaj ją.

Słuchała odpowiedzi.

- Bardzo dobrze. Informuj mnie o wszystkim.

Odłożyła słuchawkę. Bawiąc się telefonem, pograżyła się w rozmyślaniach. Naraz uprzytomniła sobie, co bezwiednie rysowała. Jednym pociągnięciem wyrwała kartkę z notatni-ka, zmięła ją i rzuciła do kosza. Po czym podsumowała swoją pracę.

To tutaj? - spytała Julia wysokim głosem. - To jest nasz dom?

- Dlaczego nie? W Kalifornii musisz żyć tak, by inni wierzyli, że naprawdę żyjesz. A czy nie jest to twój dobry okres?

Dom zwisał nad kanionem, wysoko w Bel Air, cały ze szkła i polnych kamieni.

- Czy to twierdza, mamó? - pytała Jenny, szeroko otwierając oczy.

- Podrap się po główce, Jenny-Strzyżyku - powiedział Markus biorąc ją na barana. - Popatrz, zawsze chciałem zobaczyć twoją matkę z rozpuszczonymi włosami.

Julia przysłoniła oczy ręką i oglądała budynek, cokolwiek dziwny nie tylko przez swoją wielkość, ale i swoje odizolowanie. Po drodze na wzgórze nie widziała innych zabudowań. Naraz drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich Japończyk. Kłaniając się z dłońmi położonymi na kolanach, zapraszał do środka.

- Witajcie - powiedział i rozpląnął się w uśmiechu. - Nazywam się Ito. Wejdziecie?

Kiedy weszli, Julia przełknęła ślinę, z trudem łapiąc oddech. Luksus był wręcz porażający, nadmierny, straszliwie drogi. Jak środek haremu. Błyszczące materiały w rozpustnych barwach, mnóstwo kryształów i złocien, nefrytu i hebanu, złota i macicy perłowej, frędzli i lamówek.

- Arabowie lubią kolory wyjaśnił Markus.

- I wszelkie domowe wygody - skrzywiła się Julia.

- To jest za darmo! Nie myśl, że pozwoliłbym ci płacić za takie miejsce.

- Za darmo?

- Mieszkanie służbowe. Jakiś książę saudyjski używał go do wydawania przyjęć.

- Chyba orgii - mruknęła Julia.

- Wspaniały widok. A tam jest basen. - Markus zaprowadził ją do ściany okien. Rozległy ogród spływał w dół kanionu, a basen kąpielowy wyginał się w kształt brzuchatej tancerki. Julię przeszedł dreszcz.

- W porządku, nie jest w twoim guście, ale jest za darmo. Na piętrze jest trochę lepiej, chodź i zobacz.

Sypialnie dusiły sybarytańskim przepychem. Dywany niczym falująca trawa, kandelabry jak wodospady, brokaty, lustrzane sufity, wanny wpuszczone w podłogę. Przy jednej z nich alabastrowy labędź, z szyją lubieżnie odchyłoną do tyłu, wyciągał złoty dziób, pełniący rolę kurka.

Julia wybrała sypialnię, która wydawała się jeszcze najznośniejsza, bladoróżowo-biała.

- To trąci haremem, a dom jest strasznie odosobniony - powiedziała niepewnie. - Są tu z pewnością jacyś sąsiedzi.

- Oczywiście, że są, ale nie za blisko. W tym leśnym przesmyku płacisz za ten przywilej, że nikt nie dmucha ci w kark. Podejdz do okna... - Odchylił zwykłe tiulowe firanki. - Widzisz tę niebieską plamę między drzewami? To basen twojego sąsiada.

- To dosyć daleko - stwierdziła. Przemknęło jej przez myśl, że Bel Air jest tam, gdzie jedna z jej klientek, aktorka Sheila de Lisie, została obrabowana. Trzech zamaskowanych mężczyzn włamało się do jej domu, pobili majordomusa Filipino i splądrowali pokoje pozostawiając Sheilę w stanie całkowitego przerażenia.

- Czy Ito jest jedynym służącym? - spytała.

- Jedynym, który tu mieszka. Sprzątają inni. - Markus podjął jedną ze swych błyskawicznych decyzji. - Coś ci powiem. Ponieważ masz oczywiste wątpliwości co do swojego bezpieczeństwa, więc dlaczego nie mógłbym zająć jednej z sypialni? Jest ich tu dosyć. W ten sposób będziesz miała w domu mężczyznę... - Uśmiechnął się. - I będziesz się czuła bezpieczniej.

- Ja bym się czuła bezpieczniej - wtrąciła szybko Barbara, młodziutka opiekunka Jenny, ale Julia nie była skłonna zgodzić się na tę propozycję. Gdyby Markus nocował w jej domu, wyglądałoby to tak, jakby ze sobą żyli, a ona była teraz w łatwym zasięgu długich rąk Hester Bradford, w krainie kidnaperów, i gdyby cokolwiek stało się Jenny...

- Dobrze - zgodziła się i zdecydowała, że Markus dostanie najbardziej odległą sypialnię, po

drugiej stronie domu.

- No i dobrze - powiedział Markus po tych ustaleniach. - A teraz może zajmiesz się sobą, podczas gdy ja pojedę do miasta, żeby nadać sprawom bieg. Pójdziemy potem uczyć pierwszy wieczór w Los Angeles. Pokażę ci miasto. Wrócę po ciebie... - spojrzał szybko na zegarek - o ósmej.

- Świetnie.

- A ja mogę pojechać z wami? - spytała Jenny.

- Nie tym razem, cukierczku, ale w niedzielę pojedziesz. Wezmę cię do najpiękniejszego rajku dla małych dziewczynek i małych chłopców, wyobraź sobie... - Przerwał znacząco. - Disneyland!

Twarzyczka Jenny rozpromieniła się.

- Och, wujku Markusie, Disneyland! Zobaczą Kaczora Donalda i Zaczarowany Zamek, i popłynę na wielkiej łodzi, i...

- Wszystko - obiecał Markus. - Będziemy mieli na to cały dzień. W porządku?

Jenny otoczyła jego szyję ramionami i dała mu głośnego buziaka.

- Tak, Markusie!

Julia uśmiechnęła się na ten widok. Jenny uwielbiała Markusa, który traktował ją, jakby była księżniczką.

- Moja dziewczynka - powiedział stawiając ją z powrotem na podłodze. - A teraz zmykaj do Barbary.

Mała wybiegła, a on zwrócił się do Julii:

- Dziś wieczór włoż najlepszą suknię. Chcę, żebyś pewne osoby kłóła w oczy. Wybierz tę czarną, ze złotymi haftami.

- Tak, Mistrzu. - Julia dygnęła.

Szyfon z liśćmi haftowanymi złotą nicią, z dekoltem w łódkę, rozchyłał się na plecach w głębokie V. Talię podkreślała szeroka szarfa ze skóry miękkiej jak jedwab. Właśnie ją zawiązywała, gdy zadzwonił telefon.

- Spóźniam się - powiedział. - Czy mogłabyś ty przyjechać do mnie? Podjedź taksówką do Century Plaza, to nie jest daleko. Spotkamy się w Lobby Court piętnaście po ósmej, dobrze?

- Świetnie.

Poszła powiedzieć Jenny dobranoc. Dziewczynka siedziała wyczekująco na łóżku.

- Mamusiu, wyglądasz jak czarodziejka!

- To piękna suknia, proszę pani - zachwyciła się Barbara. - Wyglądasz pani olśniewająco.

- To jest zamierzony efekt - odrzekła wesoło Julia. Pochyliła się, żeby przytulić i ucałować córeczkę.

- Dobranoc, kochanie. Zobaczymy się rano. Ito czekał za drzwiami sypialni.

- Taksówka przyjechała. Pani dobrze wyglądać.

- Dziękuję ci, Ito! - Julia spłynęła schodami i weszła do czekającego samochodu.

W chwili gdy jej auto ruszało w drogę, Brad Bradford siedział w taksówce opuszczającej lotnisko w Los Angeles. Powinien być w samolocie do Bostonu, ale kiedy miał już wyjechać z San Francisco, złapał go telefon.

- Brad?

Nie miał wątpliwości. Gardłowy głos, wibrujący seksem i obietnicą, mógł należeć tylko do Tricii.

- To ty?

- Miła niespodzianka?
- Fantastyczna, taka, jakiej mi trzeba. Gdzie jesteś?
- Na Beverly Hills, Century Plaza. Chcesz przyjechać i trochę się zabawić?
- Czy chcę? Skąd wiedziałaś, że jestem w San Francisco?
- Zawsze wiem, gdzie jesteś, kochanie.

On też zawsze wiedział, gdzie ona jest. I natychmiast chciał się tam znaleźć.

- Złapię pierwszy samolot. Nie zaczynajcie beze mnie. Tricia Tremayne była aktualną królową seksu w Hollywood.

Na widok jej ciała mężczyźni dostawali szczękoscisku. Przeważnie półnaga, na tle srebrnego ekranu. Miała też nienasycony apetyt seksualny i intrygującą zmysłowość, która w łóżku parzyła niczym napalm. Działo się tak zawsze, gdziekolwiek i kiedykolwiek mogli się spotkać.

Tego mu właśnie było trzeba. Jego nastrój natychmiast się poprawił. Powroty do domu napawały go lekkiem. Nie miał po co tam jechać. Pijana żona już go nie bawiła. Nie pasowali do siebie. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, a jej zaczepna drażliwość stawała się irytująca nie do wytrzymania. Na dodatek zrobiła się bardzo gwałtowna, co wyglądało na nadużywanie alkoholu.

- Ponieważ się nudzę! - wyrzucała mu. - Nudzę się, nudzę się, nudzę się!

Matka natomiast nie dawała mu spokoju w sprawie przypuszczalnej niezdolności Karoliny do zajścia w ciążę.

- To nie moja wina - odpowiadał. - Już dwa razy się sprawdziłem. Więc to ona. Nie ma żadnych fizycznych powodów, ale jest za bardzo zdenerwowana! Mówiła, że przybliży swój własny koniec.

Obawiał się seksu z żoną, zawsze czuł się potem zgwałcony. Jej szaleńcze nalegania, by ją nasycił nasieniem. Lekarze radzili, by pozwoliła działać samej naturze, by cieszyła się seksem dla niego samego, a nie traktowała go jedynie jako środka do prokreacji. Ale ona wołała wyczerpywać gorączkowymi napadami i siebie, i jego. Potem czekała, robiąc znaczki w kalendarzu, aż do daty, którą zakreślała czerwonym kółkiem. Kiedy zaś, jak zawsze, ów dzień mijał, rzucała kalendarz i sięgała po butelkę. Upijała się, wyła, klęła i rzucała przedmiotami.

- Nic dziwnego, że nie mogę począć, jeśli ty spędzasz czas w łóżkach niezliczonych innych kobiet. Jesteś spierdolony do sucha, zanim dojdiesz do mnie! - piszczła histerycznie. - Co chcesz zrobić, przewalić całą kobiecą populację? Czuję na tobie ich zapachy, ty niewierny bękarcie!

- Od samego początku wiedziałaś, jakie to będzie małżeństwo. Nie obwiniaj mnie, że czujesz się często zdradzana. I nie z mojej winy nie zachodzisz w ciążę, tylko z twojej!

I tak dalej, i tak dalej.

- Jeden błąd wystarczy - mówiła zimno matka. - Nie mam zamiaru popełniać drugiego. Musisz ją uspokoić, Brad. Ona musi mieć dziecko, a ty musisz mieć syna.

Po pięciu latach małżeństwa Karolina ani razu nie straciła okresu. Była dokładna jak zegarek. Stąd więc jej pijackie szychty.

Boże, rozmyślał w taksówce rozgoryczony Brad. Miałem tyle kobiet, a dwie wystawiły mnie do wiatru. Dzięki Bogu za Tricię. Rozwieje mój smutek, da mi coś, co warto wspominać, nawet jeśli ja sam nie mam nic, na co mógłbym czekać.

Gdy przybył do Century Plaza, podszedł do recepcji wielkimi krokami.

- Proszę zawiadomić panią Tricię Tremayne. Jestem oczekiwany, nazywam się Bradford.

Gdy recepcjonista podniósł słuchawkę, Brad zaczął obserwować zatłoczone i rozświetlone Lobby Court. Pełno tam było ludzi pijących drinki, spotykających się albo oczekujących na kogoś.

Jak zwykle najbardziej zajmowały go kobiety. Oceniał je, snuł różne domysły, po czym odwracał wzrok, aż jego błędzące oczy zatrzymały się na jednej tak bardzo znanej twarzy. Ujrzał swoją pierwszą żonę, zdumiewająco piękną w czerni i złocie; siedziała w głębokim fotelu i kartkowała jakiś magazyn. Jego serce podskoczyło tak gwałtownie, że cofnął się wprost na palce stojącego za nim mężczyzny.

Przeprosił go odruchowo i odszedł do stojącego obok stelaża z widokówkami. Wpatrywał się w nią intensywnie. Windy wypłuły nowy tłum gości, co zakłóciło mu widok. Niecierpliwie, niemal szaleńczo, poruszył się i rozpoznał inną twarz. Już otwierał usta, żeby zawołać imię, gdy zorientował się, że mężczyzna idzie właśnie do niej. Bez wahania, roześmiany podszedł wprost do jego pierwszej żony. Ona zaś spojrzała na niego i zobaczył, jak jej twarz rozjaśnia promienny uśmiech. Mężczyzna pochylił się, pomógł jej wstać i pocałował ją w usta. Przez chwilę rozmawiali stojąc w miejscu, po czym podał jej ramię i poprowadził do wyjścia. Brad poszedł ostrożnie za nimi i patrzył, jak czekają na samochód, zobaczył, jak mężczyzna troskliwie, pomaga jej wejść do środka, a potem wchodził sam. Duży czarny Lincoln stał przez chwilę, mrugał światłami, aż ruszył w stronę Los Angeles.

Długo patrzył za nimi. Potem odwrócił się i powoli, jak lunatyk, poszedł w kierunku fotela, w którym przed chwilą siedziała Julia. Był jeszcze ciepły ciepłem jej ciała, czuł jej zmysłowe perfumy. Jakby broniąc się, mocno zamknął oczy.

- Och, Julio, Julio - powtarzał w duchu.

Nie myślał o niej od dawna. Wykreślił ją ze swojego życia.

Teraz czuł się tak, jakby ktoś trzymał to życie nad płomieniem i przypiekał, a miesiące, jakie z nią spędził, ukazywały mu się powoli i coraz wyraźniej, aż zobaczył je całkiem jasno, szczególnie ostatni miesiąc: straszna konfrontacja, która zaczęła się telefonem od Binki, histerycznym, płaczącym, dzikim, panicznym i oszalałym ze strachu, oskarżającym Julię, o spowodowanie ataku astmy matki.

Oszołomiony i zaszokowany, dostał potwierdzenie od Abby.

- Matka jest w Massachusetts General, zawał. Zdaje się, że Julia obrzuciła ją wszelkimi możliwymi brudnymi wyzwiskami, co wywołało atak astmy i doprowadziło do zawału. Jest na oddziale intensywnej opieki. Chciałabym, żebyś był tu tak szybko, jak tylko możesz.

Ale nie wcześniej, nim skonfrontuje się z Julią. Ujrzał teraz w myśli jej twarz, absolutnie białą, z czerwoną, kapiącą z niej krwią, z sinym śladem jego otwartej dłoni na policzkach.

Otworzył oczy i złapał przechodzącego kelnera.

- Bourbon. Podwójny, z lodem, Jack Daniels. Szybko.

Nie miał pojęcia, że można być tak zaszokowanym, tak niewiarygodnie wstrząśniętym. Dosłownie odchodził od zmysłów. Podczas lotu do domu nadal był w amoku. Pił cały czas nad Atlantykiem i ciągle był przeraźliwie trzeźwy. Gdy w końcu zobaczył matkę, wszystkie te strzykawki, igły, pikające monitory, papierowo bladą twarz, słaby głos, spokojne niczym zombie. Padł na kolana bełkocząc Bóg wie co, błagając ją, by nie umierała. Otworzyła oczy, patrzyła nań przez minutę nie rozpoznając go, aż ujrzał, że piękne oczy rozbłysły i wypełniły się łzami.

- Mój syn.

Ledwie słyszał jej szept.

- Wiedziała, że przybędziesz, kiedy będę ciebie potrzebowała. Zostań ze mną, Brad, nie opuszczaj mnie, proszę...

Był przerażony. Jego matka, jego niezłomna, niezachwiana, niepokonana matka pomniejszona do tej straszliwie bezradnej, wzruszającej i wystraszonej kobiety. Gdyby Julia tam była, byłby ją zabił,

roztrzaskałby tę piękną twarz, połamał wszystkie kości.

Odmawiał odejścia od matki, aż lekarze oświadczyli, że niebezpieczeństwo minęło w chwili, gdy zjawił się obok niej, zadziwiająco prędko.

- Jesteś lepszy niż każde lekarstwo - powiedzieli. - Jeszcze przed twoim przybyciem drgała jak firanka na wietrze, a teraz jej serce jest mocne jak nowa pompa. Odkąd ma cię z powrotem, widać, że chce żyć.

Kiedy wreszcie zawieziono ją z powrotem do domu, była bardzo wszystkim zasmucona i obwiniała samą siebie.

- Zamartwiałam się całymi tygodniami, najdroższy, odkąd wyjechałeś do Paryża. Dochodziły do mnie takie rzeczy. Tak się martwiłam, co ona ci robi.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- A czybyś mi uwierzył? - powiedziała, ze smutnym wyrzutem. - Ona cię zaślepiała, najdroższy. Świata poza nią nie widziałeś.

- Widziałem to, co chciała, żebym widział.

- Teraz jestem pewna. Miałam co do niej wątpliwości od samego początku. Tak zimna i nieludzko opanowana. Nienaturalna we wszystkim. Zawsze myślałam, że jest jak piękny, biały stalagmit, tak zimna i twarda. - Piękne oczy zawrzały gniewem. - Nie mogę uwierzyć, że obrzuciła mnie tak obraźliwymi przekleństwami...

- Uspokój się. Nie możesz się denerwować.

- Najdroższy chłopcze, wiedziałam, że przyjedziesz, kiedy będę cię potrzebować. Czy nie mówiłam, że jesteś moim życiem? - I dodała niespokojnie: - Dlaczego kłamała na temat tych foteli? To było takie głupie. One już były w moim posiadaniu. Po co miałabym wysyłać ją do Wersalu, jeśli nie było tam markizy?

- To był jej wymysł. Chciała spędzić wieczór z tym szwajcarskim lizusowatym bękartem.

- Mój biedny, biedny chłopiec. Jak ona ciebie skrzywdziła. Nigdy jej tego nie wybaczę. Nigdy!

- Nie będzie miała szansy zrobić tego nigdy więcej. To już skończone. Już po wszystkim. Powiedziałem jej to.

- Tak mi przykro, najdroższy chłopcze. Wybacz mi - powiedziała ze smutkiem.

- Ja mam ci wybaczyć?

- Czuję, że jestem przyczyną tego wszystkiego...

- Nigdy! Ona cię wykorzystała, to wszystko! I nigdy więcej nie będzie miała szansy. Rzuciłem ją. Im wcześniej, tym lepiej.

- Będziesz miał swoją wolność, najdroższy chłopcze.

Ale Julia zaczęła pierwsza. Pewnego przedpołudnia, kiedy matka czytała listy, poznał po jej twarzy, że stało się coś złego.

- O co chodzi?

- Ona żąda rozwodu. - Twarz matki wyrażała osłupienie. - W tak złych słowach, nie, nie będę ich powtarzać. Zostaw to mnie, najdroższy. Ona nie może ci tego zrobić. Zmięta list. - Nie oczerni twojego imienia.

- O czym ty mówisz?

- O pewnej kobiecie i przyjęciu w ambasadzie. Zapomniał o tym. To tylko jej złośliwość, nieważne.

- Ja ciebie nie winię. Mężczyzna musi znaleźć gdzieś zadowolenie. A z żoną taką jak ta... Nie martw się, drogi chłopcze. Łatwo jej to nie pójdzie. Zdecydowałam, że będziemy walczyć, ja będę walczyć! Oskarżać ciebie, ciebie, z taką gwałtownością!

- Nie możesz się zamartwiać.

- Zmartwiłoby mnie, gdybyś nie pozwolił mi rozprawić się z tą... tą przygodą! Zorientuje się, że nie jestem zwykłym przeciwnikiem. Pozwól mi rozprawić się z nią, dla swojego dobra. Nie mogę widzieć ciebie rozbitym.

- Rób, co tylko chcesz - odpowiedział matce uspokajająco. - Wiem, że mogę ci zaufać, że zrobisz to, co trzeba, jak zawsze.

I zrobiła. Brad tylko podpisywał, co kazano mu podpisać, bez wnikania w szczegóły. Wszystko, czego pragnął, to wyzwolić się od całej tej sprawy. Zgodnie z obietnicą, matka rozwiązała rzecz bez najmniejszego nawet powiewu skandalu. Gdy otrzymał ostatnie papiery, zapytał tylko:

- Dlaczego?

Matka wzruszyła ramionami.

- A jak inaczej?

Musiał zatem ją spłacić. Chryste, co za cholerna suka. Cierpiał na samą myśl o tym. On, Brad Bradford, ten, który wyduszał, skończył będąc sam wyduszonym i to do dna. Szczególnie gdy zagroziła, że wystąpi do sądu o zapłatę honorarium za hotel.

Interesowały ją tylko pieniądze! Rasowy gracz został ograny przez oseska.

Na jakiś czas pograżył się w ślepym, dzikim, seksualnym szaleństwie, dając upust mściwości, ale zupełnie bez satysfakcji. Potem zapadł w otchłań bezdennej apatii. Nigdy nie czuł się tak wykończony i zniszczony. Nigdy wcześniej nie był tak opuszczony i odrzucony. Wtedy to Karolina była tak miła, tak cierpliwa; zносиła jego nastroje, stan apatii. Była o wiele bardziej miła i wyrozumiała, niż miał prawo oczekiwać. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że on nie był w stanie jej kochać ani tak jak kochał Julię, ani w ogóle.

Matka także była o tym przekonana.

- Czy jesteś pewien, że Karolina jest tym, czego chcesz? Nie żenisz się z nią dlatego, że to ja myślę, iż ona jest dla ciebie odpowiednia?

- Poprzednio sam wybrałem i spójrz, jak na tym wyszedłem.

- No tak, Karolina nie jest interesowna. Chce tylko ciebie. Dla niej zawsze będziesz na pierwszym miejscu. Nie będzie z tobą konkurować, kochanie, ani nie będzie cię zdradzać. Kocha cię o wiele za bardzo.

I oczekuje za dużo, o wiele za dużo. Więcej, niż był w stanie dać. Próbował, naprawdę próbował, ale mu nie wychodziło. Nie tak jak z Julią, która wylaniała się na powierzchnię z głębi jego szalonych pragnień.

Wyobrażał ją sobie taką, jaką przed chwilą zobaczył. Wyglądała na kobietę sukcesu, pewną siebie i szczęśliwą. Czuł, że jej uśmiech był szczery. Wyglądała też zamożnie. Zawsze dobrze się ubierała, nawet będąc na własnym utrzymaniu, kiedy miała z pewnością więcej gustu niż pieniędzy. Tego wieczora otaczał ją blask pieniędzy; jej suknia aż dymiła forszą. I cała była gładka, wypielegnowana, błyszcząca. - Z pewnością dobrze się jej powodzi. Te pieniądze wydusiła od niego. Tak, z pewnością musi mieć pieniądze, bardzo dużo. Inaczej Markus Levin nie byłby w akcji. Ten oszukańczy skurwysyn potrafi wywąchać szmal zakopany pięćdziesiąt stóp pod ziemią.

Ale co ona z nim robi? Jest jego kochanką, być może. Z głębokiego zamyślenia wyrwało go

wywoływane głośno jego nazwisko.

- Tutaj - zawołał.

- Pan Bradford? Pani Tremayne pyta o pana.

Cholera! Zapomniał o niej, ale nie miał już ochoty jej widzieć. Chciał być sam, żeby myśleć.

- Nie znalazłeś mnie - powiedział zdecydowanie do boya. - Powiedz, że zostawiłem wiadomość, że wezwano mnie do nie cierpiącej zwłoki sprawy. I zrób coś dla mnie... Wymacał w kieszeni dolarowy banknot. - Chcę wiedzieć, czy Julia Carrey albo Markus Levin zatrzymali się w tym hotelu. Wracaj zaraz i powiedz mi.

Nie mieszkali.

Niech tak będzie, ale gdzieś przecież mieszkać musieli. Postanowił dowiedzieć się tego, a także tego, dlaczego tu są i co robią. Nie wiedział dlaczego. Po prostu musiał to zrobić dla spokoju ducha.

Rozdział siedemnasty.

Dobrze się spisałeś, kochanie - pochwaliła go matka, kiedy wrócił do Bostonu. - Wiedziałam, że sobie poradzisz.

- Twoje informacje jak zwykle były związane na ostatni guzik. Fielding nie był nazbyt uszczęśliwiony, lecz albo my, albo nic. W rezultacie utrzymał swoją pracę.

- Dopóki potrafimy go uciszyć. To, że pozwolił zajść sprawom tak daleko, świadczy o tym, że nie jest już tak dobry. Jak tylko będziemy mogli, odstawię go. No więc... - kontynuowała zadowolona. - Myślałam, że wybieraliście się na weekend do Palm Springs.

- Zmieniłem zamiar. Postanowiłem wrócić prosto do domu i przekazać ci dobre wiadomości.

- Drogi chłopiec, taki myślący...

Ale nie o matce. Najpierw poszedł do biura i zatelefonował do firmy detektywistycznej, zatrudnianej przez Bradford i Synowie, gdy potrzebne były informacje o kontrahentach. Objął zwięźle, że chce przeświecić kobietę nazwiskiem Julia Carrey, przebywającą obecnie w Los Angeles, w okolicach Beverly Hills. Streścił jej historię i powiedział, że wymaga wyczerpującego przesondowania jej ostatnich pięciu lat. Praca, życie osobiste, stan finansowy, przyjaciele, zaplecze.

- Cały ten kram. Jest brana pod uwagę do dużej roboty i chcemy znać szczegóły. Rutynowe zamówienie, honorarium jak zwykle plus ekspres. Ale niczego nie wolno pominąć, nawet jej życia osobistego, rozumiesz?

- W porządku.

- Na kiedy?

- To zależy, jak głęboko trzeba będzie kopać. Trzy, cztery, może pięć dni.

- Kop do dna, niczego nie zostawiaj. Raport wyślij do mnie, ale dyskretnie i nie tutaj. Dam ci adres.

Następnie zadzwonił do przyjaciółki w Nowym Jorku, poprosił ją, by zadzwoniła do niego, kiedy otrzyma kopertę, i zatrzymała ją, aż przyjedzie i odbierze przesyłkę osobiście. Cztery dni później zadzwoniła z wiadomością, że przesyłka już nadeszła.

W tym szwedzkim interesie natrafiono na przeszkodę. - Okłamał matkę bez zająknięcia, okazując przy tym irytację. - Muszę lecieć.

Kontrakt był bardzo poważny, wart masę pieniędzy i wiedział, że matka nie zechce narazić go na niebezpieczeństwo. Brad był poza tym w firmie człowiekiem od kłopotów.

- Więc jedź - zgodziła się natychmiast. - Ale informuj mnie o wszystkim.

- Naturalnie.

Co to jest? - zapytała, gdy odbierał kopertę. - Brzydkie zdjęcia?

Na kopercie widniał napis: „Ścisłe prywatne i poufne”.

- Mam nadzieję na jedną lub dwie fotografie. Wielkie dzięki. - Pocałował ją pośpiesznie. -

Zadzwoń do ciebie.

Wyszedł z budynku i udał się do najbliższego baru. Po godzinie i kilku podwójnych burbonach siedział podpierając twarz ręką i wpatrywał się w fotografię pięcioletniej dziewczynki o złotorudych włosach, jego rysach i jego oczach. Jennifer Carrey, zdrobniale Jenny. Urodziła się w sześć miesięcy i parę dni po tym, jak opuścił Julię. Był ojcem i nic o tym nie wiedział. Wszystkie te próby z Karoliną... A tam istniało jego dziecko, córka. Od Julii nie miał żadnej wzmianki. O siebie zaś zadbała wyjątkowo dobrze. Teraz wiedział wszystko. O Levinie, o firmie „Julia Carrey - urządzenie wnętrza”, o renomie, jaką zdobyła, o pieniądzach, jakie zarobiła, o prestiżowych projektach ukoronowanych ostatnim w Los Angeles.

Zamówił jeszcze jednego drinka chcąc ugasić rozpalającą się w nim urazę. Cwana, oszukańcza suka! Nie miała prawa! To nie fair! Jennifer jest także moim dzieckiem! Jak ona śmiała? - myślał użalając się nad sobą. Jakim prawem, dlaczego ona ma wszystko, podczas gdy ja nie mam nic... Nic.

Słowo to obijało się po jego mózgu drwiącym echem, wymykając się, gdy chciał je pochwycić i wyrzucić. Nie opuszczę cię, mówiło mu. Za długo już tu jestem. Brad uniósł szklankę i opróżnił ją duszkiem. Na dnie szklanki znowu ujrział to samo słowo. Zamówił następnego drinka.

Czuł się zmieszany, rozbity i głęboko skrzywdzony. Zamiast czuć, tak jak powinien, że to on wyrzucił Julię ze swojego życia, miał wrażenie, że to ona nim rozporządziła. I lepiej na tym wyszła. A to nie było fair.

Matka będzie wiedziała, jak sobie z tym poradzić, pomyślał. To jest to. Muszę jej powiedzieć, a ona będzie wiedziała, co należy zrobić.

Zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu banknotów. Ręce drżały mu tak, że upuścił je na podłogę. Kiedy schylił się, żeby je podnieść, jego głowa wypełniła się burbonem, wszystko zamaściło się i zaczęło alarmująco wirować. Wstał zataczając się i zawołał do barmana:

- Wezwij taksówkę, dobrze?

- Dziesięć centów - powiedział barman.

Zimne powietrze owiało go tak, że zatoczył się po chodniku. W końcu taksówka nadszła.

- Pijaczków nie biorę - stwierdził zaczepnie taksówkarz.

- Nie jestem pijany, jestem chory.

- I po co się stawiasz? Przecież tu jest bar.

- Zapłacę podwójnie, proszę...

Wtoczył się do brudnej, śmierdzącej gabloty. Zza siatki oddzielającej przednie siedzenia od tylnych taksówkarz krzyknął opryskliwie:

- Rzygnąłeś i płacisz potrójnie, słyszysz? Gdzie chcesz jechać?

Przyjaciółka, widząc go, nie mogła złapać tchu. Zwalił się na drzwi, blady, chory i drżący.

- Boże, Brad! Co się stało? Wyglądasz strasznie.

- Czarna kawa - wystękał, gdy pomagała mu wejść do środka. - I łap to, co leci.

- Lepiej się połóż.

Zaprowadziła go do wielkiej welwetowej kanapy. Przewrócił się i leżał z zamkniętymi oczami, ściskając w rękę kopertę, którą mu dała. Kiedy wróciła z kawą i próbowała wyjąć mu kopertę z ręki, ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Nie, to jest moje! Moje!

Zobaczyła, że z jego oczu trysnęły gorące, gorzkie łzy.

- Moje - powiedział i przewrócił się na brzuch. Jego plecami wstrząsało łkanie.

- Och, Brad, Brad!

Płakał, jakby krwawiła mu dusza.

Położyła niepewnie rękę na jego plecach. Odwrócił się, objął ją i wtulił twarz w jej brzuch. Płakał bardzo długo, ale jakoś się opanował. Stłumił gniew i wypił kawę, trzymając kubek w jednej, a kopertę w drugiej ręce.

Jego stan wywołała zawartość tej koperty, pomyślała. Diagnoza lekarska? Mój Boże, chyba nie jest śmiertelnie chory!

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - spytała zakłopotana.

- Nie, ale dzięki. Zrobiłaś już wystarczająco dużo.

- Niedługo będę musiała pójść do pracy.

Była tancerką. Miała bogatego, ale kiepskiego w łóżku opiekuna. Brad zaproponował jej randkę pewnej nocy, po przedstawieniu i odtąd od czasu do czasu spotykali się. Dzwonił do niej, gdy był w Nowym Jorku. Wyzywająco pewny siebie, atrakcyjny i fantastyczny w łóżku. Ale ten zdesperowany, pokonany mężczyzna nie był tym, którego znała. Przerazał ją i wprawiał w zakłopotanie.

- W porządku, zaraz wychodzę. - Przesunął dłońmi po rozczochranych włosach. - Muszę tylko pójść do łazienki...

Wziął ze sobą kopertę.

Kiedy wrócił, był odświeżony i jedynie blada twarz i zaczerwienione oczy wskazywały na rozpacz. Unikała jego wzroku.

- Dzięki - powiedział nagle, zmieszany. Przy drzwiach pocałowała go w policzek.

- Przykro mi, cokolwiek to jest - wyszeptała i pośpiesznie zamknęła za nim drzwi. Miała nadzieję, że już do niej nie zadzwoni.

Wrócił do Bostonu. Matka była na Farmie.

- Są urodziny pana matki, sir - powiedział Thomas z pewnym zdziwieniem.

Chryste! Zapomniał. Lecz prezent miał już gotowy. Wielki flakon Floris Red Rose i kwiat zrobiony przez Van Cleef i Arpels, z rubinów i szmaragdów, z kroplami rosy z małych diamentów na płatkach. Odebrał go i pojechał na Farmę.

Była tam cała rodzina, łącznie z Patrycją van Schluyer, z którą niedawno ożenił się Jonathan, najstarszy syn Binki. Czekali na niego, żeby przejść do jadalni. Musiał więc pójść na górę i szybko się przebrać, świadom baczących spojrzeń żony; nie miał sposobności porozmawiać z matką na stronie.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - badała go marszcząc brwi, gdy wsparta na jego ramieniu podążała przed wszystkimi do jadalni.

- Dobrze. To tylko jeden z tych zakrapianych lanczów.

- Ale doprowadziłeś wszystko do porządku?

- Jasne, bez problemów.

Tu nie ma żadnych problemów, pomyślał. To wszystko jest nieważne.

- Zwróć uwagę na Karolinę - mruknęła matka, gdy podsuwał jej krzesło. - Wypiła już trzy podwójne Martini. Musimy porozmawiać, kochanie. Tak dłużej być nie może...

- Też chcę z tobą porozmawiać - zgodził się cicho. Uścisnęła jego dłoń.

- Po obiedzie.

Jednakże podczas obiadu Binka wypuściła kota z worka.

- Zgadnijcie, kto przebywa teraz w Kalifornii świetnie sobie radzi? - spytała z błyszczącymi oczami.

- A kogo tam nie ma? - huknęła Abby.

- No tak, ale tej być tam nie powinno.

- Jakiej... tej?

Binka powędrowała oczami do brata, który przez cały czas siedział w posepnym milczeniu.

- Julia Carrey! Zapadła cisza.

- Rzeczywiście. - Lady Hester była nieprzyjemnie zdegustowana.

- Podczas ostatniego weekendu Buffy Peyton widziała ją w Disneylandzie. I zgadnijcie, co jeszcze? Była z dzieckiem. Małą rudą dziewczynką. Buffy nie przyglądała jej się za dobrze, ale powiedziała, że musi być córką Julii, przerwała dramatycznie. - I jeszcze lepiej, zgadnijcie, z kim Julia tam była... z Markusem Levinem!

Lady Hester zerknęła na syna. Brad wpatrywał się w swój nietknięty talerz. Jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

- Myślałem, że Markus siedzi w więzieniu zdziwił się Drexel Adams.

- Matka nie dała sprawy do sądu. Prawda, mam? - spytała Binka z miną niewiniątka.

- Nie miałam dowodów - przyznała matka spokojnie. - Nie widziałam go jednak, odkąd przestał dla mnie pracować. - Przerwała, po czym dodała lekceważąco: Tak się składa, że wiem z innych źródeł, iż Julia Carrey wróciła do Ameryki. - Wzruszyła ramionami. - Ludzie lubią grzebać w starych zgliszcach.

- I oczywiście żyje z Markusem? podjudzała Binka.

- Masz na myśli, że to jego dziecko? - spytała zaskoczona Abby.

Lady Hester z niesmakiem zacisnęła wargi.

- Jestem poinformowana, że dziecko jest rezultatem romansu z Paulem Chambrunem. - Popatrzyła z czułością na kamienną twarz syna. - Nie mówiłam ci tego, żeby cię oszczędzić, najdroższy.

Binka zaśmiała się triumfalnie.

- Zawsze była zimną suką!

- Kto ci powiedział, że to dziecko Paula Chambruna? - spytał Brad.

- Kochanie, mam swoje źródła, wiesz o tym. Na dodatek, no cóż, mniemałam, że dobrze będzie mieć ją na oku. Była tak obłudna. Nie chciałam, by wmówiła ci to dziecko. Na szczęście, jak sądzę, dziecko jest wizerunkiem swojego ojca.

I jest, pomyślał Brad. Widziałem ją. Jest podobna do mnie.

- Ile ma lat? - dopytywała się Binka z zachłanną ciekawością.

- Mówiono mi, że wkrótce skończy sześć.

Abby ciężko westchnęła.

- To by się zgadzało.

Lady Hester zbyła temat lekceważącym gestem.

- Julia Carrey i jej bękart nas nie dotyczą. Jeśli o mnie chodzi, to ona i Markus pasują do siebie. Swój ciągnie do swego. A teraz może napijemy się kawy, a ja otworzę swoje prezenty.

Brad mechanicznie pomagał jej wstać z krzesła. Był bardzo wzburzony. Kiedy powiedziała, że Jenny jest dzieckiem Paula Chambruna, skłamała. Ani przez chwilę nie wierzył, że nie opisano jej dziecka. Matka, jeśli cokolwiek robiła, lubiła wiedzieć wszystko. Jeśli miała Julię na oku, to było to oko sokole. Co znaczyło, że powinna dokładnie wiedzieć, jak wygląda Jenny. A to znaczyło, że

kłamała.

Jego matka kłamie? Dlaczego? Wystarczy spojrzeć na Jenny, żeby wiedzieć, że jest z Bradfordów, a skoro Karolinie nie udaje się począć dziedzica...

Coś, gdzieś było tu nie tak, myślał. Gdzie? Wszędzie. Tak sądził, gdy znowu zobaczył Julię. Jej widok wstrząsnął nim, nawet jeśli pozornie było inaczej. Spojrzał na matkę, rozpluwającą się nad prezentami. Jeśli okłamywała go w tej sprawie, to czy możliwe, by kłamała także w innych?

Kiedy podawał swojej żonie kawę, szepnęła tak, że tylko on mógł usłyszeć:

- Dziękuję... tatusiu!

Targnęło nim i niechcący wylał gorącą kawę na jej podolek. Zaszokowany z trudem wytrzymał jej wzrok. Co do diabła? Jak Karolina mogła to powiedzieć? Jego wzburzenie rosło. Miał wrażenie, że wszystko rozpada się na osobne części, a gdy zorientował się, że Karolina bez zmrużenia łyka najlepszy Armagnac jego matki i podaje szklankę do ponownego napełnienia, wiedział już, że będzie coraz gorzej.

Jednakże stan żony był dla niego doskonałą wymówką, gdy później matka powiedziała:

- A teraz, kochanie, o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- To musi na razie poczekać. Będzie lepiej, gdy zaprowadzę Karolinę do łóżka, zanim trzeba będzie ją zanieść.

Nozdrza matki falowały z niezadowolenia.

- Coś trzeba będzie z tym zrobić - powiedziała zdecydowanie. - Jej przerażające pijackie zwyczaje stają się przedmiotem plotek.

- O tym właśnie chciałem z tobą pomówić - skłamał prędko. - Ale później, kiedy zaprowadzę ją w bezpieczne miejsce.

- Oczywiście, drogi chłopcze. Weź ją stąd. Im wcześniej, tym lepiej. - Machnęła pogardliwie ręką.

Musiał ją trzymać, gdy wspinali się po schodach. Potykała się i zataczała z boku na bok. Trzy podwójne Martini i Bóg raczy wiedzieć, ile koniaków zalała butelką czerwonego, hiszpańskiego wina. Ale nie była aż tak pijana, by nie mogła zakręcić się dookoła niego, gdy tylko zamknął drzwi ich sypialni:

- To dziecko jest tak samo Paula Chambruna jak ja!

- Skąd wiesz?

- Interesuje mnie to, co ty wiesz! Matka trzymała cię od tego z daleka, tak jak od całej reszty.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że odkąd wykurzyła ją z rodziny, prowadzi jej teczkę, ot co! Za szybko zmieniła temat. Jeśli bachor jest rzeczywiście bękartem tej kurwy, twoja matka powinna była rozkoszować się tym ze znacznie większą zawziętością.

Jej pijacka logika miała sens, ale Brad pytał dalej:

- Skąd wiesz, że prowadzi jej teczkę?

- Ty głupcze! Robi to ze wszystkimi. Z tobą, ze mną, z twoimi siostrami, z mężami twoich sióstr.

Wie wszystko o wszystkich, cały czas.

- I o mnie?

- O tobie w szczególności! I nigdy nic ci nie mówi, poza tym, co w jej mniemaniu powinieneś wiedzieć.

- To kłamstwo!

- To piekło! Nadszedł czas prawdy. Ludzie! Jestem gotowa i chcę to zrobić!

Karolina zatoczyła się w stronę karafki i kieliszków stojących na kredensie. Nalała sobie do pełna i chciwie wychleptała.

- Dotąd zawsze od tego uciekałeś. Nie poznałbyś prawdy, gdybyś ją spotkał na ulicy i sama przedstawiła się tobie! No bo jak, skoro twoja matka żywiła cię kłamstwami przez całe życie?

- A to jest twoje kłamstwo!

- O nie, to nie tak! Tej nocy usłyszysz całą prawdę. Na Boga, już nadszedł czas.

Karolina rwała się do walki. Wiadomość, że Julia Carrey ma dziecko, była kroplą, która przepełniła jej kielich goryczy. Załamała się. Ta suka miała wszystko. A zwłaszcza dziecko, którego ona, Karolina Bradford, nie mogła urodzić.

- Ten bachor jest twoim dzieckiem! Gdyby było inaczej, matka powiedziałałaby ci o tym w minutę po urodzeniu! Nienawidzi Julii Carrey tak bardzo, że wepchnęłaby jej twarz w gówno i z lubością po niej deptała! Ale ponieważ to twoje dziecko, nie powiedziała ani słowa. To twoje dziecko, ty niewierny durniu. Twoje!

- Na miłość boską, mów ciszej! Chcesz, żeby cały dom to słyszał?

- Nie obchodzi mnie, kto mnie słyszy. Pora, żeby wszyscy dowiedzieli się prawdy.

Karolina zatoczyła się w stronę drzwi, otworzyła je jednym szarpnięciem i wrzasnęła na całe gardło:

- Czy wszyscy mnie słyszą?

Brad skoczył za nią i zatrzasnął drzwi. Odepchnął żonę tak silnie, że byłaby upadła, gdyby nie przytrzymała się kredensu.

- Nie uciszysz mnie, już nigdy więcej. Byłam cicho wystarczająco długo, i po kiego diabła? Udowodniłeś swoją męskość, czy nie tak? A więc nasze niepowodzenia w tym względzie są moją winą, jak zwykle! Jestem chora i zmęczona tobą i twoją kurewską matką! Jestem chora i zmęczona twoim pierdoleniem wszystkiego, co się rusza, i zostawianiem mnie na całe tygodnie. Męczy mnie, gdy chodzisz do matki zamiast do mnie, do swojej żony, czy ty mnie słyszysz? - Pisk Karoliny z łatwością przenikał przez ściany. - Mały chłopczyk, który biegnie do mamusi, kiedy coś wymyka mu się z paluszków. Jak zamierzasz mnie uciszyć? Chciałabym to wiedzieć. To wy mnie złamaliście! Nie zależy wam na mnie, tylko na was samych, ponieważ tak matka cię urobiła, ty biedny osesku!

Brad z trzaskiem uderzył ją w policzek. Zatoczyła się.

- Bardzo dobrze! Dalej, pobij mnie, jak pobiłeś ją. To dlatego, że nie możesz znieść prawdy!

Brad ścisnął ją za ramiona i potrząsnął jak szczeniakiem.

- Jakiej prawdy? Powiedz mi, jakiej prawdy?

- Takiej, że twoja matka przez całe lata robiła ci takie pranie mózgu, że mogłaby wmówić ci, że księżyc zrobiony jest z zielonego sera, a ty byś uwierzył, bo to jej słowa! Tak mocno przywiązała cię do siebie, że udusiłbyś się, gdybyś spróbował odejść! Wmówiła ci, że jesteś bogiem, a kiedy inni nie traktują cię w ten sposób, to biegniesz na skargę. Ona wie, jak postąpisz w każdej dowolnej sytuacji, ponieważ programowała cię od dnia, w którym się urodziłeś. Gdybyś choć raz zboczył z kursu, straciłaby na ciebie wpływ.

Karolina śmiała się zadowolona z wyrazu twarzy męża.

- Nie wiedziałeś o tym, co? Cała ta paryska zadyma została zaaranżowana. Piękna intryga, którą połknąłeś! Powiedziała mi, żebym spokojnie czekała, że w ciągu pół roku będziesz wolny, i że będę cię miała, jeśli nadal zechcę... A ja chciałam. Boże, pomóż mi, chciałam... - Karolina rozplakała się.

Łzy płynęły po makijażu. Twarz zmieniła się w maskę kłowna. - Wariowałam na twoim punkcie i nie obchodziło mnie, co ona robi, dopóki pozwalała mi cię mieć! To ona skierowała ciebie w moją stronę, ale też w stronę innych kobiet! Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, ty biedny niemowlaku, że nie interesowało jej, z iloma sypiasz, byleby to był tylko seks? Bała się tylko jednej, tej, którą kochałeś. Była zazdrosna o Julię Carrey! Tak zazdrosna, że mącił jej się wzrok. Ponieważ chciała ciebie. Twoja własna matka jest w tobie zakochana!

Upadła do tyłu, kiedy Brad uderzył ją znowu.

- Kłamiesz! - Był blady i spocony. - Kłamiesz!

- Bardzo dobrze, bij i uciekaj, jak to masz w zwyczaju! Tak jak twoja matka. To ona ożeniła cię ze mną, ponieważ wiedziała, że mnie nie kochasz. Dokładnie tak samo, jak wiedziała, jak bardzo ja cię kochałam i że byłam gotowa dać z siebie wszystko, zrobić wszystko, żeby cię mieć. Ale nigdy ciebie nie miałam. Czy nie jest to absolutny koniec? - Zaśmiała się histerycznie. - Ja dostałam tylko paperek, że to wszystko jest zgodne z prawem. Ty dostałeś mnie, a twoja matka dostała od mojego ojca wszystkie te ukochane pieniądze. Cena panny młodej! Matka sprzedała cię, ty biedaku! Jak to jest, czuć się jak towar?

Brad wpatrywał się w nią dziwnie. Zaciśnięte usta zbieleły.

- Wszystko to kłamstwo - powiedział bez przekonania. - Jesteś tak pijana, że nie wiesz, co bełkoczesz.

- Nieprawda! Jestem na tyle pijana, że choć raz mówię prawdę! I ty wiesz dlaczego. Ponieważ już mi na tobie nie zależy. Ani na tobie, ani na niej, ani na tym całym popierdolonym klanie Bradfordów!

- Więc powiedz to jej - warknął. - Idź, zachęcam cię!

- Z przyjemnością! Marzę o tym od lat!

Uniosła wargi odsłaniając zęby jak kły. Podeszła do drzwi i położyła rękę na gałce.

- No to chodź! Zobaczmy, co ona powie, jak wygarnę jej swoje.

Brad się nie poruszył.

- Co, nie idziesz? Za bardzo się boisz? Masz gliniane nogi? Cały jesteś z gliny, głupcze! Ulepiła ciebie tak jak chciała. Przyjrzyj się sobie! - Rzuciła się do niego, schwyciła go za ramię i zawlokła do lustra. - Bardzo proszę, przyjrzyj się sobie. To nie jest twoje odbicie, to jest twoja matka. Ona zawładnęła twoją duszą, ale co zrobisz, gdy w końcu zażąda twojego ciała?

Brad odwrócił się gwałtownie, schwycił ją za gardło i zaczął wrzeszczeć:

- Zamknij się! Zamknij się, ty diabelska suko!

- Śmiało! - wykrztusiła. Twarz jej poczerwieniała, ale zdołała wyszarpnąć się z jego zaciskających się dłoni. - Zaduś mnie na śmierć, tak jak ty sam jesteś duszony. I za to też podziękuj matce!

Puścił ją nagle i upadła na podłogę. Brad wybiegł z pokoju. Słyszała, jak zbiegał po dwa stopnie naraz, a potem trzask drzwi wejściowych.

Czołgała się w stronę karafki na kredensie, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i stanęła w nich teściowa, ciężko wsparta na lasce, z siną twarzą i oczami Meduzy.

- Ty pijany kocmołuchu! Jak śmiesz zachowywać się w ten sposób w moim domu? Zdajesz sobie sprawę z tego, że twoje ohydne wrzaski słychać dookoła?

- Już czas - mówiła niewyraźnie Karolina. - Czas, żeby ktoś powiedział tu prawdę. - I padła bez

czucia.

Lady Hester uniosła laskę i opuściła ją z siłą na prawie obnażone kobiece piersi. Znowu podnosiła swój kij, gdy poczuła, że jakaś dłoń chwyta ją za ramię. Usłyszała zaszokowany głos swojej starszej córki:

- Na miłość boską, mammo!

- Gdzie jest mój syn? - spytała lady Hester. - Czy to on przed chwilą wybiegł?

- Tak myślę.

- Więc idź i znajdź go. Ruszaj! Powiedziałam, znajdź go! Abby nie ruszyła się.

- Nie, mammo.

- Nie słyszałaś, co ci powiedziałam?

- Głośno i wyraźnie, ale nie pójdę. Ja także wszystko słyszałam. Brad musi pobyć trochę sam.

Wróci, kiedy się uspokoi.

Lady Hester nie dowierzała własnym uszom.

- Jak śmiesz? - syknęła prosto w twarz córki. - Zrobisz, co ci powiedziałam!

- Nie zrobię - odparowała Abby i nawet nie drgnęła. - Już za późno, mammo. Twoje tajemnice porozrzucane są wszędzie. Muszę sprzątnąć ten bałagan.

Przeszła obok matki, schyliła się i bez trudu podniosła Karolinę. Położyła ją na łóżku i okryła kołdrą.

- Niech ta pinda wynosi się z mojego domu! - krzyczała matka. - Teraz, natychmiast! Ma zakaz wstępu tutaj i do jakiegokolwiek mojego domu w przyszłości! Precz z tej rodziny! Głupie, jałowe, pijane nic!

- Mammo, kości... zostały rzucone - powiedziała stanowczo Abby, biorąc ją pod ramię i próbując wyprowadzić z pokoju.

Lady Hester strząsnęła jej dłoń.

- Nie dotykaj mnie! Nie jesteś moją córką! Teraz, kiedy potrzebuję twojej pomocy, odmówiłaś mi! Nigdy ci tego nie zapomnę, Abigail!

Przez twarz córki przebiegł skurcz bólu, gdy powiedziała:

- Mam własną pamięć, proszę mamy. Proszę pójść ze mną, zaprowadzę cię do łóżka. Gdzie Róża?

- Nie dotykaj mnie! Nie będę się kładła. Muszę zejść na dół i poczekać na mojego syna!

- Mammo, sama nie dasz rady zejść po schodach.

- Zejdę choćby na czworakach!

Powłócząc nogą, zawzięcie trzymając się laski, zaczęła sunąć w stronę schodów. Abby z westchnieniem ruszyła za nią.

- Chodź tu, oprzyj się na mnie.

Z oczami wychodzącymi z orbit, jedni mniej, drudzy bardziej roznegliżowani, pozostali członkowie rodziny wyglądali zza otwartych drzwi swoich sypialni, po czym w ciszy chronili się z powrotem. Wtem rozległ się syczący głos Drexela Adamsa:

- Zobacz, co narobiłaś! - powiedział do swojej żony. Twarz Binki jaśniała nikczemną radością.

- Wyjdzie mu to na dobre! - krzyknęła z nienawiścią. - Mam nadzieję, że pali się teraz w piekielnym ogniu!

Lecz kiedy zaczęła zmywać z twarzy makijaż, drżała jej ręka.

Brad biegł. Gdy tracił już oddech, znalazł się nad stawem. Ciężko dysząc, krzywiąc się od

bolesnej kolki, zwałił się na ławkę i zanurzył twarz w dłoniach. W uszach brzmiały mu szyderstwa Karoliny.

To niemożliwe! Jest narzędziem w rękach matki? Okłamywany, manipulowany, wyprany aż do ślepego posłuszeństwa? Nie, wszystko to kłamstwa. Kłamstwa! Jego matka go kocha! Czy nie okazywała tego nieustannie, raz po raz? Czyż nie mówiła mu tego?

„Nikt nigdy nie będzie kochał cię tak jak ja. Nikt na tym świecie. Między matką i synem jest niezniszczalna więź z krwi i kości. Stworzyłam cię, wykreowałam wewnątrz mojego własnego ciała! Karmiłam cię i podtrzymywałam twoje życie moim własnym! Nikt nie wedrze się między matkę i syna. Nikt!”

Uwielbiał ją zawsze, ponieważ wiedział, że wszystko w życiu robiła z miłości do niego. Z miłości? - pomyślał wzdragając się ze wstrętem. Z miłości?

Matka urządziła Julię? Tamta rozmowa telefoniczna przebiegła tak, jak mówiła Julia? Przypomnił sobie jej twarz, białą jak kość, z wyjątkiem czerwonego śladu jego dłoni, krwi sączącej się z kącika słodkich ust. Zielone, oszołomione oczy wypełnione bólem.

- Chryste!

Wybuchło to w nim jak pocisk. Ścisnął głowę rękami, jakby chciał wycisnąć z niej myśli, których nie potrafił znieść.

- Urządziła mnie - słyszał głos Julii.

To prawda? Czy ta uśmiechnięta, kochana i promiennie przejrzysta twarz ukrywała mroki serca? Nie, nie! Tak być nie mogło! Z pewnością wiedziałby o tym, wiedział, czuł... matka była samą prawdą! Kochała go! Karolina była tak pijana, że nie wiedziała, co mówi. Tak, tak to wygląda. Pijacki bełkot. Tak to musiało być. Niczego innego by nie przeżył.

Własna matka zakochana w nim? Jezu Chryste! Jego umysł uciekał od tej myśli jak krople wody od rozgrzanej blachy, ale jednocześnie słyszał echo jej dawnych słów:

„Nikt nigdy nie będzie cię kochał tak jak ja, mój synku. Między matką i synem jest węź, której nie można zniszczyć. Jesteś częścią mnie. Stworzyłam cię, dałam ci życie. Mamy to samo ciało i tę samą krew. Jedno serce, jedną duszę, jedno życie. Ja jestem twoja, a ty jesteś mój. Nikt nie może stanąć między nami, nigdy!”

- Jezu Chryste! Nie! Nie! - Wyryczał to słowo. Rozeszło się echem w ciszy stawu. Rozbudziło kaczki, które zaczęły kwakać i trzepotać skrzydłami.

Opuścił głowę na dłonie i siedział długo, pogrążony w bólu i szoku, usiłując wniknąć w siebie jak najgłębiej, żeby wydostać rzeczy dawno odrzucone i, jak miał nadzieję, zapomniane. Rozmyślał nad nimi. Wstał, chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem. Odpalał jednego papierosa od drugiego. Siadał tylko po to, żeby znowu wstać, niezdolny usiedzieć w miejscu, miotany przez gwałtowne wzburzenie myśli. Jęczał głośno, łapiąc się za włosy, przygryzając nadgarstki. Stał bez ruchu długo, patrząc i nic nie widząc.

Ziemia wokół była zaśmiecona niedopałkami, horyzont białiał od nadchodzącego świtu, kiedy w końcu podniósł się z ławki. Szedł powoli, jak starzec. Zgarbiony, podążał z powrotem do domu.

Rozdział osiemnasty.

Zaabsorbowana dobieraniem kolorów Julia podniosła mechanicznie słuchawkę.

- Julia Carrey.

- Halo, Julio, mówi Abby.

Julia wyprostowała się gwałtownie.

- Wiem - mówiła Abby w głuchą ciszę. - Dziwisz się.

- Nic, co robią Bradfordowie, nie może mnie już nigdy zdziwić - odpowiedziała.

- Chcesz się założyć? Jestem w Kalifornii, Julio. Chciałabym się z tobą spotkać. Możesz się ze mną spotkać?

- A powinnam?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- W jakiej sprawie?

- Brad.

Tym razem cisza trwała tak długo, że Abby spytała błagalnym tonem:

- Julio, jesteś tam?

- Czy powinnam?

- Ponieważ on jest w poważnych tarapatach. - A kiedy Julia nie odpowiadała, Abby dodała: - Ma to związek z tobą.

- To już nie jest możliwe.

- Jeśli powiem, że srebrna pępowina została zerwana, to zrozumiesz, że jest to możliwe.

- Spóźniłaś się o sześć lat.

- Julio, proszę cię. Nie odpychaj mnie. Przeleciałam prawie trzy tysiące mil. Jeśli ja mogłam przezwyciężyć swój strach przed samolotami, to może ty mogłabyś przezwyciężyć swoje uprzedzenia?

- Nie chcę mieć nic wspólnego z twoją matką, Abby, ani teraz, ani nigdy - powiedziała jasno i wyraźnie.

- Nie musisz. To przez nią, Julio. Brad uciekł. Julia stłumiła histeryczny śmiech.

- Abby, to dorosły mężczyzna...

- Teraz tak.

Znowu zapadło milczenie, które przełamała Abby.

- On się zupełnie rozsypał, Julio.

- Znam to uczucie.

Westchnienie Abby rozległo się w słuchawce jak poryw wiatru.

- Oczywiście, masz całkowitą rację. Julię zakłuło serce.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wszyscy, w końcu, wiemy o tym. Chcę przez to powiedzieć, że wszystko wyszło na jaw. Problem w tym, że Brad tonie. Pewnej nocy, w dzień urodzin matki, w rodzinie miała miejsce kłótnia. Karolina, ta żona Brada, podpaliła lont i wszystko wybuchło.

- Co nadal nie daje mu prawa do zwrócenia się do mnie.

- Dlatego tu jestem. Żeby się za nim wstawić.

- Zawsze to robiłaś.

- To mój braciszek.

- Właśnie... dzidzius!

- Już nie. Teraz dojrzewa, tak twardo i okrutnie, jak żaden inny mężczyzna.

- Lepiej późno niż wcale! - odparła złośliwie Julia. Jednak cała się trzęsła. Ręce, usta, wszystko.

- Proszę, Julio, powinnaś spotkać się ze mną i pozwolić mi wszystko wyjaśnić.

- Spóźniłaś się o sześć lat.

Abby zamilkła. Po chwili powiedziała z goryczą:

- Przynajmniej próbowałam. Boże, pomyślała Julia.

- Aż tak źle? - spytała.

- Gorzej być nie może.

Wiedziała! Wiedziała, myślała mówiąc jednocześnie:

- Dobrze. Kiedy i gdzie?

- Julio, dzięki Bogu! U ciebie i im wcześniej, tym lepiej, może być wieczorem?

- Dobrze. Zwykle wracam do domu około wpół do siódmej. Mieszkam...

- Wiem, gdzie mieszkasz - przerwała Abby. - Dzięki, Julio. Wielkie dzięki. Wpół do siódmej.

Więc do widzenia. - Rozłączyła się.

Słuchawka w ręku Julii była mokra. Całe jej ciało splotało potem. Wstała, poszła do umywalni, puściła zimną wodę i spryskała sobie twarz. Była biała jak kreda, z oczami nienormalnie rozwartymi. Dlaczego wracasz?... pytała swoje odbicie. Dlaczego pozwalasz, żeby cię ludzie przekonywali, żebyś robiła to, czego oni chcą? Wiesz, że są z tego kłopoty. Brad rozstał się z matką? Nie! To niemożliwe! Musiało tam być prawdziwe trzęsienie ziemi.

Przez resztę popołudnia Julia nie była zdolna do niczego. W końcu zamknęła biuro i około piątej wyszła. Spięta, zdenerwowana, miotana przerażającymi przeczuciami. Tego właśnie się obawiała, że pomimo trzech tysięcy mil pajęczyna lady Hester Bradford może sięgnąć nawet do Kalifornii i schwycić ją w pułapkę lepkich nici.

Wkrótce po tym, gdy weszła do domu, zadzwonił Markus.

- Hej, o co chodzi, zgrywasz się?

- Coś się wydarzyło.

- Co takiego?

- Coś osobistego.

- Mogę ci pomóc?

- Nie.

- A dobrze się czujesz? Jesteś, zdaje się, roztrzęsiona.

- Nic mi nie jest.

- Zjemy wieczorem kolację?

- Nie, nie mogę.

- To ta sprawa osobista?

- Tak.

- W porządku, więc mi nie mów. Zobaczymy się później, dobrze?

- Tak.

Dłoń jej drżała, gdy odkładała słuchawkę. Jenny, pomyślała. Spędzę z nią więcej czasu.

Jenny wykąpana i ubrana w nocną koszulkę Bugs Bunny grała z mamą w pchełki, gdy wszedł Ito i zaanonsował:

- Pani mówi tutaj, że przyszła na spotkanie. Pani Amoly. Jenny zachichotała. Lubiła Ito, który nie wymawiał „r”.

- Zaraz schodzę na dół - powiedziała Julia.

- Ale nie skończyliśmy gry - zaprotestowała Jenny.

- Zjesz kolację, a potem wrócę do ciebie i skończymy grę.

- Obiecuj. Połóż rękę na sercu i przysięgnij na śmierć i życie. Julia przysięgła.

Jenny uspokoiła się. Wiedziała, że matka nigdy nie złamała danej obietnicy.

Abby stała w salonie, rozglądając się z wyrazem przerażenia połączonym z niedowierzaniem. Odwróciła się słysząc idącą Julię.

- Jak przypuszczam, Szeherezada? - spytała z czcią.

Julia wybuchnęła śmiechem. Obie kobiety rzuciły się sobie w objęcia.

- Miło cię widzieć, Julio - powiedziała Abby. Miała podejrzenie błyszczące oczy. - Na dodatek, w ogóle się nie zmieniłaś. Jak ty to robisz? Nie straciłaś nawet jednej rzęski!

Przyjechała w jednej pończosze, lniana sukienka była okropnie wygnieciona, ale kiedy bezwiednie odsuwała włosy za uszy dobrze znanym ruchem, Julia poczuła gwałtowny zalew uczuć. Zawsze lubiła Abby.

- Ile to już czasu - westchnęła Abby. - O wiele za długo. - I dodała, bezpośrednio, jak to miała w zwyczaju: - Jesteśmy przyjaciółkami?

- Oczywiście. Chcesz drinka?

- A mogłabym?

Gdy Julia podeszła do ozdobnej szafki, służącej za barek, Abby powiedziała uprzejmie:

- Widzę, że dobrze sobie radzisz.

- Prawie jak sir Richard Burton - zaśmiała się Julia. - Ale ja to tylko wynajmuję i gdybym mogła, to wszystko bym wywaliła.

Abby zachichotała.

- Julio, jak dobrze cię widzieć! Nie zmieniłaś się ani trochę.

- Jestem o sześć lat starsza.

- A kto nie jest? - Abby wzięła swoją szklankę. - Pamiętałaś - powiedziała wachając i unosząc swojego Toma Collinsa.

- Krótki okres z Bradfordami wytrawił moją pamięć jak kwas.

- Och!

Julia usiadła na tapczanie w stylu Arabskie Noce i zwróciła się w stronę gościa.

- Mówiłaś, że masz mi coś do powiedzenia - zaczęła. Abby pociągnęła odświeżający łyk.

- Cóż, tak jak mówiłam, podczas urodzinowego obiadu na cześć matki moja droga siostra Binka rąbnęła jak chory w kubel.

Julia słuchała w milczeniu, w rosnącej konsternacji, gdy Abby szczegół po szczególe zdawała

sprawę z horroru, który się wówczas zdarzył.

- To było upiorne. - Abby wzdygnęła się. - Karolinę słyszeć było w całym domu. Brada też. Nie zostawiła na nim suchej nitki.

Ku swojemu przerażeniu Julia zobaczyła, jak oczy Abby napełniają się łzami. Patrzyła, jak wyciąga po omacku z kieszeni chustkę do nosa, męską i niechlujną.

- Och, Abby, Abby - wykrzykiwała zmartwiona.

- Gdybyś go widziała, Julio. Przyszedł do mnie później, kilka godzin później. Przypuszczałam, że tak robi, zawsze przychodził do mnie, wiesz o tym, gdy miał na pieńku z matką. Duża siostra Abby. - Wytarła oczy. - Ale tym razem, tym razem... - Szlochała. - Wyglądał jak ktoś, kto po wszystkich przedśmionkach piekła uganiał się za diabłem, a w końcu znalazł go patrząc w lustro.

Julia zamknęła oczy.

- Kiedyś musiało to nastąpić, ale nie w ten sposób. Nie tak okrutnie. Julio, dla niego to katastrofa. - Z oczu Abby kapały łzy. - Ja wiem, że miał najdłuższe w historii dzieciństwo, ale czy musiał dorastać w ten sposób?

- Czego ty ode mnie chcesz? - spytała Julia.

- Mogłabyś się z nim spotkać, porozmawiać z nim i przekazać mu swój punkt widzenia? On próbuje poskładać wszystko do kupy, żeby skonfrontować się z matką. Jednak musi poznać prawdę i tylko prawdę, rozumiesz? Ja wiem, że Karolina mu ją powiedziała. Rozmawiał ze mną, ale... - Abby otarła oczy i głośno wysmarkała nos. - Tu chodzi o matkę, a ty wiesz, jak ją uwielbiał. Dowiedzieć się, że jedyna osoba, w którą wierzysz, jest zlepkim ohydnych wad... to trudne do zniesienia. On nienawidzi siebie, nienawidzi jej, a zarazem nadal ma w sobie niezwykle zasoby miłości. Przeraża go, że jego podejrzenia mogą okazać się prawdą, i wie, że musi je potwierdzić, zanim cokolwiek z tym zrobi. Mówię szczerze, Julio, on jest na zakręcie.

- Gdzie on jest? - przerwała Julia niezdolna do rozumienia większości słów Abby.

- Nie wiem. Po rozmowie ze mną opuścił Farmę, ale nie chciał powiedzieć, gdzie jedzie. Mogłam więc powiedzieć matce prawdę, że nie wiem, gdzie on jest, bo gdyby pomyślała, że wiem, to robiłaby piekło dotąd, aż bym jej powiedziała. Jest pod telefonem. Tak było poprzedniej nocy, gdy poprosił mnie, żebym się z tobą skontaktowała.

- Dlaczego ja?

- Chodzi o Paryż. Tamta rozmowa telefoniczna, i co tobie zrobił. To także go dręczy. Musi znać prawdę.

- Powiedziałam mu ją.

- Ale wtedy wierzył tylko swojej matce. Julia obracała w palcach szklanę.

- To byłoby kopanie leżącego - stwierdziła niechętnie.

- On czuje, że musi być ukarany - powiedziała cierpko Abby. - Wie, że aby się wydostać z matki, musi przejść przez ogień.

- Więc się zmienił.

- Mówiłam ci: nie poznałabyś go! Julia szukała oparcia w alkoholu.

- Skąd wiedział, że jestem w Kalifornii, zanim powiedziała mu o tym Binka?

- On ciebie widział - odrzekła Abby otwarcie. - W Lobby Court hotelu Century Plaza, mniej więcej dziesięć dni temu.

Oczy Julii rozszerzyły się w zdumieniu.

- A później wynajął detektywów. - Abby waliła prawdę prosto z mostu. - Tą drogą dowiedział

się o Jenny.

Julia skamieniała.

- Jenny w to nie mieszajmy.

- Ale... matka wie! - powiedziała Abby.

- I kłamie. Ostrzegam cię, Abby. Jeśli choć spojrzysz w kierunku Jenny, dopadnę ją! Nie jestem już nikim, jak poprzednio. Mam pieniądze, władzę i własne wpływy. Jeśli chce trupów, na Boga, mogę zafundować jej taki stos kości, że...

- Bóg mi świadkiem, że ona nie wie, że tu jestem, ani gdzie jest Brad. Szaleje, rozstawia nas po kątach swoimi majakami. Brad zniknął, a ona nie może tego znieść!

- Skąd wiesz, że nie wysłała za tobą ogona? - spytała brutalnie Julia.

- Brad przestrzegł mnie przed tym, więc byłam ostrożna. Matka myśli, że jestem w Wyoming na koniach. Przyjechałam tu określną drogą. Najpierw poleciałam do Casper, potem do Chicago i dopiero tutaj. Nie żartuję, Julio. Łyknęłam garść librium i podwójne szkockie, żeby móc wejść do tych samolotów.

Julia uścisnęła jej rękę.

- Powiedz mi, Julio, co naprawdę zaszło w Paryżu? Jakie fakty miały tam miejsce?

Przez chwilę Julia patrzyła na nią tak, jakby nie rozumiała pytania, po czym słowo po słowie, jako że doskonale je pamiętała, powtórzyła instrukcję lady Hester dotyczącą dwunastu foteli, a także przebieg późniejszej, fatalnej rozmowy telefonicznej.

- Przypominało to teatr albo film, kiedy się słyszy tylko to, co mówi aktor, a to, co jemu ktoś mówi do słuchawki, można sobie jedynie wyobrazić. Tak to wyglądało. Mówiłam do niej, a ona odpowiadała mi od rzeczy. Myślałam, że linia została uszkodzona.

- Nie - zaprzeczyła Abby. - To naprawdę był teatr. Matka miała nawet świetną publiczność.

Binkę. - Westchnęła ciężko. - Zostałaś wrobiona, zgadza się. Karolina powiedziała prawdę.

- Ale skąd ją znała? Abby wzruszyła ramionami.

- Ona i matka miały ze sobą kłótnie. Wiedziała, że matka zamierza się ciebie pozbyć. - Znowu westchnęła i potrząsnęła głową. - Bardzo to brudne.

- A jednak, jak to mówią, nie mam żadnej wpadki. Twoja matka może tropić mnie psami i nie znajdzie niczego, co mogłaby użyć przeciwko mnie.

Abby wlepiła oczy w pustą szklankę.

- To znaczy, że nie żyjesz z Markusem Levinem?

Julia z trzaskiem odstawiła swoją szklankę. Abby wzdrygnęła się.

- Mówiłam ci. Brad cię śledził. - Zaczerwieniła się i kontynuowała: - Twój widok wywołał w nim coś w rodzaju reakcji łańcuchowej. Poprosił mnie, żebym wydobyła z ciebie prawdę...

- Nocuje tu, w swojej sypialni, i nic ponadto. Nie ze mną! Ten dom stoi na uboczu, więc zaproponował mi siebie jako rezydenta, dla bezpieczeństwa. Wydawało mi się to dobrym pomysłem. To wszystko. Wszystko, rozumiesz?

- Jak go spotkałaś? - Abby odetchnęła z ulgą, ale nadal była ciekawa.

Julia opisała i tę sprawę.

- W niemałym stopniu to właśnie jemu zawdzięczam fakt, że tak daleko zaszłam. On dąży do pieniędzy. Z tego, co zarabiam, dostaje działkę.

- Tak - przytaknęła z uśmiechem Abby. - Markus zawsze lubił pieniądze.

Zapadła cisza. Abby spojrzała w twarz Julii i z pewnym poczuciem winy szybko wróciła do

teraźniejszości:

- O cholera!
- Ty znasz Markusa? Abby zmieszała się.
- Dziesięć, dwanaście lat temu pracował dla matki.
- Co takiego? - Julia krzyknęła i poderwała się.
- Julio, posłuchaj...
- Pracował dla niej?
- Zwolniła go. Został przyłapany z ręką w kasie.
- Markus!
- Ma kosztowną słabość. Jest ostrym graczem, jak mówili..
- Markus jest hazardzistą?
- Musiałaś zauważyć, że nie ma dnia, by się o coś nie zakładał.
- Wiem, że lubi konie i karty, ale... - Julia była tak poruszona, że chodziła tam i z powrotem. -

Mój Boże! - jęknęła rozpaczliwie.

- Zaczekaj... - Abby podniosła się i wyciągnęła uspokajająco rękę.
- Jeśli jest hazardzistą, utracysz, to skąd wziął pieniądze, żeby mnie wykreować? Ta inwestycja kosztowała tysiące. Powiem ci, skąd miał pieniądze. Od waszej cholernej matki!
- Wyciągasz pochopne wnioski...
- Poszedł za kradzież do pudła?
- Nie, matka go nie oskarżyła. Lubiła go, tylko on potrafił jej dorównać...
- Sama widzisz! - Głos Julii był pełen bólu. - Znowu mnie urządziła! Co jakiś czas Markus zniknął na kilka dni. Mówił, że interesy, ale zawsze w Ameryce.

Wpiła w Abby rozognione spojrzenie.

- Składał twojej matce raporty. O wszystkim: co zrobiłam, powiedziałam, z kim się spotkałam. Wszystko. On jest jej szpiegiem. - Julia opadła na kanapę. - To dlatego tak regularnie latał do Ameryki. Składał jej raporty!

Świadomość, że została oszukana, przyprawiała ją o mdłości.

- Jest szpiclem! Parszywym, kłamliwym, oszukańczym szpiclem! Jedyne, któremu mogłam zaufać. I ufałam! Markus Levin! - Zamknęła oczy, wyglądała, jakby się modliła. - Dzięki Bogu, nie dałam zaciągnąć się do łóżka!

- Powstrzymaj się. - Abby cierpliwie próbowała opatrzeć zranioną godność osobistą Julii. - Zakładasz wszystko, co najgorsze. Jakie masz dowody?

- Nie potrzebuję dowodów! Na miłą wyczuwam perfidne łapy twojej matki. Wpakowała mi Markusa ze względu na Jenny, żeby świadczył, że jestem złą matką. Oto dlaczego zaprzeczyła, że Brad jest ojcem dziecka. Nie chciała, żeby dowiedział się o tym, bo wtedy nie mogłaby odebrać mi Jenny i wręczyć jej jemu, cała rozpromieniona: „Zobacz kochanie, jaką miłą niespodziankę ma dla ciebie mamusia!” - z bezlitosną furią mówiła Julia.

- Więc musisz powiedzieć to Bradowi. O takich właśnie rzeczach musi się od ciebie dowiedzieć. Że każda jej parszywa intryga służyła jej, a nie jemu.

- Powiem Markusowi, że będę szczęśliwa, jeśli Brad dowie się ode mnie wszystkiego, czego będzie chciał.

- Nie! - zaprotestowała stanowczo Abby. - Powiesz mu i dowie się, że został odkryty, co natychmiast zgłosi matce. Nie, Markus nie może niczego podejrzewać. Musimy być ostrożne, Julio,

jak dwa a dwa jest cztery.

- Ale wszystko do siebie pasuje! Nie widzisz tego? Każdy szczegół! Przyjechał do mnie ledwie w kilka miesięcy po Paryżu! Dobry Boże, dlaczego się nie połąpałam? Znowu zrobiła ze mnie idiotkę!

- Matka myśli, że wszyscy oprócz niej to idioci - zauważyła obojętnie Abby. - Proszę cię tylko o to, żebyś nie ogłupiała Brada.

- Daj mi sposobność, to przedmucham mu uszy! - obiecała z rozpędu Julia.

- Gdzie i kiedy?

Julia zmieszala się. Nie spodziewała się tak konkretnego pytania.

- Prosił, żeby ci przekazać, że spotka się z tobą, gdzie zechcesz i kiedy zechcesz.

Julia przekleła prędko język.

- Muszę być w San Francisco w następny czwartek - przyznała niechętnie. - Gdyby mógł spotkać się ze mną...

- Spotka się.

- Zostanę na noc w Hyatt Regency. Jeśli mógłby spotkać się tam.

- Gdziekolwiek.

- Niech będzie w Lobby, przy dużym basenie. O szóstej wieczorem w piątek.

- Dobrze. Szósta wieczór, w Lobby Hyatt Regency w piątek. Julii ścisnęło się serce, gdy Abby uśmiechnęła się do niej ze smutkiem i podziękowała.

- Mamuniu! - Rozżalony głos dziewczynki zmusił obie kobiety do spojrzenia w górę na podest nad schodami. Stała tam Jenny.

- Czekałam i czekałam, i Barbara mówi, że zaraz już czas do łóżka.

- Przepraszam, kochanie. Już idę. Ale Jenny zerkała na Abby.

- Cześć - powiedziała. - Kto ty jesteś?

- Stara przyjaciółka mamy. Chodź tutaj, to się przywitamy. - Abby uśmiechnęła się.

Jenny z ochotą zbiegła na dół i przytupała do niej z całkowitym brakiem nieśmiałości i uderzającą, typową dla Bradfordów pewnością siebie.

- Jak się masz? - Jenny grzecznie wyciągnęła rękę, tak jak ją nauczono.

- Widząc ciebie, znacznie lepiej - odrzekła zachęcająco Abby. - Ależ z ciebie duża dziewczynka... pięcioletnia?

- W maju będę miała sześć - poprawiła Jenny. Widząc jej uśmiech, Abby wstrzymała oddech. Taki sam stale widywała na twarzy swojego brata.

- Jestem duża jak na swój wiek.

Była spokojna jak Hester Bradford. Uważnie studiowała twarz Abby.

- Ty też jesteś duża, prawda?

- Jenny! - ostrzegła Julia, ale przygryzła wargi.

- Zawsze byłam - stwierdziła Abby pogodnie. Na szczycie schodów ukazała się Barbara.

- Kochanie, biegnij na górę. Będę tam za pięć minut, obiecuję.

- Mówiłaś to już wcześniej. - Jenny stała niewzruszona.

- My musimy porozmawiać - przeproszała Abby pokornie. - Wiesz, jak to jest ze starymi przyjaciółkami.

Jenny zastanowiła się.

- Tak, ty jesteś stara, prawda?

Abby zakasłała. Julia zaś, gdy zdołała już opanować głos, poleciała córce stanowczo:

- Pójdź na górę, ale najpierw życz pani Amory dobrej nocy.

- I to nazwał cię panią Amoly. - Jenny zachichotała.

- Już gorzej mnie nazywano. - Abby nie traciła pogody. - Pocałujesz mnie na dobranoc?

Jenny spojrzała na matkę, która skinęła głową:

- Byłoby miło.

Abby pochyliła się nisko ze swoich wysokości, a dziewczynka podeszła do niej i pocałowała nadstawiony policzek.

- Wiesz - powiedziała Abby sięgając po torebkę. - Kiedy byłam małą dziewczynką, jeździłam do Anglii odwiedzać krewnych i miałam wujka, co zawsze dawał mi nowiuteńki pięćofuntowy banknot. Akurat nie mam żadnego z nich, ale mam nowe dziesięć dolarów. To jest około pięciu funtów. Masz coś przeciwko temu, żebym ci je dała?

Jenny znowu spojrzała na matkę. Julia lekko skinęła głową.

- Och, dziękuję - powiedziała z nabożnym lękiem dziewczynka, trzymając banknot w obu dłoniach. Odwróciła się i pobiegła do Barbary powiewając nim.

- Popatrz, Barbaro, ta pani dała mi dziesięć dolarów i one są warte pięć funtów! Czyż ona nie jest miła?

Słyszały jej cichnący w korytarzu głos. Opowiadała szczegółowo, jak zamierza owe pieniądze wykorzystać.

- Bradford, na wskroś - oświadczyła Abby z dumą. - I to nie tylko z wyglądu. - Potrząsnęła głową.

- Dzięki Bogu nie ma w sobie nic z Binki. - Uściskała Julię. - No i znowu usłyszysz fanfary. Rozświetlasz powoli nasze mroczne zakamarki. Jestem pewna, że Brad będzie wiedział, co ma zrobić, gdy z tobą porozmawia. Jeśli nie będzie mógł w piątek, zadzwonię. Jeśli nie zadzwonię, to bez zmian, dobrze?

Julia skinęła głową.

- I nie dręcz się w tym czasie domysłami. Wiesz, że lepiej nie wymawiać złego.

Położyła palec na ustach i dodała:

- Ani słowa mamusi.

Julii zadrgały usta, a Abby, uzmysławiając sobie, co palnęła, wybuchnęła śmiechem. Trzymały się jedna drugiej, śmiejąc się niemal histerycznie.

Ocierając oczy przemoczoną chustką, Abby stwierdziła z rozrzewnieniem: - Dzięki Bogu potrafimy się śmiać. To o niebo lepsze niż płacz.

Przytuliły się po raz ostatni i Abby pożeglowała w stronę drzwi.

Julia całą noc przewracała się z boku na bok. Była rozdarta. Nie tylko z powodu Brada i jego stanu, ale także dlatego, że szokowała ją brutalna perfidia Markusa. Okłamywał ją od pierwszego słowa. Lubiła go i ufała mu. Uważała za przyjaciela. Dzięki Bogu nie uległa mu, chociaż nie zaprzestawał prób. Tak mu, rzecz jasna, kazano. Podlec!... klęła wzburzona. Czuli się okaleczona, sponiewierana, jej duma legła w gruzach. Prawdę mówiąc sama nie wiedziała, kto był większym zmartwieniem, Brad czy Markus. Ostatecznie, pomyślała, Brad nigdy nie okłamywał mnie rozmyślnie, po prostu nie mówił mi prawdy, to wszystko. I przemknęło jej przez myśl, że Brad zmagając się z obłudą matki czuje się podobnie jak ona, zmuszona do uporania się z Markusem. I po raz pierwszy, w całym swoim udręczeniu i bólu, zauważyła cierpienie kogoś innego.

O zaśnieciu nie było mowy. Wstała, włożyła szlafrok, zeszła do kuchni, zrobiła sobie kawę i siedziała tam pogrążona w myślach aż do wschodu słońca.

Rano zadzwonił Markus z informacją, że będzie zajęty przez następne kilka dni.

- Kręcę film z moim piosenkarzem. Wart jest kilkunastu zer w kontrakcie.

- Ale też ty to kochasz!

- Nie słyszałem, żebyś narzekała na swoje.

- Nie narzekam. Ostrożnie, pomyślała Julia.

- Zadzwonię do ciebie za kilka dni.

- Dobrze - zgodziła się, przeżuując w myślach przekleństwa, jakimi powinna go obrzucić.

Zadzwonił w czwartek rano, żeby powiedzieć, że musi lecieć z powrotem na Wschód.

Instynkt podpowiadał jej, że Markus, jak piesek, jedzie posłuchać głosu swojego pana. Zniknięcie Brada musiało w najwyższym stopniu wstrząsnąć lady Hester. Być może pojechał po instrukcje z ostatniej chwili. Myśli te pojawiały się w głowie Julii od czasu do czasu, nie wiedziała, skąd się brały, ale była pewna, że się nie myli. Zawsze była im posłuszna. Dlatego zanim wyjechała do San Francisco, zostawiła Barbarze ściśle polecenia co do Jenny. Piątek był beznadziejny. Podświadomie wciąż myślała o kłopotach Brada. Odwiedzała galerie z meblami, porównywała je i szamotała się mając podjąć jakąś decyzję. Zwykle lubiła takie przeglądy, tym razem denerwowała się, co chwila spoglądała na zegarek, dzień mijał, a ona stawała się coraz bardziej niespokojna. O czwartej trzydziści nie wytrzymała. Wróciła do Hyatt, żeby zacząć się przygotowywać. Najpierw wzięła długą kąpiel, z nadzieją, że to ją zrelaksuje. Dodała do wody mnóstwo pachnącego olejku kąpielowego. Odpowiednich perfum użyje później.

Z jakiegoś, być może perwersyjnego powodu, postanowiła ubrać się na czarno. Wet za wet, za wątpliwą uwagę Drexela Adamsa, na którą pozwolił sobie tego wieczora, gdy po raz pierwszy spotkała lady Hester. Już wtedy miała wątpliwości, czy powinna się czołgać. A jeśli Brad pomyśli, że jest w żałobie? Po nim? Po ich małżeństwie? W czerni jednak było jej do twarzy - skóra jaśniała, włosy płonęły. Brad lubił ją taką. Do diabła z tym „albo-albo”! Z zadowoleniem przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Była to kreacja Hanae Mori. Czarna, jedwabna krepa, sznurowana koszula pod bluzą z czystego, jedwabnego szyfonu, przewiązana w talii rulonem z czarnej satyny. Do tego pończochy ze szwami, także czarne, ponieważ Brad lubił ją w czarnych pończochach z podwiązkami, i skórzane sandały na koturnach, przewiązane w kostkach. Mała torebka bez paska, w uszach perły. Perfekcyjny makijaż, włosy zgarnięte do góry, spadające na czoło i kark małymi jak listki pukielkami... Na koniec subtelny zapach „Y” i gotowe. Była świadoma, że prezentując się jak podarek, karze go zarazem tym, że nie jest dla niego. Niech sobie popatrzy. Może zrozumie, co odrzucił?

Rozdział dziewiętnasty.

Brad wybrał miejsce przy jednym z rogów wielkiego basenu, gdzie woda miała połysk celofanu i bezdźwięcznie słuwała przez obłe krawędzie w zieleń na dole. Z miejsca, gdzie stał, miał dobry widok na windy, które niczym szklane świecidełka poruszały się w górę i w dół ścian atrium. Jak zwykle tę wielką przestrzeń wypełniały hałasy. Do Brada jednak one nie docierały. Dwie rywalizujące ze sobą orkiestry, brzękania zastawy i sztućców z dwu restauracji, brzęk szkła i lodu z barów, szczebiot kobiet, śmiechy. Był całkowicie skupiony na patrzeniu i czekaniu.

Ujrzał ją w chwili, gdy wyszła z windy. Stojący z boku mężczyźni przyglądali się jej. Z podniesioną głową, wyprostowanymi ramionami, szła w jego stronę tym długonogim chodem, który tak dobrze znał, niepompna na wpatrzone w nią oczy i posyłane jej uśmiechy. Przybrała, tak to w myślach określał, „publiczną twarz”, która wykluczała jakąkolwiek szansę na otwarcie. Zdystansowana, odległa, chłodna niczym dobre Martini.

Gdy wyszedł naprzeciw spod nawisu zieleni, zatrzymała się. Nic nie powiedziała, ale zobaczył jej oczy, tak samo duże i zamglone jak dawniej, o czarnych, rozszerzonych źrenicach. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, potem usłyszał swój głos:

- Dzień dobry, Julio. Dawno się nie widzieliśmy.

Skinęła głową i zobaczył, że przełknęła ślinę. Była tak samo jak on zdenerwowana. Poczł się nieco lepiej.

- To dobrze, że przyszłaś. Skinęła głową.

- Dziękuję.

Nadal nic nie mówiła. Stała w miejscu. Patrzył na nią w sposób rozdzierający serce. Jak dawniej, czuła jego oczy, jakby to były palce. Była napięta jak zaciśnięta pięść.

- Nie zmieniłaś się - powiedział w końcu, przyjemnie zdziwiony.

A ty tak, pomyślała skonsternowana Julia. Miał bowiem trzydzieści siedem lat, a wyglądał na czterdzieści pięć. Bruzdy na czole pogłębiły się, a dookoła kształtnych, zaciśniętych z przemęczenia ust pojawiły się nowe zmarszczki. Morskie oczy zmętniały i straciły blask.

Nowa była też jego nieśmiałość, gdy powiedział:

- Pomyślałem, że możemy pójść przed kolacją na drinka.

- Na drinka tak, ale obawiam się, że na kolację nie mam czasu. Muszę zdążyć na samolot o ósmej trzydzieści.

Wyglądał na rozczarowanego tak bardzo, że Julia zaproponowała:

- Może moglibyśmy pójść do obrotowej restauracji na szczycie. Lubię tamten widok na miasto.

- Świetnie.

Gdy szli w stronę wind, nie wziął jej pod rękę i nie zbliżał się do niej zanadto. Tym razem nie czynił żadnego wysiłku, by zakłócać jej świadomość, ostrożnie unikał naruszenia jej przestrzeni.

W zadymionym foyer restauracji zapytano ich, czy to ma być koktajl czy kolacja, po czym wezwano kelnerkę, która zaprowadziła ich do stolika pod ścianą. Usiedli naprzeciw siebie.

- Fantastyczny widok - wykrzyknęła Julia. - Przychodzę tu zawsze, gdy jestem w San Francisco. Wolałabym być tutaj zamiast w Los Angeles. Czterdzieści przedmieść.

Miała świadomość, że papie prawie jak nieobyta dziewczyna, absolutnie przytłoczona tym całkowicie obcym, a jednak tak bliskim mężczyzną.

- Każdy zostawia swoje serce w San Francisco - powiedział

Brad oschle. - Nie jesteś wyjątkiem, w każdym razie w tym względzie.

Julia pospiesznie zapytała:

- Dobrze je znasz?

- Wystarczająco. Mam tu mnóstwo przyjaciół. Powstrzymała się przed pytaniem, czy to tutaj ukrywa się przed matką. Czowała dziwny wstyd. Z trudem patrzyła wprost w zmacone oczy, które świeciły niegdyś niczym słońce nad morzem. Znała go lepiej niż jakiegokolwiek mężczyznę, a czuła się tak, jakby w ogóle go nie znała. Rzeczywiście się zmienił i to nie tylko powierzchownie. Był znacznie starszy. Brad był chłopcem, ten zaś dorosłym facetem. Tak jak powiedziała Abby, przeszedł najboleńsze z możliwych dojrzewanie. Raz jeszcze poczuła nawrót bólu, którego doświadczyła siedząc w kuchni poprzedniej nocy, poczucie zdrady i zagubienia. Lecz w przypadku Brada ból był silniejszy co najmniej tysiąc razy. Markus był tylko przyjacielem. Brad został zdradzony przez własną matkę.

Milczenie, początkowo pełne wahania, zaczęło być kłopotliwe dla obojga. Uratowała ich kelnerka. Brad zamówił Jacka Danielsa dla siebie i Mai'tai dla Julii.

- Najlepsze, jakie próbowałam - powiedziała.

- Nigdy za dużo nie piłaś.

- I nadal nie piję, ale lubię Mai'tai. Brad wyjął papierosy.

- I nadal nie palę - powiedziała Julia widząc, że palce ma drżące i pożółkłe od nikotyny.

Spostrzegł to.

- Nie jest łatwo, prawda?

- Nie. - Dobrze, że jest szczerzy. Julia poczuła, że zdenerwowanie powoli mija.

- Mam wrażenie, że rozmawiamy przez Wielki Kanion zamiast nad małym stolikiem - zauważył.

- Myślę, że to te sześć lat...

- I moje nerwy.

Tak lepiej. Takiego go pamiętała.

- Po tym, co ci zrobiłem, nie było mi łatwo znowu stanąć przed tobą. - Głos mu drżał, zdradzając pewną wewnętrzną niepewność. Podrzucał zapalniczkę, obracał ją w palcach. Po-czuła ukłucie, gdy zrozumiała, że była tak pochłonięta sobą, że jego przeżyciom nie poświęciła ani chwili. Ta myśl sprawiła, że stał się jej bliższy, jakby nagle znalazł się w ognisku wielkiej soczewki. Zobaczyła wyraźnie: niepokój, strach, poczucie winy. Tak, wydorosłał. Piotruś Pan opuścił krainę Nigdy-Nigdy i w realnym świecie przeżył ciężkie chwile.

- Abby powiedziała ci wszystko? - zapytał w końcu.

- Tak.

Dalej patrzył w okno, ale wzrokiem skierowanym raczej do wewnątrz niż na panoramę miasta.

- Dostałem za swoje. I na długo. Poza tym, wszystko tuszowałem. Bóg jeden wie, jak trudno mi było wygrzebać się spod sterty kłamstw. - Zaciągał się gwałtownie papierosem. - Jest już być może

za późno na naprawienie szkód, ale jeśli to ma jakieś znaczenie, Julio, jest mi przykro. Zechcesz mi uwierzyć? To tylko słowa, ale tak się właśnie czuję. Przykro mi bardzo. Myślisz zapewne, że zasłużyłem sobie na wszystko, co mnie spotkało, i tak jest, ale... - Wziął głęboki oddech. - Potrzebuję pomocnej dłoni, a ty zawsze byłaś silna.

Wymawiał słowa ostrożnie, jak ktoś, kto boi się, że poranią mu usta, ale jego szczerłość zmusiła Julię do tego, że odezwała się łagodnie i, ku swojemu zdziwieniu, również szczerze:

- Nie przyszedłem tu po to, żeby cię osądzać, Brad. Przyszedłem, bo Abby powiedziała, że potrzebujesz mojej pomocy.

Odsunął się, by kelnerka mogła podać drinki. Gdy odeszła kontynuował:

- Nawet jeśli tak, to po tym wszystkim, co ci zrobiłem, byłaś bardzo uprzejma godząc się na to. - Przerwał. - Nie mam prawa oczekiwać od ciebie, byś zastanawiała się nad moimi uczuciami.

Julia zmieszana się.

- Miałaś... powody.

- To prawda, lecz nie rozmawiamy teraz o grzesznej matce, ale o grzechach wiecznego dzieciństwa.

Julia z trudem przełknęła ślinę, a Brad mówił dalej:

- Pamiętam, że nie jesteś tą, co nieustannie wybacza, że dajesz tylko jedną szansę, lecz jeśli byś mogła znaleźć ją w swoim sercu...

- Czego ty naprawdę ode mnie chcesz? - przerwała, nie mogąc już więcej tego znieść.

- Twojej strony medalu, żeby porównać z moją.

- Chodzi o słabe punkty?

Zaczerwienił się i Julia skarciła w duchu swój skwapliwy język.

- Tak, ale nie twoje.

- Dobrze. Od czego mam zacząć?

- Od Paryża. Tam się to wszystko skończyło. Czy możesz powtórzyć mi, co ci powiedziała matka podczas tamtej pierwszej rozmowy telefonicznej?

Julia jeszcze raz opowiedziała swoją historię. Słuchał w milczeniu, ale widziała, jak gasząc papierosa rozgniatał niedopałek na strzępy.

- Dziękuję - powiedział bezbarwnie, gdy skończyła. Popatrzył jej w oczy tak, że musiała ścisnąć dłonie w pięści. - Wybacz mi, Julio. Przyjąłem to, co przytrafiło się mnie. Nigdy nie zamierzałem przyjąć podwójnej dawki.

Raz jeszcze bolesna szczerłość jego oczu skłoniła Julię do wyrozumiałości:

- Nie wszystkiemu ty jesteś winien. Ostrzegano mnie przed twoją matką od początku.

- Powiniennem być cię wysłuchać. Sally Armbruster, tak?

- Tak. Tamtej niedzieli zaprosiła nas na drinka. Powiedziała mi, co twoja matka może zrobić kobiecie, która by zagrażała jej tym, że cię od niej odciągnie. Myślałam, że była po prostu zazdrosna. Nadal cię kochała, to było oczywiste. I nienawidziła cię za to, że jej nie kochałeś. W każdym razie, mówiłam sobie, że to była czysta złośliwość. Jednakże potem... - Julia poczuła żal za utraconymi szansami. - Gdybyś mi powiedział...

- Co? Że byłem tak bardzo uzależniony emocjonalnie od matki, że aż tonąłem? - Opróżnił swoją szklankę jednym haustem. - Zapominasz, że zostałem wychowany w wierze.

- Którą teraz straciłeś?

- Wraz ze wszystkim. I nie szukam niczego w zamian. Nie wydaje mi się, by można było wierzyć

w cokolwiek, dopóki nie uwierzy się w siebie. Chciałbym ci wytłumaczyć, jeśli mi pozwolisz, jak do tego doszedłem.

- Myślę, że teraz wiem - odpowiedziała z wahaniem. Czytając w jej oczach, w głosie, rozumiejąc na nowo, zapytał:

- Jenny?

- Tak - znowu się zawahała. - Jeśli chodzi o Jenny...

- Miałaś wszelkie prawa, by trzymać ją w ukryciu. Z matką taką jak moja... Powiedz mi jednak, dlaczego to ona pozwoliła ci zrozumieć.

- Zostałam matką. Sama nigdy nie miałam matki i nie miałam doświadczenia, żeby sądzić, porównywać, w żadnym stopniu. Moja ciotka wpajała mi poczucie odpowiedzialności, nic więcej. Byłam dobrze odżywiona, dobrze ubrana, odpowiednio dobrze wykształcona. Nigdy nie dała mi miłości. Musiałam urodzić Jenny, żeby pojąć, czego mi było brak.

- A więc zrozumiesz, kiedy powiem, że w dniu, w którym się urodziłem, moja matka wzięła mnie w niewolę. Zawsze była dla mnie światłem słonecznym. Wcielenie matki doskonałej. Była moim życiem, moim światem. Gdziekolwiek się znalazłem, tam była i ona. Kochała mnie, chroniła, pomagała. Ryzykowała życie, żeby mnie urodzić. Upewniała mnie, że z radością zrobiłaby to jeszcze raz. Powtarzała nieustannie, że nie ma nic, czego by dla mnie nie zrobiła.

Brad przerwał. Jego twarz wyrażała tak nieznośne uczucie, że Julia odwróciła oczy.

- To była miłość podstępna - kontynuował, patrząc w dno szklanki. - Odkrycie, że była też zбочzona, perwersyjna, a nawet chora, było nie do zaakceptowania. Musiałem uznać, że to ta miłość stała się powodem, a jednocześnie, że dopuszczała się najstraszniejszych rzeczy.

Jego głos, oczy, były jak rozpalony kamień. Julia odwróciła twarz do okna.

- Musiałem zaakceptować, że moja matka była tak przerażona, że może mnie stracić, że po to, żeby mnie zatrzymać, zdobyłaby się na wszystko.

Tym razem podniósł szklankę i rozejrzał się za kelnerką.

- Najgorsze ze wszystkiego było dno, gdzie nie musiałem patrzeć, żeby wiedzieć. Użyłem tej samej miłości we własnym celu.

Zapadło milczenie tak długie, że Julia musiała odwrócić głowę od okna i spojrzeć na niego, mrugając, by rozproszyć łzy, z trudem radząc sobie z grudą, która rosła jej w gardle.

- Od samego początku dobrze mnie określiłaś. Mały chłopczyk, rozpuszczony i zepsuty, pewny, że mama pokryje wszelkie szkody. Użyłem nawet ciebie. Ciebie, w której, jak myślałem, znalazłem nóż, który odetnie mnie i uwolni. Powiedziałem ci prawdę, potrzebowałem cię. Moim błędem było to, że nie powiedziałem ci, dlaczego.

Pod ciężarem tych zapóźnionych słów, smutku straconych lat i bólu prawdy poniewczasie, Julia przygarbiła się.

- Wiem, że powiedziałem prawdę, twoją prawdę. Lecz siebie samego oszukiwałem. Ty zaś byłaś boleśnie uczciwa. Powinienem był wiedzieć, wiedziałem, że mówiłaś prawdę zaprzeczając, by Chambrun był twoim kochankiem, ale nie myślałem logicznie, w ogóle nie myślałem, tylko czułem.

- Zawsze byłeś tym, który czuje - przyznała Julia. - Ja byłam tą, co myśli. O wiele za dużo, aż do obsesji. Nieustannie analizowałam i racjonalizowałam, nawet moją miłość do ciebie.

- Wiem. Czasem widziałem, jak mi się przyglądasz, z takim bardzo dziwnym wyrazem twarzy, jakbyś zastanawiała się „Co ja tutaj robię?”

- Więc widzisz - mówiła Julia ponuro. - Nie wszystko to twoja wina.

- Nie rozumiałaś miłości, prawda?

- Nie, nigdy nie kochałam.

- Pewnie więc dlatego nie mogłaś znieść mojej.

Julia otworzyła usta, ale zaraz zamknęła je z powrotem.

- Zdarzało się - mówił dalej Brad - iż miałem wrażenie, że wolałabyś być wszędzie byle nie ze mną, że żałowałaś, że wyszłaś za mnie. Żałowałaś jako pomyłki pod wpływem uniesienia chwilą. - Przerwał. - Trochę uniesienia było między nami, prawda?

Gardło miała skurczone i mogła tylko skinąć głową.

- Tak się czułaś? - Wiedział, ale chciał od niej potwierdzenia.

- Tak. Zawziętość w wyszukiwaniu racjonalnych wyjaśnień czegoś całkowicie irracjonalnego.

Nie mogłam zaakceptować

, tego, że nie ma żadnych uzasadnień. Rozdzierałam się na strzępy w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Dlatego cię odsunęłam. Bezpieczna czułam się przy pracy, podczas gdy z tobą, przy tobie, stawałam się kimś, kogo nie poznawałam, robiłam rzeczy, które uważałam za niemoralne. Oczywiście były one tylko częścią tego, do czego nie chciałam się przyznać.

Nie odwracając oczu, powiedział:

- Uczysz się na swoich błędach, jeśli wiesz wystarczająco dużo, by móc je rozpoznać.

- Mam nadzieję.

Z wysiłkiem odwróciła wzrok i znowu się przygarbiła.

- Abby powiedziała mi, że masz teraz własną firmę - powiedział zmieniając temat.

Uniosła głowę.

- Wiem, że mnie śledziłeś. Zaczerwienił się.

- Wiesz więc, że jestem „Julia Carrey - urządzenie wnętrz”. Mam komplet zamówień i właśnie zaczynam swoją największą robotę.

- Zasłużyłaś na to, by ci się powiodło. Zawsze wiedziałem, że jesteś zdolna. - Przerwał. - A Markus Levin? Kiedy się do tego podłączył? - Krew napłynęła mu do twarzy niczym płomień. - Nie mam na myśli, że...

- Nawet nie przypuszczaj.

- Nie robię tego - zaprzeczył uspokajająco. - Po prostu znam go.

- Czy Abby mówiła ci coś o nim i o mnie?

- Tylko tyle, że łączy was interes.

- Podszedł mnie - powiedziała Julia. - Za pomocą pieniędzy twojej matki.

Zmęczone oczy zabłyśły, jakby przeszył je ból.

- Opowiedz mi o tym. Opowiedziała.

- Masz na to jakieś dowody? - spytał zapalając następnego papierosa. Tym razem głos drżał mu jeszcze wyraźniej.

- Nie potrzebuję dowodów. Ja wiem.

- Coś mu powiedziałaś?

- Nie. Abby radziła porozmawiać z tobą.

- Cieszę się, że tak zrobiłaś. - Spojrzeli sobie w oczy. - To przykre.

Wiedziała, co miał na myśli.

- Myślałam, że był moim przyjacielem. Pojawił się, gdy przyjaźń była mi potrzebna. Przywrócił

mi wiarę w siebie jako projektanta. Ufałam mu... - Głos jej się załamał. - On nie zasługuje na zaufanie. Teraz o tym wiem.

- I ja także. To Judasz. Ale kim jestem ja? Synem marnotrawnym?

- Mówiłam ci, mam własne winy na sumieniu. Gdybym zwracała uwagę na ostrzeżenia...

- Sally miała swoje powody. Ją skrzywdziłem także. Chciała wyjść za mnie, ale ja nie chciałem.

Ograniczała mnie, a więc udałem się do matki. Armbrusterowie produkowali dla nas urządzenia elektroniczne. Ich biznes dawał nam siedemdziesiąt procent dochodów. Matka zaszantażowała Rogera Armbrustera, że jeśli nie odciągnie Sally ode mnie, to ona unieważni ich kontrakt. - Oczy mu pociemniały. - Nigdy ci o takich sprawach nie mówiłem.

- Nadal mam nadzieję, że próbowałaś. Wówczas byłabym szczerą sama ze sobą. Na przykład, że jestem oszustką. Jak o mnie myślałeś i kim rzeczywiście byłam? Przerazało mnie oddanie siebie, oddanie całkowite. Samotność nie jest ciężarem. Jest bezpieczna. Nikt nie mógł się do mnie dostać. Tylko ty to zrobiłeś, w sposób, który mnie przeraził, ponieważ zmieniłeś mnie w kobietę, jakiej nie znałam, której nie znosiłam, a co gorsza, nie umiałam jej opanować. Więc szukałam racjonalnych wyjaśnień. One są dobre, jeśli chodzi o praktyczną stronę życia, ale bezużyteczne tam, gdzie do głosu dochodzą uczucia i emocje. Te mnie przerażały. Tak jak twój związek z matką. Wiedziałam, że nie był normalny, ale bałam się wnikać zbyt głęboko. Z obawy przed tym, co mogłabym znaleźć. Mówiłam sobie, że najlepiej zostawić to w spokoju, widzisz więc, jak się bałam, że cokolwiek bym uczyniła, mogłoby wstrząsnąć naszym małżeństwem. A to uwolniło mnie od odpowiedzialności bycia tą, która... Kim byłam. - Przestała mówić przypomniawszy sobie swój wizerunek odmalowany niepochlebny, ale trafny uwagami Chris. - Uczuciowym tchórzem. - Julia nie cofnęła się przed własną pokutą. - Nie tylko ty masz za co przeproszać.

Gdy popatrzyli sobie głęboko w oczy, Julia wiedziała, że on też wie, że choć bitwa jeszcze trwała, to wojna była zakończona.

- Twoja matka wiedziała, kim byłam. W przeciwnym razie nie udałoby się jej zrobić tego, co zrobiła. Tak, znała mnie. Bardziej niż ja samą siebie.

- Ty także byłaś na pustyni - stwierdził Brad.

Julia patrzyła na minione sześć lat sukcesów, wypełnionych przez Jenny, ale mogła już powiedzieć prawdę:

- Tak.

- Zmieniłaś się.

- Mam nadzieję.

- Opowiedz mi o Jenny - poprosił czule, sprowadzając jednocześnie rozmowę na bezpieczny grunt. - Do kogo jest podobna?

- Do ciebie.

- Do mnie?

- I nie tylko powierzchownie. Dostrzegam ciebie w niej głębiej, pod wieloma względami. Jest jak żywe srebro, jak ty. Raz ożywiona, a po chwili spokojna. Niespożyta, wesoła, nastrojowa, czarująca i irytująca, ale nie zamieniłabym jej na nic na świecie. Ona jest moim światem.

- Może pewnego dnia pozwolisz mi ją zobaczyć?

- Odpowiada ci niedziela? Brad wytrzeszczył oczy.

- Wybieramy się do Disneylandu. Jenny wierzy, że jest to miejsce, gdzie idą małe dziewczynki, jeśli muszą umrzeć. Gdybyś mógł być tam około jedenastej przed południem...

- Gdzie?

- Gdy miniesz bramki, dojdiesz do łuku kolejki obok stacji. Pojedziesz do Main Street USA, mojego ulubionego miejsca. Trochę dalej jest cudowna replika sklepu z roku około tysiąc dziewięćset dziesiątego, na zewnętrznym rogu jest ukwiecona trybuna, gdzie wszystkie zwierzątka Disneya ustawiają się do fotografii...

- Będę tam.

Gdy Julia pochyliła się nad swoją szklanką wstrząśnięta uczuciem, które zobaczyła w jego oczach, powiedział:

- Musisz mieć tam breję, pozwól, zamówię nowy. Gdy kelnerka odeszła, dodał:

- To było tak nieoczekiwane... Dzięki.

- Jest także twoją córką - odrzekła bez wahania Julia. - Byłabym kiepską matką, gdybym pozbawiła jej ojca przyjemności jej towarzystwa.

- Nie winiłbym cię, gdybyś nie chciała. Bądź jednak pewna, nie pozwolę mojej matce zbliżyć się do niej.

- Na pewno pamiętasz, że ona nie tylko wie o jej istnieniu. Jestem pewna, że ma ją na oku. I stąd wziął się Markus. Gdyby mogła wykazać, że jestem złą matką, że żyję z mężczyzną, który został oskarżony o kradzież...

- Nic z tego - przerwał stanowczo Brad. - Od tej chwili moja matka jest odsunięta. Odsunięta, Julio.

- Wszystko to pięknie. Ty być może wymazałeś ją ze swojego obrazka, ale wiesz, że ona maluje tylko własne.

- Masz prawo być podejrzliwa, ale wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłem. - I jeszcze raz, jakby był świadomy kruchości lodu, po którym stąpali, zmienił temat. - Powiedz mi, czego mogę się spodziewać po niedzieli?

- Bólu nóg.

Roześmiał się pierwszy raz tego wieczora.

- Ona ma niespożyta energię. Mogłaby rozwiązać energetyczne problemy całego świata.

- Więc jak sobie z nią radzisz?

- Twarda ręka, dwie twarde ręce, moja i Barbary.

- Zawsze wierzyłaś w dyscyplinę, a zwłaszcza w samodyscyplinę.

- Spójrz dookoła, jacy ludzie wyrastają z niezdyscyplinowanych dzieci. Jenny nie jest wychowywana według doktor Spock!

- Mamine klapsy? - spytał z krzywym uśmiechem.

- Jeśli to konieczne. Jenny ma silną wolę. Gdybym ją rozpuściła, byłaby nie do zniesienia, a gdybym nie polegała w stu procentach na maksymach mojej ciotki, toby przepadła.

Nie uważam, że należy dzieciom schlebiać albo dawać im całkowitą swobodę. Daję jej wolną rękę, ale nie wypuszczam z własnej.

- Abby twierdziła, że ona ma już ukształtowany charakter. Zgadza się. Twojej matki, pomyślała Julia, ale zdecydowała, że Brad powinien sam do tego dojść.

Milczeli, gdy podawano im następne drinki. Julia pociągnęła duży łyk, prawie się krztusząc, gdy Brad zapytał:

- Nie wyszłaś za mąż. Dlaczego?

- Po dwu błędach?

- Na pewno nie tylko twoich.

- I co z tego - zbyła go ostrzegając tonem głosu, by nie brnął za daleko, i zmieniła temat. - Co zamierzasz teraz zrobić?

- Stanąc przed matką, w końcu muszę to zrobić.

- Chciałabym przy tym być. Jego rysy zaostrzyły się.

- Nie. To będzie prywatne przedstawienie.

- Ach, jak bym chciała pokazać jej, co potrafię, nawet gdyby miała stwierdzić, że się nie nadaję.

Zaśmiał się, a smutne oczy rozblęły.

- Muszę to zrobić sam, Julio, tak, żebym wiedział, że to zrobiłem. Sam.

- Rozumiem, matka... jest tylko jedna. Zaśmiał się otwarcie i swobodnie.

- Jak to dobrze, Julio, znowu z tobą rozmawiać.

Ich spojrzenia spotkały się, zatrzymały i przylgnęły do siebie, a śmiech zamarł.

- Wybacz, że tak bardzo cię skrzywdziłem - poprosił z bolesną pokorą w głosie. - Że wierzyłem w kłamstwa mojej matki, choć w głębi duszy wiedziałem, że ty mówisz prawdę.

- Tak, skrzywdziłeś mnie - odpowiedziała bez wahania. - Tak bardzo, że myślałam, że pozostała mi do ciebie sama nienawiść, ale to było, zanim pojawiła się Jenny i zanim zaczęłam rozumieć. Wybaczę ci, jeśli ty mi wybaczysz.

- Wolałbym raczej, żebyś wybaczyła samej sobie. Wiem, że to przychodzi najtrudniej.

Julia milczała zdumiona, a po chwili powiedziała:

- Ty się rzeczywiście zmieniłeś.

Popatrzyli na siebie i Julia pomyślała, że potrafi dostrzec w jego oczach światełko na końcu długiego, ciemnego tunelu.

- Julio - jego głos przepełniony był uczuciem. - To bardzo ważne dla mnie. Nie umiem zacząć...

- Brad? Brad Bradford? - Jakies głosy zniszczyły delikatną nić nawiązującego się między nimi porozumienia. Ujrzeni nad sobą olśniewającą parę z Zachodniego Wybrzeża. Starszy mężczyzna ubrany niczym młodzian. Błękitna kurtka, białe, wyszywane spodnie, jedwabna koszula i przewiązana wokół szyi apaszka, tudzież mnóstwo łańcuchów, złota bransoleta i ciężkie pierścienie. Jego żona zaś miała na sobie obcisłe spodnie z czarnego welwetu i białą bluzkę z jedwabnego szyfonu, z żabotem. Oczywiście bez stanika. Jej ciężkie piersi falowały, gdy pochyliła się, żeby przywitać Brada pocałunkiem w usta, co wskazywało na łączącą ich zażyłość.

- Jack i ja myśleliśmy, że straciliśmy z tobą kontakt na zawsze! - wykrzyknęła.

- Jack, Denis. - Twarz Brada zaczerwieniła się ze złości, zanim opanował się i uśmiechnął uprzejmie, choć bez entuzjazmu.

- I wydawało nam się, że to musiałeś być ty. Weszliśmy na górę, żeby się upewnić - powiedział Jack. Skierował oczy na Julię, szacując ją lubieżnie i bez skrępowania.

- Jak widzę, nadal jesteś w formie.

Julia, cokolwiek zmieszana bijącym od nich seksem, wymruczała zdawkowe podziękowanie za dwuznaczne wyrazy uznania.

- To już wieki. - Kobieta była nader wylewna. - Ostatni raz widzieliśmy się w Palm Springs. Nigdy nie zapomnę tego weekendu! - Patrzyła na Brada porozumiewawczo, co wprawiało Julię w jeszcze większe zakłopotanie.

- Wolałbym, żebyś zapomniała. - Brad zbił ją z tropu. Przestała się uśmiechać.

Popatrzyła szybko na Julię i powiedziała:

- O, przepraszam. Zdawało nam się, że dalej jesteś na karuzeli.

- Nigdy więcej - zaprzeczył Brad.

- Szkoda - powiedział Jack. - Zjechaliśmy tu, żeby spotkać parę, z którą mieliśmy w tym roku karuzelę, ale żona odpadła, nabawiła się wstrętów. Zostawili nas samym sobie. Na pewno nie zainteresowałaby was mała zabawa?

- Nie, dzięki - odmówił Brad chłodno, wręcz odpychająco.

- Właśnie zbieraliśmy się do wyjścia. Musimy zdążyć na samolot.

Oboje wyglądali na wyraźnie rozczarowanych.

- Słyszeliśmy, że jesteś na wylocie - powiedział Jack. - Zła atmosfera? Musisz być teraz bardzo ostrożny.

Brad milczał. Wstał, odliczył banknoty i rzucił je na stół.

- Musicie już iść? - spytała Denis kładąc mu dłoń na ramieniu i napierając na niego piersiami.

- Tak, musimy. - Pochylił się, by wziąć Julię za łokieć i ponaglić, żeby wstała. - Przykro mi.

Żadne z nas nie jest zainteresowane.

Odeszli w pośpiechu.

- Przepraszam cię za to - powiedział, gdy czekali na windę.

- Ludzie i te sprawy... patrzę teraz za siebie ze zdumieniem. Julia nie odpowiedziała, chociaż wiedziała, o czym mówiono przy stoliku. Markus objaśnił jej, na czym polega karuzela. Brał w tym udział.

- Myślę, że najbliższym określeniem jest zamiana żon - wyjaśniał. - Potem w domu w ogóle się o tym nie wspomina. Uważają, że sprawa polega na tym, by atmosfera była dobra, a ciała dopasowane.

Julia poczuła niesmak. Przepaść między nią a Bradem rozwarła się ponownie. Zetknęła się z fragmentem jego przeszłości, z czymś, czego najwyraźniej żałował. Nie wiedziała więc, dlaczego czuła się aż tak zaszokowana. Ona jedna spośród wszystkich kobiet powinna zdawać sobie sprawę z jego seksualnych uwarunkowań. To było kiedyś, upominała siebie, a teraz jest teraz. Dzięki Bogu, Brad zmienił się. Z ulgą uświadamiała sobie, że wizerunek dawnego Brada znika jej w oczach. Patrząc na nowego, odmienionego, o pomarszczonej twarzy, przemęczonego, pełnego wahań i niepewności, wiedziała, że sto razy bardziej woli tego niż tamtego. Karuzele mogły być częścią jego prób ucieczki od matki.

No więc co z tego, że spał z Denise, a ta bardzo by chciała powtórzyć to sobie? To było kiedyś. Dawny Brad prawdopodobnie zaakceptowałby propozycję, a nawet oczekiwał od Julii pełnej współpracy... Odrzuciła tę myśl, zanim mogła zagrozić unicestwieniem jej świeżych jeszcze odczuć. To, kim był, miał już poza sobą. Ważne, jak teraz się do tego odnosi. Jednakże uprzytomniła też sobie, że jest o niego bardzo zazdrosna. Denis mogła się podobać.

Brad towarzyszył Julii do jej pokoju i zaczekał, aż wzięła torbę, która była już zresztą spakowana. Biorąc ją od niej, powiedział:

- Julio, naprawdę przykro mi z powodu tych erotomanów. Oni nie są i nigdy nie byli moimi przyjaciółmi. Po prostu ludzie, których spotykałem na pewnego typu przyjęciach. Jest to przeszłość mojego życia, do której nie chciałbym już nigdy powracać. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Wiem. Popatrzył jej w oczy.

- Naprawdę? Żyłem w chorym świecie. I ja byłem chory, w każdym razie miałem chorą duszę.

- Wiem o tym.

- I już tego nie chcę. Nie potrzebuję. Wydawało mi się, że to była totalna wolność, tymczasem w rzeczywistości pobrzękiwałem tylko swoimi łańcuchami.

Julia położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć, i rozumiem cię. Naprawdę.

- Próbuję ci powiedzieć, że się zmieniłaś. Co do mnie... ciągle próbuję i chcę tego. Nie mam wyboru. Jeśli mi się nie uda, będę skończony.

Julia spojrzała w jego zdesperowane oczy.

- Jestem po twojej stronie, Brad. Odetchnął głęboko, z ogromną ulgą.

- To właśnie chciałem wiedzieć.

Magia chwili, którą zniweczyło pojawienie się Jacka i Denise, powróciła. Julia znowu poczuła, jak Brad w nią wnika, lecz tym razem nie wpadała w panikę. Sens miał jedynie powrót do domu, przywrócenie tego, co straciła i myślała, że nigdy już nie odnajdzie. Była zdolna zaakceptować to wszystko takim, jakim było, raz i na zawsze.

Brad przeżywał to nieco inaczej. Jakby zwolnił i zredukował bieg do jedyńki. Gawędzili swobodnie, bez wysiłku, przeważnie o sprawach, które ich specjalnie nie dotyczyły. Odprowadził ją tak daleko, jak mógł. Gdy oddawał jej torbę, zatrzymał jej dłoń w swojej.

- To była wielka przyjemność, Julio. Tak to odbieram. I mam coś, na co mogę czekać. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

Pochylił się, musnął wargami jej policzek i odsunął się.

- Do niedzieli.

- Do niedzieli - odpowiedziała jak echo, po czym znikła.

W samolocie nastrój jej się zmienił. Zaczęła żałować własnej impulsywności. Zastanawiała się, dlaczego to zrobiła. Nie miała takiego zamiaru. Była tak samo zdziwiona jak on. Jak zwykle. Beznadziejnie. W jego obecności stawała się inną kobietą, bezkrytyczną, ignorującą tak wyraźne ostrzeżenia. Nawet teraz, po wszystkim, co zrobił, co wycierpiała przez niego, nadal miał w sobie moc zmieniania jej w coś zagubionego i uległego, co instynktownie odpowiadało na każde jego spojrzenie i gest. Chris miała rację, jak zwykle. To z jego powodu unikała powrotu do Ameryki. Ponieważ bała się go, ponieważ miał i zawsze będzie miał nad nią władzę. Nawet teraz, okazując swoje rozterki, zmartwienia, paląc jednego papierosa za drugim, zszokowany i zdesperowany, nadal posiadał pewną atrakcyjność, jakiej nie mogła się oprzeć. Postarzał się. W szopie blond włosów pojawiły się białe kosmyki. Jego spojrzenie zmętniało, a pogoda ducha się ulotniła. Jednak nadal go czuła, a jego wpływ na nią był taki sam. Zadrzała, usta miała suche i czuła się rozproszona. A miała być spokojna, skupiona i... nie wybaczać. Jedno jego spojrzenie i rozplynęła się, pozwoliła mu sobą kierować, a nawet zaprosiła go do spędzenia dnia razem z Jenny. Chyba zwariowałam, myślała rozpierając się w fotelu przy oknie. Powinnam dostać się w pobliże jego matki. Wciąż jestem mu potrzebna. Potrzebuje każdego, kto może mu pomóc. W tym szczególnym przypadku potrzebna mu każda pomoc, jaką może uzyskać.

Nieoczekiwanie jej nastrój znowu uległ zmianie. Pomogę mu, pomyślała prowokując samą siebie. Byłabym niewiele warta, gdybym nie pomogła komuś, kto chce uciec od lady Hester Bradford. Poza tym, winna jestem jej to za wszystko, co mi zrobiła. Ten dług od dawna czeka na spłatę.

Rozdział dwudziesty.

Ze swojego miejsca przy kwiatach zobaczył, że nadchodzą. Płomienne włosy Julii i tak wystarczająco przyciągały spojrzenia, tymczasem uzupełniała je czerwonozłota, puszysta korona wokół głowy małej dziewczynki, która ciągnęła za sobą matkę niczym krnąbrnego szczeniaka, usiłującego zerwać się ze smyczy. Z miejsca, w którym stał, niemal czuł jej podniecenie, które sprawiało, że żarzyła się jak węgielek. Była bardzo opalona; nosiła bawełniane szorty i koszulkę ze szczerzącą zęby Myszka Miki. Jak na swój wiek była wysoka, ale chuda. Gdy doszły do rogu, dojrzał, jak Jenny wyrwała rękę z dłoni matki i rzuciła się do bójki. Odepchnęła łokciem małego chłopca, który wkładał właśnie rękę w łapę Kaczora Donalda, i z triumfem wsunęła tam swoją, wymierzając jednocześnie kopniaka większemu chłopcu, który usiłował się z nią siłować.

Zaraz zwróciła się do matki z poleceniem:

- Szybko, mamusiu! Czy aparat jest przygotowany?

Rozpoznał w jej głosie angielskie nutki. Gdy spojrzał na Julię, która nastawiała aparat, przypomniał sobie, że kupił kamerę filmową. Skierował ją na Jenny, która usadawiała się przy każdym zwierzątku Disneya: z pewnym siebie uśmiechem obok psa Pluto, obejmując Myszka Miki, całując Misia Puchatka. Po czym ruszyła w stronę Brada. Opuścił kamerę. Dziewczynka rzuciła mu wyniosłe spojrzenie i spytała, żądając natychmiastowej odpowiedzi:

- Dlaczego mnie fotografujesz?

- Jenny - ostrzegła Julia.

- Przecież mówiłaś, że nie mogę zadawać się z obcymi mężczyznami.

- Kochanie, ten pan nie jest obcy. To jest... mój stary przyjaciel.

Brad kucnął i wyciągnął rękę.

- Cześć - powiedział. - Zaprosiła mnie tu twoja matka. Na imię mi Brad.

Jenny nie ukloniła się.

- Jak się masz - odpowiedziała z godnością, a jej mała, ale silna rączka znikła w jego dłoni.

Odczuł coś bardzo dziwnego.

- Czy ten aparat robi ruchome obrazki?

- Tak.

- Pozwolisz mi popatrzeć?

- Kiedy zechcesz.

Obrzuciła go jeszcze jednym uśmiechem, tak jak uśmiechała się jej matka, gdy odnosiła zwycięstwo.

- Możemy więc iść? Jak wiesz, jest tu sporo do zwiedzania - odezwała się pokazując Historyczne Społeczeństwo przy Mount Vernon Street. - Najpierw pójdziemy do Krainy Czarów.

- Zatańczyła, podskoczyła i okręciła się dookoła. - To moje ulubione miejsce. A jakie jest twoje?

- spytała, nieświadomie biorąc go za rękę.

- Jeszcze nie byłem w Disneylandzie - przeproszał Brad takim głosem, że Julia przyjrzała mu się uważnie.

- W takim razie, ja ci wszystko pokażę, chcesz?

- Bardzo. - Brad przełknął ślinę.

- Byłam tu już dwa razy! - rzuciła Jenny od niechcienia. - Raz z mamusią i Markusem, a raz z Barbarą. Barbara jest moją opiekunką - wyjaśniła uprzejmie. - Nie ma jej dzisiaj, bo pojechała do Santa Barbara na przyjęcie na plaży.

- Naprawdę? - spytał Brad.

- Więc chodźmy. Mamy dużo do zobaczenia.

Brad rzucił Julii oszołomione spojrzenie. Córka energicznie ciągnęła go za sobą.

Tańcząc między nimi, Jenny prowadziła wzdłuż Main Street do Central Plaza, skąd można było dostać się do różnych Krain.

Za wejściem do Krainy Czarów widać było wieże Zaczarowanego Zamku. Gdy szli dookoła wielkiego łoża z kwiatów pośrodku placu, Brad poczuł, że Jenny ciągnie go za rękę. Spojrzał w dół i dostrzegł, że dziewczynka gapi się na stoisko z prażoną kukurydzą.

- O, wielkie dzięki! - Wyglądała na zdziwioną, gdy wręczył jej pudełko. Zaraz też, nie zachęcana przez nikogo, podniosła je w górę i poczęstowała go. Minęli sprzedawcę mrożonych bananów.

- Jednego zjemy sobie później - pocieszała się. Obserwując Brada, Julia stwierdziła, że najlepiej zrobi, jeśli usunie się na bok i pozwoli działać Jenny.

Brad przejechał się więc w jednej z filizanek na karuzeli Alicji w Krainie Czarów, jechał kolejką Dumbo i wlaź na różowego słonia. Gdziekolwiek chciała, wszędzie szedł za nią uszczęśliwiony. Kupił trzy komplety biletów, Julia miała dwa, więc mogli bawić się do woli. Opuszczali jedną zabawę po to tylko, by przejść do następnej.

Kiedy wyczerpali atrakcje Krainy Czarów, przeszli do Ziemi Przygody, gdzie czekało na nich safari w dżungli, wyprawa tratwą na wyspę Tomka Sawyera i strzelanina w Forcie. W tamtejszym sklepie Brad kupił Jenny mokasyny z sarniej skóry, które natychmiast założyła. Brad napił się korzennego piwa i zjadł cukrową watę. Angażował się we wszystko z takim entuzjazmem, że szczęśliwa Jenny zwierzyła się Julii, gdy kupowały hot dogi:

- On jest miły, mamusiu. Lubię go.

W grotach piratów karaibskich to Brad był tym, który przemókł, gdy łódź, opadając wodospadem, zanurkowała dziobem w wodę.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Jenny pokładała się ze śmiechu; ona zmokła także. - Dlatego usiadłam na przodzie. - Wynagrodziła mu to jednak wycierając go swoją chusteczką do nosa.

Kraina Jutra srodze ją rozczarowała, ponieważ nadal była za mała, by wejść do Przestrzeni Gór. Brad na pocieszenie wziął ją na Górę Magiczną.

- Jest niezmordowana - zachwycił się później, ale Jenny znowu ciągnęła go za rękę.

- Teraz do Łodzi Podwodnej.

Z przyjemnością usiadł na chwilę przy stoliku kawiarni Nowy Orlean i popijał kawę, gdy Jenny pałaszowała banana z lodami w takiej ilości, że musiał ją sfilmować.

- Żeby ludzie mi uwierzyli.

W Teatrze Lalek ryczał ze śmiechu wkładając ubiory z przełomu wieków, posłusznie pozując wraz z Postacią do fotografii.

Jest cudowna, myślał Brad z uczuciem. Niewiarygodnie spokojna, choć rozdokazywana, jak na swoje pięć i pół roku. Dziecięco radosna, ale nie afektowana, całkowicie wierząca w realność tego, co ogląda, a zarazem ma zadziwiająco dorosły sposób wyrażania myśli. Można z nią rozmawiać, prowadzić prawdziwą konwersację. I z Julią, jako jej matką...

Brad ze zdziwieniem obserwował ujawniającą się przed nim osobowość córki, jej wielkie podobieństwo do jego matki, która w najmniej oczekiwanych momentach robiła specyficzne miny. Na przykład, idąc za trzystafuntową kobietą w błękitnych szortach, zmarszczyła nos i parsknęła: „Och!”

Albo sposób, w jaki wpiła orli wzrok w kolekcję okularów przeciwsłonecznych Myszki Minnie, zanim w końcu zdecydowała, które chce mieć, i jak przymierzała niezliczone kapelusze Myszki Miki, zanim dokonała wyboru.

- Brad, ty ją bezwstydnie rozpieszczasz - karciła go Julia, w gruncie rzeczy bardzo zadowolona.

- Miałem pięć lat na przygotowanie się, więc mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. -

Uśmiechnął się jak dawny Brad, z neodpartym urokiem.

Wziął na barana Jenny, żeby obejrzeć zza balustrady korowód zwierząt. Razem jechali na dachu tramwaju konnego, a potem autobusu. W Domu Duchów trzymała się go kurczowo.

Odrzucił swoje troski i przez ten jeden dzień był takim Bradem, jakiego Julia pamiętała. Wesołym, pogodnym i wspaniałym kompanem; beztroskim i przyprawiającym wszystko niewymuszonym zachwytem. Tak jak jej córka.

- To jest lepszy dzień w Disneylandzie - ogłosiła Jenny, zanim wgrzyła się w następnego hot doga, z przyprawami, piklami i musztardą.

- Najlepszy, kochanie - poprawiła Julia. - Ale zgadzam się z tobą.

- I ja też! - potwierdził Brad.

Około czwartej Julia chciała gdzieś przysiąść, więc gdy Jenny zasugerowała, żeby poszli grać na automatach Pod Arkadami, sprzeciwiła się.

- Stopy mnie boją, idźcie sami. Ja usiądę na tej ławce i odetchnę. - Odstawiła z ulgą dwie wyładowane torby i zzuła sandały.

- Jesteś pewna? - spytał Brad z nadzieją, chcąc pobyć z Jenny sam na sam.

- Tak. Pilnuj Jenny przy tych automatach, bo cię zrujnuje. Patrzyła za nimi, gdy szli ręką w rękę.

Brad dostosował swoje susy do dreptania małej, która mówiła mu coś na ucho. Julia oparła się, zamknęła oczy i westchnęła z przyjemnością. To był cudowny dzień, mimo że przeszli całe mile. Wypróbowali wszystkie atrakcje każdej z pięciu Krain. Poza krótkimi wypoczynkami na jedzenie lub picie byli na nogach od jedenastej przed południem. Brad dzielnie przezwyciężył rozczarowanie faktem, że Disneyland nie oferował żadnych alkoholi oprócz piwa korzennego, ale uznał, że kawa jest dobra. Wszystko było dobre, myślała Julia. Stanowili rodzinę: ojciec, matka i dziecko. Spodobało jej się to uczucie. Brad z pewnością także był usatysfakcjonowany, pomimo że Jenny oprowadzała go nie tyle trzymając za rękę, co wodząc za nos.

- Ona jest cudowna, Julio - mówił, nie odwracając od niej oczu ani na chwilę, gdy szła obok lub niespodziewanie kuciała. - Nie wiedziałem, że dzieci są tak wesołe.

- Nie zawsze jest taka słodka i zgodna - ostrzegła Julia.

- Ja myślę! Ma charakter. Czy nie zauważyłaś... - przerwał, ponieważ Jenny pomachała do niego ręką i Brad odpowiedział tym samym. Julia jednak wiedziała, jak chciał skończyć to zdanie:

- ...że jest podobna do matki?

Jenny, im była starsza, tym bardziej przypominała babcię. Jej władczość, jej wyniosłe lekceważenie pretensji innych, jej determinację, gdy czegoś chciała, i pychę, gdy to otrzymywała. Dlatego Jenny i Barbara musiały trzymać ją krótko. Jenny wiedziała już, że chcieć nie znaczy automatycznie dostać. Tymczasem teraz ojciec przystawał na wszelkie jej kaprysy. To tylko przez jeden dzień. Lecz jeśli Jenny zechce spotykać go częściej, trzeba to będzie zdusić w zarodku.

Ziewnęła i przyknęła oczy. Czuła się cudownie odciążona. Słońce nie paliło już tak mocno, a tylko przygrzewało. Skierowała do niego twarz i zapadła w drzemkę.

Mały chłopiec strzelił tuż nad jej uchem z kapiszona i zbudziła się z nieprzyjemnym wzdrygnięciem. Spojrzała na wiszący niedaleko zegar. Dochodziła czwarta trzydzieści. Powinni wkrótce wrócić. Ziewnęła, wyprostowała się, wymacała nogą sandały. Czuła pragnienie i nabrała ochoty na chłodny, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Przeszukując jedną z toreb znalazła swoje okulary przeciwsłoneczne, sprawdziła, czy ma wszystkie inne rzeczy, i spojrzawszy przed siebie zobaczyła Brada, który prędko szedł w jej stronę. Sam.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zaczął:

- Odszedłem, żeby rozmiąć pieniądze, a ona grała przy automacie. Naprawdę, nie było mnie może minutę, ale kiedy wróciłem, znikła. Przysięgam ci, stała tam, wpychając pięciocentówki!

Uspokój się, pomyślała Julia wstając. Nie panikuj. Jego twarz jest już wystarczająco blada.

- To ta jej ruchliwość. Jeśli coś ją zafascynuje... mogła pójść za Cyganami, jeśli akurat przechodzili w pobliżu. Chodź, pójdziemy jej poszukać. Myślę, że gra gdzieś obok.

- Przejrzałem wszystkie automaty. Tam jej nie ma.

- Więc gdzieś indziej. Musimy sprawdzić każdy sklep. Idź jedną stroną ulicy, a ja pójdę drugą. Spotkamy się przy dworcu kolejowym.

Oczy Bradą błagały o wybaczenie. Dotknęła jego ramienia.

- Ona jest gdzieś tutaj. Znam swoją córkę. Jest jak motylek, skacze z kwiatka na kwiatek. Chodź, im prędzej zaczniemy szukać, tym prędzej ją znajdziemy.

Ale nie znaleźli. Gdy Julia dotarła do stacji, po sprawdzeniu każdego sklepu, każdego podcienia, po wypyтaniu pracowników, czy nie widzieli małej rudowłosej dziewczynki z pióropuszem na głowie, Brad już czekał na nią. Sam. Serce w niej zamarło. Disneyland jest ogromny. Przebywa w nim tysiące dzieci, a ona jest jedną, małą dziewczynką.

- Chodźmy do biura zagubionych dzieci - powiedział z udaną nadzieją w głosie.

- Musi tu gdzieś być, proszę pani - orzekł młody mężczyzna, którego imię, Randy, przyszpilone zostało do wyłogu koszuli, jak u reszty pracowników. - Przechodzi tędy setki dzieci każdego dnia. Jeśli ją tu przyprowadzą, zatrzymamy ją aż do państwa powrotu. Tymczasem puścimy w obieg jej rysopis i nasi ludzie będą mieć na nią oko. Musi gdzieś być, proszę się nie martwić. Dzieci potrafią zaszyć się w najbardziej nieoczekiwane miejsca.

Zabrzmiało to jak zwykła, codzienna rutyna i Julia naurągała sobie w duchu za poddanie się czarnym myślom.

- Może chciała obejrzeć drugą paradę - powiedział nagle Brad. - Mówiłaś, że ma być o piątej.

- No jasne! - Julia niemalże roześmiała się z ulgą. - Tak właśnie zrobiła. Siedzi prawdopodobnie gdzieś przed tłumem.

Ale nie było jej tam. Znowu ruszyli dwiema stronami ulicy i gdy wrócili do Randy'ego, Jenny nadal nie było. Tymczasem wybiła szósta i Julia zaczęła się niepokoić.

- Ona wie, że nie może się oddalać. Zabiję ją, kiedy jąznajdę. Mówiłam jej to tyle razy. Ale ma taką mentalność, że może pójść za fletem szczurołapa.

- Ma dopiero pięć lat - powiedział łagodnie Brad. - Przykro mi. - Wziął jej dłoń i zamknął w swojej, jak za dawnych czasów. - Znajdziemy ją - powiedział.

Przewędrowali wszystkie pięć sekcji wypatrując pióropusza, którego Jenny nie chciała zdjąć. Dzięki temu, myślała Julia z wdzięcznością, łatwo ją będzie zauważyć.

Ale około siódmej nikt jej jeszcze nie widział. Jeszcze raz wrócili do biura. Tym razem Randy, w nastroju już mniej radosnym, przyznał, że po dziewczynce nie ma śladu.

- Boże! - przeraziła się Julia. - Tu jest jezioro ze statkiem parowym... - Płynęli nim wcześniej i Julia zmuszona była trzymać Jenny za pasek, gdy wychylała się poza poręcz. Była nierozważna jak Brad.

- Nie, proszę pani - sprostował stanowczo Randy. - Nie ma takiej możliwości, by jakiegokolwiek dziecko wpadło do naszego jeziora. Co do tego jesteśmy bardzo ostrożni. A także nie można dostać się na trap bez biletu. Poza tym, jeśli dziecko próbuje wejść samo, nasi ludzie natychmiast to zauważą i wiedzą, że coś jest nie tak. Disneyland jest dumny ze swojego rekordu bezpieczeństwa, proszę pani.

- Wiem, wiem.

- I jeśli nie miała biletu, na niczym nie mogła jeździć.

- Chodź, poszukajmy jeszcze raz - zasugerował Brad spokojnie.

- Nasi ludzie szukają jej - powiedział z ufnością Randy. - Jeśli jest w Disneylandzie, znajdziemy ją.

Ale cały kompleks był już zamknięty i ludzie schodzili wyczerpani do wyjścia. Brad i Julia pilnowali po obu stronach bramek lustrując powracający tłum. Patrzyli, dopóki ostatnie umęczone dziecko nie przeszło przez wyjście. Jenny nie było.

- Mówiłam jej, żeby nie szwendała się nigdzie sama. Wiem, że tego by nie zrobiła. Zbyt wiele razy ją ostrzegałam. Mówiłam jej to dzisiaj jeszcze raz, zanim wyszłyśmy z domu. - Julia była coraz bardziej przerażona.

- I co teraz? Jak myślisz? - spytał Brad.

- Telefon. Gdzie jest najbliższy telefon?

- Telefon! Co...

- Najbliższy telefon. Proszę!

Nie, odpowiedział Ito, pan Levin nie przyjechał, ale dzwonił i pytał, gdzie jest Julia.

- Powiedziałem mu, w Disneylandzie cały dzień.

- Levin! - Brad wyglądał na zaskoczonego. - Dlaczego Levin?

- Jest egzekutorem twojej matki, prawda? Zna Jenny, a Jenny zna jego. Kiedy ją zostawiłeś...

Brad patrzył na nią bez słowa.

- Jenny nie ma w Disneylandzie, ponieważ ktoś ją stąd zabrał. Szukaliśmy wszędzie. Ona wie, że nie wolno jej włóczyć się samej. Nie zrobiłaby tego, jestem pewna. Jeśli znikła, to dlatego, że ktoś, kogo zna, wziął ją ze sobą. Inaczej wrzeszczałaby pełnym głosem. Jediną osobą, jaką zna, poza mną, Barbarą i Ito, jest Markus. Z nim mogłaby pójść bez obaw. Ona mu ufa - głos Julii załamał się.

- Ale jak znalazł ją na tak rozległej przestrzeni?

- Byliśmy tu cały dzień. Czekał na okazję.

- Dajesz się ponieść wyobraźni.

- Nieprawda! To Markus wziął stąd Jenny!

- Dlaczego, na litość boską, moja matka miałaby porywać Jenny?

- Bo wie, że spotkałeś się ze mną. Powinnam zostać za to ukarana! - Julia podniosła głos. -

Mówię ci, że Jenny się nie zgubiła! Gdyby tak było, poprosiłaby kogoś o pomoc. Ona zna zasady, Brad! Nauczyłam ją tego. Sama się kiedyś zgubiłam i bardzo dobrze pamiętam to nagłe przerażenie. - Nie panowała już nad sobą, puściły jej nerwy. - Jedyne nadzieje w tym, że jeśli to Markus, to Jenny się nie boi. Z własnej woli z nikim obcym nigdzie by nie poszła. Pamiętasz, jak potraktowała ciebie na początku.

Brad przygryzał wargi.

- Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć? - Julia zaczęła się złościć, a jej słowa odbijały się echem po pustych placach. - O Boże, dlaczego wróciłeś? Nie chciałam tego. Wiedziałam, że będzie nieszczęście. Dlaczego zignorowałam swoją intuicję? Ten parszywy kraj zawsze był dla mnie niedobry. Przynosi mi pecha.

Niemal krzyczała, a jej spokój znikł rozarty w pył.

- Julio! - Brad wziął ją za ramiona i potrząsnął nią. - Bóg mi świadkiem, że jeśli moja matka zrobiła to, ja ją...

- Co! Zrobisz coś? Czy kiedykolwiek zrobiłeś coś wbrew niej poza, powiedzmy, ożenieniem się ze mną? Zobacz, co się z nami stało! Tracimy czas - wyrzucała mu. - Ma ją teraz Markus i prawdopodobnie wiezie ją właśnie do twojej matki!

- Nie mamy żadnych dowodów!

- Nie ma Jenny. Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz? Markus na pewno dowiedział się, że został zdemaskowany. Taka jest twoja matka! Zabiję ją. Pomóż mi, bo ją zabiję!

Brad uderzył ją w policzek. Julia podniosła rękę do twarzy i rozplakała się.

- Julio... Julio... - Objął ją i zanurzył twarz w jej jasnych włosach. - Wiem, jak się czujesz, ale nie rób tego, proszę cię. Najpierw trzeba sprawdzić, gdzie jest teraz matka. Pozwól, że zadzwonię do Abby. Zobaczą, co mogę zrobić.

Lady Hester była na Farmie, od piątku wieczorem. Nikt nie widział Markusa Levina.

- Musiałby być idiotą, żeby wieść ją prosto do niej! - powiedziała załamana Julia. - Ale ona wie, gdzie ukrył Jenny.

- No więc musimy ją zapytać - odpowiedział Brad przerażająco spokojnym głosem. - Ale zanim to zrobimy, musimy skontaktować się z policją.

Gdy wchodzili na pokład samolotu, nie mieli o Jenny żadnych nowych wiadomości. Policja została zaalarmowana i przeszukała Disneyland, także przy pomocy psów. Tam jej nie było. Sprawdzone nawet jezioro. Nie było też żadnego anonimowego telefonu z żądaniem okupu, żadnej kartki, nic. Jenny znikła.

Julia była przerażona. Płakała cicho i trzymała się jedynie siłą woli. Wmawiała sobie, że lady Hester oczywiście nie zrobi Julii krzywdy, ponieważ wie, że to dziecko Brada. I moje, pomyślała. Nie śmiała wyobrazić sobie, jak czuje się Jenny. Mówiła sobie, że jeśli jest z Markusem, którego kochała i któremu ufała, to musi czuć się dobrze. Miała pewność, że Markus nie zrobi córeczce krzywdy, że jego uczucia do Jenny były szczerze. Proszę Cię, Boże, niech nic się jej nie stanie, modliła się, proszę Cię, Boże. Zrobię wszystko, czego zażadasz. Niech tylko Jenny nic się nie stanie, proszę.

Brad był wściekły, głowa mu pękała. Jeśli jego matka, potworna, obłąkana z zazdrości matka,

zaplanowała tę ohydłą intrygę, to ją zabije. Złapie ją gołymi rękami za szyję i udusi. Stalowa taśma bezlitośnie zacisnęła się wokół jego skroni.

Miał poczucie, że jest ukarany. Każdy grzech, do jakiego się kiedykolwiek przyznał, stawał przed nim do rozliczenia, a jego karą była utrata spokoju ducha, męskiej dumy, życia, samego siebie.

Wiedział, że matka nie kochała dzieci. Wnuki tolerowała, nic więcej. Patrzyła z miłością tylko na niego. Z miłością? To nie jest miłość, ale psychoza. Moja matka jest opętana, myślał. Prawdopodobnie zawsze była. Jest mądra geniuszem ludzi obłąkanych.

Silniki pracowały monotonicznie. Im dłużej Brad myślał o tym wszystkim, tym bardziej upewniał się, że Julia miała rację.

Matka kazała Markusowi Levinowi porwać Jenny, żeby ukarać Brada za to, że ją opuścił, a Julię za to, że śmiała pojawić się w życiu jej syna po raz drugi. Teraz zobaczył, że zawsze najpierw myślała o sobie. Zawsze. Czego chciała, co czuła? Ludzie byli dla niej przedmiotami. Mieli jej podlegać, służyć, jak jej było wygodnie, a gdy zrobili swoje, odsuwała ich. Jego też tego uczyła.

Złapał się za głowę. Miał poczucie, że zaraz eksploduje.

- Dobrze się czujesz? - usłyszał pytanie Julii. Spojrzał na nią, ale dwoiła mu się w oczach.

Kiedy się ocknął, leżał rozciągnięty na jednym z foteli. Pochylała się nad nim blada twarz Julii.

- Dzięki Bogu...

- Co się stało?

- Straciłeś przytomność. Nie, leż spokojnie. Masz, wypij to. Podawała mu gorącą, słodką herbatę z odrobiną alkoholu. Wypił z wdzięcznością i poczuł, że obręcz wokół jego skroni zelżała.

- Nie dziwi mnie to - powiedziała Julia. Była rozzłoszczona. - Odkąd to się stało, żyłeś prawdopodobnie na granicy wytrzymałości nerwowej. Wiem coś o tym. Już to przesłama. Proszę cię teraz, nie przekraczaj tej granicy. Jesteś mi potrzebny. Boję się. - Zobaczył, jak konwulsyjnie przełknęła ślinę. - Nigdy nie byłam tak... tak zastraszona.

Poszukał jej dłoni i oplótł ją palcami.

- Miałaś rację. Wszystko naraz zważyło się na mnie tak nagle. Ale już czuję się dobrze.

- Może powinniśmy spróbować zasnąć. Posuń się trochę, jeśli obejmiemy się, starczy miejsca dla nas obojga.

Wyciągnęła się na sąsiednim siedzeniu, przy oknie, odchyliła oba fotele jak najdalej do tyłu. Objęli się. Leżeli pod oddzielnymi kocami. Nadal drżała, ale ciepło jego ciała uspokajało ją. Położyła głowę na jego piersiach, a on poczuł znowu prawdziwe kobiece ciepło.

- Która godzina?

Uniósł rękę; spróbował dojrzeć wskazówki w przyciemnionym świetle kabiny.

- Minęła pierwsza w nocy. Jeszcze trzy godziny.

- Ciągłe się modlę - wyszeptała Julia.

- Ja też. - Przytulili się mocno do siebie. - Znajdziemy ją - zapewnił. - Przysięgam ci, Julio, na własne życie. Znajdziemy ją.

Na przemian to drzemali, to się budzili. Kiedy dolatywali nad Logan, przyszła stewardesa i poprosiła, żeby przygotowali się do wyjścia.

Nadal było ciemno. Minęła piąta nad ranem. Padało. Kiedy drzwi kabiny otworzyły się, zimny wiatr przyprawił ich o dreszcze. Oboje mieli na sobie to, w co ubrani byli w Disneylandzie. Brad był w dżinsach i koszulce, Julia w bawełnianej sukience.

- Tam powinien czekać na nas samochód. - Brad wypatrywał świateł pomiędzy strugami deszczu.
- Jest. Biegniemy. Podjedźcie tutaj! - krzyknął.

Wewnątrz wozu siedzieli Abby i Seth.

- Dobrze, że domyśliłam się i wzięłam coś cieplejszego - powiedziała Abby, zanim uściskała Julię. - Wkładaj to - poleciła. Okryła ją futrem z norek, rozdartym pod pachą, z postrzępionymi brzegami, ale bosko ciepłym. Brad dostał sweter, marynarkę i płaszcz.

- Ty zawsze coś wymyślisz - podziękował siostrze. Abby nalała gorącej kawy z termosu.

- A teraz... - powiedziała, gdy wypili gorący płyn - co to za sprawa z tym porwaniem?

- Zasięgnąłem informacji - poinformował Seth z miejsca dla kierowcy. - Nikt nie widział Markusa Levina w Bostonie.

- Widzieliście matkę?

- Nie. Wyklęła nas - oznajmiła Abby bezbarwnie. - Ma teraz czas tylko dla Binki i to też tylko po to, by znęcać się bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Postradała zmysły.

Brad i Julia spojrzeli na siebie.

- Wie, że przyjeżdżam? - spytał Brad.

- Nie mówiłam jej.

Abby odwróciła się do Julii i poklepała ją po zziębniętych dłoniach.

- Odnajdziemy twoją dziewczynkę. Nie martw się. - Do Brada zaś powiedziała: - Bądź ostrożny. Jej lont jest bardzo krótki.

- Mój tak samo.

Gdy weszli do domu, Aneczka, ranny ptaszek, stała już w drzwiach kuchennych na końcu holu rozsiewając zapach świeżej kawy.

Jej twarz rozjaśniła się, kiedy zobaczyła, kto przyjechał.

- Pan Brad! Dzięki Bogu! Pańska mama niemal odchodziła od zmysłów... - Przerwała nagle zmieszana widząc Julię, która ukazała się za nim w ogromnym niczym namiot futrze Abby. - Pani Brad! To znaczy, pani Julia... - Zaczerwieniła się i otarła dłonie o fartuch, podniecona z ciekawości.

- Dzień dobry, Aneczko.

- Moja matka już się obudziła? - zapytał Brad.

- Właśnie zaniósłam jej herbatę. Brad zwrócił się do Julii.

- Może byś poszła z Aneczką? Napijesz się kawy, zjesz coś. Długo tam nie zabawię.

Julia nie ruszyła się z miejsca. Widząc wyraz jej twarzy, Abby popchnęła Seta przed siebie i dając Aneczce znak ruchem głowy, zniknęła w kuchni.

- Jenny jest moją córką - zaczęła Julia.

- I moją.

Julia zaczerwieniła się, ale stała nadal. Brad mówił dalej:

- A tam jest moja matka, która ją porwała. W Disneylandzie oskarżałaś mnie o to, że nie jestem w stanie zrobić nic bez niej, a teraz, kiedy się zdecydowałem, nie wierzysz, że mogę coś zrobić bez ciebie?

Julia z uporem wlepiała oczy w podłogę.

- Przez pięć godzin w samolocie mogłaś się upewnić, że to zrobię. Jestem gotowy.

Julia ani drgnęła.

- Powiedziałaś, że się zmieniłem, i ty też. Chcesz mi teraz oznajmić, że zmieniłaś zdanie?

Potrząsnęła głową.

- Zaufaj mi - poprosił Brad.

- To nie do ciebie nie mam zaufania.

- Podejrzewasz, że znów przywiąże tę pępowinę?

- Będzie próbować.

- Oczywiście, że tak. Ale nie pozwolę jej na to. Zaufaj mi.

Podniosła na niego oczy.

- Będziesz ostrożny?

- Wiem, jak postępować z matką. Bardziej niż ktokolwiek inny. Mam to po niej, Julio.

- Ale... chodzi o Jenny.

- Wiem, o moją córkę. Julia zacerwieniła się znowu.

- Zapominasz, że już ją poznałem. Byłem z nią, polubiłem ją i zachwyciłem się nią. Chcę jej powrotu tak samo jak ty.

Co mu się stało? W samolocie wyglądał okropnie. Gdy zemdlął, przeraziła się. Nie dlatego, że to było takie dziwne. Przecież z pewnością od dawna żył w stresie i bardzo cierpiał. O Boże, pomyślała zrozpaczona, zapędziłam się i znowu próbuję wszystko chłodno analizować.

- Przepraszam - powiedziała ze smutkiem. - Znowu za dużo myślę.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Wiem.

Objął ją i poprowadził w stronę kuchni.

- Idź, przyłącz się do nich. Zjedz coś, jeśli możesz. Nie jadłaś ponad dwanaście godzin.

- Nie mogłabym.

- A więc napij się kawy Aneczki. Wrócę do ciebie zaraz, gdy tylko czegoś się dowiem.

Poszukała jego oczu, uśmiechnęła się niepewnie i weszła do kuchni. Ale gdy odwrócił się i odszedł, otworzyła drzwi i przyglądała się, jak wchodzi po schodach, skręca i idzie wprost do sypialni matki. Szedł pewnie, głowę trzymał wysoko. Boże, modliła się. To, co będzie musiał teraz zrobić, jest najstraszniejszą rzeczą pod słońcem. Próbowwała postawić się na miejscu lady Hester, wyobrazić sobie, że to Jenny wchodzi po schodach, żeby się z nią skonfrontować. Boże, pomóż mu.

Rozdział dwudziesty pierwszy.

Tak jak się spodziewał, zastał matkę siedzącą w łóżku, opartą o poduszki, z poranną herbatą na tacy, bez mleka i cukru. Wpatrywała się we wczorajsze wydanie „Timesa”.

Kiedy usłyszała otwieranie drzwi, opuściła gazetę, a gdy zobaczyła, kto stoi w progu, odrzuciła ją na bok i szeroko rozłożyła ramiona.

- Brad! Dzięki Bogu! Mój najdroższy syn. Gdzie byłeś? Tak się martwiłam!

Brad odwrócił się, zasunął skobel w starych drzwiach i zamiast paść matce w ramiona, uważnie na nią spojrzał. Opuściła rękę.

- Kochanie...

- Mamo, gdzie jest Jenny? Co z nią zrobiłaś? Patrzyła na niego zmieszana.

- Jenny? Kto to jest Jenny? O czym ty mówisz? Zabolało go serce. Jeżeli matka wiedziała o córce Julii, z pewnością znała jej imię. Boże, pomóż nam, myślał. A więc musi przez to przejść?

- Jenny, jak dobrze wiesz, jest córką Julii i moją. Jest dzieckiem, które Markus Levin porwał wczoraj po południu z Disneylandu.

- Disneyland! Drogi chłopcze, o co ci chodzi?

Brad czuł się tak, jakby odgrywał z matką bajkę o Czerwonym Kapturku.

- Ty wiesz.

- Bardzo bym chciała, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

- Och, tylko tobie mogło przyjść do głowy coś takiego. Nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

Jej serdeczność wyraźnie ochłodziła. Wytrzymała jego spojrzenie z miną tak bezwzględna, że dawniej padłby na kolana. Skoro jednak stał nie ruszając się z miejsca, szybko odwróciła rolę:

- Och, babciu, ale ty masz duże oczy!

- Żeby cię lepiej widzieć, po raz ostatni. Przekorny uśmiech znikł. Jeszcze raz zamieniła rolę.

- Och, mój biedny, kochany. Jesteś roztrzęsiony, prawda? - I rozłożyła ramiona. - Jedno, co możesz zrobić, to przyjść do mnie i poprosić, bym wytłumaczyła ci te wszystkie straszne rzeczy, o które oskarżała mnie Karolina...

- Już za późno na wyjaśnienia, chcę tylko Jenny. Gdzie ona jest, mamó? Co z nią zrobiłaś?

- Co z kim zrobiłam, kochanie? - Ton głosu świadczył o tym, że matka próbowała zrozumieć, o co chodzi, ale nie mogła.

- Z Jenny, moim dzieckiem, nie Paula Chambruna. Widziałem ją, mamó, i wiem to samo co ty. Dlatego ją zwinęłaś.

Matka wydawała się przepełniona bólem, tak ją raziło to, co określała terminem: wulgarny żargon.

- Nie wiem, w jakim kontekście używasz tego słowa, ale mogę cię zapewnić, że nie zwijałam nikogo ani niczego.

- Ty nie, ale zrobił to Markus Levin.

- Nie widziałam Markusa Levina od lat.

- A więc składa ci raporty telefonicznie?

- Ach - westchnęła ze zrozumieniem. - Teraz już wiem. Nadal jesteś pod wpływem pijackich bredni swojej żony.

- Karolina powiedziała mi prawdę. Zniknąłem, żeby sobie wszystko przemyśleć. Życie twoje i moje. I łączące nas stosunki.

- Ja myślałam o tobie cały czas - odrzekła z prostotą matka. Uśmiechnęła się pobłażliwie. Głupiutki chłopczyk... Jestem twoją mamą! Twoją matką, która cię uwielbia i nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby skrzywdzić najdroższego synka.

- Już za późno, mamó. Ja wiem. Znowu osaczyłaś Julię, prawda? Chciałaś zdobyć dowody na to, że jest złą matką, żeby móc w odpowiedniej chwili zabrać jej Jenny. Ponieważ jednak dowiedziałem się wszystkiego, nie mogłaś czekać, a przy tym musiałaś ukarać Julię. Nie tak było?

Lady Hester zniecierpliwiona machnęła ręką.

- Brad, naprawdę! - Użycie imienia stanowiło ostrzeżenie.

- Nigdy w życiu nie słuchałam takiego steku nonsensów!

- Tak, to głupie, zgadza się. Tym razem popełniłaś błąd. Jenny nie jest dzieckiem, które pójdzie z byle kim. Zapomniałaś, czyją jest córką?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - przerwała mu niecierpliwie. - Interesujesz mnie tylko ty. Dlaczego tak wybiegłeś? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie?

- Po tym, co powiedziała mi Karolina, była to ostatnia rzecz, na którą miałbym ochotę.

- Chcesz mi wmówić, że uwierzyłeś w te jej pijackie kalumnie?

- Głębokie poczucie krzywdy walczyło w niej z niedowierzaniem.

- Karolina wyświadczyła mi przysługę mówiąc prawdę. Pokazując mi, kim się staję... choć nie udało się to do końca. Twoją ostatnią zabawką!

- Nie zaprzeczam, że zbudowałam swoje życie wokół ciebie.

- Odwrotnie... Zbudowałaś moje życie wokół ciebie!

- Ach. - Jej głos załamał się z bezbłędnym wyczuciem chwili. - Teraz już wiem, wszystko to moja wina, ponieważ nic więcej nie robię, tylko cię kocham.

- Miłość! Już raczej zagłaskiwanie na śmierć! Matka wcisnęła się w poduszkę.

- Jak możesz tak mówić?

- Cieszę się, że nareszcie mogę.

- Nie zabraniałam ci niczego... niczego! - wykrzyknęła z pasją, po czym cicho zajęczała. - Kto ci to zrobił? Kto zatruł twoją duszę i skierował przeciwko mnie? Kto wypełnił cię tymi ohydnyimi, diabelskimi kłamstwami?

- Ohydna to tu jest prawda!

- Odchodziłam od zmysłów. Nikt nie chciał powiedzieć mi, gdzie jesteś, nawet moje własne córki konspirowały przeciwko mnie. Zostałam zdradzona przez moje własne dzieci!

- Zdrada to twoja specjalność!

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - zajęczała w udręce.

- Nadszedł czas, że mogę.

- Zawsze cię kochałam, zawsze. I to jest moja jedyna wina.

- Kochałaś, żeby posiadać, o to ci chodziło! Miłość nie polega na braniu, a ty żądasz, żądasz i

bierzesz. Miłość jest dawaniem, pragnieniem uszczęśliwiania tych, których kochamy. A z tobą jest tak, że to, czego chciałaś, było najważniejsze na początku, na końcu i przez cały czas! Nie brałaś pod uwagę, czego ja chcę i pragnę.

- Kłamstwa, kłamstwa... - zaprzeczała żałośnie, oszalała z bólu. - Nie odmawiałam ci niczego!

- Poza prawem do bycia samym sobą! Kiedy się urodziłem, wzięłaś mocny sznur, obwiązałaś mi nim szyję i odtąd zacząłem się dusić!

Przez twarz matki przebiegł skurcz.

- Jak śmiesz mówić tak do mnie? Nikt, nawet ty, nie ma prawa obrażać mnie takimi potwarzami.

Nie życzę sobie, żebyś mnie osądzała. Nawet ty!

- To nie miałoby sensu. Interesuje mnie tylko Jenny. Gdzie ona jest i co z nią zrobiłaś?

- Nikomu nic nie zrobiłam!

- W końcu mi powiesz, tak czy inaczej.

- Nic ci nie powiem! Jak śmiesz tak ze mną rozmawiać? Nie jestem służącą, żeby mi ktoś w moim domu rozkazywał! Pamiętaj, kim jesteś, i pamiętaj, kim ja jestem!

- Tak jakbym mógł zapomnieć! Błyskawicznie zmieniła taktykę.

- Ach... - stęknęła i złapała się za serce. - Nie mów mi takich rzeczy... - Oczy jej zwilgotniały błagalnie. - Mówimy słowa, których będziemy żałować, których nie chcielibyśmy wymawiać. Nigdy się nie kłóciliśmy, ty i ja. I nie tylko dlatego, że wiesz, jakie to dla mnie niebezpieczne.

- Jeśli łaska, oszczędź sobie tego szantażowania! Powiedz mi tylko, gdzie jest Jenny, i już więcej nie będę ci sprawiać kłopotów.

- Przestań się upierać, że coś wiem! - podniosła głos.

- Nie, nie przestanę, dlatego że wiesz. Wiem, że to ty ukryłaś gdzieś moją córkę.

- Nic nie wiesz! - Schowała twarz w dłoniach i osunęła się na oparcie. - Czym ja sobie na to zasłużyłam? - jęczała łamiącym się głosem.

- Wszystkim. A wszystko to w imię twojej cennej miłości! To było piekło! Nigdy mnie nie kochałaś, tylko siebie!

Stara kobieta płakała. Głowa opadła jej do tyłu, twarz zasłaniała dłońmi.

- Mój synu, mój synu... co ty ze mną wyprawiasz? Nie mogę pojąć, jak mogłeś uwierzyć w brednie twojej przepitej żony, chociaż ja wiem, że całymi latami nastawiała cię przeciwko mnie. - Uniosła twarz. - Mój drogi chłopcze. - Wyciągnęła do niego błagalnie rękę. - Chodź tutaj, usiądź obok mnie i omówmy całą tę sprawę. Nie ma nic, czego nie można zrobić dobrze. Przecież zawsze robiłam ci dobrze.

- Masz na myśli te rzeczy! Wyprostowała się.

- Drogi panie, wypraszam sobie podobną bezczelność! Twój brutalny język i bezpodstawne oskarżenia. Powiadam jeszcze raz, proszę nie mówić do mnie z taką butą! Nie zaakceptowałam tego u pańskiej żony i nie zaakceptuję tego u pana!

- Gównu mnie obchodzi, co ty akceptujesz, a czego nie. Nie traćmy czasu. Pytam jeszcze raz: gdzie jest Jenny?

- Nie będę tego słuchać! - Zatkęła sobie uszy palcami. - Nie dam się w ten sposób zaszczuć! Nikt nie ma do mnie prawa, nawet ty! Byłam względem ciebie nieskończenie tolerancyjna, ale moja cierpliwość jednak ma jakieś granice!

- Podobnie jest ze mną.

- Ostatnio wcale nie jesteś do siebie podobny. Jesteś bardzo niemiły! Widzę, że w ogóle o mnie nie myślałeś!

- Zapewniam cię, mamó, że nachodzą mnie całkiem inne myśli.

- Wiem, pod wpływem tego jałowego bezguścia, twojej żony!

- Od naszego ostatniego spotkania w ogóle nie widziałem Karoliny.

- Ale uwierzyłeś temu pospolitemu, nędzemu zeru, a nie mnie, twojej matce! Jak mogłeś? Mój własny, ukochany syn! Jak mogłeś!

- To nie było łatwe.

- A ja? Czy ty myślisz, że świetnie się dzięki temu bawiłam? Wypadłeś z pokoju bez słowa, zostawiłeś mnie w rozpacz, bez żadnych wieści, a kiedy zdecydowałeś się wrócić, oskarżasz mnie o najdziksze, najgorsze rzeczy! Nie spodziewałam się tego po tobie, po moim synu!

- Dlatego nie jestem już twoim synem.

Uniosła głowę i zaczęła mu się przyglądać, już nie oczami, ale ranami po oczach.

- Ach, nie. - Wyciągnęła błagalnie rękę, zaklinając go. - Nie masz chyba na myśli...

- Najgorszą noc w moim życiu spędziłem w samolocie i rozważałem każde słowo. Do ciebie to nie dociera, prawda? Wszystko, co powiedziałem, wszystko, kim jestem, nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia. Troszczysz się tylko o to, żeby utrzymać swoją władzę nade mną. Straciłaś ją. Czy ty mnie słyszysz? Straciłaś ją!

Siła jego głosu, wzroku, zmusiła ją do zamknięcia. Raz jeszcze schowała twarz w dłoniach, ale jej umysł szalał.

- Nie jesteś sobą - powiedziała w końcu. - Nie poznaję cię. Co się stało mojemu synowi?

- Stał się dorosły. To się stało. Dobrze mi się przyjrzyj, mamó. Nie jestem już twoim małym chłopczykiem.

Uniosła twarz szukając czegoś, czym mogłaby rzucić, ale wzrok syna przykuwał ją do łóżka.

Zdesperowana opadła do tyłu i przybrała pozę godną matki cierpiącej.

- Najdroższy chłopcze, co się z nami stało? Tak głęboko mnie ranisz. - Łzy napłynęły jej do oczu i ściekały po policzkach. - Jeśli zrobiłam coś złego, to przepraszam za to, cokolwiek myślisz, że zrobiłam. Ponieważ za bardzo cię kocham, za bardzo się troskam. To do ciebie niepodobne, nigdy nie byłeś tak nieczuły dla moich uczuć.

- O moich nie pomyślałaś?

Jęknęła żałośnie, jej plecy zadrżały, ale obserwowała go przez szczeliny między palcami.

- Powiedz mi, czy mam stracić tu cały dzień? Gdzie jest Jenny? Czy ty wiesz, co zrobiłaś Julii? Obchodzi cię to?

- Czy obchodzi cię, co mi robisz? - wrzasnęła, a oczy trysnęły ogniem. - Teraz widzę, kto cię namówił, czyj złowrogi wpływ cię ogarnął. Ta kobieta! Po tym, co ci zrobiła.

- Chciałaś powiedzieć, co ty jej zrobiłaś!

Zobaczył ostrzegawczą zmianę barwy jej szyi - nieomylna oznaka grożącego niebezpieczeństwa. Tym razem jednak nie przestraszył się.

- Wiem wszystko, mamó. Widziałem się z Julią, która powiedziała mi, jak to było naprawdę. I ty powiadasz, że jesteś moją kochającą matką? Kotka jest lepszą matką od ciebie! Nikt mający w sercu choć odrobinę miłości nie mógłby zrobić tego, co zrobiłaś ty, i to innej matce! Ty, która bez końca obwieszczasz, czym jest macierzyństwo! Nie zdawałaś sobie sprawy z tego, że ja wiem, co znaczy ojcostwo. Ja chcę mojej córki! Rozumiesz? Oddaj mi moją córkę!

Z gardła matki wydobył się przenikliwy jęk.

- Twoja córka! Twoja córka! To twoja matka powinna cię obchodzić!

- Masz tego aż nadto i jeszcze ci mało?!

Dostrzegł lecący w jego stronę kubek i uchylił się. Kubek trafił w drzwi; roztrzaskał się. Za nim pofrunął dzbanek z ciągle jeszcze gorącą herbatą i ochlapał go. Odskoczył od drzwi i zanim matka zdołała się podnieść, jego dłonie otoczyły jej szyję.

- Bądź przekłeta! - krzyknął. - Nie jesteś matką, jesteś szatanem! Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jest Jenny? Chcesz, żebym to z ciebie wydusił? - Jego głos był zduszony wściekłością i bólem; sam nie wierzył w to, co robi, ale nie był w stanie przestać. Ból zdawał się przenikać każdy nerw jego ciała i zaciskał jego czaszkę tak jak w nocy. - Gadaj, co zrobiłaś z moją córką! - Potrząsnął nią mocno. - Gadaj!

Ale ona tylko wybałuszała na niego fanatycznie błyszczące oczy.

- Dalej, zabij mnie! Zakończ moje życie! Czy nie powtarzałam ci, że będziesz moją śmiercią?

Odrzucił ją od siebie z przekleństwem, coś w środku ostrzegało go przed całkowitą utratą kontroli nad swoimi emocjami. Naraz uprzytomnił sobie, że łoskot nie dobiegał z jego głowy, tylko zza zamkniętych drzwi.

- Brad, wpuść mnie! Brad, proszę cię, to ja, Julia. Wpuść mnie...

- W porządku, Julio. - Zmusił się do spokoju, chociaż drżał na całym ciele.

- Wiem, gdzie jest Jenny. Ma ją Markus. Thomas widział ją w jego samochodzie...

Drzwi otwarły się z takim impetem, że Julia i stojąca za nią Abby nieomal wpadły do środka.

- Ty! - Lady Hester syknęła niczym kobra. - Powinam była się domyślić. - Próbowała wstać z łóżka, szykując się do uderzenia.

- Co widział Thomas? - zapytał Brad ponagłajaco. Abby wyręczyła Julię.

- Markus zadzwonił na Mount Vernon Street, żeby zabrać klucze do starych magazynów na North End. Matka kazała Thomasowi, by je wydał. Kiedy zamykał frontowe drzwi, zobaczył w samochodzie małą dziewczynkę. Miała rude włosy...

- Uwaga! - Seth wychylił się zza Abby i pchnął Julię tak silnie, że się przewróciła.

Lady Hester, która wstała już z łóżka, zbliżała się do Julii wywijając laską. Jednak Brad zdążył przyjąć cios na jedną rękę, a drugą schwycił kij i wyrwał go matce.

- To twoja wina! - Lady Hester wrzasnęła na Julię. - Powinam była wykończyć cię tak, jak tę drugą rudą dziwkę. Też chciała zabrać to, co należało do mnie!

Z obnażonymi zębami rzuciła się na Julię, wpiła jej palce w skronie, gotowa szarpać i drapać, ale i tym razem interweniował Brad, a także Seth, który skoczył do przodu i skrępował jej rękę. Gdy się szamotała, chcąc się wyrwać, Seth poganiał Brada:

- Bierz Julię i ruszajcie odnaleźć Jenny. My damy sobie radę. Idźcie już! Wasza obecność tylko ją rozwściecza.

Ale Brad patrzył na matkę, która wyglądała, jakby uciekła z domu wariatów. Jego ramię było sztywne z napięcia, a wyraz jego twarzy był taki, jakby spoglądał w czeluść piekła.

- Brad. - Spojrzał na Julię tak, że odczuła jego ból jak swój własny. - Jenny - przypomniała.

- Jenny - powtórzył. Wziął głęboki oddech. - Tak, Jenny. Błyskawicznie schwycił ją za rękę i niemalże wywlókł ją z pokoju. Lady Hester próbowała się uwolnić, a kiedy dobiegł do niej łoskot zatraskiwanych drzwi wejściowych, odrzuciła do tyłu głowę i z jej gardła wydobyło się wycie, od którego cierpła skóra.

- Brad! B-r-a-d! B-r-a-d!! - Struny głosowe w jej krtani pękały z wysiłku. - Mój syn! Straciłam swojego syna!

Przez chwilę Abby, Seth i Aneczka, a za nią Jonas, stali jak wryci, co pozwoliło obłąkanej kobiecie wyrwać się i schwycić za laskę, którą upuścił Brad. Natychmiast zaczęła wirować niczym derwisz, bijąc we wszystko, co stało jej na drodze. Jak oszalała trąba powietrzna zataczała się po pokoju, chłoszcząc, zmiatając, rozbijając. Fruwały obrazy, pękały kryształ i porcelana. Uchylając się przed furkocącym cepem Seth wraz z Abby próbowali powstrzymać matkę. Nagle Abby zorientowała się, że matka nie wzywa już syna.

- Tatusiu! Tatusiu! Wróć do mnie, tatusiu! Dlaczego mnie zostawiłeś? Wróć do mnie, tatusiu!

Aneczka, z prostotą właściwą mieszkańcom Nowej Anglii, podstawiła jej nogę, o którą wirująca postać potknęła się i padła wypuszczając z rąk swoją laskę. Natychmiast schwycił ją Jonas, a Seth i Abby próbowali podnieść staruszkę ciskającą w nich najbardziej obrzydliwymi sprośnościami. Abby pomyślała w rozpaczy o kaftanie bezpieczeństwa, gdy poczuła nagle, że przez ciało matki przebiegł gwałtowny skurcz, a po chwili zwiotczało. Głos jej zamarł, jakby jakaś dłoń schwyciła ją za gardło i tylko jej otwarte usta krzyczały bezgłośnie. Twarz niepokojąco nabiegła krwią i powoli stawała się coraz bardziej purpurowa.

- Jej astma! Mój Boże! Inhalator, szybko, na miłość boską! Jest w górnej szufladzie. Pośpiesz się!

Jonas szarpnął szufladę z taką siłą, że cała zawartość rozsypała się po podłodze. Schylił się czym prędzej, znalazł inhalator i wcisnął Abby do ręki, a ona z kolei wcisnęła go w usta matki. Starła się przy tym uniknąć drapiących w desperacji paznokci, dopóki nie przytrzymała ich Aneczka. Naraz obie kobiety poczuły, że walczące ciało uniosło się i wygięło w łuk. Z ust wydobyło się na wpół parsknięcie, na wpół chrząknięcie i Abby poczuła, jak coś ciepłego spływa jej po palcach. Nagle z ust wydobył się przeraźliwy smród i Abby w przerażeniu patrzyła, jak twarz matki nabiera ciastowatej zieleni, a ona sama zrobiła się bezwładna niczym worek z mąką. Krew z nosa plamiła i tak już pogniecioną i potarganą nocną koszulę.

- Mamo! - krzyknęła Abby pełna lęku. - O mój Boże, mamo!

Brad prowadził samochód, jakby był co najmniej tak obłąkany jak jego matka, przeskakując na oślep skrzyżowania, mknąc przez Longfellow Bridge do North End. Pod wpływem deszczu brudne nawierzchnie zrobiły się tłuste, auto wpadało w poślizg, raz nawet wykonało pełny obrót, ale Brad umiejętnie poddał mu się, dopóki nie odzyskał pełnego panowania nad kierownicą. Julia siedziała ze stopami wciśniętymi w podłogę, wczepiona w uchwyty przy drzwiach; nie powiedziała ani słowa. Wkrótce znaleźli się w zaniedbanej, rozpadającej się części miasta, na ulicach ożywionych mieszaniną etnicznych mniejszości. W tej części Bostonu wysokie kamienice z wąskimi frontonami zdegenerowały się do zatłoczonych domów czynszowych, a kręte uliczki, typowe dla Bostonu, jaki Julia pamiętała ze swojego wcześniejszego, krótkiego pobytu, pełne były śmieci. Brad skręcił w ciemną, wąską, drogę. Julia, ujrzawszy pozieleniałe od wilgoci ściany z nawisami zardzewiałych schodków przeciwpożarowych, jęknęła w duchu... Och Jenny, Jenny...

To była ślepa uliczka, zablokowana wielką bramą drewnianą, z mniejszymi dodatkowymi drzwiczkami. Brad wyskoczył z samochodu, otworzył je jednym pchnięciem i przytrzymał, by się nie zatrzasnęły przed Julią. Znaleźli się na sporym, brukowanym dziedzińcu, zawałonym rdzewiejącą maszyną. Naprzeciw wylaniał się podejrzany, stary budynek na palach, częściowo drewniany, częściowo z pofałdowanej blachy, z przekrzywionymi, drewnianymi schodami. Idąc za Bradem Julia lustrowała ponure i połamane okna. Nagle w jednym z nich spostrzegła pomazaną twarz swojej córki,

nadał w indiańskim pióropuszu wojennym.

- Jenny! Kochanie... - krzyknęła i rzuciła się do środka. Brad tymczasem natarł na Markusa siedzącego za kulawym, zawalonym komiksami stołem.

- Mamusi! Gdzie ty byłaś? Czekałam tak długo!

- Kochanie! - Julia uklękła na jedno kolano i objęła małe ciało, które wcisnęło się w jej ramiona. Pomiędzy entuzjastycznymi pocałunkami Jenny stwierdziła zasmucona:

- Czekałam i czekałam, i jestem głodna! Markus obiecał mi Big Maca, ale jeszcze go nie dostałam... - Głos jej się załamał, gdy zobaczyła, że stół się przewrócił. - Dlaczego wujek Brad bije Markusa?

Podnosząc ją do góry Julia cofnęła się w głąb pokoju, byle dalej od przewalających się ciał, jęków i odgłosów walki.

- Ponieważ jest bardzo zły na Markusa, który wziął cię ze sobą nic nam o tym nie mówiąc. Och, Jenny, kochanie, dlaczego z nim poszłaś? Tak się martwiłam.

- Ale Markus mówił... - Jenny wtuliła się w matkę z piskiem, kiedy Brad podniósł krzesło i rozbił je na głowie Markusa. Widząc jego twarz Julia krzyknęła:

- Brad! Przestań, na miłość boską. Zabijesz go!

Nigdy nie widziała tak demonicznej wściekłości i chociaż wiedziała, że Brad wyładowuje swój ból w jedyny dostępny mu sposób, próbowała go powstrzymać. Markus był od niego większy, ale Brad miał w sobie siłę szaleńca. Markus wił się pod nim, a ten objął rękami jego szyję i zaciskał je coraz mocniej.

- Brad! - Julia odsunęła Jenny na bok i podbiegła do nich. Oczy Brada były rozszerzone i nieruchome, jego wargi odsłaniały zęby, z ust wydobywał się charkot. Twarz Markusa była purpurowa, jego palce drapały bezsilnie duszące go ręce.

- Brad! - Julia z całej siły uderzyła Brada w policzek. - Dostyc! Dostyc! - krzyczała. - Nie zabijaj go!

Jenny zapłakała i Julia znowu krzyknęła:

- Przestraszyłeś Jenny!

Imię córki przedarło się przez wściekłość Brada i Julia zobaczyła, że rozluźnił uchwyt. Wtedy zdjęła mu z szyi Markusa, który kaszlał zadławiony, padł z zamkniętymi oczami i z trudem łapał powietrze. Bradowi leciała krew z nosa; twarz miał zaczerwienioną w miejscach, gdzie trafiły pięści Markusa. Ciężko dysząc, splunął.

- Powinienem być zabić tego oszusta.

- Prawie to zrobiłeś.

- Z Jenny wszystko w porządku?

- Tak, ale ją wystraszyłeś.

- Przykro mi - odpowiedział, choć nie było mu przykro. - Należało mu się.

Jenny, widząc, że jest już bezpiecznie, podbiegła do matki.

- Nie lubię tego miejsca - płakała. - I jestem głodna. Brad wybuchnął śmiechem. Jego nastrój zmienił się nagle.

- Mogłem się domyślić - powiedział. Kucnął obok dziewczynki i zapytał surowo: - Dlaczego nie zaczekałaś na mnie i nie powiedziałaś, że wychodzisz z Markusem?

- Bo on mi powiedział, żebym nie mówiła - broniła się oburzona Jenny. - To miała być

niespodzianka. - Lecieliśmy samolotem, dostałam kole i lody, i...

- Podobno miałaś nie odchodzić z nikim, chyba że pozwoliłaby na to twoja matka.

- Ale to był Markus - wyjaśniła Jenny cierpliwie.

- Nawet z nim. Więcej tego nie zrobisz, rozumiesz? Jenny popatrzyła na matkę, która przyglądała się jej z powagą.

- Nawet Markus? - spytała niepewnie.

- Z nikim, nawet ze mną. Rozumiesz? Jenny przytaknęła.

- Twoja mama była bardzo nieszczęśliwa. Czy ty wiesz, jak bardzo martwiła się, szukając cię wszędzie?

Wielka łza spłynęła z lewego oka Jenny.

- Ale Markus powiedział...

- Nie interesuje mnie, co powiedział Markus. Nie wolno ci odchodzić z nikim, powtarzam, z nikim, dopóki nie pozwoli ci na to matka. Czy to rozumiała?

Jenny kiwnęła głową. W końcu Julia zrozumiała także - w co trudno było jej uwierzyć, gdy była żoną Brada - że potrafi być twardym człowiekiem, na którego lepiej uważać i nie wchodzić mu w drogę. Nigdy nie widziała go w akcji, więc nie знаła go takiego. Widziała jedynie świetnie bawiącego się, ostro grającego mężczyznę, urodziwego i pełnego uroku, albo tego drugiego... spętanego, sterroryzowanego faceta szantażowanego przez matkę. Brad wykładając Jenny przyjęte reguły w taki sposób, że natychmiast posłusznie im ulegała, to był ten osobnik, o którym Seth i Abby mówili, że istnieje, jeśli wejrzeć głębiej. Julia pomyślała z goryczą, że nigdy tego nie robiła. Ponieważ nigdy przy mnie tej siły nie okazywał, bo i po co, nie sądziłam, że ją w ogóle posiada. Boże, wybac mi, myślała. I ja narobiłam wiele bałaganu.

- Przepraszam - powiedziała Jenny wątłym głosem.

- Moja dziewczynka. - Brad podniósł ją, ucałował, a córka objęła go i cmoknęła w policzek.

- Jestem głodna - powiedziała. - Markus obiecał mi Big Maca, ale go nie dostałam.

- Więc dostaniesz. Tak się składa, że jest tu w pobliżu McDonalds.

- I mogę dostać frytki i koktajl mleczny, i...

- Co zechcesz - zgodził się Brad.

Julia wykorzystała szansę i przejęła inicjatywę.

- Może pójdziecie przodem i zamówicie coś dla nas wszystkich? - spytała z entuzjazmem. -

Dołączę do was, jak tylko porozmawiam przez chwilę z Markusem.

Brad odwrócił się, ale zanim zdążył powiedzieć słowo, Julia uspokoiła go.

- Tym ja się zajmę. - Ich oczy spotkały się i po chwili Brad skinął głową.

- A więc chodźmy - powiedział do córki. - Na dziedzińcu jest kran. Musimy się trochę umyć, bo mogą nas nie wpuścić.

- Możemy zamówić dla ciebie, mamo? - spytała Jenny od drzwi.

- Tak. Mnóstwo gorącej kawy i Big Mac. Idźcie już - poleciła łagodnie Julia. - Długo tu nie zabawię. - I ponownie wymienili z Bradem długie spojrzenia, a potem ojciec i córka zniknęli za drzwiami.

Julia podeszła do Markusa, który podniósł się i siedział na ocalałym krześle tamując chustką krew płynącą z rozciętego łuku brwiowego.

- A jeśli chodzi o ciebie - zaczęła niechętnie. - Jak mogłeś? Myślałam, że byliśmy przyjaciółmi.

- To proste. I zawsze takie jest, jak się nie ma wyboru. Stara poczwara miała mnie w ręku.

- Ale żeby uprowadzić Jenny! Myślałam, że ją kochasz.
- Kocham, ale jeszcze bardziej kocham swoją wolność.
- No, ale jakie, na Boga, powody mogła mieć ona? Musiała wiedzieć, że ja się domyśle.
- Powody nie były dla niej ważne, ponieważ zgłupiała. Mówiłem jej, że to kretyński pomysł, ale nie chciała mnie słuchać. Zwariowała i nie potrafiła logicznie myśleć.
- Oszukiwałeś mnie. Od chwili, w której przekroczyłeś mój próg, oszukiwałeś mnie. Udawałeś zdziwienie na widok ciąży, a przecież właśnie dlatego cię przysłała.
- No więc miała cię pod policyjnym nadzorem. Co jeszcze jest takie nowe?
- Fakt, że odkryłam, że jesteś kłamcą, złodziejem i oszustem, a na dodatek kidnapierem. To jej pieniędzy użyłeś, żeby mnie sponsorować?
- Ja nie miałem żadnych.
- A te dwadzieścia procent też szło dla niej?
- Piętnaście. Była na tyle miła, że zostawiała mi nędzne pięć! Wyglądał na zasmuconego. Cały Markus. Nie miał wyrzutów sumienia, ale było mu żal, że dał się naciąć.
- I pomyśleć, że ci ufałam.
- Gdybym nie kręcił i nie grał na zwłokę, już dawno byś przepadła. Odkąd cię poznałem, byłem po twojej stronie.
- Ale nie aż tak, żeby mnie ostrzec. Grałeś na dwie strony, prawda? Stałeś pośrodku huśtawki.
- Robiłem to, co musiałem - odrzekł. Wydawał się zmęczony. - Gdybyś robiła to, co ja, i była tam, gdzie ja, to szybko byś się tego nauczyła.
- Myślałam, że nie pójdziesz siedzieć - odparowała Julia z okrucieństwem w głosie.
- Nie tą razą - zgodził się Markus z błyskiem dawnego poczucia humoru. Śmiech Julii zabrzmiał sztucznie.
- A całe te wysiłki, żeby zawlec mnie do łóżka, to jej pomysł?
- Ale moja skłonność. - Markus odpowiedział niczym dżentelmen. Popatrzył na Julię i zrozumiała, że nie kłamał. Zawsze to różnica...

- Brak mi słów - powiedziała w końcu.
- To będzie pierwszy raz.
- I zarazem ostatni, jeśli mowa o tobie. Możesz wziąć swoje dwadzieścia procent i wsadzić je sobie... dokładnie tam, gdzie cię boli.
Dotknął językiem dziury po zębie.
- Boli.
- Bardziej, niż jak się jest szantażowanym? Bo byłeś. Czy może nie? Albo więzienie, albo...
- Zanim mnie zwolniła, robiłem dla niej brudną robotę. W tym celu mnie zatrudniła. Byłem tym, który kupował i sprzedawał, finalizował transakcje, wręczał łapówki, organizował przespiewki, wywiad gospodarczy, jak to się dzisiaj mówi. Dlatego mnie nie oskarżyła. Za dużo wiedziałem. To była rezerwa. A w tym czasie ona uczyła fachu swojego bezcennego syna.
Przy ostatnich słowach w jego głosie usłyszała złość.
- Nienawidzisz Brada, prawda?
- Po pierwsze, co tu lubić? Zbyt pewny siebie złoty chłopiec z Harvardu. Zagraniczne sportowe samochody. Sama śmietanka pańienek z Radcliffe, ogromne rachunki w kawiarniach, kolacyjki u Ritza. Dlaczego jakiś człowiek ma mieć tak dużo? Wszystko, co miałem ja, to mój rozum. Nie mam

nawet prawdziwego nazwiska. Nikt nie potrafił wymówić nazwiska mojego dziadka, kiedy szurnął przez Ellis Island, więc zrobił się Levin. Nie wziął z Rosji nawet swojego nazwiska!

Julia zbyt późno uświadomiła sobie, że pod rozmyślnie roztaczaną aurą człowieka, któremu nie zależy na niczym, prócz dolarów, leży zapiekła zazdrość, żal, zawiść, a na tych wszystkich uczuciach bez wątpienia grała Hester Bradford.

- Podbierałem forszę Bradfordom, ponieważ było ich na to stać. To moja wina, że ostatnim razem byłem nieostrożny. Od tego czasu miała mnie w garści.

- Twój śmiech cię kiedyś zabije - powiedziała gorzko Julia.

- Praca dla Hester Bradford to nie zabawa.

- Jeśli złożysz jej raport... niech Bóg ma cię w swojej opiece. Jeśli to zrobisz...

- Nie mam zamiaru - zapewnił Markus, ciągle próbując zatamować krew. - I gdyby chciała deptać mi po piętach, to powiedz jej, że mam kopie pewnych dokumentów, za które może pójść do pudła - zaśmiał się. - Bradford i Synowie staliby się wtedy Bradford i Łapówa, a to ostatnia rzecz, jakiej pragnie. Julia uderzyła go w twarz z taką siłą, że niewiele brakowało, żeby spadł z krzesła.

- Jeśli chodzi o ciebie, to już wszystko, co miałam do zrobienia. - Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy znalazła się w ciepłym pomieszczeniu McDonalda, nadal cała była rozpalona. Jej oczy odszukały eks-męża i córeczkę i chciało jej się śmiać. Jenny przeżuwała Big Maca, a Brad z policzkiem wspartym na ręku wpatrywał się w nią jak zakochany. Zapach gorącej kawy sprawił, że ślinka napłynęła Julii do ust, ale gdy usiadła obok nich, ogarnęła ją letargiczna senność. Jedyne, co potrafiła zrobić, to położyć głowę na stole i zamknąć oczy. Brad pchnął w jej kierunku kawę w plastikowym kubeczku z przykrywką. Zdjęła wieczko, powąchała, siorbnęła i westchnęła:

- Jakie dobre.

- To też jest twoje, mamó. - Jenny pchnęła do niej plastikowe pudełko z Big Makiem. - Jedz szybko, bo wystygnie.

Julia uśmiechnęła się, ale nie uczyniła najmniejszego wysiłku w celu otworzenia pojemnika.

- Nie jesteś głodna? - zdziwiła się Jenny. - Wujek Brad też nie był, więc zjadłam za niego.

Julia wybuchnęła śmiechem.

- Zjadłaś dwa Big Maki?

- Przecież byłam głodna. Brad wyszczerzył zęby.

- Ona zje jak głodny tygrys. Jak poszło?

- Potwierdził wszystkie domysły. Był jej szpiegiem. Przez całe lata zresztą. Prosił też, żeby jej przekazać, że jeśli wpadnie wam do głowy pomysł skasowania go, to on ma pewną informację, skutkiem której Bradford i Synowie zmieni nazwę na Bradford i Łapówa.

Brad zmarszczył brwi.

- Skoro tak...

Julia pokręciła swoim kubkiem.

- Powiedział... powiedział, że robił to, co ty zaczęłaś robić, kiedy wszedłeś do firmy. Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy: - Departament brudnych numerów?

Brad wytrzymał spojrzenie.

- Zgadza się - potwierdził. - Tam właśnie terminowałem. Jednak gdy tylko zdobyłem odpowiednią pozycję, sporo tam zmieniłem. Matka nie musiała robić połowy z tego, co robiła. Ona to po prostu lubiła.

Julia pokiwała głową. Nie było jej do śmiechu, ale cieszyło ją, że Brad powiedział prawdę. Tym razem, myślała, może rzeczywiście stanie między nami prawda.

- Co teraz? - spytała.

- Wracam na Farmę. Najpierw jednak zawiozę cię z powrotem na Mount Vernon Street. Nie chcę, żebyś była w pobliżu matki.

- Jeśli zawieziesz nas na lotnisko, to wrócimy do Kalifornii.

- Myślę, że najpierw powinniście się wyspać. Może jutro? Pojęła, że nie chce, by się oddalała.

Zgodziła się.

- Dobrze. Czy jest coś, co mogłabym zrobić?

- Nie. Nie chcę, byś się w to angażowała.

- Za późno. Już jestem, z powodu Jenny.

- Być może, ale masz ją z powrotem, dzięki Bogu. Z resztą sam muszę sobie poradzić.

Wiedząc, że ma na myśli krzyki, które doszły ich przez zamknięte okna, powiedziała pokrzepiająco:

- Abby dałaby sobie radę.

- Ale nie musi. To moja sprawa.

Julia wyczuła jego napięcie. Ciepło restauracji zmniejszyło jej własne napięcie i z trudem walczyła z zamykającymi się oczami. Jenny słabła także, niezdolna do uporania się z trzecim hamburgerem. Odłożyła go i ziewnęła.

- Mamo, jestem zmęczona...

Brad podniósł się z taką gotowością, że Julia uprzytomniła sobie, że niecierpliwił się do wyjścia. Oczywiście, pomyślała. Bez względu na wszystko, nadal był synem.

Jenny ułożyła się do snu na podolku matki. Pełny żołądek i odzyskane poczucie bezpieczeństwa dostarczyło jej zbyt wiele wrażeń. Julia z kolei pragnęła jedynie wsunąć się pod kołdrę.

Jednakże Thomas, kiedy otworzył drzwi, wyglądał na niezwykle napiętego i podnieconego.

- Panie Brad, dzięki Bogu, że pan wrócił! Brad skrzywił się.

- O co chodzi?

- Pańska matka, sir. Wczesnym rankiem miała atak. Pani Amory zadzwoniła nie tak dawno, żeby panu powiedzieć, że zawieziono ją do Massachusetts General. Wyjaśniałem, że pana tu nie ma, ale powiedziała, żeby panu powiedzieć, kiedy pan przyjedzie.

Brada zamurowało.

- Atak!

- Tak, sir. Pani Adams też jest w szpitalu, więc ja poinformowałem rodzinę.

Julia natychmiast powzięła decyzję.

- Gdzie mogę położyć Jenny? Jest tak zmęczona, że z pewnością się nie zbudzi, choć dobrze by było, gdyby ktoś miał ją na oku.

Twarz Thomasa zmieniła się, kiedy zorientował się, kto stoi z dzieckiem na ręku.

- Pani... pani Julia! Oczywiście, oczywiście, bardzo przepraszam. To szok, pani rozumie.

- Poczekaj - nakazała Julia Bradowi. - Pojadę z tobą. Nic nie odpowiedział.

Julia błyskawicznie położyła Jenny w łóżku w pierwszej lepszej wskazanej przez Thomasa sypialni. Mała nie obudziła się, zwinęła się tylko w kłębek i włożyła kciuk do buzi.

- Posadzę przy niej jedną ze służących - powiedział Thomas.

- Dziękuję ci, Thomas. Gdyby się zbudziła, w co wątpię, zadzwoń po mnie do szpitala.

- Bardzo dobrze, pani Julio.

Brad stał dokładnie tak samo jak przed chwilą, gdy zanosila Julię do sypialni. Dotknęła jego ramienia.

- Chodź ze mną. Zawiozę cię do szpitala.

Thomas poinformował ich, że lady Hester jest na oddziale intensywnej opieki i kiedy weszli do poczekalni, skupił się tam już cały klan Bradfordów do drugich i trzecich kuzynów włącznie.

Abby siedziała obok Seta, który trzymał ją za rękę. Po jej drugiej stronie siedział Charley, bardzo zmieniony, o trzydzieści funtów lżejszy i szalenie szykowny. Za nimi stało ich dwu chłopców, teraz już mężczyzn. Pod oknem siedziała Binka, obok jej syn. Mąż wyglądał przez okno, dopóki nie zobaczył Julii.

Abby, ujrzawszy ich, natychmiast się podniosła.

- Brad! Dzięki Bogu. Macie Jenny?

- Tak. Co się stało?

- Po twoim wyjściu wpadła w prawdziwy, nie kontrolowany szal, co pogorszyło jej astmę, a to spowodowało wylew krwi do mózgu. Cierpi na coś, co lekarze nazywają rozległym porażeniem mózgowym. Jest w śpiączce, sztucznie utrzymywana przy życiu.

- Mogę ją zobaczyć?

- Chodź ze mną.

Kiedy zniknęli za drzwiami, Julia zaczęła rozglądać się za jakimś miejscem do siedzenia i napotkała utkwiony w niej wzrok Binki, która patrzyła tak, jakby dwie soczewki miały wypalić w Julii dziurę.

- No, przypatrz się dobrze! - syczała z właściwą sobie jadowitością. - Wszystko to twoja wina! Wystarczyło, że ukazałaś się na scenie, żeby dla naszej rodziny skończyło się to nieszczęściem!

- Binka! - ostrzegł Seth wstając z miejsca.

- Nie „binka” mnie! Mówię tylko to, co jest prawdą. Gdyby nie wróciła, nic z tego, co się tu stało, nie miałoby miejsca. To przez nią matka i Brad pokłócili się, a może nie? To przez nią moja matka teraz umiera!

Seth podszedł do Julii i uściskał jej ramię.

- Julia jest tutaj dlatego, że twoja matka porwała jej dziecko!

- Bo to dziecko Brada, ty głupcze! Ale moim dzieciom nigdy nie poświęciła ani odrobiny uwagi!

- Zapominasz się! Przy całej grzeczności...

- Grzeczność! Odkąd to ma ona cokolwiek wspólnego z Bradem i matką? Grała w kości tylko na rzecz jedyne go, bezcenne go syna! - Binka wstała i ruszyła w stronę Julii jak zwierzę gotowe do skoku.

- Dlaczego w ogóle weszłaś w tę rodzinę? Nie wniosłaś nic dobrego, same kłopoty! Nie lubiłam ciebie wtedy i nie lubię teraz, ty nieznośna, napuszczona suko! Za kogo ty się, do diabła, uważasz? Jesteś tak naturalna jak zapach białej gladioli!

- Binka! - zagrzmiął Seth. - Julia nie zrobiła niczego, czym mogłaby zasłużyć na taką obrazę.

- To dlatego, że nigdy niczego nie zrobiła, żadnego parszywego ruchu, ani dla mnie, ani dla matki, ani dla Brada! Stała sobie z boku i pozwalała matce działać. Nie tak było? Jeśli kochała Brada, to dlaczego o niego nie walczyła? Nie, ona nie upadłaby tak nisko! Bobby sobie uwalala rąbek spódniczki, taka ostrożna! Ona ma gdzieś wszystkich oprócz siebie i swojego egoizmu!

- Tymczasem sama demonstrujesz dość oczywisty własny egoizm!

- Demonstruję to, jak się teraz czuję, a to jest więcej, niż ona osiągnęła kiedykolwiek!

- Tego, co twoja matka jej zrobiła, nie da się w żaden sposób usprawiedliwić.

- Proszę Pana Boga, żebym to ja i moje dzieci obchodziły ją tak, żeby to samo im zrobiła! Tylko że zawsze ten Brad, Brad... Brad!! - zawyła w udręczeniu; jej ślina opryskała Julii twarz. Jej mąż podszedł do niej i opadła w jego ramiona płacząc histerycznie. Drexel spojrział na Julię zimno, z gorzkim oskarżeniem. Obecni z zajęciem wpatrywali się w podłogę, zastanawiając się oczywiście, kiedy wybuchnie awantura.

Julia poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Uniosła w górę swoje nie zdradzające uczuć oczy. Seth przyglądał jej się zatroskany.

- To było niewybaczalne. Mogę cię tylko prosić o wyrozumiałość. Zrobiła to pod wpływem szoku. Jest w bardzo złym stanie psychicznym.

Dlaczego ja nie jestem... spytała się w duchu Julia. Zamiast tego czuła odrętwienie. Nie potrafiła poruszyć nogą. Tak jakby śmiertelnie celny strzał Binki poraził jej centrum kontroli. Wyrażała tylko opinię, mówiła sobie Julia. Tak, ale fakt, że nie rozpoznajesz swojego portretu, nie oznacza, że nie jest on trafny. Biała gladiola? Taka sztywna, taka biała i taka bez życia... Wzdrygnęła się.

- Moja droga. - Seth był domyślny. - Proszę, nie zamartwiaj się. Z pewnością zdążyłaś już poznać ją na tyle, by wiedzieć, że ten obraz jest zniekształcony przez zazdrość o brata.

Zniekształcony? - zdziwiła się Julia. Czemu więc pomógł mi zobaczyć siebie tak wyraźnie?

- Masz za sobą dwadzieścia cztery wyniszczające godziny. - Seth mówił dalej pocieszająco. - Mam wrażenie, że powinnaś wrócić do córki i odpocząć. Nic tu po tobie. - Westchnął. - Obawiam się, że to jest ostatnie czuwanie. Jej mózg jest nieodwracalnie uszkodzony. Wracaj do córki. Wszystko Bradowi wyjaśnię.

Poprowadził ją, jakby była automatem, aż do samochodu. Pochylił się i jeszcze raz z uwagą przyjrzał się jej przez szybę.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Może lepiej cię odwiedzić...

- Nie. Zostań z Abby. Ona cię potrzebuje. Poradzę sobie. Naprawdę. - Nie wiedziała tylko kiedy.

Patrzył za nią, dopóki nie znikła za zakrętem. Tam zatrzymała samochód, oparła głowę o kierownicę i zaczęła się trząść. Nigdy nikt nie mówił do niej z taką brutalną szczerością. Miało to taki efekt, że rozpadła się na drobne kawałki. Wyglądało na to, że to, co ona sama o sobie myślała, i to, co myśleli o niej inni, nie miało ze sobą żadnego związku. Pogardliwa, spokojna i zimna nie do zniesienia? Czy tak właśnie inni odbierali jej przemyślane dążenie do chłodnego opanowania? Czy jej tak bolesny wizerunek brano za prawdziwy? A czy przejawy nie są najważniejsze? Ciotka powtarzała jej z uporem: „Ludzie biorą cię taką, jaką cię widzą, Julio. Nie pozwól im nigdy na to, żeby widzieli, że nie jesteś doskonała”.

Chris z kolei wytykała jej, że odnosi się do doskonałości z nabożną czcią. Mówiła jej jednak także mnóstwo innych rzeczy, które musiała odrzucić. Duma... myślała teraz. Nieokiełznana, arogancka duma. Hester Bradford od razu musiała to u niej zauważyć. Nic dziwnego, że mogła mną manipulować, jak chciała. W porządku, zobaczyła i wykorzystała. Gdyby nie wiedziała, jak zareaguję, nie mogłaby działać.

Jeszcze jedno „nie, bo nie”, myślała Julia, zmuszając się do szukania po omacku między odłamkami szkła krwawiących resztek własnej godności. Najpierw Chris, a teraz Binka. Zatem taka jest prawda. Taka jestem. W każdym razie dla innych. Nie miałam pojęcia, w ogóle nie miałam pojęcia. Tak długo się oszukiwała. Na przykład wmawiała sobie, że Brad życzył sobie spokoju, gdy

w rzeczywistości potrzebował, wręcz rozpaczliwie, kogoś, kto wywołałby wokół niego ruch, nawet jeżeli nie zdawał sobie z tego sprawy. Drexel Adams powiedział, że jest silna, że jest dla niego ratunkiem. Wiedziała, tak, wiedziała, że Brad bał się matki, i nadal pozwalała, by własny lęk kierował jej postępowaniem. Swoje interesy odłożyła na bok. Zawsze odczuwała niechęć do uczuciowych awantur. Nie dziwiło jej nawet, że Binka była zazdrosna. Po prostu akceptowała to.

Z pewnych powodów słowa z modlitwy, na wpół zapomniane, przedostały się do jej świadomości Jak to było?... „Pozostawmy nie dokończonymi te rzeczy, które powinniśmy dokończyć, i róbmy te, których nie powinniśmy robić, bo nie ma w nas zdrowia...” A myślałam, że Hester Bradford jest chora! Boże! Co ja zrobiłam? Czego nie zrobiłam? Brad spowiadał się z wiecznego dzieciństwa. Ona spowiadała się z tego, o czym myślała, że było grzechem okresu dojrzewania uczuciowego. Ani przez chwilę nie pomyślała, że całkowicie zignorowała grzech pychy. Jeden z siedmiu grzechów głównych... Pamiętała, co powiedział Brad, gdy spotkali się po raz pierwszy: że trącenie jest grzechem ósmym. Była tak samo winna. Straciła czas, małżeństwo, wszystko.

Drżąc i dygocąc wpatrywała się w „portret Julii Carrey” w całej jego ohydzie. Biała gladiola. Sztuczna, biała, nieugięta. Trafność uwag Binki starła jej dumę na proch. Była surowa i wyniosła. Ani przez chwilę nie kierowała się uczuciem, zawsze intelektem. Dopiero teraz, cierpiąc własny ból, skręcana przez wewnętrzną agonię, zrozumiała i odczuła, jak cierpiał Brad.

Wstrząsało ją łkanie. Gorące i oślepiające łzy płynęły z jej oczu, a ciałem targały dreszcze. Boże drogi, wybac mi, prosiła nieustannie. Skumulowane napięcie poprzednich dwudziestu czterech godzin uwalniało się w eksplozji, która rozrywała ją na drobne kawałeczki. Nie była świadoma niczego poza swoimi uczuciami, którym wreszcie dała pierwszeństwo, pozwoliła im się opanować i wyzwolić całe jej uwięzione życie emocjonalne. Płakała, aż zabrakło jej łez i pozostały tylko suche skurcze ciała.

Nadal siedziała bez ruchu, z głową na kierownicy, wzdrygając się na wspomnienie wyrzutów Binki. Nadal czuła się, jakby brnęła przez ogień. A przecież prawdziwą tragedię przeżywał Brad.

Wyprostowała się, odgarnęła włosy z twarzy i poszukała chusteczki. Wytarła twarz, przejrzała się w samochodowym lusterku i rzuciła okiem za siebie. Powinna wrócić? Czekać wraz z innymi? Duma, ostrzegła siebie. Jakże, do diabła, znaczenie ma to, co oni myślą? Liczy się tylko Brad, to, przez co przechodzi i jak cierpi. Wracaj do Jenny i czekaj na niego. Będzie cię potrzebował bardziej niż kiedykolwiek. Bądź tam. Tym razem nie zawieź. To twoja szansa. Wcześniej zawiodłaś go. Na miłość boską, dla niego i dla samej siebie, tym razem nie zawieź.

Włączyła silnik. Czuła się tak, jakby przeszła przez filtr, a to, co pozostało, to Julia oczyszczona z rzeczy zbytecznych. Poczwała, że głowę ma lekką i że ma dosyć siły, by sprostać wszystkiemu, co nadejdzie. W porządku. Wszystko, co mogę zrobić, to próbować.

Rozdział dwudziesty drugi.

Karolina uświadomiła sobie, że ktoś nią potrząsa i krzyczy do niej:

- Obudź się wreszcie, na miłość boską! Karolino, czy mnie słyszysz? Karolino!

- Odejdź, zostaw mnie samą...

- Zostawiłam cię i zobacz, co się stało! Jesteś otępiąta nie do poznania. Czy zechcesz się obudzić?

- Nie ma do czego.

- Jest, i chcę ci to pokazać!

Karolina z wysiłkiem otworzyła chore oczy i ujrzała swoją matkę, pochylającą się nad nią z triumfalnie płonącym spojrzeniem. Zamrugła oczami próbując skupić się na pliku gazet, które matka przyniosła.

- Co za wieści! Hester Bradford nie żyje! To prawda! Miała atak wczoraj rano i zmarła wieczorem. Zobacz, jest to na wszystkich pierwszych stronach.

Karolina podnosiła się przecierając zaropiałe oczy.

- Masz, wypij to. - Matka dała jej szklankę zimnego jak lód soku pomarańczowego. Karolina ocknęła się.

- Wstawaj. Dojdź do siebie. Ta stara suka nie żyje. Bardzo dobrze! Nie przypuszczałam, że doczekam tego dnia! - Elaine wychodziła z siebie z zadowolenia.

Trąc oczy Karolina przeglądała pisma, które rzuciła jej matka. Było tam zdjęcie teściowej ze sztandarowym nagłówkiem:

„Wielka Dama Bostonu zmarła”. To była gazeta bostońska. Elaine Norton przeglądała je wszystkie i systematycznie wycinała i zbierała wszelkie doniesienia na temat swojej córki jako pani Winthrop Bradford.

- To prawda - potwierdziła Karolina bezmyślnie.

- Oczywiście, że tak! Teraz wstawaj. Nie ma czasu do stracenia. Musisz wrócić do Bostonu, ale najpierw doprowadź się do porządku. Spójrz na siebie! Jak ty wyglądasz! - Matka zaszlochała. - Masz przed sobą dużo pracy, moje dziecko. Wezwę prawników, żeby wstrzymali rozwód. Nie ma potrzeby rozwodzić się, kiedy ta stara jędza zesła ci z drogi. Weź się w garść. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

Hester Bradford właśnie zmarła! Przepity mózg Karoliny nie mógł tego pojąć. Ludzie tacy jak ona nie umierają. Są wieczni.

Matka popędzała z łazienki:

- Chodź tu wreszcie!

Zwlokła córkę z wymiętej pościeli i podniosła walającą się obok łóżka opróżnioną butelkę.

- A z tym masz skończyć! - Elaine wrzuciła butelkę do kosza. - Od teraz jesteś abstynentką,

słyszysz? Boże, co z ciebie za tłumok! - Zmarszczyła nos z niesmakiem na widok zapuchniętej twarzy, czarnych odrostów włosów, czując nieświeży odór przepicia. Zaprowadziła Karolinę pod prysznic, rozebrała ją i odkręciła do oporu kurek z zimną wodą. Karolina błagała o litość, ale matka nie słuchała.

- Krzycz, ile chcesz, ale gdy pojawisz się po południu w Bostonie, będziesz trzeźwa jak gład.

Thomas wpuścił do domu Karolinę zupełnie odmienioną. Czarodzieje Elizabeth Arden za zamkniętymi drzwiami działali cuda. Jej twarz miała wyśmienity makijaż, włosy nową, jasną barwę prawdziwego złota, jej kostium z czarnego welwetu wieńczył szykowny kapelusz z tajemniczym woalem skutecznie ukrywającym nadal przekrwione oczy.

- Pani Bradford!

- Thomas, gdzie są wszyscy?

- Na Farmie, proszę pani.

- Na Farmie!

- Tak, proszę pani. Kiedy lady Hester zmarła, pojechali tam wszyscy.

Cholera! Mogła była pomyśleć. To na Farmie spotykano się z okazji urodzin, ślubów i śmierci. Tymczasem ona ubrała się z miejska.

- Pójdę na górę się przebrać. - Przeżeglowała obok niego. - Czy możesz przyprowadzić sportowego Mercedesa? Na Farmę pojedę sama.

Szybko przejrzała szafy nadal pełne jej ubrań. Powinna tu być czarna, wełniana suknia. Jest. Będzie odpowiednia. Akurat na wieś. Zmieniła lakierki na wysokich obcasach na trzewiki, zdjęła futro z rosyjskich soboli. Mimo wszystko nadal była żoną Brada.

Była pewna, że może go odzyskać. Właśnie w takiej chwili. Pewnie jest bardzo nieszczęśliwy, pochylony niczym wieża w Pizie. Wiedziała, jak go wesprzeć.

Lecz gdy ujrzała samochody parkujące na podjeździe i trawnikach, zrozumiała, że nie będzie to łatwe. Cholerna sprawa! Cały przekłęty stan składał kondolencje.

- Cóż! - Abby nie ukrywała niechęci. - Jesteś ostatnią osobą, jakiej mogliśmy się spodziewać.

- Dlaczego? Przecież są tu wszyscy!

Ogromny salon wypełniony był ludźmi. Popijając drinki, rozmawiali ściszymi głosami.

- Wiesz przecież, że jestem żoną Brada!

- Z pewnością już nie na długo. Pojechałaś do Filadelfii przeprowadzić rozwód.

- To było wtedy. Teraz wszystko się zmieniło.

- I to jak! - odrzekła Abby nie łagodniejąc.

- Słyszałaś, co twoja matka mówiła do mnie, jak mnie wyzywała. To ona wyrzuciła mnie z domu!

- Właśnie. I jeszcze masz tupet, żeby się tu znowu pokazywać!

- Mam prawo być tu z moim mężem. Gdzie on jest?

- Jest zajęty. Poza tym nie jest sam, jak wiesz.

- Chcę to zobaczyć!

- Daj mu spokój, Karolino. I bez tego ma dosyć na głowie. Karolina mogłaby go krępować, myślała ze złością Abby, a to mu jest najmniej potrzebne. Na dodatek jest tu Julia. Brad był niewzruszony i zarządził, by Julia i Jenny zostały. Binka zsiniała z wściekłości, ale Abby była zadowolona. Teraz zaś mówiła do Karoliny, patrząc na jej nocny neseser:

- Nie chcesz tu chyba zostać?

- Oczywiście, że chcę. Jako żona Brada...

- Na miłość boską, nie czeplaj się tego! I nie zawracaj mu teraz głowy. Postaraj się być pożyteczna. Zajmij się tymi ludźmi. - Pchnęła Karolinę w kierunku grupy przybyłych.

Nie miała wyboru. Witła się i przyjmowała kondolencje. W porządku, pocieszała się, to tylko wzmocni jej pozycję w rodzinie. Oczami szukała Brada. Odnalazła go na szarym końcu, pośrodku dużej grupy składającej się przeważnie z kobiet. Zaczęła posuwać się w jego stronę, coraz bliżej, obserwując go uważnie. Wygląda strasznie, myślała pożerając go oczami. Zupełnie wychudły. I o wiele starzej, dojrzałej. Ów przemęczony, cierpiący mężczyzna nie był złotym chłopcem, za którego wyszła. Nic dziwnego, myślała mściwie, musi teraz stanąć na własnych nogach, a nie wie jak. Już nikt nie ma go w garści. Taki Brad nie sprawi jej kłopotu, napawała się rychłym zwycięstwem. Weźmie go i ulepi na swoją modłę, a kiedy tak się stanie, nikt go nie pozna.

Kiedy dotarła do niego, w jego oczach nie było radości powitania. Nic w nich nie było. Były martwe. Pocałował ją w policzek i podał jej rękę, jakby dziękował obcej osobie.

- Dziękuję, Karo, za przybycie.

- Co ty mówisz? Jestem twoją żoną!

W tejże chwili stara pani Peabody, która nigdy nie opuszczała swojego domu przy Louisburg Square z wyjątkiem składania wizyt kondolencyjnych, podeszła wspierając się na ramieniu najmłodszego wnuka. Karolina patrzyła, jak jej mąż wygłasza te same formalne słowa, które usłyszała przed chwilą. Nie zniosę tego, pomyślała. Ma czelność traktować mnie jak zwykłego gościa. Z wściekłością patrzyła, jak odprowadzał panią Peabody do drzwi. Zobaczyła, że Binka zmierza w jej kierunku. Odwróciła się i odeszła. Chyba nie zamierza zająć miejsca swojej matki?

Podeszła do Charley, zupełnie białej i czerwonoookiej albinoski.

- Co tu się dzieje? - pytała niegrzecznie. - Co się stało z Bradem?

Usta Charley zacisnęły się z niesmakiem.

- Właśnie umarła jego matka.

- Wiem o tym! Mam na myśli, że się zmienił.

- A ty byś nie przeżywała śmierci swojej matki? Nie, odrzekła po cichu Karolina, a głośno skłamała:

- Oczywiście, wiem, jakie to musi być straszne. Charley, przestań, ty wiesz, jak to bywa.

- Rzecz w tym, że to właśnie jest - spokojnie powiedziała Charley.

- To nie to samo - zgodziła się Karolina, w duchu jednak dziękując Bogu.

Charley wzdrygnęła się.

- Nie, to było straszne, matka mówiła...

Karolina powstrzymała się od komentarzy. Mruknęła coś i pośpiesznie odeszła.

Straszne? - zastanawiała się Karolina, wyciągając swoje sześć zmysłów. Czy coś się wydarzyło? Coś, co spowodowało śmierć tej starej kurwy? Dlaczego Brad wygląda... tak, jakby go kto zdzielił obuchem? Zaczęła domyślać się, że śmierć nadeszła niespodziewanie i zaszokowała wszystkich. Lady Hester była codziennie badana przez lekarza. Musiała być jakaś przyczyna. Brad? Nie, pomyślała rozbawiona. On? Nic dziwnego, że wygląda, jakby wyrok zapadł i na niego.

Nie widziała go od swojej ucieczki, owej nocy... Po powrocie do Filadelfii, po tym, jak stara wiedźma wygnała ją mówiąc, że nie chce jej więcej widzieć, Karolina znalazła schronienie w butelce. Cholera! Co ja przeoczyłam? Czyżby Brad konfrontował się potem z matką? Przejrzał w końcu na oczy? Starucha mogła pęknąć ze złości. Muszę to sprawdzić, zdecydowała Karolina, to ważne. Jeśli jest winny, muszę dokładnie wiedzieć co i jak.

Krążąc po zatłoczonych pokojach w poszukiwaniu męża zobaczyła, że zaaferowana Abby wychodzi z gabinetu. Doszła do wniosku, że coś tam musiało się stać. Poczekala, aż Abby wchłonęła jakaś grupa, i szybko poszła tam, ale gabinet był pusty. Jednak przez otwarte francuskie okna dochodził wysoki, rozbawiony głos dziecka i okrzyki:

- Wyżej, wujku Brad, wyżej...

Karolina w dwu susach dotarła na taras i wyjrzała na trawnik. Staneła jak wryta z westchnieniem, jaki mógłby wydobyć z siebie ktoś trafiony przez kulę. To tak, pomyślała. To ta dziwka i jej bękart. Mogłam się domyślić.

Na huśtawce przymocowanej do wielkiego wiązu śmiała się mała dziewczynka, wznosząc się w górę i opadając w dół. Huśtawkę popychał Brad, a obok stała Julia Carrey.

Julia zauważyła ją.

- Brad... - ostrzegła. Odwrócił się.

- No proszę! - stwierdziła Karolina. - To dlatego unikasz mnie, swojej żony!

- Chodź ze mną, kochanie. - Julia zatrzymała huśtawkę i zdjęła z niej Jenny. - Chodź, obejrzymy sobie koniki.

- Zostań tu, gdzie jesteś! - wrzasnęła Karolina. - Chcę zobaczyć, coś ty za jedna!

- Weź Jenny i obejrzyjcie konie - powiedział ze spokojem Brad.

Jenny patrzyła to na niego, to na matkę.

- Potem jeszcze się pohuścimy - obiecała małej Julia. Kiedy odeszły, Karolina zażądała tonem świadczącym o tym, że nastawiona jest do walki:

- Powiedz, co ona tutaj robi?

- Poprosiłem ją, żeby przyjechała. Otworzyła usta ze zdumienia.

- Założę się, że twojej matki już tu nie było - zakpiła.

- Zgadza się.

- Oczywiście! Nie śmiałybyś narazić jej na złość twojej matki. Ale mnie mogłeś i uciekłeś jak tchórz! Musiałam znosić jej ohydny język. Nie chcę się pobrudzić powtarzaniem wyzwisk, jakimi mnie obrzucała. I do psa bym tak nie mówiła.

- Przykro mi, Karolino. Rzeczywiście - mówił spokojnie. - Powiniennem prosić cię o wybaczenie wielu rzeczy. Na przykład, że się z tobą ożeniłem. To było złe. Teraz to widzę. Żadne z nas tego nie chciało. To była decyzja mojej matki.

- Nieprawda! Ja ciebie chciałam od chwili, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy. Pragnęłam cię!

- Chcesz powiedzieć, że chciałaś zostać panią J. Winthrop Bradford.

- Bo cię kochałam. Kocham cię.

- Naprawdę? Dziwię się...

- To prawda. Zawsze cię kochałam!

- Mnie, czy to, co reprezentuję?

- Jak możesz być tak okrutny?

- Wreszcie mogę. Czy ty nie widzisz, Karo...

- To ty jesteś ślepy! Nigdy nie widziałeś niczego poza tym, co pokazywała ci twoja matka! Nigdy nie widziałeś, na przykład, co uczyniła z mojego życia! Nieustannie drwiła ze mnie, patrzyła na mnie z góry, gardziła mną. Wszystkie te aluzje, że nie jestem prawdziwą kobietą, ponieważ nie mogę urodzić dziecka. Nigdy jej nie słyszałeś, ponieważ nie robiła tego w twojej obecności. Poza tym i tak mało cię to obchodziło. Interesowało cię tylko jedno: pierdolić wszystko, co miałeś pod ręką!

Brad odpowiedział zduszonym głosem:

- To także mi wybac, jeśli możesz. Karolina przerwała mu zrzędlawie:

- Co się z tobą stało? Nie poznaję cię.

- Dzięki Bogu za to.

- Co się tutaj dzieje? Co cię tak odmieniło? Dlaczego ta kobieta jest tutaj... I ten bękart!

- To jest moja córka - sprostował Brad.

- Widzę. Dlatego trzeba się mnie pozbyć, bo ja ci nic nie urodzę?

- Nie, to nie jest tak. Nasze małżeństwo nie sprawdziło się w przeszłości i nie rokuje na przyszłość. Jest puste i wiesz to równie dobrze jak ja, Karo. - Spokój i zdecydowanie, brzmiące w jego głosie, rozwścieczyły ją.

- Nie wyobrażaj sobie, że pochowasz mnie razem z twoją matką, po wszystkich tych latach. Niedoczekanie twoje! Nie po to spędziłam pięć lat w piekle, żeby pozwolić jakiejś dziwce wejść do mojego raj!

- Karo, nie zda się to na nic. Nie potrafię cię uszczęśliwić, a ty nie potrafisz uszczęśliwić mnie. Skrzywdziłem cię żeniąc się z tobą i proszę cię, żebyś mi wybaczyła, jeśli możesz. Jesteś wolna, Karo, i znajdź sobie kogoś innego.

- Nie chcę nikogo innego. Chcę ciebie. Mam ciebie i, na Boga, zatrzymam cię! - Jej twarz nabiegła krwią, głos stał się ostry. - Mój ojciec kupił mi ciebie. Jesteś mój, mój, czy ty słyszysz? Nie pozwolę się porzucić dla tej rudej kurwy!

- Uważaj na to, co mówisz - Brad ściał ją takim głosem, że z purpurowej zrobiła się kredowo biała. - To już koniec, Karo. Wiele spraw dobiegło końca. Nasze małżeństwo jest jedną z nich.

- Nie, póki ja mam tu coś do powiedzenia! Kim ty u diabła jesteś, ty z nagłą świętoszkowaty skurwysynu! Jesteś ostatnią osobą na świecie, po której można spodziewać się religijności! To nie przejdzie! Za dobrze cię znam! Nie zostawisz mnie, mój panie! Narobię takiego smrodu, że nikt się przy tobie nie uchowa!

Brad jednak powtórzył ze smutkiem:

- Przykro mi, Karo. Odwrócił się i odszedł.

- Jak śmiesz odwracać się do mnie tyłem! Nie zareagował.

- Świnia! - krzyczała za nim. - Zgniła, śmierdząca, oszukańcza świnia!

- Dlaczego ta dama krzyczy na wujka Brada? - spytała Jenny, mrugając oczami jak jej babcia.

- Dlatego, że jest bardzo zła.

Biedna suka, pomyślała Julia. Okaleczona jak każdy, kto znalazł się w zasięgu Hester Bradford. Tylko że Karolina nie chciała cierpieć w samotności, a Brad, myślała z ciężkim sercem Julia, właśnie to robił.

Obudził ją po powrocie ze szpitala i powiedział, że jego matka zmarła.

- Powiedziałem im, że mogą ją odłączyć - poinformował ją pustym, monotonnym głosem. - Nie było żadnej nadziei, tak stwierdzili lekarze. Żadnej. Mózg został całkowicie zniszczony.

Julia zsunęła się z łóżka i objęła go, jego zimne, zeszywniałe ciało przygarnęła do swojego ciepła.

- Tak będzie lepiej - powiedziała, zdając sobie sprawę, że nie chodzi tylko o stan fizyczny. - Nie żyłaby naprawdę, podłączona do tych maszyn. To byłby żywy martwy przedmiot.

- Stała się taka mała - powiedział Brad zdziwionym głosem. - Nic z niej nie zostało, a przecież zawsze zdawała się tak duża. Dlaczego tak się skurczyła?

Zobaczyła jasny blask łez i poczuła je na swoim policzku. Zrozumiała, że kochała tego załamane, zgorzkniałego i obolałego mężczyznę inaczej niż olśniewającego złotego chłopca, który zawrócił jej w głowie i pozostawił emocjonalnie okaleczoną. Dla tego nieszczęśnika miała w sobie czułość, która tryskała z niej niby z pękniętej skały. Zupełnie jak miłość do Jenny, gdy po raz pierwszy wzięła ją w ramiona. Ten mężczyzna potrzebował jej jak nikt inny dotychczas. Nie miał nic do dania poza latami nagromadzonego bólu i żalu, i resztek swojej osobowości, które z najwyższym trudem jakoś utrzymywał razem. Zrozumiała też, że chciała go całego, ze wszystkimi skazami, nie tak jak pragnęła tego, kim był wcześniej. Sercem, a nie ciałem, a to różnica. Seks w ogóle nie był ważny, jedynie uczucia.

- Mój biedny, kochany - nuciła kołysząc go jak skrzywdzone dziecko.

- Zabiłem ją - powiedział tym samym, pustym głosem. - Doskonale wiedziałem, że moja prowokacja rozżłości ją, co skończy się dla niej fatalnie. Nie mogła tego wytrzymać. To było jej życie. Powtarzała mi raz po raz, że pewnego dnia przeze mnie umrze...

- Nie! - Julia zaprzeczyła tak gwałtownie, że aż się wzdrygnął. - Nie możesz tak myśleć! Twoja matka zniszczyła się sama! Gdyby nauczyła się panować nad swoją złością, gdyby zrozumiała, że musi pozwolić ci odejść, nie doszłoby do tego. Ale ponieważ nie mogła pozwolić ci odejść ani zaakceptować tego, że tak być musi, zabiła ją własna złość. Nie mogła mieć tego, co chciała, i to tego nie potrafiła wytrzymać. Nie obwiniaj siebie za coś, co nie jest twoją winą. - Przycisnęła do siebie jego twarz, mokrą od łez.

- Kochałem ją tak bardzo i tak mocno jej nienawidziłem. Desperacko potrzebowałem wolności, ale przerażało mnie, że tak właśnie może się stać. Dlatego nigdy nie próbowałem. Ona miała rację. Byłem jej śmiercią.

- Nie byłeś! - Julia była rozgorączkowana. - Ona sama dla siebie była śmiercią! Nawet ona nie mogłaby temu zaprzeczyć!

Odsunęła go, żeby mu się przyjrzeć. Miał zamknięte oczy, twarz poszarzałą ze zmęczenia. Nie ma się co dziwić, myślała, i wzbierała w niej litość. Leżał w jej ramionach wyczerpany, umęczony, jak martwy ciężar.

- Jesteś zmęczony - szepnęła czule. - Potrzebujesz snu.

- Zmęczony - wymamrotał. - Tak zmęczony... Opuściła go ostrożnie na łóżko. Padł na plecy całkowicie nieprzytomny. Zdjęła mu tylko buty, przykryła go i położyła się obok. Bełkocąc coś niezrozumiale przywarł do niej, jak dawniej zanurzył głowę pod jej ramię, instynktownie objął ją, westchnął i zapadł w głęboki sen.

Mój biedny, kochany, myślała ze smutkiem Julia. Była szczęśliwa. Potrzebował jej i wcześniej, ale w inny sposób. Tym razem było inaczej. Już nie uciekał, tylko przybliżał się. Było to zupełnie inne uczucie, które ją zachwycało - pozbawione seksu. Dawniej byli tak blisko siebie tylko albo przed, albo po seksie. Teraz było inaczej. Gdy go obejmowała, błogo nieprzytomnego, wypełniało ją poczucie szczęścia, gdyż po raz pierwszy w ogóle czuła, że naprawdę należy do niej. I nie tylko dlatego, że jego matka nie żyła. Nie tylko dlatego, że uwiodła go jej twarz i pożądał jej ciała. Potrzebował jej, Julii Carrey, osoby, którą była, a nie tylko kobiety.

To do niej przyszedł po ukojenie, po bezpieczeństwo i czułość. I jakże cudownie było móc mu to ofiarować.

Odgarnęła mu włosy z czoła i zauważyła, jak głębokie zmarszczki je znaczą. Całowała te bruzdy, a także kilkudniową, złotą szczecinę na policzkach. Wymruczał coś przysuwając się do niej jeszcze

ciaśniej. Julia wtuliła się w jego plecy. Brad czuł się bezpieczny; tego właśnie potrzebował. Nie duszącej, władczo zachłannej miłości, ale zwykłej akceptacji dla niego takiego, jakim jest i nie jest. Zabrało jej to dużo czasu, ale ostatecznie poradziła sobie z tym. Zrozumiała, że tylko poprzez miłość do drugiej ludzkiej istoty możliwe jest prawdziwe spełnienie, wzajemna akceptacja i afirmacja życia.

Wzdychając, dopasowała swoje ciało do jego ciała, splotła z nim nogi i objęła go, czując jego ciepły oddech. Zamknęła oczy i połączyła się z nim w śnie.

Karolina wracała do domu jak burza. Była wściekła i skierowała się prosto w stronę trunków. Nie zważała na to, czy kto na nią patrzy, choć jeszcze ostatni goście wsiadali do swych samochodów. Koniecznie musiała się napić. Nalała sobie szklanekę szkockiej, wypila i napełniła ponownie. Przemyślnie biorąc ze sobą karafkę schroniła się na krzesło przy oknie, skuliła się za zasłonami i użalała nad sobą. Czowała, że została wykorzystana i odrzucona. Małżeństwo rozpadło się jak stare ubranie. Niech go piekło pochłonie! Zapomniała, że wypadła z tego domu zaledwie tydzień temu grożąc wyciągnięciem wszelkich brudów przy okazji rozwodu. Wtedy, po ostatecznej, kończącej wszystko awanturze ze staruchą, nie pozostał jej żaden punkt zaczepienia. Pozbyto się jej. Lecz wszystko się zmieniło. Nigdy nie pozwolę mu odejść, zaklinała się. Nigdy! Nie pozbędzie się mnie bez walki. Na Boga, pokażę mu takie papiery, że zaniemówi. Niech tylko spróbuje mnie wyrzucić! Ja wiem, że mam prawo zatrzymać zapis! Wypiła alkohol i nalała sobie znowu. Purytański łajdak! Niech tylko poczuje chłód bijący z tego miejsca, które pozostawił w swoim życiu, to zaraz zawróci, a wtedy zobaczymy, myślała z radosną złością. Jeśli myśli, że ona pozwoli mu się wyprzeć przez tę rudą sukę, to jest w błędzie. Niech zobaczy, co znaczy desperacja, co znaczy chcieć i nigdy nie móc mieć. O tak, to mu bardzo dobrze zrobi! Może sobie pragnąć tej angielskiej kurwy, jak tylko chce, i tego ich imbirowego bękarta, ale nie dostanie nic, póki ona ma tu coś do powiedzenia! Jest tutaj i tu zostanie.

Nie obchodzi mnie, co mówisz - zrzędziła Binka idąc za Abby do salonu. - To była także moja matka i mam takie same prawa jak Brad.

- Zmień płytę! - Abby miała jej dość. - Co ty w ogóle możesz zrobić? Wola matki jest absolutnie jasna. Brad musi jedynie posłuchać jej instrukcji.

- Nawet jeśli tak, i tak mam swoje prawa.

- Zwróć się więc do niego. Targuj się nad trumną, jeśli chcesz. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej!

- Nikt nie wie, jak ja się czuję!

- Nie wystarczy tylko chcieć!

- Muszę coś zrobić. Nie mogę się z tym pogodzić! Taki majątek!

- Czy kiedykolwiek przestałaś myśleć o tym, że Brad musi to wszystko objąć?

Lecz w tej sprawie, dumiała Abby, wszyscy byli zmieszani. Gdy zabrakło osi, wszystko się rozpadło. Dzięki Bogu, testament matki był absolutnie jasny.

Miała być pochowana w Arun, obok swojego ojca, miała być zabalsamowana, tak jak i on, ale zabronione było użycie kosmetyków. Miała zostać pochowana w sukni, jaką znaleźli odłożoną w szufladzie w jej sypialni, starannie zapakowaną w torebkę foliową, nie przepuszczającą powietrza. Była to biała suknia mniej więcej z trzydziestego roku, białe, satynowe pantofelki i białe jedwabne pończochy. Ubranie to kupił jej ojciec na bal z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Trumna winna być z angielskiego dębu, natychmiast zaśrubowana. Miało nie być wystawiania ciała. Pogrzeb winien być uroczystością wyłącznie rodzinną. Pozostawiła też szczegółowe instrukcje dla dwu uroczystości pogrzebowych, jednej w Bostonie, a drugiej w Arun. Jakie modlitwy miały być

odmawiane, jakie wersety Biblii odczytane i jakie hymny odśpiewane. Miało nie być żadnej mowy pośmiertnej.

Reszta testamentu także nie pozostawiała wątpliwości. Jej udziały typu A przechodziły na syna, wraz z większą częścią jej majątku osobistego, którego wielkość wstrząsnęła wszystkimi. Otrzymał także wszystkie własności holdingowe i tekę udziałów rozszerzonych. Kosztowności rozdzieliła pomiędzy córki i wnuczki, co rozgoryczyło Binę jeszcze bardziej, ponieważ zamiast pożądanych przez nią szmaragdów, dostała znieawidzone rubiny. Szmaragdy przypadły Abby, a garnitur diamentów Charley. Swoje zapisy otrzymali też starzy służący: Thomas, Aneczka i Jonas. Przeznaczyła też pewne sumy na cele dobroczynne. Mount Vernon należało do Brada. Otrzymał także Farmę. Niczego nie pozostawiła przypadkowi ani czyimkolwiek kaprysom. Przygotowała nawet do druku klepsydry, do zamieszczenia w „Timesie” i gazetach bostońskich. Nawet po śmierci nadal rozkazywała.

Abby spojrzała na Brada, wkładającego płaszcz.

- Wychodzisz? - spytał Binę ubraną w sobole matki, które przywłaszczyła sobie, zanim ktokolwiek zdążył o nich pomyśleć.

- Oczywiście, że wychodzę!

- Rób, jak uważasz. Wkrótce wrócę - powiedział do Abby. - Mam nadzieję.

- Jesteś pewien, że dasz sobie radę? To znaczy...

- Nie rób zamieszania, Abby - skarcił ją i umilkł.

Z góry schodziła Julia. Miała w ręku kawałek kartki.

- Jedziesz do Bostonu, więc zastanawiam się, czy mógłbyś przywieźć mi trochę rzeczy. Nic ze sobą nie wzięłam.

- Co tylko zechcesz, Julio - odpowiedział z gotowością. - Tylko powiedz, co ci potrzeba.

Rozżalona Binka wyszła wyniośle, trzaskając drzwiami.

Ten odgłos zbudził Karolinę. Przez chwilę nie mogła zorientować się, gdzie się znajduje. Głowa jej pękała, a gdy próbowała wstać, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Słyszała jakieś głosy, dochodzące z oddali. Dźwignęła się wreszcie z trudem i stanęła w otwartym oknie. Zimne, mokre powietrze przyprawiło ją o dreszcze. Wdychała je chciwie. Wtem usłyszała głos swojego męża.

- Idź i poczekaj na mnie w samochodzie. Ja poczekam tutaj, dopóki Julia nie skompletuje listy.

- Już czas, żeby wróciła tam, skąd przyszła. - Karolina usłyszała słowa Binki. - Jak możesz znieść jej obecność po tym, co zrobiła...

- Daleko łatwiej niż obecność innych osób - odrzekł Brad oschle. - Skończ z tym znęcaniem się, Binko. To nie wina Julii i dobrze o tym wiesz. Jeśli nie potrafisz powiedzieć czegoś miłego, to lepiej nie mów nic. Julia tu zostaje i już!

Karolina zobaczyła, jak Binka mija okna i odchodzi z zadartą głową w stronę auta.

Co ta Julia zrobiła? - zdziwiła się Karolina. Powinnam była pogadać z Binką. Zamarła słysząc głos Julii:

- Myślę, że to wszystko...

- Wszystko, co ci potrzebne - zapewniał Brad - w ogóle wszystko, Julio.

- Karolina! - Abby zawołała tak głośno, że Karolina skuliła się za zasłoną. - Myślałam, że już pojechałaś. Na miłość boską, nie pij już więcej!

- Ja na pewno nie! - zaprzeczyła Karolina z pijacką dumą.

- Wolalabym, żebyś wytrzeźwiała. Najlepsze, co możesz zrobić, to przespać się. Chodź tu, tymi

schodami, zanim sama wkopię cię na górę! Boże, czy ty kiedykolwiek pomyślisz o innych, nie tylko o sobie?

- A czy ja muszę! Nikt nigdy tego nie robi! Mogę równie dobrze być tu meblem, tyle mi się uwagi poświęca!

- To twój kłopot, chyba że jesteś w centrum uwagi i robisz piekło. Tak czy inaczej, włącz po tych schodach!

Popychała ją przed sobą po schodach na górę, gdzie cisnęła ją do pierwszej lepszej sypialni z taką siłą, że Karolina wylądowała na stercie pościeli ciągnąc za sobą zasłony, których schwyciła się w locie.

- I nie schodź na dół, dopóki nie dojdiesz do siebie! - Abby trzasnęła drzwiami.

Karolina wczołgała się na łóżko gdzie padła na brzuch zmęczona. Trochę snu jej nie zaszkodzi, a potem powinna poradzić sobie z Bradem i z tą angielską suką.

Wracając do salonu Abby napotkała Julię.

- Ukamienowana! - parsknęła zde gustowana. - Nie chciałam narażać Brada na kontakt z nią.

- Już jest za późno. - Julia opowiedziała jej o spotkaniu pod drzewem.

Abby wydała z siebie ciężkie westchnienie.

- Jak nie urok, to sraczka. Nie miałam czasu, by przeprosić cię za napastliwość Binki.

Julia niedbale machnęła ręką. To było zdrowe doświadczenie i mimo wszystko jest bardziej wdzięczna niż zasmucona. Ataki Binki rozsypały cały koszyk zepsutych jabłek, a wystarczyłoby jedno, żeby zgniła reszta.

- Chodzi jej także o to, że oskarża Brada, że zabił matkę.

- Nie, Abby!

- Tak. Wyskoczyłaby dla niego ze skóry, ale nie pozwala jej na to własna zazdrość. Już nigdy nie będzie pierwsza przy matce. - Abby westchnęła beznadziejnie. - Widzisz, jacy jesteśmy? Jak ogluszeni. Większość z nas. Pamiętaj tylko, że pod swoją oschłością Binka ukrywa nieszczęście i frustrację.

- Wiem. - Dopiero teraz, pomyślała Julia.

- Matka kosiła wszystkich jak popadło z wyjątkiem Brada i zabawne jest to, że nie myślę, by Binka pamiętała matce swoje krzywdy, jakby matka robiła je nierozmyślnie. - Znowu westchnienie. - Ja jestem szczęśliwa. Ja mam Setha. Od siedemnastego roku życia mam Setha. Binka nigdy naprawdę nie miała Drexela, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zawsze była zakochana głównie w matce.

- A tobie jak udało się tego uniknąć?

- Uciekłam. Jak tylko skończyłam dziewiętnaście lat, Seth porwał mnie do Marylandu. Zanim matka się połapała, nosiłam w sobie Winthropa. A wbrew swojemu żalobnemu wyglądowi mój Seth ma zęby i silne ramię. Być może gdyby Binka miała moje szczęście... Ale nigdy go nie miała. Drex nie ożenił się z nią z miłości. Ona nigdy nie była kochana. - Abby znowu westchnęła. - W każdym razie, w tej chwili chodzi mi o to, żeby Brad czuł, że jest wśród przyjaciół. On uwielbia Jenny. Jest dla niego dobra. Widać, że przy niej ożywa. Dlatego jestem ci wdzięczna za to, że zgodziłaś się tu zostać. Po tym, co cię spotkało od mojej rodziny, miałaś wszelkie prawo powiedzieć nam, żebyśmy dali ci spokój.

- Teraz akurat bardzo niepokoi mnie stan Brada.

- Mnie także. Mam wrażenie, że jesteśmy w oku cyklonu. Tylko Bóg jeden wie, co jest poza tym... Zrobiło się ciemno. Karolina obudziła się i zdawało się jej, że coś tłucze się w jej głowie,

dopóki nie zorientowała się, że to wiatr porusza oknem. Podniosła się z łóżka i zamknęła je. Znowu padał deszcz. Światła werandy oświetlały kałuże, błyskały krople na liściach. Oparła otępiłą głowę o zimne szkło, lecz nagle poderwała ją na widok swojego męża i jego byłej żony. Mieli na sobie ciepłe ubrania i schodzili z ganku, trzymając się za ręce. Po chwili znikli w ciemnościach.

Targnęła nią wściekłość. W mgnieniu oka znalazła się za drzwiami przechylona przez metalową poręcz. Cisza. W samych pończochach, bezszelestnie zbiegła na dół, przemknęła przez hall i wyszła na zewnątrz. Nie czuła przenikliwej wilgoci ani żwiru kaleczącego jej stopy. Obchodził ją tylko czerwony Mercedes, zaparkowany pod drzewami. Nie czuła zimna.

Instynktownie włączyła silnik i wrzuciła pierwszy bieg. Jakiś przebłysk świadomości kazał jej nie zapalać reflektorów. Ostrożnie ruszyła do przodu, opony chrzęściły przez chwilę po żwirze, aż wyprowadziła auto na mokrą trawę. Zobaczyła ich mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed sobą, schodzących z kręgu światła. Gdy tylko znalazła się wprost za nimi, jednocześnie zaświeciła reflektory i wcisnęła pedał gazu. Samochód skoczył do przodu, warcząc przy zmianie biegów jak atakujący drapieżnik. Ujrzała dwie sylwetki: Brad i Julia odwracali się, mrużąc oczy i zasłaniając twarze rękami.

- Ja wam pokażę, gnoje! - wrzasnęła z dziką radością. - Nie będziecie knuć, jak się mnie pozbyć!

Widziała, jak Brad pchnął Julię obiema rękami w bok, ale sam już nie zdążył uskoczyć. Maskę samochodu dosięgła go i odrzuciła w ciemność. Karolina zaśmiała się triumfalnie i zawróciła samochód, żeby to samo zrobić z Julią. Ta jednak była już na nogach i uciekała. Karolina dodała gazu i trzymała uciekającą postać w zasięgu reflektorów, gdy nagle ogromny pień dębu runął przed auto. Skręciła kierownicą, ale trawa była zbyt śliska i opony nie reagowały. Na wpół obrócony samochód sunął na drzewo, Julia rzuciła się w bok, skuliła się przy ziemi. Mercedes całą mocą uderzył w pień. Ręce Julii osmalił potężny, pękający kwiat ognia.

Rozdział dwudziesty trzeci.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Sussex zmieniło się w pustą, niegościnną okolicę. Ciężkie chmury zapowiadały śniegi. Byli już prawie na miejscu. Jenny, która przespała prawie całą drogę z Londynu, obudziła się, przez chwilę niesamowicie ziewnęła, po czym zapytała:

- Daleko jeszcze do cioci Chris, mamusiu?

- Jeszcze pięć minut, kochanie.

Julia także się niecierpliwiła. Schwyciła się zaproszenia, które wysłała jej Chris, niczym ostatniej szansy. Żeby tylko uciec, wrócić do domu i być ze swoją najbliższą przyjaciółką, w atmosferze rodzinnego szczęścia. Oto, czego było jej trzeba, po kataklizmach minionych tygodni. Marzyła o wyprostowaniu nóg, ale polne drogi Sussex były głębokie i wąskie, poskręcane między wysokimi żywopłotami. Julia uśmiechała się. Chris, mieszcza z urodzenia, ostatecznie znalazła się cztery lata temu na głębokiej wsi, kończąc jako żona farmera i spędzając całe dnie w kaloszach. Ale była szczęśliwa. Mówiły o tym jej listy. Julia zazdrościła jej tego szczęścia. Bez dramatów, bez urazów, bez komplikacji. Kochający mąż i dzieci, zamknięty magiczny krąg. A to przecież Chris wdawała się w nie kończące się boje z mężczyznami. I to ona niemal szaleńczo szukała jakiegoś zakotwiczenia się w życiu. Nie było wątpliwości, że znalazła, to, czego pragnęła. Tymczasem Julia, która tak skrupulatnie unikała męsko-damskich kłopotów, wpadła w taki ukrop, że nadal cierpi od poparzeń.

Samochód skręcił po raz ostatni i ujrzeli znak: Farma Jabłoni. Nawet nazwa była frazesem. Julia wjechała na świeżo wyżwirowaną alejkę. Z chrzęstem opon pojazd toczył się ostatnie sto metrów między drzewami, które dały farmie swoją nazwę. Ujrzały stary, pokryty strzechą dom, z dymem unoszącym się z komina, z zapalonymi światłami, ponieważ było już ciemne popołudnie i zbliżał się czas na herbatę. Z boku grzebały w ziemi kury, gdzieś cicho rżał koń, monotonnie warczał traktor. Ledwie pomogła Jenny wyjść z samochodu, gdy we frontowych drzwiach pojawiła się mała okrągła figurka z rozłożonymi ramionami.

- Witajcie, przybysze.

- Chris, Chris! - Julia rzuciła się jej na szyję, a za nią Jenny łapała ciotkę za kolana. Rozplakały się.

- Nie patrz na mnie - szepnęła Chris przez łzy. Jej oczy jaśniały od szczęścia. - To te wszystkie placki owocowe i knedle.

- Jesteś sobą. - Julia ledwie mówiła przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

- Taktownie. - Chris znowu objęła Julię i obie kobiety jeszcze raz mocno się uściśniły.

- Boże, jak dobrze widzieć cię znowu. To jakby minął wiek.

- Wiem, ale to tylko kilka miesięcy. Chris, jak dobrze być w domu. Mam ci tyle do powiedzenia...

- Mam nadzieję! Jenny! - Chris pochyliła się, jak mogła, mimo swojego wypukłego brzucha,

którego jeszcze nie było, gdy Julia wyjeżdżała do Ameryki. Uściskała i ucałowała dziecko.

- Ależ ty urosłaś!

- Mogę zobaczyć bliźniaki, ciociu Chris?

- Możesz. Zanim przyjechałyście, słyszałam, że obudziły się i zaczęły psocić. Idź na górę, wiesz, gdzie to jest.

Jenny ruszyła po drewnianych schodach.

Julia rozejrzała się po ciepłym, wygodnym pokoju i westchnęła uszczęśliwiona. Panował w nim już świąteczny nastrój. Papierowe serpentyny, choinka ozdobiona błyszczącymi bombkami, srebrnymi gwiazdkami i paczuszkami opakowanymi w kolorowe papiery. W ceglany kominku płonęła wielka kłoda. Dookoła unosił się zapach pieczonego ciasta. Chris miała na sobie jasny fartuch, a jej różowe policzki pomazane były mąką. Kobiety schwyciły się za ręce i uśmiechały się do siebie.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś do nas na Boże Narodzenie.

- Święta w Kalifornii w tamtejszym upale? To do niczego.

- No właśnie, tutaj, na płaskowyżu, kiedy spadną śniegi, będzie jak na Alasce.

- Cudownie. Jestem w domu.

Z góry dochodziły piski i chichoty.

- Niech się bawią - uspokoiła Chris. - Możemy sobie pogadać.

- Przy kieliszku - zgodziła się Julia. - W torbie lotniczej mam butelkę Jacka Danielsa...

Torby rzuciły byle gdzie.

- Bili odstawi je później na miejsce, kiedy wróci. Jest w polu na swoim ukochanym traktorze - powiedziała Chris.

Usiadły w wytartych, ale wygodnych fotelach stojących po obu stronach kominka.

- Cudownie! - cieszyła się Chris. - Od razu w tym zasmakowałam, ale d. propos umieram z ciekawości i chcę usłyszeć o wszystkim, to znaczy: wszystko. Najpierw jednak wypijmy po jednym. Nalała sobie niezłą porcję. - Ach... - Oblizwała wargi.

- Rozpływa się w ustach.

Kiedy zaś Julia wyjęła z torby karton Kentów Golden Light, wykrzyknęła:

- Co za dobra! Rzuciłam palenie. Tak jest lepiej dla Juniora...

- Poklepała się po wypukłym brzuchu. - Ale przy takiej okazji jeden nie zaszkodzi. Nie mów Billowi, na miłość boską!

- Jak on się miewa?

- Jest światłem mojego życia, jak zawsze. Całe lata szukałam faceta niezwykłego, a ten jest zwyczajny. Mój solidny Bili ustawił moje życie. - I dodała impulsywnie: - Chciałabym, kochanie, móc powiedzieć to samo o tobie. - Patrzyła z troską na Julię. - Nie mówisz wiele, ale ja czytam między wierszami, a to brzmi niczym Armageddon.

- I Apokalipsa.

- Wszystko mi powiedz. Wiesz, co się mówi o dzieleniu się zmartwieniami.

Tymczasem na górze rozległ się krzyk.

- Idziemy. - Chris dźwignęła się ocieźzale. - Wszyscy na stanowiska!

Bliźniaki wpadły do pokoju. Chłopiec i dziewczynka. Niepohamowane dwulatki. I jedno, i drugie pękate jak matka, o ciężkiej budowie, z brązowymi oczami i włosami. Podchodziły do wszystkich uśmiechając się, klepiąc, dotykając i całując.

- Kiedy następne? - Julii udało się zapytać, choć dzieci usiłowały ją zadusić.

- Na wiosnę. Nie mogę się doczekać. To bardzo ekscytujące zajęcie. - Zbierała się do kuchni. - Musimy ich najpierw nakarmić. - No co, żołnierzyki, pasuje wam marmitel.

- Znakomicie. Wzięłam do Kalifornii kilka dużych słoików. Julia siedziała szczęśliwa, dzieląc uwagę między bliźniaki i Jenny, gdy Chris sprawnie zastawiła stół kubeczkami, talerzami i stertą kanapek pokrojonych w paluszki i ociekających masłem. Cała trójka dzieci zajadała ze smakiem, popijając ciepłym mlekiem. Potem udały się na górę do dalszej zabawy, kobiety zaś wróciły do ognia.

- Ech, Chris... - Julii załamał się głos. - Tak dobrze być tu z powrotem.

- Źle było?

- Okropnie.

- Czytałam o tym w „Timesie”, zanim dostałam twój list. Czy zdajesz sobie sprawę, że Arun jest zaledwie dziesięć mil stąd? O kilka machnięć skrzydłem wrony? Jak z książki. Ja kończę tam, gdzie zaczęły się twoje kłopoty. Byliśmy na mszy, jak wiesz. Dzierżawimy ziemię od markiza. I co ty na to?

- Zupełnie jakby to była robota lady Hester.

- No, a co z Bradem?

- Zmienił się. Bardzo się zmienił.

- Na lepsze czy na gorsze?

- Na lepsze.

- Wyszedł już ze szpitala?

- Tak. Dlatego opóźniono pogrzeb. Miał wstrząs mózgu, złamaną rękę, obojczyk i pęknięte żebra.

- Biedny skurwysyn. - Chris wyglądała na przygnębioną. - Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Znowu wstała z fotela i zaczęła szukać pod poduszką.

- Masz, trzymam to dla ciebie.

Była to gazeta „Argus” z Arun, specjalne wydanie poświęcone pogrzebowi lady Hester Bradford. Z mnóstwem fotografii rodziny podążającej do prywatnej kaplicy. Brad wyglądał blado i obco. Abby skryła się za woalką, natomiast twarz Binki nie była zasłonięta i... Julia z trudem łapała powietrze. Binka przypominała swoją matkę, gdy patrzyła wprost przed siebie z arogancją, jaką Julia tak często widziała u teściowej.

Obszerny artykuł poświęcony był głównie miejscowym wspomnieniom lady Hester, która, jak to palnął reporter, była „przesadzonym angielskim kwiatem, który kurczowo trzymał się swych korzeni”. Taktownie nazwano ją „niezapomnianą postacią”. Bardzo oględnie, według Chris, która poszła do kuchni po herbatę.

- Wszyscy wylażą ze skóry z ciekawości. Chcą mieć pewność, czy ona rzeczywiście umarła! Naprawdę, żebyś wiedziała, co tu o niej mówią! Mają ją za skrzyżowanie Królowej Wiktorii i Mesaliny! Bili zatrudnia przy żniwach pewnego starca, który urodził się w posiadłości i ma mniej więcej tyle lat, co zmarła. No więc on powiada, że na własne oczy widział, jak doszczętnie złupiła kłusownika. Wykończyła go. Regularna wiedźma. Szatański charakter.

- I to ją zabiło - stwierdziła Julia.

- Niektórzy powiadają, że schodzili z drogi, żeby uniknąć spotkania. Na pewno miejscowy wikariusz dla niej szpiegował. A dzisiejszy beneficjent, bardzo miły człowiek, powiedział mi, że przestraszyła go tak, że stracił rozum, a jego ojciec dotąd dygoce ze strachu.

Chris posłodziła sobie herbatę.

- Nie ma dwóch zdań, że taka była. Przecież przekupiła nawet takiego drania jak Markus Levin.

Szczerze mówiąc, kiedy napisałaś mi o tym, co on zrobił... - Chris potrząsnęła głową. - Jest żeczywiście Judasz. A tak dobrze patrzyło mu z oczu!

Chris ze zdumienia otwierała szeroko oczy słuchając opowiadania Julii o tym, co się wydarzyło od momentu, gdy Brad zobaczył ją w Century Plaza, aż do Karoliny w czerwonym Mercedesie, rozszerzając opowieść o to, czego dowiedziała się od innych.

- Była pijana, rzecz jasna, ale to było rozmyślne. Chciała nas pozabijać. Widziałam przelotnie jej twarz, zanim Brad mnie popchnął. Wyglądała jak z domu wariatów. Samochód spłonął jak pochodnia, a jej nie można było rozpoznać.

Chris wzdrygnęła się. Julia mówiła dalej.

- Dziękuję tylko, że Brad znalazł się w szpitalu i wszystko go ominęło. Matka Karoliny narobiła strasznego rabanu. Wykrzykiwała, groziła zemstą. Oskarżała mnie o to, że wrobiłam Brada, wyzywała jego matkę najgorszymi przekleństwami pod słońcem, lżyła ich nazwisko, a potem wróciła do Filadelfii i zaczęła rozrabiać w telewizji. - Twarz Julii oblała się rumieńcem. - Byliśmy jak uwięzieni. Wszędzie prasa, kamery. Wyśmienita rodzina bostońska pokazana jako cmentarzysko szkieletów. A potem, kiedy Brad wyszedł ze szpitala, wszczęto śledztwo. Pani Norton uniemożliwiła mu uczestnictwo w pogrzebie Karoliny. Odesłała nawet jego kwiaty. Kiedy otworzył pudło, były tam ich strzępy.

- Jezu! - szepnęła Chris.

- Armageddon.

- Biedny skurwysyn.

- On cierpi, Chris. Gdybyś go widziała...

Tak jak ona... Na sam koniec dowiedziała się całej prawdy.

Kiedy Brad leżał w szpitalu, poleciała do Kalifornii, do swoich klientów, żeby wytłumaczyć im sytuację.

Kiedy wróciła, Brada zwolniono już ze szpitala, nadal jednak utykał i rękę miał na temblaku. Lecz mógł stawić się na śledztwo.

Odbywało się ono w Meeting House, na wsi Bradfordów. Prasa i TV zajęły tyle miejsc, że ludzie, którzy walili jak na przedstawienie, nie wszyscy się zmieścili. Elaine Norton wynajęła sławnego prawnika, który licząc na sensację zarzucił Brada niewybrednym, krzyżowym ogniem pytań na temat jego małżeństwa, związku z pierwszą żoną, alkoholizmu drugiej, roli jego matki w jego życiu i ostatniej kłótni, po której, według Elaine Norton, jej córka uciekła z Farmy zupełnie przerażona.

Zrobił, co tylko mógł, żeby nakłonić Brada do przyznania, że to jego romans z byłą żoną spowodował nienormalne zachowanie Karoliny. Jej alkoholizm zaś był rezultatem głębokiego i niemożliwego do zniesienia nieszczęścia. Na ostatnie Brad się zgodził, ale pierwszemu zaprzeczył. Prawnik Nortonów próbował więc powołać na świadka Jenny, na co zaprotestowali prawnicy Bradfordów i sąd protest uwzględnił. Julia odetchnęła z ulgą.

W końcowym werdykcie ogłoszono, że przyczyną śmierci był wypadek spowodowany wypiciem nadmiernej ilości alkoholu.

Gdy opuszczali Meeting House, Elaine Norton rzuciła się na Brada z pazurami, plując i miotając obelgi.

- Morderca! - wrzeszczała na niego. - Ty i ta harpia, twoja matka, zniszczyliście moją biedną

córkę! Odplączę ci za to! Ty i cały ten wasz zepsuty, zapatrzony w przodków klan! Jesteś mordercą, słyszysz? Ty i twoja kurwa! - i uderzyła Julię w twarz.

Gdy zdołali odepchnąć ją na bok, Brad po raz pierwszy tego dnia zwrócił się do Julii:

- Oddałbym życie za to, żeby ci tego oszczędzić. Julia nie śmiała go dotknąć, tylko patrzyła mu w oczy. Wrócili do domu oddzielnymi samochodami. On z Abby i Binką, a Julia z Sethem, który był dla niej jak opoka. Uścisnął ją serdecznie.

- Dziękuję ci, Julio. W imieniu nas wszystkich. Nie powiedział nic więcej, ale Julii to wystarczyło.

Po południu, przed wyjazdem rodziny na pogrzeb do Anglii, Brad podszedł do Julii i nieśmiało zapytał, czy nie wybrałaby się na przejażdżkę samochodem.

- Z przyjemnością!

Nareszcie! - pomyślała z wdzięcznością. Już zaczynała wątpić, czy kiedykolwiek do siebie powrócą. Po wyjściu ze szpitala Brad przechodził głębokie załamanie. Odpowiadał jedynie półsłówkami na pytania, jadł niewiele, nie spał wcale. Abby relacjonowała, że światło paliło się u niego całymi nocami. Wyglądał strasznie i tak odpychająco, że nikt nie miał odwagi zbliżyć się do niego.

Julia także nie przekraczała wyznaczonej przez niego linii, choć wszystko to śmiertelnie ją martwiło.

W drodze do Bostonu milczał. Pojechał prosto do biurowca

Bradfordów. Naraz Julię olśniło. Markus! To te cholerne papiery, o których wspomniał, że użyje ich w razie potrzeby. Co wyszło na jaw? Lista występków tak obciążająca, że Brad, jako nowy prezes Bradford & Synowie, może usłyszeć wyrok pakujący go za kratki? Wchodząc za nim do budynku, z trudem opanowała dreszcze. Jednak nie pojechali na samą górę, do biur lady Hester. Winda zatrzymała się na osiemnastym piętrze. Brad podszedł do gładkich drzwi z tabliczką: J.H. Loomis, doktor medycyny.

Julia spojrzała na Brada ze strachem. Czyżby dlatego wyglądał jak ciężko chory, że był chory? Czyżby krzywdy, jakich doznał, ujawniły inną, fatalną dolegliwość? Panika niemal przyprawiła ją o mdłości. Boże, myślała, tylko nie to. Nie pozwól na wyrok śmierci.

Gdy weszli do recepcji, zza biurka spojrzała na nich ładna dziewczyna i uśmiechnęła się.

- Panie Bradford, doktor Loomis oczekuje pana. I zaanonsowała przez mikrofon:

- Przyszedł pan Bradford, doktorze.

- Wprowadź.

Brad wprowadził Julię do wygodnego pokoju umeblowanego jak poczekalnia, z fotografiami na ścianach, głębokimi fotelami, kwiatami i roślinami w doniczkach. Zza stołu wstał na powitanie mężczyzna. Był prawie tak wysoki jak Seth, łysy jak kula bilardowa i miał na nosie ciężkie, rogowe okulary. Bardzo elegancki, w trzyczęściowym garniturze z szarej czesanki.

- Brad - skinął głową i zwrócił się do Julii: - Panno Carrey, miło wreszcie panią zobaczyć.

Wreszcie? - zastanowiła się Julia. Była zdziwiona i skonsternowana. O co tu chodzi? Spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Doktor powiedział łagodnie:

- Mam całe popołudnie wolne, a więc mamy mnóstwo czasu. Na co? Julię ścisnęło w dołku. Dlaczego Brad unikał jej wzroku? Patrzył za to na doktora tak rozpaczliwie, jakby podłoga umykała mu spod stóp. Jest chory, domyślała się. I sam nie potrafi mi o tym powiedzieć.

Julia zbladła. Przez głowę przemykały jej całe listy śmiertelnych chorób. Rak? Serce? Kości? Alzheimer? Parkinson?

Przecież ma dopiero trzydzieści siedem lat! Patrzyła na Brada tak, jakby chciała dojrzeć, co ma pod skórą, ale on nie odwracał twarzy od doktora, który skinął głową, dając mu tym milczące wsparcie, zwrócił się do Julii z ujmującą prostotą:

- Obiecuję, że wszystko wyjaśnię. - Po czym zwrócił się do Brada: - Wróć za jakieś pół godziny, dobrze?

Brad skinął tylko głową, nadal bojąc się spojrzeć na Julię, i szybko opuścił gabinet.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Julia nie umiała się opanować:

- Może będzie pan tak uprzejmy i powie mi, o co tu chodzi?

- Brad rozmawiał z panią?

- Nikt ze mną nie rozmawiał! Zaproponował mi przejażdżkę, po czym przywiózł mnie tutaj! Cała ta tajemnica doprowadza mnie do szału!

- Brad nie jest szaleńcem - odrzekł spokojnie doktor, jakby słowa dawały mu dostęp do jej uczuć.

- Przeżywa jednak głęboki stres.

Julia czuła, że się czerwieni.

- Dlatego zwrócił się do mnie. Jestem psychoanalitykiem. Julia zdumiała się. Psychoanalityk! Miała wiele obaw, ale nie zastanawiała się nad psychicznym stanem Brada, choć przecież miało to sens. Brad w ciągu ostatniego miesiąca przeszedł tak dużo, że załamałoby to nawet znacznie silniejszego mężczyznę.

- Niech pani usiądzie - zasugerował doktor, bacznie się jej przypatrując.

- Będzie pani przeszkadzać, jeśli zapalę? - Wskazał fajkę.

- Nie.

Napełnił cybuch aromatycznym tytoniem.

- Zostałem wezwany do tego przypadku przez szpital. Gdy był tam pacjentem, lekarzy najbardziej niepokoił jego stan psychiczny. Miał problemy ze snem, głównie z powodu lęków przed dręczącymi go koszmarami. Było oczywiste, że jest na granicy załamania nerwowego, a więc wezwano mnie.

Doktor zgasił zapalną i siedział pykając. Przyglądał się Julii oczami spaniela.

- A zatem, czy pragnie mu pani pomóc?

- Próbowałam.

- Dobrze. - Doktor dmuchnął w nią wonnym dymem i zapytał: - Co pani wie o jego związku z matką?

- Że był bardzo ścisły, klaustrofobiczny, co nie byłoby jeszcze właściwym określeniem. Ponieważ nie dopuszczali innych osób, więc był... tak intymny, że nawet ja, będąc jego żoną, byłam wyłączona.

- No właśnie. Wybrała pani odpowiednie słowo. To była intymność seksualna.

Julia wpatrywała się w doktora. Zadowolony z tego, że siedziała w bezruchu, kontynuował:

- Jak dobrze poznała pani jego matkę?

- Wystarczająco, żeby się jej bać - odrzekła jak automat. Z trudem się opanowała.

- Czy słyszała pani, jak mówiła ona o swoim ojcu?

- Nieustannie.

- Ale... W jaki sposób?

Julia zastanawiała się pokonując opór wirującego mózgu.

- Ona wierzyła w niego tak, jak inni ludzie wierzą w Boga.

- Brad zaś był jego kopią?

- Tak.

- No właśnie - powtórzył doktor, kiwając z satysfakcją głową. - I oddając ojcu boską cześć, adorowała także syna. Jestem przekonany, opierając się na tym, czego dowiedziałem się od Brada, że związek jego matki z jej ojcem także miał podłoże seksualne.

Julia milczała zmrózona.

- Został sprowokowany jego paraliżem, z lady Hester jako partnerem dominującym, jakim zresztą zawsze była. Chcę przez to powiedzieć, że dokonywała na nim aktów fellatio.

Julia siedziała nie wierząc własnym uszom.

- Akt fellatio całkowicie ubezwłasnowolnia mężczyznę przez kobietę. Kontroluje jego seksualność, jego ciało, całą jego istotę. Taki, w mojej opinii, był preferowany przez Hester Bradford rodzaj seksualnego związku. To, czego chciała i potrzebowała, to totalne zawłaszczenie i kontrola.

Doktor ponownie wypuścił kłęb dymu, a Julia, zaszokowana i odrętwiała, czekała na dalszy ciąg.

- Brad opisał mi, przywołując obrazy z dzieciństwa, jak kąpała go matka. Był to cowieczorny rytuał, którego nie chciała przekazać niani. Miała zwyczaj używać mnóstwa piany, którą rozpościerała po jego ciele, pieszcząc go i głaszcząc. Kiedy go wycierała, jej usta podążały za rącznikami. Jego wspomnienia są bardzo żywe, jak to bywa z naszą seksualną inicjacją. Opowiedział mi nie tylko o tym, co robiła, ale i o tym, co mówiła. Zawsze dotyczyło to jej ojca. Jak robiła mu dokładnie te same rzeczy, jedynemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek kochała poza Bradem. Był on, rzecz jasna, za młody, by rozumieć, co się z nim dzieje. Wiedział jedynie, że lubił to, czekał na to, pogłębiając uczucia, które obudziła.

Julia zagryzła wargi próbując pokonać mdłości grożące wymiotami.

- Zanim dorósł na tyle, żeby rozumieć, krzywda została wyrządzona. Wielu dorosłych nie potrafi wytrzymać fizycznej i emocjonalnej intensywności seksu. Dziecko jest całkowicie bezbronne, dlatego też posiadamy prawa, by je chronić, dopóki jest za małe na to, żeby rozumieć, jak bardzo niebezpieczne są takie akty. W przypadku Brada jest tylko jeden wniosek: Jego matka dokonywała na nim aktu rozpusty. Musimy mieć na uwadze fakt, że jego matka trwała w szponach własnej, głęboko zakorzenionej neurozy, która obezwładniała ją do tego stopnia, że narzucała jej takie zachowanie. Jest to także sprawa jej własnych uczuciowych i seksualnych dewiacji. Samotna, owdowiała matka i uwielbiany syn. Łatwo przekroczyć delikatną granicę między uczuciem matki a potrzebami kobiety. Choć w wypadku Hester Bradford jej potrzeby służyły ugruntowaniu swojej władzy, czego nie można już opanować.

Ostatnie słowa doktora przeszły Julię na wskroś. Jedno z nich znała za dobrze. Jej pierwszy, dziki impuls, żeby się zaśmiać, znikł. Poczula się dziwnie rozszczepiona, jakby zapieczętowana w szklanej kuli, z której może widzieć i słyszeć, ale nie może czuć.

- Poczucie winy, jakie towarzyszy podobnym związkom, jest przerażająco destrukcyjne. Zwłaszcza gdy wiąże się z uwiedzeniem istoty niewinnej. A co jest bardziej niewinne od dziecka? Taki związek zakazanego pokrewieństwa, tabu, które bije w sercu naszej społeczności, jest zawsze skryty i nieuchronnie prze-stępny. Matka Brada wmawiała mu, że stało się tak dlatego, że kochała go miłością bezgraniczną i bezinteresowną. Czy choć na chwilę zaniechała mówienia mu, że nikt nie pokocha go tak jak ona? Czy to nie ona go stworzyła? Czy nie nosiła go we własnym ciele? Dała mu życie. On był jej. Oboje stanowili dwie połowy całości, a zatem byli prawdziwie nierozdzielni.

Między matką i synem związała się więź tak silna, że tylko śmierć mogła ich rozdzielić. Byli jednym ciałem, krwią i jednym życiem. Przerazało go to śmiertelnie i oczywiście coraz silniej wiązało z nią, do czego przecież zmierzała. Myślę, że była w stosunku do niego desperacko, ba, grzesznie zaborcza. Z tego, co mi opowiedział, wywnioskowałem, że jego matka przed laty pozbywała się każdej kobiety, która zagrażała wtargnięciem między nią a jej ojca.

Doktor znowu puścił kłęb dymu.

- Później, rzecz jasna, dokładnie tak samo postępowała ze swoim synem.

Julia zacisnęła powieki. Dopiero gdy poczuła na rękach łzy, zdała sobie sprawę, że płacze.

- To poczucie winy służyło oczywiście tylko temu, by go ze sobą jeszcze ściślej związać. Zaczął bać się nie tylko o nią, ale i jej, i tej groźnej miłości, która, czego nie omieszkała mu powiedzieć, miała taką moc, że mogła ją zabić. Wywoływała w ten sposób jego następne poczucie winy i odpowiedzialność za takie uczucie, za posiadanie strasznej siły, która może pozbawić ją życia. Dlatego nie mógł jej odrzucić.

- O mój Boże... - Julia przygryzła wargi.

- Była największym wyrazicielem szantażu emocjonalnego. To z jej powodu Brad bał się kochać i być kochanym.

- Kobiety...

- Tak, spełniały podwójne zadanie. Wyzwalały go od matki i uwalniały ukształtowaną przez nią jego seksualność, ale nigdy jej sposobem. Pełne, seksualne spotkanie, oto czego potrzebował. Żeby być mężczyzną, sprawcą, ale nie przedmiotem zabiegów kobiety. Gubiąc się w seksie, unikał niebezpieczeństwa miłości. Było to więc jego uleczającym katharsis. Uwalniało go całkowicie od wszystkiego, co uczyniła mu matka, a więc także od poczucia winy.

Julia miała dziwne uczucie, że oszałamiający cios, jaki otrzymała, otworzył jej oczy. Teraz widziała z genialną klarownością to, co wcześniej było ukryte we mgle zamroczenia.

- Powoli mi to wszystko w trakcie naszych sesji wyjawiał. Rzeczy dawno i głęboko pogrzebane i nigdy nie ujawnione żadnej żywej istocie. Rzeczy, które wyjaławiały i zatruwały, dopóki nie uczyniły go całkowitym emocjonalnym kaleką. To, że zachował jakąś władzę nad swoją tożsamością, pokazuje, że na szczęście jest jakaś wewnętrzna siła, która potrzebuje wydostać się na zewnątrz, rozwinąć, tak jak mężczyzna rozwija swoje mięśnie. Jego matka była oczywiście obłąkana. Jej zazdrość i zaborczość były chore, ale ona sama była niewiarygodnie sprytna, jak to z szaleńcami bywa. Ów atak serca, na przykład, o którym myślano, że spowodowała go pani. Przejrzałem jej karty zdrowia. Miała serce jak dzwon. Zabił ją jej mózg. Według mnie był to atak psychosomatyczny, wywołany przez rozmyślne pragnienie wzmocnienia władzy nad synem. Pani natomiast tę władzę zniszczyła, jednakże wina leży faktycznie po jego stronie, ponieważ to on panią poślubił.

Julia nie mogła już dłużej wysiedzieć. Podniosła się ze swojego fotela i podeszła w odrętwieniu do okna. Patrzyła i nic nie widziała.

- Jest to niewątpliwie straszliwa tragedia. Nie ma obszaru jego życia, który by nie był naruszony przez manipulacje jego matki - przerwał - ...o czym on już teraz wie.

Julia odwróciła się ze znieruchomiałą twarzą:

- Nie mógł się przemóc i powiedzieć mi o tym?

- Nie mógł, nawet jeśli chciał, by pani o tym wiedziała. To jest dla niego tak samo ważne jak pani osoba.

- On jest dla mnie ważny.

- Naprawdę?

- Tak.

- Po tym, czego się pani teraz dowiedziała, nie czuje pani do niego wstrętu?

- Nie.

- Więc jak się pani teraz czuje?

- Smutno mi, strasznie mi smutno.

- Bo to jest smutne. To jest tragedia.

- Wiedziałam, że było coś, nie wiedziałam dokładnie co, ale przez myśl by mi nie przeszło, że może być aż tak.

- I nikt by nie pomyślał. Nadal istnieją jakieś tabu, Nawet w naszym wolnym, konsumpcyjnym społeczeństwie. Kazirodztwo jest być może tabu najstraszniejszym.

Wzdrygnęła się, czując, że wszystko wraca na nowo.

- To wszystko go wyizolowało. Mentalnie był już zupełnie wyczerpany. Stąd te nocne koszmary. - Psychiatra w zadumie pykał z fajki. - Związek matki i syna jest natury bardzo delikatnej. Całkiem inny niż ojca i córki. Matka daje życie, karmi je swoim ciałem. Dlatego tak wiele religii czci boginie. Mężczyźni zawsze obawiali się kobiecej płodności i władzy, jaką one mają nad nimi. Brad nie miał ojca, żadnego wpływu mężczyzny, który by przeciwdziałał wpływowi matki. Wiedzę o ojcu zdobył dzięki siostronom, które go pamiętały. Jego matka nigdy o nim nie wspominała ani o roli, jaką odegrał w prokreacji.

Julia przypomniała sobie, co pomyślała podczas pierwszego rodzinnego obiadu, w jakim uczestniczyła w Bostonie.

- Dzieworództwo.

- No właśnie - powtórzył lekarz. - Krańcowo i niebezpiecznie inteligentna kobieta.

Julia otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę, wytarła oczy i wysmarkała nos.

- Co ja mogę zrobić? - zapytała. - Proszę mi powiedzieć. Co ja mogę zrobić?

- Zaakceptować. Zrozumieć.

- To mogę, ponieważ teraz rozumiem.

- Proszę mu to powiedzieć. Tego właśnie potrzebuje. Jak desperat. On czuje, że potwornie panią zdradził. Że wyszła pani za oszusta...

- Ten kij ma dwa końce - powiedziała Julia. - Ja też go oszukałam.

Z kliniczną precyzją opowiedziała mu o swojej własnej, bolesnej drodze do poznania samej siebie, kończącej się wypatroszeniem jej przez Binkę.

- To nie jej obraz był skrzywiony. Tylko mój. Egocentryczna duma spaczyła moją prawdę. Moja teściowa musiała kontrolować innych ludzi. Ja dążyłam do kontrolowania samej siebie. To dlatego miałam w stosunku do Brada zastrzeżenia. Ponieważ był jedynym mężczyzną, który przedarł się przez tę kontrolę i mi zagroził. Jego matka była nieludzka, a ja taką być próbowałam. Binka miała całkowitą rację. Bałam się rozluźnić i otworzyć. To dlatego nie walczyłam o niego tak, jak powinnam. I ona o tym wiedziała. - Julia zapatrzyła się w przeszłość. - Oto dlaczego ona była w stanie się mnie pozbyć. Ponieważ nie byłam stuprocentowo pewna siebie ani moich uczuć do jej syna. Miałam wątpliwości i ona je wykorzystała.

- Wszyscy je mamy. Nie byłbym tutaj, gdyby było inaczej.

- I cóż z tego. Pozwoliłam, by moje niszczyły wszystko inne. Perfekcja była moim oczkiem w głowie...

- Była?

- To nasze wady czynią nas ludzkimi. Powinnam raczej brać Brada takiego, jakim jest, z wadami, potrzaskanego i chcącego mnie z wadami, potrzaskaną, taką, jaka jestem, niż trwać w wydumanej perfekcji nie uznając niczego poza sobą. Miałam siebie całą dla siebie i wiem, że to nie wystarcza.

- Tego między innymi się obawiał, że on pani nie wystarczy. Julia uśmiechnęła się niewymuszenie.

- Nigdy nie będę miała go dosyć.

- To też proszę mu powiedzieć. Niech pani powie mu wszystko.

Doktor wyjął z ust fajkę, przyglądał się jej przez chwilę i powiedział:

- Jest jednakże jeszcze coś, co muszę pani powiedzieć. On jest również impotentem.

Obserwował Julię wnikliwie. Po chwili powiedziała:

- To nie ma znaczenia.

- A więc pani go kocha?

- Nawet gdyby już nigdy mnie nie dotknął, zawsze będę go kochać.

- Nie myślę, żeby trzeba było się tego obawiać. To tylko czasowa niedyspozycja.

„Czasowa niedyspozycja...” Głos Brada, w całej jego dźwięczności i pewności siebie, tej nocy, gdy pierwszy raz się spotkali, zabrzmiał w jej pamięci jak sygnał na capstrzyk.

Dawny Brad: olśniewający pewnością siebie, z umysłem upojonym swoją pięknnością, nieprawdopodobnie zmysłowy. Mój biedny Brad, myślała boleśnie.

- To matka była jego seksualną koleiną. Teraz, skoro odeszła, jest impotentem. Nie musi już od niej uciekać ani w seksie, ani w ogóle. Kiedy odnajdzie siebie i swoją męską tożsamość, odnajdzie też swoją własną seksualność. Będzie normalnym mężczyzną. Chciał jednak, żebym to wszystko pani powiedział.

- Rozumiem - stwierdziła Julia drżącym głosem. - Wszystko to jest bardzo skomplikowane, prawda?

- Jak ludzkie życie.

- Zawsze byłam taka pewna, że znam samą siebie. W rzeczywistości w ogóle siebie nie znałam.

- Właśnie dlatego ludzie przychodzą do mnie. W tym też chcę pomóc Bradowi, w odnalezieniu samego siebie, takiego, jakim jest naprawdę.

- Jak długo to potrwa?

- Z pewnością kilka tygodni, być może miesięcy. Do uporządkowania są lata stłumień i zahamowań. Pani wsparcie będzie dla niego wielką pomocą. Wierzę w to, trzeba mieć cel, do którego się zmierza. On teraz czuje, że pozostała mu tylko nadzieja, nie umocniona wiarą. Dlatego zgodził się, żeby wzięła pani w tym udział. Najbardziej przeraża go uczucie, że po raz pierwszy w życiu jest zupełnie samotny.

- Nigdy taki nie był.

- Jeszcze jedno zwycięstwo jego matki. Miała zwyczaj karać go, gdy był mały, oddalaniem się od niego.

- Boże, ależ ona była suką! - powiedziała Julia przez zaciśnięte zęby. - Z piekła rodem!

- W takiej sytuacji przyszło mu kształtować własną osobowość.

Julia czuła to także. I jeśli ją to tak bolało, to jak on musiał się czuć?

Zabrzęczał dzwonek i sekretarka zapowiedziała wejście Brada.

- Poproś go, żeby poczekał. Zaraz kończę. - Doktor odłożył fajkę na bok, zanim wstał. - Przyślę

go tu pani. Proszę mu powiedzieć, okazać, że pani rozumie go i akceptuje. I nie osądza.

- Dobrze.

- W porządku. uśmiechnął się i wyszedł. Julia czekała. Uczucia owładnęły nią całkowicie i gdy w końcu drzwi się otworzyły i stanął w nich Brad, wyszła mu naprzeciw, położyła mu ręce na ramionach i wypowiedziała jego imię.

Był zeszywniały, przygotowany na najgorsze, ale gdy doznał jej ciepła, jej skupienia na sobie, poczuła, że coś w nim pękło i zaczął drżeć na całym ciele. Jego ramiona otoczyły ją, jakby była samym życiem. Czując, że usiłuje coś powiedzieć, uścisnęła go mocniej.

- Wybacz mi to, czym jestem - udało mu się w końcu powiedzieć.

Odchyliła się do tyłu, żeby móc patrzeć na niego, położyła palec na jego zaciśniętych z wysiłku ustach.

- Czym byłeś, drogi mój. - Okazała mu, co czuje, oczami i głosem.

- Byłem.

Chris musiała odwrócić wzrok od jaśniejącej twarzy przyjaciółki, tak bardzo odbijał się na niej odświeżony nastrój. Nigdy wcześniej nie widziała Julii takiej. Tak otwartej, tak nie pilnującej się.

- A więc walczyłaś ze swoimi upiorami? - spytała w końcu.

- I wygrałam. Wyjaśniliśmy sobie wszystko. Bez masek i póź. Wszystko. I powiedzieliśmy sobie całą prawdę.

- Rodzaj wyznania wiary?

- Coś w tym rodzaju.

Lecz uśmiech Julii mówił, że było to coś więcej.

- Jesteś z nim w kontakcie?

- Cały czas.

- Pisz do ciebie?

- Tak. I to jakie listy, Chris, i to jakie...

- Czyli czekasz na niego, prawda?

- Tak.

- I jesteś pewna, że przyjdzie. Znowu uśmiech:

- Oczywiście - odparła pewnie.

- Długo to trwało - powiedziała Chris. - Ale było warto. Zegar wybił godzinę.

- Chcesz wykopać Jenny?

- Wiesz co, nic się nie stanie, jak wykapiemy całą trójkę naraz. Pozwól, że ja to zrobię. Skorzystaj z okazji i rozprostuj nogi.

- Nie mam zamiaru się spierać.

- Ja już w ogóle się nie kłócę, nawet sama ze sobą.

- Mówiłam ci, że byłaś swoim największym wrogiem.

- Już to zrozumiałam.

- Wyglądasz - zauważyła Chris - jakbyś oczekiwała na Nagrodę Nobla.

- Już mi to mówiono - uśmiechnęła się Julia. - Czekam już tylko na termin prezentacji.

Julia ułożyła córkę w piętrowym łóżku i spytała:

- Napisałaś list do Świętego Mikołaja?

- Tak, oto on. - Jenny wyjęła zmiętą, poprzecieraną kartkę. Julia obejrzała ją. Na rysunku była lalka, wózek dziecięcy i domek dla lalek, a pod spodem dużymi literami wydrukowane było

imię Brad.

- Jak myślisz, czy Święty Mikołaj go przyśle? - spytała Jenny z nadzieją w głosie.
- Jeżeli będziesz bardzo mocno tego chciała.
- A czy możemy chcieć razem? Chcesz, żeby on przyszedł, prawda, mamusiu?
- Bardzo chcę.
- No więc chcijmy razem.

Jenny zacisnęła oczy i skupiła się tak, że aż buzia jej zrobiła się karmazynowa. Wstrzymując oddech wysapała:

- Już! Pragnę mocno, jak najmocniej.
- Ja także.

Być może, pomyślała Julia schodząc ze schodów, życzenie się spełni. Tęskniła do niego, śniła o nim i cierpiała z nim. W sw swoich listach dodawała mu odwagi, wspierała go, napominała, nie powstrzymywała się przed obnażaniem uczuć i otrzymywała listy, które czytała kilkakrotnie.

Ostatni, który nadszedł dwa dni temu, mówił:

Już wkrótce, Julio, już wkrótce. Czuję, że osiągnąłem już prawie wierzchołek góry, czuję też pragnienie ujrzenia widoku, ale nie potrafię go wyrazić, ponieważ wiem, że jesteś po drugiej stronie i czekasz na mnie. Wspinam się, Julio, a Abby i Seth popychają mnie z tyłu. Nawet Binka usuwa przeszkody z mojej drogi. Pisz do mnie. Twoje listy są moją drogą w przyszłość. Tymczasem wiedz, że Cię kocham, niejako mój ratunek, ale mój życiowy cel. Ty i Jenny, i wszystko, co dla mnie znaczą. Tęsknię, żeby Cię zobaczyć, dotknąć Cię, rozmawiać z Tobą, obejmować Cię. I tak zrobię, moja kochana Julio, tak zrobię, już niedługo...

- I spełni się życzenie... - powiedziała Julia na głos, a Chris, wyciągając wielkie tekturowe pudło z szafki w hallu, spojrzała na nią i dokończyła:

- „Więc pragnij, a nadejdą cienie...”

Julia podeszła, żeby jej pomóc, gdy Chris z wysiłkiem próbowała się wyprostować:

- Mogę zgadnąć, jakie jest twoje życzenie - powiedziała uśmiechając się szeroko. - I jeśli to coś pomoże, zawsze wierzyłam w bajki...

Ledwie zdążyła to powiedzieć, rozległo się głośne, zdecydowane pukanie w drzwi frontowe.

Koniec

Strzeż się!

Da Capo to złodzieje czasu!

Informacji o książkach Wydawnictwa Da Capo udziela oraz sprzedaży i wysyłki zamówionych egzemplarzy dokonuje:

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA „FAKTOR” Skrytka pocztowa 60 02-792 Warszawa 78.